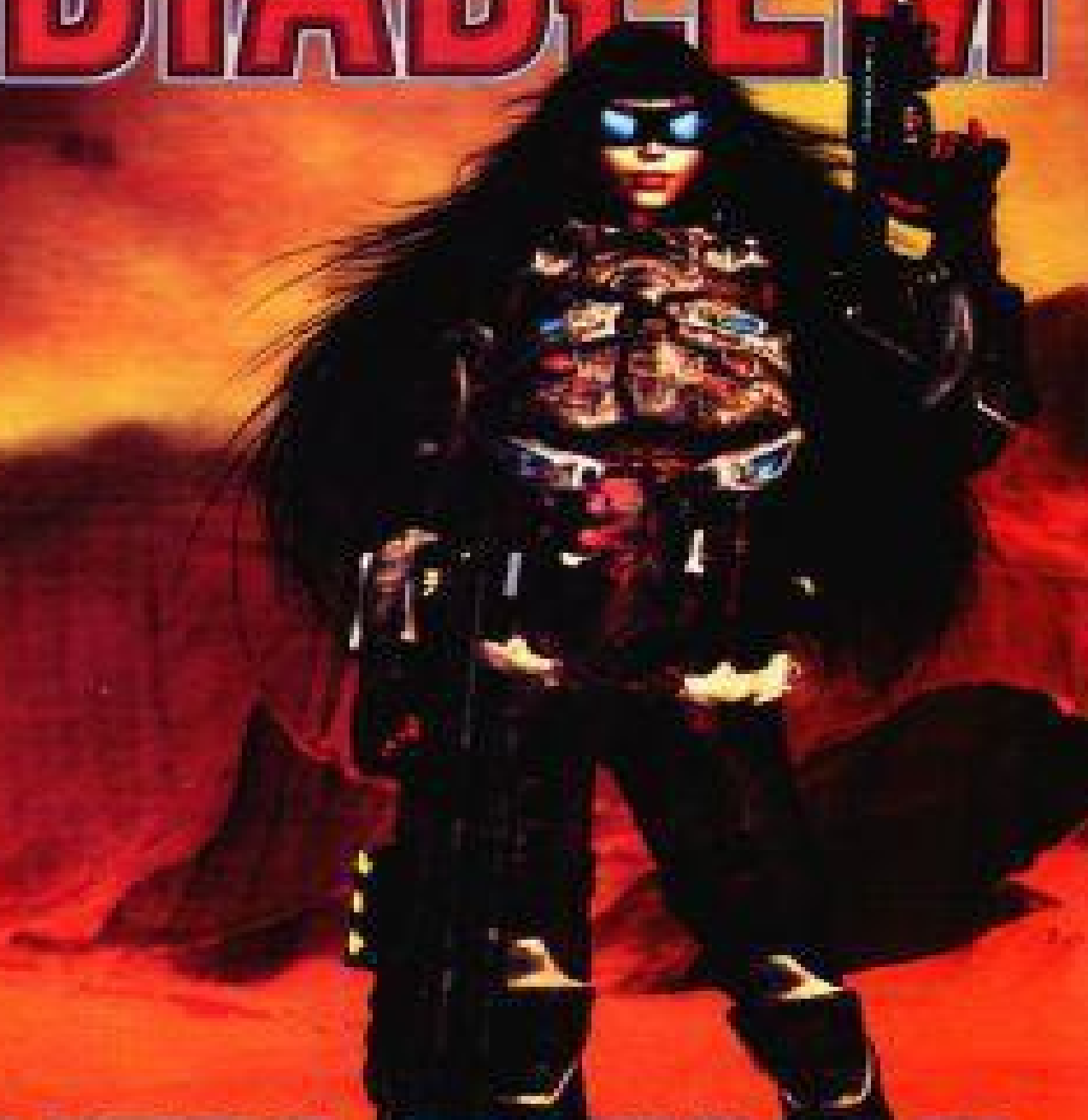


TANIEC Z DIABŁEM



3 941 1

JOHN RINGO

John Ringo

TANIEC Z DIABŁEM

When The Devil Dances

Tłumaczenie: Przemysław Bieliński

DZIEDZICTWO ALDENATA 3



Spis treści

* 1 *

* 2 *

* 3 *

* 4 *

* 5 *

* 6 *

* 7 *

* 8 *

* 9 *

* 10 *

* 11 *

* 12 *

* 13 *

* 14 *

* 15 *

* 16 *

* 17 *

* 18 *

* 19 *

* 20 *

* 21 *

* 22 *

* 23 *

* 24 *

* 25 *

* 26 *

* 27 *

* 29 *

* 30 *

* 31 *

* 32 *

* 33 *

* 34 *

* 35 *

* 36 *

* 37 *

* 38 *

* 39 *

* 40 *

* 41 *

* Epilog *

* Posłowie *

* Słownik *

* Specyfikacje Shevy I *

KSIĄŻKA TA DEDYKOWANA JEST:

Thomasowi Bumettowi, lat 38, ojcu trójki dzieci,
i wszystkim innym wojownikom Lotu 93.
Zginęli, żeby inni mogli żyć.

*Nie zwij mnie kłamcą, kochana
Gdy, od twej piersi zabrany
Co ledwie mi była znana
W innych spoczywam ramiony*

*Odwieczna ta bowiem pani
Co w zimne objęcia ją wziąłem
Przy moim boku już była
Zanim twarz twoją ujrzałem*

*Więc żyjcie, co życie was lecz
Co koi pamięci cierpienie
I dajcie nam trwać w owej rzecz
Co imię jej: wieczne istnienie.*

- Rudyard Kipling
*Pan Młody
Epitafia Wojny*

CHRONOLOGIA INWAZJI POSLEENÓW

- 9 października 2004 Pierwsze lądowanie, 5 kul:
Fredericksburg, Afryka Środkowa, Azja Południowo-Wschodnia, Uzbekistan.
- 28 lipca 2005 Pierwsza fala, 62 kule:
Główne miejsca lądowań: wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej, Australia, Indie.
- 15 sierpnia 2005 Ostatni przekaz radiowy: Dowództwo Obrony Australii, Alice Springs.
- 12 kwietnia 2006 Druga fala, 45 kul:
Główne miejsca lądowań: Chiny, Ameryka Południowa, zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej, Bliski Wschód, Azja Południowo-Wschodnia.
- 14 maja 2006 Ostatni przekaz radiowy: Chińska Armia Czerwona, Xianning.
- 28 maja 2006 Ostatni przekaz radiowy: Sojusz Turecki, Dżalalabad.
- 18 czerwca 2006 Ostatni przekaz radiowy: Dowództwo Połączonych Sił Indochin, Angkor Wat.
- 19 grudnia 2006 Ostatni przekaz radiowy: Sprzymierzeńcy Księgi, Jerozolima.
- 23 stycznia 2007 Bitwa o L3: strata supermonitora „Lexington”, Flota Uderzeniowa 4.2.
- 17 lutego 2007 Bitwa o bazę Titan.
- 27 marca 2007 Trzecia fala, 73 kule:
Miejsca desantu: Europa, Afryka Północna, Indie II, Ameryka Południowa II.
- 30 kwietnia 2007 Ostatni przekaz radiowy: Islamskie Siły Obronne, Chartum.
- 5 lipca 2007 Ostatni przekaz radiowy: Indyjskie Siły Obronne, Gudżaratt.
- 25 sierpnia 2007 Ostatni przekaz radiowy: Siły Bolívara, Paragwaj.
- 25 września 2007 Pierwsza bitwa o Irmansul. Strata supermonitorów „Enterprise”, „Yamato”, „Halsey”, „Lexington II”, „Kuźnieców”, „Victory”, „Bismarck”. Floty Uderzeniowe 77.1, 4.4, 11.
- 17 grudnia 2007 Druga bitwa o Ziemię. Strata supermonitorów „Moskwa”, „Honsiu”, „Mao”. Flota Uderzeniowa 7.1, 4.1, 14.
- 18 grudnia 2007 Czwarta fala, 65 kul:
Główne miejsca desantu: Chiny II, wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej II, Europa II, Indie III.
- 14 marca 2008 Ostatni przekaz radiowy: Siły Unii Europejskiej, Innsbruck.
- 28 sierpnia 2008 Piąta fala, 64 kule:
Główne miejsca desantu: zachodnie wybrzeże Ameryki Północnej II, wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej III, Rosja, Azja Środkowa, Południowa Afryka, Ameryka Południowa III.
- 17 września 2008 Ostatni przekaz radiowy: Wielki Sojusz Afrykański, Pietermaritzburg.
- 12 października 2008 Ostatni przekaz radiowy: Armia Czerwona, Niżny Nowogród.
- 21 października 2008 Oficjalne uznanie stanu rzeczy: brak zorganizowanych sił polowych poza Północną Ameryką.
- 14 listopada 2008 Druga bitwa o Irmansul. Strata supermonitorów „Lexington III”,

„Yamato II”. Flota Uderzeniowa 14.

1 grudnia 2008 Tajny raport Komisji Senatu: szacowana liczebność populacji ludzkiej na Ziemi: 1.4 miliarda. Szacowana liczebność populacji Posleenów: ponad 12 miliardów.

26 maja 2009

Ostatnia jednostka Posleenów na Irmansul zniszczona.

Modlitwa komandosa

*Daj mi, mój Boże, to, co jeszcze masz,
Daj mi to, o co nikt nie prosi.
Nie proszę o bogactwo ani powodzenie,
Ani nawet o zdrowie.*

*Ludzie proszą Cię, Boże, o to wszystko tak często,
Że niemożliwe, by jeszcze choć trochę Ci tego zostało.*

*Daj mi, mój Boże, to, co jeszcze masz.
Daj mi to, czego ludzie nie chcą od Ciebie przyjmować.
Chcę niepewności i niepokoju,
Chcę wrzawy i przemocy.*

*A jeśli zechcesz mi je dać,
Mój Boże, raz na zawsze,
Dopilnuj, by nigdy mnie nie opuścili,
Bo nie zawsze będę miał*

Odwagę, by o nie prosić.

starszy kapral Zirnheld
Specjalne Siły Powietrzne SAS (1942)

Clayton, stan Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

23:25 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
piątek, 11 września 2009

Nocne niebo nad ruinami Clayton w Georgii rozdarły strugi ognia, kiedy artyleria w sile brygady wystrzeliła szrapnele. Purpurowo-pomarańczowe błyski pocisków z opóźnionym zapłonem ukazywały wypalony szkielet Burger Kinga i umykające stamtąd centaurowate sylwetki posleeńskich najeźdźców.

Obcy z głowami krokodyli rozpierzchli się pod ogniem z dział, a starszy sierżant sztabowy Mosovich wyszczerzył w uśmiechu zęby, słysząc równy jak metronom rytm strzałów drużynowego snajpera. Posleeński batalion, zwany przez obcych oolt'ondar, która to nazwa obejmowała wszystko od batalionu do dywizji, prowadziło trzech Wszechwładców. Dwóch z nich zostało zmiecionych ze swoich antygravitacyjnych platform dwoma celnie wymierzonymi pociskami, trzeci przyspieszył i szybko zniknął z pola widzenia. Teraz snajper zaczął pracować nad posleeńskimi normalsami.

Reszta piątej drużyny zwiadu dalekiego zasięgu wstrzymała ogień. W przeciwieństwie do snajpera i jego karabinu kaliber .50, pociski smugowe pozostałych żołnierzy na pewno zdradziłyby ich pozycję. A wtedy byłoby niewesoło; nawet pozbawiony dowodzenia batalion półinteligentnych normalsów dałby radę zetrzeć ich z powierzchni ziemi.

Dlatego też żołnierze ograniczyli się do kierowania ogniem artylerii, dopóki wszyscy obcy nie zniknęli z pola widzenia.

- Dobry strzał - powiedział cicho Mueller, patrząc na dziesiątki leżących na drodze trupów

wielkości konia. Wielki jasnowłosy sierżant walczył z Posleenami albo szkolił do walki innych, zanim jeszcze reszta świata dowiedziała się o ich istnieniu. Podobnie jak Mosovich, uczestniczył w większości przegranych i kilku wygranych bitwach całej inwazji.

Na początku rozkaz ostrzeliwania wszelkich napotkanych podczas patroli celów nie wydawał się najlepszym pomysłem. Mueller ganiał się już z Posleenami i wiedział, że to żadna przyjemność; obcy byli szybsi i wytrzymalsi niż ludzie.

Na szczęście najeźdźcy nie kontynuowali pościgu poza pewne określone strefy, a oddział dysponował odpowiednią siłą ognia, by móc większość ścigających wystrzelać. Dlatego żołnierze korzystali z każdej okazji, żeby to zrobić. Poza tym, prawdę mówiąc, czerpali pewien rodzaj perwersyjnej przyjemności z dobrego artyleryjskiego ostrzału.

- Długo to trwało - mruknął plutonowy Nichols. Niedawno przeniesiono go z Dziesięciu Tysięcy. Jak wszyscy Spartanie, był twardy jak lufa własnego karabinu snajperskiego, ale musiał jeszcze dużo nauczyć się o działaniu na zewnątrz Muru.

- Działa zawsze się spóźniają - powiedział Mueller, wstając. Tak samo jak snajper, zastępca dowódcy, który zawsze szedł na szpicy, był owinięty w siatkę maskującą. Wiszące paski materiału, mające rozmywać zarys sylwetki i sprawiać, by żołnierz był niewidoczny w zaroślach, czasami bywały uciążliwe. Ale ich użyteczności potężny sierżant nie mógł zanegować.

Linia frontu wzdłuż wschodniego wybrzeża ustaliła się jakieś dwa lata temu. Obie strony miały swoje słabe i mocne punkty, w efekcie czego nastąpił pat.

Posleeni dysponowali niezwykle zaawansowaną technologicznie bronią, wyprzedzającą ludzką o setki pokoleń. Ich lekkie hiperszybkie rakiety rozdzierały ciężki czołg czy bunkier jak blaszaną puszkę, a co dziesiąty posleeniński normals nosił wyrzutnię. Działka plazmowe i ciężkie działka magnetyczne, montowane na platformach Wszechwładców, były prawie tak samo skuteczne, a sensory platform oczyszczały niebo ze wszelkich maszyn latających czy pocisków, jakie tylko przekroczyły linię horyzontu.

Oprócz przewagi technologicznej Posleeni mieli też przewagę liczebną. Podczas pięciu fal inwazji oraz licznych mniejszych desantów na Ziemi wylądowało w sumie dwa miliardy Posleenów. Okres ich dojrzwania trwał zaledwie dwa lata. To, ilu obcych było w tej chwili na Ziemi, pozostawało w sferze domysłów.

Oczywiście nie wszyscy wylądowali w Ameryce Północnej. Wręcz przeciwnie, w porównaniu z resztą świata Stany Zjednoczone zostały wręcz oszczędzone. Afryka, nie licząc słabej aktywności partyzantów w centralnych dżunglach i górach na południu, została praktycznie „wyczyszczona” z ludzi. Azja także bardzo ucierpiała. Podobni do koni Posleeni radzili sobie gorzej na terenach górskich i w dżungli, dlatego pewne rejony Azji Południowo-Wschodniej, zwłaszcza Himalaje, Birma i część Indochin, wciąż stawiały czynny opór. Ale Chiny i Indie zamieniły się w posleenińskie prowincje. Przejście Chin zajęło Posleenom nieco ponad miesiąc; powtórzyli „Długi Marsz” Mao, wyrzynając po drodze jedną czwartą populacji Ziemi. Większość Australii i Ameryki Południowej, z wyjątkiem głębokiej dżungli i grzbietów Andów, również padła.

Europa zamieniła się w olbrzymie pole bitwy. Posleeni kiepsko radzili sobie w zimnym klimacie; przeszkadzało im nie tyle samo zimno, co problemy ze zdobywaniem żywności, dlatego też ominęli Półwysep Skandynawski i interior Rosji. Ale za to siły najeźdźców zajęły całą Francję i Niemcy, z wyjątkiem części Bawarii, a potem zalały niepowstrzymaną falą całą Równinę Północnoniemiecką aż po Ural. Tam stanęły, bardziej zniechęcone panującymi warunkami niż jakimkolwiek oporem.

W tym czasie gniazda oporu mieściły się w Alpach, na Bałkanach i w Europie Wschodniej, ale

otoczonym wrogami niedobitkom kończyła się już żywność, surowce i nadzieja. Reszta Europy, wszystkie niziny i przeważająca część historycznie „środkowych” rejonów, znajdowała się w rękach Posleenów.

Ameryka miała szczęście; dzięki sprzyjającym warunkom terenowym i strategicznej bezwzględności zdołała przetrwać.

Na obu jej wybrzeżach rozciągały się równiny, które oprócz kilku wybranych miast oddano bez walki, za to biegnące z północy na południe łańcuchy górskie po obu stronach kontynentu oraz Mississippi pozwoliły zebrać siły, a nawet wyprowadzić kilka lokalnych kontrataków.

Na zachodzie rozległy masyw Gór Skalistych chronił interior przed Posleenami uwięzionymi na wąskim pasku lądu między górami i morzem. Na tym wąskim obszarze żyła znaczna część populacji Stanów Zjednoczonych, dlatego straty w ludności cywilnej były olbrzymie. Większość mieszkańców Kalifornii, Waszyngtonu i Oregonu znalazła schronienie w Górach Skalistych, przede wszystkim we wciąż nie dokończonych podziemnych miastach, tak zwanych Podmieściach, które zbudowali zgodnie z radami Galaksjan. Tam także umieścili podziemne fabryki produkujące materiały potrzebne do prowadzenia działań wojennych.

W Górach Skalistych było wiele złóż surowców i wszystkie je eksploatowano, ale nie nadążano z produkcją żywności. Przed pierwszymi lądowaniami Posleenów zniesiono wszelkie ograniczenia w amerykańskim rolnictwie, i zgodnie z przewidywaniami, wydajność wspaniale wzrosła. Ale większość zapasów wysłano do kilku umocnionych miast na równinach, które według planu miały utrzymać się przez pięć lat, dlatego kiedy uderzyła pierwsza fala inwazji, na pozostałych terenach doszło do poważnych niedoborów. Prawie wszystkie rejony rolnicze na zachodzie, z wyjątkiem basenu Klamath, zostały zajęte przez Posleenów, więc żywność dla zachodnich Podmieść trzeba było dostarczać szlakiem prowadzącym przez Północne Równiny, wzdłuż autostrady międzystanowej 94 i linii kolejowej Santa Fe. Zablokowanie tego szlaku oznaczałoby powolną śmierć głodową osiemdziesięciu pięciu milionów ludzi.

Na wschodzie sytuacja wyglądała podobnie. Appalachy ciągnące się od Nowego Jorku do Georgii, gdzie łączyły się z rzeką Tennessee, tworzyły zaporę nie do przebycia od St. Lawrence aż do Mississippi. Góry te jednak były niczym w porównaniu z Górami Skalistymi; nie dość, że były niższe, to jeszcze poprzecinane były przełęczami, w niektórych miejscach otwartymi jak równiny. Dlatego też Posleeni szturmowali jednocześnie na całej długości łańcucha górskiego. Walki w Roanoke, Rochester, Chattanooga i innych punktach były intensywne i krwawe. Wszędzie tam regularne formacje, wspierane przez jednostki pancerzy wspomaganych i elitarne Dziesięć Tysięcy, biły się dzień i noc, odpierając nie kończące się fale Posleenów. Ich linie wytrzymały czasami tylko dlatego, że ci, którzy przeżyli kolejny szturm byli zbyt zmęczeni, żeby uciekać, ale jednak wytrzymały.

Znaczenia appalachijskich umocnień nie sposób było przecenić. Po utracie równin nadbrzeżnych i większej części Wielkich Równin jedynymi większymi rejonami produkcji żywności była środkowa Kanada, płaskowyż Cumberland i dolina Ohio. Jednak równiny kanadyjskie, choć produkowały zboże wysokiej jakości, miały niską ogólną wydajność z hektara, a do tego nie potrafiły wytworzyć wielu potrzebnych produktów. Poza tym chociaż przemysł rozwijał się w Brytyjskiej Kolumbii i Quebecu, problemy logistyczne rozwiniętej gospodarki w warunkach koła podbiegunowego, które zawsze były zmorą Kanady, nie zniknęły nawet w obliczu posleńskiego zagrożenia. Nie było możliwości przeniesienia całej ocalałej populacji Stanów Zjednoczonych do Kanady, a nawet gdyby była, sytuacja tych ludzi przypominałaby sytuację Hindusów kryjących się w Gudżarracie i Himalajach.

Utrata Cumberland i Ohio oznaczałaby w praktyce koniec aktywnej obrony. Na kontynencie

pozostałyby jedynie, tak jak w innych częściach globu, rozproszone grupki niedobitków grzebiących wśród ruin w poszukiwaniu resztek.

Wiedząc, że południowych równin nie da się utrzymać, tamtejsze siły, głównie jednostki pancerne i galaksjańskie pancerze wspomagane, wycofały się, nie nawiązując kontaktu z wrogiem. Ucieczka ta zakończyła się nad rzeką Minnesota, z takich samych przyczyn, jak odwrót na Syberii. Posleenom udało się jednak osiągnąć to, że podczas długiego marszu zniszczona została jedenasta dywizja piechoty mobilnej, największa jednostka pancerzy wspomaganych GalTechu na Ziemi.

Wszystkie punkty oporu wykorzystywały najłabsze strony Posleenów: niemożność sprostanienia ostrzałowi artyleryjskiemu oraz nieumiejętność pokonywania dużych przeszkód terenowych. Wszechwładcy radzili sobie z jednostkami powietrznymi oraz raketami z blisko stuprocentową skutecznością, wciąż jednak nie potrafili powstrzymać pośredniego ognia artylerii. Tak długo, jak pozostawali w ich zasięgu, byli narażeni na straty. Ze względu na dziwaczną budowę ciała nie byli w stanie przebyć nowoczesnych umocnień obronnych. Posleńskie ataki, które pokonały pierwszą linię obrony, zazwyczaj kończyły się stratami rzędu stu Posleenów na każdego zabitego człowieka, gdyż w Górach Skalistych i Appalachach front tworzyło wiele wspierających się wzajemnie oddziałów i grup rezerwistów. Tak więc Posleeni atakowali i przegrywali. Za każdym razem.

Teraz ludzie kulili się na swoich szańcach, a Posleeni trwali na skraju zasięgu ognia artylerii. Między jednymi a drugimi zaś rozciągała się porośnięta chwastami i nawiedzana przez duchy ziemia niczyja, obszar zburzonych wsi i zrujnowanych miast.

I właśnie tę ziemię niczyją patrolowały oddziały zwiadu.

- Ruszamy - powiedział cicho Mosovich, chowając lornetkę do futerału. Lornetka była przestarzała, nie miała nawet wzmocnienia światła, ale w tych warunkach się sprawdzała. Poza tym sierżant lubił mieć przy sobie sprzęt pozbawiony jakiegokolwiek elektroniki; nawet baterie GalTechu miały zwyczaj wyczerpywać się. - Myślę, że ci tutaj kierowali się na południe, do naszego celu.

- Co konkretnie mamy zrobić z tą kulą, Jake? - zapytał Mueller i ruszył w dół zbocza.

Tydzień wcześniej wylądowała tutaj jedna z gigantycznych kul bojowych posleńskich najeźdźców. Zazwyczaj miejsce lądowania było mniej lub bardziej przypadkowe, ta kula jednak wylądowała dokładnie na jednym z niewielu obszarów wschodnich Stanów Zjednoczonych, których nie strzegł ogień artylerii. Centrum Obrony Planetarnej, które mogłoby zapobiec lądowaniu, zostało zniszczone, zanim je ukończono.

Posleńskie kule składały się z tysięcy mniejszych pojazdów pochodzących z wielu różnych światów. Formowały się w ustalonych punktach głębokiej przestrzeni, a potem kierowały w stronę planety-celu. Kiedy docierały do zewnętrznych warstw atmosfery, rozdzielały się i pojedyncze jednostki, minogi i dodekaedry dowodzenia, spadały wokół miejsca desantu.

To właśnie jedna z takich kul wylądowała w pobliżu zdobytego już Clarkesville w Wirginii. Zadaniem zwiadu było znaleźć ją i dowiedzieć się, dokąd zmierzają wysadzeni przez nią wojownicy.

Jak dotąd wyglądało na to, że lądownik zbiera ich, a nie wysadza. Było to zupełnie niespotykane zjawisko.

Najpierw ją znajdziemy - powiedział Mosovich. - Potem będziemy się martwić, co z nią zrobić.

Znalezienie lądownika nie było łatwe. Wszędzie wokół przemieszczały się oddziały Posleenów. Centaurowaci obcy odkryli, że trudno im pokonywać góry, dlatego poruszali się głównie drogami, a to z kolei znaczyło, że zwiadowcy muszą unikać dróg. Najlepszym na to sposobem był „bieg po grzbietach” - marsz grzbietami wzgórz, od wierzchołka do wierzchołka. Wzgórza Północnej Georgii biegną jednak raczej ze wschodu na zachód, a nie z północy na południe. Dlatego też żołnierze musieli wspinać się na jeden grzbiet, mierzący od siedemdziesięciu do dwustu metrów wysokości,

potem schodzili z niego w dół, aby ostrożnie przetrwać się przez strumień i drogę, i znowu musieli wejść na następne wzniesienie.

Mosovich poprowadził ich z dala od autostrady 441, w dół zboczem Black Rock, a potem w głąb dziczy wokół Stonewall Creek. Sosnowe i dębowe lasy zasnuł średniowieczny mrok; światła cywilizacji nie paliły się tu już od lat. Puszcze pełne były zwierzyny; na wzgórzach na południe od Tiger Creek zwiadowcy spłoszyli liczące kilkaset sztuk stado śpiących jeleni.

Na zboczu wzgórza nad Tiger Creek Mueller zatrzymał się i podniósł rękę. Z oddali dobiegał cichy, nieustanny szmer. Podczołgał się do przodu i podkreślił noktowizyjne gogle.

Kiedy zobaczył stworzenie pracowicie wygrzebujące się z wysokiego na trzy metry kopca ziemi, kiwnął tylko głową i zawrócił. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Mosovicha wskazał gestem, że muszą iść naokoło, a potem poruszył dwoma rozstawionymi i zagiętymi w dół palcami, jakby kopał w ziemi. Sierżant kiwnął głową i wskazał na południe; nikt nie miał zamiaru przedzierać się przez kolonię abatów.

Abaty to były szkodniki, które przywieźli ze sobą Posleeni. Podobnie jak oni, były wszystkożerne. Były białe i wyglądały jak skrzyżowanie szczura ze stonogą. Poruszały się jak króliki, podskakując na tylnej nodze zakończonej szeroką, giętką stopą. Pojedynczo były niegroźne i w przeciwieństwie do Posleenów nadawały się do jedzenia. Mueller twierdził, że smakują lepiej niż węże, trochę jak kapibara. Zamieszkiwały duże kolonie przypominające mrowiska, których zaciekle broniły, rzucając się gromadnie na przeciwnika i kłusząc żuwaczkami wyglądającymi jak wielkie szczurze siekacze. Te szkodniki obalały drzewa jak bobry, wygryzały drewno i niszczyły podziemne hodowle grzybów. Zaobserwowano też, że żywiły się padliną.

Same abaty z kolei padały ofiarą wilków, zdziczałych psów i kojotów, jednak ich największym wrogiem był drapieżnik zwany przez Posleenów gratem. Graty były to latające szkodniki, które wyglądem bardzo przypominały osy. Żywiły się tylko i wyłącznie abatami. Jeśli w okolicy było gniazdo abatów, wiadomo było, że należy również wypatrywać gratów, gdyż jad z ich żądeł był śmiertelnie niebezpieczny dla ludzi.

Reszta wyprawy przebiegła bez zakłóceń i o świcie żołnierze byli już okopani na wzgórzach nad jeziorem Rabun. Stąd mieli szpiegować posleński obóz i wysyłać raporty do bazy. Clarkesville leżało w zasięgu baterii artyleryjskich stopięćdziesiątekpiątek, rozstawionych wokół Gap, więc cokolwiek Posleeni knuli, mogli być pewni gorącego powitania.

Siostra Mary podniesionym kciukiem dała znać, że łączność została nawiązana. Sierżant łącznościowy miała właśnie zostać zakonnicą, kiedy na Ziemię doszły wieści o nadciągającej inwazji. Mary została zwolniona ze wstępnych ślubów nowicjatu i zaciągnęła się do Armii. Podczas pierwszych dni wojny naprawiała radia w St. Louis, a kiedy posleńska kula otoczyła miasto, służba siostry Mary w kompanii niedobitków zakończyła się otrzymaniem Distinguished Service Cross - Krzyża za Wybitną Służbę. Jednostka składająca się z resztek różnych oddziałów pomocniczych z St. Louis - licząca nie więcej niż osmiuset ludzi, wśród których nie było nikogo z piechoty - obroniła odlewnię stali Granite City Steel Works i rozgromiła ponad stukrotnie liczniejszego wroga. Zasługi siostry Mary były zbyt liczne, by je wszystkie wymieniać, stąd w uzasadnieniu przyznania orderu napisano o „działaniach w Granite City Steel Works”.

Sprawa łączności na terenach za Murem była złożona. Posleenom coraz sprawniej szło wykrywanie i lokalizowanie przekazów radiowych, dlatego po wielu dotkliwych stratach zespoły zwiadowcze zaczęły korzystać z automatycznych przekaźników laserowych. Każda drużyna wyruszała w pole wyposażona w dużą ilość tych urządzeń - wielkości bochenka chleba - i rozmieszczała je na szczytach wzgórz na swoim terenie działania. Ponieważ przekaźniki służyły też za sensory,

umożliwiały dowództwu orientowanie się w ruchach wrogich wojsk.

Niski, przysadzisty technik łącznościowiec nosił więc ze sobą wielką pakę przekaźników i musiał bez przerwy upewniać się, że każdy z nich ma łączność z tymi, które pozostały na tyłach.

Mueller rozwinął podpinkę do poncza i nakrył ją kocem maskującym, a potem wczółgał się do środka i wystawił dwa palce, wskazując, że chce objąć drugą wartę.

Mosovich pokiwał głową i pokazał jeden palec Nicholsowi, a potem cztery siostrze Mary. Zamierzali przespać większość dnia, a potem o zmroku ruszyć w dół, w stronę rzeki. Mosovich chciał już następnego ranka oglądać Clarkesville.

Nichols okrył się razem z karabinem kocem maskującym, po czym zaległ na wygodnej skale. Marsz dał im w kość; wzgórza były strome, a poszycie gęste. Nichols znał jednak sekret, którym nie zamierzał z nikim się dzielić: ciężki dzień łażenia po wzgórzach jest lepszy niż dobry dzień w Dziesięciu Tysiącach. Wolał być tutaj niż w Rochester.

*Boże cnych ojców z dawnych wieków
Panie tych armii w świat wysłanych
Co pod Twą dłoń sprawujemy
Władztwo nad palmą i sosnami -
Panie Zastępów, bądź wciąż z nami
Bo zapomnimy - zapominamy!*

Rudyard Kipling
Pieśń na wyjście (1897)

Rochester, stan Nowy Jork, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

07:55 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 12 września 2009

Mike O'Neal spojrział w dół, na spowitą dymem dolinę, w której kiedyś leżało Rochester. Miasto było teraz zrównane z ziemią tak, jak nie zrobiłby tego żaden huragan. Ludzie świetnie sobie radzili z walką w gruzach, podczas gdy dla koniopodobnych Posleenów była ona niemalże niemożliwa. Ale to nie oznaczało, że Rochester wciąż jest miastem ludzi. Oznaczało to tylko tyle, że walczą o nie dwa różne gatunki szkodników.

Mżyło, znad jeziora Ontario wiatr przywiewał gęstą, mokną mgłę. Mike trzymał w jednej ręce hełm, w drugiej pistolet grawitacyjny. W oddali rozległ się huk podobny do gromu i na wschodnim brzegu rzeki Genesee wystrzeliła w niebo ściana białego ognia, przy wtórze trzasku miliona fajerwerków. Wzgórza nad dawnym Uniwersytetem Rochester przyjęły kolejną chybioną salwę.

- These mist covered mountains are home now for me - zaśpiewał Mike, kręcąc pistoletem na palcu i obserwując ogień artylerii strzelającej pociskami kasetowymi.

...but my home is in the lowlands, and always will be.

Someday you'll return to your valleys and farms.

And no longer you'll burn to be brothers in arms

Przed nim tańczył hologram. Wysoka, szczupła brunetka w mundurze komandora podporucznika Floty opowiadała o tym, jak wychowywać córkę na odległość. Była bardzo piękna, a jej uroda kontrastowała z niemal troglodyckim wyglądem jej sławnego męża. Była też od niego spokojniejsza i mądrzej postępowała z ludźmi, często hamując tego porywczego człowieka.

Kolejna salwa kasetówek runęła na ziemię, a chwilę potem chmara podobnych do spodków kształtów poderwała się w powietrze i zaszarżowała na zachód, przez rzekę. Posleeni uczyli się, odkrywali, że przeszkody terenowe można pokonywać determinacją i dobrym dowodzeniem. Mike obserwował niemal z obojętnością, jak hiperszybkie pociski i działa plazmowe Wszechwładców ucinają kolejne gniazda oporu, a oddziały normalsów pokonują prowizoryczny most zbudowany ze zwykłych desek przymocowanych do dziesiątek zebranych z całej okolicy łodzi. Ogień artyleryjski mógłby z łatwością go zniszczyć, ale jak zwykle artyleria koncentrowała się na „obszarach gromadzenia się wroga” i „terenach strategicznie istotnych”. Nie na siłach Posleenów, bez których te obszary przestałyby być strategicznie istotne.

- Oni się uczą, kochanie - szepnął Mike - a my nigdy.

Nie nauczyli się niczego w niespodziewanych potyczkach, zanim jeszcze wojna oficjalnie się rozpoczęła, kiedy stracili Fredericksburg i niewiele brakowało, by stracili też Waszyngton. Kiedy

lekko uzbrojone fregaty rzucono beztrósko na bojowe kule Posleenów.

Kule skrywały w swym wnętrzu wielkie ilości okrętów. Bezpośrednie trafienie głowicą antymaterii zdzierало jedną warstwę zewnętrznej powłoki, ale jednostki wewnątrz wytrzymały atak. Stąd wzięła się teoria, że należy potężnym uderzeniem rozbić je, a potem zaatakować rozproszone okręty jednostkami pomocniczymi. A do tego potrzebne były nie tylko całe flotylle myśliwców, fregat i niszczycieli, ale także wielki okręt główny.

Zamiast jednak czekać, aż Flota będzie w pełni gotowa, galaktyczne dowództwo rzucało do walki coraz więcej okrętów niemal prosto ze stoczni, i to nie tylko w przestrzeni ziemskiej, ale także nad Barwhon i Irmansul. Utrata okrętów pomocniczych, tak ważnych dla powodzenia całego planu, sama w sobie była ciosem, ale straty w ludziach były po prostu druzgocące.

Inwazja na Ziemię praktycznie odcięła ją od przestrzeni kosmicznej i żadna z pozostałych ras Federacji Galaktycznej nie mogła przystąpić do walki. Żeby dostarczyć Flocie potrzebnych załóg, ściągano z Ziemi wszystkich kandydatów i przepuszczano przez trwające całe miesiące i lata szkolenia na symulatorach, które miały przygotowywać ich do kosmicznych walk. A oni niemal natychmiast ginęli w kolejnych potyczkach, nawet nie zadając Posleenom żadnych poważniejszych strat. W ten sposób ograniczone siły pozaplanetarne straciły cały swój potencjał jeszcze przed zakończeniem budowy pierwszego okrętu głównego.

Zanim wystrzelono pierwszy superpancernik, nastąpiła druga fala inwazji. Potężny okręt, mierzący prawie cztery kilometry długości, miał rozbijać kule desantowe przy użyciu umieszczonego osiowo hiperdziała. Udawało mu się to z zadziwiającą łatwością. Nadlatujący z dużą prędkością z bazy Titan *Lexington* zniszczył dwie zmierzające w kierunku Ziemi kule, ale potem wpadł w rój.

Tysiące mniejszych okrętów, Minogi w kształcie wieżowców i dowodzeniowe C-Deki, otoczyły superpancernik i przerobiły go na złom. Mimo zaporowego ognia burtowych stanowisk obrony i grubego pancerza, nawała antymaterii odarła okręt do gołego szkieletu. W końcu, kiedy przestał już odpowiadać ostrzałem, pozostawiono go, by dryfował w przestrzeni. Superpancernik był jednak tak wytrzymały, że jego generatory mocy pozostały nie tknięte, więc odzyskano go i odbudowano. Ale zajęło to kilka lat, a Ziemia nie miała tyle czasu.

Mike zastanawiał się, ilu jeszcze mężów i ojców i ile żon i matek pośle do diabła ta przeklęta Flota. Ci admirałowie, którzy nie potrafiliby wylać szczyń z buta, nawet gdyby mieli wypisaną na obcasie instrukcję. Najwyższe dowództwo, płaszczące się przed cholernymi Darhelami. Dowódcy, którzy nigdy nie widzieli żadnego Posleena, nie mówiąc już o zabiciu go.

I zastanawiał się też, kiedy przyjdzie kolej na niego.

Zimne krople jesiennego deszczu spływały po jego ogolonej czaszce, a on patrzył, jak artyleria dziesiątkuje nacierające centaury, i pstrykał bezpiecznikiem pistoletu.

* * *

Jack Homer czekał z założonymi rękami, uśmiechając się do plastalowego hełmu stojącego przed nim żołnierza.

- Gdzie, do cholery, jest O'Neal?

Ukryty w zbroi porucznik Stewart skrzywił się. Wiedział bardzo dobrze, gdzie jest major. Dowódca Armii Kontynentalnej też wiedział. Obaj jednak nie wiedzieli, dlaczego O'Neal nie zgłasza się na wezwania.

- Generale Homer, mogę tylko powiedzieć, gdzie go nie ma, to znaczy tutaj. - Oficer wywiadu batalionu wzruszył ukrytymi pod pancerzem ramionami. - Jestem pewien, że pojawi się tu najszybciej, jak będzie mógł.

Narada dowódców i sztabowców z Dziesięciu Tysięcy i jednostek pancerzy wspomaganych

odbywała się na wzgórzach nad Black Creek. Nawet mimo fal zimnego, mglistego deszczu nad jeziora wyraźnie widać było stamtąd udany szturm Posleenów na drugi brzeg rzeki. Tak samo jak widać było nieskuteczny ostrzał artylerii miejscowego korpusu, którego kwatera główna, dowódca i sztab znajdowały się siedemdziesiąt kilometrów za obecną pozycją Dowódcy Armii Kontynentalnej.

- Musimy ich skoordynować - powiedział pułkownik Cutprice. Wyglądał na dwudziestolatka, dopóki nie zajrzało mu się w oczy. W rzeczywistości był jednym z najbardziej odznaczonych weteranów wojny w Korei. Dzięki cudom galaktycznego odmładzania zniedołężniałemu, staremu żołnierzowi przywrócono młodość, a on niemal natychmiast zaczął od nowa gromadzić medale.

Jednostka Dziesięciu Tysięcy, którą dowodził, liczebnie przewyższała brygadę, a dzięki przystosowanemu sprzętowi Posleenów wartością bojową równała się pancernemu korpusowi. Cutprice odmówił przyjęcia rangi wyższej od pułkownika, a jedyna nieudana próba zastąpienia go kimś innym spowodowała coś w rodzaju buntu, dlatego to właśnie pułkownik dowodził tą miniaturową dywizją.

- Moi chłopcy i siedemdziesiąta druga dywizja zatrzymali ich wzdłuż Genesee Park Avenue, a w The Park trzyma się jakaś okopana na wzgórzu kompania z czternastki. Ale coraz więcej jebanych koników wali przez ten cholerny most. Musimy wyprowadzić kontratak i zniszczyć most. Byłoby nam łatwiej, gdybyśmy mieli przy tym wsparcie panczerzy wspomaganych.

Stewart znów się skrzywił. Dla jednostek konwencjonalnych czy nawet nie opancerzonych Dziesięciu Tysięcy atak na Posleenów był ciężkim wyzwaniem. Działka magnetyczne i plazmowe zamieniały żołnierzy na otwartym terenie w mielonkę, a Wszechwładcy otwierali ciężkie czołgi jak blaszane puszki. Dlatego właśnie do szturmów zawsze używano galaktycznych panczerzy wspomaganych. Oznaczało to jednak, że ich siły malały po każdym ataku, zwłaszcza na Wielkich Równinach i tutaj, w Ontario Salient. A ponieważ Ziemia była odcięta i jedyne fabryki wytwarzające panczerze znajdowały się poza nią, z każdym starciem było ich coraz mniej.

Galaksjanie uzupełniali straty jedynie w minimalnym stopniu. Niewykrywalne statki lądowały na wyspach Pacyfiku i przeladowywały sprzęt na łodzie podwodne. Te z kolei zawijały do portów położonych na dużych szerokościach geograficznych, takich jak Anchorage. Stamtąd ładunek przewożono ciężarówkami do wciąż trzymających się punktów obrony. Ale to źródło zaopatrzenia było żałośnie niewystarczające, by pokryć ponoszone straty. Dlatego właśnie w siłach zbrojnych USA z dwóch dywizji panczerzy wspomaganych zostały niecałe dwa bataliony - dziesięć procent stanu wyjściowego - i to w ciągu ostatnich czterech lat. W tym czasie zużyto ponad cztery dywizje panczerzy.

Pierwszy batalion 555 pułku piechoty mobilnej, Prawdziwe Czarne Pantery, poniósł mniejsze straty niż inne bataliony i wciąż miał solidny zespół weteranów, chociaż nawet oni mieli ponad dwustuprocentową rotację. Przy słabym zaopatrzeniu oznaczało to jednak, że nawet pierwszy batalion jest skazany na zagładę.

A tymczasem Posleenów było coraz więcej.

Homer pokręcił głową i odwrócił się do drugiego oficera w panczerzu uczestniczącego w naradzie.

- Jeśli major O'Neal szybko się nie pojawi, przekażę dowodzenie pani, kapitan Slight.

Jego niebieskie oczy były zimne jak agaty. Mike O'Neal był kiedyś jego adiutantem i osobistym protegowanym, ale gdyby Rochester upadło, następna linia obrony znajdowała się dopiero na wschód od Buffalo, a front był tam dwa razy szerszy. Utrzymanie Rochester było więc warunkiem obrony całych wschodnich Stanów Zjednoczonych.

- Tak jest, sir - odpowiedziała dowódca kompanii Bravo. - Sir, byłoby dobrze, gdybyśmy mogli

uwolnić artylerię. Musimy uderzyć w ten most, a nie - proszę wybaczyć mój francuski - w pierdolony ogon logistyczny, sir.

Homer uśmiechnął się jeszcze szerzej, co u niego było pewną oznaką gniewu, podczas gdy zniecierpliwiony Cutprice parsknął.

- Pracujemy nad tym. Dwadzieścia minut temu generał Gramns został z mojego rozkazu odwołany. Koordynator artylerii Dziesięciu Tysięcy próbuje ich właśnie przekonać, że most pontonowy to lepszy cel niż „obszary gromadzenia się wroga”.

- Razem z plutonem moich żandarmów - dodał Cutprice. - I dwoma spodkami. Powiedziałem mu, że jeśli tylko któryś z tych generalskich osłów spróbuje odstawiać jakieś numery, ma go, kurwa, publicznie rozwalić. Z działka plazmowego.

Szczupły pułkownik miał tak poważną minę, że trudno było stwierdzić, czy żartuje.

- Możliwe, że trzeba będzie kogoś rozstrzelać. - Homer westchnął. - Postawiłbym cię na czele korpusu, Robert, ale jesteś mi potrzebny. A dwóch rzeczy naraz nie zrobisz.

- Poza tym wytlukłbym tam wszystkich dekowników - mruknął pułkownik. - I wszystkich tych dupków z regularnej Armii, którzy nie mogą posłać swoich dywizji do walki.

- Dwudziesta czwarta z Nowego Jorku i osiemnasta z Illinois przegrupowują się pod North Chili - powiedział Homer. - Ale ja nie chcę po prostu zapychać nimi dziur. Kiedy wyczyścimy przyczółek, macie przerzucić mosty i wyprowadzić kontratak. Posłałem po kompanie saperów z Bailey, macie je wykorzystać. Pogońcie mi te koniki i odepchnijcie je najdalej, jak się da. Gwarantuję, że będziecie mieli za plecami wsparcie piechoty. Daję słowo.

- Co jest celem? - spytał Stewart. - Gdzie mamy się zatrzymać?

- Celem jest Atlantyk - odparł Homer. - Ale nie wyprzedzajcie za bardzo wsparcia. Chciałbym, żebyśmy przesunęli front pod Clyde. Byłby węższy, a poza tym jest tam odpowiedni teren.

- Jasne. - Cutprice wyszczerzył zęby w makabrycznym uśmiechu. - Ale flankę będziemy mieli rozwartą jak nogi kurwy z Subic Bay.

- Będą tam pancerze - powiedział cicho generał. - Niezależnie od tego, czy O'Neal się pojawi, czy nie.

* * *

Ernie Pappas westchnął. Wzgórze było pozostałością po lodowcu, który wyrzeźbił jezioro Ontario. Po południowo-wschodniej stronie, przeciwnej do tej, gdzie toczyły się walki, zamieniono dawny szpital dziecięcy na punkt leczenia tysięcy żołnierzy rannych w trwającej od miesiąca bitwie, w tym przynajmniej tuzina żołnierzy z piechoty mobilnej, zbyt poszarpanych, żeby pancerze mogły ich połatać.

Nawet tutaj, w czystym, świeżym powietrzu, czuło się cierpienie. Ze wzgórze roztaczał się piękny widok na bitwę, którą ósmy korpus właśnie przegrywał. Piękny widok.

Bez wątplenia dlatego właśnie Stary wybrał wzgórze na miejsce medytacji. W miarę jak wojna się przedłużała, a stosy ofiar rosły, major robił się coraz bardziej ponury. Nikt na Ziemi nie mógł nic na to poradzić, ale Stary chyba traktował to bardzo osobiście. Jakby odpowiedzialność za ocalenie całego świata spoczywała wyłącznie na jego barkach.

Mogło to brać swój początek z pierwszych dni wojny, kiedy mówiono, że pluton O'Neala niemal samodzielnie zatrzymał posleenką inwazję na planetę Diess. Ale to były dawne dzieje, do tego dawno zrewidowane. Posleenów zatrzymały jedne z najlepszych i najbardziej doświadczonych jednostek NATO, skonstruowana przez Indowy Główna Linia Obrony i obsadzające ją amerykańskie, francuskie, brytyjskie i niemieckie oddziały piechoty. O'Neal mógł się chlubić tym, że - oprócz tego, iż był jedynym człowiekiem, który ręcznie zdetonował ładunek nuklearny i przeżył - uwolnił siły

pancerne uwięzione w megawieżowcu.

I właśnie przez to mogło mu się wydawać, że jest w stanie samodzielnie ocalić planetę. A może po prostu taki był: samotny wojownik, Horacjusz na moście. Naprawdę wierzył w etos wojownika, filozofię rycerza, *sans peur, sans reproche*. I sprawił, że jego żołnierze też w to wierzyli dzięki wyrazistości jego wizji i sile przekonywania. To właśnie ta wizja pomogła im wytrwać. Ale teraz mógł właśnie płacić za to cenę.

Sierżant Ernest Pappas, dawniej w korpusie marines Stanów Zjednoczonych, wiedział, że rycerze w lśniących zbrojach nie są niczym więcej niż morderczymi bydlakami na koniach. Wiedział, że jedyne, co się liczy, to przetrwać. Tylko przetrwać. Może uda się zatrzymać wroga, a może nie. Ale dopóki się żyje, o zgrozo, to musi wystarczyć.

Jednak sierżant Pappas wiedział też, że nie to skłania chłopców, żeby wstali i zaczęli strzelać. Chłopcy po prostu wierzyli, że jeśli jest z nimi „Żelazny” O’Neal, nie mogą przegrać. I tak powinno być.

Pappas spojrział w dół, na dym i płomienie unoszące się nad gruzami miasta, i westchnął. Gdyby kapitan Karen Slight próbowała poprowadzić batalion w ten ogień, wyparowałiby jak woda na ruszcie. Bo jej by nie uwierzyli.

- Majorze? - powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Mike’a.

- Ernie - odparł major. Walczyli razem, odkąd O’Neal objął dowodzenie kompanią Bravo w złych czasach, kiedy to wydawało się, że cała Armia postradała rozum. Przeszli razem przez wiele dobrych i złych chwil, głównie złych, i to właśnie Pappas i O’Neal razem utworzyli pierwszy batalion 555 pułku i sprawili, że był tym, czym był.

- Zmusił pan starego człowieka do cholernie długiej i ciężkiej wspinaczki.

- Ale za to widok jest wspaniały. Nie uważasz? - Mike uśmiechnął się smutno i splunął do hełmu. Biotyczna wyściółka wchłonęła ślinę i sok z tytoniu, po czym wysłała ją w długą podróż, na końcu której miała zamienić się z powrotem w racje żywnościowe.

Pappas zerknął na pistolet i skrzywił się.

- Musi pan przestać słuchać Dire Straits.

- Dlaczego? Wolisz Jamesa Taylora?

- Mamy problem.

- Zgadza się. - Mike westchnął i przetarł ręką oczy. - Jak zwykle.

- Czternasta dywizja dała nogę. - Starszy sierżant sztabowy batalionu zdjął hełm i osłonił oczy. - Są już w połowie drogi do Buffalo.

- Jeszcze coś? - spytał O’Neal. - Artyleria ładnie strzela. Wcale nie trafiają, ale wygląda to bardzo ładnie.

- Wątpię, żeby długo tam zostali. Cały korpus myśli już tylko o tym, żeby się dyskretnie oddalić.

- Dziesięć Tysięcy zatyka wyrwę?

- Aha.

- No tak.

Zapadła długa cisza. Sierżant podrapał się po głowie; biotyczna wyściółka hełmu wreszcie poradziła sobie z jego wiecznym łupieżem, ale nawyk pozostał.

- No i jak, zrobimy coś w tej sprawie, szefie?

- Niby co? - zapytał dowódca batalionu. - Bohatersko zaszarżujemy na wroga i odepchniemy go? „Ukryjcie dobroć pod maską wściekłości” Przetrucimy wrogowi kręgosłup i zmusimy go do ucieczki? Odbijemy stracone od miesięcy pozycje? Zepchniemy ich aż po Westbury i Clyde, gdzie jest ich miejsce?

- To pan planuje? - spytał Pappas.

- Niczego nie planuję! - odparł krótko Mike. - Ale przypuszczam, że tego oczekuje Jack.

Zauważyłem, że się pojawił.

- Po tym się poznaje, że sytuacja jest poważna - zażartował sierżant. - Jeśli pojawia się DOWARKON, musi być naprawdę do dupy.

- Zauważyłem też, że żadne jednostki artylerii nie odpowiadają na wezwania ostrzału.

- Już nad tym pracują.

- A obie dywizje flankujące Shelly określa jako „chwiejne”.

- To przecież Armia - zachichotał były marine. - Armię zawsze określa się jako „chwiejną”. To ich fabryczne ustawienie.

Salwa artylerii spadła na chybotliwy most pontonowy i konstrukcja z drewna i aluminium zniknęła.

- Widzisz? - powiedział O’Neal. - Nie jesteśmy im do niczego potrzebni.

- Homer chce przeprowadzić kontratak.

O’Neal odwrócił się, żeby sprawdzić, czy sierżant nie żartuje, ale szeroka, ziemista twarz żołnierza była śmiertelnie poważna.

- Żartujesz?

- Jestem poważny jak atak serca. Myślałem, że właśnie na to pan tak narzeka.

- Jasna cholera - szepnął major. Sięgnął po hełm, założył go, a potem potrząsnął głową, żeby wyściółka dobrze przylgnęła. Żel oblał jego twarz, wypełniając każde zagłębienie, a potem wypłynął z oczu, nozdrzy i ust. Po Tej Chwili, jak to nazywano, długo dochodziło się do siebie, i nigdy nie można było się do niej przyzwycząić.

- Jasna cholera. Kontratak. Świetnie. Dowodzi Slight, jak przypuszczam? Wspaniale. Czas zagrozić wyłom trupami naszych pancerniaków.

- Niech pan się uśmiechnie - powiedział sierżant, zakładając własny hełm. - „I znów idziemy na wyłom”.

- Nie „na”, tylko „w”, ty samoński prostaku. Poza tym przecież się uśmiecham - odparował O’Neal i zwrócił w stronę sierżanta wykrzywioną w grymasie maskę zbroi. - Widzisz?

* * *

- Ta jego zbroja jest niesamowita - parsknął śmiechem Cutprice.

- Szkoda, że nie mam tysiąca takich - przyznał Homer. - Ale żeby nikt mnie nie posądził o wygórowane wymagania, powiem, że wystarczyłoby mi tysiąc zwyczajnych zbroi.

Pancerz był darem rzemieślnika Indowy dla ówczesnego kapitana O’Neala. Był wyposażony we wszystkie „specjalne” funkcje, które chciał wprowadzić O’Neal, kiedy był członkiem grupy projektowej. Oprócz tego, że zbroja miała przeznaczone do walki wręcz dodatkowe porty strzeleckie na nadgarstkach i łokciach, była zasilana antymaterią. Eliminowało to największe ograniczenie pancerza wspomaganego - jego stosunkowo niewielki zasięg działania. Z technicznego punktu widzenia wynosił on czterysta pięćdziesiąt kilometrów biegu albo siedemdziesiąt dwie godziny statycznej walki. W praktyce jednak te wartości okazały się o połowę niższe. Kilka pancerzy zostało przechwyconych i zniszczonych przez Posleenów, kiedy po prostu „skończyło im się paliwo”.

Pobór mocy z pancerza zwiększył się jeszcze przez braki amunicji. Ponieważ żadna ziemiska fabryka nie była w stanie wyprodukować standardowych pocisków z zasilającym działko trzpieniem antymaterii, trzeba było je zastąpić zwykłymi łezkami ze zubożonego uranu. Dlatego działka grawitacyjne, które powinny być samozasilające, „wysysały” moc z pancerzy. Ich prędkość wylotowa w dalszym ciągu równała się ułamkowi prędkości światła, a to wymagało olbrzymiej

energii, dlatego „żywot” akumulatorów zbroi skrócił się niemal do zera. Żołnierze często więc stawali przed wyborem - poruszać się albo strzelać; wyjątkiem był O’Neal, którego zasoby energii były niemal nieograniczone.

Oczywiście ten medal miał dwie strony - gdyby cokolwiek przebiło pojemnik z antymateriają, major O’Neal wyparowałby wraz ze sporą częścią otoczenia w promieniu kilometra.

Ale wszystkie te ulepszenia były niewidoczne. Uwagę natomiast przykuwał wygląd pancerza; przypominał czarno-zielonego nieziemskiego demona, z pełną ostrych kłów paszczą i szponiastymi łapami do rozszarpywania ciała. Budził niepokój i w pewnym sensie - tak twierdzili ci, którzy znali O’Neala - był dla niego bardzo odpowiedni.

- Pasuje do niego - powiedział pułkownik, opierając się na swoich doświadczeniach. Pancerze wspomagane szły zawsze tam, gdzie było najgoręcej. A Dziesięć Tysięcy deptało im po piętach.

Dziesięć Tysięcy - albo Spartanie, jak ich czasami nazywano - wywodzili się z mniejszej jednostki zwanej Sześciuset. Kiedy doszło do pierwszego lądowania Posleenów, zaskakującego i przeprowadzonego przytłaczającymi siłami, jednostki wysłane do Północnej Wirginii, by tam ich powstrzymać, zostały rozbite już w pierwszym starciu. Wielu żołnierzy, zwłaszcza z oddziałów z tyłów, uciekło na drugi brzeg Potomaku i zebrało się w Waszyngtonie. Kiedy Posleeni przeszli przez rzekę przy Washington Mall, wszyscy, oprócz małej garstki, uciekli. Owa mała garstka, dokładnie sześciuset pięćdziesięciu trzech żołnierzy, uznała, że są w życiu rzeczy, za które warto oddać życie. Zbrali się więc przy kopcu pomnika Waszyngtona, zamierzając bronić się tutaj aż do samobójczego końca.

Okazało się jednak, że nie było to samobójstwo. Opór Sześciuset i zamieszanie w szeregach przechodzących przez most Posleenów spowodowały, że pancerze wspomagane zdążyły przybyć na czas na pole bitwy. Wspólnymi siłami, przy wsparciu artylerii, całkowicie wyeliminowali posleenską horde w Waszyngtonie.

Dla tych sześciuset pięćdziesięciu trzech kierowców ciężarówek i kucharzy, piechurów i artylerzystów, monterów i pracy, którzy nie uciekli i postanowili iść do swojego Boga jak prawdziwi żołnierze, ustanowiono specjalny medal. Mieli potem zostać przydzieleni do różnych jednostek w całej Armii, a jedyną pamiątką po ich największej bitwie miały zostać order. Ale ich dowódcy udało się przekonać sztab generalny, że można ich wykorzystać w lepszy sposób. Tak oto narodziło się Dziesięć Tysięcy. Większość Sześciuset awansowała i utworzyła jądro jednostki, którą później uzbrojono w zdobytą i zaadaptowaną broń Posleenów. Od tej pory dowództwo sił lądowych miało do dyspozycji szybką, ciężko uzbrojoną i niezwykle elitarną formację.

Ale nie mogła ona sama atakować Posleenów; do tego były potrzebne pancerze wspomagane.

- Majorze - powiedział generał Homer. Zwrócenie się do O’Neala w tak oficjalny sposób było naganą za jego opieszałość.

- Jack? - odparł O’Neal.

Homer uśmiechnął się chłodno. Pancerze wspomagane nie były jednostką amerykańską; należały do sił uderzeniowych Floty, czyli do sił Federacji Galaktycznej. Zgodnie z regulaminem O’Neal nie musiał zwracać się do generała z użyciem jego stopnia, choć wymagała tego uprzejmość. Zwykle O’Neal mówił do niego „sir” albo „generale”, a nawet „pułkowniku”. Zwrócenie się publicznie po imieniu było taką samą naganą, jaką otrzymał od Homera.

- Mamy problem - rzekł generał.

- Wszyscy cały czas to powtarzają - prychnął O’Neal. - To nie żaden problem, tylko mongolska orgia, sir. Czy generał „Pancerze wspomagane to marnotrawstwo sił i środków” jeszcze tam jest?

- Gramns już został odwołany - wtrącił Cutprice. - A kapitan Karen właśnie wyjaśnia jego

sztabowi znaczenie wyrażen „wsparcie ogniowe” i „odpowiedź ogniem”.

- Mamy jakiś plan? - spytał O'Neal. - Czy po prostu rzucimy się na nich z wrzaskiem?

- Utrzymujemy wzgórze po tej stronie rzeki - odpowiedział znów Cutprice - ale Posleeni wciskają się już w głąb miasta i wzdłuż kanału. Wzgórze na ich brzegu są wyższe, więc ci po naszej stronie dostają wsparcie ogniowe od tych po drugiej stronie. Poza tym za chwilę odetną nam linię zaopatrzenia na moście Brooks Avenue. Chciałbym, żebyście utworzyli przyczółek między rzeką a wzgórzami. Moi chłopcy pójdą za wami, ale to wy będziecie musieli przyjąć na siebie pierwsze uderzenie.

- Dlaczego nie możemy ich przygwoździć i rozwalcować artylerią? - spytał Stewart. - Jeśli chcecie, zawsze możemy posłać Duncana, żeby z nimi „porozmawiał”.

- Ni cholery! Zastrany sztab musi ustać na własnych nogach. - Pułkownik o chłopięcym wyglądzie wyszczerzył zęby w najszerszym uśmiechu, jaki ktokolwiek widział, i wybuchnął rechoczącym śmiechem. - Widziałem już, co się dzieje, kiedy Duncana poniesie!

- Musimy przejść na drugi brzeg, i to szybko - powiedział grobowym głosem Homer. - Nie dlatego, że chcę zobaczyć swoje nazwisko w gazetach, ale dlatego, że kiedy Posleeni raz zaczną uciekać, wpadają w taką samą panikę jak ludzie. Poza tym musimy ich zepchnąć do linii Clyde. Zwiad dalekiego zasięgu donosi, że umocnienia są tam nie tknięte. Jeśli przegonimy ich za Clyde, rozwiążemy połowę naszych problemów na wschodnim wybrzeżu.

- Pchają się do tej bitwy jak mrówki do miodu - zauważył Mike.

- W takim razie co robimy? - spytał Homer. - Masz jakiś pomysł?

- Tak, sir - odparł major, zapominając o gniewie. - Najchętniej wykorzystałbym eskadrę banshee, żeby wylądować za nimi, ale zważywszy na teren nie sądzę, żeby to było możliwe i żebyśmy zdołali utrzymać się do czasu przybycia posiłków. Skoro tak się nie da, chcę rozwałkować ich na płasko, a potem raz na zawsze ustalić linię frontu. Atomówki wciąż nie wchodzą w grę?

Homer skrzywił się. Osobiście był za tym, by w takich sytuacjach używać taktycznej broni jądrowej. Taktyczne atomówki miały o wiele większe pole rażenia niż jakakolwiek inna artyleria, w tym pociski kasetowe.

Znaczna część Chin upadła w niecałe dwa miesiące; pierwszy większy desant Posleenów potrzebował zaledwie czterdziestu dwóch dni, by przejść od Szanghaju do Czengdu. W tym czasie rasa Han została zredukowana do ułamka swojej dawnej liczebności; dziewięćset milionów ludzi i licząca pięć tysięcy lat kultura zostały starte z powierzchni ziemi. W rejonach kontrolowanych uprzednio przez Chiny utrzymały się nieliczne gniazda oporu, z których najważniejszym był mały kontyngent w Luoxia Shan, dowodzony przez byłego szefa zaopatrzenia Armii Czerwonej i „Radia Wolny Tybet”.

W powstałym chaosie spanikowani Chińczycy odpalili swój arsenał atomowy, który okazał się sześć czy siedem razy większy niż wynikało z przedwojennych ustaleń wywiadu. Ostatni wybuch miał miejsce w rejonie Xian, gdzie tylna straż kolumny wycofującej się w Himalaje zginęła w nuklearnej burzy, której jedynym efektem było spowolnienie marszu Posleenów zaledwie o jeden dzień. Wykorzystanie tak wielkiego potencjału atomowego spowodowało, że rzeka Jangcy została na najbliższe dziesięć tysięcy lat doszczętnie zatruta. A klimat polityczny na niemal równie długo.

- Żadnych atomówek - powiedział Homer. - Prezydent w niektórych sprawach jest strasznie marudna. I nie dostrzega przy tym, że pociski SheVa i wasze granaty to w rzeczywistości broń mikronuklearna. Ale nie zbombardujemy Rochester bronią atomową. - Podniósł rękę, żeby powstrzymać spodziewany sprzeciw i uśmiechnął się zaciśniętymi ustami. - Żadnych bomb neutronowych ani antymaterii. Żadnych atomówek.

Mike odwrócił się i popatrzył na odległe wzniesienia. Dolina Genesee była przeszkodą dla Posleenów i sił konwencjonalnych, ale nie dla pancerzy; w wodzie poruszały się równie sprawnie, jak w przestrzeni kosmicznej. Rojły się tam jednak miliony Posleenów, a pancerzy była dosłownie garstka.

- Trzeba będzie oczyścić dolinę, zanim się ruszymy - powiedział Mike. - Bez tego nie możemy przekroczyć rzeki. Nie pójdę do tego szturm bez wsparcia artyleryjskiego, które sam uznaję za wystarczające. Ani nie zrobi tego żaden człowiek z mojego batalionu.

Słyszał dookoła siebie wstrzymywane oddechy, ale miał to gdzieś. Jednostki pancerzy wspomaganymi były w rzeczywistości i pod względem prawnym formacją niezależną od sił lądowych Stanów Zjednoczonych. Zasadniczo w myśl traktatów podpisanych w dobrej wierze przez Senat USA, Mike był zwierzchnikiem generała Homera. Teoretycznie mógł kazać przeprowadzić wstępny ostrzał nuklearny, a generał Homer musiałby wykonać jego rozkaz. Teoretycznie.

W rzeczywistości jednak żaden major jednostek pancerzy wspomaganymi nigdy nie odmówił wykonania rozkazu ziemskiego generała. Nawet „Żelazny” Mike O’Neal. Zdarzało mu się wyklócać o poszczególne polecenia, ale bezwarunkowy sprzeciw był czymś nowym. Można to było uzasadnić tym, że przyglądał się, jak batalion w ciągu pięciu lat poniósł tak wiele strat, że był aż na granicy zaniku.

Można to było także złożyć na karb doświadczenia.

Homer przez chwilę rozważał obie możliwości, potem pokiwał głową.

- Każę się przygotować artylerii. Zapewniam cię, że kiedy wyjdziecie z wody, między Genesee a Mount Hope Avenue nie będzie żadnej żywej istoty.

- Niech pan dopilnuje, żeby artyleria była gotowa do wsparcia - powiedział O’Neal. - Będzie nam potrzebna kurtyna ognia; chcę dojść pod osłonę ostrzału zaporowego aż do naszych głównych pozycji. Jeśli nie dostaniemy wsparcia artylerii, nie jestem pewien, czy da się coś zrobić.

- Zgoda - powiedział Homer, uśmiechając się z przymusem. On także spojrzał na wschód i pokręcił głową. - Dam ci całą artylerię, jaką uda mi się zebrać do jutra rana. Daję słowo.

- Niech pan to zrobi, panie generale, a pożremy ich dusze - powiedział cicho Stewart.

- Damy radę - stwierdził z przekonaniem O’Neal. - To, czy ktoś z nas przeżyje, to już inna sprawa. Jeszcze jedno, Stewart. Przyciśnij swój przekaźnik. Zobacz, czy uda ci się zidentyfikować tego wyjątkowo inteligentnego kessentai, który wpadł na pomysł z mostem. Taką inteligencję należy nagrodzić.

*O, wschód to wschód, a zachód to zachód
Spotkanie nie będzie im dane
Aż niebo i ziemia ramię przy ramieniu
W dzień sądu staną przed Panem
Lecz nie ma jednego ani drugiego,
Ni granic, ni ras, ni plemienia
Gdy dwóch silnych mężów staje twarzą w twarz
Choć pochodzą z dwóch różnych stron Ziemi!*

Rudyard Kipling
Ballada o wschodzie i zachodzie (1889)

Clarkesville, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

13:50 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 12 września 2009

Tulo'stenaloor popatrzył chłodno na młodego kessentai.

- Opowiedz mi jeszcze raz o tej potyczce.

- O czym, estanaar? - spytał Cholosta'an. Młody dowódca zwiadowców był wyraźnie zmieszany, rozmawiając o tym starciu z estanaarem tak dużej gromady. Określenie to można było znaleźć w Sieci, ale od niepamiętnych czasów nikt go nie używał. Jego ludzkim odpowiednikiem był „wódz” i „mentor”, a może nawet „król”. Czasy ostatniego estanaara minęły wiele tysięcy lat temu.

- Ogień z nieba - prychnął Tulo'stenaloor. - Mała bitwa...

- Nie było żadnej bitwy, estanaar - przyznał Wszechwładca. - Był tylko ogień z nieba...

- Artyleria - wtrącił Staraquon. Oficer wywiadu Tulo'stenaloorą zakołysał z pogardą grzebieniem. - Zaczynj wreszcie uczyć się nowych słów.

- Nie jestem pisklakiem - warknął Cholosta'an. - Nie muszę wysłuchiwać takich rzeczy, kenstainie!

Określenie to było straszliwą zniewagą, równoznaczną z nazwaniem kogoś eunuchem. Kenstainowie byli Wszechwładcami, których usunięto na zawsze z Rejestrów Bitwy albo z ich własnego wyboru, albo decyzją posleeńskiej Sieci Danych. Niektórzy uchylili się od udziału w walce, niektórzy jednak mieli po prostu pecha, bo nie udało im się zgromadzić bogactw ani przemocą, ani podstępem.

Kenstainowie byli jednak pod pewnymi względami użyteczni; zapewniali minimum działania „administracji”, z którą nie radziła sobie Sieć. Ale ponieważ Sieć ich nie uznawała, nie mogli brać udziału w legalnym handlu i musieli polegać na dobrej woli i łasce swoich odważniejszych bądź mających więcej szczęścia pobratymców.

Nikt nie lubił kenstainów.

Tulo'stenaloor nachylił się do przodu i nastroszył grzebień.

- Jeszcze raz tak powiesz, a każę cię zabić. Zgodziłeś się słuchać moich rozkazów, jeśli poprowadzę cię do zwycięstwa. Niech więc do ciebie dotrze, że mówiłem poważnie. Zależy mi na twoich informacjach, ale nie aż tak, żeby pozwalać ci obrażać mojego oficera wywiadu. Zrozumiałeś?

- Ja... - Młody Wszechwładca oklapł. - Nie... estanaar, nie rozumiem. Nie rozumiem, czemu to

ma takie znaczenie i dlatego muszę przez to przechodzić. Nie tego uczy nas Droga.

- Nie mów mi nic o Drodze - parsknął starszy Wszechwładca. Dotknął palcem zwisającego mu z ucha symbolu i prychnął. - To Droga doprowadziła nas do tego impasu. To Droga popchnęła nas do klęski na Aradanie i Kerlanie. Będziemy korzystać z niej, kiedy będzie ona drogą do zwycięstwa, ale w moim obozie jedyną Drogą, jedyną misją - powiedział, używając ludzkiego słowa - jest całkowite pokonanie ludzi. Tu chodzi o coś więcej niż o tę kulkę błota, tu chodzi o przetrwanie Po'oslena'ar jako rasy. Jeśli nie zniszczymy ludzi, oni nas zniszczą. Dlatego ja ich zniszczę, wyrwę z korzeniami tutaj i na Aradanie, i na Kerlanie, i wszędzie tam, gdzie tylko są. Zrobię to nie dla Drogi, ale dla naszej Rasy. A ty albo mi w tym pomożesz bez zadawania pytań, albo możesz odejść. Ale jeśli powiesz, że mi pomożesz, a potem zakwestionujesz zdanie moje albo oficerów, których ci przydzielę, zginiesz. Czy teraz rozumiesz?

Młody Wszechwładca urodził się na Ziemi, w ogniu bitwy, i ciągle słyszał opowieści o klęskach z rąk ludzi. Nie dla niego były bogactwa zdobyte podczas pierwszego lądowania, kiedy rozległe połacie Ziemi padły pod naporem Rasy. Nie dla niego były łatwe spłaty długów edas, miazdzącego brzemienia kosztów wyposażenia swojego oolt. Dopóki ich nie spłacił, mógł być jedynie sługą zdolniejszych albo mających więcej szczęścia kessentai. Dlatego też jego pierwsza bitwa wyglądała jak wszystkie inne: - rzeź wśród wzgórz, normalsi rozdierani ogniem artylerii, której nie sposób było osiągnąć, kessentaiowie wystrzeliwani przez snajperów, których nie dało się wypatrzeć w nawale ognia. W czasie tych żałosnych szturmów nie można było zdobyć chwały ani łupów, nawet jeśli rabowało się własne trupy.

Wódz zwiadowców dostrzegł słabość Drogi Wojny, która wzywała do ślepych, szalonych ataków na wroga, i czuł, że musi istnieć inna droga. To dlatego odpowiedział na wiadomość przefiltrowaną przez Sieć. I oto pojawiła się nowa Droga i nowy mesjasz, który miał ich poprowadzić do ziemi obiecanej interioru. Wiedział, że nowa droga będzie trudna, ale nie spodziewał się, że aż tak.

- Będę... będę posłuszny, estanaar - powiedział. - Nie rozumiem, ale będę posłuszny. - Przerwał i wrócił do wcześniejszej rozmowy. - Ogień z nieba... artyleria... spadł bez ostrzeżenia. To znaczy nasze tenarale uprzedziły, że się zbliża, ale dopiero wtedy, kiedy wisiał już nad naszymi karkami. Kiedy padł Ramsardal i zobaczyłem ogrom zniszczeń, zacząłem się wycofywać. Wiedziałem, że to ludzie snajperzy, ale przez ogień... artylerię tenarale nie mogły ich wykryć. Zebrałem tak wielu oolt'os, jak mogłem, i najszybciej jak się dało wycofałem się spod ostrzału.

- Umiesz posługiwać się mapą? - spytał Staraquon.

- Ja... - Młody kessentai nerwowo nastroszył grzebień, ale w końcu go złożył. - Nie wiem, co to jest mapa...

- Możesz nazywać mnie Esstu - powiedział spokojnie Staraquon. - Zbieram informacje o ludziach. Kessentai Essthree przeszkoli cię później w posługiwaniu się mapami; zasadniczo jest to obraz Ziemi widzianej z powietrza. Chciałbym wiedzieć, gdzie miała miejsce potyczka. Skoro napotkaliście ogień snajperów, musiał to być jeden z oddziałów rozpoznania, ludzki lurp, a nie ostrzał kierowany ich czujnikami. Jeśli gdzieś tam jest oddział zwiadu, prawdopodobnie idzie do nas, żeby zobaczyć, co robimy. Nie możemy do tego dopuścić. Dlatego musimy wiedzieć, gdzie i kiedy miała miejsce ta potyczka.

Wszechwładca znów nastroszył grzebień i szcęknął zębami.

- Odbyła się zeszłej nocy. Droga do tego rejonu przebiegała blisko ludzkich linii, ale tylko taką znałem, więc ją wybrałem. Mogę pokazać, gdzie to jest, ale nie umiem opowiedzieć.

- W porządku - powiedział Staraquon, kłapnąwszy grzebieniem. - Przydałoby się to nam, ale nie

jest konieczne. - Odwrócił się do Tulo'stenaloor. - Chciałbym wysłać więcej patroli, w tym moich esstu kessentai. Opracowaliśmy czujniki, które pomogą nam odnaleźć tych utrapionych lurpów.

- Czy z tamtego rejonu wychodziła jakaś transmisja? - spytał Tulo'stenaloor. Musiał przyznać, że nie umiał tak sprawnie zdobywać informacji jak Staraquon, ale właśnie dlatego zwerbował go jako swojego esstu.

- Nie - odpowiedział oficer wywiadu. - Wygląda na to, że używają jakiejś beztransmisyjnej formy łączności. Prawdopodobnie tych przekaźników laserowych, które porzucali po wzgórzach.

- Czy można jakoś wydobyć z nich informacje? - spytał starszy kessentai. - Albo jakoś im je podrzucić?

- Jedno i drugie - szepnął z rozbawieniem Staraquon. - Ale czy nie powinniśmy z tym poczekać na atak? Chciałbym, żeby aż do tej chwili ludzie niczego nie podejrzewali.

- Zgoda - powiedział Tulo'stenaloor. - Bardzo dobrze, rób to, co musisz. Możesz nawet korzystać z sił kessentaiów, jeśli uznasz, że uda się to utrzymać w tajemnicy. Ale znajdź ten oddział zwiadu i zniszcz go.

* * *

Jake jeszcze raz spojrzął przez lornetkę i w zamyśleniu podrapał się po brodzie. Rzeka Tallulah zbierała wodę z gór północno-wschodniej Georgii; wpadały do niej liczne mniejsze strumienie, tworząc całkiem spory ciek. Ludzie wykorzystywali go w wielu miejscach do wytwarzania energii hydroelektrycznej. Mosovich obserwował właśnie odcinek rzeki między zaporą Lake Burton a jeziorem Seed. Według mapy i raportów zwiadu, w tym miejscu rzeka powinna być łatwa do przekroczenia; miała zaledwie trzydzieści metrów szerokości i w najgłębszym miejscu sięgała do kolan. Ponadto oba brzegi były gęsto zarośnięte i strome. Zwiadowcy musieli tylko zejść na dół, przebiec krótki odcinek otwartego terenu, przekroczyć rzekę i na powrót zniknąć pod osłoną lasu.

Niestety doniesienia nie mówiły o obfitych deszczach w ciągu ostatnich kilku miesięcy i elektrowni na tamie.

Elektrownia była stara; od chwili jej wybudowania minął pewnie wiek, czego dowodziły wielkie, wielodzielne okna i wręcz antyczne lampy. Znajdujące się wewnątrz generatory zaprojektował pewnie sam Thomas Edison, ale zakład wciąż działał i było jasne, że Posleeni wykorzystują go do uzupełniania mocy produkowanej przez ich własne reaktory.

To samo w sobie Jake'a Mosovicha nie obchodziło. Problem polegał na tym, że z powodu pracy elektrowni poziom wody podniósł się aż do piersi, a siła nurtu mogłaby ucieszyć kajakarza górskiego. Ich cel leżał na drugim brzegu i wszystkie możliwe działania były w tym momencie dość nieprzyjemne. Można by zawrócić i przejść jezioro Burton przy jego północnym skraju, ale w takim przypadku rozsądniej byłoby wycofać się za własne linie, przejechać do umocnień autostrady 76 i zacząć od nowa.

Można też było podejść bliżej do Toccoa i tam przekroczyć rzekę, tylko że w tym przypadku najbardziej niebezpieczny moment wyprawy mieliby praktycznie już u celu. Strefa lądowania kuli miała zazwyczaj około trzydziestu kilometrów średnicy. W tej odległości od Toccoa można było spodziewać się lądowników, chociaż telemetria wykazała, że akurat to lądowanie było znacznie mniej rozproszone. Jakkolwiek było, przekraczanie rzeki w dole jej biegu było o wiele bardziej niebezpieczne. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, mogłoby się okazać, że muszą uciekać przed czterema milionami ścigających ich Posleenów. A chociaż Jake'a rozczulała posleńska głupota, czuł respekt dla ich zawziętości i szybkości. Jego zespół nie przeżyłby, gdyby dobrała im się do tyłków pełna załoga kuli.

Pozostawała więc tylko jedna możliwość.

- Most stoi - szepnął.

- Aha - odparł Mueller. - Co chcesz przez to powiedzieć?

Walczyli razem już od dawna. Wraz ze starszym sierżantem sztabowym Ersinem byli jedynymi ocalałymi z pierwszego katastrofalnego spotkania ludzi z Posleenami na Barwhon, dokąd to oddział wybrańców, elita Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych, został wysłany, by zbadać niewiarygodne doniesienia o pozaziemskim zagrożeniu.

Wszystko szło stosunkowo dobrze, dopóki oddział nie dostał rozkazu dostarczenia dla celów badawczych ciała młodego Posleena. Wtedy właśnie żołnierze na własnej skórze przekonali się, jak skuteczne są sensory Wszechwładców i jak szybko niby głupi Posleeni potrafią zareagować na bezpośrednie zagrożenie. Wykonali w końcu swoje zadanie, ale kosztem życia sześciu legendarnych postaci Operacji Specjalnych. Nigdy więcej nie popełnili już błędu niedoceniań Posleenów.

Była jednak różnica między lekceważeniem a koniecznym ryzykiem.

- Nie widzę innego wyjścia - powiedział Mosovich. - Nie ma tu dużego ruchu. Ilu ich widzieliśmy? Jedną grupę przez ostatnie kilka godzin? Zejdziemy do samego mostu, upewnimy się, czy nikogo nie ma w okolicy, a potem szybko przekradniemy się na drugi brzeg. Co w tym trudnego?

- Nic. Zawsze jest łatwo dać się zabić - odparł Nichols. - A jeśli przypadkiem w okolicy znajdzie się Wszechwładca? Zapewniam was, że ich sensory będą wprost wrzeszczeć, nawet jeżeli wartownicy na tamie nas nie zauważą!

- Jacy wartownicy? - spytał Mosovich. - Posleeni nigdy nie wystawiają wart.

- Patroli też nigdy nie wysyłają - zauważył Mueller. - A mimo to ile cholernych oddziałków widzieliśmy kręcących się w tę i z powrotem? Normalnie budują coś, uprawiają albo pracują. A ci tutaj zachowują się jak... żołnierze.

- Boisz się? - spytał poważnie Mosovich. Mueller zabijał Posleenów tak samo długo jak on, dlatego warto było słuchać jego przeczuć.

- Tak. Coś mi tu nie gra. Po co posadzili kulę w samym środku niczego? Po co tutaj łążą i patrolują? A skoro już o tym mowa, jak często widziałeś ostatnio działającą tamę?

Większa część informacji, które ludzie zebrali na temat Posleenów, pochodziła z trzech źródeł: siatki czujników rozmieszczonych w lasach, wysokiej czułości teleskopów na księżycu i z jednorazowych samobieżnych botów, wystrzeliwanych przez artylerię.

Od chwili wylądowania kuli, do której się zbliżali, wszystkie sensory od Clarkesville zaczęły być systematycznie likwidowane, każdy wysyłany tam zestaw botów był lokalizowany i niszczony, a ponadto Posleeni postawili zasłonę dymną nad większą częścią terenu, na którym się organizowali. Zapowiadało to coś niezwykłego. Do tego teraz rozesłali aktywne patrole.

- Musimy się tam dostać - powiedział Jake. - A w tym celu musimy przejść przez strumień.

- Następnym razem weźmiemy sprzęt do nurkowania - mruknął Mueller. - Przepłyniemy przez jezioro wpływ.

- Nie umiem nurkować - szepnęła siostra Mary.

- A ja nie umiem pływać - przyznał się Nichols.

- Dzieciaki - jęknął Mueller. - Zabraliśmy ze sobą dzieciaki. Niczego was nie nauczyli w Recundo?

- Jasne, że nauczyli - odparł Nichols. - Na przykład jak skakać z odrzutem. Pewnie robiłem to tak samo często, jak ty nurkowałeś.

- Dzisiaj w nocy - powiedział Mosovich - Ruszamy punkt druga zero zero. Szyk standardowy. Jeśli nawiążemy kontakt z wrogiem, stosujemy standardową procedurę operacyjną. Punkt zborny tutaj. Siostró Mary, proszę wezwać artylerię i dopilnować, żeby ci dranie nie spali, kiedy będziemy

przechodzić przez most.

- Jasne.

- A teraz do drugiej kima. Czeka nas noc pełna wrażeń.

* * *

- Miałeś pełen wrażeń dzień, eson'sora.

Cholosta'an złożył grzebień i pokiwał głową starszemu kessentai, nie wiedząc, jak zareagować na to niezwykle określenie. Tak jak wiele innych, zostało wyszperane w Sieci Danych przez akolitów niezwyklego pana tej kuli, ale większości Posleenów nie było ono znane. Pobrzmiwały w nim echa genetycznego pokrewieństwa ojca z synem albo rodzeństwa. Ale były to tylko echa; samo słowo nie oznaczało ani ojca, ani pana, ale coś podobnego do jednego i drugiego.

- Był... interesujący. - Wszechobecny dym z głównego obozowiska szczytał w oczy, ale teraz przynajmniej można było zrozumieć, do czego był potrzebny. Ludzie też mieli mapy i sposoby podglądania z góry. Wprawdzie większość ich urządzeń została automatycznie zniszczona, ale ludzie umieli też przechwytywać komunikaty z jakiegoś ciała na orbicie. Nawet tam mieli oczy.

Orostan dotknął upręży, odruchowo podlatując swoim spodkiem w przód i w tył. Pozostawanie w nieustannym ruchu było nawykiem, który szybko wyrobili w sobie wszyscy Wszechwładcy, gdyż dzięki niemu mogli przeżyć.

- Teraz rozumiesz już mapy?

Młody kessentai rozejrzał się dookoła, popatrzył na krzątanicę w obozie i zafalował grzebieniem.

- Myślę, że tak. Przypominają szkice budowlane. Kiedy to sobie skojarzyłem, poszło znacznie łatwiej, chociaż trudno mi było pojąć, że są płaskie. Ale sama nauka to za mało; nabycie umiejętności wymaga doświadczenia.

Urodził się z wieloma różnymi umiejętnościami, nie tylko bojowymi. Potrafił budować maszyny wytłaczające polimery i wznosić piramidy z półmetrowych gładkich klocków stali. Poznawanie nowych umiejętności było jednak trudniejsze, wymagało czasu i materiałów, by móc powtórzyć wszystkie procesy od samego początku. Umiejętność czytania mapy będzie musiała na razie poczekać.

Oolt'ondai kłapnął zębami i wyjął zwój papieru.

- Dzisiaj musisz wysłać połowę swojego oolt na patrol. Reszta przeniesie się do nowego, właśnie przygotowywanego obozu. Czy twoi cosslain poradzą sobie z patrolowaniem?

- Na czym polega taki... patrol? - spytał młody kessentai.

- To kolejny ludzki zwyczaj przejęty przez Tulo'stenaloorą. Oolt'os mają chodzić po drogach i wzgórzach i szukać ludzi, którzy mogliby nas szpiegować. Możemy ponieść straty, ale za to utrzymamy z dala ciekawskich.

- Ale... - Poruszony kessentai zafalował grzebieniem. - Mogę wysłać ich w teren i kazać wypatrywać ludzi, ale wydaje mi się, że miałeś coś innego na myśli.

- Zgadza się - mlasnął z rozbawieniem oolt'ondai. - Inne grupy już zostały wysłane. Przekażesz swoich Drasanarowi, a on każe im iść za grupą patrolową. Czy można ich spuścić z oczu?

- O, tak - odpowiedział Cholosta'an. - Moi cosslainowie są dość bystrzy, a w oolt mam takich trzech. Każdy z nich poradzi sobie z wykonaniem tego polecenia.

- To dobrze. Wyślij połowę swojego oolt do Drasanara, to on dowodzi patrolami. Drugą połowę wyślij do... - Oolt'ondai przerwał, próbując bezskutecznie wymówić „Midway”. W końcu wyjął mapę i pokazał miejsce, o które mu chodziło. - Zabierz ich do obozu tutaj. Przekaż ich jednemu z kessentaiów odpowiedzialnych za budowę obozu i wracaj. Mamy dużo do zrobienia, a nie za wiele

czasu.

- Skąd ten pośpiech? Myślałem, że w najbliższym czasie nie będziemy walczyć.

- Spytaj Tulo'stenaloorą - odparł Orostan, znów z rozbawieniem mlaskając; wódz z ochotą odpowiadał na pytania, ale rzadko miał na to czas. - Chce, żebyśmy się rozproszyli i zajęli „dobrze bronione obozy”. Kazał też powiększyć groty produkcyjne, żeby mogły pomieścić całą gromadę i osłonić ją przed ogniem artylerii.

Starszy Wszechwładca zafalował grzebieniem i prychnął.

- Chyba zakochał się w tych ludziach.

Cholosta'an spojrział na niego z ukosa, nerwowo kiwając głową na długiej szyi. Oolt'ondai był od niego o wiele starszy i miał o wiele więcej doświadczenia. Widać to było po wyposażeniu jego tenara i uzbrojeniu otaczających go cosslainów. Cholosta'an wiedział, co jego samego przyciąga do Tulo'stenaloorą, ale wciąż się dziwił, co wywołuje sympatię takich starych wojowników jak Orostan.

Oolt'ondai zauważył jego spojrzenie i tak mocno zafalował grzebieniem, że podmuch wzbił z ziemi kłęb kurzu.

- Nie zrozum mnie źle. Jestem posłuszny Tulo'stenaloorowi i wierzę mu.

- Dlaczego? - zapytał Cholosta'an. - Ja wiem, dlaczego tu jestem. Urodziłem się na tej kuli błota i zamierzam ją opuścić. Każda bitwa, w której brałem udział, kończyła się rzezią. Dwa razy wymieniłem cały mój oolt, nic na tym nie zyskując. Trzy razy musiałem wracać do mojego chorho z żebraczą miską w ręku, prosząc o pomoc. Jeśli wrócę jeszcze raz, spotka mnie odmowa. Ale ty nie musisz nawet być na tej przeklętej przez Alldn't planecie.

Orostan przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, potem znów zafalował grzebieniem.

- Jeśli czegoś ci trzeba, thresh, amunicji czy wymiany uszkodzonego sprzętu, powiedz mi, a ja ci to dam; nie pójdiesz do bitwy z gromadą Tulo'stenaloorą źle wyposażony. Jeśli nam się uda, dostaniemy zapłatę, jeśli nie, sami będziemy musieli zapłacić. A co do twojego pytania... Nazwij to Drogą Rasy. Ludzie są pierwszą rasą, która od wielu, wielu lat stawiała opór Po'oslenu'ar. Dla Po'oslenu'ar istnieje tylko Droga, i jeśli nie pokonamy ludzi i nie ruszymy dalej w Drogę, fala orna'adar zaleje nas i przestaniemy istnieć jako rasa. Ten świat to dom ludzi, gniazdo gratów. Musimy ich zniszczyć albo sami zostaniemy zniszczeni.

Pogładził bruzdę pozostawioną na tenarze przez pocisk i zjeżył grzebień.

- Zajęliśmy prawie całą planetę, ale zostało jeszcze kilka rejonów. Najwięcej problemów z całą pewnością sprawia ten rejon, ale myślę, że plan Tulo'stenaloorą powiedzie się. Musimy myśleć jak ludzie, żeby ich pokonać, musimy też czegoś się od nich nauczyć. Ale najważniejsze jest to, że musimy ich zaskoczyć. Ludzie mają takie powiedzenie „zajść kogoś od tyłu”. Jak wiele ludzkich powiedzeń, tak i to ma kilka znaczeń, które trudno przełożyć.

- Masz rację, nie muszę tutaj być - ciągnął dalej, patrząc na góry na północy. - Mam cztery posiadłości, które nie są w orna'adar, i zebrałem skarby ośmiu światów, dlatego mógłbym żyć gdziekolwiek bym chciał. Jestem oolt'ondaiem, dowódcą własnego oolt'poslenar. Mogę udać się wszędzie, gdzie tylko poniosą mnie moje statki, a mój osobisty oolt jest wyposażony w najlepszą broń, jaką nasz lud potrafi stworzyć, więc mogę podbić każdą ziemię, do której dotrę. Ale jestem tutaj dla mojej rasy, dla mojej linii genetycznej. I dla naszej rasy, naszych klanów i linii ty i ja, młody eson'sora, zmiądzymy tych stev. Zajmiemy ich przełęczę i doliny, i zepchniemy ich do gniazda gratów, „zachodząc ich od tyłu”. Zetrzemy ludzi z powierzchni ziemi.

Rochester, Nowy Jork, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

05:47 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 13 września 2009

- Kiedy tylko pojawi się artyleria, zetrzemy tych Posleenów z powierzchni ziemi.

Mike nawet się nie obejrzał; mulista woda i tak nie pozwoliłaby mu zobaczyć dwóch kucających obok siebie dowódców kompanii. Poza tym całą uwagę skupił na przesuwających się przed jego oczami symbolach.

Wnętrze pancerza GalTechu było wypełnione symbiotycznym żelem przeciwwstrząsowym, chroniącym przed skutkami uderzeń pocisków. W srebrzystej mazi zawieszane były także miliardy nanitów, które karmiły żołnierza i opiekowały się nim. Ponieważ głowa była narażona na obrażenia w takim samym - albo większym - stopniu jak reszta ciała, żel wypełniał cały hełm, pozostawiając tylko niewielkie otwory na oczy, nos i usta. Zewnętrzna warstwa hełmu była nieprzezroczysta, ale to, co widział tkwiący w pancerzu System Inteligencji Protoplazmatycznej, było w pełni wiarygodnym obrazem rzeczywistości. Obraz ten był przekazywany do oczu patrzącego kanałami wizualnymi. Podobnie system audio przekazywał dźwięki wprost do kanalików usznych, powietrze zaś było pompowane do otworu wokół ust.

Ta właśnie kombinacja - według niektórych przekombinowana - uratowała O'Nealowi życie na Diess. Kiedy wszystko wzięło w łeb, bo posleński krążownik przyszedł najeźdźcom z pomocą, O'Neal wybrał jedyną drogę do zwycięstwa, jaką widział, a mianowicie wykorzystał resztkę energii pancerza, żeby dolecieć do okrętu i zdetonować tam ręcznie pęk min z antymaterią.

Myślał wtedy, że popełnia samobójstwo; wysłał nawet pożegnalny list do żony. Ale właśnie dzięki owemu „przekombinowaniu” pancerza przeżył. Od tamtej pory wielu żołnierzy wychodziło cało z trudnych sytuacji, chociaż żaden z nich z równie niebezpiecznej, dlatego nikt już nie używał określenia „przekombinowany”. Mówiono za to, że pancerz dowódcy jest „obrzydliwie drogi”. To prawda, kosztował niemal tyle samo co mała fregata.

Zbroja pozwalała na dokonywanie kontroli, co było błogosławieństwem i jednocześnie koszmarem. Dowódca mógł kontrolować każde najdrobniejsze posunięcie swojego podwładnego, i to właśnie był koszmar. Ale mógł też układać bardzo szczegółowe plany, a potem monitorować przebieg wydarzeń i interweniować, jeśli coś szło nie tak.

Teraz zaś zbroja umożliwiała majorowi stojącemu na dnie rzeki Genesee omówienie z dowódcami kompanii i sztabem wprowadzonych w ostatniej chwili zmian.

- Mówią, że mamy dodatkowy batalion artylerii - ciągnął O'Neal, update'ując swój schemat ikoną jednostki dział. - To cały czas nie to, co chciałbym mieć w czasie szturm. Ale myślę, że w ciągu najbliższych pięciu do dziesięciu dni nic więcej nie dostaniemy. A jeśli będziemy tak długo czekać, to przybędzie tylko więcej Posleenów. Mamy więc prawie dwie brygady, ale tylko jedna z nich jest w pełni zwarta i gotowa do działania. Ta brygada zacznie koordynowaną salwą. Przy odrobinie szczęścia zmiecie Posleenów z naszej drogi i będziemy mieli spokój.

- Akurat - mruknęła kapitan Slight, a kilku innych dowódców parsknęło śmiechem. Kapitan dołączyła do kompanii Mike'a przed pierwszym lądowaniem Posleenów jako niedoświadczony porucznik; teraz była szanowana przez swoich żołnierzy, dawniej kompanię O'Neala, i cieszyła się zaufaniem dowódcy batalionu.

- Kiedy ruszymy do przodu, po prawej stronie będziemy mieli kanał - ciągnął Mike. - A więc z

tej strony będziemy kryci. Ale lewa flanką będzie odsłonięta jak bebechy patroszonego wieloryba.

- Myślałem, że z tej strony osłoni nas ostrzał zaporowy - powiedział kapitan Holder. Dowódca kompanii Charlie był odpowiedzialny za lewą stronę.

- Tak będzie - powiedział Mike z niewidocznym grymasem. Przeżuł kawałek tytoniu i splunął do kieszonki, którą zawczasu uformował przewidujący wszystko żel. - Ale Duncan określił stan batalionu odpowiedzialnego za ostrzał jako „niepewny”.

- Od kogo tego się dowiedział? - spytała Slight. Ikona koordynatora artylerii tkwiła twardo na wzgórzu zajmowanym poprzednio przez dowódcę batalionu. Rozciągał się stamtąd wspaniały widok na pole bitwy. Co więcej, wspaniały widok na pole bitwy miała również sieć czujników pancerza, a to, co pancerze potrafiły zrobić z takimi informacjami, wciąż wprawiało wszystkich w osłupienie. W tym od czasu do czasu również sztuczną inteligencję, która kierowała pancerzami.

- Rozumiem, że współpracuje z koordynatorem artylerii Dziesięciu Tysięcy - odparł Mike lekkim tonem.

Oficerowie zaśmiali się ponuro.

* * *

- Pułkowniku, zapytam po raz ostatni - powiedział kapitan z ponurym uśmiechem. Miał poszarzałą twarz i był wściekły.

- Kapitanie, nic więcej nie da się zrobić - odparł poważnie starszy oficer. - Działa zajmują pozycje najszybciej jak się da. Wiem, że to poniżej standardów, ale to wszystko, do czego jest zdolna ta jednostka. Musi pan zrozumieć, że nie jesteśmy jakąś superformacją...

- Nie, pułkowniku, nie jesteście - odparował kapitan. Dla większości oficerów byłoby to samobójstwo, ale Keren, tak jak każdy inny członek Sześciuset, już wiedział, co to jest samobójstwo. Samobójstwem było kulenie się wokół pomnika Waszyngtona prawie bez amunicji i zupełnie bez nadziei, po to, by raczej usypać wał z ciał zabitych niż cofnąć się o kolejny metr. A jedyna rzecz, której Sześciuset nigdy, ale to nigdy nie tolerowało, to były wymówki. - Jesteście batalionem artylerii sił lądowych Stanów Zjednoczonych. I macie stosownie do tego się zachowywać. Jeżeli pana oddział za trzy minuty nie będzie stał na pozycjach, gotów do otwarcia ognia, poproszę, żeby pana odwołano. A generał Homer wyda taki rozkaz. Wtedy ja obejmę dowodzenie tym batalionem. Jeśli będę musiał zabić każdego członka tego oddziału, żeby dotrzeć do ostatnich dziesięciu rozsądnych, kompetentnych ludzi, zrobię to. Czy wyrażam się jasno?

- Kapitanie, nie obchodzi mnie, kim pan jest - powiedział szorstko pułkownik. - Nie zamierzam tolerować takiego tonu u niższego stopniem oficera.

- Pułkowniku - odparł zimno kapitan. - Zdarzało mi się zastrzelić przełożonych, którzy nie spełniali moich oczekiwań. Mam bardzo głęboko w dupie, co pan sobie myśli, kiedy opieprza pana kapitan; nie mamy już czasu na niekompetencję. Ma pan do wyboru jedną z trzech rzeczy: dowodzić, słuchać albo zginąć. Proszę wybierać.

Pułkownik zamilkł na chwilę, zdając sobie sprawę, że kapitan mówi śmiertelnie poważnie. To bardzo prawdopodobne, że jeśli kapitan Sześciuset poprosi o jego odwołanie, jego prośba zostanie spełniona. Armia schodzi na psy, niech to szlag.

- Kapitanie, nie uda nam się rozstawić przez trzy minuty - powiedział.

- Pułkowniku, słyszał pan kiedyś o hiszpańskiej inkwizycji? - zapytał krótko Keren.

- Tak. - Oficer pobladł. - Jestem... pewien, że uda nam się rozstawić w żądanym przez pana czasie, kapitanie.

- Proszę się postarać - zachrypiał Keren. - Starajcie się tak, jakby Posleeni mieli zaraz pożreć wasze dupski. Bo jeśli utkniecie między nimi a Sześciuset, lepiej będzie dla was wybrać Posleenów.

Czy wyrażam się jasno?

- Tak jest - odparł pułkownik i zsalutował, zanim się odwrócił.

Keren odprowadził go spojrzeniem zimnych, martwych oczu, a potem upewniwszy się, że nikt nie patrzy, ukradkiem zwymiotował.

Przeplukał usta łykiem wody z manierki i pokręcił głową. Nie chodzi o to, że nie jest gotów zastrzelić tego aroganckiego, niekompetentnego drania dowodzącego artylerią. Chodzi o to, że to by nic nie dało. Jednostka była dyżurnym wsparciem w Forcie Monmoth od tak dawna, że nie potrafiła już robić niczego innego, jak tylko dzień po dniu strzelać z tych samych pozycji, na ten sam azymut i z tym samym kątem nachylenia luf.

Na ich nieszczęście wyciągnięto ich z wygodnych okopów jako „nadliczbowych” i wysłano do wsparcia szturm w Rochester. „Nadliczbowi” zawsze okazywali się „nadzwyczaj niekompetentni”. Był to znany problem: kiedy jednostka dostawała wezwanie „potrzebujemy waszych najlepszych ludzi do trudnej operacji”, zupełnie naturalne było, że nie chciała owych najlepszych tracić. Dowódca wysyłał więc tych, których strata była dla niego najmniej dotkliwa.

A każdy dowódca przy zdrowych zmysłach zrobiłby wszystko, żeby pozbyć się tego batalionu artylerii. Keren wolał nie zgadywać, ile razy ostrzelał on własne jednostki.

Pokręcił jeszcze raz głową i wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Wciąż jeszcze było sporo przekaźników, i dopóki Posleeni nie zakłócali linii, komórki pozostawały dobrym środkiem łączności. Poza tym nie były monitorowane przez większość formacji, co czasami naprawdę było dużym plusem.

- Cześć, Duncan. Stary, chyba przyszła pora na hiszpańską inkwizycję...

* * *

Mike zobaczył, że znacznik jakości nowej baterii artylerii zmienia się z dwójki na czwórkę. Uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że Keren właśnie postawił ich do pionu - powiedział, kiedy dokładnie o czasie rozległ się grzmot koordynowanej salwy brygady artylerii.

- Och, jak się cieszę - powiedziała kapitan Slight z lekko histerycznym śmiechem. - Wejdziemy tam, świecąc gołym tyłkiem, sir.

- A taki mamy ładny - powiedział Mike nieobecny tonem. Przeglądał ikony, które zmieniały się w tę i z powrotem, i wiedział, że Duncan robi to samo. - Mamy do wyboru ogień zaporowy albo ostrzał na wezwanie. Możemy postawić ścianę ognia z moździerzy albo zostawić je na później. Jak sobie życzycie. Chcę przestawić kompanie, puścić Bravo lewą flanką. Waszym zadaniem będzie rozproszyć się wzdłuż lewej flanki i utrzymać tamtą strefę do przybycia Dziesięciu Tysięcy albo innych podobnych oddziałów. Ponieważ będziecie najbardziej rozproszeni, dam wam większość wsparcia ogniowego. Chociaż to i tak niewiele, gdyż taka ilość moździerzy nie postawi zbyt dużej zapory.

- Według rozkazu, sir - powiedziała kapitan. - Będę chciała rozstawić kompanię jeszcze bardziej w kształcie litery L. Ale oni w końcu i tak nas obejdą.

- Będziemy martwić się o to, kiedy przyjdzie pora - odparł Mike. - Kapitanie Holder, czy może pan objąć środek?

- Tak jest, majorze - odpowiedział dowódca. - Rozjedziemy ich jak walec.

- W porządku - powiedział Mike, przestawiając znaczniki trzech kompanii. Wszystkie trzy już w tej chwili miały niedobory ludzi, i przesunięcie Bravo na lewą flankę zmniejszyło gęstość ognia, którym pancerze mogłyby zdziesiątkować posleeńskie roje. Jediną rezerwą pozostawały pancerze wyposażone w ciężką broń, zwane Ponurymi Żniwiarzami. Ponieważ były skonfigurowane do ognia

pośredniego, gdyby w linii powstał wyłom, mogłoby go załatać tylko dowództwo batalionu i sztab. Nie była to przyjemna myśl, ale takie rzeczy już się zdarzały. Mike przekonfigurował kompanie, podczas gdy SI pancerzy wytyczyły linie natarcia dla każdego żołnierza z osobna. Były to jednak tylko linie zalecane, i żołnierze wiedzieli, że jeśli coś się zmieni, mają myśleć i działać samodzielnie. Podstawowa zasada ich działania była prosta: „maksimum agresji”. Cytując powiedzenie używane przez ich dowódcę aż nazbyt często, żołnierze nazywali to „tańcem z diabłem”.

- Artyleria jest gotowa do udzielenia wsparcia. Zmiana szyku, szybko.

Dowódcy zajęli się tym, nie ruszając się nawet z miejsca, tak że z brzegu można było zauważyć zaledwie kilka zmarszczek na powierzchni wody. Żołnierze zaakceptowali zmianę zadań bez żadnych uwag; systemy ich pancerzy dostarczyły im dość danych, by mogli zrozumieć powód tych działań, a poza tym wszyscy oni zostali wybrani do służby nie tylko z powodu ich agresywności. Było jasne, że tracą wsparcie zapory ogniowej. Bez niej główne zagrożenie przesuwało się na lewą flankę. A to naturalnie oznaczało, że kompania Bravo zostanie przeniesiona. Chociaż Mike starał się nie obarczać nadmiernie jednej kompanii, wszyscy byli zgodni co do tego, że kiedy robi się naprawdę gorąco, wzywa się Bravo.

Rekonfiguracja wymagała przemieszczenia prawie dwustu pancerzy pod wodą, na głębokości trzech metrów, ale to też nie stanowiło żadnego problemu. SI pokazywało drogę, a żołnierze musieli tylko zastosować się do wskazań, „oblatując” się nawzajem na napędach pancerzy, aż wreszcie zajęli wyznaczone pozycje.

O’Neal nie sprawdził nawet, czy wszystko poszło jak trzeba. Pancerze powstawały w kuźni walki tak długo, aż został sam metal; potrafiły przeprowadzić taki manewr nawet we śnie.

Spojrzał na zegar i skrzywił się. Miał nadzieję ruszyć w ostatniej fazie przygotowania artyleryjskiego, ale zmasowana ściana ognia już zaczynała słabnąć, a oni dopiero zajmowali pozycje. Nie mogli jednak liczyć na nic więcej.

- Ruszamy.

Karen Slight mruknęła coś pod nosem, kiedy zobaczyła, jak w rzeczywistości wygląda brzeg. Dopóki pancerze nie wynurzyły się z wody, wszystko sprowadzało się tylko do słupków danych i ikon. Czujniki nie mogły pokazać porozdzieranego pociskami piekła, w jakie zamieniło się centrum Rochester.

Zmasowany ostrzał pociskami z opóźnionym zapłonem, zbliżeniowymi i kasetowymi skierowano na kwadrat o boku kilometra, wyznaczony od południa kanałem, Castleman Avenue od wschodu, rzeką na zachodzie i Elmwood Avenue na północy. Posleeni przebywający wewnątrz tego obszaru zostali dosłownie zmasakrowani. Co najmniej kilkadziesiąt tysięcy z nich przygotowywało się do przejścia przez rzekę, i większość została natychmiast zabita. Trupy wielkości koni arabskiej krwi leżały w gruzach miasta w trzech czy czterech warstwach.

Ale w zawieszaniu gazów, dymu i kurzu poruszały się jeszcze jakieś postacie.

Część Posleenów przeżyła pierwszy ostrzał, i teraz na widok przesuwanej się kurtyny ognia niektórzy z nich uciekali, a inni stali w miejscu i czekali. Jeszcze inni nauczyli się od ludzi szukać osłony. Nie było to łatwe pod ostrzałem pociskami zbliżeniowymi, a na dodatek po trwającej kilka tygodni bitwie pozostało niewiele stojących budynków. Część Posleenów rzuciła się więc do ocalałych piwnic i bunkrów, aby wyjść z nich dopiero po przejściu nawały ognia.

Batalion ruszył na pierwszą ustaloną pozycję i żołnierze jak jeden mąż padli na ziemię. Pancerze uaktywniły hologramy maskujące, więc jedynym świadectwem ich obecności było kilkaset równoczesnych rozbryzgów błota. Wśród ocalałych z ostrzału byli jednak Wszechwładcy, którzy za pomocą sensorów namierzali zamaskowane pancerze i otworzyli ogień.

Ludzie natychmiast odpowiedzieli tym samym. Zmasowany ostrzał całego batalionu wyszukiwał lepiej uzbrojonych Wszechwładców ze śmiertelną skutecznością, przez to jednak normalni zorientowali się, że na flance mają wroga, więc odwrócili się w tę stronę i otworzyli dosyć chaotyczny ogień.

Poszedł głównie górą, część jednak trafiała w ziemię, a nawet w żołnierzy batalionu. To w takich właśnie sytuacjach pancerze wspomagane udowodniały swoją przydatność. Większość trafiających w nie pocisków, które normalnie rozprułyby transporter bradley, odbijała się od pancerzy, nie wyrządzając żadnych szkód.

Ale nie wszystkie; Slight warknęła, widząc pierwszego zabitego ze swojej kompanii. Pozycja i nazwisko żołnierza, Garzellięgo z trzeciego plutonu, rozbłysły na krótko na jej wyświetlaczu i zgasły, a ona szybko zanotowała miejsce, by móc później odzyskać zwłoki i pancerz.

Spojrzała na wzgórza wznoszące się nad polem bitwy. Zbocze było dość strome i zasłaniało batalion przed ogniem stłoczonych w górze Posleenów. Gdyby ruszyli do ataku, zrobiłoby się gorąco, a najgoręcej byłoby kompanii Bravo.

Tymczasem ogień na płaskim terenie udało się już prawie przydusić i Slight przekazała dalej rozkaz dowódcy, by przejść na następne wyznaczone pozycje.

Wtedy właśnie sytuacja trochę się skomplikowała. Tylko jeden z plutonów Slight, trzeci, miał zachowywać styczność z resztą batalionu, a pozostałe dwa miały zostać przesunięte eszelonem na lewą flankę. Slight zaczęła, aż batalion ruszy do przodu, rozciągając się jak paciorki na sznurku, a potem sama ruszyła. Po kilku krokach potknęła się. Kiedy spojrzała w dół, okazało się, że wpadła na ciało Posleena. Nie dało się stwierdzić, czy był to Wszechwładca, czy normalni; całą przednią połowę jego ciała rozerwały pociski uderzeniowe 155 mm. Im dalej szła, tym było gorzej. Musiała pilnować całej kompanii i jednocześnie patrzeć pod nogi; czasami zastanawiała się, jak to, do cholery, udawało się O'Nealowi.

Mike zignorował ikonę wskazującą miękki grunt; stanął na klatce piersiowej jakiegoś kessentaia, po czym odsunął go kopnięciem i poszedł dalej. Jako jedyny posiadał hiperskompresowany schemat ukazujący warunki terenowe. Oryginalny wykres zastąpił widok na niższym ekranie, którego O'Neal zaczął używać po tym, jak kilka razy zapadł się pod lód. Potem połowa ekranu została ściśnięta w poziomie, aż zostało tylko podłużne, trzycentymetrowej szerokości okno, po którym przewijały się komunikaty.

„Widok” bitwy O'Neala był więc tylko jedną wielką masą ikon i wykresów. Z zadowoleniem przebiegł wzrokiem po odczytach. Wszystkie kompanie posuwały się we właściwym szyku, a kapitan Slight spisywała się doskonale, ustawiając swoją Bravo wzdłuż Elmwood Avenue. Prędzej czy później masa Po'oslęna'ar ukrytych za szpitalem Strong Memorial, a raczej za tym, co z niego zostało, runie na Bravo jak lawina. Ale dopóki czekają, aż kompania się rozkręci, nie powinno to mieć znaczenia. Tak więc jak na razie wszystko szło gładko.

Kilka mostów system określał jako niepewne; ich ikony otaczały żółte obwódki. Mike nie próbował nawet sprawdzać, dlaczego. SI przetwarzała dane z tysięcy źródeł i w ciągu ostatnich kilku lat Shelly nabrała zadziwiającej wprawy w ocenianiu przydatności jednostek. Jeśli twierdziła, że przejście przez mosty do strefy walki może potrwać dłużej niż przewidywano, prawdopodobnie miała rację. Na następnym ekranie widać było symbole Dziesięciu Tysięcy zajmujących swoje pozycje.

Po jakimś czasie Mike zauważył, że kessentaiowie na wzgórzach zaczynają padać. Najwyraźniej snajperzy Dziesięciu Tysięcy włączyli się do gry, używając zarówno własnej broni, jak i montowanych na trójnogach systemów „teleoperowanych”. Z takiej odległości nie mogli jednak

liczyć na przebicie pancerza zasilania tenara, a szkoda, bo snajperski pocisk kalibru .50, trafiający w kryształą mocy niestabilnej matrycy, zazwyczaj zamieniał ją w odpowiednik ćwierćtonowej bomby.

Batalion dotarł do linii Conrail i Mike zarządził krótki postój. Żniwiarze, którzy cały czas reagowali na ogień przeciwnika, wyciągnęli z olbrzymich koszy amunicyjnych dźwiganych na plecach rury zasilające, a regularni żołnierze zaczęli sprawdzać stan amunicji i w razie potrzeby zmieniać pozycje. Standardowy pancerz był wyposażony w setki tysięcy łezek ze zubożonego uranu, ale działka grawitacyjne wystrzeliwały ich prawie pięćset na sekundę. Oznaczało to, że raz na jakiś czas żołnierze musieli martwić się o amunicję, co przed wojną było nie do pomyślenia.

Medycy i saperzy w pękających zbrojach ruszyli do przodu, dostarczając walczącym amunicji i sprawdzając wszystkie przypadki zerwania łączności. Uszkodzenie komunikacji najczęściej oznaczało, że żołnierz jest w stanie krytycznym albo TNM - Trup na Miejscu, jak to określali w swoim bitewnym slangu medycy.

Czasami, chociaż bardzo rzadko, zdarzało się, że człowiek przeżył rozległe uszkodzenia pancerza. Wtedy zbroja utrzymywała go przy życiu do chwili przybycia ekipy ratunkowej, zasklepiając i odkażając rany, atakując infekcje i zależnie od sytuacji usypiając rannego bądź odcinając zakończenia nerwowe. Nawet tak ciężkie obrażenia jak utrata kończyny były jedynie niedogodnością, o czym O'Neal osobiście się przekonał, gdy wrócił z Diess z zaledwie jednym sprawnym członkiem. Regeneracja i hibernacja były chyba najbardziej pożytecznymi darami, jakie ludzie dostali od Galaksjan, i żołnierze jednostek pancerzy wspomaganych dobrze o tym wiedzieli; większość weteranów miała za sobą utratę przynajmniej jednej kończyny.

Mike splunął tytoniem do kieszeni żelu. Ikony Posleenów wskazywały, że obcy zaczynają gromadzić się na wzgórzach, a kessentaiowie zsiadają na ziemię. Jeśli będą wystarczająco cwani, by nie stroszyć swoich grzebieni, snajperzy mogą mieć poważne trudności z wyłowieniem ich z tłumu. A nawet gdyby nie mieli, to i tak był to zły znak, świadczący o tym, że gdzieś tam jest Wszechwładca, który wie, co robić, i umie zdobyć posłuch u innych. Nadeszła pora, aby batalion zarobił na swój żołd. Czas zatańczyć.

* * *

Duncan żałował, że nie może zapalić w pancerzu marlboro. Robił to już kilka razy, ale zbroja miała potem cholerne problemy z dymem. Przez parę następnych dni żel zachowywał się... co najmniej dziwnie. Duncan nie wiedział, czy był to toksyczny wstrząs po dymie, czy wyściółka po prostu się wściekała, bo wyściółki po jakimś czasie wytwarzały „osobowości”, które wciąż pozostawały tajemnicą. Jakkolwiek było, uznał, że to zły pomysł, i więcej tego nie robił.

Dlatego w tej chwili musiał kierować niemal dywizją artylerii, męcząc się z atakiem nikotynowego głodu.

Popatrzył na te same ikony, co dowódca batalionu, i dzięki umiejętności instynktownego rozumienia zachowań Posleenów uznał, że szykują się do ataku. Wezwał wsparcie ogniowe dwóch batalionów 155, wyznaczonych właśnie do tego celu, ale nie było z nich za wiele pożytku. W końcu przerzucił się na moździerze czekających dywizji i Dziesięciu Tysięcy. Spora część z nich nie działała albo była cholernie niecelna, ale przynajmniej było ich dwa razy więcej niż artylerii. Koordynowanie ich ognia okazało się koszmarnym zajęciem: niektóre nie odpowiadały na elektronicznie wydawane komendy, a inne działały, tyle że... w nieodpowiedni sposób. Kiedy główne siły ludzi zaczęły zbliżać się do pozycji Posleenów, artyleria wreszcie wstrzeliła się w cel i zaczęła odnosić pewne sukcesy.

Duncan spojrział na pędzące przed jego oczami ikony, żałując, że nie może podrapać się w głowę. Wyglądało na to, że obcy zamierzają zejść w dół bocznymi uliczkami, które otaczały PS 49.

Większość z nich miała zapewne skierować się ku alejom West Brighton i Elmwood, aby dotrzeć do zrujnowanego skrzyżowania. Gdyby rzeczywiście obrali tę trasę, weszliby dokładnie na róg formacji batalionu i przebili się przez linie Bravo.

Posleeni poruszali się podobnie jak konie i osiągnęli porównywalną prędkość. Duncan musiał zdecydować, gdzie obcy mogą się znaleźć za jakieś cztery, może pięć minut. Tyle bowiem trwało wysłanie rozkazu i ustalenie koordynatów ognia, według których miały strzelać relokowane moździerze i artyleria.

Po raz kolejny sprawa okazała się grząska. Na szczęście dzięki swoim umiejętnościom tkwił na tyłach, dobrze opłacany, i nie musiał nadstawiać karku na pierwszej linii.

Obcy zdawali się kierować w stronę Elmwood Avenue. Życząc szczęścia każdemu, kto go słyszał, Duncan skierował ogień na PS 49.

* * *

Mike spostrzegł ikonki oznaczające wsparcie artyleryjskie. To dobry znak, że ostrzał obejmuje sporą ilość szturmujących obcych. Jednak jakiejś części napastników udało się przedrzeć mimo rażącej ich od przodu i z boków nawały pocisków. Rozprawienie się z niedobitkami leżało w gestii kapitan Slight. Nadszedł czas, aby ponownie ruszyć do przodu. Ogień zaporowy prawie ustał i nadeszła pora na działania piechoty.

* * *

Kapitan Slight wydała rozkaz wymarszu i spojrzała na północ. Zmasowany ostrzał z moździerzy wreszcie trafił w cel, ale gdzieś w okolicy szpitala był Wszechwładca lub Wszechwładcy, którzy okazali się bystrzejsi od innych. Gnali swoje wojsko w stronę ludzi, ale przodem posłali nie zorganizowaną, chaotyczną masę Posleenów, którzy stracili swoich wodzów. Obcy, którzy nie zostali zdominowani tuż po śmierci swych władców, stawali się nieobliczalni i nieposłuszni. W tej sytuacji nie mieli innego wyjścia, jak przeć w stronę kompanii Bravo.

Większość zdziczałych Posleenów uzbrojona była w broń ciężką, jednak porzuciła ją i strzelała jedynie z karabinów 1 mm i strzelb, które nie były w stanie uszkodzić pancerzy. Niestety w tłumie zdarzali się też strzelcy uzbrojeni w broń kalibru 3 mm, która przy odrobinie szczęścia mogła, podobnie jak wyrzutnie raket, przebić się przez pancerz. Ukryci w tłumie pobratymców, byli niełatwym celem i przekąźniki miały trudności z wyłowieniem ich spomiędzy morza ciał.

Problem stanowiła też ogromna liczba centauroidów uzbrojonych w miecz monomolekularny. Kilka ciosów klingą wystarczyło, aby pancerz utracił swoją integralność, co równało się śmierci przez stratowanie kopytami obcych. Tego żołnierze obawiali się najbardziej.

Wyprodukowane przez Indowy działka grawitacyjne plunęły trzymilimetroowymi łezkami zubożonego uranu, przyspieszonymi do ułamka prędkości światła. Kiedy naukowcy odkryli, że amunicja topi się po dziesięciu kilometrach lotu przez normalną atmosferę, zaczęto ją okrywać płaszczem z węgla. Nie zapobiegał on jednak słynnemu efektowi „srebrnej błyskawicy”, jaki towarzyszył wyładowaniom plazmowym. Dodatkowym atutem amunicji był fakt, że energia kinetyczna uwalniana przy zderzeniu z celem powodowała niewielkie eksplozje.

Posleeni z pierwszej fali napotkali nawałę huraganowego ognia, która zmieniła się w ciąg miniaturowych eksplozji uranowych. Pierwsze szeregi obcych zostały dosłownie rozdarte na strzępy, a pociski, które ich ominęły, wbiły się w kolejne rzędy Posleenów.

Walkę taką jak ta określano jako powstrzymywanie lawiny miotaczem ognia. Dopóki kompania Bravo strzelała, żaden obcy nie był w stanie zbliżyć się na odległość strzału z własnej broni. W tym samym czasie z niebios spadały kolejne salwy z moździerzy, które rozrywały tych idących z tyłu.

Niestety batalion nie mógł czekać, aż Bravo pozabija wszystkich obcych w okolicy szpitala.

Nawet gdyby to było możliwe - a nie było - musieli wykonać postawione im zadanie: przechwycić most i utrzymać go z pomocą Dziesięciu Tysięcy.

Oddział Bravo musiał ruszać do przodu. A kiedy to uczynił, otworzył swoją flankę na wrogi ogień.

Rochester, Nowy Jork, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

06:33 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 13 września 2009

Mike spoglądał na monitory i beznamiętnie obserwował ruchy wojsk. Najgorszymi przeczuciami napawał go stan zasobów amunicji. W trakcie krótkiego starcia z wrogiem oddział Bravo zużył piętnaście procent zapasów, a tymczasem Posleenów wcale nie ubywało. Plan zakładał metodyczne posuwanie się w kierunku wyznaczonego celu i zabezpieczenie podejścia pod most Genesee, jednak już w tej chwili było pewne, że coś tu nie gra. Brak zasłony ogniowej i sporadyczny ostrzał z moździerzy, który miał zrekompensować brak artylerii, sprawiły, że wykonanie misji stało się niezwykle trudne.

Takiej właśnie sytuacji obawiał się Mike, kiedy doszło do wymiany zdań z Homerem. Batalion rozciągnięty na szczycie wału ziemnego ciągnącego się wzdłuż rzeki stał się łatwym celem wrogich ataków. Gdyby nie wypiętrzenie terenu, strzelający z góry Posleeni już dawno zmietliby ludzi swoim ogniem w odmęty wody. Z drugiej jednak strony podkomendni Mike'a nie mogli z tego powodu skutecznie prowadzić ognia i tym samym zmniejszyć liczebności wroga czy złamać jego morale. Kiedy wydostali się już zza wału, ich oczom ukazały się miliony Posleenów, nawet nie drażniętych w poprzednich szturmach i tylko czekających, żeby dobrać się im do skóry. Nagle okazało się, że całe wsparcie artyleryjskie potrzebne jest tutaj, aby przerzedzić wrogie szeregi, stłumić ich ogień i zapewnić osłonę dymną, która utrudniłaby wrogowi skuteczne celowanie. Jak do tej pory batalion był w stanie iść do przodu, choć czasem przeszkadzał mu ogień własnej „doskonałej” artylerii. Jeśli sprawy dalej tak się potoczą, wkrótce straty mogą okazać się bardzo wysokie.

Kolejnym problemem były tysiące Posleenów, którzy zaczęli wygrzebywać się z zawalonych piwnic i bunkrów wokoło szpitala, i aż się palili, żeby dopaść kompanię Bravo. Bez wsparcia artylerii Bravo zostanie zalana przez falę obcych szybciej niż ktokolwiek zdąży powiedzieć „gra skończona, stary!”.

Mogło ich teraz ocalić jedynie wsparcie ogniowe, którego nie mogli dostać, lub rzucenie do walki Dziesięciu Tysięcy, na co dowódcy nie mogli sobie pozwolić.

Po prostu brakowało środków, żeby zapewnić wszystkim równe szanse.

Innymi słowy, zapowiadał się kolejny dzień zwykłych walk z Posleenami.

- Duncan, każ artylerii strzelać bardziej na północ i zapewnij kompanii Bravo wsparcie. Batalion: przygotować się na naprawdę dzikie tena'al.

Mike musnął dłońmi kilka niewidocznych klawiszy i scena przed jego oczami uległa zmianie. Tam, gdzie przed chwilą znajdowały się hologramy, teraz wyłoniły się z tła iście demoniczne kształty, podobne do tego, jaki wyrysowano na jego pancerzu. Zbroja zaczęła warczeć jak elektryczny werbel.

- No, dobra - powiedział Mike i kopniakiem odrzucił ciało martwego Posleena. - Koniec zabawy, zaczęły się schody. Czas wreszcie skopać jakieś tyłki.

* * *

- Jezus Maria, Mike, nie jest chyba aż tak źle? - wyszeptał Homer na widok pancerzy, które zmieniły kształt, przybierając formę demonicznych postaci, i zaczęły nabierać wysokości, zasypując zbocze lawiną ognia. Srebrne błyskawice natychmiast pochłonęły pierwszą linię Posleenów, która pojawiła się w zasięgu wzroku.

General spojrzał na północ i jasne stało się, że kompania znalazła się w poważnych tarapatkach. Artyleria na wzgórzach przestała prowadzić ogień, co oznaczało, że zmieniają pozycję, aby wesprzeć inne oddziały. Kompania jako całość nie poniosła jeszcze większych strat, jednak zbliżała się ku niej masa oszalałych Posleenów; by zapobiec rozniesieniu żołnierzy na strzępy, trzeba było ich wszystkich zabić. O'Neal wierzył, że bez ognia artylerii kompania będzie w stanie odeprzeć wrogi atak, ale Homer nie podzielał jego zdania. Być może kompania zdoła przechwycić przyczółek i utrzymać go, ale za cenę śmierci większości żołnierzy.

Z drugiej strony rozkaz wydał nie kto inny, jak on sam, generał Jack Homer. Nie mógł teraz narzekać, że jego podkomendni robią wszystko, co w ich mocy, żeby wykonać postawione im zadanie.

- Kolejny dzień cholernych wyścigów... - mruknął pułkownik Cutprice, wyglądając przez drugie okno. - Nie zamierzam stać beczynnym i patrzeć, jak oni wykrwawiają się za ten most. Pierwsza kompania jest w pełni mobilna, może dolecieć na miejsce na tenarach i wspomóc kompanię Bravo. Potem przeprowadziliby resztę żołnierzy i wzmocnili obronę wału. Jeśli tego nie zrobimy, stracimy dzisiaj całą piechotę mobilną.

- Zejdę na dół i sprawdzę, czy wskóram coś krzykiem - mruknął Homer. Na jego twarz wypłynął dziwny uśmiech, który oznaczał irytację. - Może w ten sposób popędzę ludzi i szybciej dotrzemy do przyczółka. Ciekaw jestem, dlaczego tak się grzebią z montowaniem łodzi.

- Przygotuję pana pancierz, pułkowniku - wtrącił sierżant Waclewa.

Homer spojrzał na Cutprice'a i ponownie lekko się uśmiechnął.

- Uważa pan, że to rozsądne pchać się w ogień walki? Na linii frontu powinni dowodzić podoficerowie, a nie pułkownicy.

- Pułkownicy powinni przyglądać się, jak na drugim brzegu rzeki masakrowane są oddziały piechoty mobilnej, tak, generale? - spytał Cutprice, wydobywając z kieszonki cygaro i zapalając je. - Jeśli o tym pan mówi, to myślę, że włączenie się do walki jest doskonałym pomysłem.

Spojrzał na wschód, skąd w szybkim tempie nadciągała chmura cienia, i zmarszczył czoło.

Homer powiódł spojrzeniem w ślad za pułkownikiem.

- Tym na szczęście będziemy w stanie się zająć. - Włączył swój przekaźnik i wskazując na okno, rzucił: - Nag, powiedz SheVom Dwadzieścia Trzy i Czterdzieści Dwa, że zbliżają się do nas Minogi. Przechwycić je i zniszczyć, można działać bez mojego rozkazu.

- Pułkowniku, czy pamięta pan pewną rozmowę, którą prowadziliśmy kilka dni temu? - spytał sierżant Waclewa, wracając z dwiema kamizelkami kuloodpornymi.

- Którą?

- Zastanawialiśmy się, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że jest naprawdę źle.

- Oczywiście, pamiętam.

- Moim zdaniem nie jest dobrze, kiedy na polu pojawia się Dziesięć Tysięcy. Gdy do akcji wkracza piechota mobilna, to jest już bardzo niewesoło. Sytuacja jest paskudna, kiedy wzywają generała Homera, ale kiedy wzywają dwie SheVy, to już szczyt wszystkiego.

* * *

Attenrenalslar należał do grupy, którą ludzie określali jako „pozostałe pięć procent”. Dziewięćdziesiąt pięć procent posleenkich Wszechwładców działało pod wpływem najprostszych impulsów. Jeść, walczyć, rozmnażać się, zająć wrogie terytorium... i tak dalej, aż do śmierci. Pozostała niewielka część ich rodzaju była przyczyną znacznie większych kłopotów. To oni właśnie zakłócali łączność, i choć robili to na chybił trafił, działali wyjątkowo efektywnie wtedy, kiedy najczęściej zależało od komunikacji. Czasem Wszechwładcy należący do „pozostałych pięciu procent”

przejmowali kontrolę nad nie skoordynowanym ogniem Posleenów, co wywoływało u ludzi pełne zaskoczenie. To właśnie ta nieliczna grupa używała Minogów i dodekaedrów jako jednostek lotniczych.

Attenrenalslar reprezentował mniejszość logicznie myślących Wszechwładców, którzy uważali, że jedynym sposobem odwrócenia losów bitwy jest przerzucenie wojsk przez rzekę i zaatakowanie ludzi od tyłu. Było wielce prawdopodobne, że tylko on tak myślał, bowiem ostatnimi czasy liczba żywych „pozostałych pięciu procent” drastycznie się zmniejszyła.

W pierwszej fazie wojny desant z powietrza gwarantował niemal pewne zwycięstwo. Ludzie nie dysponowali bronią zdolną zestrzelić transportowiec, a jeśli ten trzymał się nisko nad ziemią, poza polem rażenia Centrum Obrony Planetarnej, Ziemianie musieli czekać, aż wyląduje, i dopiero wtedy mogli nawiązać kontakt bojowy z Posleenami. Transportowce były wyposażone w broń przeciwpiechotną, nie wspominając już o kosmicznej, tak więc były w stanie odeprzeć atak nawet całego batalionu, nie narażając siebie na niebezpieczeństwo. Zakrawało wręcz na absurd, że Posleeni nie stosowali częściej tej taktyki.

Ta silna strona obcych została dość szybko zauważona. Mike O'Neal zdobył swój pierwszy Medal Honoru za zniszczenie okrętu dowodzenia. Metoda, jaką zastosował, została uznana za niepraktyczną, jako że żołnierz miał niewielkie szanse przeżycia takiego ataku.

W pierwszym lądowaniu na Ziemi, które doszło do skutku trochę z przypadku, ludziom udało się zestrzelić Minoga. Ten incydent zaowocował powstaniem działa SheVa - broni z rodzaju tych, które projektuje się w pośpiechu, w obliczu klęski, nie myśląc o niczym innym, jak tylko o zniszczeniu wroga.

Broń wzięła swoją nazwę od Komisji Przemysłowego Planowania Shenandoah Valley, grupy badawczej, która jako pierwsza rozwiązała problemy techniczne napotykanego w nowym systemie uzbrojenia. Pierwsze egzemplarze wyprodukowano w Roanoke Iron Works.

Konstrukcja działa była dość prosta. Jego podstawę stanowiła lufa działa pancernika, nie gwintowana, kalibru szesnaście cali. Ponieważ broń miała być przystosowana do prowadzenia szybkiego ostrzału, zastosowano w niej nowy system ładowania. Zamiast umieszczania w lufie sześćsetkilogramowego pocisku i dwudziestopięciokilowych worków z prochem, używano pojedynczego pocisku wielkości małej międzykontynentalnej rakiety balistycznej. Samo działo miało magazyn amunicyjny na osiem standardowych pocisków, a ciągnik wioził dwa dodatkowe „czteropaki”, które można było załadować w niecałe dziesięć minut. Każde działo wyposażone było w standardową amunicję, a ponadto miało do dyspozycji ciągniki wiozące specjalne pociski z głowicami samonaprowadzającymi lub szerokiego rażenia, z rdzeniem antimaterii.

Działa miały być całkowicie samowystarczalne, wysoce mobilne, zdolne do prowadzenia ognia na trzysta sześćdziesiąt stopni dookoła, a kąt nachylenia lufy miał się wahać między dwoma a dziewięćdziesięcioma siedmioma stopniami. Te wymagania doprowadzały sztaby projektantów do rozpaczki i jeden po drugim naukowcy poddawali się. Dopiero stare wygi z Shenandoah rozgryzły problem. Działo musiało po prostu być większe niż ktokolwiek, nawet prywatnie, był skłonny przyznać.

Monstrum, które w końcu skonstruowano, swoim wyglądem przeczyło zdrowej logice. Samo podwozie miało niemal sto metrów długości i wspierało się na pięćdziesięciometrowej szerokości gąsienicach, które nawinięto na koła wysokości trzypiętrowego budynku. Armata zamontowana była na amortyzatorach, które wielkością dorównywały okrętom podwodnym i przy których budowie skorzystano z podobnych rozwiązań. Obrotowa wieżyczka była wysoka prawie na dwa piętra i miała pięćdziesiąt metrów średnicy. Jej elementy zespawano ze sobą za pomocą specjalnej technologii

kontrolowanych eksplozji. Górny pokład był piętnastocentymetrową stalową płytą, która służyła nie jako pancierz, lecz jako amortyzator. Żaden inny materiał nie wytrzymałby towarzyszących wystrzałowi naprężeń.

Kiedy zakończono projekty, okazało się, że w całych Stanach Zjednoczonych nie ma silnika spalinowego, który byłby w stanie ruszyć takie monstrum z miejsca. A ponieważ zapasy kanadyjskich materiałów rozszczepialnych były praktycznie niewyczerpane i znajdowały się poza strefą klimatyczną, którą preferowali Posleeni, napęd atomowy okazał się jedynym logicznym rozwiązaniem. Jednakże włączenie do załogi pojazdu ekipy obsługi reaktora wydawało się pomysłem głupim i niepraktycznym. W końcu skorzystano z południowoafrykańskiego projektu prostego reaktora zwanego „drobinowo-helowym”. System opierał się na pokładach drobin, które automatycznie rozpoczynały reakcję, i helu, który jako gaz szlachetny nie wchodził w reakcję, izolował radiację i stanowił chłodziwo. Nawet w przypadku otwarcia reaktora nie dochodziło do skażenia. Do atmosfery przedostawał się jedynie hel, który na dodatek zapobiegał stopieniu rdzenia. W przypadku bezpośredniego trafienia cała okolica zostałaby zasypana tylko radioaktywnym uranem, niczym więcej. Dzięki tej sprytniej konstrukcji zażegnano problem związany z „chińskim syndromem”.

Centrum kontroli i kwatery załogi znajdowały się pod brzuchem behemota i miały rozmiary niewielkiej ciężarówki. Bateria nie wymagała obsługi wielu osób, prawdę mówiąc, wystarczył do tego jeden człowiek. Z początku inżynierowie zaprojektowali stanowiska i pomieszczenia mieszkalne dla trzech osób, jednak dysponując rezerwami mocy, jakie dawał reaktor atomowy, powiększyli kwatery i zapewnili załodze pełną samowystarczalność.

Projektanci nie zapomnieli także o dość ciekawym pojeździe ewakuacyjnym.

Kiedy do załóg SheVa Czterdzieści Dwa i Dwadzieścia Trzy dotarła wiadomość, że lądownik jest już w drodze, żołnierze rzucili w kąt karty i „Gameboy’a” i zaczęli działać.

- Tutaj Czterdziestka Dwójka, panie generale - powiedział podpułkownik Thomas Wagoner. Jego SheVa była najnowszym pojazdem do czasu wprowadzenia do służby numeru Czterdzieści Trzy. Thomas dowodził nim od niedawna, kiedy to pomimo jego zacieklego sprzeciwu przeniesiono go z dowództwa batalionu pancernego; do tej pory nie mógł pogodzić się z faktem, że znów jest zwykłym dowódcą czołgu, mimo iż niezwykajnego. - Jesteśmy gotowi.

- Dobra, chłopaki, zrzucić kamuflaż. Czas postrzelać.

* * *

Duncan poczuł, że ziemia drży mu pod stopami. Z wolna zmienił kąt widzenia, kierując systemy optyczne na zachód. Pozostałości zachodniego Rochester drżały, jakby dosięgło je niewielkie, ale długotrwałe trzęsienie ziemi. Ze wzgórza, na którym się znajdował, potoczyło się w dół kilka gładów. Kiedy w końcu omiótł spojrzeniem zachodnią flankę, stało się jasne, dlaczego ziemia drży.

Sześć kilometrów za jego plecami, po południowej stronie kanału, wzgórze zaczęło się rozsypywać. Zielonkawa piana opadła i wyłoniło się z niej działo SheVa.

Pojazd był brzydki. Nie dało się go opisać żadnym innym słowem. Ogromne działo skonstruowano tak, by przede wszystkim było funkcjonalne, a dla wartości estetycznych nie pozostało już miejsca. Podobnie jak maszyna górnicza czy platformy wiertnicze, jedyne konstrukcje wzniesione przed wojną na taką skalę, miało być niezawodne, proste i użyteczne.

Rozmiary działa trudno było pojąć, dopóki człowiek nie uświadomił sobie, iż maleńkie mróweczki jadące obok niego to nie ludzie, tylko ciężarówki.

Duncan pokręcił z niedowierzaniem głową, kiedy SheVa zakołysała się z boku na bok, by ostrzec towarzyszące jej pojazdy, a potem zaczęła wspinać się po zboczu. Fabryka, która miała pecha i znalazła się na drodze kolosa, została doszczętnie zmiażdżona, kiedy przejechały po niej koła

wysokości czterech pięter.

- Popisują się, gnojki - mruknął Duncan, spoglądając z powrotem na wschód.

* * *

- Czterdzieści Dwa! - zawołał do mikrofonu dowódca SheVy Dwadzieścia Trzy. - Mamy emanacje dwóch kolejnych okrętów, w tym C-Deka.

- Zrozumiałem - odparł pułkownik Wagoner. Jego zamiarem było ukrycie działa gdzieś w terenie i zestrzelenie Minoga. Problem polegał jednak na tym, że do ukrycia działa potrzebne było co najmniej koryto rzeki.

Ale skoro na niebie pojawiły się jeszcze dwie jednostki latające, które mogły ostrzelać działą od północy, przed dowodzącym SheVą Czterdzieści Dwa stanęło zasadnicze pytanie: czy zaatakować je, gdy pojawią się w polu widzenia, czy poczekać na prowadzącego Minoga.

- Sierzancie Darden - zawołał do kierowcy. - Podjedźcie do południowego skraju moreny, działą w pozycji czterdziestu stopni w stosunku do zbocza. Zestrzelimy Minoga, kiedy tylko się pojawi, a potem objedziemy stok i zajmiemy się resztą.

Wagoner przełączył interkom na otwarty kanał SheVy i rzucił spojrzenie na schematyczny plan pola bitwy.

- Dwadzieścia Trzy, przygotujcie się do zmiany pozycji. Kiedy my zajmiemy się Minogiem, wy zaatakujcie pierwszy z towarzyszących mu statków. Drugi zestrzelimy wspólnie.

- Zrozumiałem, sir - padła odpowiedź. Czas pokazać tym chłoptasiom z piechoty mobilnej, co to naprawdę jest „heavy metal”!

* * *

Duncan tylko westchnął, kiedy ziemia ponownie zadrżała, choć tym razem wstrząsy były znacznie silniejsze niż poprzednio. Ekran pomocniczy pokazywał, jak kolejne wzgórze rozpada się na kawałki, gdy następna SheVa wkroczyła do akcji. Lufa armaty obróciła się na wschód i zamarła w bezruchu.

Dopiero w tej chwili Duncan zdał sobie sprawę, że broń nie jest wycelowana wysoko, a wręcz przeciwnie - skierowano ją tuż nad linię horyzontu. Spojrzał tam, gdzie powinien znajdować się potencjalny cel, i zdołał jedynie wykrztusić: „O cholera”, kiedy armata plunęła ogniem.

* * *

W pociskach wystrzeliwanych z SheVy używano ekwiwalentu naboju do szesnastocalowych dział okrętów liniowych. Sama „kula” składała się z rdzenia zubożonego uranu w formie „strzały” i płaszcz z materiałów termoplastycznych. W porównaniu z amunicją stosowaną na okrętach ta miała niewielką wagę. Zamiast gwintu lufy, nadającego lotowi pocisku stabilizujący ruch wirowy, przy jednoczesnym ograniczeniu prędkości wylotowej, zastosowano odmienny wariant. Standardową szesnastocalową lufę trzykrotnie wydłużono, przez co wystrzeliwanemu pociskowi była przekazywana większa energia wybuchu.

Prędkość wystrzelonego pocisku zależy od przekazanej mu energii, pomniejszonej o jego wagę i tarcie. Uranowa głowica osiągała prędkość zarezerwowaną do tej pory jedynie dla statków kosmicznych.

Płaszcz z kompozytów odpadał po pokonaniu mniej więcej pół mili, odsłaniając grubą na dwadzieścia centymetrów i długą prawie na dwa metry „strzałę” z uranu. Zakończona była brzechwami, które stabilizowały lot pocisku. W ciągu dwóch sekund śmiertelny pręt materiałów rozszczepialnych pokonywał odległość dwudziestu kilometrów, pozostawiając za sobą srebrzystą smugę ognia. Osiągnięcie takiej prędkości i siły uderzeniowej nie pozostaje jednak bez skutków

ubocznych.

Duncan wbił palce w ziemię, kiedy uderzył go powiew huraganowego wichru. W tej samej chwili przez okolicę przetoczył się huk gromu, który wybił z ram pozostałości szyb i rozwalił resztki ścian. Wicher wiejący z siłą tornada przetoczył się przez Rochester, zrywając dachy, zrzucając z nich ludzi, przewracając ściany i przygniatając żołnierzy do ziemi.

Wszystkie skutki uboczne tej monsturalnej broni rekompensowały widowiskowe efekty, dla których została stworzona. Sama energia kinetyczna zgromadzona w pocisku wystarczyła, by zniszczyć Minoga lub nawet C-Deka. Rdzeń pocisku stanowiła bowiem niewielka porcja antimaterii, która równała się dziesięciokilatonowej bombie jądrowej. Jeśli pocisk z jakichś powodów nie wybuchł, przebijał statek na wylot.

Sam moment uderzenia przesłonił jasny błysk światła, które wytrysnęło ze wszystkich okien i otworów statku. Przez chwilę jednostka jaśniała srebrzystym blaskiem, zdając się opierać niszczycielskiej sile broni. Dopiero po krótkiej chwili w miejscu, w którym przed chwilą znajdował się Minóg, wykwitło małe słońce. Fala eksplozji zmiotła Posleenów w promieniu pół kilometra, a pozycje Ziemiaków zasypał grad części, które rozmiarami przypominały samochody czy ciągniki. Nawet do Duncana doleciały odłamki dorównujące wielkością ludzkiej głowie.

- Festyniarze - mruknął Duncan, otrzepując się z pyłu. Podniósł z ziemi kawałek statku i cisnął go za siebie. - Jak się ma odpowiedni sprzęt, wszystko jest możliwe. Spróbujcie rozwalić taki statek przy pomocy tylko pancerza bojowego.

* * *

- Cel zniszczony - powiedział dowódca SheVy Dwadzieścia Trzy. - Wasza kolej, panie pułkowniku.

- Zrozumiałem - odparł Wagoner. - Następnym razem znajdźcie jakieś wzniesienie, bo wstrząsy wtórne są odczuwane przez cały korpus.

- Mięczaki - odparł Dwadzieścia Trzy. - Co można więcej powiedzieć?

- Na przykład dodać „tak jest, sir”. Ruszajcie znaleźć jakąś osłonę.

- Tak jest, sir.

- Bez odbioru.

Wagoner wyłączył interkom i pokiwał głową. Cel zbliżał się po wyznaczonej linii, zakończono już obliczanie możliwych dodatkowych strat. Mieli strzelać ponad własnymi liniami, ale nie tak blisko szpitala, jak ten idiota z Dwadzieścia Trzy. Poza tym cel znajdował się dobre tysiąc stóp ponad ziemią. Straty własne miały być minimalne.

- Czterdzieści Dwa, przygotować się do wystrzału - powiedział do interkomu. - Cel w zasięgu za trzy, dwa, jeden...

* * *

Attenrenalslar zaklął, kiedy statek dowodzenia zniknął w obłoku płomieni, i zaczął kluczyć swoim Minogiem na boki, mając nadzieję, że utrudni zadanie celowniczym tej przeklętej przez demony broni. Pojazd, który zniszczył statek prowadzący, zniknął za jedną z niewysokich gór, które znaczyły okolicę, ale Posleen był pewien, że przyrządy wykryły obecność drugiego działa samobieżnego. Odcyfrowanie informacji, jakie przesyłały urządzenia skonstruowane przez tych przeklętych Alldn't, przekraczało jego możliwości. Tylko ci, którzy zawzięcie je studiowali, byli w stanie zrozumieć coś z rzędów świecących ikon.

- No dalej, wychył się - szepnął Attenrenalslar, gładząc kontrolkę broni wycelowanej w odległy stok. - Pokaż się, mały abacie, a przekonasz się, co Attenrenalslar ma dla ciebie...

* * *

- Skurwiel robi uniki, pułkowniku - zawołał sierżant Pritchett. Działonowy przełączył SheVę na ogień automatyczny, kiedy tylko Minóg pojawił się w polu widzenia i zaczął przyjmować pozycję dogodną do ataku. - Zaraz go załatwimy.

Milimetrowa fala sygnału radarowego z nadajnika umieszczonego na burcie pojazdu oznaczyła cel i porównała go z danymi na temat wyposażenia pojazdów używanych przez Posleenów. Komputer pokładowy zidentyfikował go jako lądowik, a brak odpowiedzi na sygnał zapytania „wróg czy przyjaciel” utwierdził komputer w mniemaniu, że ma do czynienia z wrogim celem. Promień lasera biegnący wzdłuż lufy potwierdził jej właściwe ustawienie, a kolejny zbadał poprawność rozstawienia systemów stabilizujących. Na koniec sprawdzona została automatycznie temperatura powietrza, stan lufy, ilość wystrzelonych pocisków i setki innych czynników, jakie mogły mieć wpływ na celne prowadzenie ognia.

Komputer spostrzegł także, że cel nieznacznie manewruje. W przypadku, gdy wróg znajduje się w odległości mniejszej niż dziesięć kilometrów, a pocisk porusza się z prędkością dwustu pięćdziesięciu metrów na sekundę, dzieli ich cztery sekundy lotu. Uniki nie mogły więc Posleenowi pomóc, zwłaszcza że statek był naprawdę wielki.

* * *

- Fuscirto uut - warknął pod nosem Attenrenalslar. - Rzeczywiście są dwa.

Sytuacja przedstawiała się źle; nie ma szans, by broń pomocnicza statku uszkodziła działa, które rozmiarami dorównywały oolt'pos. Ale gdyby spróbować działa plazmowego, karta mogłaby się odwrócić...

* * *

- Poszło! - krzyknął Pritchett i cały świat zalał się czerwienią.

Jeden strzał z działa zużywał więcej energii niż brygada pancерzy wspomaganych, i choć platforma była ogromna i podpierały ją masywne wsporniki, drżała w posadach jak przy trzęsieniu ziemi. Wstrząsy jeszcze nie ustały, a Darden już włączył silnik, ruszając kolosa z miejsca. W tym czasie Pritchett upewnił się, że kolejny pocisk został automatycznie umieszczony w komorze.

- Pocisk w celu! - oznajmił z satysfakcją w głosie pułkownik Wagoner. - To się nazywa strzał! Może jednak przywyknę do dowodzenia czołgiem, powiedział do samego siebie.

* * *

Mike uśmiechnął się, kiedy huraganowy podmuch zwał Posleenów z wału ziemnego.

- Doskonale! Poprosimy drugi raz to samo, ale w okolicy kapitan Slight.

W ciągu sześćdziesięciu sekund batalion opanował obszar kilku tysięcy metrów kwadratowych. Posleńskie lądowiki bez wahania poderwały się z ziemi, aby odpowiedzieć na ten nagły atak, ale zostały strącone przez wezwane przez generała Homera SheVy. Kilka tysięcy Posleenów znalazło się w okrażeniu. Większość z nich nadal była w szoku po ostrzale artyleryjskim, jaki niedawno na nich spadł. Kilku co prawda odzyskało na tyle przytomności, żeby stawiać opór, ale szybko zostali zabici.

Teraz, kiedy Posleeni zostali zepchnięci z wału ziemnego, a wybuch atomowy pomieszał ich szyki, nadeszła pora, by piechota mobilna pokazała, że zasługuje na żołd. Mike nacisnął przycisk kontrolki i cały batalion zbliżył się do krawędzi nasypu ziemnego. Zapewniał on osłonę i nie było potrzeby kopania okopów, podobnie jak nie było sensu schodzić na dół. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, Mike uniósł broń i przez celownik optyczny rozejrzał się dookoła.

- O cholera - wyszeptał. Wystarczył jeden rzut oka, żeby symbole na mapie pola bitwy stały się intensywnie czerwone. Mike oczyścił wizjer i spojrzał jeszcze raz, chcąc dokładnie poznać sytuację,

a w tym czasie jego batalion otworzył ogień.

* * *

Ze swojej pozycji generał Homer widział skrawek terenu poza umocnieniami piechoty mobilnej, jednak kiedy na własne oczy ujrzał obraz z systemów optycznych pancernika, oniemiał. Gdziekolwiek spojrzeć, kłębiła się masa Posleenów. Zwiad i wcześniejsze ustalenia szacowały liczbę obcych na jakieś cztery miliony. Na podstawie obrazu, który właśnie zobaczył, Homer bez trudu mógł stwierdzić, że wywiad się mylił. Siły Posleenów liczyły nie cztery miliony, ale czterdzieści.

* * *

- Nie damy rady tego zrobić... To ponad nasze siły... - Mike słyszał desperację w głosach żołnierzy, którzy na otwartym kanale batalionu dawali upust swojej frustracji. Choć przed wrogim ogniem chronił ich wał ziemny, działka plazmowe lub pociski burzące mogły z łatwością przebić tę osłonę i zadać straszliwe obrażenia. Z masy kłębiących się na dole obcych nie sposób było wyłowić tych, którzy uzbrojeni byli w broń specjalną, jednak wśród zwykłych szeregowców musieli się tacy ukrywać. Przewaga liczebna była tak wielka, że pomimo huraganowego ognia obcy w końcu muszą zalać ich pozycje i zaatakować ich śmiertelnymi mieczami boma.

- Uspokoić się - rzucił oschle Mike. Wyłączył obraz z kamery i zastąpił go schematycznym widokiem pola bitwy. Informacje, jakie przekazywała mapa, były identyczne, ale podano je w mniej nieprzyjemnej oprawie. - Zachować zimną krew, nie wychylać się zza osłony i strzelać celnie. - Spojrzał na odczyty komputera i zaśmiał się cicho. - Dobra wiadomość jest taka, że nawet my nie jesteśmy dziś w stanie spuścić.

Zautomatyzowany system ognia i sposób zaprojektowania pancernika wspomaganego były powodem nieustannych żartów na temat marnej celności piechoty mobilnej.

- Majorze - powiedział kapitan Holder. - Jesteśmy otaczani od północy przez znaczne siły przeciwnika. Nie sądzę, aby to był przemyślany ruch, po prostu Posleenów jest zbyt wielu i nawzajem się przepychają.

- Jestem tego świadomy - odparł Mike. Jeden rzut oka na ekran wystarczył, by stwierdzić, że liczebność kompanii Bravo zbliża się niebezpiecznie do dolnej granicy. Oddział przyjął na siebie prawie połowę wrogiego ognia, a ponadto batalion zużył już czterdzieści procent swojej amunicji.

- Duncan, spróbuj załatwić dla Bravo wsparcie i skieruj je na przedpole batalionu.

- A co z nami, sir? - wtrącił Holder.

- Cóż - odparł z uśmiechem Mike. - Będziemy musieli sami poradzić sobie z Posleenami.

- Mamy niezłą pozycję obronną - mruknął do siebie. Shelly posłusznie nie przekazała dalej jego mamrotania. - Jedna flanką jest zabezpieczona, więc mamy szansę. Musimy po prostu trzymać się w kupie.

Część Posleenów, którzy znajdowali się w odległości pół kilometra od pozycji piechoty mobilnej, zginęła w wybuchu drugiego lądownika. Pusty obszar szybko jednak został zapełniony przez napierającą hordę. Posleeni jak zwykle nadbiegali gromadą, na oślep, nie przejmując się wrogim ogniem.

Mike rozważał różne scenariusze; jedne były kiepskie, inne jeszcze gorsze. Miał nadzieję, że choć część jego podwładnych przeżyje i utrzyma pozycje do chwili przybycia posiłków. Jednak nawet w takim przypadku miał za mało wsparcia artyleryjskiego, a jego ludzie byli zbyt mocno rozproszeni.

- Zero szans - mruknął do siebie.

- Batalion! - rzucił zdecydowanym tonem. - Skoncentrować ogień krzyżowy na Wszechwładcach. Bravo: zacieśnijcie trochę szereg wokół rogu formacji. Żniwiarze ze wszystkich

kompanii: wspomóżcie ich i okopcie się. Medycy i technicy: macie dostarczać amunicję. Zapewnijcie Żniwiarzom możliwość wymiany broni, bo sądzę, że dojdzie do walki wręcz. - Mike przerwał, kiedy pierwszy pocisk śmignął tuż nad jego głową. Przez ostatnie pięć lat zużył już cały arsenał hasła, które mają zachęcać do boju. - Nie mam tylu palców, żeby policzyć nasze szanse, ale jak wygramy, to ustanowimy nowy rekord.

Rochester, Nowy Jork, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

08:17 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 13 września 2009

Starszy plutonowy Thomas „Mały Tommy” Sunday zdawał sobie sprawę, że za bardzo kocha swoją robotę.

Zeskoczył z platformy tenara i z szerokim uśmiechem strzelił w głowę Posleena, który zaciekle pastwił się nad leżącymi na szczycie wału ziemnego zwłokami żołnierza piechoty mobilnej. Sunday nie potrafił odgadnąć, czy jego towarzysz broni zginął w walce wręcz, czy od strzału z bliskiego zasięgu. Niezależnie od przyczyny pozycje, na jakich okopali się ludzie, były korzystne do obrony i umożliwiały posłanie kilku Posleenów na tamten świat. Sunday sięgnął do tenara i wydobył ze schowka stukilogramową pancerną skrzynkę. Trzymając ją w jednej ręce, ruszył ku szczytowi wału, strzelając do każdego Posleena, który wychylił choć czubek głowy.

Thomas Sunday Junior wstąpił do armii Stanów Zjednoczonych w dzień swoich siedemnastych urodzin. W ciągu kilku lat służby dorósł i zmężniał, a teraz dzięki dwóm metrom wzrostu i stu pięćdziesięciu kilogramom wagi wyglądał jak dokładna kopia jego ojca, który dawniej grał w profesjonalnej lidze futbolu jako obrońca. Dzień siedemnastych urodzin „Małego Tommy’ego” wypadł cztery miesiące po tym, jak Posleeni starli z powierzchni ziemi jego rodzinne miasto Fredericksburg w Wirginii.

Podczas pierwszego lądowania miasto zostało otoczone i odcięte od świata przez czteromilionową armię obcych. Niewielka grupa saperów z batalionu Gwardii Narodowej i ochotnicy przez dwanaście godzin powstrzymywali marsz Posleenów, podczas gdy dla kobiet i dzieci budowano specjalny schron. Kiedy ta straszliwa noc dobiegła końca, obrońcy odpalili specjalny ładunek paliwowo-powietrzny, który zabił wielu obcych, uniemożliwił im przetworzenie ciał zabitych na „thresh”, jak Posleeni nazywali żywność, i zapewnił osłonę resztkom uciekających cywilów.

Pod Fredericksburgiem obcy dostali solidną nauczkę; poczuli szacunek dla symbolu saperów: zamku o dwóch wieżach. Thomas pozostawił za sobą dogasające ruiny i rodzinny dom, i zabrał w podróż swoją dziewczynę i wspomnienia.

Tylko czterech jego przyjaciół z dzieciństwa przeżyło tę hekatombę. Z cywilnych obrońców miasta przetrwała piątka, wliczając w to jego i jego ukochaną. Żaden z członków oddziału, w którym służył Tommy, nie uszedł z życiem. Koledzy i znajomi zostali pod gruzami. Matka i siostra zdołały bezpiecznie ukryć się w Podmieściu w Kentucky. Reszta odeszła na zawsze.

Zniknęli i wszelki ślad po nich zaginął, jakby nigdy nie żyli.

Mały Tommy zachował wspomnienia i palącą żądzę zemsty. Odtąd żył jedynie dla przyjemności, jaką dawało mu zabijanie obcych.

I właśnie tym zajmował się w tej chwili. Leżąc płasko na ziemi, przyciągnął do siebie trupa, aby jego pancerz zapewnił mu osłonę przed wrogim ogniem. Dopiero po chwili odważył się wychylić i szybko rzucić okiem na otaczające go pole bitwy.

- Jezu słodki, muszę przenieść się do innej jednostki - powiedział do samego siebie.

Zbocze było wprost zasłane trupami Posleenów. Z rąk samej piechoty mobilnej zginął co najmniej milion obcych. Pozostali przy życiu Posleeni nie byli w stanie dalej atakować, bowiem w promieniu kilku kilometrów nie było wolnego skrawka ziemi. Wszędzie wały się trupy, czasem

nawet leżały w kilkuwarstwowych stertach. Z wyglądu porozrzucanych ciał Sunday domyślił się, że to nie robota artylerii, ale właśnie piechoty. Posleen trafiony z działa był znacznie bardziej niekompletny.

Thomas ustawił na trójnogu działko magnetyczne i przełączył je na tryb ognia automatycznego, po czym otworzył skrzynkę. Wewnątrz znajdowały się cztery magazynki z amunicją, tuzin akumulatorów oraz drugi karabin, który wkrótce był przygotowany do starcia. Thomas spiął po dwa magazynki i podczepił je do karabinów, a następnie zrobił to samo z akumulatorami. Kiedy skończył, zdjął z pleców swój AIW kaliber 7.62 o lufie wymienionej na większy kaliber i poprawił gogle.

- Zabawa dopiero się zaczyna - mruknął pod nosem.

Kuląc się za osłoną wzniesienia, przebiegł kilka metrów do przodu, sprawdzając, czy reszta jego sekcji odpowiednio rozstawiła broń. Każdy z żołnierzy miał własny karabin, a trzyosobowa sekcja sprawowała nadzór nad taką samą jak jego skrzynką. Podczas gdy dwóch żołnierzy osłaniało „technika”, ten rozstawiał broń i szykował ją do walki.

Zasadniczo plutonowy Sunday ustawił broń, której siła ognia była równa połowie siły ognia całego jego zespołu.

Potem usadowił się wygodnie i wyjrzał zza rogu zrujnowanego budynku. Posleeni zaczęli dochodzić do siebie i odzyskiwać animusz, a na to nie można było im pozwolić.

Gwiżdżąc początkowe takty Dixie, Thomas Sunday Junior wziął na cel jednego z Wszechwładców i delikatnie nacisnął spust. Jak cycek.

- Skoro już o tym mowa - mruknął do siebie, kontynuując przerwane rozważania - najwyższy czas ruszyć do Północnej Karoliny.

* * *

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła Wendy, była farba odblaskowa w kolorze najzwyczajniejszej bieli. Pokój był czysty i schludny. Ściany wykonano z niczym nie udekorowanej plastali. Standardowe tworzywo, używane w większości galaktycznych budowli, było w stanie odbijać światło, nadając mu praktycznie każdą barwę, jaką można było sobie wymarzyć. Ale jakiś tępy biurokrata z Podmieścia zarządził, że wolno używać tylko czterech kolorów: zielonego, białego, niebieskiego i łososiowego. Światło, które widziała Wendy, było tak białe, że kojarzyło się z ultrafioletem do czyszczenia pomieszczeń. Ponieważ znajdowała się na obrzeżu sektora F, skojarzenie nie było zbyt dalekie od prawdy; sterylny wygląd pomieszczenia i brak ozdób sprawiały, że panowała tu szpitalna atmosfera.

Drugą rzeczą, którą spostrzegła Wendy, była szafka. Szara, niepozorna i upchnięta w odległym rogu pomieszczenia, przypominała zaczajonego mechanicznego trolla. Wykonano ją także z plastali, przez co praktycznie była nie do rozbicia. Właściwie wszystkie zabezpieczenia zostały skonstruowane przez obcych lub z materiałów przez nich dostarczanych, dlatego można je było pokonać jedynie przecinakami plazmowymi lub wiertłem monomolekularnym. Biorąc pod uwagę, że w pokoju była także druga szafa, pojemnik ze stali plastycznej musiał być czymś w rodzaju sejfu.

Pomijając ten szczegół, pokój wyglądał jak jeden z wielu w Podmieściu. Za drzwiczkami z plastiku pamięciowego znajdował się pojemnik bezpieczeństwa, który - o dziwo - nie został rozbity. Według deklaracji zawartości, wewnątrz znajdowały się cztery maski przeciwgazowe, apteczka pierwszej pomocy i para nomeksowych rękawic. Gdyby tak było w istocie, byłaby to pierwsza od czterech lat kompletna skrzynka, jaką widziała. Podłogę pokrywał biały prostokątny dywan, a ze ściany spozierał na nią dwudziestosiemioocalowy monitor. Pokój sprawiał wrażenie zwyczajnej kwatery mieszkalnej. A przynajmniej tak wyglądały kwatery, kiedy Wendy po raz pierwszy trafiła do tego podziemnego piekła.

Dziewczyna, która siedziała na jedynym w pomieszczeniu łóżku, ubrana była w parę krótkich spodenek i bluzkę bez rękawów. Już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że ma ładną figurę. Jej miękka, delikatna i gładka jak u nastolatki skóra była dowodem procesów odmładzających; piersi, których nie zakrywał żaden stanik, sprawiały wrażenie pełnych i jędrnych. Jej rude włosy spływały falą na ramiona, a spod delikatnych brwi patrzyły badawczo zielone oczy.

- Annie - powiedziała, uśmiechając się ciepło, psycholog. - To jest Wendy Cummings. Pomoże ci powrócić do zdrowia. Uważamy, że w twoim obecnym stanie przyda ci się towarzystwo i być może kilka spacerów.

Doktor Christine Richards zachowała dla siebie informację, że konsylium lekarskie było mocno zbite z tropu. Ostatnie badania wykazały, że pomimo trudności z mową Annie O. Elgars w pełni odzyskała zdrowie i siły nadszarpnięte wieloletnią śpiączką i eksperymentalną terapią operacyjną. Jedyne, czego lekarze nie byli pewni, to czy mają jeszcze do czynienia z Annie Elgars.

- Cześć, Annie - powiedziała Wendy, wyciągając dłoń i uśmiechając się ciepło. - Mamy zostać przyjaciółkami. Zobaczymy, czy się uda. Czasem psychologowie nie są w stanie znaleźć własnego tyłka, a co dopiero mówić o ludziach.

Osoba, która mogła, ale nie musiała być Annie Elgars, przekrzywiła głowę, a potem z wolna uśmiechnęła się i z trudem powiedziała:

- A... A... Annie tesz prz... ciel.

- Miło mi to słyszeć. - Wendy ponownie się uśmiechnęła. - Myślę, że będziemy miały o czym rozmawiać. Z tego, co wiem, służyłaś w trzydziestej trzeciej dywizji w Occoquan?

- Cóż - wtrąciła się doktor Richards - zostawię was same, dziewczyny. Annie, chciałabym, żebyś pomogła Wendy w pracy. Skoro wracasz do zdrowia... Potrzebna nam każda para rąk.

Miły wyraz twarzy rudowłosej dziewczyny zniknął jak kamfora.

- Oookaaaj, Dooktr.

- Proszę się nie martwić - powiedziała Wendy, rzucając spojrzenie pani psycholog. - Damy sobie radę.

Kiedy drzwi zamknęły się za wychodzącą, Wendy oparła głowę na dłoni. Przez chwilę milczała. Potem wskazał na drzwi i rzuciła:

- Nienawidzę psychologów. - Na jej twarzy pojawił się wyraz odrazy. - To banda idiotów.

Elgars próbowała coś powiedzieć, ale tylko stęknęła i w geście zniecierpliwienia wyciągnęła przed siebie obydwie ręce, kierując wnętrza dłoni ku Wendy.

- Żeby zostać żołnierzem na froncie, musiałaś przejść testy psychologiczne. - Wendy usiadła na łóżku obok Annie i szybkimi ruchami związała jej włosy w kucyk. - No i tutaj jest prawdziwa zagadka, ponieważ na froncie nie chcą osób niestabilnych emocjonalnie, a jednocześnie kobieta musi być agresywna, bo inaczej jej nie przyjmą.

Elgars uśmiechnęła się i warknęła, co w jej przypadku oznaczało śmiech.

- Pieppp... one s... kinkoty!

Wendy kiwnęła głową.

- Racja. To banda sukinsynów, niech się sami pieprzą. Masz rację. Wiem, że masz amnezję i kłopoty z wymową.

- Aaahhh tty - wymamrotała Elgars; na jej twarzy widać było oznaki zniecierpliwienia.

- Nie przejmuj się tym - powiedziała z uspokajającym uśmiechem Wendy. - Mamy dużo czasu na opowiedzenie sobie wszystkich historyjek. Mogę zadać ci pytanie?

- Jaaa... ne.

- Czy to sejf na broń? Bo jeśli tak, to zdrowo się wkurzę. Zabrali mi całe uzbrojenie, kiedy

dostałam się do tej dziury. Chodzę co prawda raz w tygodniu na strzelnicę, ale nie chcą mnie nawet dopuścić do testów na strażnika.

- Taaa - odparła Elgars z tajemniczym wyrazem twarzy. - Nieeeaaam.

Zamilkła na chwilę, po czym znowu spróbowała przełożyć swoje myśli na słowa.

- Ach... Ja... nie www... wiem co...

- Nie wiesz, co tam jest? - podpowiedziała jej Wendy. - Znasz słowa, ale nie potrafisz ich powiedzieć, co?

- Taaa.

- W porządku. - Wendy zsunęła się z łóżka i podeszła do szafki. Mebel miał dwa metry wysokości i dzielił się na sześć komór. Nigdzie nie widać było zamków, drzwiczek ani otworów na klucze. - Jak ją otworzyć?

Elgars podeszła i stanęła przed szafką. Mowa sprawiała jej trudności, ale ruchom nie można było odmówić gracji i zręczności.

Wendy obrzuciła ją uważnym spojrzeniem i spytała:

- Ćwiczysz?

- Terpia fsssyczna - odparła Elgars, kładąc dłoń na przedniej ścianie szafki.

Ścianka rozsunęła się i Wendy poczuła zapach smaru i metalu. Patrząc na zawartość szafki, nie była w stanie ukryć zdziwienia. W środku był prawdziwy arsenał. Po lewej stronie wisały mundury. Jej uwagę zwrócił mundur oficerski, którego klapy obwieszane były medalami oraz odznaczeniami. Dostrzegła baretki eksperta od broni automatycznej, obsługi karabinu maszynowego i ciężkiego uzbrojenia. Pomiędzy orderami widniała odznaka Programu Zaawansowanego Celowania, prowadzonego w centrum snajperskim korpusu marines, co było nie lada osiągnięciem. Na ryngrafie piechoty widniały odznaczenia weterana, oprócz tego Annie zdobyła dwa Purpurowe Serca i Srebrną Gwiazdę. Prawą pierś munduru ozdabiał prosty złoty emblemat „600”.

- O w mordę - wyszeptała Wendy.

Prawą część szafki zajmowały mundury kamuflujące i uniform Floty oraz pół tuzina sztuk różnej broni. Większości z nich Wendy nigdy nie widziała na oczy, na przykład barretta M-82A1, kalibru .50. To jasne, że broń nie służyła tylko do parady, i zanim odwieszono ją na haczyk, była serwisowana przez fabrykę i zabezpieczona preserfilmem. Obok niej stały dwa karabiny maszynowe, z których zwieszały się taśmy pełne magazynków, kilka pistoletów, glock z tłumikiem oraz dziwna broń o kanciastym kształcie, zaopatrzona w celownik laserowy i tłumik. Kompletu dopełniał karabin szturmowy oraz zwisająca z półki kamizelka ze snajperskim ekwipunkiem.

- Jak, do diabła, przemyciłaś to tutaj? - spytała Wendy. - Przecież Podmieścia to strefy zdemilitaryzowane!

- Jesm w czynn szszszbie. Czczynej.

- Jesteś w czynnej służbie? - spytała, śmiejąc się, Wendy.

- Fff Szszszććć...

- W Sześćsetnym? - domyśliła się Wendy, kiwając smutno głową. - Nawet zabici z Sześćsetnego nie są wykreślani z czynnej służby?

Elgars uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Ale cooo tooo? - Pokazała na wewnątrz szafki.

- Nie wiesz, skąd masz ten sprzęt?

- Nooo.

- Dobra, zaraz się przekonamy. Czy masz jakiś dowód, że wolno ci posiadać tę broń?

Elgars wskazała na mundury, ale Wendy pokręciła głową.

- Nie. Ci zasrani panikarze z ochrony nie przełkną takiego argumentu. Czy masz dokument, który pozwalałby ci posiadać broń? Kartę broni na przykład?

Elgars zaczęła grzebać w szafie. W końcu znalazła etui na dokumenty i wyciągnęła z niego plastikową kartę wielkości prawa jazdy.

Wendy wzięła ją do ręki i przeczytała:

„Kapitan A.O. Elgars jest w czynnej służbie Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, podlega rozkazom dowództwa i ma prawo do noszenia broni, niezależnie od jej typu, kalibru czy ilości, na terenie USA lub podległych terytoriów, z powodów, które uzna za stosowne i które nie mogą być podważane. Wszystkie wątpliwości i zapytania powinny być kierowane do Departamentu Wojny.” Karta podpisana była przez Dowódcę Armii Kontynentalnej i dowódcę Dziesięciu Tysięcy. Na odwrocie znajdowało się zdjęcie Annie i jej dane osobiste.

Licencja była jedną z wielu, jakie wydano, i nie wyróżniała się niczym szczególnym. Na początku wojny oddziały federalne, które przeprowadzały manewry w pobliżu stref zdemilitaryzowanych, często natrafiały na problemy. Domagano się odpowiedzi, czy personel wojskowy ma prawo posiadać broń, zwłaszcza jeśli stacjonuje w miastach, w których wprowadzono zakaz jej noszenia.

Większość wątpliwości została rozwiana po ataku na Fredericksburg, a kiedy brygada obrońców Seattle została zaskoczona i rozbita w puch, podczas gdy jej broń spoczywała zamknięta w magazynie, rozwiązano tę sprawę raz na zawsze. Choć żołnierze nie musieli nosić przez cały czas mundurów, na mocy prawa federalnego nakazano im nie rozstawać się z bazowym wyposażeniem do czasu „zakończenia stanu wyjątkowego”. Ponieważ lądowania Posleenów były trudne do przewidzenia, uznano, że niewielkie pogwałcenie prawa jest stosunkowo niską ceną za przywrócenie spokoju i ładu.

- Naszedł czas na bardzo ważne pytanie - powiedziała z uśmiechem Wendy. - Co na siebie włożyć.

Elgars uśmiechnęła się lekko i wyciągnęła dłoń po mundur polowy. Jej palce dotknęły epoletów i przez chwilę gładziły je badawczo.

- Poznajesz ten mundur? Według oznaczeń jesteś kapitanem. Czy pamiętasz, że awansowałaś na oficera?

Elgars pokręciła głową.

- Nooooo. Serszattt...

- Byłaś sierżantem? To dlaczego masz oznaczenia kapitana?

- Serżnt... szeeeeowww... - powiedziała Annie, kręcąc głową. - Ach! No... Ach!

- Uspokój się - powiedziała łagodnym tonem Wendy i położyła przyjaźnie rękę na jej ramieniu. - Nieważne, teraz jesteś panią kapitan. Czy pamiętasz, co robiłaś, gdzie byłaś i jak tutaj trafiłaś? Czy w ogóle wiesz, gdzie jesteś?

Elgars ponownie pokręciła głową.

- To pochoj, co?

Wendy zaczerpnęła tchu, nie wiedząc, od czego zacząć.

- Jesteśmy pod ziemią.

- Rozsumie. - Annie kiwnęła głową. - Podd... -

- Tak, Podmieście. Pokazywali ci mapy?

- Nnn...

Wendy wzięła pilota do ręki i wcisnęła klawisze kodowe.

- To kanał informacyjny - powiedziała. - Wiedziałaś o nim?

- Nnn...

- Chryste - westchnęła. - No dobra... - Przewinęła kilka plansz menu i zatrzymała się na obrazie ogromnego sześcianu. - Oto schemat Podmieścia Franklin i kilka podstawowych informacji. Całe miasto znajduje się pod ziemią; najwyższy poziom dzieli od powierzchni kilkaset metrów. Nie jest to zwykła gleba, ale system przeciwwstrząsowy zwany plastrem miodu. Sam sześcian dzieli się na osiem sektorów, a każdy z nich na osiem mniejszych podsektorów. Główne strefy oznaczono literami od A do H, a mniejsze są ponumerowane. Kiedy zna się system, znalezienie adresu C8-8-4 jest jak bułka z masłem. Każdy podsektor ma cztery piętra wysokości i tyle samo szerokości. Ich numeracja zaczyna się od centrum. Część z nich nadal jest w budowie. Teraz jesteśmy w sektorze F1-1-4, co oznacza, że znajdujemy się na szczycie sektora F, przy jego granicy z E i cztery blokhauzy od centrum. Sektor A przeznaczony jest dla sił bezpieczeństwa, sektory od B do D to kwatery mieszkalne, choć część sektorów C i D ma charakter pomocniczy. Sektor F to szpital i habitaty środowiskowe, a H ma charakter przemysłowy. Mieszczą się tam reaktory i urządzenia pomagające w przeżyciu, podczas gdy w sektorze G umieszczono maszynię do przetwarzania odpadów. Wejście do kompleksu znajduje się nad sektorem A, w pobliżu punktu, gdzie zbiegają się granice trzech stref mieszkalnych. Poza nim znajduje się duży parking, gdzie trzymane są pojazdy uchodźców. W południowo-zachodniej części, w sektorze D, znajduje się tunel zaopatrzeniowy. Stąd zapasy są przewożone windami na dół i składowane w strefie H. Główne drogi komunikacyjne przebiegają przez punkty, w których przecinają się granice czterech sektorów. Główne korytarze zamykane są specjalnymi grodziami. W miejscach, gdzie łączą się podsektory, poprowadzono drogi komunikacyjne drugiej kategorii. Tutaj nie ma żadnych zabezpieczeń i trzeba uważać na pojazdy, które poruszają się tą trasą. Czasem można też skorzystać z korytarzy, które prowadzą do poszczególnych poziomów mieszkalnych. Są one nazywane trzeciorzędowymi trasami komunikacyjnymi. Poza specjalnymi okolicznościami nie wolno się nimi poruszać.

Wendy przerwała na chwilę, spoglądając na Annie.

- Jeśli się zgubisz, nie należy wpadać w panikę - mówiła dalej, wybierając z menu ikonę przypominającą komputer. - Szukaj tego symbolu. To terminal informacyjny. Wystarczy, że wprowadzisz do niego dane punktu, do którego chcesz dotrzeć, a on wskaże ci drogę. Możesz też zażądać „duszka”. To niewielki mikryt wielkości muchy. Standardowy wyrób galaktyczny, ale niezwykle przydatny. Ruszy we wskazane przez ciebie miejsce i wystarczy, że będziesz szła za nim.

Potem Wendy pokazała resztę ikon.

- To kolejne symbole, które warto znać. Te oznaczają służby bezpieczeństwa, te łazienki, a te stołówki, i tak dalej. Nie powinnaś mieć problemów ze zrozumieniem ich znaczenia, musisz się tylko z nimi zaznajomić. Możesz opuścić Podmieście, ale nie zachęcam do tego, bo nikt spoza personelu nie może tutaj wejść, a wojskowi muszą mieć pisemne zezwolenie. Ewentualnie można okazać skierowanie do szpitala... Takie jak twoje.

- Mówiłaś to... kimś? - spytała Elgars.

- Tak, już kilka razy opowiadałam o Podmieściu - przytaknęła z ponurym uśmiechem Wendy. - Siedzę w tej kurewskiej dziurze od samego początku, kiedy jeszcze była tylko pustą norą. - Zamilkła na chwilę, intensywnie nad czymś myśląc. - To chyba wszystko, co musisz wiedzieć. Jest jeszcze trochę informacji o działaniu na wypadek zagrożenia, ale znajdziesz je wszystkie na kanale 141. Radzę oglądać go regularnie przez kilka tygodni, to pomoże ci zaadaptować się do nowego środowiska. Masz jakieś pytania?

Elgars pokręciła głową i podeszła do drugiej szafki, skąd wyjęła stanik. Wendy zauważyła wewnątrz kilka cywilnych ciuchów, głównie w kolorze niebieskim, wykonanych z dzinsu. Po prawej

stronie znajdował się pojemnik na buty, a w nim dwie pary bojowych gланów, buty do biegania i dziewięć par pantofli na wysokich obcasach. Większość obuwia była w czarnym kolorze. Jedyne buty do biegania sprawiały wrażenie zużytych.

- O rany - westchnęła Wendy. - Masz tyle ciuchów, że wystarczyłoby ich dla pięciorga ludzi.

Elgars wydała z siebie zdziwiony jęk, a Wendy wzruszyła ramionami.

- W dzisiejszych czasach nie produkuje się zbyt wielu ciuchów. Cała produkcja idzie na potrzeby armii. Nam zostało to, co ludzie przywieźli ze sobą, a było tego nie więcej niż dwie, może trzy walizki. - Wendy wskazała na swoją bluzkę i dodała: - Jedyne, co otrzymują cywile, to niezbędne minimum ciuchów i butów. Wystarcza, żeby nie biegać na golasa, ale można zapomnieć o czymś fantastycznym. Masz więcej ubrań niż widziałam przez ostatnie kilka lat.

Elgars spojrzała uważnie na Wendy. Były podobnej budowy i takiego samego wzrostu.

- Cheszszsz?

Wendy odgarnęła loczek za ucho i spojrzała na nią z zakłopotaniem.

- Nie, dziękuję. Może innym razem coś mi pożyczysz...

Elgars sięgnęła do szafki i wydobyła z niej sukienkę uszytą z kawałków materiału o różnych odcieniach purpury. Przez chwilę spoglądała na nią z odrazą, a potem podała ją Wendy.

- Weź.

- Jesteś pewna? - Wendy nie wiedziała, co robić. Sukienka była cudowna.

- Jaaaszne. Nie lubiem purpury - powiedziała Elgars z wyrazem niesmaku na twarzy. Ostatnie słowo wymówiła z czystym południowym akcentem.

* * *

Elgars rozglądała się z ciekawością dookoła. Korytarze były wystarczająco szerokie, aby przecisnął się nimi samochód, i bardzo wysokie. Zdawały się ciągnąć bez końca, a ich monotonię zakłócały jedynie znajdujące się co pięćdziesiąt metrów schody i co sto metrów windy. W miejscu połączeń sekcji stały zestawy ratunkowe, ale w przeciwieństwie do tego, który był w jej pokoju, większość z nich była wybebeszona. Ściany były w pastelowych, łagodnych kolorach, które miały za zadanie oznaczać funkcje pomieszczeń oraz kojąco wpływać na ludzi. Co jakiś czas widać było ściany przypominające fakturą skałę, jednak po bliższym przyjrzeniu okazywało się, że to stopiona lub uszkodzona stal.

Ponad ich głowami kłębiła się plątanina rur opisanych tajemniczymi znakami „PSLA81”. Jedna z nich, oznaczona na łączniku niebiesko-czerwonym wzorem, wiodła w dół, do podwójnego zaworu, który był zatkany. Elgars uznała, że to musi być awaryjne ujęcie wody.

Po obydwu stronach głównego korytarza znajdowały się wrota z plastiku pamięciowego. Niektóre z nich były oznaczone, inne nie. Elgars przez chwilę zamyśliła się, zapatrzona na napis „Sala Cincinnati”. W łącznikach między głównymi korytarzami znajdowały się terminale komputerowe, a grodzie zamykające przejścia w razie sytuacji awaryjnej wyglądały na bardzo solidne i wytrzymałe.

Nad wejściem do każdej klatki schodowej znajdowały się tabliczki z napisem „Główna droga ewakuacyjna” i strzałki wskazujące w górę lub w dół oraz tabliczki oznaczające „Awaryjna droga ewakuacyjna”, przy czym umieszczone na nich strzałki wskazywały zupełnie inny kierunek. Obok widać było ikonki, które przedtem pokazywała jej Wendy. Annie była pewna, że rozpoznaje symbole łazienek i kawiarni, ale co mogły oznaczać te tajemnicze piórka?

Tak jak mówiła Wendy, na ścianach widać było oznaczenia literowe, po których następowały trzy cyfry. Zgodnie z nimi przechodziły właśnie z sektora E do strefy B. Annie miała wrażenie, że wędrują naokoło, cały czas pozostając w sekcjach mieszkalnych i omijając główne arterie

komunikacyjne.

Korytarze, którymi obecnie szły, były tak wąskie, że mogły się tu zmieścić obok siebie nie więcej niż dwie osoby na raz. Dookoła widać było ślady zużycia; w jednym pomieszczeniu nie działała jarzeniówka i wszystko pogrążone było w ciemnościach. Choć Wendy nie przystanęła ani na chwilę, Elgars zauważyła, że zwolniła, zbliżając się do nowego pomieszczenia, zupełnie jakby nasłuchiwała kroków. Minęła je gromadka ludzi, którzy na ich widok przyspieszyli i spuścili wzrok.

- To jedna z najstarszych sekcji - powiedziała cicho Wendy. Szły teraz korytarzem, w którym musiał niegdyś szaleć ogień; dokonanych przez niego uszkodzeń nigdy do końca nie usunięto. - Kiedyś było tutaj tak samo czysto i lśniaco, jak w twoim pokoju. No, ale cóż... W pobliżu jest stacja naprawcza i to nie jest najlepsza okolica. Z drugiej strony strażnicy nie zagląдают tutaj często, więc nie musimy się nimi przejmować.

Kłopoty, jak się okazało, czekały na nie tuż za rogiem. Korytarz rozszerzył się, przechodząc w łącznik, pośrodku którego znajdowała się fontanna i drogowskazy wskazujące kierunek do pomieszczeń pomocniczych. Dwa z trzech korytarzy były zdewastowane i panowała w nich ciemność. Rury doprowadzające wodę zostały wyrwane ze ściany i teraz rdzewiały na dnie brudnego bajora, w jakie zamienił się wodotrysk.

Wendy ostrożnie ruszyła naprzód, i wtedy z jednego z korytarzy wyłoniło się kilka postaci.

- Cóż my tutaj mamy? - spytała przywódczyni grupy, zapalając papierosa. Była bardzo niska i nienaturalnie chuda. Jej twarz pokrywały koszmarnie brzydkie tatuaże w formie pajaków, a włosy, pozlepiane w strąki, mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Miała na sobie ciężkie buty, krótkie spodnie i bluzkę bez rękawów. Elgars roześmiałaby się na głos, gdyby nie to, że dostrzegła opartą na ramieniu dziewczyny metalową gazrurkę.

- Wydaje mi się, że przyłapaliśmy intruzów - powiedziała druga. Wyglądała jak kompletne przeciwieństwo pierwszej: miała szerokie biodra i nienaturalnie wielkie piersi. Gdyby nie broń, którą trzymały w dłoniach, wyglądałyby jak para klaunów z cyrku.

- Co masz w torebce, złotko? - spytała pierwsza, a pozostałe trzy zaczęły okręgać dziewczyny.

- Nic, co mogłoby cię zainteresować - wyszeptała Wendy. - Idźcie swoją drogą, a my pójdziemy swoją.

- Nie tak szybko - odparła ta większa, wyciągając zza pleców łańcuch. - Nie wywiniecie się tak łatwo.

- Można je zabić? - spytała zupełnie wyraźnie Elgars. Stała wyprostowana, trzymając ręce wzdłuż boków. Jej głos był kompletnie wyprany z uczuć.

- Och nie! Ochrona strasznie wścieka się o takie rzeczy.

- Rozumiem - mruknęła Elgars i ruszyła do przodu. W jednej chwili dziewczyna dopadła przywódczynię gangu i zablokowała przedramieniem cios jej pałki, a następnie drugą ręką wyrwała jej z nosa kolczyk.

- To cię nauczy słuchać - warknęła i uderzeniem czołem w twarz posłała ją pod ścianę.

Tymczasem Wendy sięgnęła do torebki i wyjęła z niej glocka z tłumikiem.

- To powinno was ostudzić - wycodziła przez zęby. - Nikt nie usłyszy, jak poślę was do grobu, żaden strażnik nie zainteresuje się tym, kto was rozsmarował po ścianach. Może więc pójdziecie na spacer, a my pójdziemy swoją drogą?

Pozostała trójka natychmiast uznała, że koniecznie muszą sprawdzić, co się dzieje w kilku oddalonych stąd korytarzach.

Ale zanim zdążyły odejść, Elgars podskoczyła do jednej z kobiet i kopnęła ją tam, gdzie mężczyzna szczególnie nie lubi być bity. Nóż i łańcuch poleciały w bok. Kobieta zaczęła

rozpaczliwie wrzeszczeć, a wtedy Annie kopnęła ją w bok głowy.

- Skoro nie chcesz grać, trzeba było nie przynosić piłki! - syknęła i uderzyła ją zaciśniętą pięścią. I tym razem mówiła wyraźnie, niskim i czystym głosem.

- Ona ma już dość, Annie - powiedziała Wendy, pochylając się nad szefową bandy i sprawdzając jej puls. Był równy i silny, co zdziwiło ją, kiedy przypomniała sobie, z jaką siłą została uderzona w głowę. Uchyliła powieki dziewczyny i stwierdziła, że niedługo może odzyskać świadomość. Tymczasem jej kamratka jęczała głośno, przytomniejąc.

- Niech was diabli porwą - syknęła Wendy. - Macie więcej szczęścia niż na to zasługujecie. Radzę wam iść do ambulatorium. Ma wstrząs mózgu - powiedziała, wskazując na przywódczynię. - A teraz zmywajmy się stąd.

- Rcja, nie kcemy kłoptów.

Pokonały kilka zakrętów i krótki korytarz pomocniczy, i znalazły się w przyjemniejszym otoczeniu. Na placyku zgromadziło się prawie czterysta osób. Przeważali starsi, którzy odpoczywali na metalowych ławkach, grali w gry, rozmawiali i sączyli drinki. Pomiedzy nimi można było zauważyć trochę młodszych kobiet i dzieci. Te ostatnie bawiły się na ogrodzonym terenie, który przypominał klatkę ogromnego chomika. Na środku stał wielki kołowrót, w którym rozradowane dzieci biegały ile sił w nogach.

Wendy nie zatrzymała się nawet na chwilę; szła niestrudzenie dalej, w kierunku celu ich wędrówki.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała, ściągając windę. - Podmieście zostało bardzo logicznie zaprojektowane. Kiedy przywykniesz do sposobu rozplanowania pomieszczeń, w mig się połapiesz, co gdzie jest. Strefa bezpieczeństwa jest na poziomie A, w pobliżu centrum.

Elgars wskazała czerwoną skrzynkę, którą właśnie minęły. Była to już druga taka skrzynka, nie naruszona i cała, przypominająca zestawy ratunkowe z niższych pięter. Te opisane były plakieta „Tylko dla personelu Rt”.

- To zestaw awaryjny - wyjaśniła Wendy. - Zawsze na rogu stref 4/4/4 znajduje się taka skrzynka. Zawiera podstawowy ekwipunek medyczny i przeciwpożarowy. Kilka masek tlenowych klasy B, zestaw reanimacyjny, defibrylator, sprzęt do gaszenia ognia i otwierania drzwi. Skrzynka może zostać otwarta jedynie przez autoryzowany personel. Zamiast zwykłego zamka jest czytnik kodu kreskowego. Mogę ci pokazać, co jest we wnętrzu, gdyż należę do rezerw służb ratowniczych. Zrobiłam odpowiedni kurs i mam nadzieję, że pewnego dnia przyjmą mnie do czynnej służby.

Elgars wskazała na metalowe kraniki na suficie i spytała:

- Ogn?

- Tak. Mają tłumić płomienie - przytaknęła Wendy. - W niektórych sekcjach, tam gdzie jest dużo komputerów, zamiast pompować wodę gaszą dwutlenkiem węgla. Ale pomimo takich zabezpieczeń istnieje niebezpieczeństwo dużego pożaru. Jak do tego dojdzie, jesteśmy skończeni. Podmieście jest jak statek: albo zwalczysz płomienie, albo idziesz na dno. Alternatywą jest ucieczka na górę, ale skoro siedzimy tutaj, to znaczy, że nie chcemy wyjść, prawda?

- Ale czemu... Ale czemu? - spytała Elgars, rozglądając się na boki. Najwidoczniej niedawna bijatyka nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

- Nie powiedzieli ci?

- Nooo - odparła z trudem. - Nigdy nie pytała.

- Nie chciało ci się z nimi gadać, co? - mruknęła Wendy, ponownie skręcając. Korytarz był jasno oświetlony i wyglądał na rzadko używany. Panele po obu stronach mijanych drzwi świeciły na czerwono, co oznaczało, że są zamknięte. - Jesteśmy pod górami Północnej Karoliny. Mówi ci to

coś?

- Nooo - odparła Elgars i wyraźnie zamyśliła się. - W... widziałm m... mapę. A... ash...

- Nie chodzi o Asheville - odparła Wendy. - To bardzo długa historia.

- Mów.

- Kiedy Posleeni zaatakowali... Fredericksburg... - Głos Wendy lekko zadrżał na wspomnienie potworności, jakie spotkały jej rodzinne miasto. - Większość Podmieść nie była gotowa na przyjęcie uchodźców. W Północnej Wirginii były prawie dwa miliony uchodźców, a cały Fredericksburg zamienił się w kupę gruzów. Wiesz, cały ten ciężki sprzęt i bomby... Musieliśmy się spieszyć, bo Posleeni mogli w każdej chwili wrócić. Poza tym większość ocalałych była w... fatalnym stanie. W każdym razie to Podmieście było jedynym prawie ukończonym na całym wschodnim wybrzeżu. Tutaj najwcześniej zaczęła się budowa; miejscowy kongresman wywalczył tę lokalizację, mimo że była dość idiotyczna.

Elgars wydała z siebie nieokreślony dźwięk, a Wendy skrzywiła usta.

- Większość Podmieść położona jest w pobliżu tras międzystanowych, niedaleko miast. Pod Asheville znajdują się dwa ogromne kompleksy, które pękają w szwach. My znajdujemy się niedaleko Franklin. To taka niewielka miejscina, której nie można znaleźć na mapie. Kompleks umieszczono właśnie tutaj, gdyż tak chciał pewien kongresman, który zasiadał w Senacie chyba od wieków i był przewodniczącym komisji budżetowej Podmieść. Największym naszym problemem są zapasy. Dostajemy ich mało, a na dodatek musimy o nie walczyć z wojskowymi. Większość sprzętu i żywności jest bowiem przeznaczona dla garnizonów broniących Rabun Gap. Wojsko praktycznie siedzi nam na głowie; ich linie zaopatrzenia krzyżują się we Franklin, dlatego od początku mamy kłopoty. Jest taki wiersz Kiplinga mówiący o tym, że żołnierzom daleko do świętych... Mieszanka wojskowych po służbie i podziemia pełnego kobiet z początku okazała się wybuchowa. Teraz oni siedzą na górze, a my na dole, i prawie wszyscy są szczęśliwi.

Pokręciła głową, uśmiechając się do własnych myśli.

- Jesteśmy jedynym Podmieściem, które ma takie kłopoty. Jesteśmy bardzo blisko linii frontu. Kiedyś sporo mówiło się także o Rochester... - dodała i zamilkła.

- Co? - spytała Elgars.

- To było gorsze od Fredericksburga. Posleeni dostali się do środka i potem nie było już co zbierać. Spod ziemi jest tylko jedna droga na zewnątrz: ta sama, którą można dostać się do środka. Obrońcy podobno drogo sprzedali swoje życie. Nikt nie przeżył.

- Och...

- Dlatego ilekroć słyszymy o walkach w pobliżu Rabun Gap, jesteśmy trochę zdenerwowani. Jeśli Posleeni się przedrą, nie będziemy mogli nic na to poradzić.

Elgars pokiwała głową i rozejrzała się dookoła. Podobnie jak Wendy, większość ludzi była bardzo biednie ubrana. Rzuciły się jej w oczy dwie nastolatki, które miały na sobie szorty i bluzeczki na ramiączkach w krzykliwych kolorach. Ubrania były bez wątpienia nowe, jednak ich krój... był dziwny i różnił się od reszty ciuchów, jakie widziała w Podmieściu.

Widząc jej zdziwione spojrzenie, Wendy mruknęła:

- Wojskowe kurwy.

- Cooo?

Wendy wzruszyła ramionami.

- Każdy znajduje sobie tutaj jakieś zajęcie. Niektórzy są robotami, inni biegają po korytarzach i udają złych ludzi. Jeszcze inni starają się... zabawić. Żołnierze mają zakaz schodzenia na dół, ponieważ jest z nimi zbyt wiele kłopotów. - Z wyrazu twarzy Wendy można było wyczytać, że za tym

jednym zdaniem kryje się cała masa opowieści i historyjek. - Po kilku ekscesach dowódcy wojskowi i straży doszli do porozumienia, że najlepiej będzie zakazać wojakom wizyt na dole. Nam jednak wolno wychodzić, i niektóre dziewczyny bawią się w... najstarszy zawód świata.

- Nie ro... zmie...

Wendy popatrzyła na nią uważnie i uśmiechnęła się.

- Ty naprawdę nie kapujesz, o co mi chodzi?

- Nooo.

- No cóż, pani kapitan - powiedziała z westchnieniem i poprawiła torbę na ramieniu. - Puszczają się za pieniądze. A w zasadzie za wszystko, co dostaną. Głównie fajne ciuchy i jedzenie, które mogą zabrać ze sobą. I elektronikę, której prawie nie mamy tutaj na dole.

Elgars rozejrzała się po ścianach z kompozytów i nie kończących się korytarzach. Próbowwała sobie wyobrazić, jak to jest tkwić tutaj od lat.

- No i?

Wendy ponownie wzruszyła ramionami.

- Nieważne. To, dlaczego ludziom jest tak źle tutaj, pod ziemią, to długa i bardzo skomplikowana opowieść.

Annie pokiwała głową. Dotarły do drzwi oznaczonych tabliczką „S&A Służby Bezpieczeństwa”. Po prawej stronie korytarzyka znajdowało się niewielkie zamknięte pomieszczenie.

- Wpuść mnie, David, mamy gościa.

- Masz broń. Dziwię się, że tu dotarłaś - odezwał się metaliczny głos z głośnika umieszczonego niemal dokładnie nad ich głowami. Drzwi rozsunęły się z mechanicznym buczeniem.

- Obeszłam po prostu wszystkie czujniki - wyjaśniła Wendy. - Dobrze, że mi się udało.

Pomieszczenie za drzwiami sprawiało niemiłe wrażenie. Całą lewą ścianę zajmował okryty siatką maskującą stojak na broń. Naprzeciwko drzwi znajdowało się niskie biurko, za którym siedział na wózku inwalidzkim barczysty, ciemnowłosa mężczyzna. Kiedy Elgars i Wendy weszły do pomieszczenia, objechał biurko i zbliżył się do nich.

- Jakies kłopoty? - spytał.

- Nic, z czym byśmy sobie nie poradziły - odparła Wendy, w dalszym ciągu czując przyływ adrenaliny.

- A kim jest nasz gość? - Mężczyzna wbił wzrok w Annie.

- David Harmon, to kapitan Annie O. Elgars - przedstawiła ich sobie z uśmiechem Wendy. - Pani kapitan odniosła pewne obrażenia i teraz wraca do formy. Ma amnezję i kłopoty z mówieniem. Choć tego nie pamięta, potrafi posługiwać się bronią. Musimy sprawdzić, co umie i pamięta.

- Pamięta? - Harmon zmarszczył brwi. - Moje nogi nie pamiętają, jak się biega, więc jak jej ręce mają pamiętać, jak się strzela?

- Lekarze twierdzą, że wykonywanie większości czynności odbywa się bez udziału mózgu. Annie pamięta, jak się je, pisze i tak dalej. I... hmmm... Blades powiedziała by, że Annie zna podstawy sztuk walki. Powinniśmy chociaż spróbować.

- Byłaś kiedykolwiek na strzelnicy? - spytał Harmon, a spoglądając na Wendy, dodał: - Blades?

- Zwariowana Lucy i Duży Chłopiec - wyjaśniła Wendy. - Bawiła się z nimi.

- Raaa... cja - przytaknęła Elgars. - Paaa... miętam.

- Pani kapitan nie wróciła jeszcze w pełni do zdrowia - powiedziała cicho Wendy. - W dalszym ciągu ma pewne...

- Kłopoty z artykulacją - dokończył za nią Harmon. - Każdy z nas w tym cholernym miejscu ma

jakieś kłopoty. - Wskazał na swoje nogi.

Potem rozsunął zamek torby i zaczął wyjmować jej zawartość.

- MP-5SPD. Ładna sztuka. Tłumik. Używała go pani, pani kapitan?

- Ne... Ne... wem - odparła Elgars. - Ne pam... e... tam.

- W szafce miała także barretta - dodała Wendy.

- To bez sensu - mruknął Harmon, wyciągając z torby kolejny pistolet. - Desert eagle .44. To nie jest broń snajpera. Przynajmniej nie takiego z regularnych oddziałów. Była pani w oddziałach specjalnych?

- Nie - odparła Elgars, marszcząc brwi. - Wee... dług do... mentów Trzy... trz... cia i Sześć...

sss... eet. - Westchnęła ciężko i mruknęła rozłoszczona: - Wszyszyszko ź... źle.

Harmon popatrzył zdziwiony na dziewczyny.

- Nic o tym nie wspominałaś.

- Została przeniesiona na leczenie - wyjaśniła Wendy, wzruszając ramionami. - Nie wiem, czy będą ją chcieli z powrotem, ale przydałby się jej trening. Niech się chociaż nauczy podstaw.

- Ech - westchnął instruktor. - Jest w tym tyle sensu, ile we wszystkim, co się tu działo przez ostatnie sześć lat.

Podjechał do niewielkich drzwi w tyle pomieszczenia.

- Znajdź jej jakieś nauszники, a ja przygotuję strzelnicę.

* * *

Harmon podał Annie glocka i uważnie obserwował jej ruchy.

- Broń nie jest naładowana, ale nigdy nie należy wierzyć na słowo. Skieruj ją w dół i trzymaj palec z dala od spustu.

Elgars wzięła pistolet do ręki i obejrzała go podejrzliwie. Na strzelnicy ustawiono w odległości od pięciu do trzydziestu metrów kilka celów w kształcie ludzkich postaci. Przyjrzała się jednej z kukieł, przekrzywiając głowę na bok jak ptak.

- Wglą... dają znajomo. Ws... a... dzić, prze... a do... wć i szczelać?

- Tak.

Elgars ważyła broń w dłoni, cały czas trzymając ją opuszczoną do dołu.

- Coś n... nie gra - powiedziała wreszcie, obracając się do instruktora. Pistolet znalazł się na wysokości piersi mężczyzny, który gwałtownie wyprostował się na krześle.

- Unieś broń! - krzyknął, chwytając dłoń Elgars i odsuwając ją bezpiecznie na bok. - Trzymaj ją skierowaną w dół, a nie na ludzi! No dalej, załaduj, odbezpiecz i strzelaj. Tylko do nikogo nie celuj, ok?

- Prze... pszam - odparła Elgars. - Ale coś je... st nie... e tt... ak.

Wzięła magazynek ze stolika, sprawnie załadowała go i odbezpieczyła broń.

- Ej, wiesz, co robisz? - spytała Wendy.

- Go... ow po lefej? - mruknęła pod nosem Annie.

Harmon uśmiechnął się odparł:

- Gotowi na lewej? Gotowi na prawej? Wszyscy gotowi! Strzelaj!

Nim ktokolwiek zdążył otworzyć usta ze zdziwienia, wszystkie pięć celów zostało trafionych w pierś i głowę. Strzelnicę wypełnił ogłuszający huk i błyski gazów wylotowych z lufy rozświetliły półmrok. Kiedy pusty magazynek upadł na podłogę, Wendy i Harmon stali jak oniemiały. Annie tak błyskawicznym ruchem przeładowała broń, że można było założyć się, iż stało się to za sprawą czarów.

- O żesz kurna - wymamrotał Harmon, podczas gdy Wendy nadal stała z otwartymi ustami.

- Wszystko w porządku, sierżancie? - spytała Elgars lekko zawstydzonym głosem.
- Tak, jak jasna cholera - odparł Harmon, oganiając się od dymu. - W jak najlepszym porządku.

Rochester, Nowy Jork, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

10:14 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 13 września 2009

- Myślę, że idzie całkiem nieźle - powiedział pułkownik Cutprice. Potem szybko przykucnął, chowając się przed rykoszetującą od osłaniającego go pancerza kulą, i dodał: - Mogło być gorzej.

- I pewnie tak by się stało, gdyby nie ostatnia dostawa Skaczących Barbie - mruknął pod nosem sierżant Waclewa. - No i gdyby nie Hiszpańska Inkwizycja.

- Mam sprawę, niewielką, ale być może ważną - powiedział Sunday, podczołgując się do nich. - Przydałoby nam się trochę Barbie, sir.

Wystawił na chwilę głowę ponad osłonę, a potem szybko się skulił.

- Nieźle się tu spisaliśmy, ale z pomocą tych cudeniek dalibyśmy sobie jeszcze lepiej radę.

Cutprice pokręcił z wolna głową.

- Wiecie, czemu nazywają je Skaczącymi Barbie, Sunday?

- Tak, sir - odparł sierżant. - Tak naprawdę powinny nazywać się Wygłupem Duncana, ale ta druga nazwa jest lepsza, bo miny przypominają blondynki. Powalają każdego człowieka na kolana.

M-281A była miną pochodzącą z początku wojny, kiedy technologie GalTechu były jeszcze słabo rozpowszechnione. Od tamtej pory Federacja dostarczała je Ziemianom regularnie, choć ostatnimi czasy nie była w stanie sprostać zapotrzebowaniu.

Na pomysł tej broni wpadł przypadkiem członek pierwszego batalionu 555 dywizji piechoty mobilnej. Plutonowy Duncan, który był złotą rączką i konstruktorem amatorem, zaczął kiedyś grzebać w podzespołach Osobistego Pola Ochronnego. Usunął wszystkie blokady bezpieczeństwa, w wyniku czego powstała pojedyncza, rozprzestrzeniająca się koncentrycznie fala energii.

Uwolniona energia, pozbawiona wszelkich ograniczników, sprawiła, że niematerialne „ostrze” przeszło na wylot ściany kilku pięter baraków wojskowych, przy okazji obcinając nogi koledze Duncana z pokoju.

Śledztwo trwało sporo czasu, ale w końcu ktoś zaczął zadawać właściwe pytania. Okazało się, że technicy Indowy nie będą mieli żadnych problemów z masową produkcją zmodyfikowanych generatorów, które udało się dostosować do „platformowej wyrzutni min”.

W ten sposób artyleria otrzymała nowy rodzaj amunicji, która przenosiła czterdzieści osiem niewielkich min. Każda z nich przypominała mały spłaszczony dysk, który żołnierze nazywali „krowim plackiem”, o dosyć ograniczonych zdolnościach motorycznych. Jego powierzchnia potrafiła zmieniać barwę, dostosowując się do wyglądu terenu, choć bazowym kolorem pozostała żółć przypominająca posleńską krew.

Po wystrzeleniu z działa dyski spadały na obszar o długości dwustu metrów i szerokości siedemdziesięciu metrów. Jeśli cokolwiek zbliżyło się do miny na odległość dwóch metrów, mina podskakiwała w górę i generowała pole energetyczne o promieniu pięćdziesięciu metrów. Siłę tej fali poddawało się wszystko, poza najtwardszymi pancerzami GalTechu, co oznaczało, że Posleeni byli dosłownie szatkowani na plasterki.

Ogromną zaletą broni, rzecz jasna z ludzkiego punktu widzenia, było to, że mina posiadała baterię „pokładową”, która umożliwiała jej ponowne zadziałanie. Zwykle przemieszczała się kilka metrów, osiadała pomiędzy szczątkami i maskując się, czekała na kolejną ofiarę. Stosy poszatkowanych trupów były nieomylnym znakiem, nawet dla głupich normalsów, że w okolicy

znajdują się pola minowe. Jedyną reakcją Wszechwładców było w takim przypadku przepędzanie po terenie kolejnych fal swoich poddanych, aż ładunki wreszcie wyczerpały swą moc i stawały się niegroźne. Tak więc Barbie mogły sprawić Posleenom taką rzeź, o jakiej nie można byłoby marzyć przy użyciu normalnych pól minowych.

- Ale my ich naprawdę potrzebujemy, sir - próbował przekonywać Sunday. - Chociażby dlatego, że rozniosą na strzępy te stosy trupów i będzie nam łatwiej chodzić. Poza tym będzie niezły ubaw, jak się popatrzy na tę trupiarnię.

- Jesteście tak zażarci, Sunday, że przy was O'Neal wydaje się miłym i spokojnym kolesiem - wtrącił sierżant Waclewa i na jego twarzy pojawił się upiorny uśmiech. Najwidoczniej podzielał zdanie Sundaya.

- O wilku mowa - powiedział Mike, wspinając się po zboczu. Przyklęknął obok nich i położył na ziemi szczątki pancerza.

- Juarez - rzekł. - Służył w batalionie, zanim jeszcze objąłem dowodzenie kompanią Bravo. Należał do oddziału Stewarta. Dobry żołnierz, duża strata.

Cutprice spojrzał na zbroję. Coś, zapewne działło plazmowe, dosłownie wyżarło górną część pancerza.

- Ilu pan stracił, majorze?

- Dwudziestu sześciu - odparł O'Neal, podnosząc się z klęczek i rozglądając po okolicy. Przez chwilę na polu bitwy panowała kompletna cisza, a potem huragan ognia zmusił go do skulenia się za osłoną. - Większość z nich to młodziki, które popełniają najgłupsze błędy.

Znowu dała się słyszeć kanonada. Cutprice i Waclewa skulili się jeszcze bardziej, a Sunday, klnąc pod nosem, rzucił się w bok, zawzięcie szukając karabinu. Jedno z rozstawionych na trójnogach działek, trafione posleeńskim pociskiem, poleciało, koziołkując, do tyłu. Jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że nie będzie już z niego wiele pożytku.

* * *

- Cholerny świat, pułkowniku! - wrzasnął Sunday. - Te skurczybyki niszczą moje zabawki!

- Przykro mi to słyszeć - mruknął O'Neal. Przyklęknął w kałuży i przełączył widok z pancerza na zewnętrzną kamerę. - Cutprice, czemu taplasz się w błocie? Nieważne. Macie informacje na temat Barbie w okolicy. Powinniśmy umieścić je na zboczu; pocięłyby Posleenów na kawałki i moglibyśmy jakoś poruszać się po wzgórzu. Poza tym niezłe byśmy się ubawili, patrząc na to przedstawienie.

- Jesteście bliźniakami rozdzielonymi po urodzeniu czy co? - spytał Cutprice. - A co do błota, to tarzam się w nim przez rykoszety od twojej zbroi. Uważaj, bo kogoś zranisz.

Mike zdjął hełm i spojrzał na niego zdziwiony.

- O czym ty mówisz?

- Dostał pan kilka kulek i nawet pan tego nie zauważył? - mruknął Waclewa.

- Nie - odparł Mike. - Przykro mi, ale zupełnie nie zauważyłem.

- Dobrze panu - burczał dalej Waclewa, wyjmując z pancerza spłaszczony pocisk. - Niektórzy z nas nie siedzą zakuci po uszy w pancerzu ze stali plastycznej.

- Mamy problem - powiedział Cutprice. - Jeśli pošlemy żołnierzy w dół zbocza, zostaną wybici do nogi. Musimy jakoś rozbić tę horde.

- Ja bym ich wysadził w powietrze. Atomówką, taką małą, ale mocną. - Sunday wyglądał na całkowicie przekonanego do tego pomysłu.

- To by było niezłe rozwiązanie - przytaknął Cutprice. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ledwie powstrzymywali siły Posleenów, nie mówiąc już o ich odepchnięciu. - Ale prezydent zbiesiła

się i powiedziała „nie”.

- Czas na Hiszpańską Inkwizycję? - spytał O'Neal, otwierając jedną z kieszonek. - Sierzancie, przepraszam za kłopoty z mojej strony. Co pan powie na fajkę pokoju?

- Powiem „jasne, stary” - odparł Waclewa i śmiejąc się cicho, wyciągnął z paczki Pall Malla bez filtra. - Keren już zaczął Inkwizycję. Wysłał pluton żandarmerii, którego dowódca miał kartkę z pytaniami. Zadawali po trzy pytania, głównie oficerom i dowodzącym. Jeżeli ktoś oblał dwa, zostawał zdymisjonowany. W ten sposób pozbyliśmy się połowy nierobów i obiboków, a na ich miejsce znaleźli się ludzie, którzy umieją i chcą działać.

- Jedyne rzecz, jaka mi się nie podoba, to że nie był to mój pomysł - mruknął Mike. Wsadził papierosa do ust i uruchomił miotacz ognia, po czym przypalił Marlboro od dwumetrowego płomienia. Zaciągnął się głęboko i wyłączył gaz. - To nie jest dobra metoda, jeśli chodzi o piechotę, ale artyleria to zupełnie inna broszka. Jak nie potrafisz wykopać dołu w ziemi, nie powinieneś być w wojskach inżynieryjnych. Nie umiesz dobrać anteny, nie będziesz łącznościowcem, prawda? A jak nie potrafisz obliczyć siły wiatru, to nie powinieneś być cholernym dowódcą działa.

- Muszę sobie taki sprawić - powiedział Sunday, wyciągając z kieszeni paczkę Marlboro. - Mogę spróbować?

- Jasne - odparł Mike.

Sunday pochylił się i przypalił papierosa od płomienia, po czym głęboko się zaciągnął i mruknął pod nosem.

- Uwielbiam to.

- To nie jest standardowe wyposażenie - powiedział Mike, spoglądając na miotacz ognia. - Wprowadzili go na moją prośbę, po tym jak suszyłem głowę komitetowi o kilka usprawnień. Pancerny Ronco naprawdę może wykazać się dużą skutecznością.

- Rozumiem, że dzięki twoim modyfikacjom tnie na plasterki, sieka na drobne i przysmaża na złocisty kolor? - spytał ze śmiechem Cutprice.

- Chwytasz, co miałem na myśli - przytaknął Mike. - Czasem przydaje się do przypalania kolegom papierosów. A teraz z innej beczki. Jak zamierzamy dobrać się do dupy tym skurwielom, a sami pozostać przy życiu?

- Rozumiem, że nie podejmiesz się tego zadania?

- Nie zamierzam - odparł O'Neal, opierając się o zwłoki sierżanta Juareza. - W dzisiejszych walkach straciłem jedną czwartą moich ludzi. Nie jest jeszcze tak źle, jak było w Roanoke, bo tam wpadliśmy naprawdę w poważne szambo, ale jeśli wychylimy nosa poza ten wał ziemny, zjedzą nas żywcem. Możemy utrzymać pozycje, ale nie ma co marzyć o dalszym szturmie. I tak siedzimy tu dzięki osłonie artylerii.

- To oznacza, że chłopaki nie przeżyją - powiedział Waclewa, pokazując podbródkiem na szpital. - Wytną ich co do nogi.

- Wyjrzał pan na dłużej z okopu, sierzancie? - spytał kpiącym tonem Sunday. - Posleeni giną tam tysiącami na minutę, co mogłoby wydawać się sporym osiągnięciem, gdyby nie to, że i tak wybicie ich zajmie nam czterdzieści dni i czterdzieści nocy.

- A w tym czasie oni rozmnożą się jak króliki i zaleją całe wybrzeże - dodał Mike. - Chutliwe łobuzy.

Zaciągnąwszy się papierosem, O'Neal pogрузił się w ponurych rozmyślaniach. Sięgnął ręką do tyłu i zacisnął palce na złamanym mieczu boma. Właśnie oglądał ostrze, kiedy rozległ się terkot karabinu i nad jego głową śmignął pocisk z moździerza. Potem seria kul wybiła mu ostrze z ręki, niszcząc je doszczętnie.

- W dalszym ciągu mają przewagę ognia - stwierdził spokojnie O'Neal, kiedy reszta żołnierzy przypadła obok niego do ziemi. - Jak się nie zabije pierwszego miliona, strzelają aż do wykończenia zapasów amunicji. A jak już zabijesz pierwszą falę, przychodzi druga, a ci mają pełne magazynki. Mieliśmy taką sytuację w... Jezu Chryste... chyba w Harrisburgu Jeden. Zatrzymaliśmy pierwszą falę, wykończyliśmy ich co do jednego, ale potem przyszli ich koledzy z tyłów i cała zabawa zaczęła się od początku. Tak to chyba wyglądało. Nie pamiętam dokładnie, bo sporo czasu już upłynęło od tamtej kampanii. Jeżeli teraz pozwolimy sobie na taki błąd, otoczą nas. Coś takiego miało miejsce, kiedy wycofywaliśmy się z zewnętrznych pozycji obronnych i nagle znaleźliśmy się w ciasnym korytarzu między Posleenami.

- Czyli ta opcja odpada - powiedział Cutprice. - Co zatem robimy?

Mike położył się na ziemi i spojrzał w niebo. Nadal było zachmurzone, ale lekki deszczyk z wolna przestawał padać. Na wschodzie wstawało słońce i jego pierwsze promienie nieśmiało padały na ziemię. Dopiero teraz Mike zdał sobie sprawę, że świta.

Przeturlał się na brzuch i wsadził palce w rdzawy pył. Okoliczne budynki zostały wzniesione z cegły, która w wyniku walk zamieniła się w sypką glinę. Przypomniały mu się rodzinne strony. Ciekawe, co jest pod spodem? Zaczął rozgrzebywać resztki cegieł. Potem spojrzał ku wzgórzom i rzece, choć bardziej wydawało się, że obserwuje dym z papierosa. Założył hełm i klęknął.

Cutprice skulił się tuż obok, kiedy nawała ognia ponownie uderzyła w okop.

- Zamierzasz kontemplować przyrodę czy coś wymyślisz? - spytał.

Mike uniósł do góry palec wskazujący, nakazując mu ciszę, i skulił się przy ścianie okopu.

- Mam pewien pomysł - powiedział konspiracyjnym szeptem. - Mama byłaby ze mnie dumna, w końcu czytanie ocali mi tyłek.

- Czytanie? - spytał zaskoczony Sunday.

- Tak, opowiadań Keitha Laumera.

* * *

Pułkownik Wagoner spoglądał z niedowierzaniem na monitor.

- Pan wybaczy, generale, ale czy byłby pan łaskaw powtórzyć?

Homer uśmiechał się, a to mogło oznaczać tylko najgorsze, zwłaszcza dla osoby, z którą rozmawiał.

- Oczywiście, pułkowniku. Ma pan przekroczyć rzekę Genesee i udzielić bezpośredniego wsparcia piechocie mobilnej i Dziesięciu Tysiącom. Ich natarcie zostało zatrzymane na wale ziemnym równoległym do Mount Hope Avenue. Wasze zadanie to przeprowić się przez nurt, dotrzeć na wyznaczone pozycje i wspomóc ogniem nasze jednostki.

- Generale - próbował protestować Wagoner, myśląc o konsekwencjach takiego manewru. - Zdaje sobie pan sprawę, że... - Przerwał na chwilę, usiłujące zebrać chaotyczne myśli. - Po pierwsze, nasze pociski to nie są zwykłe szrapnele. Jeżeli trafimy w cel, a po to jesteśmy, nastąpi eksplozja nuklearna o sile równej jednej czwartej tej z Hiroszimy. Odczują ją nawet w Tybecie. Po drugie, nasze działo ma ogromny zasięg, a na linii strzału znajduje się kilka ufortyfikowanych miast, które mogą zostać trafione. No i na koniec, choć wyglądem przypominamy czołg, to nim nie jesteśmy. Brakuje nam osłony przed bezpośrednim ogniem, zwłaszcza aparatu motorycznego. Innymi słowy, Posleeni mogą nas unieruchomić. Poza tym jeśli im się poszczęści i trafią nas raz, a porządnie, to będzie pan miał grzyb atomowy, przy którym atak na Szanghaj będzie wyglądał jak zwykła petarda. Straci pan wszystkich żołnierzy w rejonie i większość po tej stronie rzeki.

Odczekał chwilę, mając nadzieję, że Homer pojmie jego słowa.

- I co z tego? - spytał generał.

- Rozumiem... Wykonamy rozkazy.

- Doskonale. Chyba zapomniał pan, że bez osłony piechoty Posleeni otoczyliby was i dobrali się wam do tyłków. A to chyba najwrażliwsze miejsce, czyż nie? Nie macie żadnej broni przeciwpiechotnej.

- Tak, sir - przytaknął Wagoner. - Ma pan rację.

- Poza tym jeśli Dziesięć Tysięcy nie będzie miało okazji zebrać się do kupy, będziecie musieli przebić się przez nich, a jeżdżenie po trupach własnych żołnierzy nie będzie miłe, mam rację?

- Racja, sir - znowu przytaknął pułkownik.

- Przeoczył pan jeszcze jeden szczegół. W przypadku wyjątkowo nieszczęśliwego trafienia w magazyn amunicji nastąpi eksplozja o sile siedemdziesięciu kiloton, która zabije wszystkich Posleenów w promieniu wielu mil i wyżłobi w ziemi wielki krater. Sądząc z ukształtowania terenu, będzie ona miała wpływ na rzekę Genesee i kanał Erie. Biorąc pod uwagę grząskość terenu, Posleeni będą musieli przedostać się przez dwa rozległe obszary wodne, co opóźni ich marsz i da czas na zgrupowanie sił lokalnej milicji w Buffalo.

Nagle Wagonerowi przypomniało się, że przed wstąpieniem do wojska Homer był inżynierem.

- To rozwiązanie, którego... nie dostrzegłem.

- Niech mnie pan uważnie słucha, pułkowniku - powiedział generał, uśmiechając się tak, jakby mówił do dziecka. - Ma pan ruszyć przez dolinę Genesee, przekroczyć rzekę, a potem bezpośrednio nim ogniem zaangażować się w starcie z Posleenami, aby wspomóc piechotę mobilną. Strzelajcie nisko, często i celujcie we wzgórza. Jeżeli dojdzie do wybuchu antymaterii, to trudno, niektórych rzeczy na wojnie nie da się uniknąć. Pod waszą osłoną Dziesięć Tysięcy przegrupuje się i osłoni flankę. Piechota mobilna zapewni wam osłonę przeciwpiechotną, wykorzystajcie też krzywiznę zbocza. Według naszych informacji, idealnie nadaje się do osłonięcia takiego pojazdu jak wasz. Zrozumiano? Aha, postarajcie się nie trafić w Nowy Jork.

- Tak jest, sir - odparł Wagoner, zdając sobie sprawę, że Homer nie popiera z całego serca tego pomysłu. Najwidoczniej to nie on go zaproponował.

- Aha, pułkowniku.

- Tak?

- Nie dajcie im trafiać, szczególnie w magazyn amunicji.

- Dobrze, sir. Zrobimy co w naszej mocy. Czy mogę zadać pytanie?

- O co chodzi? - spytał ostro Homer.

- Dziesięć Tysięcy ma się usunąć nam z drogi, ale co z pancierzami? Jeżeli przypadkiem najedziemy na nich, to...

Homer przez chwilę nie odpowiadał, a potem uśmiechnął się, rozbawiony własnymi myślami.

- Pułkowniku, czy oglądał pan kreskówki z dziećmi? Zwłaszcza taką jedną o Strusiu Pędziwiatrze i kojocie?

- Tak, sir.

- No to wiecie, co się stanie. Jeśli najedziecie na kogoś z piechoty mobilnej, on wygrzebie się z dołka. Jest taki żołnierz, którego pancierz przypomina zielonego demona. Macie moje osobiste pozwolenie, żeby pokazać mu, gdzie raki zimują.

W pobliżu Jeziora Seed, Stany Zjednoczone Ameryki, Soi III

11:47 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 13 września 2009

- Dobry cosslain - powiedział Cholosta'an, gładząc po grzbiecie przywódcą normalsów. Połowa oolt wróciła ze swego pierwsze go patrolu o własnych siłach, i wyglądało na to, że wykonali wszystkie rozkazy.

Wielu spośród cosslainów, normalsów o wyższej inteligencji - co oznaczało poziom w miarę bystrego imbecyla - nie byłoby w stanie zapamiętać wszystkich manewrów, jakie miał wykonać patrol. Ten jednak wybijał się ponad przeciętną i czasem w chwilach przeblysku inteligencji był w stanie zastąpić Wszechwładcę w wykonywaniu prostych obowiązków. Choć nie potrafił mówić, to jego gestykulacja była na tyle zrozumiała, że można było uznać go za elokwentnego.

- Czy widziałeś coś wartego uwagi? - spytał Cholosta'an, nakazując gestem oolt, aby rozpoczęli posiłek. Jedzenie stanowiły niewielkie grudki minerału, przypominające smakiem i wyglądem prawdziwy kamień, i choć smakowały ohydnie, to przynajmniej zajmowały w jakiś sposób uwagę jego żołnierzy. Sługa pokręcił przecząco głową.

- Za kilka godzin powrócicie tam - kontynuował Cholosta'an, przeżuwając porcję swojej racji żywnościowej; była niewiele lepsza od tego, co jedli jego podwładni. Jakże pragnął zwycięstwa, które zapewniłoby mu tyle łupów, by mógł poprawić dietę. - Jeśli

- napotkacie ślady ludzi, każdy ma wystrzelać po magazynku, aby sprowadzić najbliższego kessentai. Zrozumiano?

Cosslainowie pokiwali głowami na znak, że pojęli i zapamiętali polecenia. Ich trójkątne kły rozgryzały twarde racje żywnościowe niczym glebogryzarka.

- Świetnie - powiedział Cholosta'an. Wszyscy oolt'os wyglądali na dobrze odżywionych i zdrowych, więc nie pozostało mu nic więcej do roboty.

- Dobrze się spisałeś - powiedział Orostan.

Cholosta'an obrócił się. Oolt'ondai podszedł tak cicho, że młody kessentai nie usłyszał jego kroków.

- Czym mogę służyć, Oolt'ondai?

- Dbasz o swoich Polmos. Wielu kessentaiów, zwłaszcza tych młodszych, nie troszczy się o poddanych. Miło widzieć, że nie jesteś jednym z nich.

- Oni nie są w stanie zadbać o siebie - odparł Cholosta'an, zastanawiając się, dlaczego oolt'ondai w ogóle zwraca na niego uwagę.

- Pozwól, że o coś spytam - rzekł Orostan i nakazał gestem młodszemu kessentaiowi, aby ruszył za nim. Nowo wydrążona jaskinia rozbrzmiewała głosami Polmos oraz przeżuwaczy. Była to zaledwie niewielka część większej całości, która miała ukryć pod ziemią cały lęg Posleenów, z dala od szpiegujących oczu na niebie i ludzkiej artylerii. Z uwagi na ciągle rosnącą liczbę młodych oraz pędzonych głodem kessentaiów praca nad powiększaniem siedziby trwała bez ustanku.

Oolt'ondai zabębnił palcami po ozdobnym napierśniku, idąc pomiędzy tysiącami oczekujących Polmos. Zbici w ciasny tłum, tworzyli ciągnące się jak okiem sięgnąć morze, które falowało i rozstępowało się przed idącą dwójką. Biła od nich zadziwiająca mieszanka woni, zapach stada, które bez ustanku trwa w stanie wojny o przeżycie i zdobycie wyższego statusu. Te dwa instynkty nigdy nie zostały wykorzenione ze świadomości Posleenów. Podczas gdy Polmos czekali posłusznie na

rozkazy, nie sprawiając najmniejszych kłopotów, kessentaiowie, którzy wybijali się z tłumu postawą i bitnością, byli źródłem problemów. Pomimo wysyłania ich na patrole ciągle wdawali się w bójki i szulerskie awantury, co mogło stać się zarzewiem poważnych kłopotów. Gdyby w jaskiniach doszło do walk, na przykład z użyciem broni palnej, mogłoby to oznaczać dla całej kolonii zagładę.

- Rozejrzyj się dookoła i powiedz mi, ilu z tych kessentaiów dba o swoje oolt bardziej niż tylko rzucając im kilka ochłapów dla zaspokojenia głodu?

- Niewielu - odparł Cholosta'an. - Widzę wielu oolt, którzy są niedożywieni, a ich ekwipunek popadł w ruinę. Jestem pewien, że ich kessentaiowie mają kłopoty, ale wątpię, aby nie było ich stać na zakup nowej broni.

- Masz całkowitą rację - przytaknął ze złością Orostan. - Grupa nie może naprawić czy ulepszyć każdego kawałka złomu, którego ci biedacy używają do walki, ale posiadamy wystarczającą ilość thresh'c'oolt dla każdego. To nie moje zadanie troszczyć się o pojedyncze oolt. Ludzie powiedzieliby „To nie moja sprawa”. Dlaczego więc upewniam się, czy twój oolt jest w dobrej kondycji? I dlaczego ty... cieszysz się moją protekcją?

- Cóż... Ja... - Młody kessentai nie wiedział, co powinien odpowiedzieć. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nikt mu nie powiedział, iż powinien troszczyć się o swój oolt. To było dla niego... naturalne. Dzięki swoim podwładnym miał szansę zdobyć kiedyś nowe ziemie i poprawić poziom swojego życia. Bez sprawnie funkcjonującego oddziału mógł być zaledwie jednym z wielu nic nie znaczących kessentaiów. - Nie wiem.

- Powodem, dla którego wzięłem cię pod opiekę, jest to, jak traktujesz swój oolt - wyjaśnił Orostan. - Kiedy kazano mi wybrać podwładnych spośród nowych sił, zdecydowałem, w przeciwieństwie do wielu moich towarzyszy, że podejmę decyzję na podstawie tego, jak wyglądają ich oolt, a nie tego, jak są uzbrojone. Prawdę mówiąc, wasze uzbrojenie nadaje się na złom, ale przynajmniej o nie dbacie.

- Tylko na to było mnie stać - przyznał Cholosta'an. Strzelby, które zakupił dla podwładnych, były najtańsze z możliwych i niemal prymitywne. Nawet przy tak niskich kosztach popadł w potworne długi.

- Racja. Ale karabin kosztuje nie całe dwa razy więcej niż strzelba. Dlaczego nie zgromadziłeś mniejszej liczby Polmos, za to uzbrojonych w lepszą broń? Albo czemu nie wyposażyłes ich w wyrzutnie pocisków i karabiny, zmniejszając liczebność oddziału do jednej trzeciej? Musiałbyś doglądać mniejszego oddziału, który byłby bardziej efektywny.

Cholosta'an przez chwilę myślał nad odpowiedzią. To był niecodzienny pomysł, bowiem Posleeni uważali, że im czegoś więcej, tym lepiej. Po chwili odgadnął, dlaczego.

- Sieć... przydziela łupy proporcjonalnie do poboru. Żeby dostać najlepsze ziemie, zdobycze i działające urządzenia, trzeba dysponować sporym oolt. Musi być większy i sprawniejszy od innych. - Przerwał i przez chwilę milczał, a potem dodał: - Tak mi się wydaje.

- Sieć rozdziela łupy na podstawie efektów działań - odparł z naciskiem Orostan. - Gdybyś miał oddział o połowę mniejszy, ale lepiej uzbrojony, byłbyś w stanie więcej osiągnąć. Gdybym cię w przyszłości poprosił o rozpuszczenie części oddziału, uczyniłbyś to?

- Tak, jeśli... Jeżeli to byłoby dobre rozwiązanie.

- Tak zrobimy. Sprzedamy broń - znam pewnego kessentaiia, który specjalizuje się w tym i da nam dobrą cenę - i resztę twoich podwładnych odpowiednio wyekwipujemy. Zwolnieni z twojego oddziału zostaną przeniesieni do kessentaiów, którzy... rozbudowują bazę. Będą nas wspomagać, kiedy ruszymy. - Zamilkł na chwilę, a potem dodał z sykiem: - To najlepsze rozwiązanie.

- A jakie jest inne? - spytał Cholosta'an. - Thresh?

- Są gorsze rzeczy niż thresh. Musimy rozwiązać problem ludzkich „pól minowych”.

Młody kessentai rozejrzył się dookoła, omiatając wzrokiem tysiące Posleenów.

- Och.

- Fale posłusznych oolt’os oczyszczą pola, oolt Po’osol zburzą mury, a tenary rozprawią się z żołnierzami i artylerią... A wtedy, mój młody kessentai, my będziemy ucztować.

* * *

Reszta ćwiczeń na strzelnicy poszła gładko. Elgars wykazała się doskonałym opanowaniem każdego typu broni, jaka znajdowała się w jej plecaku. Praktycznie była w stanie z zamkniętymi oczami rozebrać na części MP-5, glocka, karabinek szturmowy steyr, potem ponownie je złożyć i prowadzić skuteczny ogień. Problem tkwił w tym, że nie знаła nazw broni.

Każdy z oddanych przez nią strzałów mieścił się w „trójkącie snajperskim”, czyli w górnej części korpusu i głowie. Gdy już rozprawiła się ze wszystkimi przeciwnikami, z wielką pewnością przeładowała broń. To był wystarczający dowód na to, że musiała przejść w swoim życiu szkolenie służb specjalnych. Ale nic z tego nie pamiętała.

Teraz obie kobiety wracały do jej pokoju. Elgars szła pewnym krokiem, sprawnie omijając patrole straży, co zdawało się nawet ją bawić.

- A więc... sss mog... nosyss bron? - spytała, pokazując na torbę z bronią.

- W zasadzie tak - odparła Wendy, zaglądając w korytarz, nim w niego weszły. - Teoretycznie nie wolno ci nigdzie ruszać się bez broni. Ale służby bezpieczeństwa strasznie się denerwują, gdy ktoś ma przy sobie chociażby najmniejszy pistolet.

- Nie III... ubią jej? - dopytywała się Elgars, przerzucając torbę z ramienia na ramię.

- Nie, mają całkiem pokaźną kolekcję broni, ale... - Wendy na chwilę zamilkła. - Do cholery, nawet bez broni popełnia się tutaj całą masę przestępstw. Jeśli nie wiesz, gdzie lepiej nie chodzić, szybko wpadniesz w tarapaty. Ludzie kradną i napadają na siebie nawzajem, a jak chcesz kupić broń, to wystarczy, że będziesz wiedziała, kogo o nią spytać.

- To sz... emu nie... - Elgars zamilkła, rozłoszczona tym, że nie potrafi normalnie mówić.

- Cóż... Im mniej broni, tym teoretycznie mniej przestępstw... - powiedziała gorzko Wendy. - To prawo panujące w Podmieściu. To strefa zdemilitaryzowana. Wchodząc tutaj, nie wolno ci posiadać broni. Jeśli masz jakąś, musisz ją oddać strażnikom, a ci przechowają ją w zbrojowni. Mieści się na poziomie pierwszym, nieopodal wejścia. Opuszczając miasto, możesz ją odebrać.

- Więc odejdz - powiedziała wolno i wyraźnie Elgars.

- Ty chyba wcale nie oglądasz wiadomości?! Wszystkie ataki Posleenów sprawiły, że na górze zapanowała nowa epoka lodowcowa. Co dzień jest tam niższa temperatura, a śnieg uniemożliwia podróżowanie od sierpnia do maja. Poza tym na powierzchni nie ma co robić; odkąd zaczął się najazd, cała gospodarka wzięła w łeb. No i są jeszcze dzicy Posleeni.

- Dż... dzicy?

- Tak. Mnożą się jak króliki; kiedy nie kręcą się w pobliżu własnych obozów, składają jaja gdzie popadnie. Ich jaja są rozsiane po całych Stanach. Większość tych dzikusów jest zdolna do samodzielnego przeżycia i całkiem nieźle daje sobie radę w dziczy. Są wszystkożerni, tak jak niedźwiedzie, więc nic dziwnego, że ciągnie ich do ludzi. Atakują każdego, kto stanie im na drodze. Zupełnie tak, jak by ktoś wpuścił do ogródka stado tygrysów bengalskich - westchnęła ciężko Wendy.

- Na dole nie jest łatwo, ale tam na górze to prawdziwe piekło.

Elgars spojrzał na nią uważnie, mając wrażenie, że Wendy nie powiedziała całej prawdy. Po chwili wzruszyła ramionami i kiwnęła głową.

- Wsss... tapisz do ssstraży?

Wendy pokręciła ze złością głową i przyspieszyła kroku.

- Mam nieodpowiedni profil psychologiczny - powiedziała z przesadną emfazą. - Nie potrafię zapanować nad moimi skłonnościami do agresji i „prezentuję niestabilny poziom złości”. Takiej samej wymówki użyto, kiedy zgłosiłam się do wojska. Paragraf 22. Jeśli jesteś kobietą i wiesz, że będziesz dobrym żołnierzem, musisz mieć nierówno pod sufitem.

- To wwwwar... iac... fffwo. N... nie ma k... kobiet w straszy?

- Och, wręcz przeciwnie. Gdyby nie przyjmowali kobiet, w ogóle nie byłoby straży. Wszyscy mężczyźni, którzy nie są totalnymi pierdołami, albo służą w wojsku, albo nie żyją. Ale kobiety ze straży „potrafią opanować swoje emocje”.

- Ccco ttto znaszy? - spytała Elgars, kiedy doszły do skrzyżowania korytarzy.

- A kogo mu tutaj mamy? - dobiegł do nich głos zlewający się z brzęczykiem alarmu. - Czy to nie nasza mała Wendy? Kim jest twoja przyjaciółka, co? I dlaczego nie trzymasz łapek tak, żebym mogła je widzieć? Połóż torbę na podłodze i odsuń się.

Podeszło do nich trzech strażników. Ubrani byli w błękitne uniformy, kanciaste pancerze i owalne hełmy. Ich uzbrojenie stanowiły krótkie pistolety pulsacyjne, z grubsza przypominające strzelby, które wystrzeliwały naładowane prądem pociski. Szok elektryczny powodował, że układ nerwowy człowieka lub Posleena na krótki czas przestawał działać. Dowódczym patrolu niedbale wymachiwała masywną bronią, celując nią w Wendy i Annie. Pistolet miał niewielki zasięg, ale był w stanie przebić każdy pancerz.

- Cześć, Spencer - powiedziała Wendy. - Moja przyjaciółka to kapitan Elgars, i może nosić to, co jej się podoba i gdzie tylko chce.

- Gówno mnie to obchodzi, Cummings - odparła strażniczka. - Przyłapałam cię na szmuglowaniu broni i jesteś ugotowana. - Wskazała na plecak i powtórzyła: - Rzuć to na podłogę i odsuń się albo cię kropnę.

Wendy rzuciła szybkie spojrzenie na Elgars i zbladła. Annie stała nieruchomo, ale nie sparaliżowana strachem, a czujna i gotowa do działania. Wbiła w dowódczynię patrolu spojrzenie godne bazyliuszka, gotowa lada chwila ją zaatakować.

- Annie, odłóż plecak i pokaż jej swoją kartę identyfikacyjną.

- Zamknij się, Cummings - powiedziała Spencer i podeszła do Annie. Dźgnęła ją lufą w pierś i spojrzała wyzywająco. - Rzucisz to czy mam ci pomóc?

- Elgars wyciągnęła rękę i puściła plecak. Kiedy torba z łoskotem upadła na podłogę, błyskawicznym ruchem złapała za pistolet strażniczki i wykręciła go. Kilka ruchów ręką wystarczyło, aby amunicja wysypała się na podłogę. Kobieta usiłowała wyciągnąć drugi pistolet, ale Annie mocno trzymała jej nadgarstek.

Spencer zamarła, czując, że nie wyrwie się z jej żelaznego uścisku. Dwójka pozostałych strażników nie odważyła się strzelać w obawie, że ją zranią. Elgars wolno wyciągnęła dokumenty, które miała schowane w kieszeni, i uniosła zawadiacko brew.

- A teraz mam ci wsadzić lufę twojego pistoleciku w tyłek? - spytała słodziutkim głosem.

- Puść moją rękę - stęknęła Spencer, której twarz wykrzywił grymas bólu.

- Mówi się „Niech pani puści moją rękę, proszę” - syknęła Annie, a potem pochylając się nad strażniczką, wyszeptała jej do ucha: - I przestań się wiercić, bo ci połamię wszystkie kości.

- Proszę, niech pani puści moją rękę - jęknęła zbolalym głosem kobieta. Elgars ścisnęła ją jeszcze mocniej, a Spencer dodała: - Proszę.

Annie puściła jej rękę i strażniczka cofnęła się, masując obolały nadgarstek. Potem kilkakrotnie poruszyła dłonią, próbując odegnać ból. Na jej twarzy malowała się złość; chciała jak najszybciej

zakończyć tę historię, ale jej pistolet leżał daleko, a amunicja była porzucana dookoła.

Wendy uśmiechnęła się promiennie, podniosła plecak i podeszła do Elgars.

Będziemy już szły, prawda, pani kapitan? - powiedziała, biorąc Annie pod rękę.

Tak - odparła cicho Elgars i rzuciła uważne spojrzenie na identyfikator strażniczki. - Jesztem pefna, że będziemy siem czensto widywać, pani, sierżant Spencer.

Tak, proszę pani - odparła ze strachem i złością strażniczka. - Przepraszam za to nieporozumienie.

* * *

- To jedna ze stołówek - powiedziała Wendy, skręcając w boczny korytarz. Była tu spora sala poprzedzielana metalowymi barierkami, które tworzyły swoisty labirynt prowadzący do czterech par otwartych drzwi.

Za nimi znajdowała się właściwa stołówka. Annie zauważyła ustawione w zgrabny stosik tace, naczynia i sztucce, a także podajniki jedzenia i napojów. Pożywienie nie wyglądało zbyt zachęcająco, w większości były to potrawy mączne.

Wendy wzięła tacę i ruszyła wzdłuż wyznaczonej ścieżki. Na jej talerzu wylądowała gotowana kukurydza, przypalona wieprzowina i jakaś papka, serwowane przez niewidzialną obsługę. Annie ruszyła śladem Cummings, naśladowując ją w wyborze menu.

Na końcu labiryntu znajdowało się niewielkie urządzenie skanujące. Jeden błysk światła wystarczył, aby zanalizować pobrany przez Wendy posiłek i zanotować w pamięci komputera, że otrzymała swoją południową porcję. Na niewielkim wyświetlaczu natychmiast pojawiła się informacja o bilansie kalorii.

Wendy uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jeżeli nie zresz jak świnia, to możesz wyżyć na mniejszych racjach niż te odgórnie przyznawane. Nadwyżkę można przelać na konto kogoś innego i wtedy dostajesz specjalne punkty za działanie społeczne. Prawdę mówiąc, to główny system walutowy w Podmieściu.

Elgars podsunęła swoją tacę pod czytnik, który odnotował jeszcze większą ilość kalorii.

Wendy uniosła w zdziwieniu brwi.

- To ma sens - powiedziała po chwili, kiwając głową. - Przecież pozostajesz w czynnej służbie, dlatego przysługuje ci podwójna ilość kalorii.

- Czemu? - spytała Elgars, kierując się ku drzwiom.

- Czynna służba oznacza, że wykonujesz pracę fizyczną. Każdy, kto musi pracować dzień w dzień, potrzebuje większej ilości kalorii, aby być w dobrym zdrowiu. Zasadniczo wymagana dawka to dwa tysiące sześćset kalorii dla osoby, która wykonuje umiarkowane męczące czynności. Jeśli jesteś w piechocie, dzień w dzień spalasz taką ilość kalorii, dlatego żeby utrzymać się w dobrym zdrowiu, potrzebujesz drugie tyle. - Pokręciła głową i dodała: - To nie jest wiedza powszechnie znana w Podmieściu, ale jak pomieszkasz w tej dziurze, to się nauczysz.

Przeszły przez drugą parę drzwi i znalazły się w jadalni. Elgars zatrzymała się i z ciekawością rozejrzała.

Sufit znajdował się na wysokości dwudziestu metrów i podobnie jak szczytowe partie ścian, pomalowany był farbą fluoroscencyjną. Dzięki temu światło padające z wielu stron było delikatne i przyjemne. Wszystkie ściany z wyjątkiem jednej pokryto fototapetą przedstawiającą południowy krajobraz. Na tej jednej widać było goły kamień, zupełnie inny od tych, jakie Elgars widziała. Ten był czerwony z żółtymi żyłkami. Choć był nadzwyczaj piękny i doskonale pasował do reszty wystroju sali, na jego widok Annie poczuła nieprzyjemny dreszcz i szybko odwróciła wzrok.

Sala wypełniona była stolikami, a w odległej ścianie widać było sześć par drzwi oznaczonych

tabliczkami „Tylko dla upoważnionego personelu”.

- To są wyjścia awaryjne do schronów - powiedziała Wendy, wskazując na nie głową. - W stołówkach nie ma niczego łatwo palnego, są tu tylko stoliki i pojemniki z napojami, ale pompki ciśnieniowe do nich znajdują się już w innym pomieszczeniu. W przypadku pożaru ludzie są kierowani tutaj, a zewnętrzne i wewnętrzne systemy wentylacji zaczynają oczyszczać powietrze. Na każdy sektor mieszkalny przypada po osiem schronów. Na strefę A dwa, podobnie na F i każdą z pozostałych. Wielkość racji żywnościowych zmienia się z każdym dniem, a ludzie jedzą to, co dostaną. Nie ma co marzyć o specjalnym menu. Istnieje tu kilka restauracji, ale prawdę mówiąc, nie serwują niczego lepszego, jedzenie jest na jedno kopyto. Mamy też bary, ale możesz zapomnieć o fajnych drinkach.

Elgars pokiwała głową i wskazała na skalną ścianę. Ciekawiło ją, skąd projektantowi przyszedł do głowy taki pomysł z kamieniami i jak go wykonano.

- To piaskowiec - powiedziała Wendy. - Każda z kawiarni ma swój własny kamień. Wpadł architektom w ręce, więc go tutaj prze transportowano i wtopiono w naturalną formację skalną. Został rozbity przez galaksjańskich kamieniarzy, zjonizowany, a potem na nowo uformowany i wtopiony w to miejsce.

Kiedy usiadły, Elgars wyszeptała cichą modlitwę, a potem pokroiła wieprzowinę na cienkie kawałeczki i zaczęła je wolno zjadać. Tymczasem Wendy szybko skończyła swój posiłek.

- Twoja mowa znowu się zmieniła - powiedziała, wycierając usta serwetką. - Wtedy, kiedy rozprawiłaś się ze strażniczką.

- Nnaprawdę? - Annie odcinała kawałki tłuszczu i przesuwiała je na brzeg talerza.

- Czasem mówisz z południowym akcentem, a czasem nie. Kiedy go używasz, nie masz problemów z mową. Skąd jesteś?

- Nuh J'sey.

- No to gdzie nabrałaś takiej maniery?

- Nie wiem, złotko - odparła Elgars z zawadiackim uśmiechem. - Dajmy temu spokój.

Wendy spojrzała na nią zdziwiona, czując, jak ciarki przechodzą jej po plecach.

- Coś się stało?

- Co?

- Nieważne.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Elgars rozglądała się dookoła, a Wendy z uwagą obserwowała swoją nową koleżankę.

- Pamiętasz w ogóle, co to jest południowy akcent i jak brzmi? - spytała ostrożnie.

- Spoko - odparła Elgars.

- Czy chcesz pogadać z jakimś południowcem? Wydaje mi się, że tego chcesz, bo... tylko wtedy, kiedy mówisz z akcentem, można cię bez problemów zrozumieć.

Annie zacisnęła kurczowo szczęki i obrzuciła Wendy tak jadowitym spojrzeniem, że ta przez chwilę zaczęła się bać, ale nagle jej koleżanka odetchnęła głęboko i rzuciła niedbale:

- Masz na myśli coś takiego? - spytała i z jej ust popłynęły wyraźne słowa. - O żesz, to nie do wiary!

- Przed chwilą szło ci lepiej, ale i tak jest nieźle.

- Co się ze mną dzieje? - mruknęła Elgars. Z każdym słowem jej głos nabierał miękkości. - Czy ja wariuję?

- Nie sądzę - odparła Wendy. - Znam paru świrów, i jak dla mnie, jesteś po prostu odrobinę niezwykła. Nie wiem, co siedzi w twojej głowie, ale nie jesteś osobą, która zapadła w śpiączkę.

Lekarze coś tam pomajstrowali, kazali ci stać się inną osobą, ale im się nie udało. Tak przynajmniej myślę.

- To kim ja, do cholery, jestem? - spytała Elgars. Jej oczy zwięzły się w cieniutkie szparki i syknęła: - Nie jestem Annie Elgars? Przecież zrobili mi badania DNA i przeskanowali twarz. Kim jestem?

- Sama już nie wiem - mruknęła Wendy. - W końcu wszyscy nosimy jakieś maski. Może jesteś osobą, którą Annie Elgars zawsze chciała być? Albo wręcz przeciwnie, Annie, jaką wszyscy znali, była właśnie taką maską, a ty jesteś prawdziwa? Któż to może wiedzieć, jak nie ty.

Teraz Annie spojrzała na nią czujnym wzrokiem, po czym odepchnęła tacę.

- To jak mam się tego dowiedzieć, co?

- Niestety, obawiam się, że odpowiedzi na to pytanie mogą ci udzielić tylko psychiatrzy. - Wendy zamilkła, widząc wyraz twarzy Annie. - Wiem, ja też ich nie trawię. Ale zdarzają się między nimi porządni goście, trzeba tylko na takiego trafić.

Spojrzała na wiszący na ścianie jadalni zegar.

- Zmieniając temat... Jedną z rzeczy, o których nie rozmawialiśmy do tej pory, jest praca. Nadeszła pora mojej zmiany, więc musimy iść. Wydaje mi się, że lekarze to mieli na myśli, kiedy mówili, żebyś mi pomogła. Może w ten sposób uda się przyspieszyć cały proces leczenia. Bóg świadkiem, że przyda się każda para rąk do pomocy.

- A czym się zajmujesz?

- No cóż - odparła ostrożnie Wendy. - Może powinnaś sama się przekonać? Może ci się spodoba? Jeśli nie, to jestem pewna, że znajdziemy ci jakieś inne zajęcie.

- No dobra - roześmiała się Annie. - Ciekawe, czym ty się zajmujesz, skoro nie pozwolili ci być w straży. ani nie wzięli cię do piechoty.

* * *

Drzwi musiały solidnie tłumić dźwięki, bo kiedy się rozsunęły, korytarz wypełnił krzyk rozbawionych dzieci.

Pomieszczenie, do którego weszły, przypominało centrum huraganu. Tylko niewielka grupka dzieci - według niedoświadczonej Annie, w wieku około pięciu lat - spokojnie zgromadziła się wokół starszej siedmio - czy ośmioletniej dziewczynki, która czytała na głos bajkę. W pewnej odległości od nich przycupnął chłopczyk, całkowicie pochłonięty układaniem puzzli. Pozostała dziesiątka maluchów biegała w tę i z powrotem, krzycząc ile sił w płucach.

Dla Annie był to najbardziej nieprzyjemny dźwięk, jaki w swoim życiu słyszała. Od razu naszła ją ochota, aby palnąć któregoś z bachorów, byleby tylko na chwilę się zamknął.

- W dzień mamy ich tutaj czternaścioro, a ósemka mieszka na stałe - wyjaśniła Wendy, patrząc z niepokojem na koleżankę. - Trójka dzieci Shari i piątka sierot.

Ostrożnie wymijając rozbiegane dzieci, podeszła do nich blondynka średniego wzrostu z niemowlakiem na ręku. Mogła mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i trzydzieści lat; jej sympatyczna twarz niegdyś musiała być bardzo piękna. Lata ciężkiego życia pozostawiły piętno, nadając jej rysom surowości i twardości. Mimo to bił od niej dobry humor i serdeczne ciepło. Sprawiała wrażenie osoby, która niejedno widziała w życiu, i dopóki nic naprawdę złego się nie działo, wszystko było w porządku.

- Cześć, Wendy - powiedziała lekko zachrypniętym głosem, który świadczył o wielu wypalonych paczkach papierosów. - Kim jest twoja przyjaciółka?

- Shari, poznaj Annie Elgars. W zasadzie kapitan Elgars, która odpoczywa u nas i jest w trakcie rekonwalescencji - powiedziała jednym tchem. - Pani kapitan, to Shari Reilly, która prowadzi

złobek.

- Miło mi panią poznać, pani kapitan - powiedziała opiekunka, podając jej do uściśnięcia lewą dłoń.

- Mnie również - odparła Annie.

- Jednym z powodów jej rekonwalescencji są kłopoty z artykulacją - wyjaśniła Wendy. - Psychiatra zasugerował, aby Annie mi towarzyszyła; być może dzięki temu odblokuje się jej pamięć. Straciła ją pod pomnikiem.

- Naprawdę tam byłaś?

- Tak, ale ona za dużo gada - mruknęła Annie.

Jedno z dzieci przebiegło obok nich, uciekając przed ścigającym je maluchem. Dzieci bawiły się w berka, choć nie obowiązywały w nim żadne zasady. Dziewczynka mająca sześć czy siedem lat pobięła z krzykiem do siedzącej obok drzwi grupki.

- Nieźle dajesz sobie radę - powiedziała Shari. - Większość ludzi aż by się zatrzęsła, słysząc piski Shakeeli.

- Racja - przytaknęła Annie.

Choć hałas wokoło nie ustępował, Annie udało się od niego odizolować. Miała wrażenie, że spadała na nią zasłona zatrzymująca niepożądane dźwięki. Docierały do niej nadal, jednak była w stanie je wyciszyć. Miała mimo to łączność ze światem i kontrolowała ją, co ogromnie ją ucieszyło. Poczuli się bezpieczni, do chwili, w której zrozumiała, że jej kłopoty z mową powracają.

- Ale mnie te piski nie przeszkadzają - dodała, wzruszając ramionami. - Nie wiem, czemu.

Shari pokiwała głową w zamyśleniu, a potem powiedziała:

- Wendy, muszę zająć się bliźniakami. Mały Billy miał dzisiaj niewielki wypadek i Crystal jest tym strasznie przejęta. Zajmiesz się Amber?

- Lepiej zajmę się gotowaniem obiadu. Może Annie potrzyzyma małą?

- No dobrze - odparła Shari po krótkiej chwili wahania. - Wiesz, jak się trzyma dziecko?

- Nie. - Annie spojrzała nieufnie na oseska.

- Musisz je chwycić w ten sposób i tak podtrzymywać - tłumaczyła Shari, układając ramiona Elgars i kładąc w nich dziecko. - Najważniejsze to nie pozwolić, żeby głowa malucha opadła.

- Chyba rozumiem - odparła kapitan, głaszcząc maleństwo po plecach. Podejrzała, że Shari właśnie w ten sposób uspokaja dziecko.

- No to już wiesz, o co chodzi. - Wendy ruszyła do drzwi kuchni. - To proste.

- Zaraz wrócę - powiedziała Shari, złapała jedno z biegających dzieci i wzięła je na rękę. Idąc z nim do pokoju na zapleczu, rzuciła przez ramię: - Nic się nie bój, wszystko będzie dobrze.

Elgars pokiwała głową i nie przestając gładzić dziecka, zamyśliła się. Teraz, kiedy ma chwilę spokoju, może wreszcie zastanowić się nad burzą, jaka szaleje w jej głowie. Spokój, który na chwilę poczuła, prysł, i teraz znowu jakby czekała na atak ukrytego wroga. Choć dzieci nie przeszkadzały jej, nadal była świadoma ich obecności. Wojskowe instynkty obudziły się. Znowu zaczęła zauważać najdrobniejsze szczegóły otoczenia. Kiedy któreś z dzieci ją potrąciło, ledwie zwalczyła narastającą ochotę, aby dopędzić tego małego drania i rozerwać go na strzępy.

W tym momencie dziewczynka leżąca w jej ramionach zwiymiotowała.

* * *

- Pracuję tam sześć dni w tygodniu, po sześć godzin - tłumaczyła Wendy, kiedy wracały do kwatery Elgars. - Skoro masz mi towarzyszyć, to logiczne, że i ty będziesz tam chodzić. Dzięki temu wypełnisz swoje obowiązki wobec wspólnoty. - Spojrzała na Elgars; od chwili, gdy mała Amber zwiymiotowała na jej rękach, zachowywała się dziwnie spokojnie, jakby opadła ją melancholia. - Jak

sądzisz?

Elgars zastanowiła się. Dzisiaj zapoznała się z papką, którą karmiono niemowlaki, nauczyła się zmieniać pieluchy i próbowała czytać malcom bajki, ale nie szło jej najlepiej.

- Nie podoba mi się taka robota - wymamrotała i dodała nieco wyraźniej: - Nie jest aż tak źle, jak w czasie operacji bez znieczulenia, ale różnica jest niewielka.

- Oczywiście, że nie jest aż tak źle - roześmiała się Wendy. - Trzeba przyzwycząć się do hałasu.

Elgars przytaknęła. Wrzaski rozbrykanych dzieci były częścią zawodu przedszkolanki, tak samo jak kontrole osobiste czy testy wytrzymałości bólu były w wojsku czymś normalnym.

- Tak wygląda mój dzień - dodała Wendy. - Oprócz tego, jak ci mówiłam, jestem w oddziałach pomocniczych. Chodzę na treningi w poniedziałki, środy i piątki. We wtorki, czwartki i soboty mam zajęcia na strzelnicy, a we wszystkie dni tygodnia oprócz niedzieli chodzę na siłownię.

Elgars pokiwała głową. Dzięki znajomości z Wendy wreszcie mogła przełamać nużącą szpitalną rutynę, wyrwać się z długich okresów stagnacji, przerywanych wybuchami bólu. Ale tamto przynajmniej oznaczało bezpieczną stałość...

- Wszystko w porządku? - spytała Wendy.

Sama nie wiem. Po prostu mam ochotę kogoś zabić.

- To przez dzieci? - W głosie Wendy słychać było zdenerwowanie.

- Może? Chciałabym dorwać tego, kto kazał mnie tak „poprawić”. Albo pójść gdzieś, gdzie będę miała coś do roboty.

- Mówisz znacznie lepiej niż dzisiaj rano. Może lekarze niedługo cię wypuszczą?

Stały przed drzwiami kwatery. Annie pokręciła przecząco głową.

- Powinnaś napisać do swojego dowódcy, może będzie mógł interweniować. Jesteś w szpitalu, ale nadal figurujesz w bazie danych jako żołnierz czynnej służby. Może sobie zażyczy, żebyś wróciła do oddziału, ale musisz mu dać jakiś znak życia.

- Jak mam to zrobić? - spytała Elgars, mrużąc nieprzyjemnie oczy.

- Są tutaj publiczne terminale e-mailowe - wyjaśniła Wendy. - Pewnie nie przyznali ci żadnego statusu dostępu, co?

- Nie.

- Znasz adres swojego dowódcy? Jeśli nie, ja znam kogoś, kto będzie wiedział, jak się z nim skontaktować.

*Gwary i krzyki już zamarły;
Król w dal odchodzi z kapitanem:
Stoi wciąż pomnik Twej ofiary,
Serce, co skromnem i skruszonem.
Panie Zastępów, bądź wciąż z nami,
Bo zapomnimy - zapominamy!*

- Rudyard Kipling
Pieśń na wyjście (1897)

Okolice Cayuga, Nowy Jork, Stany Zjednoczone, Sol III

17:23 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,

niedziela, 13 września 2009

Mike siedział skapany w promieniach słońca zalewających Fort Hill i obserwował przecinające się linie okopów i wałów ziemnych, które tworzyły Strefę Obronną Montezuma. Ciągnęły się na południe i północ od jezior Cayuga i Ontario, tworząc doskonałe pozycje dla ludzkich wojsk. Posleeni, którzy w pierwszych dniach wojny zdobyli Syracuse, zostali schwytani w pułapkę, kiedy zerwano mosty i połączenia komunikacyjne. Kiedy próbowali przedostać się przez wrzosowiska w cieniu wzgórz, padali tysiącami; choć straty w ludziach były duże, w obronie wzgórza Messnera na jednego człowieka zginęło tysiąc obcych.

Decyzja o odwrocie miesiąc po rozpoczęciu walk okazała się zgubna w skutkach. Na równinach pomiędzy Clyde i Rochester umarła piechota mobilna, a narodziło się Dziesięć Tysięcy. Polityczna decyzja o obronie każdej miejsciny i ataku na byle wzgórze sprawiła, że sześć dywizji złożonych z doświadczonych weteranów stało się żarciem dla obcych. Stracono ponad tysiąc czołgów M-1 i pancerzy wspomaganych. Na równinach Ontario niemal przegrano wojnę.

Teraz sytuacja się odwróciła. Pod Rochester Posleenów zatrzymano, zdziesiątkowano i zmuszono do ucieczki. Piechota mobilna i Dziesięć Tysięcy zadały im potworne straty. Tym ostatnim nie potrzeba było żadnej zachęty, nawet szeregowcy opanowani byli obsesją wypatroszenia wszystkich obcych. Kiedy tylko najeźdźcy mieli odwagę stawić ludziom czoła, wzywano artylerię. Ale pancerze wspomagane drogo zapłaciły za tę bitwę. Jednostka straciła około dwunastu żołnierzy, a pancerz każdego z nich był na wagę złota. Wprawdzie uzupełnienia były już w drodze, ale...

Spoglądając na rozciągający się w dole teren, Mike uznał, że warto było walczyć. Równiny Ontario były najsłabszym punktem na wschodzie USA. Teraz, kiedy zostały odbite i ponownie umocnione, stały się twierdzą nie do zdobycia, pełną okopów i obsadzoną wypróbowanymi w boju weteranami. A ci doskonale wiedzieli, że Posleenów można zabić lub przepędzić, a ich grzebień świetnie nadają się do udekorowania kantyny.

Mike nawet nie uniósł głowy, słysząc nadlatujący śmigłowiec. To dobry znak. Samoloty były narażone na ogień Wszechwładców, ale śmigłowce w przypadku spotkania z Posleenami stawały się latającymi trumnami. Skoro jeden przeleciał mu nad głową, to znaczy, że teren został zabezpieczony. Mike uśmiechnął się i wstał z ziemi. Przeszedł nad bezgłowym trupem Wszechwładcy i ruszył w dół zbocza. Świat jest piękny.

Jack wysiadł ze swego OH-58 i pokręcił głową. Rozkazy, które go tutaj przywiodły, były jak najbardziej na czasie. Wiele znaków na niebie i ziemi mówiło, że pierwszy batalion 555 pułku i Dziesięć Tysięcy potrzebują odpoczynku. Grzebień, które żołnierze mocowali do swoich

plecaków, były niczym w porównaniu z łbem Wszechwładcy, nadzianym na ostrze miecza borna. Żółta krew plamiła własny miecz zabitego i tworzyła kałużę pod nogami dowódcy piechoty mobilnej.

Nie zwracając uwagi na ten widok ani na zapach bijący od trupa, Mike spoglądał ku Syracuse i odległemu Atlantykowski. Tam czekał wróg.

Generał zbliżył się do niego, obrzucając czujnym spojrzeniem resztę żołnierzy. Grupa oficerów rozmawiała przyciszonymi głosami, spoglądając w tę samą stronę co O'Neal. W większości byli młodzi, tak samo jak ich dowódca, a szlify oficerskie zbierali w twardej szkole życia i przetrwania na polu bitwy. Homer rozumiał, czemu woda sodowa nie uderzyła im do głowy. Wszystko to, do czego doszli, opłacili własną krwią, potem i znojem.

O'Neal dowodził nimi od samego początku walk z Posleenami. Ledwie mógł udźwignąć to brzemień. W przeciwieństwie do Homera, nie miał czasu uczyć się sztuki radzenia sobie z odpowiedzialnością. W rezultacie jego profil psychologiczny rozwinął się w kierunku nie zawsze zgodnym ze wzorcem idealnego dowódcy. Bez dwóch zdań wszyscy potrzebowali odpoczynku.

- Dzień dobry, Mike - powiedział.

- Zauważył pan, że mamy wtorek? - rzucił niedbale major. - I jeszcze nie dotarliśmy do Syracuse, ale to nie nasza wina. Poinformowano nas; że dalsze rozciąganie linii zaopatrzenia jest, niewskazane z logistycznego punktu widzenia". W każdym razie dziękujemy za wsparcie.

- Nie ma za co - odparł Homer. - Nie martw się o Syracuse, odbiliśmy Savannah, i choć możesz w to nie wierzyć, na całym wschodzie Stanów panuje spokój. Jedyne, czym muszę się przejmować, to sytuacja w Georgii, ale prawdę mówiąc, to nic poważnego.

Dowódca piechoty mobilnej rozejrzał się dookoła i mruknął z krzywym uśmiechem:

- Czyli ruszamy na zachód, tak?

- Nie. Wysyłamy was na tyły. Dostaniecie tydzień w Buffalo na odpoczynek i odzyskanie sił.

Mike zmarszczył brwi.

- A co z Harrisburgiem?

- Natarcie Posleenów zostało powstrzymane. Zdołaliśmy przetrzymać ukradkiem trochę wyposażenia, więc chłopaki wracają do pełni sił.

- A Roanoke?

- Dwudziesta druga dywizja kawalerii objęła przyczółki, a Posleeni liżą rany po tym, jak generał Abrahamson spuścił im niezły łomot. Nie byli w stanie dokonać precyzyjnych obliczeń, ale wybili ich około dwóch milionów. Lepiej niż w Richmond.

- A Chattanooga?

- Nikt tam nie lądował od kilku miesięcy.

Mike rozpiął kołnierz i podrapał się nerwowo w kark.

- A jak sprawy w Kalifornii?

- Tam również od kilku tygodni nie zarejestrowaliśmy żadnej aktywności Posleenów. - Homer uśmiechnął się i powiedział przyjacielskim tonem: - Mike, potrzebujecie odpoczynku. Jeszcze trochę, a zwariujecie. Już bawicie się trupami Posleenów, a głowami ich wodzów gracie w piłkę. Zaczynacie rozstawiać po kątach moich oficerów.

- Słyszałeś o tym? - spytał bez cienia wstydu O'Neal. - Zasłużył na takie traktowanie. Byliśmy na pozycjach już od dwóch godzin, kiedy łaskawie przywlokły się pierwsze oddziały.

- Masz rację, ale i tak musicie odsapnąć. Kiedy ostatnio widziałeś Cally? Ona nie zasługuje na takie traktowanie.

- Racja. - Mike uniósł głowę, jakby został wyrwany z głębokiego snu, i rozejrzał się nieprzytomnie dookoła. - Po prostu sam nie wiem, co mam robić, Jack!

- Trzymaj swój batalion w stanie gotowości, niedługo zostaniecie odwołani z linii frontu. Powiem Duncanowi, on będzie zajmował się wszystkimi szczegółami operacji. Wracajcie do Buffalo, przebierzcie się w mundury galowe, wypolerujcie medale i idźcie do baru przepłukać gardła. Nie jesteście ani wdowcami, ani ascetami.

- To nie fair, Jack.

- Jak byś sam tego nie odkrył, to ci powiem, że na wojnie nie ma żadnych zasad. Pogódź się z tym.

- Dobra - przytaknął O'Neal, spoglądając z niesmakiem na głowę Wszechwładcy. - Może faktycznie przyda mi się kilka piwek.

- Macie dwa tygodnie. Odpocznijcie, a potem lećcie do Georgii, żeby sprawdzić, co tam się dzieje. Jest tam kilka lokalnych podległych mi jednostek, LRRP Floty, ale chyba sprawy nie idą dobrym torem. Ich rozwiązanie zajmie mi kilka tygodni. Za to SheVy spisują się znakomicie i zapewniają nam przewagę. Wysłałem jedną z nich jako wsparcie dla Czternastki. Jeśli dwa sobie nie poradzą, to po co posyłać tam piechotę mobilną, mam rację?

- Jasne - przytaknął O'Neal.

Przez chwilę patrzył zamyślony na równiny, po czym rzucił półgłosem:

- Wolałbym już teraz być w Georgii.

- Mike, jesteś mi potrzebny w pełni sił. Ta wojna zabrała zbyt wielu dobrych żołnierzy, żebym mógł stracić także ciebie.

O'Neal pokiwał zrezygnowany głową, spoglądając na szramy, które pokrywały jego pancerz. Nanity szybko i sprawnie usunęły najgorsze uszkodzenia, ale musi minąć trochę czasu, zanim zakamuflują pozostałe po nich szramy. Szramy, podobnie jak blizny na ludzkim ciele, miały inny kolor niż reszta pancerza i wyraźnie świadczyły o tym, że pancerz już niejedno przeszedł.

- Naprawdę powiedziałeś temu pułkownikowi w SheVie, żeby po mnie przejechał? - spytał w końcu.

- Kto, ja? - Homer uniósł brwi. - Kto ci takich bzdur naopowiadał?

- To był bardzo niesmaczny dowcip. Ziemia pozatykała wszystkie Otwory pancerza.

- Spójrz prawdzie w oczy, panie bohaterze. Ktoś musiał ci przetrzepać dupsko, a to nie było łatwe.

* * *

Mueller kulił się na zboczach przy drodze Bridge Creek, spoglądając ponuro na most.

Reszta jego drużyny zebrała się wokoło, kryjąc się za nierównościami terenu. Leżeli płasko na ziemi i także obserwowali most i tamę. Gdyby to było lato albo wiosna, gęsto rosnące krzewy i drzewa zasłaniałyby widok, ale teraz, jesienią, nic nie stało na przeszkodzie obserwacjom. To nieco martwiło Muellera, bo znaczyło, że i oni mogą z łatwością być wypatrzeni. Tamę chroniła przed wścibskimi oczami siatka maskująca, a przekroczenie mostu zapowiadało się jako bardzo ryzykowne zadanie.

Spływająca z tamy rzeka opływała zbocze, na którym się kulili, skręcała lekko na wschód i wiła się na podobieństwo litery S, do której ktoś dorysował kilka zygzaków. Most znajdował się pośrodku zygzaka i z samej tamy nie było go dokładnie widać. Po północnej stronie drogi znajdowało się poletko usiane białymi kamieniami. Znajdowali się na jego skraju i widzieli, że kiedy będą przemieszczać się w stronę wody, będą widoczni jak na dłoni. Krzewy porastające pobocza nie były przycinane od początku wojny, i sądząc z ich wyglądu, stanowiły barierę nie do przebycia. Nie pozostawało nic innego jak liczyć na szczęście i trzymać głowy nisko przy ziemi.

Po „ich” stronie rzeki znajdowała się stacja prądotwórcza, która, o dziwo, nadal była czynna.

Droga, która do niej prowadziła, została uprzątnięta i utrzymywano ją w dobrym stanie. Gdyby nikt z niej nie korzystał, Posleeni już dawno ukradliby wszystko, co nie zostało przytwierdzone do podłogi grubymi nitami.

Wieloletnie doświadczenie podpowiadało Muellerowi, którzyby pobiegnie Mosovich, ale wołał się upewnić.

- No i jak? - spytał.

Pokryta farbą kamuflującą twarz Mosovicha przez chwilę nie wyrażała żadnych uczuć, a potem mężczyzna skrzywił się. Musieli zejść zboczem, które nie zapewniało żadnej osłony, było kamieniste i nierówne. Większość ludzi nazwałaby je urwiskiem, ale on wiedział, że to zwykłe zbocze, jakich pełno w tych rejonach Appalachów. Cała drużyna, oprócz Nicholasa, zjadła zęby na takich wspinaczkach i doświadczeniem przewyższała wszystkich innych górali, nie licząc Gurkhów.

Zakładając, że zejda na sam dół bez odniesienia poważniejszych obrażeń, będą dobrze widoczni z tamy. Choć Mosovich nie postawiłby złamanego grosza na obecność posleeńskich straży, wołał nie podejmować niepotrzebnego ryzyka. Po lewej stronie był niezbyt głęboki wąwóz, w którym mogliby uniknąć wykrycia przez obserwatorów na tamie, bo skryliby się w porastającym go gąszczu. Po dotarciu na równy kawałek terenu dalszą osłonę zapewniłyby im drzewa. Przekroczenie mostu było problemem numer dwa.

- Pójdę po lewej. Zbiegniemy szybko ze zbocza, potem do kanału i dalej w stronę drogi, pod osłonę drzew.

- Rozumiem. - Mueller oderwał się od skały i ruszył w dół zbocza.

- Szybko to dość względne pojęcie - mruknął Nichols. - Nie stawiałbym na siebie w biegach na setkę z tym grzmotem na plecach.

Karabin snajperski ważył dobre piętnaście kilo, a pociski do niego też nie należały do lekkich. Cały ekwipunek snajpera osiągał wagę prawie pięćdziesięciu kilo. Choć Nichols nie był ułomkiem, to i Godzilla z takim obciążeniem nie pobiegłaby daleko.

- Mueller, będziesz nas ubezpieczał, ja pójdę na szpicy. Miejcie oczy szeroko otwarte i, na litość boską, niech żaden z was się nie potknie ani nie spadnie. - Mosovich rozejrzał się dookoła i mruknął: - Ruszamy!

Najłatwiej byłoby iść po zasypanym liśćmi zboczu ścieżkami wydeptanymi przez leśną zwierzynę. Choć bez wątplenia zwierzęta znalazły bezpieczną drogę, która omijała niespodziewanie osuwiska, podążanie ich śladem oznaczałoby kluczenie pośród gęstwiny dłuższą drogą. Co gorsza, przez pewien czas byliby widziani przez obserwatorów na moście. Mosovich przez chwilę rozważał podjęcie takiego ryzyka, ale uznał, że jest ono nieopłacalne. Lepiej przeczołgać się kilka metrów, korzystając nawet z marnej osłony, niż bez sensu ryzykować. To oznaczało, że podejście do tamy nie będzie łatwe.

Jeden nieuważny krok mógł oznaczać upadek. Mosovich uznał jednak, że taki zjazd w dół stoku może okazać się dobrym pomysłem. Wyczołgał się z kryjówki, usiadł na ziemi i odepchnął. Ślizgając się coraz szybciej i szybciej po zgniłych liściach, miał wrażenie, jakby zjeżdżał na sankach. Ale w przeciwieństwie do zjeżdżania po śniegu, teraz miał większe możliwości kontrolowania kierunku i wyhamowania prędkości. Drzewa i krzewy pomagały mu w sterowaniu.

Dojechał do pierwszej przecinki. Przypadł płasko do ziemi i zaczął obserwować drogę, którą kiedyś musieli wyciąć drwale. Obcy zachowywali się tak głośno, że prędzej usłyszałby ich niż zobaczył. Najlepiej byłoby, gdyby zbliżali się od wschodu, gdyż ukształtowanie terenu na zachodzie nie gwarantowało ludziom dobrej osłony. No ale cóż, życie jest ryzykiem, zwłaszcza jeśli się służy w LRRP.

Zaczął ponownie sunąć w dół. Ta część stoku była bardziej stroma i coraz częściej obijał się o drzewa i krzewy. Ominąwszy kilka niewidocznych na pierwszy rzut oka wykrotów, zatrzymał się i ponownie zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał niczego, co mogłoby go zaniepokoić, tylko wiatr, szum drzew oraz jednostajne buczenie dochodzące z odległej o dwadzieścia metrów stacji przetwornikowej.

Ostatni fragment drogi okazał się stromizną o kącie nachylenia prawie dziewięćdziesięciu stopni. Dawniej Mosovich zacząłby ostrożnie schodzić na dół, czepiając się każdej nierówności terenu. Ale kiedyś poznał w Wietnamie pewnego Gurkhę, który uśmieł się do łez, widząc nieporadność Amerykanina. Kiedy otarł z oczu łzy rozbawienia, pokazał mu, jak skutecznie pokonywać takie zbocza. Mosovich podniósł się i ruszył pędem w dół stoku. Biegł, ile tylko miał sił w nogach, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Leciał tak na oślep, odbijając się od grud ziemi i kamieni, aż wylądował w kanaliku odpływowym dziesięć metrów niżej. Unosząc głowę ponad poziom wody, rozejrzał się dookoła. Kamera umieszczona na hełmie zarejestrowała wygląd terenu i przekazała go reszcie oddziału.

- Idziecie, chłopaki, czy nie?

Zwiad zajął mu dokładnie dwie minuty i trzydzieści pięć sekund.

Reszta oddziału dołączyła do niego, nie zachowując szczególnej ostrożności, ale skoro on baczył na patrole Posleenów, mogli pozwolić sobie na odrobinę nonszalancji. Kiedy dołączyli już do Mosovicha i zaczęli przemykać skrajem usianego białymi kamieniami pola, dostrzegli grupę około dwudziestu zwiadowców. Przypadli do ziemi, korzystając z osłony młodniaka choinek, i poczekali, aż Posleeni się oddalą, po czym podjęli marsz w kierunku mostu.

Była to prosta konstrukcja. Między betonowymi filarami wpuszczonymi w nurt rzeki biegła droga. Rozejrzawszy się bacznie na wszystkie strony, Mosovich przeskoczył przez barierkę i ruszył mostem. Reszta oddziału podążyła za nim. Daleko po lewej stronie sierżant dostrzegł skrzyżowanie głównej szosy z boczną drogą, która biegła równoległe do zachodniego brzegu rzeki. Okolica usłana była sięgającymi do kolan białymi skałkami, które mogły stanowić dobrą osłonę. Mosovich ponownie przesadził barierkę i zeskoczył na ziemię.

Upewniwszy się, że reszta oddziału jest w komplecie, a w okolicy nie widać żadnych Posleenów, ruszył dalej, klucząc pomiędzy skałkami. Niewielkie wzniesienie, które przecinało pole, porastał nieduży, ale za to gęsty lasek, co bardzo zwiadowcy odpowiadało.

Przeskoczył wał ziemny i zatrzymał się, aby poczekać na Nicholisa i Muellera. Pomógł spoconemu snajperowi przerzucić karabin na drugie ramię i ruszyli przez lasek. Rosnące dziko róże pozwalały przypuszczać, że kiedyś były tutaj jakieś budynki. Ich podejrzenia potwierdziły się, kiedy Jake trafił na niski kamienny taras. Przemknął po nim i zatrzymał się w cieniu wielkiego drzewa. Od strony odległego brzegu rzeki szedł posleński patrol. Widząc, że zwiadowca pada na ziemię, reszta oddziału poszła w jego ślady. Siostra Mary zarzuciła na siebie siatkę maskującą, choć jeden nieostrożny ruch oznaczał ryzyko wykrycia. Kamuflaż był tak doskonały, że człowiek nie potrafił wykryć okrytego siatką szpiega nawet z odległości kilku kroków.

Kombinezony Land Warrior, które żołnierze mieli na sobie, wyposażone były w szeroki zestaw czujników, w tym w miniaturowy peryskop, za pomocą którego Mosovich i reszta oddziału mogli uważnie śledzić poczynania obcych. Okular wolno wysunął się ponad linię trawy i zaczął obserwować teren od mostu aż po zarośla. Choć widoczność była kiepska, zorientowali się, że patrol Posleenów nadciągnął z północy, od strony Tiger.

Żołnierze ocenili jego liczebność na jakieś dwieście sztuk. Obcy zebrali się u podnóża wzniesienia i po chwili ruszyli w drogę. Mosovich jeszcze przez moment leżał nieruchomo, po czym

podniósł się i mruknął:

- Jak to możliwe, że nie dostrzegli naszych śladów?

- Nie wiem - odparł Mueller. Podniósł karabin snajperski z ziemi i oparł go o udo. Ślady pozostawione przez czteroosobowy patrol były wyraźne: zdeptana trawa i połamane krzaki prowadziły prosto do ich kryjówki. - Nie umiem powiedzieć. Lepiej stąd chodźmy.

- Racja - przytaknął Mosovich. - Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

* * *

Posleen nie oczekuje wiele od życia. Jeść, spać, rozmnażać się i służyć swemu Wszechwładcy, dokładnie wykonując jego polecenia. I zabijać wszystkich tych, którzy mu zagrażają.

Normals stojący na czele zwiadu wysilał cały swój intelekt, żeby dobrze poprowadzić patrol i wykonać polecenia Wszechwładcy. Cały czas trapiła go myśl, co to są te „znaki threshkreen”. Znał thresh, bo przeżył już trzy walki z nimi. Zwykle ubierali się na zielono i brązowo, używali dziwnej broni, innej od tej, którą miał w dłoniach, i byli twardzi i zażarci.

Kiedy przekroczyli już rzekę, gotowi zawrócić, tak jak nakazywał im plan marszruty, coś zaniepokoiło przywódcę. Zatrzymał się, a cały oolt zgromadził się wokół niego, rozglądając się na boki w poszukiwaniu oznak niebezpieczeństwa, które zaniepokoiło ich pana. Ale wokół była tylko ciemność i cisza.

Jednak dominujący normals miał problem. Ostatnim razem, kiedy Władca do niego przemawiał - a wspominał tę chwilę z błogim drżeniem - pytał go o obecność czegoś niezwykłego. Teraz dostrzegł jakieś ślady w trawie. Były niezwykle, więc może należałoby zwrócić się o pomoc? Z drugiej jednak strony nie takie otrzymał rozkazy. Miał wystrzelać cały magazynek, jeśli dostrzeże jakieś „znaki threshkreen”.

A to mogły być takie znaki. Biegący thresh zostawiali podobne ślady. Może powinien iść ich tropem i znaleźć miejsce, gdzie się schowali? Ale z drugiej strony czteronogie thresh żyjące na wzgórzach też pozostawiało podobne ślady. Jakiś inny patrol mógł wypłoszyć je z zarośli i przegnać w dolinę. Co więcej, to mógł być dziki oolt grasujący na tych niebezpiecznych terenach.

Wszystko to było dla biednego normalsa czarną magią. W końcu zbliżył się do śladów, uważnie węsząc. Ślad schodził z drogi i rozdzielał się na trawie. Towarzyszył mu zapach oleju i metalu. Samiec spojrział ku wzgórzom. Zapach, w pewnym sensie groźny, mógł pochodzić od ich uzbrojenia. Co robić?

Posleen ponownie rozejrzał się po okolicy. Pole, zarośnięte trawą i chwastami, przypominało trójkąt wciśnięty między rzekę, główną szosę, którą patrolowali, i boczną drogę, biegnącą równoległe do nurtu. Także w pobliżu rzeki dostrzegł teraz jakieś ślady, a nabrał pewności, gdy zobaczył wyraźnie odcisnięty w błocie ślad buta. Samiec nie znał słowa „but”, ale wiedział, że jego pan nakazał mu szukać „znaków threshkreen”. To był jeden z nich. Tego prowadzący był pewien, bowiem już wcześniej widział takie ślady. Podniósł karabin i wystrzelił w powietrze.

* * *

- Jasna cholera - mruknął pod nosem Nichols.

- Ktoś znalazł nasze ślady - dodał Mueller. - Jake?

- Siostro, wezwij nalot na to pole i niech zrzucą miny. Ruszamy się, ludziska!

* * *

Cholosta'an pogładził głowę normalsa i wyciągnął ostrze. Bolała go strata tego żołnierza, bez wątpienia najlepszego z całego oolt. Jednak był ciężko ranny i ścieżka obowiązku nie pozostawiała miejsca na wątpliwości. Powiedział jeszcze raz, jak cosslain dobrze się spisał i jak sprawnie

odnalazł ślady threshkreen, po czym przyłożył monomolekularne ostrze do gardła konającego.

- Poczekaj - usłyszał głos Orostana. - Czy to on odnalazł tropy?

- Tak, oolt'ondai. Ciężko mi go dobić, był jednym z moich najlepszych sług. Ale wiem, że muszę to uczynić.

- Oszczędź go. Zapewnimy mu pożywienie i odpoczynek, może przeżyje.

- Nawet jeśli wróci do zdrowia, będzie okaleczony - sprzeciwił się bez przekonania Cholosta'an. Pomysł wydawał mu się dobry, choć z drugiej strony ranny tylko by im przeszkadzał.

- Jeśli ty mu nie pomożesz, ja to zrobię. Musimy zachować na później jego geny. Przeznaczmy go do pracy kenstaina. Potrzebujemy go.

- Jak sobie życzysz, oolt'ondai - odparł Cholosta'an, chowając miecz do pochwy. Wydał oolt część swoich racji żywnościowych, chcąc pokazać im, że jest zadowolony z ich postępowania. - Mówiłeś, aby zmniejszyć mój oolt o połowę. Chyba twojej woli stało się zadość.

- Tak, ale nie w taki sposób, jak planowałem. Ale przynajmniej wiemy, gdzie są ci przekłeci threshkreen. Wyślemy na drogi patrole i zawężymy obszar poszukiwań. Potem ich znajdziemy i wybijemy co do jednego.

- Wspaniale - przytaknął Cholosta'an, a na jego twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech. - Chcę wydrzeć ich serca!

Orostan wypuścił przez zęby powietrze, uśmiechając się do siebie.

- Nienawidzę ludzi, ale muszę przyznać, że w ich mowie jest wiele dobrych określeń. Taką sytuację nazywają „zemsta”.

Okolice Seed, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

06:23 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
poniedziałek, 14 września 2009

Mosovich zaklął pod nosem i dodał po cichu:

- Robię się na to za stary.
- Akurat - rzekł Mueller. - Mów mi jeszcze.

Droga Oakey Mountain przypominała cienką nić rozciągniętą wzdłuż linii kolejowej Rabun/Habersham. Tory bieły wzdłuż wzniesień, wijąc się to w jedną, to w drugą stronę. To na ich zboczach oddział szukał osłony. Szosa, zbiegająca się w niektórych miejscach z linią kolejową, prowadziła przez gęsty las. Po raz pierwszy od dawna przystanęli w miejscu, z którego mogli obejrzeć się za siebie. To, co zobaczyli, przeraziło ich: na drodze aż roiło się od Posleenów.

- Tu trzeba by kilku brygad, żeby wybić to robactwo, Jake - wyszeptał Mueller.
- Dokładnie. Jeśli mamy znaleźć jakąś pomoc, to pewnie dopiero po drodze do Low Gap.

Posleeni drażnią się z nami.

- Co ty gadasz, Jake? Posleeni nigdy tak się nie zachowywali - odparł Mueller, w którego oczach widać było taką samą troskę jak u Mosovicha.

- No to ci właśnie zaczęli - odburknął. - Siostró Mary, czy jesteśmy bezpieczni?

- Tak. Na drugim brzegu jeziora Rabun są skrzynki, a ja zostawiłam po drodze kilka własnych. Chronimy korpusowi tyłki.

- Dobrze. Obudźcie kogoś, chcę, żeby pilnował nas człowiek, a nie maszyna. Misja chyba się powiodła, ale będziemy musieli wyrąbać sobie drogę odwrotu.

* * *

Oficer przetarł zaspane oczy i założył na głowę słuchawki, które podał mu łącznościowiec.

- Major Ryan, FSO. Co się dzieje?

Bywały takie chwile, kiedy Ryan uważał, iż lepiej przysłużyłby się korpusowi i krajowi, gdyby należał do Dziesięciu Tysięcy; taki przydział gwarantowała mu niewielka naszywka „Sześciuset” umieszczona na prawej piersi munduru. Krótka, ale pamiętna „konsultacja” z szefem sztabu korpusu saperów przekonała go, że podjął dobrą decyzję i że jest wiele takich miejsc, w których lepiej przysłużyć się Armii.

Dziesięć Tysięcy bazowało na współpracy technicznej między oddziałami, a starszy inżynier miał jedynie doradzać dowódcom. Sierżant Leon, którego niedawno awansowano na chorążego, doskonale wykonywał to zadanie, choć nie wiedział, że dla jego kariery to ślepa uliczka. Ale lubił swoją pracę i chyba czerpał z niej satysfakcję.

Dla Ryana, który pozostał w korpusie saperów, rozpoczął się okres znaczony ważnymi i odpowiedzialnymi zadaniami. Zaczynał jako asystent inżyniera, jednak każdy rozkaz, jaki otrzymywał, okazywał się wyzwaniem dla jego umiejętności i kolejnym stopniem w karierze. Nawet ostatnie zadanie - przeprojektowanie umocnień Rabun Gap - okazało się ważniejsze niż wykonywane do tej pory misje. Choć zasadniczo był jedynie asystentem głównego inżyniera, w rzeczywistości zawiadywał brygadą saperów i techników dywizji, którzy przebudowywali umocnienia.

Forteca Rabun Gap była tego rodzaju przydziałem, którego nie można było pokpić. Nisko położona przełęcz, przez którą biegła jedna z głównych dróg przecinających Stany Zjednoczone, okazała się ważnym punktem strategicznym. Nie szczędzono środków na jej ufortyfikowanie, jako że

pewne było, iż wcześniej lub później Posleeni ją zaatakują. Głównym miejscem obrony miał być Mur, który wzniesiono w jednym z najważniejszych punktów doliny, tam, gdzie kiedyś było Mountain City. Przypominał tamę Hoovera, choć zbudowano go na mniejszą skalę, i spinał zbocza gór jak ogromna betonowa klamra. „Długi Mur”, jak wkrótce zaczęto nazywać tę konstrukcję, ciągle ulepszano i rozbudowywano, aż wreszcie przyćmił nawet Wielki Mur Chiński jako najbardziej widoczna z kosmosu budowla wzniesiona ludzkimi rękami.

Plan obrony zakładał także, iż przed i za ścianą z betonu zostaną zbudowane umocnienia obejmujące całe Rabun Gap i ciągnące się aż do Clayton. Mur, centralny punkt obrony, miał być wspomagany przez pięć kilometrów kwadratowych okopów i bunkrów.

Wcześniejsze ładowania Posleenów i różne cele wojskowych spowodowały, że większości tych planów wcale nie wprowadzono w życie albo wykonano je tylko częściowo. Wszystkie umocnienia stojące przed Murem zostały zmiecione z powierzchni ziemi przez kolejne fale atakujących obcych. Bunkry i okopy za Murem albo nie zostały wybudowane, albo uległy zniszczeniu w wyniku działań ludzi.

W trakcie inspekcji, w wyniku której zaliczono Rabun Gap do obiektów o niewielkim znaczeniu strategicznym, naczelny dowódca korpusu saperów omal nie dostała zawału serca na widok środków, jakie zaangażowano w ufortyfikowanie przełęczy. Ludzie tracili i odzyskiwali pod Harrisburgiem i Roanoke umocnienia nawet o trzy czy cztery klasy lepsze, kiedy dochodziło do walk ze szczególnie zdeterminowanymi hordami Posleenów.

Z początku rozważała wezwanie Johna Keene’a, cywilnego inżyniera i specjalisty od szczególnie trudnych projektów, którego korpus saperów trzymał w rezerwie. Szybko jednak okazało się, że był on po uszy zakopany w pracach nad odbudową umocnień Roanoke, prowadzonych pod komendą generała Bernarda z niesławnej dwudziestej dziewiątej dywizji piechoty.

To właśnie z jego rozkazu wbrew wszelkim radom artyleria ostrzelała horde Posleenów uczujących na gruzach Fredericksburga. Nie stanowiący żadnego zagrożenia obcy, którzy znaleźli się pod ostrzałem, zareagowali tak, jak zachowuje się rój os, którym ktoś wsadził w gniazdo kij.

John Keene był człowiekiem, który stworzył i w ostatniej chwili wprowadził w życie plan obrony Richmond. Zdołał przeforsować swoje propozycje pomimo obiekcji generała Bernarda, choć nie obyło się bez trudności spowodowanych fatalnymi posunięciami nieudolnego wojskowego.

Wojska na północ od Fredericksburga zostały rozbite, a to za sprawą kiepskiego wyszkolenia, błędnych rozkazów polityków i ataku komputerowych hakerów - renegatów. W wyniku tej tragedii jedynymi dostępnymi technikami byli słuchacze drugiego roku kursu Akademii Technicznej, czyli William Ryan i jego koledzy z grupy. Z niewielką pomocą USS Missouri zdołali przedostać się do pomnika Lincolna, gdzie stawili opór siłom przeciwnika i utrzymali pomnik aż do przybycia pancerzy wspomaganych które wykopały ich spod stosu trupów.

To właśnie przypomniało dowódcy korpusu saperów o Williamie Ryanie, teraz już majorze. To idealna osoba, która dopilnuje wykonania rozkazów. Ryan ma same zalety: jest wykształcony, zdolny i ambitny, a co najważniejsze, znajduje się na miejscu. Kilka zamienionych na osobności słów sprawiło, że generał Bernard tym razem nie ingerował już w decyzje sapera. Wzmianka o sędzie potowym, który miałby zająć się jego niepowodzeniami w Wirginii, skutecznie zapewniła jego współpracę.

I tak oto major Ryan rozmawiał teraz z oficerem liniowym.

* * *

Jake skrzywił się. Ten bufon, który pełni służbę w czyściutkim biurze z dala od linii frontu, pewnie nie ma pojęcia, z której strony lufy wylatuje kula. I od takiego urzędasza będą zależeć losy

jego i jego podkomendnych.

- Majorze, tutaj starszy sierżant sztabowy Jake Mosovich ze zwiadu Floty. Mamy poważny problem.

Ryan odgarnął niesforny kosmyk włosów, który ciągle opadał mu na czoło, i spróbował przypomnieć sobie, skąd, u licha, zna to nazwisko.

- Niech pan mówi, sierżancie. Słucham uważnie.

* * *

Jake przesunął zbliżenie noktowizora i westchnął.

- Sir, jesteśmy otoczeni przez Posleenów. Nasze pozycje znajdują się na południowy wschód od jeziora Seed, i obcy się zorientowali, gdzie jesteśmy. Patrolują cały teren i wszystkie drogi. Naszym celem był rekonesans w okolicach Clarksville, ale nie damy rady go dokończyć; jeśli w ogóle wydostaniemy się stąd, będziemy mieli sporo szczęścia. Słyszysz mnie pan?

* * *

Ryan wzdrygnął się, przypominając sobie wstyd, ale i ulgę, z jaką jego pluton przyjął pozwolenie opuszczenia obleżonego Occoquan. Doskonale wiedział, co w tej chwili czuje Mosovich. A może tylko mu się zdaje? Przecież sierżant nie ma widoków na udany odwrót.

Rzuciwszy okiem na ekran artylerii, zrozumiał, że Mosovich nie ucieszy się z przekazanych mu wieści. Być może wcale nie uwierzy w to, co usłyszy.

- Mosovich? Mam bardzo kiepskie wieści. Walki na północy spowodowały, że przeniesiono tam całą dostępną artylerię. Dwa dodatkowe oddziały diabli wzięli, a oddziały specjalnego wsparcia, które miały do nas dołączyć, skierowano w okolice Chattanooga i Asheville. Połowa mojego korpusu jest gdzieś w polu. Nie mamy żadnych dział oprócz SheVa, ale im brakuje amunicji. Jesteście poza zasięgiem wszystkich dział, oprócz stopięćdziesiątekpiątek, ale połowa z nich została oddelegowana do obrony. Nie mogę niczego zrobić bez zezwolenia dowódcy.

Do uszu Ryana doszło siarczyste przekleństwo i wtedy mu się przypomniało.

- Sierżant Jake Mosovich? Z Richmond?

Przez chwilę w eterze panowała cisza, a potem zwiadowca odpowiedział:

- Tak, a co to ma do rzeczy?

Ryan pogładził wąsy, które zapuścił, uznawszy, że wygląda zbyt młodo jak na kapitana. Większość ludzi uważała, że nie ma jeszcze trzydziestu lat.

- Znam pana Keene'a. Można powiedzieć, że dość dobrze. - Studiował pod jego okiem w Chattanooga, podczas odbudowy tamtej szyci umocnień. Keene okazał się doskonałym kompanem, znającym wiele anegdot i opowieści. Jego historyjki kończyły się lepiej od tych opowiadanych przez Ryana. Rzadko miały zakończenie inne niż „... a potem znowu uciekliśmy” czy „... no i umarł”. - Lepiej niż Barwhon.

Uświadomił sobie, że w ten sposób może nakłonić sierżanta do współpracy. Jeśli Mosovich przekona się, że nie ma do czynienia z kanapowym oficerkiem, będą mieli szansę wyciągnąć cało jego oddział.

- Lepiej niż Barwhon, ale nie tak dobrze jak Occoquan - dodał. - Tam miałem po swojej stronie Missouri. - Wcisnął kilka klawiszy i zaznaczył poszczególne ikony. - Może pan korzystać ze wszystkich środków, jakimi dysponuję. Wyślę gońca do dowódcy korpusu z żądaniem oddelegowania do pana wszelkich dostępnych jednostek szybkiego reagowania. Za chwilę będziecie mieli na każde skinienie niemal dwie pełne brygady artylerii.

* * *

Mosovich uśmiechnął się pod nosem, widząc, jak poszczególne kompanie artylerii są oddawane pod jego komendę. Stłumił chichot i powiedział:

- A więc to pan, sir. Chciałbym, żebyśmy mieli Missouri albo któreś z dział kolejowych, ale poradzimy sobie i z tym, co mamy.

* * *

Ryan machnął na stojącego najbliżej podoficera i wysłał go do kwatery dowódcy. Budynek znajdował się na szczycie wzgórza pośrodku Rabun i kiedyś był szkołą.

Teraz w internacie mieściły się kwatery żołnierzy, a domek rektora objął w posiadanie dowódca jednostki. Oficer nie lubił, kiedy zakłócało mu się nocny odpoczynek, ale jedno spojrzenie majora wystarczyło, aby sierżant sztabowy w te pędy pomknął z rozkazem. Wiedział, że nie ma po co wracać bez zgody na użycie artylerii.

- Zobaczę, czy da się coś jeszcze zorganizować. Ma pan jakieś własne pomysły?

- Tak, sir - odparł Mosovich. - Można by obudzić majora Stevericha z wywiadu. Ci goście, którzy nas ścigają, nie zachowują się jak zwykli Posleeni. Są dobrze zorganizowani i postępują według jakiegoś planu. Wydaje mi się, że próbują przewidywać nasze posunięcia, a to wcale mi się nie podoba. Działają zbyt logicznie.

- Czy to możliwe, że nas podsłuchują? - spytał Ryan, spoglądając na status szyfrowania. - Łącze jest zabezpieczone, prawda?

- Tak. Używamy systemu laserowego, nie ufamy nawet falom ultrakrótkim. Dlatego nas tutaj skierowano, bo wszystkie sensory po tej stronie góry przestały działać. Co oni z nimi zrobili?

* * *

Tulo'stenaloor spoglądał ponad ramieniem Wszechwładcy i próbował opanować zniecierpliwienie. Goloswina ciężko było znaleźć, a wyciągnięcie go z wygodnego leża w Dodan graniczyło z cudem. Z punktu widzenia młodych zapaleńców, którzy stanowili większość Hordy, kessentaiowie pokroju Goloswina nie mieli prawie żadnego autorytetu. Być może kiedyś walczyli i zdobyli trochę bogactw, fabrykę czy dwie, ale teraz przestali już wojować i przekazali pałeczkę lepszym, poza tym mieli dziwne,.. upodobania. Choć takiego słowa nie było w języku Posleenów, pasowało ono jak ulał.

Goloswin okazywał żywe zainteresowanie... różnymi urządzeniami. Zdawał się rozumieć działanie urządzeń Alldn't lepiej niż ich dawno nieżyjący twórcy czy posleeńscy inżynierowie. Potrafił przekonstrować lub „usprawnić”, jak mawiali ludzie, tenar, tak by był szybszy i bardziej zwrotny, a jego systemy celownicze były lepiej skoordynowane z działkami. Jego kombinezony sensoryczne obrosły w legendę, i wielu nawet bogatych kessentai czekało latami na swój zamówiony egzemplarz. Każdy z nich kosztował więcej niż w pełni wyekwipowany oolt.

Jednak prawdziwą miłością technika były nowe odkrycia, technologie i urządzenia, które mógł zbudować i z którymi miał okazję eksperymentować, takie jak skrzynki sensoryczne lewitujące w polu statycznym.

- Ci ludzie są tacy pomysłowi - wyszeptał Wszechwładca. - Popatrz. To nie tylko komunikator, czujnik i transmitter, ale wszystko w jednym. W niektórych funkcjach jest prymitywny i wydaje mi się, że pewne części pochodzą z innych urządzeń, ale jest bardzo, bardzo pomysłowy.

- Ponadto jest wyposażony w systemy obronne - dodał Tulo'stenaloor. - Ostami, który próbowaliśmy ruszyć z miejsca, wybuchł.

Strata całego oolt i prowadzącego go kessentai nie wydawała się warta wspomnienia.

- Potrzebuję takiego urządzenia do badań - powiedział Goloswin. - Mam chyba oolt'os, którzy będą w stanie bezpiecznie je przetransportować.

- Jak rozwiążemy ten niewielki problem, wszystko pójdzie jak z płatka - powiedział Tulo'stenaloor. - Ludzie korzystają z metod niewykrywalnej komunikacji. Chciałbym usunąć tę przeszkodę, jeśli będzie można.

- Nie ma czegoś takiego jak niewykrywalność - powiedział Goloswin. Musnął pazurami kilka wiszących w przestrzeni przycisków, a następnie otworzył i skonfigurował nowe okno holograficzne. Była to mapa okolicy; Tulo'stenaloor natychmiast pojął, że obszary zaznaczone na jasno to strefy działania ludzkich sensorów.

- Włamałeś się do sieci sensorycznej?

- Tak. To było dziecinnie proste, a nawet banalne zadanie. A oto jego najlepsza część. Jeden ruch jego dłoni sprawił, że cztery punkty zabłyśły na purpurowo.

- Oto wasze cele, idźcie i przynieście mi je. A następnym razem zanim zjecie człowieka, spytajcie go, na czym polegają zastawiane przez nich pułapki.

* * *

Mosovich spojrział na mapę i poczuł dziwny ucisk w żołądku. Nieważne, jak silne wsparcie artylerii otrzymają, i tak są w potrzasku. Tylko trzy miejsca nadawały się do przeprowadzenia przez rzekę Tallulah. Jak słusznie zauważył Mueller, gdyby mieli wyposażenie płetwonurków, mogliby przepłynąć przez rzekę gdzie tylko by chcieli. Bez niezbędnego sprzętu pozostawało im niewiele możliwości. Każde z miejsc przeprawy było odłonięte i pokonując je, narażali się na ostrzał nieprzyjaciela. Poza tym przekraczanie rzeki wymagało rozpinania lin, które miałyby zabezpieczyć ich przed porwaniem przez wartki nurt, a to było czasochłonne i w ich obecnej sytuacji nieopłacalne.

Co gorsza, Posleeni działali na ludzką modłę. Zdawali się przewidywać wszystkie ich ruchy i tropić oddział tak, jak się ściga zwierzynę. A to oznaczało, że wszystkie trzy mosty zostaną obsadzone i Posleeni zrobią wszystko, aby dopaść oddział zwiadowców.

Gdyby tylko udało im się przedrzeć na zachód i zgubić pościg... Wtedy byliby w stanie dotrzeć do linii kolejowej w okolicach Tray Mountain. Tamtejsze tereny były dzikie, gęsto zalesione i poprzecinane rzadką siecią dróg, co znacznie zwiększyłoby szanse oddziału na przetrwanie.

Zapowiadał się cholernie długi spacer z żałośnie marnym wsparciem. Artyleria, a w zasadzie jej dostępne szczątki, była w stanie osłaniać ich odwrót. Grunt to nie dać się wykryć po ostrzale wsparcia.

Mosovich zachichotał pod nosem i pomyślał, że sytuacja jest równie kiepska, jak w starciach z ludźmi.

* * *

- Powodem, dla którego walki z ludźmi są tak ciężkie, jest to, że oni musieli walczyć ze sobą przez całą historię swojej rasy - mówił cicho Orostan. - Nie dość, że przeżyli bratobójcze wojny, to wyciągnęli z nich naukę. Teraz stosują przeciwko nam cały arsenał sztuczek i wybiegów gromadzonych przez tysiąclecia. My, Posleeni, prowadziliśmy dotąd wojny z wrogami, którzy albo nie znali takich sztuczek, albo wcale nie mieli doświadczenia w walce, oraz z ornaldeath. Ci jednak byli bardzo chaotyczni w swoich posunięciach i krótko stawiali opór, dlatego niczego nie można było od nich się nauczyć.

- Walki z ludźmi to tak, jakby codziennie potykać się z ornaldeath - wtrącił rozgoryczony Cholosta'an. - Oni... oszukują.

- Tak, masz rację - przytaknął rozbawiony Orostan. - Ale nie można ludzi porównywać z ornaldeath. Nie nadużywają swojej najmocniejszej broni. Wywiad Tulo'stenaloor dowiedział się, że niechętnie sięgają po inny oręż niż chemiczny czy fuzyjny bądź oparty na antymaterii. Dlatego porównanie z ornaldeath jest nie na miejscu. No chyba że się ich zapędzi w koziego róg, ale wtedy też nie

ma pewności, że użyją najpotężniejszej broni.

- A czy teraz nie zapędziliśmy ich w kozi róg? - spytał Cholosta'an. - Został im tylko fragment jednego kontynentu. Ci na północy nie mają środków do walki, a plemiona w górach są rozproszone. Wszystkich pozostałych pokonaliśmy. Po co więc zbierać Horde?

- Nie można nie doceniać ludzi. Póki choć jeden z nich jest na wolności, nadal są niebezpieczni. Należy zachować czujność do chwili, aż przeszukamy wszystkie trupy i je pożremy. Wielu z nich odleciało z planety przed naszym lądowaniem, a plemiona, które się rozproszyły, są jeszcze na tyle silne, żeby rzucić nam wyzwanie. Choć zdobyliśmy ich ziemie i zniewoliliśmy ich rasę, flota cały czas się odbudowuje. A ludzie bez ustanku znajdują sposoby, żeby nam przeszkadzać. Każdego dnia wymyślają setki sposobów, żeby uprzykrzyć nam życie.

Zupełnie jak na zawołanie przestworza wypełnił ryk.

* * *

- Trafiony, zatopiony - powiedział Mosovich, nasłuchując trasków eksplozji. Drużyna zeszła w dół zbocza; teraz pozostało im tylko dwieście metrów do drogi Oakey Mountain. Największym problemem było to, że Wszech władcy ukrywali się pomiędzy normalnymi żołnierzami. Ciężko było dostrzec ich latające spodki, ale ilekroć któryś z nich został zauważony, oddział zamierał w bezruchu, czekając, aż przeleci. Jak dotąd, taka taktyka skutkowałą.

Teraz zasypywani ogniem artylerii Posleeni powinni ruszyć do przodu, spodziewając się, że oddział będzie chciał przekroczyć most. I tak właśnie się stało. Żołnierze rzucili się przed siebie, i niemal dokładnie w tej samej chwili zaczęły spadać na ich pozycje pociski z dział. Przy odrobinie szczęścia zwiadowcy będą mogli zaraz ruszyć w stronę drogi.

Znajdowali się nieopodal szczytu górującego ponad drogą, która biegła w usianej białymi skałkami dolince. Dawniej musiała tutaj być farma, bowiem ślady zarośniętego chwastami sadu widoczne były nawet z dużej odległości. Otwarty pas terenu miał niewiele ponad pięćdziesiąt metrów długości, wliczając w to samą drogę.

Po drugiej stronie drogi znajdował się ich cel: dość strome zbocze prowadzące do rzeki Soque. Choć bieg przez otwartą przestrzeń będzie bardzo niebezpieczny, była niewielka szansa, że koniopodobni Posleeni będą przedzierać się przez gęste chaszczce. Kiedy oddział pokona już zbocze, znajdzie się na autostradzie 197. Zakładając, że nie ma tam Posleenów, ucieczka powinna pójść gładko. Tereny wokół szosy zarosły, co pozwoli im pozostawać poza zasięgiem wzroku wrogów.

Po przekroczeniu Soque mieli skrócić ku Batesville. Gdyby i tu nikt ich nie zauważył, artyleria miała ostrzeliwać pościg w okolicach Tallulah. Przy odrobinie szczęścia posleński dowódca dopiero po jakimś czasie zorientuje się, że zgubił swoje ofiary. A wtedy oni będą już daleko poza zagrożonym obszarem.

Bardzo dużo było w tym planie niewiadomych. Będą potrzebowali sporo szczęścia.

W krótkim czasie Posleeni zniknęli im z oczu. W pierwszych promieniach przedświtu droga była cicha i pusta.

- Czas w drogę - powiedział Mosovich. Przed nimi było strome zbocze, znowu będą musieli zjeżdżać.

* * *

- Cóż, przynajmniej dostają inni - powiedział Cholosta'an. Sensory tenara ustawił tak, aby przeczesywały odległe górskie zbocze.

Główna droga Oakey Mountain została zniszczona, a dwie odnogi, które przypominały leśne wycinki, prowadziły donikąd. Druga szosa, Gap Road, która przecinała miasteczko Seed, prowadziła prosto do jeziora o tej samej nazwie.

Z osady nic nie pozostało. Jedyne ślady jej istnienia były porośnięte chwastami pola i ogrody oraz kratery w miejscach, gdzie stały domki wyposażone w system samozniszczenia „Spalona Ziemia”. Tereny te zalała horda Posleenów służących Orostanowi oraz kilka nowo przybyłych oddziałów, odpowiedzialnych za patrolowanie okolicy. Orostan nakazał odbudować drogę i teraz trwały tu pierwsze od czasu inwazji prace. Większość sił zgromadzono w okolicach jeziora Seed; spodziewano się, że ludzie będą próbowali przebić się w tym miejscu. Jednak okazało się, że to oddziały pościgowe były bliżej zdobyczy, i to właśnie one ginęły teraz pod ostrzałem artylerii.

- Racja - przyznał Orostan. - Lardola zachowuje się tak, jakby niczego się nie nauczył. Największe straty ponieśliśmy wśród nowo przybyłych oddziałów, zwłaszcza tych, na których nam nie zależało.

- Cieszę się, że do nich nie należę - powiedział ponurym tonem kessentai.

- I powinieneś dalej tak czynić, w przeciwnym wypadku byłbyś już thresh, podobnie jak inni.

Zabrząca komunikator i Orostan dotknął jednej z błyszczących kropek, aby odebrać połączenie.

- Orostanie, mówi Tulo. Ludzie nas oszukali. Wydaje mi się, że będą przebijać się na zachód. Jeszcze raz przekroczą drogę. Patrole, które tam stacjonowały, rozproszyły się w trakcie bombardowania. Spróbujcie odciąć ludziom drogę, jeśli możecie; w przeciwnym razie ścigajcie ich.

Przed oczami Posleenów pojawiła się holograficzna mapa przedstawiająca przypuszczalne pozycje ludzi.

- Rozumiem - odparł oolt'ondai. - Zrobimy, co w naszej mocy.

- Nie muszę ci chyba przypominać o zachowaniu należytej ostrożności, prawda? - dobiegł ich syczący głos dowódcy.

- Nie, panie.

- Poprowadzę mój oolt na północ - powiedział Cholosta'an, obracając tenar.

- Nie tak szybko, młody kessentai - sprzeciwił się Orostan, poruszając grzebieniem. - Mówiłem, że nie chciałbym cię stracić.

Przesunął dłonią po kontrolkach i mruknął z zadowoleniem.

- Oldoman - rzucił do komunikatora. Przez chwilę panowała cisza, a z gardła zirytowanego wodza dobiegał warkot. Wreszcie lampka zapaliła się i usłyszeli chropowaty głos.

- Czego?

- Ludzie starają się przedrzeć przez szosę. Ruszaj na północ i zagroź im drogę, a my ruszymy za tobą z wszystkimi siłami.

- Natychmiast! Dość beczynnego siedzenia po ciemku!

- Czy możemy ich stracić?

- Chyba tak. Jego oolt ledwo zipie z głodu. Cierpią nie dlatego, że nie ma kredytów najedzenie, ale dlatego, iż Oldoman uważa, że sami powinni go sobie szukać. Poza tym są kiepsko wyekwipowani i mają żalosne geny. Łatwo ich zastąpić. Nie są warci powietrza, którym oddychają.

- Ale czy rzeczywiście zamierzamy ruszyć za nimi z wszystkimi naszymi siłami?

- Tak, oczywiście. Musimy jednak zachować pełną ostrożność i za bardzo się nie spieszyć. Niech nic niewarci zwiadowcy wezmą ciężar uderzenia na siebie. Po co tracić tysiąc oolt, skoro przy mniejszych stratach można pochwycić tak niewielką grupę wrogów?

* * *

- Nie widzę powodu, aby dawać taką pomoc jednemu małemu oddziałowi - powiedział dowódca artylerii.

Każdy, kto zostałby wyrwany z łóżka bladym świtem, miałby zły humor i narzekał. Ale wieść o

niezwykłym wydarzeniu obiegła lotem błyskawicy cały sztab i gniew pryncypała skupił się na majorze.

A ten nie miał żadnego wsparcia.

- Tak samo ja nie widzę powodu, aby pana tutaj trzymać, pułkowniku. - Ryan miał już dosyć wiecznych utyskiwań i marudzenia przełożonego. Prowadzenie ostrzału równiny z gderającym idiotą za plecami nie wpływało dobrze na jego nerwy.

- Wystarczy - przerwał mu niskim basem generał Bernard. Był postawnym mężczyzną, na którym mundur nieomal pękał w szwach. Kiedyś uważano go nawet za geniusza militarnego, ale ten osąd nie wytrzymał konfrontacji z rzeczywistością. Przed inwazją generał był głównodowodzącym Gwardii Narodowej w Wirginii. Po wcieleniu wszystkich sił do armii Stanów Zjednoczonych zachował zwierzchność nad dwudziestą dziewiątą dywizją piechoty. Jego kariera załamała się nagle po rzezi, którą oficjalnie nazywano bitwą o hrabstwo Spotsylvania. Podczas pierwszych lądowań Posleenów dywizja dzielnie walczyła, a generał wykazywał się czasem przebłyskami geniuszu. Jednak prawdziwe oblicze jego zmysłu wojskowego dało o sobie znać, kiedy wbrew jasnym rozkazom nakazał artylerii dywizji otworzyć ogień do Posleenów, rozpoczynając tym samym bitwę, która zakończyła się masakrą dziewiątego i dziesiątego korpusu piechoty.

Talenty wojskowe generała ustępowały, i to znacznie, jego zmysłowi politycznemu, który uchronił go przed konsekwencjami tego czynu. Kiedy minął pierwszy szok, zaczęło się szukanie winnych, i choć Bernard doskonale nadawał się na kozła ofiarnego, w jakiś sposób zdołał wywinąć się od odpowiedzialności. Kariery wielu generałów raptownie się zakończyły, prezydent zginął, ale Bernard i kilku innych, zarówno tych zasługujących na karę, jak i nie, uniknęło przykrych konsekwencji. W przypadku Bernarda jego sytuacja nawet stale się poprawiała. Generał Simmosin, jego główny oskarżyciel, sam stał się ofiarą rozgrywek politycznych. Fakt, że bitwa rozegrała się w najbardziej niekorzystnym miejscu i w najgorszym czasie, a stało się tak z winy Bernarda, umknął uwadze wszystkich. Efekt był taki, że generała przywrócono do służby, a później promowano. Wszyscy, którzy choć odrobinę orientowali się w sprawach wojskowych, wiedzieli, że Bernard jest całkowicie niekompetentny i stanowi zagrożenie głównie dla własnych żołnierzy. Stąd przeniesiono go do stosunkowo mało ważnej strefy ochronnej Rabun Gap. Większość decydentów zdawała sobie sprawę, że nie można mu powierzyć obrony Chattanooga, Roanoke czy Harrisburga.

Generał Bernard być może wykazywał się niekompetencją, ale nie był głupi. Doskonale zdawał sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie. Dlatego nie zaczął z miejsca bronić dowódcy artylerii.

- Jesteśmy tutaj po to, aby zdecydować, ile wsparcia ci chłopcy potrzebują. To ja zezwoliłem na ostrzał.

- Najprawdopodobniej wcale nie potrzebują osłony artyleryjskiej - powiedział pułkownik Jorgensen. - Cała uwaga wroga zwrócona jest na zwiad. Jeśli podażą za nim wzdłuż drogi, co jest mało prawdopodobne, dopiero wtedy będziemy mieli czym się przejmować.

- Wszystko wskazuje na to, że zwiad ma związane ręce - rzekł pułkownik McDonald. Zasadniczo grupa znajdowała się pod jegokomendą. Co ważniejsze, nie miał żadnej innej grupy o podobnym doświadczeniu, i w przypadku jej utraty nie zanosilo się na uzupełnienia. Dysponował co prawda domorosłymi zwiadowcami, ale żaden z nich nie mógł poszczycić się sprzętem i umiejętnościami, które dorównywałyby zwiadowi Floty. Grupy te były standardowo wyposażone, między innymi w radia, a ponieważ Posleeni nauczyli się podsłuchiwać ich, możliwość porozumiewania się drużyn była mocno ograniczona.

Zatem było kilka powodów, nie wyłączając zwykłej ludzkiej serdeczności i żołnierskiej solidarności, dla których pułkownik McDonald nie zamierzał pozwolić tym dwóm palantom zostawić

Mosovicha na pewną śmierć.

- Czujniki z tamtej okolicy wskazują na spore poruszenie; nawet jeśli grupa opuści ich zasięg, to i tak będziemy w stanie ostrzelać ścigających ich Posleenów. To tylko amunicja, nie zapominajcie o tym - dodał.

- Może to dla pana pestka, ale to moi ludzie ładują działa, wymieniają lufy i remontują sprzęt. To ja będę się tłumaczył z ubytków amunicji i przeprowadzanych napraw. Sam pan wie, jak wygląda sytuacja. Co będzie, jeśli nagle Posleeni zaatakują Mur? Skąd ja wtedy wytrzasnę amunicję?

- Pułkowniku, ma pan wystarczającą ilość amunicji w składach - odparł Ryan. - Może pan prowadzić stały ogień przez pięć dni, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę oddziały, które straciliśmy z Dziesiątą Armią. Ale niech mi pan wierzy, te umocnienia nie wytrzymają pięciu dni, jeśli Posleeni uderzana nie z całą siłą.

Tymczasem Bernardowi przyszła do głowy niepokojąca myśl. Jeśli artyleria zużyje lufy, to prędzej dostanie nowe, ale ten młodzik może napisać jakiś nieprzyjemny raport o stanie ducha bojowego. - Mamy odpowiednią ilość amunicji - rzekł. - Wystrzel ją, Red, wal, gdzie trzeba, na każde wezwanie.

Dziękuję, sir - powiedział Ryan. - Byłem w takiej sytuacji jak oni i wiem, co muszą czuć. Myślę, że powinien pan skontaktować się z dowództwem Armii i odzyskać jakoś swoją artylerię. Mogę poprzeć pańską prośbę przez korpus saperów. Ci Posleeni nie zachowują się normalnie.

Zgadzam się z tą opinią - wtrącił McDonald. - Obserwowałem ich poruszenia przez sensory i muszę przyznać, że działają w bardziej skoordynowany niż zwykle sposób. Wystarczy popatrzeć na grupę przy jeziorze Seed lub tę, która obsadziła mosty 411 i Low Gap. Zwykle kiedy znajdziemy się w zasięgu strzału, Posleeni ruszają do ataku. Ci zaś siedzą na miejscu i kontrolują przyczółek. Moim zdaniem, czeka nas niezły koszmar.

Generał Bernard siedział w milczeniu, pocierając prawie łysą czaszkę. Sytuacja nie była wesoła. Zażarcie protestował, kiedy odbierano mu artylerię, ale gdyby teraz zażądał jej z powrotem, donosząc o dziwnym zachowaniu Posleenów, a potem nic by się nie stało, byłby to gwóźdź do trumny jego wojskowej kariery. Pamięć o oficerach wojny secesyjnej, którzy gnani własnymi obawami, działali zbyt pochopnie, była nadal żywa.

- Proszę o pełny raport wywiadu, panie pułkowniku - powiedział w końcu. - Chcę mieć dokładne i wiarygodne wyliczenia. Chcę dostać opis ich dziwnych zachowań oraz wnioski, jak to może wpłynąć na ich skuteczność w walce. Wygląda na to, że zagrożenie ze strony Posleenów znacznie wzrosło. Skontaktuję się z dowództwem i przekażę raport DowArKonowi, jeśli będzie taka potrzeba. Muszę mieć coś więcej niż tylko suche stwierdzenie, że Posleeni dziwnie się zachowują.

- Chciałbym mieć tutaj oddział Mike'a - powiedział McDonald. - Nie podoba mi się zostawianie zwiadu samemu sobie.

- Słyszałem już wcześniej o Mosovichu - wtrącił Ryan, odgarniając opadający na czoło kosmyk włosów. - To nie jest typ faceta, który łatwo by się poddał.

* * *

- Ja naprawdę jestem już na to za stary - wysapał Mosovich, kiedy przebiegli przez drogę.

- Nie zaczynaj znowu - odpowiedział zdyszany Mueller. Już od dawna dźwigał na własnych plecach barretta razem ze swoim ekwipunkiem. Amunicje, pozostawił jednak Nicholsowi. Zbieganie po zboczu z całym tym obciążeniem było... ciekawym doświadczeniem. - Musisz po prostu odmłodzić się i będziesz chodzić na gwarancji przez cały wiek.

- Tu nie chodzi o lata, złotko, ale o przebieg - odparł Jake. Pole było na szczęście w miarę równe, a teraz prowadził oddział w stronę drzew. - Zaczyna mnie nudzić bieganie od lasu do lasu,

zanim ktoś mnie ustrzeli.

- No to zacznij latać spodkiem. Słyszałem, że to całkiem zabawne. - Nichols, choć był zdyszany i spocony, nie poddawał się ponuremu nastrojowi.

Kiedy dobiegli do drzew, na chwilę przystanęli i Mueller wysapał:

- Chyba znowu udało nam się wymknąć grabarzowi spod łopaty.

Zbocze było stosunkowo rzadko porośnięte i pozbawione ściółki. Do połowy jego wysokości, gdzie zaczynały rosnąć rododendrony, nie można było liczyć na osłonę. Nichols odebrał swój karabin i zaczął wspinać się po stoku.

- Dzięki, kolego - powiedział zawstydzony. - Po raz pierwszy w życiu ktoś pomógł mi nieść graty.

Mueller pokiwał w milczeniu głową. On i Nichols byli podobnej budowy - krępi i barczyści, ale snajper był niższy o dobre osiem cali.

- Nie zapoć broni - powiedział i spojrzął przez ramię. - O cholera.

Południowo-wschodnie zbocze schodziło ku niewielkiej wsi, za którą widniała następna przełęcz. Zaczynali już przyzwyczajając się do widoku kolejnych wzniesień i spadków terenu, przez które musieli się przeprawiać.

Zza szczytu wyłonił się oddział Posleenów, prowadzony przez spodek Wszechwładcy. Obcy nie zauważyli jeszcze drużyny, ale widać było, że zdążają w stronę zajmowanego przez nią wzgórza.

Retransmitter laserowy zostawili na poprzednim wzniesieniu, ale nie było czasu, żeby siostra Mary szukała go teraz mikrofonem kierunkowym. Mosovich nacisnął przycisk transmitera oznaczony jako „kontrolka ostrzału”.

- Skoncentrować ogień na Juliet Cztery. Powtarzam, Juliet Cztery. Teraz. Teraz. Teraz.

System oparty na ultraszerokim paśmie był trudny do wykrycia, zlokalizowania i zagłuszenia. Przy odrobinie wysiłku Posleeni byliby w stanie tego dokonać, ale tak krótka transmisja była w miarę bezpieczna. Mimo wszystko ryzykowali wykrycie oddziału i jego zniszczenie.

Ale teraz to i tak nie miało większego znaczenia, bowiem oddział nie był w stanie w inny sposób wezwać wsparcia. A gdyby tego nie zrobił, nie zdążyłby nawet spisać ostatniej woli syna pani Mosovich.

Jedyny Wszechwładca grupy znajdował się w odległości około czterystu metrów od nich. Sensory jego spodka były w stanie wykryć obecność ludzi, ale dopóki nie strzelali, nie mogły dokładnie określić ich pozycji. Gdyby oddział Posleenów zwyczajnie maszerował przez wzgórze, zwiadowcy zaszyliby się w krzakach i przeczekali nie zauważeni. Ale ze sposobu, w jaki kolumna się zbliżała, było jasne, iż Posleeni dokładnie wiedzą, kogo i gdzie mają szukać. Przybyli tutaj, aby wybić ich co do nogi.

Pozostawała tylko jedna możliwość: zabić Wszechwładcę i pozbawić gromadę dowództwa. Strzelanie mogło zdradzić ich pozycje, mimo że karabiny wyposażono w tłumiki i pochłaniacze światła, ale trzeba było zaryzykować. Wszechwładca musi zginąć, i to jako pierwszy i od jednego strzału.

Nichols położył się na ziemi i przygotował stojak karabinu. Ledwie żył ze zmęczenia po kilkugodzinnym biegu, ale udało mu się uspokoić łomotanie serca na ten jeden strzał. Tego właśnie uczyli na kursie snajperskim: takiego czerpania powietrza, aby momentalnie uspokoić organizm. Cel był oddalony o kilkaset metrów, co oznaczało, że Nichols nie musi przejmować się biciem serca. Gdyby ofiara znajdowała się dalej, musiałby strzelać w czasie między kolejnymi uderzeniami serca.

Zaczerpnął jeszcze kilka oddechów i przytknął oko do lunety. Zacisnął dłoń na rękojeści, a palec położył na spuście.

Orostan pokręcił głową, kiedy ikona oznaczająca Oldomana zamigotała i zniknęła.

- Ten głupiec nawet nie próbował robić uników.

Większość sił Posleenów kierowała się ku Oakey Mountain, ostatniej zarejestrowanej pozycji oddziału ludzi. Na tyłach pozostawiono tylko kilka oolt, które miały baczyć, aby ludzie nie wymknęli się z zasadzki, ale znaczna część sześciu tysięcy Posleenów maszerowała za Orostanem i wybranymi przez niego kessentaiami. Kolumnę otwierali, rzecz jasna, niezbyt wartościowi wojownicy, na których stratę można było sobie pozwolić.

Nagle szpica stała się celem niespodziewanego ataku z powietrza. Wojownicy zareagowali jak prawdziwi Posleeni i ruszyli do przodu, przebijając się przez kurtynę spadającego z nieba ognia i żelaza. Główna część artylerii, którą oddano pod komendę Mosovicha, nie była w stanie ostrzeliwać rejonów wokół jeziora Rabun. Tylko jedna bateria stopięćdziesiątekpiątek miała te okolice w swoim zasięgu, i jej właśnie przypadło zadanie odciążenia uwagi Posleenów od usiłującego się wymknąć oddziału zwiadu. Resztę haubic i armat przygotowano do położenia zasłony ogniowej, która miała chronić trasę ucieczki ludzi. Niektóre baterie naprowadzono na cele rzeczywiste, inne zaś na dodatkowe obiekty.

Po pierwszym wezwaniu o pomoc szybko przygotowano działa, i teraz wystarczyło tylko nacisnąć klawisz spustu, aby pociski spadały fala za falą. Pozostałe armaty, zaprogramowane wcześniej na ostrzał strategicznych punktów obrony Muru, zostały przemieszczone i wprowadzono do ich pamięci nowe koordynaty. System celowniczy w piętnaście sekund wyliczył nowe trajektorie i odpalił pociski.

Czas lotu pocisku wynosił czterdzieści sekund, dlatego nawała ognia spadła na obcych dopiero minutę po wezwaniu wsparcia. Czterdzieści sekund później kolejne baterie przyłączyły się do ostrzału.

Potem sprawy potoczyły się gorzej.

- Ta artyleria nas wykończy - mruknął Cholosta'an. - Jak zwykle. Skierował tenar w bok, z dala od pola obstrzału. Pochylił się i skurczył, pamiętając doskonale, jakie spustoszenie potrafią siać ludzie snajperzy. To był dobry nawyk, zwłaszcza że nigdy nie można było mieć pewności, czy jakiś nie kręci się w pobliżu. Wielu jego rówieśników, którzy nie wykształcili w sobie tego odruchu, już dawno nie żyło.

- Hmmm - mruknął Orostan. - Być może nalot zabił niektórych z nas, ale dzięki temu zlokalizowaliśmy ludzi. Kryją się na tamym wzgórzu. Odebrałem pochodzące stamtąd dwie transmisje. Kiedy tylko przekroczyliśmy linię szczytu, będą zupełnie odkryci.

- Doskonale, oolt'ondai - powiedział Cholosta'an - ale my też. Poza tym zauważyłem, że ty sam nie robisz uników.

- I co z tego? - Orostan poruszył z ożywieniem grzebieniem, kiedy ikona oznaczająca kolejnego kessentaię zamigotała i zniknęła. - Jeżeli się nie pospieszymy, wymkną się z okrążenia. Musimy na nich napierać, wtedy nie wezwą artylerii w obawie, że pociski mogą także ich zranić.

- A może spróbujemy odciąć im drogę? - zastanawiał się Cholosta'an. - Jak sądzisz, dokąd zmierzają?

- Uważam, że powinniśmy ich raczej ścigać. To wzgórze nie jest zbyt gęsto porośnięte drzewami, więc kiedy przedrzemy się przez zasłonę ognia artyleryjskiego, będziemy mogli zaszarżować w dół stoku. Ludzie biegną wolniej niż my, więc szybko ich dopadniemy.

- To wygląda na bardzo łatwy plan - powiedział wolno Cholosta'an, przypominając sobie nagle, że Orostan nigdy wcześniej nie walczył z ludźmi. - Zamierzasz posłać przez ogień artylerii tylko

szpicę czy także cenniejszych wojowników?

Orostan zamarł na chwilę; pogrążony w myślach.

- To celna uwaga - przyznał, spoglądając na trójwymiarowy obraz okolicy. - Uważam, że nasze główne siły powinny iść tą drogą, którą obrały, bo duża liczba wojowników nie pozwala na przeprawę przez las. My dwaj skręcimy na wschód, aby uniknąć ognia artylerii. - Przez chwilę wodził palcem po mapie, zastanawiając się. - Na wschód stąd znajdują się doskonałe pozycje na szczycie pasma wzgórz. To w dalszym ciągu daleko od ludzi, ale będziemy mieli widok na całą okolicę i jednocześnie unikniemy ostrzału.

Zamilkł, obserwując, jak kolejny oolt przedziera się przez nawałę ognia. Prowadzący go kessentai przeżył, ale czynniki pokazywały, że połowa jego oddziału zginęła.

- Chyba trzeba wysłać naokoło większą część wojska.

* * *

- Sierżancie, tu major Ryan.

Mosovich nie odpowiedział, zdając sobie sprawę, że transmisja ultraszerokim pasmem może być z łatwością wykryta. Wystarczy, że wysłucha tego, co major ma do powiedzenia.

- Opuszczacie strefę czujników, więc nie będziemy wiedzieć, gdzie jesteście. Z naszych odczytów wynika, że waszym tropem podąża pięć tysięcy obcych. Ale nie bójcie się, będziemy was osłaniać, ostrzeliwując wzgórze. Powodzenia.

Mosovich popatrzył na ciemną linię wzniesień; spadający na nie grad pocisków rozkwitł płomieniami eksplozji. Dym przesłonił widok, ale Jake siedział i spoglądał jak oniemiały na piękny obraz zniszczenia. Na jego oczach szyk Posleenów rozpieczętował się, zdmuchnięty siłą wybuchów.

Zza kurtyny płomieni wyłonił się kolejny Wszechwładca, a za nim jeszcze jeden. Czas uciekać, pomyślał Mosovich.

Nichols ponownie wymierzył i nacisnął spust. Kopnięcie karabinu odrzuciło jego krępe ciało o dobre dziesięć centymetrów w tył. Żołnierz załadował kolejny magazynek i zaczął szukać następnego celu. Już dawno temu stwierdzono, że ostrzał artyleryjski w jakiś sposób zakłóca systemy czujników Wszechwładców, dlatego Nichols nie musiał strzelać z taką precyzją, jak za pierwszym razem. Każdy wystrzelony pocisk zwiększał szanse bezpiecznej ucieczki. Mosovich zaklął cicho pod nosem, wybierając kolejny cel. Pozycje, jakie zajął oddział, nie były tak dobre, jakby sobie tego życzył. Pomimo ognia artyleryjskiego niektórzy Posleeni przedostali się do podnóża wzniesienia i zaczęli ostrzeliwać zwiadowców. Ich ogień był co prawda niecelny, ale po wschodzie słońca sytuacja miała się zmienić.

Póki co Mosovich widział atakujących wyraźnie jak w dzień. Kombinezon Land Warrior spisywał się doskonale, pomagając mu w kierowaniu ogniem, przesyłaniu komend i wyznaczaniu celów sobie oraz podwładnym. Wojna zawsze opiera się na trzech czynnikach: mobilności, celnym strzelaniu i sprawnej łączności. W przypadku niewielkich oddziałów zachowanie między nimi równowagi ma szczególnie duże znaczenie.

Kombinezony nie były, niestety, idealne. Prace, jakie nad nimi prowadzono, zostały wstrzymane przez wybuch wojny, a podzespoły pochodzenia galaktycznego nie usprawniły zbytnio systemów. Głównym problemem nadal była ocena odległości za pomocą noktowizora, bez pomocy pozaziemskich mikrosensorów.

Nie ma co narzekać, pomyślał Jake, mierząc do kolejnego Posleena. Poczekał, aż celownik obejmie sylwetkę wroga, a potem nacisnął spust. Broń miała wbudowany cały zestaw czujników, które określały trajektorię lotu pocisków oraz ich skuteczność. W przypadku „pułki” to na nich spoczywał ciężar określenia, z czyjej winy nie doszło do trafienia, i przeprowadzenia należnych

modyfikacji. Jeżeli wina leżała po stronie warunków (temperatury lufy czy wiatru), system korygował trajektorię kolejnego strzału. Jeżeli błąd popełnił strzelec, broń informowała go o tym błyskiem wyświetlacza. W tym przypadku komputer ocenił, że błąd może wynosić trzy centymetry na każde czterysta metrów, co mieściło się w dopuszczalnych granicach, dlatego Jake nie dokonał żadnych modyfikacji strzału.

Mosovich doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale nie przejmował się tym zbyt. System okazał się w miarę niezawodny i udowodnił swoją skuteczność, dlatego żołnierze polegali na nim bardziej niż na własnym doświadczeniu. Czasem komputerowi zdarzało się „zmarować” strzał, ale i tak skuteczność ognia prowadzonego z jego pomocą była niesamowita. Zwłaszcza w takim półmroku, jaki teraz panował.

System odnotował też pewną niepokojącą rzecz: przez nawałę ognia przedostało się wielu Posleenów, a od strony jeziora Seed nadciągało ich jeszcze więcej. Obcy zbili się na zboczu w gromadę i czekali na sygnał, a po prawej stronie przemykała kolejna grupa. Widząc to, Mosovich skierował na nią część ognia artylerii.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niewesoła.

Musimy stąd zniknąć! - krzyknął. - Nichols, chcę, żebyś nas osłaniał, aż dotrzemy do kolejnego zbocza. Potem my zajmiemy się Wszechwładcami, a ty dasz nogę. Wezwę stamtąd artylerię, żeby rozprawiła się z tą grupą na dole. Zrozumiano?

- Jasne, szefie! - W każdym innym oddziale żołnierzy osłaniający odwrót uznaliby, że wybrano go na ofiarę. Jednak Nichols miał pewność, że Mosovich powiedziałyby prosto z mostu: „Nichols, my wiejemy, a ty chwalebnie giniesz”.

- Mueller, siostrze, ruszamy! - krzyknął, zrywając się na nogi i biegnąc w dół zbocza. - Czas na ślizg!

Okolice Seed, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 07:15 czasu wschodnioamerykańskiego letniego, poniedziałek, 14 września 2009

Orostan parsknął gniewnie, kiedy artyleria zaczęła ostrzeliwać stok, po którym właśnie przemykali. Choć liczył na to, że skałki i krzewy osłonią ich przed ludzkim wzrokiem, stało się inaczej. Ogień był szczególnie uporczywy i celny, i teraz zaczęły się wykrawać elitarne oddziały Posleenów. To było nie do pomyślenia.

- Zaczynam mieć dosyć tych ludzi - powiedział, rozsierdzony nie na żarty. Wrogowie wymykali się poza zasięg jego czujników, kierując się w stronę szczytu wzgórza.

Cholosta'an poruszył grzebieniem, starając się nie okazywać rezygnacji.

- Znowu artyleria! Jeszcze nie toczyłem bitwy przeciwko ludziom, w której nie użyliby tej broni.

- Tym razem nie będą się nią długo cieszyć - warknął Orostan, podnosząc z podłogi tenara dziwną broń. Przypominała z grubsza strzelbę, jakich używał oolt Cholosta'ana, jednak kiedy wypaliła, różnica między tymi dwoma typami broni natychmiast stała się jasna. Ponieważ ludzie przywierali do ziemi, korzystając z osłony, jaką dawało zbocze, Posleeni nie byli w stanie ich trafić. Orostan nawet nie próbował celować, strzelał jedynie w kierunku, gdzie zapewne kryli się wrogowie. Pociski leciały wolno, po wydłużonej trajektorii, i spadały tam, gdzie krył się zwiad. Cholosta'an nie zauważył żadnego skutku ostrzału, poza dziwnym blaskiem urządzeń wykrywających tenara.

- Co to za broń? - spytał.

- Drobnny prezent od Tulo'stenaloor. Zobaczymy, jak działa.

* * *

Nichols omiatał wzrokiem górskie stoki, szukając kolejnego celu. Jego nowa pozycja strzelecka znajdowała się pomiędzy dwoma głazami, co dawało mu osłonę przed wścibskimi czujnikami i ostrzałem. Ale ponieważ nie ma niczego za darmo, Nichols musiał za to strzelać przez gęstwinę leśną. Choć pociski kalibru .50 były ciężkie i masywne, rośliny wprawiały je w ruch wirowy i powodowały zakrzywienie toru lotu. Kiedy jednak zobaczył na odległym szczycie Wszechwładcę, który uniósł do góry broń i wystrzelił z niej w kierunku wzgórza, postanowił zaryzykować.

Nagle luneta celownicza całkowicie pociemniała.

- Sierzancie - wyszeptał do mikrofonu radia. - Co się, do jasnej cholery, dzieje? Mój celownik nie działa.

Odpowiedź nie nadeszła, a po chwili Nichols uświadomił sobie, że nie słyszy nawet jednostajnego szumu w tle.

- Co jest, kurwa? - powiedział sam do siebie.

Obrócił się i zjechał po zboczu wzgórza, kierując się tam, gdzie zebrał się jego oddział. Znowu osłaniał tyły, ale w sumie lubił to robić. Jednak teraz, kiedy luneta nie działała, potrzebował wsparcia. Nacisnął przycisk analizy diagnostycznej, ale ten nawet się nie zapalił. Po tej stronie wzgórza panowały jeszcze nocne ciemności, więc Nichols uruchomił noktowizor. Dwa kroki wystarczyły, żeby uderzył w drzewo.

- Sierzancie! - krzyknął.

- Siostró Mary? - Mosovich uderzył dłonią w skrzynkę diagnostyczną kombinezonu i spojrzał na nią.

- Nie wiem, co się dzieje - powiedziała. - Żadne z urządzeń komunikacyjnych nie działa. Nawet

kilka medycznych też nawaliło.

- Szlag by trafił ten elektroniczny szmelc! - warknął Mosovich, ciskając hełmem o drzewo. - Kurwa mać!

- Jesteśmy wspaniali, Jake - powiedział Mueller. - Pamiętaj, nam wszystko się udaje!

- Nie możemy wezwać wsparcia! - syknął Mosovich. W tym momencie nadbiegł Nichols. Oddział zebrał się na niewielkim płaskim odcinku kotlinki, zapewne pozostałości po jednej z bitych dróg, jakie wytyczano w tych rejonach w latach dwudziestych i trzydziestych. - Co u ciebie, Nichols?

- Nic nie działa, sierżancie - odparł zdyszany snajper, próbując ze złością wymienić baterię w celowniku.

- To nic nie da - rzuciła siostra Mary. - Próbowałam tego samego przy podajnikach amunicji.

- Dostrzegłeś coś niezwykłego? - spytał Mosovich.

- Tak - odparł Nichols, jeszcze raz oglądając uważnie teleskop i potrząsając nim zawzięcie. - Na tamym wzgórzu pojawiła się grupa Posleenów i ich Wszechwładca wypalił z jakiejś broni, która przypomina wyrzutnik granatów albo strzelbę. Myślałem, że już po mnie, ale nie doszło do żadnej eksplozji. Tylko celownik snajperski wysiadł.

- IEM - powiedziała Mary. - Nie do wiary.

- No to pięknie - powiedział Mosovich. - Po prostu wspaniale.

- Co to takiego? - spytał Nichols.

- Jebany impuls elektromagnetyczny - odparł Mueller, zdejmując kombinezon. - Ale nas załatwili.

- Mueller ma rację - powiedział Jake. - Nichols, możesz przestać biedzić się z lunetą. Tak samo nie naprawisz noktowizora na hełmie i reszty elektroniki w pancerzu. Żadne z nich nie zadziała.

- Jak oni to, do cholery, zrobili? - dopytywał się dalej Nichols.

- To coś na kształt wielkiego elektromagnesu - tłumaczyła Mary, wyciągając z plecaka siatkę maskującą. - Rozpieprza całą elektronikę, wszystkie urządzenia z mikrochipami przestają działać. Większość sprzętu wojskowego była przed tym chroniona, ale ponieważ Posleeni dotąd nie stosowali takiej broni, zrezygnowano z zabezpieczania kombinezonów, podobnie jak lunetek celowniczych.

Spojrzała na Nicholisa, który właśnie kończył demontować celownik. Urządzenie nie było przyzwyczajone do takiego traktowania, ale snajper radził sobie z nim tak, jak umiał.

- Potrafisz strzelać bez tego ustrojstwa?

- Tak. - Nichols urwał ostatni nit i wyrzucił warte pięćdziesiąt tysięcy dolarów urządzenie w krzaki. - Oprócz lunety karabin wyposażono w zwykłą muszkę i szczerbinę. Strzelałem tak w szkole snajperów. - Zamyślił się na chwilę i dodał: - Ale to było wiele lat temu.

- Dobra, zbieramy się. Brać tylko niezbędny ekwipunek i rusza my. - Mosovich wyrzucił niepotrzebny czujnik i dodał: - To, że Posleeni nam przyłożyli, nie oznacza, że mogą nas zatrzymać. Musimy być stale w ruchu.

Już chciał wywołać obraz mapy, ale przypomniał sobie, że komputer nie działa. Ku swemu niezadowoleniu uświadomił sobie także, że nie ma papierowej mapy.

- Przekażnik - powiedział do mikrofonu, modląc się, aby urządzenia produkcji galaktycznej przetrwały elektromagnetyczny atak. - Czy masz w swoich zasobach mapę okolicy?

- Tak, sierżancie - odparł wysoki kobiący głos i przed oczami Mosovicha pojawił się hologram. Mapa była trójwymiarowa, co kombinezon potrafił osiągnąć z najwyższym trudem; Mosovich był ciekaw, czy przekaznik odczuwa zazdrość, że to on rozporządza energią.

- Dobra - powiedział, pokazując palcem migoczący punkt. - Jesteśmy tutaj, a chcemy dotrzeć

tam. Teren jest pofałdowany i stromy, ale to zadziała na naszą korzyść. Jeżeli Posleeni nie popiszają się szybkością, dotrzemy do drogi 197 i zostawimy ją za sobą, zanim oni zorientują się, co jest grane.

- A co będzie, jeżeli już tam na nas czekają? - spytał Nichols.

- Będziemy martwić się na miejscu.

* * *

Orostan chrząknął z zadowoleniem, kiedy artyleria przerwała ostrzał.

- Wydaje się, że nasza sztuczka zadziałała.

- Tak - przytaknął Cholosta'an. - Ale ludzie znowu nam umknęli.

Spoglądał na sensory tenara, które jasno pokazywały, że oddział zwiadowców wymknął się z rąk Posleenów.

- Jeden oolt idzie wzdłuż drogi, więc prędzej czy później ich dopadniemy. Bez łączności nie będą w stanie wezwać osłony artyleryjskiej. Kiedy ich okrążymy, wybijemy jednego po drugim.

* * *

Nastąpiła chwila ciszy. Mosovich podejrzewał, że system żartuje sobie z niego, próbując przydać rozmowie dramatyzmu.

- Mogę to zrobić, sierżancie, ale Posleeni będą w stanie namierzyć sygnał.

- Czy przez to zdołają nas zlokalizować? Albo odszyfrować wiadomość? Zakładam, że będzie ona zakodowana.

Ponownie nastąpiła chwila milczenia.

- Oceniam szanse wychwycenia sygnału na jedną dziesiątą procenta, podobnie jak odszyfrowania klucza GalTechu. Nie ma możliwości fizycznego zlokalizowania miejsca nadania. Niestety nie mam dojścia do zabezpieczonego wojskowego systemu przekazywania informacji. Wszystkie przekaźniki zostały zablokowane po wydarzeniach związanych z dziesiątym korpusem. Mogę skontaktować się z dowództwem tylko za pośrednictwem standardowej linii, ale ten system jest nie tylko nie zabezpieczony, ale czasem nawet zdarzało się, że Posleeni dokonywali do niego włamań. Jediną alternatywą jest nawiązanie kontaktu bezpośrednio z kimś z dowództwa, kto dysponuje bezpiecznym łączem. Istnieją pewne metody komunikacji, ale przekaźnik nie ma do nich dostępu. Nie mogę się połączyć.

- Dlaczego to mi się nie podoba? - spytał sam siebie Mosovich.

- Pierwszy na liście kontaktów jest Dowódca Armii Kontynentalnej.

* * *

Jack Homer potarł szczękę zaciśniętą pięścią i jeszcze raz spojrzął na hologram. Jego rozmówcą był człowiek o błyszczących ciemnych oczach. Źrenice zlewały się z tęczęwkami, dając niepokojące wrażenie, jednak Homer wiedział, że to pozory. On i dowódca sił uderzeniowych Floty Irmansul znali się od dawna. Choć czas wspólnych działań bezpowrotnie minął, nadal utrzymywali kontakty. Fakt, że działo się to za pośrednictwem prywatnych e-maili, ale kontakt jednak się nie urwał.

- Dzięki „niefortunnej” śmierci admirała Chena i temu, że zastąpił go admirał Wright, możemy wiele zyskać - powiedział rozmówca generała. Spojrzął w bok i wziął do ręki kawałek papieru. - Chciałbym przekazać, że nasze dalsze stacjonowanie na Irmansul jest całkowicie niepotrzebne. W ciągu ostatniego miesiąca wykonaliśmy czterdzieści patroli i mieliśmy do czynienia głównie z nieuzbrojonymi i pozbawionymi przywództwa normalnymi Posleenami. Nasz wspólny przyjaciel określiłby to jako „opierdalanie się”, choć nie chciałbym używać tak wulgarnego określenia w stosunku do naszych dobroczyńców Darhelów. Wright pozwolił na swobodniejsze działania jednostek zwiadowczych, a zespół panczerzy w bazie Titan dokonał jakiegoś przełomu, więc można

spodziewać się pomocy również z tej strony.

Rozmówca generała zaklął po francusku. Homer nie zrozumiał, co tamten powiedział, ale wyłowił słowo „osioł”.

- Tutaj, na planecie, zostało jeszcze trochę Posleenów, ale nigdy ich nie wytrzebimy, bo kryją się w dziczy, a poza tym doskonale się zaadoptowali i znaleźli dla siebie niszę ekologiczną. Do ich kontrolowania wystarczy niewielki korpus ekspedycyjny. Ostatnią bitwę w kosmosie wygraliśmy z niewielkimi stratami, ale jeżeli Ziemia upadnie, nie tu po nas. Musimy jak najszybciej wrócić. Jeśli Darhelowie nas nie zwolnią, sami podejmiemy tę honorową decyzję.

- Bez względu na okoliczności.

- Tak. Crenaus. Bez odbioru.

Homer uśmiechnął się złowieszczo. Od pierwszego kontaktu z obcymi wiadomo było, że Darhelowie prowadzą własną grę. I przeżycie rasy ludzkiej nie było jej celem. Ale dopiero niedawno uświadomiono sobie, że Darhelowie uważają pomysł istnienia Ziemi jako niezależnej i samodzielnie funkcjonującej planety za niedopuszczalny. Społeczeństwo galaktyczne był stare, skostniałe i ogarnięte stagnacją. Ludzie i ich filozofia, sposób myślenia i metody działania stanowiły zagrożenie dla wspólnoty kontrolowanej przez Darhelów. Sam pomysł demokracji, równych praw dla wszystkich i tolerowania swobody poszczególnych jednostek był nie do przyjęcia. Dlatego postanowiono jakoś zneutralizować zagrożenia płynące z Ziemi.

Homer zaczął zastanawiać się, dlaczego Darhelowie tak długo nie kontaktowali się z ludźmi. Pojawili się dopiero pięć lat przed inwazją Posleenów, choć wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że od bardzo dawna zdawali sobie sprawę z istnienia ludzi. Świadczyła o tym ich dogłębna wiedza na temat medycyny i języków. Jednym z powodów mógł być strach. Rasy żyjące w federacji galaktycznej nie stosowały przemocy, pozbawione były ekspansywności. A ludzie nie.

Generał Taylor, poprzedni najwyższy dowódca, mówił o tych podejrzaniach jasno i otwarcie. Został zabity przez terrorystów, a wraz z nim zginęło pięciu darhelskich dyplomatów. Posądzenie obcych o udział w zamachu równało się oskarżeniu ich o poświęcenie pięciu własnych dygnitarzy. Jak to mogło komukolwiek pomieścić się w głowie, skoro dane wywiadu wskazywały, że obcy nie byli nawet w stanie nakazać zabójstwa, a co dopiero przyłożyć do niego ręki? Teraz to było bez znaczenia. Jim Taylor nie żyje, i to był fakt. Choć zakrawało to na paranoję, argumenty wysuwane przeciwko relokowaniu sił ekspedycyjnych stawały się coraz bardziej podejrzane. Wszystkie, co do jednego. Jedyńm krajem, który zachował ciągłość polityczną, było USA. Pozostałe państwa zostały pokonane, choć w Indiach i Europie nadal utrzymywały się ogniska oporu. W porównaniu ze Stanami były jednak bardzo słabe. Na co więc czekają Darhelowie? Czy Ameryka też ma upaść? Przekaznik zabrzączał głośno, dając znak, że otrzymał jakąś ważną wiadomość. Homer spojrzał podejrzliwie na urządzenie, które wyprodukowano w galaktyce. Całkiem możliwe, że Darhelowie mogli odczytać wszystkie wysyłane przez to urządzenie wiadomości, w tym ostami list generała Crenausa. Homer uśmiechnął się nieprzyjemnie i odebrał połączenie.

- Otrzymało wiadomość od starszego sierżanta sztabowego Jacoba MoSovicha ze zwiadu sił uderzeniowych Floty.

Homer pamiętał to nazwisko. Mosovich był jednym ze starych wyg, które przeniesiono do Floty po tym, jak przejęła funkcję Dowództwa Sił Specjalnych. Był dowódcą dwunastego LRRP, a więc pewnie go wysłano, żeby zbadał lądowanie w Georgii. To nie wyjaśnia jednak, czemu dzwoni bezpośrednio do Homera.

- Łączyć.

- Generale Homer, tutaj starszy sierżant sztabowy Mosovich!

- Mówcie, sierżancie. Czemu dzwonicie do mnie?

- Sir, zostaliśmy trafieni przez ładunek elektromagnetyczny i jest pan jedyną osobą, z którą w ogóle mogę rozmawiać.

Homer uśmiechnął się złowrogo.

- Coraz lepiej. Jesteście w Georgii?

- Tak, sir. Posleeni, których spotkaliśmy, dziwnie się zachowują. Rozstawili patrole na drogach, i to takie z prawdziwego zdarzenia, a nie jakąś hałastrę, niszczą nasze czujniki i od czasu do czasu posuwają się nawet do stosowania przemyślanej taktyki. Zdaje mi się, że się nas spodziewali, i teraz siedzą nam na ogonie. Użyli jakiegoś impulsu elektromagnetycznego, żeby zakłócić działanie kombinezonów Land Warrior i systemów łączności.

- To niezwykle. Jaki jest wasz status, sierżancie? - spytał Homer, spoglądając na wyświetlaną w trzech wymiarach mapę.

- Zdołaliśmy oderwać się od pościgu, ale nie wiem, na jak długo. Będziemy robić wszystko, co w naszej mocy, żeby zwiększyć dzielącą nas odległość, ale to może być trudne. Staramy się ich przechytrzyć, ale nie stawiałbym na nas wielkich pieniędzy. Głównego zadania nie byliśmy w stanie wykonać.

Homer uśmiechnął się pod nosem. W dawnych, lepszych czasach miał okazję kilka razy jechać przez te tereny, i widział, że ludzie mają tam ciężki żywot.

- Wygląda na to, że musicie sami sobie radzić, sierżancie. Posłałbym wam na pomoc pancerze wspomagane, gdybym tylko mógł.

- Damy sobie radę, sir - zapewnił zwiadowca. - Ale musimy skontaktować się z artylerią.

Homer pokiwał głową.

- Przekaznik, proszę przełączyć sygnał na bezpieczną częstotliwość i utrzymywać kontakt sierżanta z artylerią.

- Tak jest, sir - odpowiedział mechaniczny głos komputera.

- Czy mogę jeszcze coś dla was zrobić, sierżancie?

- Nie, sir. To wystarczy.

- W takim razie powodzenia - powiedział generał. - Wydałem polecenie, że chcę was widzieć natychmiast po waszym powrocie do bazy. W tej chwili myślę, że to może trochę zaczekać. Nie dajcie się.

- Zrozumiałem, sir. Bez odbioru.

* * *

Ryan spojrział na oficera łączności, który wszedł do Centrum Operacji Taktycznych.

- Wygląda na to, że już po nich, sir - powiedział.

- Nie zgadzam się. Jednocześnie z ich sygnałem straciliśmy łączność z czujnikami. Podejrzewam, że Posleeni posłużyli się jakimś impulsem elektromagnetycznym, który zakłócił działanie naszych urządzeń. A to oznacza, że zwiad może gdzieś się kryć. Wiem, że planowali przekroczyć Soque i skręcić na zachód do Batesville. Zamierzam nakazać artylerii, aby osłaniała tę trasę.

- I w tym tkwi szkopuł. Marnuje pan amunicją na osłanianie wymordowanego oddziału. Musimy porozmawiać o odwołaniu rozkazów i zaprzestaniu ognia.

- Zrobimy to, kiedy będziemy mieli pewność, że nie żyją - warknął Ryan. - A do tej chwili artyleria ma celować tam, gdzie jej kazałem. Lufy ani personel nie zmęczą się, od innego niż zwykle ustawienia.

Nagle zaterkotał telefon. Rozzłoszczony Ryan podniósł słuchawkę i rzucił obcesowo:

- O co chodzi?

- Połączenie ze sztabem Dowódcy Armii Kontynentalnej - poinformowała go automatyczna telefonistka.

- Może pan powiedzieć swojemu dowódcy, że właśnie mam ważny telefon ze sztabu głównego - rzucił zjadliwie Ryan.

Oficer obdarzył go wściekłym spojrzeniem i wyszedł, kiedy telefon powtórnie zadzwonił.

- Tutaj sztab Dowódcy Armii Kontynentalnej - oznajmiła tym razem żywa telefonistka. - Proszę odebrać połączenie, dzwoni starszy sierżant sztabowy Jacob Mosovich. Otrzymaliśmy dyrektywę, aby połączenia pana sierżanta były przesyłane za pośrednictwem centrali do stanowiska artylerii. Proszę o chwilę cierpliwości.

- Jasna cholera - wyszeptał Ryan.

- Jest pan tam, majorze? - rozległ się w słuchawce głos Mosovicha.

- Miło znowu pana słyszeć, sierżancie - powiedział ze śmiechem Ryan.

- Może pan wyobrazić sobie, że i my cieszymy się jak dzieciaki. Doniesienia o mojej śmierci były przesadzone... Jak zwykle.

Ryan ponownie roześmiał się na głos. Tymczasem do pomieszczenia wszedł dowódca korpusu.

- Jesteśmy gotowi do ostrzelania trzech lub czterech punktów na drodze 197. Zaraz je panu przedstawię do akceptacji, i na pański rozkaz będziemy mogli strzelać.

- Świetnie - odparł Mosovich. - Cieszę się, że znów jesteśmy na linii, ale na mnie czas. Muszę zjechać z następnej cholernej góry.

- Będziemy czekać na sygnał - zapewnił go Ryan. - To był Mosovich, sir - wyjaśnił dowódcy korpusu, który patrzył na niego zdziwiony. - Zwiad skorzystał z IP i połączył się z DowArKonem, a oni przekazali transmisję do nas.

- Czyli to nie DowArKon nas wywoływał? - spytał generał Bernard.

- Nie bezpośrednio, sir. Wydali rozkaz, aby przekazywać im pełen zapis rozmów z Mosovichem, zarówno służbowych, jak i prywatnych. Wydaje mi się, że dowództwo chce wiedzieć, co tam się dzieje.

- No cóż, skoro generał Homer chce mieć raport na biurku, to chyba musimy wydostać ten oddział z potrzasku, prawda? - spytał Bernard. - Czy jest jeszcze coś, o czym mnie nie poinformowano?

- Możemy wysłać im z pomocą kolumnę latającą, która stacjonuje w Unicoi Gap - powiedział któryś z oficerów. - Mamy tam batalion zmechanizowany. Według raportów, w okolicach Helen nie ma zbyt wielu Posleenów, dlatego zwiad, jeśli nie wpadnie na jakiś patrol, ma szansę przebić się aż do Sautee. W Sautee zarejestrowaliśmy najdalej wysunięte na południe ślady lądowania.

- Poślijcie im na pomoc batalion - polecił Bernard. - Powiedźcie im, żeby przemieścili się pod Helen, dobrze schowali i czekali na dalsze rozkazy.

- Natychmiast, sir - odpowiedział sztabowiec i ruszył do stołu taktycznego.

- Mam nadzieję, że oni mają jakieś szanse.

- Wszyscy w to wierzymy, sir - rzekł Ryan.

* * *

Mosovich spojrział w dół i pokręcił głową. Zbocze było bardzo strome, dlatego najlepiej byłoby zejść na dół szybko, ale to oznaczało rappeling, a odległość była za mała, żeby ich pasywne systemy rappelingowe zadziałały tak, jak powinny. Nie mieli też tak długiej liny, żeby zrobić z niej pętlę na drzewie; za krótka lina zostałaby na miejscu, zdradzając pościgowi, że wybrali właśnie tę trasę. Dlatego musieli schodzić etapami.

- Mueller, dawaj linę - zdecydował Mosovich.

- Jasne. - Mueller wyciągnął z plecaka zwój i zaczął go rozplątywać.

Zielony sznur, wykonany z nylonowych włókien o dużej wytrzymałości na rozciąganie, był dokładnie taki sam jak te używane przez wytrawnych alpinistów. Miał kilka zalet; pomagał we wspinaczce i zaciskał się wokół ciała, uniemożliwiając wypuszczenie go z dłoni. Główną wadą sznura była jego grubość i szorstkość; najlepsze liny wspinaczkowe miały mniejszą średnicę i były gładkie.

Jednak dzięki szorstkości i temu, że się nie ślizgał, żołnierz, trzymany przez karabińczyk i klamra, mógł mieć jedną wolną ręką. Dzięki zielonej linie drużyna zwiadu mogła nie zabierać ze sobą całego zestawu wspinaczkowego.

Mueller owinał linę wokół solidnego drzewa, wyrównał obydwie końce i zawiązał supeł. W innej sytuacji wybrałby bezpieczny węzeł, ale teraz postanowił zaryzykować. Gdyby węzła nie dało się rozwiązać jednym silnym pociągnięciem, pozostałby jako drogowy znak trasy ich ucieczki, skazując na śmierć cały oddział.

- Ja idę pierwszy - powiedział Mosovich, obwiązując się liną w pasie.

- Ja jestem najcięższy z was, więc jeśli mnie się uda, to i wam pójdzie gładko - zaprotestował Mueller.

- Nie. Idziemy w kolejności wagi. Chcę, żeby jak najwięcej nas znalazło się na dole. Będziesz ostatni i weź barretta.

- A nich cię, Jake. Jak będziesz schodził, pamiętaj, że jestem tutaj na górze i mam nóż.

- Jasne - odparł z uśmiechem sierżant, przechylił się przez krawędź zbocza i zaczął schodzić w dół.

Mimo iż mógł operować liną tylko jedną ręką, trzymał ją w obu dłoniach. Przeciągnął sznur między udami i zawiązał go na ramieniu. Tak było bezpieczniej. W duchu Mosovich musiał przyznać, że ma już po dziurki w nosie życia na krawędzi.

Jak do tej pory wszystko szło gładko. Opuścił się już jakieś trzydzieści metrów w dół, kiedy zauważył skalną półkę, wystarczająco szeroką, by móc wygodnie na niej stanąć i rozejrzeć się dookoła. Okoliczne strzeliste drzewa zapewniały osłonę. W pobliżu wyrastała z klifu samotna smukła sosna. Nie była tak potężna jak to drzewo, do którego Mueller przywiązał linę, gdyż rosła na gorszym podłożu, no ale cóż, biedacy nie mają prawa narzekać.

Następna w kolejce była siostra Mary, która opuściła się szybko i sprawnie. Ona i Mosovich trenowali razem przez sześć miesięcy w obozie, a ponadto kobieta miała doświadczenie wspinaczkowe, co widać było po jej ruchach. Odbijała się od zbocza, do czego Mosovich nie był w stanie się zmusić, zgrabnie omijając kupki kamieni i skalnych okruchów. Wreszcie opadła ciężko na półkę, krusząc kawałek nadżartego zębem czasu kwarcu. Odłamek poszybował w dół, ale - szczęście w nieszczęściu - upadł w kałużę błota, nie czyniąc najmniejszego hałasu.

Następny był Nichols, który nie miał żadnego doświadczenia w zakresie wspinaczki. Opuszczał się powoli i ostrożnie, pozostawiając za sobą więcej śladów niż Mosovich i Mary razem wzięci. W końcu jednak dołączył do reszty oddziału i cała trójka odsunęła się na bok, robiąc miejsce dla ostatniego żołnierza.

Ale Mueller zamiast schodzić na dół, podciągnął linę do góry, a po chwili pojawił się barrett i jego plecak. Dopiero w ślad za nimi zjechał Mueller.

- Sam nie wiem, Jake - powiedział, spoglądając na białą pokręconą sosnę, przygiętą do ziemi ustawicznie dmącymi tutaj wichrami. Z tej odległości zdawało się, że jest przegniła i chora.

- Da radę - powiedział pewnym głosem Mosovich. - Siostro, będę cię asekurować.

- Jasne - odparła bez wahania Mary. Skoro sierżant mówi, że lina i drzewo wytrzymają, to na pewno tak będzie. Obwiązała się sznurem w pasie. - Schodzę.

- Dobrze. Spróbuj stanąć w strumieniu, ale nie ruszaj się nigdzie dalej.

- Zrozumiałam. - Mary odepchnęła się i zniknęła za krawędzią klifu. Chwilę później wylądowała na ziemi i kilkoma susami znalazła się w strumieniu, znikając z oczu reszcie oddziału.

- Teraz ty, Nichols. I weź karabin, Mueller, pomóż mi.

We dwóch asekurowali opuszczającego się w dół Nicholisa, obciążonego na dodatek karabinem snajperskim. Snajper opadł ciężko na ziemię, ale szybko zerwał się z klęczek i pognał do strumienia. Chwilę później z lasu dobiegł cichy krzyk, a potem chichot. Spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami i Mueller spytał:

- Jesteś pewien, że jakoś mnie utrzymasz, Jake? Mogę zejść jako ostatni.

- Dam sobie radę. Nie bierz tego do siebie, ale nie lubię na kimś polegać. Utrzymam cię, nie jesteś aż tak ciężki.

- Jasne - roześmiał się Mueller i zeskoczył w dół. Kiedy znalazł się u podnóża skały, odrzucił linę i pobiegł w las.

Mosovich został sam. Obrzucił wzrokiem drzewo, któremu miał powierzyć swoje życie, przeżarte erozją skały i rozciągające się wokoło lasy. Zwinął linę, schował ją do plecaka i przełożył nogi przez krawędź półki.

Techniki schodzenia po takich zboczach nauczył się w ciągu swego aż nadto niebezpiecznego życia. Na zboczach podobnych do tego, gdzie pełno jest załomów i nierówności, nie można schodzić powoli i ostrożnie, warunkiem przeżycia jest umiejętność spadania i zmniejszania impetu uderzenia tak, aby żadna z kości nie została złamana.

Technika, którą stosował Mosovich, nie była często spotykana. Uciekali się do niej tylko żołnierze wojsk górskich, i to w przypadku wyjątkowego zagrożenia życia. Powód był prosty: ogromne ryzyko odniesienia obrażeń. Spadając, Mosovich myślał o dwóch rzeczach: po pierwsze, że gdyby wylądował ze zbyt dużym impetem, pozostawiłby za sobą ślad, który tylko ślepy mógłby przeoczyć, a po drugie, jeżeli któryś z kamieni znalazł się w nieodpowiednim miejscu, już nigdy nie będzie małych Mosovichów.

Stromizna stopniowo była coraz łagodniejsza. Nagle zwiadowca' zawadził stopą o niewielki występ, obrócił się w powietrzu i grzmotnął o ziemię tak, że aż gwiazdy zatańczyły mu przed oczami. Szybko jednak wstał, stwierdzając z zadowoleniem, że niczego nie złamał, i pomknął jak górska kozica w stronę strumienia.

Po drodze chwycił konar niewielkiego drzewka i ułamał go. Idąc nurtem rzeczki, będą stąpać po śliskich kamieniach. Jeden nieuważny krok przy takim obciążeniu ekwipunkiem może skończyć się złamaniem kostki.

Wreszcie ujrzał swoich żołnierzy skulonych na brzegu strumienia.

- Wszyscy zdrowi?

- Nie - jęknął Nichols.

- Złamał obydwie kostki, zeskakując z brzegu - wyjaśniła Mary, unieruchamiając jego stopy.

- No to pięknie, Stanley - powiedział Mueller. - Właśnie wpakowałeś nas w niezły burdel.

Okolice Seed, Georgia Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 08:25 czasu wschodnioamerykańskiego letniego, poniedziałek, 14 września 2009

Leżenie w zimnym strumieniu nie było ulubioną rozrywką Mosovicha. Na dodatek towarzystwo kompana, który złamał obydwie kostki, nie poprawiało mu humoru.

- Jezus Maria, tak mi głupio, sierżancie - wyjęczał Nichols. Siostra Mary zaaplikowała mu dawkę blokerów zakończeń nerwowych, ale i tak widać było po nim oznaki bólu i wyziębienia organizmu w lodowatej wodzie strumienia. Snajper był blady i wstrząsały nim drgawki.

- Przecież nie twierdzę, że zrobiłeś to specjalnie - odparł Mosovich. - Takie rzeczy się zdarzają.

Jak dotąd nie dostrzegli żadnych śladów Posleenów, ale przejście w dół strumienia i dźwiganie rannego Nicholasa i jego ekwipunku nie było łatwym zadaniem. Były dwa wyjścia z tej sytuacji: albo mogli iść naprzód, korzystając z osłony wzgórz i jak najszybciej przebywając odsłonięte fragmenty terenu, albo mogli znaleźć jakąś kryjówkę i w niej przeczekać do chwili, aż Posleeni zrezygnują z poszukiwań, uważając, że ofiary im się wymknęły.

Jest też trzecie wyjście, uznał po chwili Mosovich.

- Dobra, zmieniamy plany. Mueller, ruszaj w górę strumienia i znajdź jakieś miejsce, gdzie ty, Nichols i siostra Mary będziecie mogli spokojnie się ukryć. Nichols, dostaniesz hiberzynę. Taszczenie cię tylko pogarsza stan twoich kostek. Mary je unieruchomi i jakoś to przetrzymasz.

- Dam radę, sierżancie - zapewnił snajper pomimo wstrząsających nim drgawek.

- Zamknij się, durniu - odparł Mueller, marszcząc brwi. - Jeżeli cię nie uspimy, twój własny organizm załatwi cię jeszcze przed zachodem słońca i nie dożyjesz późnej starości, Jake.

Tymczasem Mosovich zaczął rozpinać karabińczyki munduru Nicholasa.

- Żarty się pana trzymają, sierżancie? - spytał snajper, przewracając się na brzuch, aby Mosovich mógł wyciągnąć spod niego magazynki do karabinu. Nichols nie był tak zwałisty jak Mueller, ale i przy nim Mosovich wyglądał na drobnego faceta.

- Ani trochę - odparł, zabierając barretta i amunicję. - Nosilem takie zabawki, kiedy ciebie nie było jeszcze w planach. Kryjcie się, kiedy wezwę ostrzał, a potem zanieście go w bezpieczne miejsce. Kierujcie się w stronę Unicoi, a ja odciągnę ich na południowy zachód.

- Jasne - rzekł Mueller. - Miłej zabawy.

- Taaa - odparł sierżant, zanurzając się w wodzie aż po szczękę. - O niczym innym nie marzyłem.

* * *

Mosovich trząsał się z zimna, ale nie zwracał na to uwagi. Prąd był silny i ciągnął go w dół strumienia. Leżąc płasko na brzuchu, tyłem do kierunku nurtu, uderzał o kamienie i występy. Barrett, którego ciągnął za sobą, trochę spowalniał tempo przemieszczania się, za co w tej chwili sierżant był niezmiernie wdzięczny. Rzeczka pełna była głązów, konarów, zwałonych drzew i naturalnie utworzonych tam, więc mógł wybrać sobie odpowiednią kryjówkę. Co więcej, strumień przepływał pod drogą, dzięki czemu mógł bez trudu uniknąć wykrycia przez wrogie patrole.

Leżał właśnie w cieniu dawno obalonego odłamu skalnego, kiedy dostrzegł pierwszych Posleenów. Byli jakieś trzy kilometry od miejsca, gdzie oddział wszedł do rzeki, i zmierzali właśnie w tamtym kierunku. Mosovich zamarł, widząc, że na czele grupy znajduje się Wszechwładca. Według danych wywiadu, systemy czujników jego tenara były w stanie wykryć człowieka w odległości stu

metrów, bez względu na to, jakich środków zapobiegawczych używał. Mosovich odczuł działanie sensorów na własnej skórze na Barwhon. Teraz jednak grupa minęła jego kryjówkę, zupełnie nieświadoma obecności człowieka.

Po tym spotkaniu Mosovich zaczął poruszać się już z mniejszą ostrożnością, jako że miał do wykonania zadanie, a czasu było coraz mniej. Jak dotąd oddział nie został wykryty, ale to tylko kwestia czasu, kiedy obcy na niego wpadną. Chyba że sami będą mieli kłopoty, które odwrócą ich uwagę.

W końcu Mosovich dotarł do miejsca, którego szukał. Tam, gdzie strumień ostro skręcał na wschód, biegła leśna dróżka. Ktoś najwyraźniej o nią dbał, ponieważ nie była zarośnięta chaszczami. Po kilkudziesięciu metrach okazało się, że coraz bardziej kręta ścieżka prowadzi w kierunku góry Ochamp.

Mosovich uważnie rozejrzał się na boki, a potem ruszył truchtem przed siebie. Nie mógł szybko biec, gdyż potwornie ciężki karabin snajperski aż przyginał go do ziemi. Jakby tego było mało, dźwigał też zapas amunicji. Starając się pozostawiać za sobą jak najmniej śladów, przemykał przez las. Ścieżka była coraz bardziej zarośnięta krzewami i pnączami, Mosovich przez chwilę myślał nawet, żeby je rozrywać gołymi rękami, ale zdecydował, że lepiej nadłożyć trochę drogi i ominąć najgorszą gęstwinię. Opóźnienie wyszło mu tylko na dobre, gdyż w miejscu, do którego zmierzał, słychać było głosy Posleenów.

Ułamek sekundy wystarczył mu, aby zawrócić, przypaść do ziemi i okryć się siatką maskującą. Był dobre siedemdziesiąt metrów od drogi i nie obawiałby się wykrycia przez ludzi, ale Posleeni przyprawiali go o dreszcze.

Kolumna obcych zdawała się nie mieć końca. Mosovich automatycznie zaczął ich liczyć, ale po dojściu do czterech tysięcy dał sobie spokój. To musi być cała brygada. Czy i oni wiedzą, gdzie jest zwiad, i tylko się z nim bawią?

Kiedy ostatni Posleeni zniknęli, Mosovich przez chwilę chciał wezwać ostrzał, ale zrezygnował z tego pomysłu, uważając, że powinien być dalej od kolumny, zanim zacznie się bawić ogniem.

Przykucnął i powoli zaczął skradać się przez las. Kiedy znalazł się za zakrętem, zwinął siatkę i ruszył pędem w górę.

Trzydzieści minut później, ledwie dysząc ze zmęczenia, wspiął się na szczyt góry Ochamp, mierzącej ponad sto pięćdziesiąt metrów wysokości. Rozciągał się z niej doskonały widok na dolinę Soque, a zalesione zbocza dawały schronienie.

Szybko odlażł niewielką przecinkę - pozostałość po jakimś domu, sądząc z resztek ogrodu i murków - i wyjął lornetkę, aby uważnie przyjrzeć się okolicy. Nie miał kłopotów ze zlokalizowaniem kolumny Posleenów, która go minęła. Obcy kierowali się drogą ku Batesville. Najgorsze było to, że znajdowali się w okolicy, w której powinien być oddział.

Na południu dostrzegł kolejny patrol z Wszechwładcą, tym razem dość daleko od przypuszczalnych pozycji drużyny. Prawdę mówiąc, obaj wodzowie byli w zasięgu strzału. Gdyby miał elektroniczny celownik, trafienie ich byłoby dziecinnie prostym zadaniem...

A gdyby spudłował, byłoby po prostu zabawniej.

* * *

Lakom'set zaczynał się zastanawiać, czy towarzyszenie Tulo'stenaloorowi na wojnie było dobrym pomysłem. Jak dotąd „wielkie starcie” ograniczało się do biegania po drogach, a tymczasem on wolałby zabijać ludzi. I żeby oni do niego strzelali. Wszystko byłoby lepsze od tego nie kończącego się łażenia w tę i z powrotem.

- To takie nudne, nudne, nudne - powiedział, ale naturalnie żaden z jego podwładnych nie

zareagował. Byli na tyle pojętni, żeby wykonywać proste rozkazy, ale konwersacja przekraczała ich możliwości.

Jakby w odpowiedzi na te słowa tuż nad jego ramieniem zagwizdała kula kalibru .50, rozrywając pierś idącego obok cosslaina.

- A może nuda wcale nie jest taka zła? - powiedział sam do siebie Lakom'set, odwracając tenar w stronę snajpera.

* * *

Mosovich skulił się za skałą, kiedy wokół niego zaczął uderzać grad pocisków, a potem mocno przywierając do ziemi, zsunął się ze wzgórza. Posleeni nie mają poczucia humoru i na jego niewinny żart odpowiedzieli z całą powagą.

Czas znowu pobiegać.

* * *

Mueller widział, jak horda wrzeszczących Posleenów nagle zawróciła i pognęła na południe. Mimo że mijali kryjówkę ludzi w odległości jakichś trzydziestu metrów, sensory Wszechwładcy nie wykryły obecności zwiadu. Mueller podejrzewał, że powinien wyciągnąć z tego jakieś wnioski, ale na razie zajęty był dygotaniem z zimna.

Przejsie obok kryjówki zwiadu zajęło hordzie prawie pół godziny. Całe szczęście, że nie było ich więcej, bo inaczej ludzie popadliby w tej lodowatej wodzie w hipotermię.

Plan drużyny był prosty. Mosovich miał kierować się na zachód i odciągać uwagę Posleenów, a reszta oddziału miała iść na północ, ku własnym pozycjom w okolicach jeziora Burton Linę. Ukształtowanie Appalachów w tamtym rejonie pozwalało na obsadzenie przełęczy stosunkowo niewielkimi siłami. Gdyby Posleeni zaatakowali, bez trudu zostaliby stamtąd odparci, nawet mimo znacznej przewagi liczebnej. Drogi i mosty w tamtych okolicach zostały zerwane, a zabudowania wysadzone w powietrze przez patrolujące oddziały. Mueller spojrzał na zeszywniałe ciało Nicholasa. Snajper nie musiał już o nic się martwić. Galaksjańska hiberzyna, czyli kombinacja leków spowalniających metabolizm i nanitów, sprawiała, że organizm prawie zamierał. Nanity dbały o to, aby nie doszło do żadnych trwałych uszkodzeń. Jeśli ranny nie wykrwawiał się, można było przez trzy miesiące, niezależnie od warunków, nie martwić się o jego zdrowie. Po wstrzyknięciu do krwioobiegu stymulantu lub po wyczerpaniu się zapasów energii nanitów pacjent budził się w miarę dobrej kondycji, choć nie pamiętał, co się z nim działo w czasie snu.

Ale problem polegał na tym, że Nichols nie był lekki.

- Ruszamy, siostró. - Mueller wskazał podbródkiem na zachód. - Znajdziemy nową kryjówkę i w niej przeczekamy do zmierzchu - dodał, szcękając zębami. - Spróbujmy nie zostawiać żadnych śladów, kiedy będziemy wychodzić z wody.

- Kto go niesie jako pierwszy?

Mueller spojrzał na strumień. Woda szumiała, pędząc jak na złamanie karku i co chwila rozpryskując fontanny kropel o śliskie kamienie.

- Niech to diabli. Lepiej go ciągnąć i nie ryzykować - powiedział, chwytając snajpera za rękę.

* * *

Sporych rozmiarów ściernisko w okolicach drogi Lon Lyons sprawiło Mosovichowi sporo kłopotów. Miał do wyboru albo przebiec je, ryzykując wykrzywie, albo nadłożyć drogi i zmarnować dziesięć minut. Wybrał to drugie rozwiązanie, i ucieszył się ze swojej przezorności, kiedy zobaczył patrol Posleeniów przeczesujący okolicę w poszukiwaniu snajpera.

Patrol zatrzymał się, czekając na Wszechwładcę, a potem ruszył na zachód przez gęsty las. W

takim terenie Mosovich nie obawiał się Posleenów. Gęsta ściółka umożliwiała mu szybkie i sprawne poruszanie. Biegł po śladach zwierzyny, przedzierając się przez krzaki, i zastanawiał, co powinien teraz zrobić. Mógł albo skręcić na zachód, do Amy Creek, albo dalej krążyć wokół Clarkesville, albo wreszcie ruszyć na zachód w stronę Unicoi Gap. Po krótkim namyśle zdecydował, że pójdzie na zachód.

Przed sobą miał drogę 255. Samo przecięcie drogi było niebezpieczne, ale mapa wskazywała, że lasy po obu stronach szosy są młode i dosyć gęste. Jeżeli dopisze mu szczęście, może przemknąć się nie zauważony.

Pogrążony w rozmyślaniach, wybiegł na otwartą przestrzeń.

Okazało się, że las, który powinien tutaj rosnać, został jakiś czas temu wykarczowany. Z miejsca, w którym stał Mosovich, wyglądało na to, że ktoś założył tutaj tartak. Co prawda budynki zniknęły, ale pozostały fragmenty narzędzi i maszyn. Po prawej stronie widać było pozostałości drogi do niedalekiej farmy. Najzabawniejsze było to, że w pobliżu znajdowały się pozostałości ujeżdżalni koni. Mosovich uśmiechnął się pod wpływem nagłej fali czarnego humoru.

Jeden rzut oka na mapę wyświetlaną przez przekaźnik powiedział mu, że sytuacja nie jest wesoła. Jak do tej pory on i Posleeni bawili się w ciuciubabkę. Mosovich chciał przemknąć przez drogę, a potem wezwać ostrzał artyleryjski. Jego tropem podążali młodszy Wszechwładcy, podczas gdy reszta brygady usiłowała zająć go to z jednej, to z drugiej strony. Zakładając, że teraz robią to samo, przekroczenie drogi oznaczało wpadnięcie wprost na Posleenów.

Po chwili namysłu postanowił zaryzykować i ruszył biegiem w stronę drogi.

* * *

Cholosta'an podniósł wzrok znad instrumentów tenara i spojrzał w kierunku wskazywanym przez krzyżującego zwiadowcę. Dostrzegł na tle zbocza jakąś postać; to musi być człowiek, którego tak długo ścigają. Uniósł broń gotową do strzału, ale automatyczny system celowniczy jak zwykle zignorował człowieka. Nim Cholosta'an zdołał porządnie wymierzyć, człowiek zniknął z pola widzenia. Wściekły Posleen chwycił manetkę, aby unieść tenar do góry, jednak Orostan położył mu dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, młody kessentai. - Spojrzał na trójwymiarową mapę. - Wydaje mi się, że schwytaliśmy go w pułapkę.

Nacisnął kilka klawiszy, przesyłając do wszystkich oddziałów rozkaz otoczenia samotnego zbiega. Ten manewr spowoduje, że oddziały będą wystawione na ogień przeciwnika, pomyślał Cholosta'an.

- Jakim cudem? Przecież oni poruszają się po górach bezszelestnie i nie zostawiają śladów, zupełnie jak Duchy Przeszłości.

- Ale nie potrafią latać - stwierdził z cynicznym rozbawieniem oolt'ondai, pokazując na mapę.

Po chwili młodszy kessentai także się roześmiał.

* * *

Jake oparł się o drzewo i z trudem oddychał. Z pewnością był już kiedyś tak zmęczony, tyle tylko, że nie wiedział, kiedy.

Znajdował się na wzniesieniu u podnóża góry Lynch, ścigany przez wszystkie ogary piekiel. Las był rzadki, głównie dębowy i bukowy, i nosił ślady dużej populacji jeleni.

Na północ i południe wznosiły się strome urwiska, tworząc z tego miejsca doskonały punkt do rozpaczliwej walki, gdyby Jake Mosovich postanowił popełnić samobójstwo. Ale sierżant nie zamierzał ginąć, chciał tylko zatrzymać się na krótki odpoczynek przed dalszym marszem. Studwudziestometrowej wysokości góra Lynch rzucała cień na wąską ścieżkę, która biegła pod

osłoną drzew i znikła gdzieś na zboczu. Był to drobny przebłysk szczęścia w tej kiepskiej sytuacji, Mosovich bowiem zdawał sobie sprawę, że Posleeni schwyтали go w pułapkę, otaczając górę. Jego tropem podążała cała brygada wojowników.

Spojrzał w dół zbocza i pokręcił głową. Trzeba przyznać, że jak się uprą, to potrafią być nieznośni. Wezwał ostrzał artylerii, który miał spore szanse zdziesiątkować całą brygadę, a przynajmniej jej forpocztę. W okolicy znajdowało się kilka nie zburzonych domów, jednak nie warto było szukać w nich schronienia. Własna artyleria mogła je zrównać z ziemią, tak samo jak Posleeni.

Czas ruszać dalej. Wyciągnął z plecaka Nicholasa niewielkie urządzenie, nastawił stoper i wcisnął przycisk aktywacji. To będzie dla ścigających go Posleenów mała niespodzianka. Choć jej siła jest nieporównywalna z ostrzałem artylerii, będzie mogła zwiększyć jego szanse przeżycia. Zarzucił barretta na ramię i ruszył w dół ścieżki. Miała szerokość półtora metra, ale na wielu odcinkach robiła się wąska jak nitka. Z daleka widać było ślady szalejących tutaj niegdyś pożarów.

Potem Mosovich zaczął wspinać się po zboczu, chwytając się krzewów, drzewek i wystających spod ziemi odłamków skalnych. Poruszał się tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to drżące ze zmęczenia nogi. Czterdzieści pięć sekund po aktywacji urządzenie zadziało. Plastikowe jajko podskoczyło i obróciło się w powietrzu, a następnie wyrzuciło z siebie trzy zakończone haczykami żyłki. Potem opadło na ziemię i zaczęło ciągnąć je do siebie. Kiedy haczyki zaczepiły się o podłoże, zadowolone urządzenie zamarło.

* * *

Orostan poruszył grzebieniem, parząc z niecierpliwością na przenośny tenaral. Otoczeni ludzie nie mieli innego wyjścia, jak tylko biec w stronę szczytu góry. Oolt'ondai rozdzielił swoje siły, aby uniknąć ognia artylerii i oszczędzić swoich podwładnych, ale przejście przez górski grzbiet było nieuniknione i zapewne tam poniosą poważne straty.

- Zapowiada się nieciekawie - powiedział Cholosta'an.

- Co ty powiesz? - odparł zjadliwie Orostan. - Jeśli chcemy dopaść tego lurpa, musimy cały czas podążać za nim.

- Moglibyśmy siedzieć tutaj na miejscu i zagłodzić go na śmierć. - Cholosta'an spojrzał na wodza i zobaczył dziwny wyraz malujący się na jego krokodylim pysku. - Pewnie nie zgadzasz się ze mną.

Oolt'ondai odetchnął głęboko kilka razy, ignorując jego słowa.

- Fuscirto uut! - zaklął i wydał rozkaz: - Napizód!

* * *

Jake zeskoczył do niewielkiej pieczary utworzonej przez dwa opierające się o siebie głązy. To było doskonałe miejsce do obrony, zwłaszcza że nogi odmawiały mu już posłuszeństwa. Obydwa bloki kamienia, każdy wielkości ciężarówka, stoczyły się kiedyś ze szczytu i znieruchomiały w tej pozycji. Szczelina między nimi od zachodu była dość szeroka, ale potem zwężała się i przy wschodnim krańcu nie można było wcisnąć w nią nawet ramienia. Jaskinia znajdowała się prawie u samego szczytu; mógł stąd obserwować nadciągających Posleenów i w razie czego ich ostrzeliwać, sam będąc chronionym przed ogniem nawet ich najcięższej broni. Tylko bunkier ze zbrojonego betonu byłby wytrzymalszy i mógłby zapewnić lepszą ochronę. Na dodatek Mosovich dysponował „tylnym wyjściem”, czyli studwudziestometrowym stromym klifem.

Owiewane wichrami zbocze było kiedyś popularną trasą wspinaczkową. Jeszcze teraz widać było ślady po ogniskach i trasach alpinistów. Miejsca, w których rozbijali obozy, były osłonięte drzewami i skalnymi załomami. Nietrudno się domyślić, czemu - lekki wiaterek w dolinie tutaj był prawie huraganem, który targał drzewami i wzbijał z ziemi tumany kurzu.

Zbocza tu i ówdzie pokryte były wapiennymi skałkami, jednak dominowały krzewy i karłowate drzewka. Jedynym wyjątkiem był klif, który w większej części pozostawał nagi. Gdzieniedzie widoczne były ślady erozji i wykruszających się kamieni. Krawędź klifu przechodziła w gładką ścianę o wysokości stu dwudziestu metrów; u podnóża rósł las, który ciągnął się niemal na kilometr.

Jake położył się na kamieniach, rozstawił nóżki karabinu i cisnął w kąt starą butelkę Jacka Danielsa. Potem nałożył lunetę i obrzucił wzrokiem grzbiet poniżej. Dzielilo go od niego jakieś osiemset metrów, pozbawionych przeszkód i osłony. Określenie dystansu w górach zawsze jest problematyczne, jednak Jake'owi pomagał elektroniczny wyświetlacz i mapa transmitowana przez przekaźnik.

Jedyną rzeczą, jakiej jego urządzenie nie mogło przeliczyć, była siła wiatru. Przy strzelaniu na taką odległość kule miały prawo schodzić z linii prawie o piętnaście centymetrów.

Nie widząc żadnych śladów nadciągających wrogów, Jake zaczął przeszukiwać plecak Nicholasa. Choć znacznie opróżnił go w trakcie wspinaczki, po raz pierwszy od wielu godzin zdjął go z ramion. Natychmiast poczuł ulgę, a zaraz potem uzmysłowił sobie, jak bardzo jest głodny. Nie miał niczego w ustach od poprzedniej nocy, dlatego z rozkoszą połknął kilka orzechów, które zebrał w trakcie wspinaczki.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, zaczął dalej grzebać w worku. Wydobył z niego stupociskowy magazynek nabojów, paczkę, kandyzowanych orzeszków, dwie paczki tytoniu Red Man, trzy kawałki pieczonej polędwicy, pojemniki próżniowe i kilka tabliczek czekolady. Nichols najwidoczniej lubił sobie podjadać w trakcie misji. Żadnych chrupków, chipsów, popcornu czy innego tego typu jedzenia. Czego oni uczą tych dzieciaków w szkołach? W pojemnikach znalazł spaghetti, pulpeciki i lazanie. Albo Nichols wyjadł wszystko inne, albo zabrał ze sobą tylko specjały włoskiej kuchni. Mosovich jeszcze raz zajrzał do plecaka, ale nie znalazł w nim niczego godnego uwagi, oprócz kilku par skarpetek.

- Nawet ostrego sosu nie wziął... Co to za żołnierz, który rusza na misje, bez ostrego sosu? - Włoskie jedzenie było całkiem znośne, ale tylko po przyprawieniu ostrym sosem. Bez niego przypominało w smaku przypaloną jaszczurkę. Na liście upodobań Mosovicha wojskowe jedzenie nie plasowało się wysoko, ale jadał w życiu gorsze rzeczy. Na przykład pieczonego kreta albo zetlałe koreańskie leczo. Po krótkim namyśle zdecydował się na polędwicę. Powąchał ją ostrożnie, ugryzł kawałek i uniósł ze zdziwienia brwi.

- Skąd, u licha, Nichols wytrzasnął takie żarcie? - spytał sam siebie. - I dlaczego ja nic o nim nie wiedziałem?

Po kilku kęsach uznał, że musi poważnie porozmawiać ze snajperem na temat jego metody doboru racji żywnościowych.

Nagle jego uwagę przyciągnął odgłos dudnienia. Wychylił się poza półkę i nadstawił ucha. Z oddali dochodził łoskot artylerii bombardującej jakiś cel. Mosovich rozejrzał się dookoła; z tego miejsca widać było przedmieścia Clarkesville. Miasto było oddalone praktycznie o rzut kamieniem, można rzec, było na wyciągnięcie ręki.

Mosovich wyciągnął zza pazuchy lornetkę i przełknął kolejny kawałek mięsa. Choć ciągnęło się jak sparciała guma, smakowało doskonale. Jak na jego gust było odrobinę nie dosolone oraz za słabo przyprawione, ale przecież doskonałość istnieje tylko w wyobraźni Allacha.

- No proszę - mruknął do siebie. - Tutaj mamy drogę 114, a tam Demorest. Chyba...

Miasto, w którym kiedyś tętniło życie, było zrównane z ziemią.

Wstawał piękny i słoneczny dzień, jakby stworzony po to, aby wspiąć się na górę i podziwiać z niej boże dzieło. W takich warunkach można było dostrzec przez lornetkę autostradę międzystanową

85, która kiedyś przebiegała przez miasteczko.

Całą okolicę z wolna zasnuwał dym. Posteeni umieścili „kadzidła” na szczytach wzgórz, dlatego u ich podnóży można było jeszcze to i owo dostrzec. Bez mała tysiąc postaci przemykało pod osłoną gryzących oparów. Mosovich dokładnie tego się spodziewał, nie przewidział natomiast wielkiej dziury widocznej w zboczu jednego ze wzgórz otaczających Demorest.

- O cholera, kopia...

Chociaż posleeńscy Wszechwładcy żyli głównie nad powierzchnią ziemi, w metalowych lub kamiennych piramidach, większość należących do nich zakładów i fabryk mieściła się w podziemiach.

Według danych wywiadu, po pozbyciu się na danym obszarze ludzkiej populacji Posleeni zakładali własne osady. Zwykle kultywowali lokalne uprawy, ponieważ nie mieli własnych, a w tym czasie wznosili piramidę dla swojego pana. Przedmioty codziennego użytku wytwarzane były w fabrykach mieszczących się na pokładach statków, przy zastosowaniu technologii nanitów. Kiedy obszar nadawał się już do zamieszkania, fabryki przenoszono. Statki kosmiczne ruszały na podbój innych planet lub kolejnych regionów tej samej planety, jeszcze nie zasiedlonych przez Posleenów. Po krótkim czasie każda osada zaczynała konstruować własny statek i szykować go do nowej wyprawy.

Patrząc na krzątanie wokół jaskini oraz wwożone i wywożone towary, Mosovich zachodził w głowę, co tam naprawdę się dzieje. To samo musiało mieć miejsce na Barwhon, gdzie nie było możliwości wznoszenia wysokich budynków. Na Diess, która niedawno została odzyskana przez ludzi, nie odnaleziono żadnych podziemnych posleeńskich budowli, ale cała powierzchnia planety została zamieniona w jedno wielkie miasto, gdyż obcy po prostu zajęli wszystkie megawieżowce Indowy. Wykopanie ich stamtąd było ciekawym doświadczeniem...

Większa część Ziemi znajdowała się teraz we władaniu Posleenów, i na jej powierzchni, a także pod nią było tysiące ich fabryk. Kiedy nadejdzie pora odbicia kolebki ludzkości, wypalenie centaurów będzie nie lada zadaniem. Zapewne większość fabryk zostanie przejęta przez ludzi, którzy zrobią użytek z nowych technologii i możliwości produkcyjnych. Zwykle takie obiekty usytuowane były poza strefami konfliktów, w dobrze zaopatrzonych w surowce materialne rejonach. Dlatego dziwne było to, że Posleeni zaczęli budować swój nowy dom właśnie w Clarkesville, leżącym w zasięgu ostrzału artylerii.

Równie niezwykły był widok kolumny centaurów wlewających się do wnętrza jamy.

- A więc to nie jest fabryka - mruknął Mosovich, przeżuwając kolejny kęs mięsa.

Ciekawe, do czego te żółte dranie dążą i co im chodzi po głowach... Posleeni ryli ziemię jak krety i znali się na drażeniu skał jak mało kto, co potwierdzali galaksjańscy górnicy. Zwykle jednak pozostawiali normalne osobniki na powierzchni ziemi, żeby uprawiały pola, zbierały plony i poszukiwały surowców.

Kiedy Mosovich zobaczył, co znika wraz z posleeńskimi wojownikami w wydrążonej w zboczu dziurze, o mało się nie udławił.

* * *

Ryan popatrzył na monitor i postukał w niego palcem.

- Wyślijcie pocisk zwiadowczy wraz z następną salwą.

Dzień upływał pracowicie i coraz więcej osób było zaangażowanych w osłonę grupy zwiadu. Na szczęście współpraca układała się gładko. Do pracy zabrał się też sztab specjalistów wywiadu, którzy wałkowali każdy szczegół informacji, jakie udało się zebrać o Posleenach.

Jak dotąd ustalono ponad wszelką wątpliwość, że Posleeni działają w bardziej niż dotąd

zorganizowany i przemyślany sposób. Nie oznaczało to jednak, że stanowią większe zagrożenie. Oprócz pojedynczego przypadku zastosowania pocisków elektromagnetycznych, nie użyli żadnego nowego rodzaju broni. Choć ich taktyka była lepsza, nie zdołali dotąd schwytać Mosovicha ani nikogo z jego oddziału.

Od czasu wysłania prośby o ogień artyleryjski minęło sporo czasu, i teraz tylko pojedyncza bateria sporadycznie ostrzeliwała wyznaczone pozycje. Z doświadczenia wiedzano, że niedługo nadejdą kolejne wezwania.

- Kula czujnikowa załadowana, sir! - krzyknął znad monitora porucznik.

Pocisk bazował na konstrukcji zwykłego naboju 155 milimetrów, ale zamiast materiałów wybuchowych przynosił znacznie groźniejszy ładunek: kamerę i radio.

Kiedy pocisk spadał na ziemię, jego skorupa rozszczała się, uwalniając urządzenia szpiegowskie. System czujników i żyroskopów kierował kamerę na wyznaczony cel, którym była w tym przypadku ziemia. Jej zadaniem było wychwytywanie i transmitowanie nawet najmniejszych emisji fal, jakie powstawały w wyniku przebywania w okolicy Wszechwładcy czy lądownika. Inteligentny system filtrowania obrazu był w stanie wychwycić z tła sylwetki Posleenów, a potem przesłać krótki zakodowany raport do centrum dowódczego.

Jednak Posleeni potrafili przechwycić sygnał, zlokalizować nadajnik i zniszczyć go. Tak stało się i teraz, kiedy kamera przelatująca nad jeziorem Burton została trafiona i rozbita. Inne pociski, niosące śmiertelny ładunek materiałów wybuchowych, pozostały nienaruszone i spadły na Posleenów zgodnie z ich przeznaczeniem.

Ryan pokręcił głową. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób Posleeni radzili sobie z pociskami szpiegującymi i dlaczego nie trudzili się strącaniem zwykłych ładunków wybuchowych. Rzucił okiem na radar, który sprzężony był z komputerem celowniczym, i upewnił się, że pozostałe pociski trafiły w cel.

Obraz, który zdołał przekazać nadajnik, był bardzo ciekawy. Pociski leciały po paraboli i osiągały pułap czterech tysięcy dwustu metrów. Przekazywany obraz pokazywał okolice od Dahlobega do jeziora Hartwell. Na zdjęciach widać było wiele śladów Posleenów, jednak większość koncentrowała się w rejonie wokół Clarkesville i góry Lynch. Na pozostałych obszarach populacja obcych była rozproszona. Miasto i jego bezpośrednie sąsiedztwo nie było wyraźnie widoczne. Kąt kamery i zasłona dymna uniemożliwiały dostrzeżenie szczegółów.

- Prześlijcie to do wywiadu i niech wyciągną z tego tyle informacji, ile tylko się da - powiedział Ryan, przewijając obraz do miejsca, gdzie znajdował się Mosovich. - W następnych salwach kamera ma się uaktywniać nie od razu, ale dopiero na kilka sekund przed celem. Może nie będziemy mieli całego obrazu sytuacji, ale przynajmniej zorientujemy się, w co strzelamy. Albo pułujemy. To jasne jak słońce, że Posleeni są poza naszym zasięgiem.

- Mamy zmienić kąt nachylenia, sir? - spytał działonowy.

- Nie - odparł Ryan. - Kiedy Mosovich uzna za stosowne, powie nam o tym.

Dostosował mapę i jej rozdzielczość do obecnego terenu działań, a potem podrapał się po szczęce.

- Wydajcie rozkaz wszystkim bateriom, które nie prowadzą ognia, żeby obrały za cel to miejsce - powiedział, wskazując na grzbiet górski. - Posleeni będą wtedy szli, dlatego możemy im zgotować małą niespodziankę.

- Sądzi pan, że sierżant jest tam, na górze? - spytał artylerzysta. - Nie widzę go nigdzie na zdjęciu.

- Na pewno tam jest. Nie wiem tylko, dokąd zmierza...

Rochester, Nowy Jork, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

1925 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
poniedziałek, 14 września 2009

Major John Mansfield skulił się, korzystając z cienia, jaki rzucał dach ciągnika. Słyszał chrzęst żwiru pod stopami swojej ofiary. Tym razem się nie wyniknie, nie ucieknie. Tropił ją od czterech dni, i oto nadchodził moment wyrównania rachunków. Skulił się i podciągnął nogi, szykując się do skoku. Zacisnął dłonie na piórze i stercie papierów. Bycie adiutantem sztabowym Dziesięciu Tysięcy to nie jest zajęcie dla słabeuszy.

Praca oficera kadrowego jedenastu tysięcy ośmiuset czterdziestu trzech żołnierzy, z których każdy jest groźny jak bengalski tygrys, nie jest zabawna. Ale najgorsze ze wszystkiego było zapędzenie pułkownika do papierkowej roboty.

Dla Mansfielda współpraca z Cutpricem była niczym wieczne podchody. Pułkownik celował w piętrzeniu trudności na linii on - jego adiutant, a Mansfield je pokonywał, zmuszając przełożonego do wykonywania przypisanych mu obowiązków. Kiedy Cutprice miał już w ręce pióro i papiery przed nosem, skrupulatnie wywiązywał się ze swoich zadań.

Pułkownik Cutprice zawsze chadzał tymi samymi ścieżkami, a Mansfield skrupulatnie to wykorzystywał. Na jego pryczy leżała teraz kukła, a on sam czaił się w mroku. Nikt nie widział, jak przemykał przez plac, więc nikt nie mógł ostrzec dowódcy, którego upijała w kantine pewna żołnierz, aby zdobyć podpis pułkownika na rozkazie jej przeniesienia. Rozkaz był już podpisany przez jej dowódcę kompanii, starszego sierżanta sztabowego i adiutanta.

Mansfield skulił się jeszcze bardziej, przytulając się do znaku informującego, że w pojeździe mieści się kwatery główna dowódcy Dziesięciu Tysięcy. Spojrzał na tarczę zegarka. Dokładnie o tej godzinie pułkownik powinien wracać do siebie. Nagle za jego plecami rozległ się głos.

- To na mnie tak pan się czai, Mansfield?

Mansfield poderwał się na równe nogi i obejrzał za siebie. W świetle zauważył, że stojąca tam postać jest niższa od pułkownika. Mężczyzna miał też insygnia niższego stopnia.

- Sierżancie Wacleva, jestem zaskoczony, że za moimi plecami pomaga pan temu młodocianemu unikać obowiązków.

- Niech pan nie bierze tego do siebie - odparł śmiertelnie poważnie sierżant. - To odwieczna dychotomia wojownika i liczykrupy.

- Od kiedy to używa pan takich słów jak „dychotomia”? - zaśmiał się adiutant.

- Odkąd pułkownik przez połowę nocy chla z Brockendorf - odparł ponuro Wacleva, wyciągając paczkę Pall Maili.

- A czy pan wie, że ona przed poborem skończyła filozofię? - odezwał się nagle Cutprice.

- Tak, sir. - Zaskoczony Mansfield odwrócił się do przełożonego. - Dlatego właśnie ona jak mało kto potrafi zrozumieć, co kluje się w głowie Posleena. Potrzeba pańskiego podpisu, żeby awansować ją na starszego plutonowego.

- Wiem, wiem. Czy z jakiegoś innego powodu marzyłbym na dachu własnej kwatery? - Wziął pióro z ręki asystenta. - Który to papierek?

- O nie, nie, pułkowniku. Nie wywinie się pan tak łatwo. Mam tutaj jeszcze coś dziwnego... Być może będziemy musieli wysłać oddział do Północnej Karoliny w sprawie jednego z naszych oficerów.

- A kto jest w Północnej Karolinie? - spytał Cutprice, zeskakując na dół. Coś strzyknęło mu w kolanie i pułkownik skrzywił się. - Jak to dobrze być młodym i sprawnym człowiekiem..

- No to ma pan szczęście, pułkowniku - rzekł major. - Ja ostatni raz skakałem z dachu, nie ryzykując nagłą śmiercią, w siedemdziesiątym trzecim.

- Z całym szacunkiem, panowie, ale jesteście mięczakami. Ja w siedemdziesiątym trzecim już byłem stary, ale trzymałem fason na randkach z waszymi matkami - roześmiał się Wacleva.

- Cutprice uśmiechnął się i sięgnął po papiery.

- Da mi pan 3420, a obiecuję, że zrobię wszystko jak należy.

Mansfield i starszy sierżant ruszyli za pułkownikiem do jego kwatery. Adiutant wyciągnął ze stosu jedną kartkę i powiedział:

- Skoro jesteśmy przy 3420, to jeden kompletny egzemplarz, gotowy do podpisania.

- Hmm. - Pułkownik zaczął przeglądać dokument. Kilkakrotnie Mansfield podsunął mu do podpisania papiery dotyczące rezygnacji z funkcji głównodowodzącego i mianowania na to stanowiska adiutanta. Od tej pory Cutprice czytał wszystko, a szczególnie to, co napisano małym drukiem.

- Dobra, wygląda na koszerne - powiedział i przystawił parafkę.

- A teraz to... - Adiutant wyciągnął kolejne dokumenty. - List od Annie Elgars i drugi od jej psychiatry.

- Elgars... Nic mi to nie mówi, może mam sklerozę? - Cutprice wziął do ręki wydruk e-maila.

- Nie jest w naszym oddziale - wyjaśnił Mansfield - ale walczyła u naszego boku. Ona jest tym snajperem, przez którego pomnik ma zupełnie nowy czubek z aluminium.

- Poczekaj moment... Rude włosy, złamała rękę. Co się z nią dzieje i dlaczego jest kapitanem?

- Wszyscy, którzy tam byli, otrzymali awans - wyjaśnił Mansfield. - Chyba że go odrzucili - dodał z chrząknięciem.

- Ja swojego wcale nie odrzuciłem, jedynie zawiesiłem, aby móc działać zgodnie z moim faktycznym stopniem - powiedział sierżant. - Dzięki temu dostanę emeryturę majora. I nikt nie wpięprze mnie w adiutanturę.

- Elgars zapadła w śpiączkę, dlatego nie mogła odrzucić awansu na porucznika. Ponieważ ze względu na odniesione ciężkie obrażenia przebywała w szpitalu, została awansowana kolejny raz, tym razem na kapitana.

- To najgłupsza rzecz, o jakiej w życiu słyszałem. - Sierżant nalał sobie drinka i usiadł przy stole. - Odwołuję to. Słyszałem bardziej idiotyczne historie, ale ta należy do czołówki.

Cutprice szybko przejrzał oba listy. Choć nie ukończył szkoły wyższej, a do stopnia pułkownika doszedł własnymi siłami, czytanie nie sprawiało mu trudności. Pismo sygnowane przez psychiatrą było zwykłym urzędowym bełkotem. Pacjent odmawiał poddania się terapii i dziwnie się zachowywał - Konował próbował ubrać to w słowa, których jego zdaniem pułkownik nie zna. Ale pomylił się, Cutprice bowiem miał wcześniej do czynienia z lekarzami, zwłaszcza kiedy wystawiali o nim opinie. List od pani kapitan utrzymany był w zupełnie innym tonie. Był prosto napisany i pełen błędów, co nikogo nie mogło dziwić, za to jasno wykładał, czego chce: spotkania z innym lekarzem, ten bowiem już dawno uznał ją za wariatkę.

- Czy ona twierdzi, że pamięta siebie w dwóch osobach? - Na to wygląda, sir - odparł Mansfield.

- Nic dziwnego, że jej lekarz ma ją za wariatkę - powiedział pułkownik. - Ona uważa, że to Kraby tak ją urządziły.

- Jej leczenie było prowadzone... eksperymentalnymi metodami. Zresztą ona nie chce go

przerywać, pragnie tylko, żeby zajął się nią lekarz, który nie zakłada z góry, że zwariowała.

- Aha, pod warunkiem, że jej uwierzymy - mruknął niezbyt przekonany Cutprice.

- Mamy kilku ludzi, którym brakuje paru klepek pod sufitem - przypomniał Wacleva. - Weźmy na przykład takiego Solona. Człowiek, który przez cały czas nosi przy sobie grzebień Wszechwładcy, nie może być całkiem normalny.

- Doskonale rozumiem, ale... - Cutprice zasępił się. Kapitan była wyborowym strzelcem i z pewnością byłaby cennym nabytkiem dla oddziału. - Ona pisze, że zna Kerena, a jej list został przesiany przez plutonowego Sundaya. Dla mnie te rekomendacje są wystarczające. Mówią mi o niej więcej niż jakikolwiek psychiatra.

- No i właśnie dlatego tutaj jestem - powiedział Mansfield. - Keren nie wiedział, że ona wybudziła się ze śpiączki i kiedy o tym usłyszał, kompletnie mu odbiło. Powiedział, że musi się z nią zobaczyć. Natychmiast. Udało mi się wyciągnąć z niego kilka faktów. Twierdzi, że dziewczyna jest najlepszym snajperem na ziemi, urodzonym przywódcą i miewa ciekawe, acz szalone pomysły.

- Nie mogę pozwolić sobie na wysłanie go do Karoliny Północnej, żeby się z nią spotkał. - Cutprice wziął butelkę burbona i nalał sobie do szklanki. - Sam z nim porozmawiam i wszystko mu wyjaśnię. Coś jeszcze?

- Nichols. Nie jest co prawda oficerem, ale porównałem jego zeznania z innymi z Dziesięciu Kawalków i wszystkie się zgadzają. Oboje przeszli kurs snajperski w trzydziestej trzeciej dywizji, jeszcze przed lądowaniem we Fredericksburgu. Byli w tej samej grupie. On został przeniesiony do LRRP i stacjonuje w Georgii albo w Północnej Karolinie. Jeżeli wydamy mu odpowiednie rozkazy, może wpaść do Elgars i zobaczyć, co u niej słychać. Tyle tylko, że potrzebujemy na to papierka. Do Podmieścia nie wpuszczają ot tak sobie każdego.

- Nichols? - spytał zdziwiony Wacleva. - Bez obrazy, ale to zwykły trep. Nie mam nic do niego, ale on nie jest od myślenia.

- Cóż, znam jego dowódcę - tłumaczył Mansfield. - Jake Mosovich nie jest trepem, a jeśli ładnie go poproszę, wyświadczy nam przysługę.

- Ja też go znam - powiedział ze śmiechem Cutprice. - Zagroź mu, że jeżeli nam nie pomoże, to pokażę komu trzeba zdjęcia z pewnej konwencji sił specjalnych, których nie chciałby oglądać. Albo że prześlę nagranie z pewnej windy w trakcie zjazdu AUSA. Wyślijcie Nicholisa i Jake'a. Niech snajper po prostu z nią pogada, a Mosovich ją poobserwuje. I niech przyśle nam później raport. Niech skumają się z Kerenem, i jeżeli okaże się, że dziewczyna jest przy zdrowych zmysłach, niech wyrzucą psychiatrę za okno. Jeśli okaże się, że Elgars odbiło w stopniu uniemożliwiającym dalszą służbę, chcę, żeby usunęli ją z zapisków. Zawsze będzie należała do Sześciuset, ale nie życzę sobie, żeby mi paskudziła papiery Dziesięciu Tysięcy. Jasne?

- Jak słońce - odparł ze złośliwym uśmiechem Mansfield. - Jestem pewien, że Mosovich z radością zrobi coś, co nie jest rutynowym klepaniem w klawiaturę.

* * *

Mosovich przełknął ostatni kęs mięsa i popił go wodą z manierki. W chwili, gdy zakręcał korek, do jego uszu dobiegł odgłos cichego wybuchu, a górski grzbiet spowiła chmura dymu.

Urządzenie, które zostawił po drodze, było niewielką przenośną miną. Zwykle wpychano je w pociski artyleryjskie, które po eksplozji rozrzucały miny na dużych obszarach, stwarzając wrogom spore problemy.

Posleeni rozwiązywali je zwykle w ten sposób, że przepędzali przez zagrożony teren stada szeregowców. Z ich punktu widzenia była to metoda mająca same plusy: oczyszczali pole minowe, zdobywali sporą ilość darmowej broni i mieli zapasy mięsa, którym mogli wykarmić całą kolonię.

Z tych powodów ludzie przestali używać Barbie. Choć „każdy zabity Posleen to krok do zwycięstwa”, taka taktyka stawała się nieopłacalna.

Podkładanie pojedynczych przenośnych min było już inną sprawą. Dawniej Mosovich podłożyłby minę claymore, ale jej przygotowanie zajęłoby zbyt dużo czasu, choć zapewne byłaby bardziej efektywna. Mógłby też zostawić niewielką minę obszarową, która wybuchła po jej nadeptaniu, ale była ona łatwa do wykrycia, a on nie miał czasu jej zamaskować. Poza tym eksplozja nie byłaby na tyle silna, aby zabić Posleena, co najwyżej mogła go ciężko poranić.

Przenośna mina, którą pozostawił, była doskonałym wynalazkiem. Wyrzucała z siebie linki zakończone haczykami, które wczepiały się w grunt, zakotwiczając ją w jednym miejscu. Jeżeli któraś z linek została naruszona albo przecięta, ładunek wybuchł.

Podskakiwał wtedy metr w górę i wyrzucał z siebie kule. Tak stało się i teraz, kiedy pierwszy oolt ścigających go Posleenów dotarł do grzbietu góry. „Skacząca Betty” pourywała im głowy i rozrzuciła je po ścieżce. Nieźle jak na początek.

- Ryan, niech mnie pan uważnie słucha - powiedział Mosovich do swojego przekąźnika.

* * *

Ryan pochylił się nad komunikatorem, słuchając relacji Mosovicha. Posleeni wkraczali na grzbiet góry, na której sierżant się zaczął.

- Będiesz w stanie wymknąć się stamtąd? - spytał major.

- O mnie się nie martw, dam sobie radę - odpowiedział zwiadowca. - Potrzebuję tylko wsparcia ogniowego.

- Jest już w drodze - powiedział Ryan, wydając bateriom rozkaz strzelania. - Za dwadzieścia siedem sekund rozpętały tam piekło. Tak mi się wydawało, że zaczniesz się na tej górze.

- Dobra - odparł Mosovich, biorąc na cel pierwszego Posleena i strzelając. - Dopóki nie skończymy tej zabawy, strzelaj na sygnał mojego przekąźnika. Bombarduj przesmyk i nie ścigaj uciekających. I przekaz dalej mój raport: Posleeni drążą ziemię pod Clarkesville, ale nie będzie tam fabryki, tylko wylęgarnia albo koszary. Dlatego tak zaciekle niszczą wszelkie formy zwiadu elektronicznego.

- Nic dziwnego - odparł Ryan. - Mam na myśli to, że z grubsza znamy ich liczebność, a oni nie mogą jej przed nami ukryć.

- Powiniennem powiedzieć inaczej. To koszary i garaże dla jakichś dziwnych pojazdów - dodał Mosovich. Zdawał sobie sprawę, że strzał z karabinu snajperskiego zdradza jego pozycję, ale Wszechwładcy kryli się jeszcze w lesie. Kula plazmy trafiła w sosnę, która momentalnie stanęła w płomieniach.

- Garaże? - spytał zaskoczony Ryan.

- Tak, sir. Dla jakichś latających czołgów. Bez odbioru.

* * *

- A kenal flak, senra fuscirto uut! - krzyczał Orostan. - Pożrę tego człowieka!

- Być może - odparł Cholosta'ana, dotrzymując kroku siłom swego zwierzchnika. - Pod warunkiem, że nie ściąganie na nas ognia tej przeklętej artylerii.

Dwóch kessentaiów pierwszych oolt tylko przypadkiem znalazło się poza strefą rażenia pierwszych pocisków, które spadły z nieba. Zza ich pleców dobiegały odgłosy łamania drzew, detonacje i ryki umierających cosslainów. Resztki oolt Cholosta'ana zginęły w jednych chwilach, ale on nie zamierzał przejmować się tym.

Normals idący przed młodym kessentaiem chrząknął nerwowo, złapał się za bok i z wrzaskiem runął w dół zbocza.

- Artyleria maskuje fuscirto ogień - warknął Orostan, celując z karabinu plazmowego w szczyt góry. Wcześniej widział tam przez chwilę snajpera, ale te przekłete drzewa uniemożliwiły mu strzał. Grzebień po lewej stronie miał tak przypalony, że najprawdopodobniej trzeba będzie go odciąć.

Orostan strzelił, mierząc tam, gdzie powinien znajdować się snajper. Reszta cosslainów zrobiła to samo, co ich przywódca.

- Oolt'ondai, może lepiej się schowaj?

Orostan nie zareagował na te słowa, tylko wydał z siebie ryk wściekłości.

- Niech demony przestworzy porwą twoją duszę! Pokaż się, ty tchórzliwy bydlaku! Wyjdź, pokaż się i walcz jak wojownik! - krzyknął ile sił w płucach i wycofał się głębiej w las, raz po raz strzelając w kierunku dymiącego szczytu.

- Drań bez krzty odwagi! - warknął na koniec.

* * *

Jake odgarnął liście i jeszcze raz wystrzelił. Jak do tej pory sprzyjało mu szczęście i Wszechwładca był pewien, że jego kryjówka mieści się pięćdziesiąt metrów wyżej. Niestety jedyny strzał, jaki Mosovich ku niemu oddał, chybił celu. Z tej odległości trudno było odróżnić zwykłego Posleena od dowódcy, chyba że chwalili się swymi grzebieniami, ci jednak kryli się za plecami szeregowców. Wszechwładcy byli masywniejsi od zwykłych Posleenów i dysponowali lepszą bronią, ale Jake nie miał czasu rozglądać się i wypatrywać dobrego uzbrojenia. Oddziały, które szturmowały wzgórze, miały głównie ciężkie karabiny, broń plazmową i kilka wyrzutni granatów. Mosovich zauważył, że jeden z centaurów szczególnie upodobał sobie strzelanie plazmą, a reszta chętnie go naśladowała.

Na szczęście dla niego wszyscy Posleeni źle celowali, choć rozchodzące się fale cieplne i drżenie skał nie było zbyt przyjemne. W ciągu kilku sekund szczyt góry został ogołocony z całej roślinności i podpalony. Drzewa, krzewy i trawa znikły bez śladu, pozostały jedynie żarzące się skały. Gdyby Posleeni potrafili wycelować we właściwe miejsce, do byłej pani Mosovich właśnie szedłby telegram z kondolencjami i czek z zapomogą dla wdowy.

Jake'a najbardziej zastanawiało, co była żona zrobiłaby z pieniędzmi. I czy na nie zasługiwała.

- Chyba muszę spisać porządną testament - mruknął, celując do kolejnego Posleena.

* * *

Cholosta'an położył dłoń na ramieniu Orostana.

- Niech oolt idzie pierwszy, panie.

- Chcę osobiście wyrwać serce tego thresh! - ryknął wódz. - Muszę tego dopilnować.

Idący tuż przed nimi cosslain zrobił jedyny w swoim życiu fałszywy krok... Nadepnął na minę i eksplozja posłała go w przepaść.

- Masz rację, oolt'ondai, ale nie uczynisz tego, będąc martwym!

Oolt'ondai uniósł w górę grzebień; jego widok przyciągnął jeszcze większą liczbę cosslainów. Ogromny ich strumień przedostawał się przez zaporę ognia artyleryjskiego. To niemożliwe, aby ten człowiek ponownie nam zbiegł, pomyślał. Ściana za jego plecami jest zbyt stroma, nawet dla tej górskiej małpy.

Przebyli już większą część drogi, a człowiek chyba jeszcze ich nie widział. To dobrze. Ale kiedy Orostan odwrócił się, natychmiast zmienił zdanie. Człowiek nadal strzelał, czego dowodem był cosslain, który runął w przepaść, pociągając za sobą pechowego towarzysza. Cholosta'an miał rację, że aby się zemścić, Orostan musi przeżyć.

- Masz rację, młodzieńcze - powiedział, uśmiechając się przebiegle. - Pozwolimy kilku oolt pójść przodem, co?

- Tak, oolt'ondai - odpowiedział Cholosta'an. Rozpoznawał po zapachu niektórych cosslainów jako „swoich”. Tak niewielu ich pozostało. - Można ich poświęcić.

- Nie do końca - odparł Orostan. - Ilu kessentaiów na twoim miejscu miałyby tyle oleju w głowie, aby nie rzucić się do przodu w bezsensownej szarży? Ilu z nich powstrzymałoby mnie w chwili szalu? Ilu by najpierw pomyślało, a dopiero potem działało?

- Bardzo niewielu - zgodził się kessentai. - Ale chciałbym, aby z mojego oolt przeżyło więcej cosslainów.

- Tym zajmiemy się później - odparł Orostan. - Na razie musimy kogoś zabić!

* * *

Mosovich nacisnął spust i zerwał się na równe nogi. Uważnie liczył detonacje na stoku, aby upewnić się, że przed chwilą wybuchła ostatnia mina. Jeśli nie zabiła Posleena, który na nią nadepnął, to na pewno strąciła go ze zbocza. Obcy zbliżali się do miejsca gęsto porośniętego rododendronami, skąd mogli ostrzeliwać grotę i jej „tylne wyjście”. Mosovich wycofał się, pozostawiając za sobą skarpetki Nicholasa i większą część amunicji. Tam, dokąd podążał, nie będzie mu to potrzebne. Zbliżył się do krawędzi klifu i przewiesił broń przez ramię, aby móc strzelać z jednej ręki. Nie mógł utrzymać jej długo w takiej pozycji, ale Bóg wie, że nie będzie takiej potrzeby.

* * *

- Nie wście się go tknąć! - ryknął Orostan, przekrzykując łoskot artylerii. - Jest mój!

Jedyną odpowiedzią była kolejna salwa z dział, niosąca się dudniącym echem po górach. Dotarli do miejsca, gdzie drzewa zostały całkowicie zrównane z ziemią i nie było praktycznie żadnej osłony. Człowiek musiał czekać na tę chwilę, kiedy bowiem Orostan dostrzegł go, ten uśmiechnął się, odsłaniając nierówne zęby, skoczył do tyłu i strzelił.

* * *

To była ryzykowana akcja. Tak jak się spodziewał, wystrzał odrzucił go do tyłu, w głąb przepaści. Niezależnie od tego, jak mocno się zapierał, zawsze tak się działo.

Teraz spadał w dół, ciesząc się, że tak dobrze wybrał miejsce, z którego strzelał. Znajdowało się ono na skalnym występie, z dala od ostrych, poszarpanych krawędzi. Ziemia zbliżała się z zatrważającą prędkością, dlatego musiał szybko działać.

System kontroli energii statycznej był pierwszym bardziej zaawansowanym wynalazkiem galaktycznym, jaki zastosowano w urządzeniach zaprojektowanych dla Ziemi. Dotyczyło to przede wszystkim konstrukcji luf niewielkich karabinów maszynowych i dział fuzyjnych. Broń ta, pięciokrotnie większa i jedynie trzykrotnie mniej wydajna od jej galaktycznych odpowiedników, była najbardziej zaawansowaną technologicznie bronią w arsenale Ziemi.

Tchpth uważali grawitację za niezbyt ważną siłę przyrody, która przysparza więcej kłopotów niż daje korzyści, ale mimo to stworzyli coś, co nazywano windą grawitacyjną.

Kiedy Indowy musieli przemieszczać się w swoich ogromnych wieżowcach, korzystali właśnie z tuneli skocznych. Były to wąskie rury, które przenosiły w górę albo w dół. Wchodząc do nich po raz pierwszy, człowiek był zaszokowany i przerażony, kiedy zaczynał spadać w dół, pewien, że za chwilę zginie.

Działanie wind grawitacyjnych opierało się na dwóch trybach: aktywnym, który przenosił pasażera w górę, i pasywnym, przenoszącym go w dół. Urządzenie samodzielnie wykrywało, gdzie znajduje się pasażer, i aktywowało odpowiednie procedury. Z początku ludzie traktowali to jak przejaw czarnej magii, ale sytuacja się zmieniła, kiedy po kilku dobach bez snu, wypaleniu sporej ilości pewnej nielegalnej substancji i bardzo długim prysznicu pewna doktorantka z Politechniki

Stanu Kalifornia rozgryzła paplaninę Tchpth i wymyśliła dla niej zupełnie nowe zastosowanie. Natychmiast je spisała i wysłała do biura, po czym padła i spała przez trzy dni. Kiedy się obudziła i rozszyfrowała swoje zapiski, najwyraźniej sporządzone w sanskrycie, zbudowała małe urządzenie, które tworzyło silne pole odpychające przedmioty. Zużywało tyle energii, co mały czujnik, i zawsze działało odpychająco, nawet wystrzelone z pneumatycznej armatki (nazywanej "kurczakownicą" i używanej do testowania szyb samochodowych, ale to już inna historia). Jedynym powodem, dla którego nie można było zastosować tego urządzenia jako osobistej tarczy, był fakt, że pole nie zatrzymywało obiektów o bardzo dużej prędkości. Innymi słowy, Mosovich mógł mieć tylko nadzieję, że się nie zabije, spadając z tak dużej wysokości. Urządzenie modyfikowano i dopieszczano tak długo, aż wreszcie zaczęło działać ze stuprocentową skutecznością. Dzięki niemu możliwe były tak desperackie akcje, jak ta Mosovicha. Rozpoznawszy potencjał, jaki krył się w amortyzatorze kinetycznym, zaczęto go montować we wszystkich pojazdach i na niebezpiecznych zakrętach dróg. W końcu wyposażono w nie oddziały LRRP.

Mosovich spojrział w dół na zbliżającą się ziemię i poprzysiągł sobie, że jeżeli przeżyje tę eskapadę, już nigdy więcej jej nie powtórzy.

- Co mnie nie zabije, to mnie wzmocni - powiedział i odruchowo zamknął oczy.

Zasadniczo najlepiej było schodzić po klifach lub ścianach, opuszczając się na linie. Solidne jej zaczepienie i powolny ruch w dół gwarantowały bezpieczeństwo. Niestety w wielu sytuacjach na froncie nie można było pozwolić sobie na taki komfort. Poza tym liny nie zawsze miały odpowiednią długość i wytrzymałość. Innym rozwiązaniem było skorzystanie z cienkiej struny. Mosovich po stokroć wolałby opuszczać się w tradycyjny sposób, ale niestety nie miał wyboru. Monomolekulame linki były droższe i trudniejsze do wyprodukowania niż amortyzatory kinetyczne. Jednak spoglądając w przeszłość i przypominając sobie, w ilu sytuacjach były potrzebne, uznał, że musi wyposażyć w nie swój oddział.

- Największy kłopot z amortyzatorem był taki, że zwalniał prędkość spadania dopiero w chwili, gdy znalazł się w pobliżu przedmiotu o dużej masie. A na przykład ignorował drzewa, których czubki zbliżały się z zawrotną prędkością.

* * *

- Fuscirto uut! - ryknął Orostan, przeskakując nad ciałem ostatniego z poprzedzających go wojowników. Wyjrzał ostrożnie zza skały i wbił pazury w kamień, kiedy przez ułamek sekundy widział spadającego w przepaść człowieka.

- Nie uciekniesz mi tak łatwo! - krzyknął w ślad za nim. - Pożrę twoje serce!

Nie mógł powstrzymać pełnego furii ryku. Słońce powoli znikło za czubkami położonych na północnym zachodzie wzgórz. Zanim ktokolwiek zdoła zejść na dół i odnaleźć ciało, minie kilka godzin. W głębi ducha oolt'ondai nie wierzył, że człowiek popełnił samobójstwo. Nim wpadną na jego trop, on będzie już wiele kilometrów stąd.

Cholosta'an wychylił się ponad ramieniem swego wodza i przez chwilę spoglądał w milczeniu w dolinę.

- Przeżył?

- Zapewne. Co najgorsze, był sam - odparł ze złością Orostan.

Cholosta'an myślał przez chwilę, a potem odważył się wyrazić swoje wątpliwości.

- Kiedy ostatni raz widzieliśmy grupę i mogliśmy policzyć jej członków, było ich co najmniej czworo.

- Tak, czworo - przytaknął Orostan.

- A tutaj był jeden, sam. - Cholosta'an gorączkowo rozmyślał, co to może oznaczać. - Sam jeden

i żadnych trupów po drodze.

- Racja.

- Och, fuscirto uut.

- Każę komuś poszukać ciała - powiedział po chwili namysłu Orostan. - Wątpię jednak, abyśmy cokolwiek znaleźli.

Spojrzał na swoich podwładnych, zastanawiając się, kogo wybrać. Być może dzisiaj ludziom udało się uciec, ale bez wątpienia mają swoją „bazę” w okolicach Gap i wkrótce się spotkają. Wcześniej niż przypuszczają.

* * *

Kiedy ostatni Posleen zniknął z pola widzenia, skała, na której przedtem stał Mosovich, poruszyła się i zadrżała. Pojawiła się na niej istota, która przypominała czterooką ropuchę o skórze w szkarłatne plamy. Stwór miał półtora metra długości, mierząc od tylnych czteropalczastych łap do przednich, a po każdej stronie ciała umieszczona była para oczu oraz chwytna dłoń. W miejscu, w którym teoretycznie powinien znajdować się nos, był skomplikowany narząd | o nieznanym przeznaczeniu.

Zwiadowca Himmit podniósł się i opierając na tylnych łapach, przez chwilę obserwował niknące w oddali ślady ciepła. Człowiek. Potem dostrzegł jeszcze ślady Posleenów. Posleeni czy ludzie? Za kim pójść? W końcu uznał, że ci ostatni będą ciekawsi. Ostatecznie Posleeni tylko jedzą, zabijają i rozmnażają się. Jakie jeszcze informacje mógłby o nich zdobyć?

Podjąwszy decyzję, zwiadowca ruszył ostrożnie w dół klifu. Czekwały go ekscytujące chwile.

Rochester, Nowy Jork, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

09:28 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
wtorek 15 września 2009

Mike obrzucił spojrzeniem pokój i odpiął hełm. Kwatery pierwszego batalionu 555 pułku piechoty mobilnej mieściły się w dawnym przedszkolu, i żołnierze siedzący teraz przy maleńkich stołach wyglądali wręcz komicznie. Pancerze bojowe, noszące ślady walk i ostrzału, wyglądały wyjątkowo brzydko na tle ścian pokrytych dziecięcymi rysunkami i plakatami z menu dla dzieciaków.

- Bywaliśmy już w gorszych warunkach - zaśmiał się pod nosem, kładąc hełm na blacie. - O wiele gorszych.

- Racja - przytaknął Duncan i również odłożył swój hełm na stolik. Rzucił przelotne spojrzenie na blok rysunkowy i kredki, podpisane „Ashley”.

- Przynajmniej nikt do nas nie strzela.

- Już wkrótce sytuacja wróci do normy - powiedział Mike. Wsadził do ust kulkę tytoniu i zaczął go powoli żuć. Potem splunął do wnętrza hełmu, a nanity natychmiast zasymilowały tytoń, traktując go jako dodatkowe źródło energii i budulca. - W okolicy została osaczona grupa Posleenów, którą trzeba będzie wykończyć. Mamy wspomóc lokalne oddziały, ale dopiero w przyszłym tygodniu. Homer kazał nam wrócić do bazy i odpocząć. Biorąc pod uwagę to, co stało się z kompanią Alfa, chyba ma rację.

- Mamy własną bazę? - zapytał Stewart, chichocząc pod nosem. - Mam na myśli koszary, które są nasze na stałe. A może trafimy do jakiegoś ośrodka rekreacyjnego?

Wszyscy słyszeli o różnej maści obozach, które należały do sił naziemnych.

- Nie, te koszary są naprawdę nasze - powiedział O’Neal. - Znajdują się w Pensylwanii, w miejscowości Newry, na południe od Altoona. Mamy tam własne zaplecze.

- Naprawdę? - spytał Duncan. - Myślałem, że jako oficer coś będę o tym wiedział.

- To nic wielkiego. W tej chwili siedzi tam zaopatrzeniowiec i personel, wszyscy z sił lądowych.

- A jakie są te koszary? - spytała wesoło Slight. - Są tam łóżka i wszystko?

- Tak - powiedział Mike. - Nie jestem pewien, czy będę w stanie się wyspać. Ostatnim razem, kiedy próbowałem, przez całą noc się wierciłem i nie mogłem zmrużyć oka.

- Myślę, że ludzie przywykną - wtrącił Gunny Pappas. Potarł czaszkę dłonią, jakby chciał upewnić się, że zdjął hełm. - Naprawdę potrzebują odpoczynku, a my musimy naprawić sprzęt. Nawet GalTech potrzebuje przeglądu i konserwacji.

- Zasadniczo mój plan opiera się na tym, żeby nie dopuścić do rozprzężenia - wyjaśnił Mike. - Powinniśmy dotrzeć na miejsce w poniedziałek albo we wtorek, wszystko zależy od transportu. Pierwszy dzień spędzimy na czyszczeniu broni, naprawianiu sprzętu i sprzątanu koszar. Następne dwa dni będziemy przyzwyczajając się do bazy i normalnych ubrań i kontynuować prace naprawcze. W piątek urządzimy musztrę, inspekcję koszar i apel w pełnym umundurowaniu, po którym rozpuścimy chłopaków. Będą mogli nie pokazywać się aż do następnej środy.

- No, nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedział Holder. - Boję się, czy inne oddziały nie wezmą nas za... Jak to powiedzieć?

- Mięczaków? - podpowiedział mu Pappas. - Z całym szacunkiem, sir, ale nie zgadzam się.

- Ja też - poparł go Stewart. - Jako były ochotnik wiem, co mówię. Nikt z nas nie zaszedłby tak

daleko, gdyby nie zdawał sobie sprawy, po co jest cały ten garnizonowy ceremoniał. Można go sobie darować na polu walki, ale nawet najlepsze oddziały w historii po zakończeniu bitwy zawsze trzymały dryl.

- Racja - przytaknął Duncan. - Mundur coś oznacza, podobnie jak sposób jego noszenia.

- Osiemdziesiąta druga dywizja została wybrana do roli Gwardii Honorowej w powojennej Europie właśnie ze względu na zasady, według których nosili mundury. Poza tym nikt nie może zarzucić im złego wypełniania zadań na polu bitwy.

- Tak samo jak zwiadowcy selousiańscy czy rodezyjski SAS - rzekł Mike. - To były dwie najtwardsze jednostki, jakie powstały w czasach zimnej wojny, a w garnizonie stroili się jak panienki. Ojciec nadal ma w szafie mundur, który wygląda jak kostium z barokowej opery.

- Dobra, dobra - powiedział Holder, unosząc dłonie. - Ale kto z żołnierzy o tym wie?

- Damy im wolne wieczory - powiedział Mike. - Krótkie przepustki, tak żeby wracali na noc do koszar. Co o tym sądzicie? Gunny?

- Nie należy wrywać żołnierzy z pola walki i rzucać ich w normalne środowisko, sir - powiedział bardzo poważnym tonem Gunny Papuas. - Muszą się najpierw... zaaklimatyzować.

- Damy im tydzień musztry, żeby się przystosował i, potem na tydzień pošlemy ich do miasta, żeby wyszli na ludzi, a potem dostaną wolny weekend. Nie sądzę, żebyśmy mieli więcej niż kilka tygodni wolnego, może miesiąc. Chłopcy odetchną i wrócą do tego, co umieją robić najlepiej.

- Mordowania Posleenów? - spytał Duncan.

- A dokładniej, do przerabiania ich na martwe mięso - przytaknął Mike. - A cóż by innego?

- Czy otrzymamy uzupełnienia, sir? - spytał Pappas. - Jest nas... dość niewiele. Zaczyna nam brakować żołnierzy, jeśli nikt tego nie zauważył.

- Dwadzieścia panczerzy już na nas czeka - powiedział O'Neal. - Kiedy przyjedziemy do Newry, powinny być na miejscu.

- Ale co z rekrutem? Nawet po uzupełnieniach kompanii Alfa jest nas żałośnie mało.

- Nowi też będą - zapewnił Mike. - Będziemy musieli zająć się sporą grupą Posleenów, dlatego dostaniemy uzupełnienie żołnierzy. Będzie akurat tyle czasu, żeby przywykli do panczerzy. Z tego, co mi wiadomo, nowi mają pochodzić głównie z Dziesięciu Tysięcy.

* * *

- Bacność! - krzyknął plutonowy Sunday, kiedy pułkownik Cutprice wszedł do pomieszczenia. Zbiórka została zarządzona w sali konferencyjnej dawno opuszczonej fabryki, leżącej na brzegu rzeki Genesee. Wybuch pocisku wystrzelonego z She^ wybił wszystkie szyby w oknach. Cutprice skrzywił się, słysząc pod nogami nieprzyjemny chrzęst tłuczonego szkła, ale i tak był zadowolony, że woda nie kapie mu na głowę. Na zewnątrz padał rześisty deszcz, a według meteorologów wkrótce miał prószyć śnieg.

- Spoczniej - rzucił niedbale pułkownik, wchodząc na podium. Obok niego szli Wacleva i Mansfield. - Wolno palić.

Pomocnicy postawili na biurku ciężkie skrzynki, a pułkownik wyjął paczkę Dunhillów i zapalił jednego. Papierosy było coraz trudniej zdobyć, dlatego oszczędzał je na specjalne okazje.

- Pewnie zastanawiacie się, dlaczego zostaliście wezwani - powiedział, zacierając ręce. Oparł się na skrzynkach i ciągnął: - Kiedy zostaliście tutaj przeniesieni z innych jednostek, odebraliśmy wam wasze stopnie, żebyście nie czuli się ważni i nie siedzieli na tyłkach zamiast walczyć.

Rzucił Sundayowi uważne spojrzenie, po czym kontynuował:

- Jak się okazało, byliście dokładnie tacy, jakich potrzeba Dziesięciu Tysięcom, czyli twardymi, szurniętymi i zażartymi skurwysynami, którzy nie pragnęli niczego innego, jak tylko zabijać

Posleenów. - Pokręcił smutno głową. - Niestety wszystko, co dobre, szybko się kończy, i tracimy was na rzecz piechoty mobilnej. Cóż, możecie spodziewać się tam takiego samego traktowania; znowu odbiorą wam stopnie i staniecie się parą rąk do czarnej roboty. Tyle że oni wsadzą was do metalowej puszkii i będą upychać tak długo, aż będziecie wyglądać jak robak wpełzający spod kamienia.

Cutprice znowu przerwał i spojrzał na pierwszą z brzegu skrzynkę.

- Sunday, ruszcie no tutaj swoje dupsko - warknął. - Nie wiem, jak to się stało, ale chyba zapomnieli o was w poprzedniej jednostce. Większość z was otrzyma stare rangi, ale wy, plutonowy, dostaniecie to, na co, Bóg mi świadkiem, zasłużyliście. Ten pomysł chodził mi po głowie od dawna, ale jakoś nie mogłem wprowadzić go w życie. - Rzucił spojrzenie Mansfieldowi. - Teraz dostanie ci się za wszystko. Gotów?

- Tak jest, sir - powiedział Sunday, rozglądając się niepewnie dookoła. - Niezależnie od tego, co pan zaplanował.

- Cieszę się, że obdarzasz mnie takim zaufaniem - odparł Cutprice, uśmiechając się złośliwie. - Ale sam sobie na to zasłużyłeś. Oddział baczność!

Na chwilę zapadła cisza.

- Starszy plutonowy Thomas Sunday Junior zostaje zwolniony ze służby w siłach naziemnych Stanów Zjednoczonych z wyżej wymienionym stopniem. Podstawą decyzji jest jego przeniesienie do jednostek piechoty mobilnej i awans na stopień podporucznika. Podporucznik Thomas Sunday Junior otrzymuje rozkaz stawienia się na służbę w dniu 17 września 2009 w miejscu szczegółowo później określonym.

Cutprice uśmiechnął się jeszcze szerzej i wyjął z kieszeni odznaki oficerskie, po czym przypiął je do munduru Sundaya.

- Moje gratulacje. Nie jesteś mi nic winien, od dawna walały się po biurku.

* * *

- Bardzo dobrze, Orostanie - powiedział Tulo'stenaloor. - Wyślę Sharkaskera, żeby upewnił się, że nikt nie zbliża się do bazy.

Rzucił okiem na mapę, a potem znowu na raport oolt'ondaia.

- Sprawy nie układają się pomyślnie? - spytał Goloswin, zaglądając swemu panu przez ramię.

- Oddział ludzi najprawdopodobniej zbiegł - wyjaśnił Tulo'stenaloor. - Zdziętkowali oolt'ondar Orostana.

- Na pewno są poza zasięgiem czujników albo znają sposób, żeby nie mogły przekazywać ich ruchów. Nie jestem pewien, czy oni potrafią coś takiego zrobić, ale zakładam, że istnieje możliwość przestrojenia urządzeń, a oni są równie sprytni jak ja.

- Czyli mogą znajdować się w sieci sensorów, a my o tym nie wiemy? - spytał Tulo'stenaloor.

- Tak - przytaknął Goloswin. - Ale istnieje możliwość zmodyfikowania urządzeń tak, żeby wykrywały ludzi. Normalnie rejestrują ich obecność, ale na nią nie reagują, tak samo jak na thresh. Ludzie zaprogramowali swoje instrumenty tak, żeby odsiewały zbędne informacje. Muszę przyznać, że zrobili to bardzo pomysłowo. Komputer odsiewa dane nie związane z ludźmi lub Posleenami, ułatwiając wytropienie nas lub ich. Mógłbym zmienić te urządzenia, żeby wykrywały tylko ludzi, choć oni potrafią się maskować. Jestem w stanie to zrobić, ponieważ jestem od nich mądrzejszy. Sądzę jednak, że w końcu zauważą zmiany, gdyż mają bystrych techników.

- A wtedy zorientowaliby się, że jesteśmy w stanie... Jak oni to określają?

- Włamać się do ich systemu.

- A tego nie chcemy, prawda? - rzekł Tulo'stenaloor.

- Czy masz dla mnie jakieś zadania, czy mogę wrócić do swoich zajęć?
- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział wódz - Czy jesteś w stanie ustawić urządzenia tak, by wykrywały Po'slena'ar?

* * *

Wendy pokręciła głową, patrząc, jak Elgars wykonuje ćwiczenia. Snajperka była doskonale wytrenowana. Założyła pięćdziesięciokilogramowe ciężarki i ciągnęła linkę, aby ćwiczyć bicepsy. Wendy cieszyłaby się, gdyby udało jej się chociaż pięć razy wykonać to ćwiczenie, a tymczasem Annie nawet nie wykazywała śladów zmęczenia.

- Ja sobie daruję - powiedziała. Ćwiczyły raz dziennie, przez godzinę, trening siłowy na przemian z rozciągającym i wytrzymałościowym. Oprócz tego Wendy cały czas pracowała nad technikami ratunkowymi, ale po dzisiejszej rozgrzewce mdlała na myśl o czymś więcej niż tylko podnoszeniu ciężarów. Kiedy widziała, jak dobrze radzi sobie Annie, opuszczały ją siły.

- Powinnaś zmniejszyć obciążenie i zwiększyć częstotliwość - powiedziała Annie. - To dobrze robi na nadgarstki i przedramiona.

- Widzę - odparła Wendy, spoglądając na ramiona Elgars. Zaczynały przypominać ręce Popeye'a.

- Będziesz szybciej wspinała się po drabinach.

- Aha. Rozumiem, że chcesz, żebyśmy teraz zaczęły ćwiczenia ratunkowe?

- Niekoniecznie. Ale wydaje mi się, że niedługo rozwiązę sens istnienia straży pożarnej w podziemnym mieście zbudowanym z niepalnych materiałów - odparła Elgars, ocierając twarz ręcznikiem i zawieszając go na szyi. - Wszystkie pożary, jakie tu wybuchły, zostały ugaszone przed przybyciem zespołu ratunkowego. Po to jest halon i dwutlenek węgla. Wydaje mi się, że jesteście przetrenowanymi sprzątaczkami.

- Przynajmniej nie mam wrażenia, że siedzę beczynnym na tyłku.

- A opiekowanie się bandą rozwrzeszczanych dzieciaków nie jest wystarczająco heroicznym zadaniem?

- A ty chciałabyś to robić przez resztę życia? - odparła pytaniem na pytanie Wendy.

- Nie - rzuciła krótko Annie, idąc w stronę wyjścia z siłowni. - Ale ty nie musisz dzień w dzień zwalczać w sobie żądzę pourywania głów tym małym potworkom.

- Z Billym jakoś się dogadujesz - powiedziała z uśmiechem Wendy.

- Bo on nic nie mówi.

- I tu tkwi problem. Nie widziałaś, co się działo we Fredericksburgu, więc nie możesz zrozumieć, co on przeszedł.

- Masz rację. Dziękuję, że mi przypomniałaś, iż tam nie walczyłam i nie będę miała z tego powodu nocnych koszmarów.

Wendy popatrzyła na nią spokojnie i spytała:

- Czemu się kłócimy?

- Myślę, że poszło o straż pożarną.

- Rozumiem. Mówiąc szczerze, bycie strażakiem mi pomaga. Mogę odreagować siedzenie przy dzieciach i mieszkanie w tej dziurze. Miałam jej dosyć, kiedy całe to miejsce przypominało jaskinię, w której gnieździła się garstka przerażonych uchodźców z Wirginii, a teraz mam jej dosłownie po dziurki w nosie. Jest mi źle, kiedy obserwuję, jak te dzieci rosną, nie znając światła słonecznego, i mają do zabawy tylko kilka pokojów. Wkurza mnie to, że wszyscy uważają, iż nadaję się jedynie do wycierania nosów dzieciakom, a mężczyźni patrzą na mnie jak na kłacz rozplodową. Zwłaszcza że jedyny facet, z którym chcę być Jeszcze nigdy tutaj nie przyjechał!

- W porządku - odparła Annie, unosząc rękę pojednawczym gestem. - Rozumiem.

- A co do Billy'ego... - mówiła Wendy, idąc korytarzem - Shari była ostatnią osobą, która uciekła z Central Square... i to wszystko działo się na jego oczach. Wiesz... Spojrzał za siebie.

- Nie rozumiem - westchnęła Elgars. - Co to znaczy?

- Central Square było ogromnym centrum handlowym na obrzeżach Fredericksburga - wyjaśniała cierpliwie Wendy. - Posleeni spadli na nie bez ostrzeżenia. Shari... po prostu stamtąd odeszła, zabierając ze sobą Susie, Kelly i małego Billa. On obejrzał się za siebie, i od tamtej pory nie jest już całkiem normalny.

- Ale nadal nie rozumiem, co to ma do rzeczy. No wiesz... Co z tego, że obejrzał się na centrum handlowe?

- Cóż, Posleeni zjadali tam ludzi. Część z nich żywcem.

- Aha - mruknęła Elgars. - To wiele tłumaczy.

- Podobno ścigali też Shari, ale ona nic o tym nie wie. Mówi, że nie oglądała się za siebie. Ale Billy coś widział.

- Teraz rozumiem - Annie zmarszczyła brwi. - To musiała być kiepska sytuacja.

- Ciebie wcale to nie rusza, prawda? - Wendy już wcześniej zauważyła, że Annie bywa zupełnie nieczuła na ludzkie problemy.

- Nie.

- To było jak koszmar na jawie. Coś cię ściga, a ty wiesz, że nie możesz temu umknąć. Cokolwiek zrobisz, jak szybko byś nie biegła, to i tak cię dopadnie. Lekarze uważają, że zamknął się w sobie i nie potrafi o niczym innym myśleć. Po prostu ciągle przeżywa tamten koszmar.

- Nadal nie rozumiem. Ja nie mam koszmarów.

- Naprawdę? Nigdy?

- No, raz miałam - przyznała Elgars. - Ale zabiłam tę ośmiornicę.

- Ośmiornicę? - zdziwiła się Wendy. - Jaką ośmiornicę?

- No, taką purpurową... Nigdy ci się nie śniła? - Elgars była nie na żarty zdziwiona. - Bo mnie tak. Zwykle oglądałam siebie z zewnątrz, jak ośmiornice wyciągają mój mózg. Mózg wygląda tak, jakby składał się z wijących robaków, a one rozkładają go na stole i tłuką młotkami. Ilekroć trafią robaka, czuję to w głowie. Nigdy nic takiego ci się nie śniło?

Wendy popatrzyła na nią ze zdziwieniem, a potem ruszyła dalej przed siebie.

- Jako przyjaciółka powiem ci, że chyba cierpisz na ZWW.

- ZWW?

- Zbyt Wybujała Wyobraźnia.

- Aha, ale nadal nie wiem, co strasznego jest w Posleenach.

- Shari miała pod opieką trójkę dzieci.

Elgars przez chwilę zastanawiała się nad sytuacją opiekunki.

- Nadal nie potrafię pojąć, jak można przed nimi uciekać. To jak odrzucenie zaproszenia do zabawy.

- Shari przeżyła, podobnie jak jej dzieci - kontynuowała Wendy. - Wszyscy inni, dorośli i mali, którzy byli w centrum, zginęli. Jeśli nie masz odpowiednich sił i środków, żeby walczyć, nie masensu bezcelowo ginąć.

Elgars wzruszyła ramionami. Weszły do pomieszczenia, którego wrota przypominały służbę powietrzną. Ściany przekraczały wysokością jego szerokość, która wynosiła co najmniej sześćdziesiąt metrów, i udekorowane były ceramicznymi płytkami.

Pośrodku pomieszczenia znajdował się duży kamienny obiekt przypominający budynek, wysoki

na sześć pięter i pokryty czarną sadzą. Ze ścian sterczała cała masa rurek, a liczne okna pozbawione były szyb. Futryny były popękane, zupełnie jakby uderzano w nie młotem lub były poddane działaniu wysokiej temperatury. Liczne kładki prowadziły z budynku w stronę ścian i sufitu.

Kiedy kobiety weszły do pomieszczenia, wentylatory drgnęły i zaczęły wyć, a z najbliższego otworu dobiegło ciche zawodzenie. Wszystkie maszyny zaczęły wysysać powietrze z pomieszczenia; wyglądało to tak, jakby zerwał się miniaturowy huragan.

W ścianach znajdowały się nisze spełniające rolę szafek; w ich wnętrzu ukryty był sprzęt ratowniczy. W pobliżu stało kilka wózków. Przypominały meleksy, którymi jeździli po polach golfiarze, ale miały znacznie większe silniki i mieściły w sobie ogromną ilość sprzętu gaśniczego. Po usunięciu pompy wodnej mogły służyć za ambulans.

W pomieszczeniu było ze dwadzieścia osób, głównie kobiet i każda z nich była w doskonałej kondycji. Elgars poznała już kilka z nich, kiedy Wendy zabrała ją na spotkanie oddziału. Jej zdaniem, Wendy wcale nie była w najgorszej formie na tle oddziału, plasowała się w połowie skali. Jej głównym problemem było to, że pomimo intensywnych ćwiczeń nie miała muskulatury predysponującej jej do dużego wysiłku. Większość kobiet, które zebrały się w sali, wyglądała jak lekkoatletki: miały muskularne ramiona i małe biusty.

Naprzeciwko nich stała grupa dziesięciu osób ubranych w nomeksowe kombinezony, takie, jakie zwykle noszą ratownicy. Były to tylko kobiety; wyglądały jak panienki z rozkładówki magazynu dla kulturystek. Na czele stała kobieta w średnim wieku, ubrana w czerwony mundur. Kiedy Wendy dołączyła do grupy, kiwnęła jej głową, nie spuszczając z niej wzroku.

- Dobrze, skoro już jesteśmy wszyscy na miejscu, myślę, że powinniśmy zacząć sprawdzian - powiedziała. Eda Connolly była porucznikiem w Straży Pożarnej Baltimore, zanim w niezbyt uprzejmych słowach kazano jej przenieść się do sił samoobrony. W Podmieściu była jedną z nielicznych przeszkolonych osób, ale w ciągu czterech lat zamknięcia w tej dziurze stworzyła zespół, z którego mogła być dumna. Obecnie jej głównym problemem było utrzymanie wysokiego stanu gotowości zespołu.

- Wszyscy doskonale zdajecie sobie sprawę, z jakich powodów tutaj jesteście. Każdy z was chce dołączyć do mojej grupy. Aby tego dokonać, musicie udowodnić, że jesteście tego warci. Do was należy decyzja, czy zmienicie los, na jaki was skazano.

Na twarzach ludzi widać było zrozumienie.

- Widzę, że wszyscy wiemy, o czym mówię. To dobrze. Z radością powitałabym was w moim oddziale. Gdybyśmy trzykrotnie zwiększyli naszą liczebność, bez wątplenia dalibyśmy sobie radę każdym niebezpieczeństwem. Nie raz brakowało nam rąk do pracy. Jednak zadania, jakie stoją przed nami, nie są łatwe. W Podmieściu żyją dwa miliony ludzi. To dwa miliony przypadków, wypadków i nieszczęść. Ręce mogą wkręcić się w maszyny, płomień wydostać spod kontroli, a w fabrykach może dojść do wybuchów. W magazynach zboża wybuchają pożary, co może doprowadzić do zatkania systemu wentylacji i zaciadzenia. Zbiorniki chemiczne mogą okazać się nieszczelne, a dzieci mogą zaszyć się w którymś z korytarzy wentylacyjnych. To do nas należy wyciąganie tych wszystkich nieszczęśliwców z opresji - Każda osoba z mojego oddziału przeszła sprawdzian, a później stanęła w obliczu zadania, które często ją przerastało. Niektórzy nie zdołali go wykonać i zginęli.

Westchnęła cicho i rozejrzała się po sali.

- Zostaniecie dzisiaj poddani sprawdzianowi. Jeżeli wykonacie wszystkie zadania w odpowiednim czasie, wasza kandydatura zostanie przez nas rozpatrzona. Mamy siedem wolnych miejsc, ale tylko pięcioro lub sześcioro z was zdoła przejść test. Wolę mieć pięcioro odpowiednio przeszkolonych niż dziesiątkę, która nie spełnia wszystkich wymagań.

Jeden ze strażaków podał jej kartkę papieru.

- Teraz będę wyczytywała wasze nazwiska. Wywołany ma podejść do strażaków, którzy pomogą wam zapoznać się ze sprzętem. Potem rozpocznie się właściwy test. - Popatrzyła na jednego z kandydatów i uśmiechnęła się blado. - Powodzenia, Anderson...

* * *

Wendy zarzuciła na siebie ciężki kombinezon i zaczęła go dopinać. Kiedyś słyszała anegdotę, że jest wiele sposobów jego zakładania, ale tylko jeden gwarantuje przeżycie w ciężkiej sytuacji. Co za pożytek z tak niepraktycznego sprzętu? Na ścianie nad szafką znajdował się napis: „Kombinezon ochronny jest jak zbroja”. Wiele razy próbowała się dowiedzieć, skąd pochodzi cytat, ale strażacy byli bardzo tajemniczy i nie pomogli jej zaspokoić ciekawość.

Sięgnęła w głąb schowka i wyciągnęła maskę przeciwgazową. Posmarowała jej brzegi wazeliną, wybierając ją jako najmniej obrzydliwą substancję odkażającą. Co prawda do tego nadawała się także oliwka dla dzieci, ale ta w wysokiej temperaturze parowała, wydzielając nieprzyjemne gazy. Wazelina także parowała, ale przynajmniej nie śmierdziała jak spalone włosy. I człowiek nie przechodził jej smrodem.

Wendy sprawdziła butlę z tlenem i resztę ekwipunku. Co prawda nie podejrzewała, żeby zastawiono jakieś „pułapki”, wołała jednak nie pozostawiać swojego losu przypadkowi; kiedy wszędzie dookoła będzie unosił się dym, będzie potrzebowała czystego powietrza.

Wszystko był w jak najlepszym porządku, ale dla pewności Wendy odkręciła tlen i kilka razy głęboko odetchnęła.

I wtedy z rurek zaczął wydobywać się dym. Był sztucznie generowany, gdyż strażacy nie chcieli ryzykować rozpalania ognia. Mimo to wyglądał jak prawdziwy. Wendy miała wrażenie, że za chwilę płomień zacznie ją lizać.

Choć miała być piąta w kolejce, przed nią stała tylko jedna osoba. Już po chwili pierwszy z kandydatów wszedł na dach budynku i zaczął wspinać się po linie. Spod sufitu zwieszała się ogromna ilość lin, co przypominało pajęczą sieć. Jak się okazało, wspinać się po nich było integralną częścią sprawdzianu. W podziemnym mieście było wiele szczelin i przepastnych wyrw. Nigdy nie wiadomo, czy strażacy nie będą musieli przedostawać się po linie do jakiegoś odległego miejsca, dlatego jedną z najważniejszych umiejętności strażaka było wykonywanie różnych węzłów oraz brak lęku przed dużymi wysokościami.

Wendy zadrżała. Nie miała lęku wysokości, wręcz przeciwnie, ale wiedziała, co ją czeka w razie upadku.

- Curnmings.

Potrząsnęła głową, przetarła oczy i założyła okulary. Ze zdziwieniem zobaczyła, że pierwsza osoba z kolejki zeskoczyła z platformy w niewielki otwór i zniknęła.

- Tak?

- Twoja kolej - powiedział strażak.

- Jasne.

Doskonale znała tego strażaka. Ba, większość zespołu nie była jej obca, ale w trakcie testów mieli pozostawać wobec siebie całkowicie obojętni. Mimo wszystko byłoby jej miło, gdyby ktoś się uśmiechnął, życzył szczęścia lub dał znak, że ją dostrzega. Przez cztery cholerne lata służyła w jednostkach rezerwy i dopiero teraz otrzymała szansę na wzięcie udziału w testach. Przez chwilę stała nieruchomo, mając nadzieję, że usłyszy choć słowo, ale żadne nie padło.

- Cummings... Przed tobą osiem zadań: wspinaczka po drabinie, balansowanie na drabinie, dźwiganie ciężarów, obsługa hydrantu, przejście przez labirynt, wyważanie drzwi, ćwiczenia na

wysokości, posługiwanie się węzłem i przenoszenie manekina. Czy wiesz, o co w nich chodzi?

- Tak - odparła. Pytanie było zwykłą formalnością. Jej głos został zniekształcony przez maskę.

- Na każdym z postojów będzie czekał strażak, który skieruje cię do następnego zadania. Czas ich wykonywania będzie mierzony. Jeżeli wpadniesz na poprzedzającą cię osobę, możesz zaczekać i ten czas zostanie odliczony. Twoja sprawność i czas zostaną potem przeliczone na punkty. Żeby zdać egzamin, musisz uzyskać osiemset punktów. Czy to jasne?

- Tak.

- Dodatkowo istnieje kilka sytuacji, które mogą cię zdyskwalifikować. Jeżeli upuścisz ciężar, nie wyłamiesz drzwi, trafisz na zapadnię w labiryncie lub upuścisz manekina, wtedy automatycznie oblewasz test. Rozumiesz?

- Tak.

- Pojęłaś wszystkie wymagania dotyczące zaliczenia testu?

- Tak.

- Doskonale - powiedziała Connolly i rozejrzała się dookoła, a potem szepnęła jej na ucho: - Nie upuść manekina.

Spojrzała na zegarek, uruchomiła stoper i krzyknęła:

- Ruszaj!

Wendy ruszyła biegiem w stronę drabin. Nie musiała biec sprintem, ważne było utrzymanie jednostajnego tempa. Kobiety nawet w fantastycznej formie opadały z sił w połowie zadania, jeśli tylko nierównomiernie je rozłożyły.

Na ścianie wisiały trzy drabiny, a po lewej stronie każdej z nich znajdował się hak. Zadanie było proste. Musiała zamocować wszystkie drabiny na hakach. Był to sprawdzian górnych partii mięśni. Każda drabina ważyła około dwudziestu kilo i jej zawieszenie było nie lada wyczynem dla przeciętnie zbudowanej kobiety.

Szczęście jej sprzyjało i w krótkim czasie uporała się z zadaniem. Podobnie poszło z drugim, kiedy musiała balansować na drabinie, a potem ponownie ją zawiesić. Zadanie było trudniejsze niż przypuszczała, jeden nieuważny ruch mógł bowiem zakończyć się zawaleniem całej konstrukcji, a to automatycznie oznaczało oblanie testu.

Trzecie ćwiczenie - przeniesienie ciężkiego ładunku wąskimi schodkami na górę - dało jej się mocno we znaki. Miała wnieść na piąte piętro dwa dwudziestopięciometrowe odcinki węża, wylot wody i zaczep do hydrantu. Dodatkowo wewnątrz budynku zasnute było gęstym czarnym dymem, który utrudniał widzenie. Wendy ledwie dźwignęła ciężar, który musiał ważyć przynajmniej pięćdziesiąt kilo, i pociągnęła go na górę. Zasadniczo powinna była utrzymywać szybkie tempo wspinaczki, ale jeszcze nikt nie zdołał tego zrobić. Z trudem gramoliła się po stopniach, a każdy kolejny krok okupiony był silnym bólem. W okolicach trzeciego piętra zdała sobie sprawę, że jeśli przystanie, to już więcej nie ruszy. Zaciśnęła zęby i spływając potem, wdrapała się na ostatni poziom. Kiedy zobaczyła czekającego tam strażaka, omal nie rozplakała się ze szczęścia. Pomimo gęstego dymu i zmęczenia, wdrapała się w końcu na szczyt. Ostrożnie położyła pakunek na podłodze, aby wykorzystać krótką chwilę na odpoczynek. Potem zbiegła na dół, gdzie strażak skierował ją do labiryntu.

Labirynt znajdował się na trzecim piętrze. Był to istny szurzy tor wyścigów: wiele łączących się i przecinających ze sobą korytarzy, przejść i śluz; niektóre były otwarte, inne zamknięte, zależnie od woli testujących. Przez większość tuneli można było przeczołgać się albo przejść na czworakach, ale czasem trzeba też było wyginać się w chińskie dziewięć.

Wendy nigdy nie miała problemów z poruszaniem się po labiryncie, nawet jeśli cały zasnuty był

dymem. Być może był to wynik doświadczeń z Fredericksburga, a może po prostu nie miała klaustrofobii. To samo można było powiedzieć o Shari, która przez kilka tygodni czekała na odkopanie jej spod gruzów. Gdyby poddała się atakowi lęku, skończyłaby jak strażak, która nie przetrwała wspólnego z nią uwięzienia.

Brak obaw przed zamknięciem nie oznaczał, że zadanie pójdzie jak z płatka. Poruszanie się po labiryncie nie było łatwe. Wendy pamiętała o pułapkach, jakie tam zastawiono. Jeden z tuneli pokryty był smarem i prowadził wprost do otworu znajdującego się przy stanowisku sędziego.

Śpiewająco przebyła labirynt i jak nowo narodzona wyskoczyła zza ostatniego zakrętu. Wiedziała, że ten etap testu poszedł jej gładko, a następny - wyważanie drzwi - także nie powinien sprawić jej kłopotu. Wbiegła z powrotem na dach i chwyciła narzędzia: pojemnik z płynnym azotem oraz napędzany dwutlenkiem węgla taran. Drzwi znajdowały się pośrodku dachu. Wykonano je z plastiku pamięciowego i zabezpieczono, żeby rozpędzony kandydat nie wypadł przez uchylone drzwi na zewnątrz, kilka pięter w dół. Z początku strażacy nie potrafili ich sforsować. Były twarde i odporne na jakikolwiek atak fizyczny, dopiero później, z pomocą byłego marine, opracowano metodę ich wyważania. Okazało się, że po schłodzeniu drzwi poddawały się naciskowi i bez trudu można było je sforsować.

Strażak skinęła głową, nacisnęła przycisk startera i krzyknęła:

- Ruszaj!

Wendy pokonała kilka schodków i zbliżyła się do drzwi. Zdjęła rękawicę i przesunęła gołą ręką po framudze drzwi. Kiedy dojechała do lewego dolnego rogu, poczuła, że drzwi zaczynają się nagrzewać. Dranie.

Odsunęła się do tyłu i krzyknęła:

- Rozgrzane drzwi!

Testująca ją kobieta zatrzymała stoper i zanotowała coś na kartce. Wendy ponownie założyła rękawicę, kiedy usłyszała:

- Drzwi są rozgrzane, ale można je wyłamać. - Kobieta nawet słowem nie wspomniała, że gdyby Wendy nie wykryła wysokiej temperatury, zostałaby zdyskwalifikowana. - Kontynuować - poleciła i ponownie włączyła stoper.

Wendy spojrzała na ciśnieniomierz butli. Siłę wytryskującego z niej strumienia można było regulować obracającym pierścieniem. Najważniejsze było to, aby płyn jak najmniej się rozprysnął.

Biały strumień cieczy wystrzelił z butli i natychmiast pod wpływem rozgrzanego powietrza zmienił się w kłęb białego gazu. Jednym z powodów, dla którego ten test przeprowadzano na wysokościach, była bliskość systemu wentylacyjnego, który odprowadzał niebezpieczne substancje do odciągających powietrze szybów.

Niewielka ilość płynu skapnęła na podłogę i szybko wyparowała. Nim zdążyła całkowicie zniknąć, Wendy zbliżyła się do drzwi i przytknęła do nich dłoń. Normalnie zaczęłaby wyważanie od lewego dolnego rogu, jednak właśnie tam zarejestrowała wzrost temperatury. Plastik pamięciowy bardzo dobrze przewodził ciepło, dlatego obawiała się, że pomimo schłodzenia ten róg drzwi może jeszcze być rozgrzany.

Potem przyłożyła do drzwi taran i schodząc z linii odbicia, nacisnęła spust. Urządzenie wyglądało niczym wielki pistolet na wodę. W zbiorniku mieścił się dwutlenek węgla, który po naciśnięciu spustu zwabiał dwudziestocentymetrowy stalowy bolec. Wystrzelony z ogromną prędkością pocisk był w stanie przebić drzwi i polecieć na odległość kilkuset metrów. Jeżeli plastik był odpowiednio schłodzony, pod wpływem uderzenia bolca rozpadał się na kilkadziesiąt kawałków.

I teraz także pod wpływem uderzenia drzwi rozpadły się na kawałki. We framudze pozostał

jedynie fragment lewego dolnego rogu.

A więc Wendy podjęła właściwą decyzję, nie uderzając właśnie w to miejsce.

Spojrzała na osobę w srebrnym uniformie, która stała po drugiej stronie drzwi. Poprzez płomień z palnika acetylenowego ledwie zobaczyła jej uśmiech.

- Dziwka - mruknęła pod nosem. Kobieta musiała wiedzieć, że Wendy jest praworęczna i naturalnie będzie próbowała wyłamywać i drzwi po lewej stronie. Poza tym drzwi rzadko kiedy nagrzewały się od dołu.

Strażak pokazała na kołyszącą się za nią linę.

Boże, pomyślała Wendy, to będzie długi dzień.

Jakimś cudem przetrwała wciąganie ekwipunku i ćwiczenia na linie. W pierwszym przypadku był to zwykły test siłowy, a w drugim sprawdzian działania na wysokości. Choć Wendy nie była najsilniejszą osobą na kursie ani miłośniczką wysokości, jednak dała sobie radę.

Ostatnim testem było taszczenie manekina. Zeskoczywszy z liny, Wendy próbowała zmusić się do biegu, ale nie była w stanie. Gdzie podziała się adrenalina, która ma dawać przyływ sił? Przenoszenie ciężaru będzie piekłem.

Skórzany „człowiek” ważył sto piętnaście kilo. Manekin leżał na plecach na podłodze i ubrany był w kombinezon strażaka. Trzeba było podnieść go do góry i trzymając w ramionach, przebiec sto metrów.

- Nie upuść go, Cummings - powiedziała do siebie przez zaciśnięte zęby. Podniosła manekina do pozycji siedzącej; jego głowa opadała, ekwipunek dyndał, a ramiona wyslizgiwały się z jej rąk. W końcu jednak zdołała wślizgnąć się pod „ciało” i razem z nim podnieść się na równe nogi. Wstając, aż jęknęła. Pociemniało jej przed oczami i musiała na chwilę przystanąć, żeby nie upaść. Manekin był od niej wyższy i cięższy, uniesienie go było aktem heroizmu. W końcu jednak Wendy pochyliła się lekko do przodu i ruszyła przed siebie.

Każdy krok był okupiony bólem i cierpieniem, a ziemską grawitacja wybrała właśnie ten moment, żeby o osobie przypomnieć. Jeden krok, dwa, trzy... Manekin zaczął jej się wyslizgiwać, ale jakimś cudem zdołała go podrzucić i lepiej chwycić. Jej rękawice były, mokre od potu i manekin ponownie zaczął wysuwać się z jej rąk. Ale była już prawie na miejscu.

I wtedy doszło do katastrofy. Od mety dzieliły Wendy tylko trzy metry, kiedy kukła zaczęła się rozpadać. Zawsze noszono ją w ten sam sposób, nadwyręzając te same partie materiału. Jak na złość, właśnie w tej chwili kombinezon strażaka pękł.

Jeszcze raz desperacko próbowała go pochwycić, ale złapała za płaszcz, który też się rozdarł. Przez chwilę manekin balansował na jej barku, a potem spadł.

Wendy stała nieruchomo, spoglądając na leżącą na ziemi kukłę. Po tym wszystkim, co przeszła, zaledwie kilka kroków od sukcesu przegrała.

Chciało jej się wyć. Po tylu staraniach i cierpieniach taki pech. Chciała błagać o kolejną szansę, ale wiedziała, że to na nic. Nikt nie pozwoli jej ponownie podejść do testu. Stała jak skamieniała, łzy spływały jej po twarzy. Jeden z egzaminatorów podszedł, zebrał manekina i zarzuciwszy go na ramię, odniósł na miejsce.

W końcu Connolly wzięła ją pod rękę i wyprowadziła z placu ćwiczeń. Pomogła jej zdjąć hełm i rękawice, po czym poklepała ją po ramieniu.

- Nie martw się, następnym razem ci się uda - powiedziała cichym głosem. - Musisz powtórzyć to, co zrobiłaś do tej pory, i nie upuścić manekina.

Connolly włączyła stoper, gdyż już następny kandydat zaczynał egzamin. - Widziałam, jak dajesz sobie radę na linie i jak zabierasz się do manekina. To nie twoja wina, ale wiesz, jakie są zasady. Po

prostu miałaś pecha.

- Jak w całym moim życiu.

- Nie podoba mi się twoje podejście. Wszystko traktujesz jak zabawę, jak jedną wielką grę. A ja nie chcę, żeby ktoś szedł za mną w ogień tylko dlatego, że uważa to za fajne albo lubi mundur strażaka. Jedyne, co ma cię motywować, to chęć ugaszenia płomieni i uratowania ludzi.

Spojrzała na nią tak, jakby podejmowała ważną decyzję, i dodała:

- Wendy, ty cały czas udajesz. Grasz twardą dziewczynę. Tak mówi twój profil psychologiczny: boisz się, że nie podołasz zadaniu, i nie jesteś siebie pewna, dlatego udajesz, żeby sprawdzić, co z tego wyjdzie. A ja chcę, aby towarzyszyli mi ludzie, którzy są pewni siebie, przekonani o słuszności swoich wyborów, zdecydowani i kompetentni. Spoczywa na mnie zbyt wielka odpowiedzialność.

Wendy zmierzyła ją wzrokiem i pokiwała głową.

- Odpierdol się - powiedziała i pokazała jej wyprostowany środkowy palec. - Jeśli powiesz choć jeszcze jedno słowo, skopię ci tyłek.

Zachwiała się, a potem spojrzała szefowej strażaków prosto w oczy.

- Pozwól mi coś powiedzieć o pechu, pani „boska” Connolly - syknęła, ostrożnie zdejmując kombinezon. - Pech to świadomość, nie przypuszczenie albo przecucie, ale pewność, że Posleeni po ciebie idą i zamierzają cię zeżreć. Pech to stracić całą rodzinę, przyjaciół, wrogów w jeden dzień. Pech to życie, które w jednej chwili wali się w gruzy. Przyjechałaś tutaj z Baltimore, zanim to wszystko się zaczęło. Wojnę widziałaś tylko w telewizji. Nie walczyłaś przeciwko ich hordom atakującym falą za falą, nie widziałaś, jak zalewają wzgórza i miasta, nie słyszałaś kul gwizdzących ci tuż nad głową, nie widziałaś jak rozwalają twój dom. Masz rację, nie chcę być pieprzonym strażakiem, chcę zabijać Posleenów. Rzygam bieganiami po schodach i sikaniem wodą z węża. Mówisz, że nienawidzisz ognia, ale to bzdura. Jak większość strażaków, ty go kochasz. Ja nienawidzę Posleenów, gardzę nimi i nie uważam, że są fascynujący. Chcę ich po prostu niszczyć.

Po chwili, nadal ciężko dysząc, dodała:

- Masz rację, udaję strażaka. Porównując to do zabijania Posleenów, to dziecinada. Tak więc odpierdol się. Ty i twoje głupie testy. Pieprzyć ten departament. Do widzenia.

- Dobrze - powiedział chłodno Connolly. - Jesteś nadal w rezerwie, ale nie składaj już podań o sprawdzian. Przynajmniej do chwili, dopóki nie poukładasz sobie wszystkiego pod sufitem.

- Jasne - syknęła Wendy. - Ale lepiej z moją głową już nie będzie.

- Cummings? - zagadnęła Connolly.

- Czego?

- Nie zrób niczego... głupiego. Nie mam ochoty wyciągać cię z jakiegoś dziwnego miejsca.

- Och, nie musisz się o to martwić. Dam sobie radę, byleby nikim nie wchodził w drogę. Wtedy będziesz musiała się na sprzątać.

*Nie głoszą nikomu, że Bóg sił im doda
Tuż przed tym, jak śruba uparta popuści
Nie głoszą, że Jego pozwala im laska
Śłać wszystko do diabła, gdy najdzie ich chęć
Tak w słońcu i w tłumie, i w świetle, w gromadzie
I w mroku wciąż trwają, pośrodku pustkowia
I patrzą, i baczą od rana do nocy
Czy dzień ich współbraci już dawno nie nastał.*

Rudyard Kipling
Synowie Marły (1907)

Podmieście Franklin, Franklin, Nowy Jork,
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III
10:48 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
czwartek, 24 września 2009

- Posłuchaj, koleżanko. Czy ty zawsze masz problemy z rozkazami na piśmie? - spytał Mosovich.

Strażniczka za pancerną szybą ponownie spojrzała na papiery i gestem nakazała żołnierzom czekać.

- Muszą zapytać kogoś o zdanie. Po raz pierwszy mamy taką sytuację.

- Nie cierpię takich zadupii jak to - powiedział Mueller. Mosovich przytaknął w milczeniu, stwierdzając, że Mansfield będzie mu winien przysługę. Ogromną przysługę.

Jego prośba o sprawdzenie stanu zdrowia jednej wariatki przyszła w odpowiednim momencie. Po ostatniej misji dowódca zakazał wykonywania dalekich zwiadów. Posleenów miały teraz szpiegować maszyny i samoloty. Te ostatnie były rozmiarów sokola i unosiły się ponad linią drzew, daleko poza polem widzenia obcych. Główny problem polegał jednak na tym, że Posleeni dość szybko je wykrywali i niszczyli. Ich sygnały, choć miarodajne, były dość krótkotrwałe. Pełzacze, które przypominały metrowe mechaniczne mrówki, spisywały się odrobinę lepiej, ale nawet one nie były w stanie dotrzeć daleko w głąb umocnień Posleenów. Ktokolwiek zawiadywał tam ochroną, znał się na swojej robocie i wiedział, jak ją porządnie wykonywać.

Do Mosovicha dotarły pogłoski, że generał Bernard postulował, by bazę Posleenów zbombardować pociskami atomowymi z She - Vy. Jego propozycja została jednak odrzucona przez panią prezydent, z zasady przeciwną atakom atomowym. Sam fakt powstania takiej petycji pocieszał Mosovicha; ktoś potraktował serio jego doniesienia o zagrożeniu ze strony obcych.

Do czasu, aż ktoś nie wpadnie na pomysł rozwiązania impasu, on, Mueller i siostra Mary nie mieli nic do roboty. Ponieważ taka szczęśliwa sytuacja nie mogła trwać wiecznie i prędzej czy później ktoś przydzieliłby im jakąś idiotyczną misję, Mosovich z radością powitał list z dowództwa. Sztab gwarantował im na piśmie wejście do Podmieścia, bez którego to glejtu nie dostaliby się tam za żadne skarby świata. Co ważniejsze, znów byli daleko od jednostki i głupich pomysłów lęgnących się w głowach sztabowców.

Gorszą stroną medalu był fakt, iż Podmieścia były fatalnymi miejscami. W ciągu ostatnich pięciu lat Mosovich kilkakrotnie je odwiedzał i za każdym razem stwierdzał, że to przygnębiająca okolica. Widok tych wszystkich ludzi stłoczonych pod ziemią był po prostu wstrząsający. Zwłaszcza kiedy się

pomyślało, że jeszcze dziesięć lat temu dziewięćdziesiąt procent z nich żyło w wygodnych domach z ogrodami. To pozwalało uświadomić sobie, jak kiepsko idzie ta wojna. Ale przecież toczy się nadal; Stany Zjednoczone przetrwały najgorszy okres, a siły ekspedycyjne miały lada moment powrócić. Prędzej czy później sytuacja wróci do normy.

Po zejściu do Podmieścia człowiek uświadamiał sobie, że tylko mami się głupimi wizjami.

Podmieście Franklin cieszyło się szczególnie złą sławą. Połowa wind i wrót bezpieczeństwa nie działała, cały obszar tonął w śmieciach, które wysypywały się z każdego kąta. Stanowisko służby bezpieczeństwa za pancerną szybą i z niewielkim okienkiem przypominało kasę kina. Wszystkie półki za plecami strażnika były zastawione pustymi puszkami po jedzeniu, w których piętrzyły się stopy niedopałków.

Z drugiej strony trudno się dziwić takiemu stanowi rzeczy. Franklin było najstarszym Podmieściem, do którego trafili pierwsi uchodźcy z podbitych i zdewastowanych przez Posleenów terenów. Dotarcie do Podmieścia było możliwe dzięki transportowi wojska, z którego nawet zmęczeni piechurzy niechętnie korzystali. Wokół kręciło się wiele podejrzanych typów w mundurach, nic zatem dziwnego, że strażnicy mieli opory przed wpuszczaniem żołnierzy do środka. Z tego, co Mosovich słyszał, przez kilka pierwszych miesięcy wojskowi mieli wolny wstęp do Podmieścia, co kończyło się oplakanymi w skutkach incydentami.

Nic zatem dziwnego, że ochrona była taka zdenerwowana na ich widok. Zwłaszcza że byli uzbrojeni.

Mosovich poprawił wiszący na ramieniu karabin. Strażniczka wróciła ze starszym mężczyzną. Był to bardzo potężny człowiek, jednak na jego ciele nie było ani grama tłuszczu, tylko same mięśnie. Był w randze majora i zapewne był przełożonym służby wartowniczej.

- Starszy sierżant sztabowy... Mosovich - powiedział mężczyzna, przeglądając wydruk e - maila.

- To ja, a to mój zastępca, starszy sierżant Mueller.

- Czy mogę zobaczyć panów identyfikatory?

- Jasne - odparł Jake i wyciągnął swoje dokumenty, a Mueller zaczął przetrząsać swoje w poszukiwaniu pozwolenia na broń.

- Proszę nam wybaczyć - zaczął się tłumaczyć major służby bezpieczeństwa. - To dla nas bardzo niezwykła sytuacja. W mieście jest niewiele osób, które mogą wchodzić i wychodzić z Podmieścia.

- Rozumiem, rozumiem, ale my mamy rozkazy.

Oficer uważnie przyjrzał się identyfikatorom, sprawdził ich autentyczność i z westchnieniem rzekł:

- Wszystko się zgadza, muszę was wpuścić.

- Otworzą nam drzwi czy mamy się pod nimi przecisnąć? - warknął Mueller.

- Zanim to zrobię, muszę was uprzedzić o kilku obowiązujących tutaj regułach - powiedział major, opierając ręce na biodrach.

- Niech pan posłucha, panie... - rzucił rozzłoszczony Mosovich. Pochylił się do przodu i zerknął na tabliczkę z nazwiskiem. - Peanut? Nie jesteśmy barbarzyńcami, z którymi mieliście przedtem do czynienia. Może i wyglądam na dwadzieścia dwa lata; ale w rzeczywistości mam pięćdziesiąt siedem, i służyłem w wojsku, kiedy pana ojciec zmieniał panu pieluchy. Mamy tutaj za - danie do wykonania i nie zamierzam włączyć się i zwiedzać tej cholernej dziury. Jest nas tylko dwóch, więc jeśli nas się boicie, zmieńcie robotę, bo nie nadajecie się do niej. Jak pan już zauważył, mamy przepustki i wszystko się zgadza. Otwieraj pan te cholerne drzwi.

- Z pana słów wnoszę, że część przemowy mogę sobie darować, jest jednak kilka innych rzeczy. Ludzie na dole nie mają broni, nie lubią jej i obawiają się jej. Są jednak tacy, którzy o niczym innym

nie marzą i będą starać się wam ją odebrać, jeśli tylko dacie im okazję. Uważajcie na amunicję, nie zgubcie jej. Jeśli coś takiego się stanie, to osobiście dopilnuję, żeby dowództwo do końca wojny kazało wam czyścić kible.

- Będzie z tym problem, bo my służymy we Flocie. Dzięki za marudzenie i otwieraj te drzwi, kolego.

- Dobrze - odparł major i nacisnął klawisz. Dał się słyszeć brzęk i drzwi rozwarły się ze szczękiem. - Witam w Podmieściu Franklin.

* * *

Mueller kręcił z niesmakiem głową, kiedy przechodzili przez kolejne pomieszczenia.

- Dziwnie to wszystko wygląda.

- Tak, masz rację - odparł Mosovich. - Jak owce, nie? Mueller kiwnął głową. Ludzie mieszkający w Podmieściu rzeczywiście przypominali owce. Patrzyli na żołnierzy jak na psy pasterskie, które nie powinny ich ugryźć, przynajmniej tym razem. Widać było, że nie lubią widoku mundurów ani broni.

- Pewnie martwią się, że nadejdzie atak.

- Ja też bym się martwił - rzekł Mueller. Podmieście było położone w pobliżu linii frontu, i ktokolwiek zdecydował o tej lokalizacji, powinien zostać zastrzelony za głupotę.

- Tu nie ma drugiego wyjścia - zauważył Mosovich. - Czysty idiotyzm.

- Właśnie - przytaknął Mueller. - I zbrojownia jest przy samym wejściu.

Mosovich tylko parsknął. Gdyby Posleeni zaatakowali przełęcz i przełamali obronę, ludzie zamieszkujący Podmieście znaleźliby się w potrzasku. Gdyby ich w porę nie ostrzeżono, obcy zajęliby ich skład z bronią, a potem spokojnie mogliby wymordować bezbronych cywilów.

Zdaniem Mosovicha, decyzja o uczynieniu z Podmieść stref zdemilitaryzowanych była czystym idiotyzmem. Gdyby ludziom pozwolono nosić broń, zapewne wzrosłaby liczba przestępstw, ale była to stosunkowo niewielka cena za możliwość obrony przed - nawet przypadkowym - lądowaniem Posleenów. Poza tym zaostrome środki bezpieczeństwa mogłyby odstraszyć obcych.

Niestety, połączenie polityki i obcych wpływów sprawiło, że podziemne miasta były całkowicie bezbronne.

Skreśli w kolejny korytarz, gdzie na każdych drzwiach znajdowała się tabliczka z nazwiskiem lekarza. Żołnierze podeszli do drzwi oznaczonych plakietką: „Dr Christine Richards, lek. psych. ”. Mosovich nacisnął guzik i rozległ się cichy dzwonek.

- Tak?

- Doktor Richards? Tu starszy sierżant sztabowy Mosovich. Chciałbym porozmawiać o kapitan Elgars. - Lekarka powinna była otrzymać e - maila, ale Bóg jeden wie, jak tutaj funkcjonuje poczta.

- Czy nie może pan przyjść później? Kończę raport, ale nie jest jeszcze gotów.

- Może nam pani po prostu powiedzieć to, co ma się w nim znaleźć. - Mosovicha zaczynało już drażnić to mówienie przez drzwi. - Podejrzewam, że w sztabie będą chętniej słuchali mnie niż pani. Jesteśmy tutaj po to, żeby zobaczyć Elgars, więc ma pani szansę przekonać mnie, że dziewczyna doszczętnie nie zwariowała. Drzwi otworzyły się i wyjrzała zza nich doktor Richards.

- Ona nie jest wariatką. Została... opętana.

* * *

Doktor Richards rozłożyła na stole akta Annie Elgars i popatrzyła na nie.

- Chcę, żebyście panowie dokładnie przyjrzel się tym wykresom - powiedziała, wskazując palcem na długą kartkę pełną pofalowanych linii.

- Dobra, wiem, co to jest - powiedział Mosovich. - To mapa mózgu, prawda, pani doktor?

Ludzie z sił specjalnych często posługują się EEG, więc to nie jest dla mnie nic nowego.

- Doskonale - odparła najwyraźniej zadowolona lekarka. - Ma pan rację, to jest EEG mózgu

Elgars.

Wzięła do ręki książkę i otworzyła ją na stronie z ilustracjami.

- To jest EEG zdrowego człowieka. Niech pan się przyjrzy. Mosovich porównał obie ilustracje.

Różnice między nimi były ogromne.

- Co oznaczają te dodatkowe linie?

- Nie wiem, może pan mi to powie? Ale mamy jeszcze coś ciekawego. - Przerzuciła kilka kartek i znalazła kolejną zaznaczoną stronę. - Tutaj mamy wykres mózgu w trybie alfa. To taki stan, kiedy wykonuje pan rutynową czynność jak „przez sen”. To jedna z podstawowych zasad zen, „stan nicości”. Czy kiedy pan strzela, myśli pan o tym?

- Wiem, o co pani chodzi - wtrącił Mueller. - Człowiek wyłącza się i pozwala organizmowi robić to, co umie. Rzeczy głęboko wpojone, jak zachowanie na strzelnicy, dzieją się same, bez udziału naszej świadomości. To mamy na myśli, mówiąc o byciu „w strefie”.

- Otóż to - przytaknęła Richards. - To jest właśnie wykres stanu alfa. W przypadku Elgars charakterystyczne jest to, że Annie nie ma zbyt wielu wspomnień, ale jest zdolna do wykonywania bardzo wielu czynności manualnych. Jeżeli człowiek odniesie bardzo ciężkie obrażenia głowy, może utracić „pamięć ciała”. Musi wtedy uczyć się od nowa chodzenia, załatwiania potrzeb fizjologicznych czy jedzenia. Kiedy Elgars zjawiała się u nas, była w stanie wykonywać większość codziennych czynności. Co więcej, ustaliliśmy, że dysponuje ogromną ilością umiejętności: od obsługi broni po prowadzenie skomplikowanych pojazdów.

Przeciągnęła palcem po wykresie mózgu Elgars, pokazując zarówno stan normalnej aktywności, jak i tryb alfa.

- Tutaj znajduje się punkt, w którym jej mózg przechodzi z jednego stanu do drugiego.

Mosovich i Mueller pochylili się nad wykresami, porównując je z książką. Były kompletnie inne. Zapis mózgu snajperki był pełen wybrzuszeń i pofałdowań. Mosovich pokazał wykres alfa.

- Ten zgadza się z wykresem z książki.

- Racja. Jedyne różnice, jakie występują, są osobniczo uzasadnione. Co dziwniejsze, jej stan alfa jest najzupełniej normalny.

- To dlaczego uważa pani, że została opętana? - spytał Mosovich, unosząc w zdziwieniu brwi.

- Niech pan posłucha - powiedziała Richards, opadając na oparcie fotela. - Nikt z nas nie jest ekspertem. Ja byłam cholernym lekarzem rodzinnym, zanim zesłano mnie tutaj na dół. Mamy jednego, powtarzam, jednego psychologa, który przed wojną był ekspertem od zaburzeń snu. Wszyscy jesteśmy zadziwieni tym... fenomenem. Doszliśmy do wniosku, że w ciele Annie Elgars znajduje się więcej niż jedna osoba. Nie mówię o osobowości, ale o osobie. Co gorsze, dominująca świadomość nie należy do Elgars.

- Jak to? - spytał Mosovich, powtarzając sobie w duchu, że Mansfield ma u niego cholernie wielki dług.

- Chodzi głównie o wspomnienia. Ona ma takie, których nie ma prawa mieć. - Richards zajrzała do notatnika, przerzuciła kilka kartek i spytała: - Widział pan film *Top Gun*?

- Tak - odparł Mosovich. - Nawet kilka razy.

- Oglądał go pan, kiedy wszedł do kin?

- Chyba tak... To było w osiemdziesiątym drugim. A może osiemdziesiątym czwartym? Mieszkałem wtedy w Bad Tolz.

- Film wszedł na ekrany w osiemdziesiątym szóstym - powiedziała Richards, zaglądając do

notatek. - Elgars wyraźnie pamięta, że widziała go w kinie, a potem pojechała samochodem do przyjaciela. Zaznaczam, że sama prowadziła samochód.

- Co w tym dziwnego? - spytał Mueller.

- To, że w osiemdziesiątym szóstym roku Annie Elgars miała dwa lata. - Richards zdjęła okulary i przetarła oczy. - Nawet najbardziej liberalni rodzice nie pozwolą dwulatce jeździć samochodem, chodzić do kina i nocować u przyjaciół. Poza tym Annie ma inne wspomnienia związane z tym filmem. Twierdzi, że pierwszy raz widziała go w domu, w telewizji.

- O rany - wyrwało się Muellerowi. - To się nazywa... syndromem przeszczepionych wspomnień?

- Co, proszę? - spytał Mosovich.

- Rzeczywiście, wzięliśmy pod uwagę, że to może być klasyczny przypadek przeniesionych wspomnień, żeby nie powiedzieć, że fizycznie przeszczepionych. Wykryliśmy blizny na tkance. Przypomina to przeszczepianie wątroby, ale cokolwiek Kraby zrobiły, przekracza to nasze pojmowanie. Wydaje nam się, że same fizyczne zabiegi nic by nie dały. Uważamy, że Kraby wsadziły jakąś osobę w ciało Elgars. Dziwne wspomnienia, jakie u niej rejestrujemy, są odbiciem tego zabiegu. Ciężko jest pozbyć się wirusa z komputera, a co dopiero działać w mózgu człowieka.

- A więc twierdzi pani, że Annie Elgars jako osoba nie żyje? - spytał Mosovich. - Teraz to ktoś inny, tak?

- Coś w tym stylu, ale proszę mnie nie pytać o szczegóły. To zakrawa na debatę o duszach, a ja nie jestem teologiem, żeby rozprawić o naturze człowieka. Wiem tylko, że biologia ma wpływ na zachowanie człowieka; tyle dowiedli naukowcy. Nie wierzę w determinację osobowościową, ale Annie Elgars nie jest już sobą, podobnie jak nie stała się tym człowiekiem, którego wspomnienia „załadowano” do jej mózgu.

- A jak to się ma do fal alfa? - spytał Mueller.

- To trochę odmienna sprawa. Annie nie tylko ma czyjeś wspomnienia, ale także umiejętności. Uważamy, że niektóre z nich są integralną jej częścią, inne zaś zostały „nabyte” w trakcie transferu. Kiedy Annie napotyka nie znaną jej sytuację, musi przeszukać swój mózg, aby sprawdzić, czy wie, jak sobie z nią poradzić. To proces, z którego nie zdaje sobie sprawy, ale można mieć podejrzenia co do jego wpływu na jej osobowość i zachowanie.

- W porządku. Niewierny, kim ona jest - powiedział Mosovich. - Dla mnie ważna jest odpowiedź na pytanie, czy nadaje się na żołnierza. Potrzebujemy każdego, jaki wpadnie nam w ręce - Czy ona może służyć w wojsku?

- Może - odparła Richards. - Prawdę mówiąc, Annie została zaprogramowana tak, żeby być żołnierzem. Zna się na ładunkach wybuchowych, jest doskonałym snajperem. Jednym słowem, to urodzony żołnierz. Pozostaje jednak pytanie, kim jeszcze jest Annie Elgars.

* * *

Wendy nacisnęła przycisk otwierający drzwi. Te z cichym szumem odsunęły się, ukazując postacie w mundurach.

- Chodźmy do biura - powiedziała, kołysząc kwilącą Bamber.

Mueller rozejrzał się dookoła i rzucił z lekkim uśmieszkiem:

- Myślałem, że to jest pani biuro.

- Skończyłam pracę na dziś, więc możemy stąd iść. Czego panowie chcą?

- Przyszliśmy zobaczyć się z kapitan Elgars - wyjaśnił Mueller. - Ze zdjęcia wnioskuję, że to nie jest pani, ale bardzo mi miło panią poznać, panno...

- Cummings - odparła Wendy, uśmiechając się promiennie. - Wendy Cummings.

- Starszy sierżant Mueller. Jestem oczarowany. Czy kapitan Elgars może poświęcić nam chwilę uwagi? - spytał, krzywiąc się, kiedy małeństwo zaczęło głośno płakać.

- Jasne, zaraz ją zawołam. Proszę wejść.

Weszli do środka, omijając Kelly, która zaczęła na środku podłogi układać z klocków naturalnej wielkości tygrysa. Mueller spojrzął na Mosovicha i wzruszył ramionami. W pomieszczeniu panował harmider, ale hałas szybko umilkł, kiedy dzieci zauważyły żołnierzy. Chwilę później zebrały się wokół nich, spoglądając rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Jest pan prawdziwym żołnierzem? - spytała dziewczynka. Jej oczy były brązowe i wielkie jak spodki.

- Tak - odparł Mueller, siadając na ziemi, żeby znaleźć się na tej samej wysokości. - A ty jesteś prawdziwą małą dziewczynką?

Dziecko roześmiało się, a któryś z chłopców, ośmielony jej pytaniem, wskazał na broń i spytał:

- A to prawdziwa broń?

- Tak, ale jak jej dotkniesz, to ci przetrzępię skórę - powiedział Mosovich grobowym głosem.

- Karabiny nie są dla dzieci, synu - powiedział przyjaznym tonem Mueller. - Jak masz na imię?

- Nathan. Jak będę duży, też będę zabijał Posleenów.

- Bardzo dobrze - rzekł Mueller. - Ale żeby mieć duży karabin, musisz nauczyć się posługiwać małym. Jak będziesz jadł warzywa i urośniesz, zostaniesz żołnierzem. Wtedy będziesz mógł przez cały dzień walczyć.

- I nie zmęczy się? - spytała dziewczynka.

- Cóż... - Mueller rzucił rozbawione spojrzenie Mosovichowi. - Czasem może trochę się zadyszki.

- No, dzieci, czas na obiad - powiedziała Shari, wychodząc z zaplecza wraz z Wendy i Elgars. - Nie męczcie już panów, umyćcie ręce i grzecznie siadajcie.

- Jestem Annie Elgars - powiedziała blondynka, ignorując biegające wokół niej maluchy. Na rękach i policzku miała ślady zasypki.

- Pani kapitan, jestem starszy sierżant sztabowy Mosovich, a to starszy sierżant Mueller. - Mosovich przerwał na chwilę i zamyślił się. - Pani dowódca, pułkownik Cutprice, wysłał wiadomość do jednego z moich żołnierzy z poleceniem odnalezienia pani i wydostania z łap lekarzy. Nie wiem, czy pamięta pani Nicholisa, który był z panią na kursie snajperskim. Podczas ostatniej misji zdrowo oberwał, dlatego przyjechałem tutaj z Muellerem. I oto jesteśmy.

- Macie mnie wyciągnąć z łap konowałów?

- Czy możemy gdzieś spokojnie porozmawiać? - spytał Mosovich, spoglądając na dzieci, które wybiegły z łazienki. - Gdzieś, gdzie jest ciszej.

- Nie za bardzo - odarła Elgars. - W kuchni też panuje harmider, a do moich kwater jest dość daleko. Nie mogę tracić aż tyle czasu.

- Pani tutaj pracuje?

- Mniej więcej. Pomagam opiekować się dziećmi. Mam trzymać się Wendy w trakcie powrotu do zdrowia.

- No dobrze, zapytam prosto z mostu: jak się pani zapatruje na powrót do czynnej służby?

- Nie mogę się doczekać - odpowiedziała, mierzając go wzrokiem. - Mogę zrewanżować się pytaniem?

- Jasne.

- Jesteście tutaj po to, żeby mnie ocenić, prawda?

Mosovich przez chwilę milczał. Mógł odpowiedzieć dwojako: albo walnąć prawdę prosto z

mostu, albo dojść do niej okrężną drogą. Zdecydował się na to pierwsze rozwiązanie. Choć nie było idealne, wydawało się dobre.

- Myślę, że można to tak określić. Mam złożyć raport o pani stanie zdrowia i kondycji. Wiem, że to nie jest normalna procedura i że nie jestem psychologiem, ale jestem w wojsku już dosyć długo, znam się na ludziach i przełożeni ufają mojemu osądowi.

- Rozumiem. Szczerść za szczerść... Nie wiem, o co chodzi z tą rangą kapitana. Umiem strzelać i robić wiele innych rzeczy, ale nie wiem, co należy do obowiązków oficera. Mam straszne dziury w pamięci i nie potrafię sobie z nimi poradzić.

Mueller postukał Mosovicha w ramię i szepnął mu na ucho kilka słów. Ten najpierw się zdziwił, a potem uniósł dłoń i powiedział:

- Czy może nam pani na sekundkę wybaczyć?

Odeszli kilka kroków i zaczęli zawzięcie dyskutować. Mueller gwałtownie gestykułował, a Mosovich kręcił głową. Po chwili do Annie zbliżyła się Wendy, pytając, co jest grane.

- Sama nie wiem. Coś mi się zdaje, że to nie będzie mi się podobać.

Mosovich podszedł i obrzucił obie kobiety badawczym spojrzeniem. Chciał coś powiedzieć, ale zawahał się i obejrzał na kiwającego głową Muellera.

- Pani kapitan - zaczął wreszcie, uważnie dobierając słowa. - Nie sądzę, żebyśmy w tych warunkach byli w stanie poprawnie ocenić pani predyspozycje.

Elgars popatrzyła na niego nieruchomym spojrzeniem i dopiero po chwili odparła:

- Co pan sugeruje?

- Mueller zaproponował, żebyśmy we czwórkę wyszli na zewnątrz. Możemy skoczyć na obiad albo iść na strzelnicę, żeby sprawdzić, jak się pani czuje w innym miejscu niż... żłobek.

Jakby dla podkreślenia jego słów Shakeela zaczęła wyc jak mały upiór.

- Sierzancie Mosovich, czy pan proponuje podwójną randkę? - spytała Wendy.

- Nie, ale chcę mieć okazję do rozmowy w innym miejscu niż to.

- Hmmm. - Wendy nie była przekonana do tego pomysłu. Rozejrzała się dookoła i powiedziała: - Shari sama nie da sobie rady z dziećmi. Myślę, że Annie potrafi o siebie zadbać i nie stanie jej się krzywda, jeżeli pójdzie z wami.

- Dobra. - Mosovich wzruszył ramionami. - Ja nie widzę żadnego problemu.

- Poczekajcie - wtrąciła Elgars. - Wendy, kiedy ostatni raz byłaś na powierzchni?

- W listopadzie.

- Którego roku?

- Wydaje mi się, że dwa tysiące siódmego.

- Kiedy Shari miała choć chwilę przerwy?

- Sądzę, że ona siedzi tutaj od ewakuacji Fredericksburga. Ostatnim razem, kiedy ja byłam na górze, musiałam wziąć udział w procesie.

- W takim razie uważam, że wszyscy powinniśmy udać się na małą wycieczkę - powiedziała Elgars.

- I zabrać dzieci? - spytał Mosovich.

- Dobra - wtrącił Mueller. - To będzie dla pani kapitan sprawdzian odporności na stres.

- W porządku - zgodził się Mosovich. - Pomyśl tylko o moich nerwach. Będą do końca zszargane. Pojedziemy na górę, zjemy obiad we Franklin i zobaczymy, jak Annie daje sobie radę. Potem zdamy raport i poczekamy, co na to powie Cutprice.

- Mogę pomóc? - spytała Shari.

- No to mamy sprawę z głowy - roześmiała się Wendy.

- Nie rozumiem.

- Panowie muszą spędzić trochę czasu w towarzystwie Annie. Chcieli zaprosić i mnie, ale w końcu ustaliliśmy, że wszyscy pojedziemy na górę. W charakterze przyzwoitek - dodała żartem.

- Mamy jechać na powierzchnię? - spytała podenerwowana Shari.

- Tak, do Franklin. Tam jest takie jedno miejsce, które dość dobrze znam. W ośrodku wypoczynkowym znajdziemy sobie miły kącik i pogadamy.

- No, nie wiem... - szepnęła zmieszana opiekunka.

- Franklin nie cieszy się dobrą reputacją tutaj na dole - wyjaśniła Wendy, cichutko chichocząc.

- My też nie uważamy, że to wymarzony kurort, ale przynajmniej dają tam dobre jedzenie.

- Nie jestem przekonana.

- A ja tak. Od jak dawna tkwisz w tej dziurze? Pięć lat. Kiedy ostatni raz widziałaś słońce?

- Bardzo dawno temu - odparła szeptem. - Poza Billym mało które z nich w ogóle pamięta o jego istnieniu.

- Pojadą z nami żołnierze. Nic nam się nie stanie. Dzieci będą miały okazję zobaczyć, jak wygląda prawdziwy świat. To chyba nie jest zły pomysł?

- Od jakiegoś czasu nie zarejestrowaliśmy w okolicy żadnej aktywności Posleenów. W pobliżu Clarkesville jest baza ich dość dziwnej formacji, ale nie zapuszczają się w te rejony. No chyba że ganiają się z nami po okolicznych wzgórzach. Jak powiedziała Wendy, to całkiem dobry pomysł.

* * *

- Zupełnie wyrosłeś z tego ubranka, Billy - powiedziała Shari, zapinając kurtkę dziecka. Wendy przypięła broń do pasa.

- To nie do wiary - wyszeptła, patrząc na półautomatyczny karabin 7.62 z granatnikiem kalibru 20 mm. Ten egzemplarz dostosowano do wymagań właściciela, dodając laserowy celownik.

Ale teraz go nie było.

- Gdzie jest mój celownik? - spytała, oglądając zardzewiałą lufę. - Co się stało z trzema magazynkami i zapasową amunicją? To było dobre trzysta kul. Gdzie się to wszystko podziało?

Zbrojmistrz popatrzył na nią i wzruszył ramionami.

- Nie ma.

- Jak to, kurwa, nie ma? Jak mam strzelać z pieprzonego karabinu, kiedy nie mam do niego amunicji i celownika, co? Czytałeś przepisy, durniu, odpowiadasz za powierzony sprzęt!

- Daj spokój Wendy - powiedział Mosovich, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Nie ma, to nie ma. Celownik sprzedali albo ukradli, a amunicję wystrzelali. Twój pistolet nie był od roku używany.

- Jak chcesz stąd wyjść w jednym kawałku, to się porządnie zachowuj, cwaniaczku - burknął zbrojmistrz.

Mueller pochylił się, dotykając nosem do szyby, uśmiechnął się, a potem wrzasnął:

- Hej! - Strażnik podskoczył ze strachu, a Mueller zarechotał i wyjął z kieszeni na piersi C-4, po czym zaczął przetrząsać resztę zakamarków w mundurze, mamrocząc pod nosem:

- Detonator... detonator.

Mosovich uśmiechnął się szeroko i spytał:

- Otworzysz te drzwi czy mam ci pomóc?

Stalowe wrota rozsunęły się.

- Dziękuję, ci synu - rzucił Mosovich. - Na wypadek, gdybyś coś kombinował, pamiętaj, że zapewne jeszcze tu wrócimy i spuścimy ci łomot.

- Miłego dnia - dodał Mueller. Wziął Kelly za rękę i wyszedł z nią na zewnątrz.

- Nie mogę uwierzyć - powiedziała Wendy. - Kiedy go oddawałam na przechowanie, był jak

nowy. Naoliwiony i wyczyszczony, jak z fabryki.

- Wątpię, żeby ten pistolet w ogóle działał. Są cholernie wrażliwe na rdzę, zwłaszcza mechanizm spustowy.

- Nie martw się. Nie wydaje mi się, żeby zaraz po wyjściu obskoczyli nas Posleeni.

- Słyszeliśmy, że wszędzie się kręca - powiedziała nerwowo Shari, kiedy zbliżali się do windy. - Podobno dzień w dzień giną ludzie.

Kiedy wszyscy weszli do windy, Mueller nacisnął przycisk aktywujący. Kabina była ogromna, mogła pomieścić wojskowy ciągnik.

- Wydaje mi się - rzekł - że dziennie ginie trzech albo czterech ludzi, kiedy dorwą ich dzicy. Wiesz, ile osób straciło życie w wypadkach samochodowych przed wojną?

- Racja. - Mosovich pokiwał głową. - Pomijając straty wojenne, śmiertelność w Stanach spadła na łeb, na szyję.

- Długo będziemy jechać? - spytała Elgars.

- Och, zapomniałem, że pani nie pamięta, jak się tutaj dostała. W jednym szybie jest kilka wind, żeby uchodźcy mogli w miarę szybko dostać się na dół. Kiedy jedna zjeżdża na dół, druga jedzie w górę. Raz zdarzyło mi się utknąć w szybie. To nie było miłe uczucie. O czym to mówiliśmy?

- O śmiertelności - przypomniała Shari.

- Prawdę mówiąc, nie spadła aż tak bardzo. Straty wojenne są dość duże.

- Ilu ludzi zginęło?

- Sześćdziesiąt dwa miliony w samych Stanach Zjednoczonych. Są to straty w wojskowych, nie licząc cywilów. W porównaniu z Chinami czy Indiami i tak są niewielkie.

- Możesz powtórzyć? - wyszeptała Shari.

- Sześćdziesiąt dwa miliony. Tyle liczyły siły obrony Ziemi i ekspedycyjne. W ciągu ostatnich pięciu lat armia traciła trzech ludzi na jedno stanowisko. Amerykanie stanowili czterdzieści procent sił ekspedycyjnych. W najgorszym momencie straty wynosiły dwanaście milionów, z czego połowa w wyniku starć z Posleenami.

- Na szczęście statystyki zaczynają się zmieniać - powiedział Mosovich. - Mamy coraz mniej lądowań, na przykład w zeszłym roku było tylko jedno w Salt Lake City.

- Słyszeliśmy o nim, ale nie mówiono zbyt wiele.

- Nic dziwnego, nikt nie chciał chwalić się stratami rzędu czterdziestu milionów cywilów. Trzeba wziąć pod uwagę, że liczba mężczyzn w wieku poborowym gwałtownie spadła... Wykrwawiliśmy się. Nawet odmładzając starszych, nie jesteśmy w stanie wiele zrobić. Co innego szkolić osiemnastolatka, który nigdy nie miał broni w ręku, a co innego pięćdziesięcioletniego faceta. Ale w gruncie rzeczy ci drudzy są lepszymi żołnierzami. Młodzi pragną zostać bohaterami i mieć rwanie, a staruszkowie chcą przeżyć i nacieszyć się odzyskaną młodością.

- To kolejny dowód, że brak kobiecych oddziałów jest idiotyzmem - wtrąciła Wendy. - Wiem, że mogę polegać na dzielnych żołnierzach, ale nie chcę tego robić.

- Nie majstruj przy tej broni, bo jeszcze bardziej ją zepsujesz ~ roześmiał się Mosovich. - Ja też nie zgadzam się z polityką trzymania kobiet z dala od frontu, ale mało kto ma teraz siłę zmieniać ten stan rzeczy.

Winda stanęła i wysiedli. Znaleźli się w betonowym pomieszczeniu szerokim na pięćdziesiąt metrów i długim na sto, którego podłoga pokreślona była czarnymi liniami. Ściany pokrywał ciemny osad, a od strony wyjścia ciągnęła lekka bryza. W połowie drogi do otworu wyjściowego znajdowały się niewielkie bunkry. Idąc obok nich, zobaczyli, że linie na podłodze są wytarte, a w pomieszczeniach piętczą się stosy odpadków.

- Wydaje mi się, że wiem, dlaczego kobiet nie dopuszcza się do regularnej służby - mówił dalej Mosovich. - Ale obawiam się, że nie spodoba ci się to, co usłyszysz.

- Przywykłam - powiedziała Wendy. - Moje życie składa się z rzeczy, których nienawidzę.

- Chodzi o straty, które w przypadku kobiet są podwójne. Straciliśmy osiemdziesiąt procent mężczyzn w wieku poborowym i reprodukcyjnym, natomiast kobiet zginęło zaledwie trzydzieści procent całej ich populacji.

- Jesteśmy samicami rozplodowymi?

- Tak. Ktoś na górze pomyślał, że będzie cholernie źle, kiedy po zwycięskiej wojnie pozostanie tylko kilka starych kobiet i dzieci, które będą miały zapewnić gatunkowi przetrwanie.

- Ale do tanga trzeba dwojga - powiedziała Shari, poprawiając płaszczyk Shakeeli. W porównaniu z wnętrzem miasta, w hali było dosyć zimno. Jesień zadomowiła się na górze na dobre.

- On ma rację, choć może wam to się nie podobać - wtrącił Mueller. - Ale to tylko część historii. W pierwszych walkach ponieśliśmy ogromne straty. Straty w kobietach i mężczyznach były równe, przy czym skuteczność bojowa kobiet wynosiła trzydzieści procent normy. Czytałem raport o pani kapitan i jej dokonaniach pod pomnikiem. Dzielnie się spisała, ale gdyby nie Keren, nie wyszłaby z tego żywa. Tak samo twoje doświadczenia z odwrotu spod Dale City mogą być przykładem na poparcie tej tezy.

- Kim jest Keren? - spytała Elgars. - I co w ogóle miał pan na myśli?

- Keren jest kapitanem Dziesięciu Tysięcy - wyjaśnił Mueller, kiedy dotarli do dwóch par masywnych drzwi. Pomiędzy nimi znajdowało się niewielkie pomieszczenie służące jako śluza powietrzna. - Był dowódcą plutonu moździerzy, który znajdował się niedaleko pani pozycji. Zabrał panią ze sobą i całą drogę do monumentu przebyliście razem.

- Została pani porzucona przez oddział - dodał Mosovich, wchodząc na szerokie schody prowadzące do wyjścia. Wzdłuż ściany biegła galeryjka kończąca się przy samych wrotach. Można było dostać się z niej na niewielkie betonowe umocnienia. Po drugiej stronie wrót znajdował się ogromny parking zastawiony przerdzewiałymi, obrośniętymi chwastami samochodami. Wśród nich wyróżniał się stojący pod osłoną drzew humvee.

- To się często zdarzało w mieszanych oddziałach. Niektóre z nich wracały do bazy ze stratami równymi stu procentom kobiet, podczas gdy mężczyźni ginęli mniej więcej sześćdziesiąt procent.

- No a poza tym pani sytuacja była fatalna.

- Czemu? - spytała ostrożnie Annie, wyczuwając, że najgorsze dopiero przed nią.

- Cóż... Została pani... zgwałcona i ograbiona z broni. Zostawili pani jeden magazynek i pistolet.

- Dranie - odparła dziwnie beznamiętnym tonem Elgars.

- Chcesz powiedzieć, że nie chcą mnie w wojsku dlatego, że podczas odwrotu ktoś może mnie zgwałcić? - spytała rozwścieczona Wendy. - Powinni nie wpuszczać takich zwierząt do Podmieść!

- Dlatego tak wzbraniałaś się przed powrotem na powierzchnię? - spytał poważnym tonem Mosovich. - Wybacz, że pytam, ale jeśli podasz mi nazwę oddziału, mogę wszcząć dochodzenie.

- Już zeznawałam w tej sprawie - odparła Wendy i zatrzymała się, spoglądając na migoczące w oddali światła miasta.

Franklin było niewielkim, ale uroczym miasteczkiem położonym na wzgórzach. Ludność zajmowała się głównie handlem z lokalnymi farmerami i emerytami z Florydy, którzy porzucili swoje domy, szukając wytchnienia od dotychczasowego życia.

Zmienne koleje wojny uczyniły z tej miejsciny ważny ośrodek wsparcia wojsk w południowych Appalachach. Oddziały stacjonujące w Asheville i Ellijay były zależne od dostaw żywności z Franklin.

Miasto otoczone było przez ciągnące się aż po horyzont wojskowe obozy. Jedynymi przejawami „normalności” były budynek poczty i sklepik z odzieżą, reszta miasta została całkowicie zmilitaryzowana.

- Kiedy Podmieście zostało tutaj umiejscowione - rzekła Wendy - każdy mógł do niego wejść i wyjść. Z początku wydawało się, że to dobry pomysł. Większość wojskowych to mężczyźni, a pod ziemią mieszkały same kobiety, więc jakoś wszystko grało. Tyle że potem coś uległo zmianie.

- Większość kobiet była samotna - podjęła Shari - więc skończyło się tak, że część żołnierzy zamieszkała u nas. Zaczął się handel na czarno, można było dostać nawet kawę... Straż Podmieścia nie była wystarczająco liczna, żeby radzić sobie z żołnierzami, a ci napuszczali na nich żandarmerię, która zawsze była chętna do bitki. Skończyło się czymś, co można by nazwać najazdem na miasto. Były zamieszki i grabieże, połączone z masowymi gwałtami. Udało mi się uciec z Davem na strzelnicę i jakoś się obroniliśmy.

- Mnie też nic się nie stało. Opiekowałam się kilkoma chłopcami, którzy widzieli, jak zaczęły się rozruchy - dodała Shari.

- Inni nie mieli tyle szczęścia... Dlatego nie lubimy żołnierzy w Podmieściu i nie mają wstępu na dół.

- Chyba że mają wyraźne rozkazy - zauważył Mueller.

- Chyba że mają skierowanie podpisane przez odpowiednio ważną szychę - przytaknęła Wendy.

- Tak więc chłopcy siedzą na górze, dziewczęta na dole, i tylko czasem któraś wychodzi na górę, żeby...

- Zabawić się - dokończył za nią Mueller. - Nie obawiaj się, my jesteśmy całkiem mili.

- Nie boję się - odparł Wendy, bębniąc palcami po kolbie broni. - To dziwne, ale chętnie bym poszła do klubu i potańczyła...

Kwatera Główna Sił Naziemnych, Fort Knox, Kentucky,
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III
14: 53 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
czwartek, 24 września 2009

Generał Homer z kamienną twarzą przeglądał raport wywiadu, z którego wynikało, że Mosovich okazał się doskonałym obserwatorem i że nikt nie widział latających czołgów.

Z westchnieniem wyciągnął przekaźnik i wybrał wykres, który aż za często ostatnio oglądał. Były to wyliczenia zdolności bojowej sił zbrojnych USA, wyrażonej stosunkiem strat w ludziach do strat obcych oraz tempem rozmnażania się tych ostatnich i szybkością wzrostu ich populacji. Z danych wynikało, że za następne dwanaście miesięcy kolejne pokolenie centauroidów dojrzeje i uzbrojone po zęby zaleje cały świat. Wtedy sytuacja żołnierzy w Appalalach będzie nie do pozazdroszczenia. Nie potrzeba będzie cwanych Posleenów, żeby przełamać linie obrony, wystarczą zwykli.

Fakt, że pojawili się inteligentniejsi przeciwnicy, tylko dodawał sytuacji powagi.

Raport z Georgii rzeczywiście był niewesoły. Rabun uważano za jeden z najslabiej bronionych ludzkich przyczółków. Fortyfikacje, do tej pory niezbyt potrzebne, były w kiepskim stanie. Był tam co prawda jakiś saper, którego nazwisko wyleciało Homerowi z głowy, ale jedna jaskółka wiosny nie czyni.

Co gorsza, w Rabun był także Bernard, a to dawało Posleenom ogromną przewagę.

Co robić, co robić?

Najpierw wysłał rozkazy do Dziesięciu Tysięcy, nakazując mobilizację. Żołnierze potrzebowali odpoczynku, ale zaznają go na miejscu. Po powrocie z czterogodzinnej przepustki mieli się spakować i znowu ruszyć do walki. Cutprice, na ile Homer go znał, pewnie już siedzi na walizkach, ale nie zawadzi sprawdzić. Przez chwilę generał zastanawiał się nad wezwaniem piechoty mobilnej, ale znając O'Neala, ten popędziłby na złamanie karku do Georgii, Generał musi jakoś utrzymać całą sytuację w tajemnicy przed Mike'em i jednocześnie szybko przerzucić oddziały na południe. To niemożliwe. A może jednak nie? Sprawdził stan ilościowy transportowców banshee, które normalnie przewoziły nie kończące się dostawy pancerzy. Gdyby sytuacja okazała się kiepska, każe im przetransportować oddział O'Neala na zachód. Przy odrobinie szczęścia przyjdzie jakieś ostrzeżenie, zanim nastąpi uderzenie.

To da się zrobić natychmiast, a resztą niech się martwi sztab. Może oni znajdą jakieś ukryte rezerwy. Homer zauważył, że jedno z dział SheVa jest osiągalne. Choć pojazdy nie poruszają się szybko, mogłyby być przydatne w obronie. Z informacji wynikało, że działko jedzie do Chattanooga.

Już nie.

* * *

Mosovich spojrzał na fasadę budynku. Chyba kiedyś już jadł w tej restauracji.

Teraz knajpka zamieniła się w zwykły bar, którego głównym celem działalności było wyciąganie od żołnierzy całego żołdu.

We wnętrzu panował okropny tłok. Żołnierze, w większości uzbrojeni, mieli już zdrowo w czubach. Pomiedzy nimi przeciskały się obsługujące ich kelnerki.

Kiedy podeszli do drzwi, wytoczył się z nich nie ogolony żołdak z dystynkcjami sierżanta. Wspierał się na ramieniu młodej dziewczyny, która ledwie była w stanie go podtrzymać. Kiedy promienie słońca poraziły go w oczy, skrzywił się, a potem chwycił towarzyszkę za biust i zaczął się

do niej przymilać.

- Kiepski pomysł - powiedział Mosovich.

- Racja - przytaknęła Wendy. - Znacie jakieś inne miejsce?

- Jedno - odparł sierżant. - Nie wiem tylko, czy wam się spodoba. - Przyjechali tutaj upchnięci w humvee jak śledzie w puszcze. Podróż gdzieś dalej nie wchodziła w grę, zwłaszcza że powoli zapadał jesienny zmrok, a dzieci nie były odpowiednio ubrane na taką eskapadę. - Jak pani się czuje, pani kapitan?

- Chyba dobrze... - odparła Elgars, rozglądając się niepewnie wokół. - Liczba ludzi... uzbrojonych ludzi jest... zatrważająca.

- To nic dziwnego, że czujesz się zaniepokojona - rzekł Jake. - W takich miejscach jak to nieraz dochodzi do strzelaniny. Franklin na szczęście jest wyjątkiem i panuje tutaj spokój. Możemy poszukać jakiegoś cichego miejsca, gdzie można coś zjeść. Tylko nie wiem, Czy to ma sens.

Zapatrzył się na słońce, ciesząc się jego ciepłymi promieniami na twarzy.

- Ufa mi pani, Wendy?

Obdarzyła go spokojnym spojrzeniem i odparła:

- Tak, chociaż to dość dziwne pytanie. Zadał je pan z jakiegoś konkretnego powodu?

- W okolicy jest farma, na której mieszka mój znajomy. Ma wnuczkę w wieku Billy'ego. Będzie szczęśliwy, jeśli choć na kilka godzin wyrwiemy go z samotności. Pomyślałem sobie, że możemy tam pojechać i przenocować.

- To dobry pomysł - odparła Wendy, spoglądając na Shari.

- Racja, musimy znaleźć jakiś ciepły i suchy ką, zanim się ściemni.

- To nie problem. Jedyne kłopot to powrót do Podmieścia. Myślę, że staruszek będzie miał trochę ubranek dla dzieci, którymi chętnie się podzieli, bo wasze maluchy są najgorzej ubranymi dziećmiakami na świecie.

- Mamy tylko to, co przywieźliśmy ze sobą - powiedziała cicho Shari. - Billy chodzi ubrany w kurtkę, którą dla niego pożyczyłam kilka lat temu. Większość dzieci nie miała niczego, zanim trafiła do żłobka.

Jak na komendę Kelly wyciągnęła ręce do Shari i powiedziała płaczącym tonem:

- Mamusiu, jestem głodna.

- Czas na decyzję: albo jedziemy na farmę, albo wracamy pod ziemię.

- Nie mam ochoty znowu kryć się w tej norze - powiedziała nagle Elgars. - Lubię świeże powietrze.

- Ja też - przyznała Shari. - Tęskniłam za niebem i wiatrem. Jeśli jesteś pewien, że twój przyjaciel nie przegoni pięciorga dorosłych i ósemki dzieciaków, spróbujmy u niego przenocować.

- Mogę za niego ręczyć. Ten człowiek wszystko potrafi.

* * *

Michael O'Neal Senior wyciągnął papierosa z paczki i zmarszczył brwi. Minęło już kilka lat od pewnych bardzo ciekawych wydarzeń, które skłoniły go do ulepszenia systemu bezpieczeństwa na farmie. Jednym z owych usprawnień był system kamer podłączonych do serwera komputerowego, który transmitował na monitor obraz okolicznego terenu. Widok wojskowego humvee, za którego kierownicą siedział Mosovich, bardzo starszego pana zdziwił. Niby nic dziwnego, w sumie Jake często go odwiedzał w ciągu ostatnich kilku lat, jednak uważna obserwacja pozwoliła stwierdzić, iż we wnętrzu pojazdu znajduje się więcej osób.

O'Neal zasepił się. Był człowiekiem średniej postury, jednak roztaczał wokół siebie aurę pewności i siły. Zdawać się mogło, że nawet buldożer nie byłby w stanie go wywrócić. Ramiona

miał silne, choć nieco za długie w stosunku do ciała, a nogi krzywe, przez co wyglądał jak goryl.

Ponownie dotknął manetki sterującej kamerą, koncentrując jej obraz na kierowcy. Jake siedział za kółkiem, a miejsce obok niego zajmował jakiś mężczyzna, najprawdopodobniej Mueller, O dziwo, na jego kolanach siedziała dwójka maluchów, a z tyłu, jeśli starego O'Neala nie mylił wzrok, kobieta, która także opiekowała się gromadką maleństw. Dziwna kompania. Ale czyż nie o taką właśnie wizytę modlił się przez ostatnie miesiące? Najwidoczniej Bóg w niebiosach go wysłuchał.

Kiedy nacisnął przycisk otwierający bramę, u góry schodów dał się słyszeć pełen wściekłości krzyk.

- Gdzie są moje narzędzia?!

Cally wreszcie znalazła coś, na czym mogła wylądować swoją złość.

- Patrzyłaś na biurku?

- Nawet nie próbuj mówić do mnie tym tonem, ty stary capie! - padła pełna wściekłości odpowiedź. - Oczywiście, że patrzyłam na biurku.

Czas uciekać z domu, pomyślał. Byle dotrzeć do drzwi, zanim Cally zejdzie na dół.

- Przed chwilą ich tutaj nie było! - powiedziała, ciężko dysząc i wymachując owiniętymi w szmatki narzędziami jak bronią. Dziewczyna była wzrostu dziadka, miała długie włosy i zgrabne nogi. Najbardziej jednak zwracały uwagę jej błękitne oczy. Dziadek często żartował, że to dar od Boga, iż urodę odziedziczyła po matce, a nie po ojcu. Jednak to właśnie przez tę urodę, a także kilku niedoszłych adoratorów oraz młody wiek dziewczyny na płocie wisiała tabliczka „Intruzom grozi śmierć”.

- Cally - powiedział Papcio O'Neal. - Uspokój się. Znalazłaś narzędzia, to...

- Nawet nie próbuj mówić, że to przez hormony!

- Zamierzałem powiedzieć, że będziemy mieli gości. Mosovich wiezie tutaj gromadkę kobiet i dzieci.

- Uchodźcy? - spytała zatroskana, odkładając narzędzia do czyszczenia broni i podchodząc do monitora.

- Nie sądzę - odparł O'Neal, ruszając ku drzwiom. - Myślę, że to po prostu goście.

- Rozumiem - mruknęła, odbezpieczając bezwiednie broń. - Zaczekam w środku.

- Po prostu postępuj według procedur i... nie wychodź przed szereg.

- Jasne - mruknęła z zakłopotanym wyrazem twarzy. - Czy ja kiedykolwiek wychodziłam przed szereg?

* * *

- Jezu Chryste, kto to jest? - spytał Mueller.

- To stary Mike O'Neal - wyjaśnił Mosovich. - Poznałem go jakiś czas temu w miejscu, które nazywaliśmy Piekłem.

- Nie chodzi mi o niego - odparł Mueller, pokazując na werandę. - Dziewczyna.

Mosovich rzucił przeciągłe spojrzenie i kiwnął z uznaniem głową

- Ładna, ale ona ma dopiero dwanaście... może trzynaście lat. Jest za młoda dla ciebie, nawet według prawodawstwa Północnej Karoliny.

- Zalewasz. Musi mieć koło siedemnastu lat.

- Ani trochę, stary. I lepiej trzymaj gębę na kłódkę, jeśli chcesz żyć. Jeżeli O'Neal nie zabije cię za takie gadanie, ja to zrobię. Jeślibyś jakimś cudem przeżył, to ona cię wykończy. Nie ma na to dowodów, ale podobno kilku jej absztyfikantów już wacha kwiatki od spodu. Co najważniejsze, jej ojcem jest „Żelazny” Mike O'Neal z piechoty mobilnej. A musisz wiedzieć, że jest on także twoim zwierzchnikiem i może dokonać polowej egzekucji, jeśli uzna to za stosowne. Czy krótka randka z

Cally O'Neal warta jest narażania się na potrójny zgon? Dlatego żadnego puszczenia oczek i umizgów, rozumiano?

- Bez najmniejszych problemów, Jake - odparł ze śmiechem Mueller. - Ale i tak muszę obejrzeć jej dowód albo identyfikator, bo nie uwierzę, że ma mniej niż osiemnaście lat.

- Przepraszam za tę sceną - rzucił przez ramię Mosovich.

- Nie ma za co - odparła Elgars. - To profesjonalny ochrzan podwładnego. Muszę się tego nauczyć, skoro jestem kapitanem, prawda?

- Właśnie. - Mosovich zaczerpnął tchu i powoli wypuścił powietrze z płuc.

* * *

- Co tam się dzieje? - spytała Cally.

- Nic specjalnego, ktoś dostał ochrzan - odparł Papa O'Neal. Mikrofon, do którego mówił, był ukryty za kołnierzykiem koszuli, a słuchawka bezpiecznie tkwiła w uchu.

O'Neal służył w wojsku od początku świata albo od wojny w Wietnamie, zależnie od tego, co było pierwsze. Nie oznaczało to jednak, że nie starał się być na czasie. Systemy obronne farmy zasługiwały na miano sztuki, a ich podstawę stanowiły aparaty stosowane jedynie przez Flotę. Cóż, kiedy się pilnuje córki żywej legendy, trzeba zastosować wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa.

Teren wokół domu naszpikowany był minami, czujnikami i kamerami, a sama posiadłość bardziej przypominała twierdzę niż dom. Te wszystkie zabezpieczenia były powodem do żartów i zabawnych sytuacji, zwłaszcza gdy O'Neala odwiedzali przyjaciele. Kiedy jeszcze mieszkali w okolicy, stary O'Neal wydawał przyjęcia. To, co się na nich działo, przeszło do lokalnej legendy, a od czasu do czasu gospodarz w żartach straszyl ujawnieniem taśm z nagraniami.

Ale przyjaciele odeszli. Większość z nich po zabiegach odmładzających rozproszyła się na różnych polach bitew, broniąc Stanów przed barbarzyńskim najazdem obcych. Na miejscu pozostał tylko Papa Mike, którego rząd nie uznał za godnego ponownego powołania do służby.

Choć O'Neala gryzło to, że został w domu, dostrzegał też pozytywne strony tej sytuacji. Mógł pilnować farmy i swojej wnuczki.

- O co mogło im pójść? - spytała zaciekawiona Cally.

- Pewnie ten twardziel wpadł na pomysł zawarcia bliższej znajomości z tobą.

- I co z tego?

Panie mój w niebiosach, pomyślał O'Neal, dlaczego nie mogłem polec gdzieś chwalebną śmiercią zamiast być torturowany przez kobiety?

* * *

Wendy rozejrzała się dookoła, pomagając Susie wysiąść z pojazdu.

Farma była niewielka i położona w głębokiej dolinie, z dala od głównej drogi do Rabun Gap. Stoki były łagodne i porastały je gęste lasy. Przez dolinę przepływał wartki strumyczek. Dom O'Neala miał dwie kondygnacje; zbudowano go z drewna i kamieni. Weranda wychodziła na północ, gdzie rozciągały się pola. Z jednego z nich niedawno zebrano kukurydzę, na drugim dojrzewało jakieś zboże, a pozostałe były nie używane i teraz porastała je trawa przysypana liśćmi. Na wschodnim zboczu Wendy dostrzegła sad, a po przeciwnej stronie strzelnicę.

Dom przypominał małą twierdzę. Okna były niewielkich rozmiarów, głęboko osadzone w kamiennej części budynku. Nad werandą wznosił się balkon, który także przypominał fortyfikację: każdy, kto próbowałby szturmować główne drzwi, narażał się na ogień obrońców zgromadzonych na balkonie. Po zachodniej stronie domu, gdzie można by się spodziewać garażu, był okryty workami z piaskiem bunkier. Na jego szczycie umieszczono karabin maszynowy, który teraz wycelowany był w niebo. Przed wschodnim frontem budynku znajdował się sporych rozmiarów grill, którego niedawno

używano.

W końcu Wendy także wydostała się z ciasnego humvee. Mimo że był dopiero wczesny wieczór, na zewnątrz było bardzo zimno.

Dziewczyna zadrżała, ale nie z powodu przenikliwego chłodu. Miała nadzieję, że gospodarze okażą się mili.

* * *

Mosovich uściśnął dłoń starego O'Neala.

- Jestem na twojej łasce, przyjacielu.

- Goście są zawsze mile widziani pod moim dachem - odparł z ciepłym uśmiechem Mike. - Pod warunkiem, że nie próbują dobierać się do mojego skarbu albo są kobietami.

- Wiedziałem, że to powiesz - rzekł ze śmiechem Mosovich. - Ale to bardzo długa historia.

- Opowiesz mi ją przy kolacji. Zapraszam do środka. Jest zimno, a dzieci nie są odpowiednio ubrane.

* * *

Kiedy nieznajomi weszli do salonu, Cally po cichutku wycofała się do w głąb domu. Od tak dawna nie mieli gości, że teraz nie mogła przyzwyczać się do ich obecności. Coś ostrzegało ją przed niebezpieczeństwem, którego przecież nie było. Wreszcie weszła do salonu i obdarzyła nieznajomych słodkim uśmiechem. Stała wyprostowana, z lewą ręką opuszczoną, a prawą opartą na biodrze. Jej słodką tajemnicą był H&K tkwiący w kaburze na plecach. Wszystko będzie dobrze, bo jeśli nie, to krwawo rozprawi się z intruzami.

* * *

Jedno spojrzenie na Cally powiedziało O'Nealowi, że dziewczyna jest podminowana. Musi szybko załagodzić sytuację, żeby nie było ofiar.

- Sierzancie, czy przedstawiałem panu moją wnuczkę Cally? Reszty waszej gromady chyba jeszcze nie znamy?

Mosovich uśmiechnął się szeroko, a potem zaczął wszystkich po kolei przedstawiać.

- Nie znam chyba imion wszystkich dzieci...

- To Billy, Kelly, Susie, Shakeela, Amber, Nathan, Irenę i Shannon - wybawiła go z opresji Shari. - Dziękujemy za gościnę. Nie będziemy nadużywać pańskiej uprzejmości.

- Proszę darować sobie te głupstwa - odparł O'Neal, ściskając jej dłoń. - Po zmroku kręcą się po okolicy dzicy Posleeni, a chyba nie chcielibyśmy żebyście stali się ich posiłkiem. - Puścił jej dłoń i dodał lekko zakłopotany: - Nalegam, żebyście przenocowali pod moim dachem. Mamy sporo wolnych pokoi.

- Sama nie wiem... - mruknęła Shari i rzuciła Wendy bezradne spojrzenie.

- Nie jesteśmy przygotowani do biwaku, a nie chcemy nocować pod gołym niebem. Chętnie przyjmujemy pańską propozycję.

- To dobrze, bo mówię najzupełniej poważnie. Mamy sporo łóżek oraz zbędnych ubrań. Prawdę mówiąc, jestem przygotowany do obecności sporej grupki ludzi, więc... - Spojrzał na Shari i Wendy.

- Uczynią mi panie zaszczyt.

Shari popatrzyła na niego zdziwiona, ale kiwnęła głową na znak, że się zgadza.

- Bardzo chemie, jeżeli nie będziemy się narzucać.

- Ani trochę. - O'Neal wyraźnie się ucieszył. - W najmniejszym stopniu. Przenocujcie i zostańcie na śniadanie.

- Wspaniale - skwitowała Wendy, rozprostowując ramie, żeby ukryć schowaną pod pachą broń.

- Czy macie może jakiś zestaw do czyszczenia broni?

* * *

Cally przekrzywiła głowę, przyglądając się, jak Wendy wyciska smar z tubki.

- Uważam, że jesteś bardzo ładna.

- Dziękuję, ale to dotyczy raczej ciebie.

Siedziały w zbrojowni O'Nealów, próbując naprawić szkody, jakich doznała broń Wendy.

Pomieszczenie znajdowało się w piwnicy, było jednak wentylowane i ogrzewane.

Na zachodniej ścianie wisiały przyrządy ślusarskie, wiertła i szlifierki. Pod narzędziami ułożono sztabki różnych metali oraz pudełka z materiałami wybuchowymi. Nad nimi znajdowała się tabliczka z napisem „Zakaz palenia!”

Po przeciwnej stronie stały niebieskie beczki z odczynnikami chemicznymi. Wendy zamierzała wrzucić pistolet do tej z plakietką „Uwaga! Silny kwas”, ale ponieważ nie wiedziała, do czego używają go O'Nealowie, wołała wstrzymać się na chwilę.

Na północnej ścianie, wychodzącej na zbocze, przytwierdzonych było kilka wieszaków, a pośrodku były niewielkie drzwiczki z zamkiem cyfrowym.

Środek pomieszczenia zajmował duży stół, wokół którego siedzieli; Elgars, Wendy, Cally, Kelly i Shakeela. Billy z początku chciał zejść do nich, ale przestraszył się i wrócił na górę.

- Co masz na myśli? - spytała Cally.

- To, co mówię. Dziwi mnie, że nie ganią za tobą piętnastu chłopaków. Kiedy ja byłam w twoim wieku, to już się za mną oglądali.

Elgars rozłożyła pistolet na części i przysłuchiwała się rozmowie.

- Co to znaczy „mieć chłopaka”?

- Dobre pytanie - zachichotała Cally. - W okolicy nie ma żadnych chłopaków. Wszyscy się wyprowadzili. Bali się Posleenów, którzy są tuż za przełęczą. A patrząc na mojego tatę i dziadka, dochodzę do wniosku, że żołnierze wcale mnie nie interesują. Zresztą są dla mnie za starzy i myślą tylko o jednym.

- Tak - przytaknęła Wendy. - Mogłabym o rym napisać książkę. Na szczęście mam na nich tajną broń. Pokazuję zdjęcie mojego chłopaka i wtedy się odczepiają, a ci, którzy nadal się narzucają... No, mam na nich swoje metody.

- Ostatnio nie są już tacy niemili. Zwłaszcza odkąd postrzeliłam pewnego majora ze 103 dywizji.

- Żartujesz - roześmiała się Wendy.

- Ani trochę - odparła z powagą dziewczynka. - Ten stary tłusciuch łąził za mną po całym mieście. Musiałam przez niego zmienić walthera na H&K. W końcu zagnał mnie do kąta i próbował to i owo wymusić. Nie przyjmował do wiadomości mojej odmowy, więc postrzeliłam go w kolano. Próbowali oskarżyć mnie o morderstwo, ale dali sobie spokój po próbach na strzelnicy. Udowodniłam, że gdybym chciała, to bym go położyła trupem na miejscu. A ten cymbał chyba jeszcze gnije w więzieniu, odsiadując wyrok za gwałt. Odkąd Papa nie pozwala ludziom przyjeżdżać na farmę, mam zupełny spokój.

- Czemu zmieniłaś broń? - spytała Elgars.

- No bo walthera mi zatrzymali - odparła, wzruszając ramionami. - Poza tym mam już wreszcie dość duże dłonie, żeby chwycić H&K 7.62 zrobił tylko dziurę w kolanie tego grubasa. Gdybym miała H&K, rozniosłabym go na strzępy, Jak byłam w poprawczaku, wszyscy mnie pytali, czy widziałam leżące na ziemi fragmenty kości. Poprzysięgłam sobie już nigdy więcej nie używać tej broni.

Elgars roześmiała się głośno i klasnęła w dłonie. Kończyła właśnie rozkładać broń.

- Obawiam się, Wendy, że nic z niej nie będzie.

- Chyba masz rację - odparła z westchnieniem Cummings, oglądając lufę. - Jestem wkurzona, bo to był prezent od mojego chłopaka.

- Chyba nie będę w stanie szybko go naprawić - powiedziała Cally, oglądając pod światło granatnik. - Gdybym miała czas, mogłabym zrobić od nowa wszystkie ruchome części. Niestety, elektroniki nie mogę naprawić, bo zajęłoby to zbyt wiele czasu. Myślę, że trzeba go rozebrać na części. Nawet gdyby coś się z niego złożyło, to nie byłaby bezpieczna ani celna broń.

Wstała od stołu i podeszła do drzwiczek. Wystukała kod i otworzyła je, po czym zajrzała do środka.

- Może coś sobie stąd wybierzesz? Mamy kilka zbędnych sztuk broni.

- Dobry Boże! - zawołała Wendy, zaglądając dziewczynce przez ramię. Sejf okazał się sporym pomieszczeniem wydrążonym w zboczu wzgórza. Weszła do środka, a Cally zapaliła światło. - Chyba coś sobie znajdę - zachichotała.

W zbrojowni stały cztery stojaki z karabinami, które wystarczyłyby do wyekwipowania całego plutonu. Musiałyby składać się z bardzo wybrednych żołnierzy, żeby nie mogli niczego dla siebie znaleźć. Po lewej stronie stała ciężka broń: karabiny maszynowe, snajperskie barretty i kilka innych, bardzo do nich podobnych egzemplarzy. Na środkowej półce leżały strzelby myśliwskie i sztucery, zarówno wojskowe, jak i cywilne. Po prawej stronie na niewielkim stojaku znajdowały się pistolety maszynowe. Tylne ściany obwieszona była setkami pistoletów i noży. Na podłodze stały kartony z amunicją, wypełniające każdy metr wolnej powierzchni.

- Dobry Boże - powtórzyła Wendy. - To jest...

- Niesamowite? - dodała ze złośliwym uśmiechem Cally. - Z większości z nich nie strzelałam, a niektórych typów nawet nie znam. Federalni nie wiedzą, że mają pod nosem taki arsenał. Muszę pogadać z dziadkiem na ten temat. Tutaj jest standardowa broń, możesz coś z tego wybrać.

- To nie ma sensu - odparła Wendy. - Musiałabym zostawić to przy wejściu do Podmieścia.

- Wcale nie - wtrąciła Annie. - Ja mogą wnieść broń, a zaraz potem oddamy ją Danny'emu. Nauczysz się strzelać z niej na strzelnicy i nikt ci jej nie zepsuje.

- To jest myśl - przytaknęła Wendy. - Jesteś pewna, że chcesz tak zrobić?

Wyciągnęła krótką strzelbę i obejrzała ją w świetle lampy.

- Wziąłabym takie dwie.

- Steyr - powiedziała, kiwając głową Cally. - Dobry wybór. Prawdę mówiąc, ten należał kiedyś do mnie. Dam ci go pod jednym warunkiem.

- Jakim? - spytała zbity z tropu Wendy.

- Mam do ciebie kilka pytań. Takich... kobiecych. Muszę dowiedzieć się paru rzeczy.

- No cóż... Mężczyźni i kobiety są inaczej zbudowani, żeby mogli razem spłó...

- Nie, nie. O tym już wszystko wiem. Wystarczy, że dziadek sobie podpije i zacznie opowiadać, jak się bawił w Bangkoku. Na ten temat wiem już wszystko, co powinnam. Chodzi o coś innego.

- O co?

- Cóż... - Cally rozejrzała się wokoło, jakby szukając natchnienia w stojakach z bronią. Potem wyraźnie zmieszana spytała: - Jak się nakłada cień do powiek?

* * *

- Żartujesz! - krzyknęła Shari, wymachując kolbą kukurydzy. Tego wieczoru była szczęśliwa. Po raz pierwszy od dawna jadła świeżą kukurydzę. O'Neal musiał zastosować jakieś czary, była bowiem tak pyszna, jak nigdy dotąd.

- Mówię najzupełniej poważnie - odparł Mike. - Jak grabarz nad trumną... Ona nie ma żadnych

przyjaciółek, koleżanek, ciotek. Nikogo! Żadnej kobiety. Żyje tylko ze mną. To trochę dziwne, nie uważasz?

- Nie wyglądam jak goryl i dlatego uważa mnie za mięczaka? - narzekał Mosovich, myjąc pomidory. Papić O'Neal zaskakująco szybko zawarł z gośćmi znajomość, i teraz z wprawą typową dla wojskowej garkuchni szykował kolację. Biorąc pod uwagę, jak karmiono w Podmieściu i w wojsku, zapowiadała się prawdziwa uczta.

- Mike także go nie przypomina - powiedziała z oburzeniem Shari. - Więc chcesz, żebyśmy porozmawiały z nią o „babskich sprawach”, tak?

- No... no tak. Ja niewiele wiem o makijażu. Znam metody działania KGB i sposoby rozpoznawania agentów, ale to chyba nie ten typ wiedzy. Mam też książkę o higienie kobiet, ale chciałbym, żeby Cally robiła wszystko jak należy.

- Miała już pierwszą miesiączkę? - spytała Shari, wracając do obierania kukurydzy. Wyłuskała robaka i wyrzuciła go do kosza, w kolbach roiły się robaki, ale to pewnie dlatego, że były świeżo przyniesione z pola.

- Tak - odparł zmieszany O'Neal. - Powiedziałem jej w skrócie, co, jaki dlaczego.

- Była już u lekarza od kobiecych spraw?

- Nie.

- No to dlaczego jej tam nie zaprowadzisz? Niech porozmawia ze specjalistą.

- W okolicy nie ma ani jednego. Najbliższy mieszka kawałek stąd, ale to nie byłby problem, gdyby nie to, że na wizytę czeka się kilka miesięcy. Była u felczera, ale... skończyło się na rozmowie.

- To mężczyzna?

- Tak.

- Porozmawiam z nią.

- Ona ma trochę problemów z samokontrolą - powiedział ostrożnie Papa.

- Cóż, przechodzi bardzo ciężki okres - powiedziała Shari. - Kto z nas ich nie miał w jej wieku?

- Wyjdź za mnie i mi pomóż - rzucił niespodziewanie O'Neal. - Przepraszam, to był żart.

- Rozumiem - odparła z uśmiechem. - Przechodzę przez to samo z Billym, choć u niego objawia się to w trochę inny sposób.

- Mówisz o chłopczyku? O tym, który nigdy się nie odzywa?

- Tak. Pochodzi z Fredericksburga i przeżył tamtejszą masakrę. Wiem, że nas słyszy, uczy się, czasem daje jakieś znaki. Ale nigdy się nie odzywa. - Shari westchnęła. - Sama nie wiem, co mam robić.

- Wyślij go do klasztoru - zażartował Papa. - Tam się składa śluby milczenia, więc chłopak poczuje się jak w domu.

- To jedna z możliwości - rzekła chłodno Shari.

- Wybacz. To ta moja niewyparzona gęba. - O'Neal poważnie się zawstydził. - Ale prawdę mówiąc, znam kilku mnichów i wiem, że to dobrzy ludzie.

Zapadła cisza, a Papa popatrzył na mięso leżące na desce do krojenia.

- Ile jedzą małe dzieci? Pokroiłem już steki dla nas, ale nie wiem, jaką ilość przyszykować dla maluchów. Jedna taka porcja jak dla dorosłego wystarczy dla wszystkich?

- Raczej tak - odpowiedziała Shari. - Skąd bierzesz jedzenie?

- Żyjemy na farmie. - O'Neal uśmiechnął się. - Myślisz, że jak wybuchła wojna, to rzuciłem robotę? Poza tym jest pora żniw. Zabiłem krowę, a jutro chyba świnka pójdzie pod nóż, jeżeli zostanieie jeszcze jeden dzień.

- Zdecydujemy jutro rano, dobrze? - odparła z uśmiechem Shari;

*Żadne z nas bohaterzy, ani żadne gwardzisty czarne
Kawaleryśmy zwykle z koszarów, tak samo jak i wy zwyczajnie;
A gdy czasem nasze obejście nie tak gładkie jak wasze mundury
Cóż, kawalery z koszar to nie świętych gipsowe figury.*

Rudyard Kipling
Tommy

Obóz Newry, Newry, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

19: 28 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
czwartek, 24 września 2009

- To dopiero prawdziwy obóz - powiedział sierżant Pappas, wyglądając przez okno autobusu.

Przenoszenie jednostek pancerzy wspomaganym od samego początku stwarzało problemy. Spakowanie zbroi i wysłanie ich równało się rozbrowieniu żołnierzy, a większość z nich nie radziła sobie najlepiej bez skafandrów. Z kolei transport pancerzy z ludzką zawartością był trudny ze względów logistycznych; nawet z „wyłączonymi” pseudomięśniami pancerze niszczyły wszystkie normalne konstrukcje, kiedy dochodziło między nimi do kontaktu.

Ostatecznie do transportu jednostek przystosowano czterdziesto - pięcioosobowe szkolne autobusy. Siedzenia - gołe kątowniki - były wyjątkowo niewygodne dla każdego, kto nie miał pancerza. Ale miały jedną podstawową zaletę - mogły przetrwać nawet długą podróż z piechotą mobilną na pokładzie.

Jedynym ustępstwem na rzecz wygody były ruchome zagłówki. Pierwszą rzeczą, jaką z reguły robili żołnierze po zakończeniu akcji, było zdjęcie hełmów, i nawyk ten uwzględniono w czasie projektowania autobusu. Nawyk sam w sobie był zrozumiały: żołnierze spędzali niekiedy całe tygodnie w ciągłym kontakcie z Posleenami i po tak długim czasie w wirtualnym środowisku potrzeba odetchnięcia świeżym powietrzem i poczucia wiatru na twarzy była nie do odparcia.

Stewart oderwał głowę od zagłówka i spojrzał na zbliżającą się bramę.

- No, przy odrobinie szczęścia tutaj nie będziemy musieli się przedzierać.

- Stare dzieje - westchnął Pappas. Dawno temu, kiedy był jeszcze zwykłym sierżantem, przyprowadził ze sobą pluton świeżych rekrutów do bazy w Fort Indianatown Gap. Siły naziemne znajdowały się wtedy w stanie nie kontrolowanej anarchii i pluton musiał wkraść się do bazy, a potem przebić przez nią do swoich koszar. Kiedy już tam dotarli, odkryli, że miejscowy sierżant jest zaangażowany w czarnorynkowy handel, a może także morderstwo. Z pomocą p/o dowódcy kompanii ukrócili wybryki tego idioty i wprowadzili w swojej kompanii pozory porządku, dopóki nie przybyli - niemal równocześnie - O'Neal i nowy dowódca batalionu.

- Roanoke? - spytał Pappas.

- Harrisburg - poprawił go Stewart. - Byłem dowódcą drugiego plutonu.

- Rzeczywiście, Harrisburg - zgodził się po chwili Pappas. Dobrze pamiętał roztrzaskaną zbroję porucznika Arnolda. Chociaż jego pamięć była czasami aż za dobra, kiedy chodziło o bitwy, to nieistotne szczegóły, jak na przykład gdzie bitwa miała miejsce, zaczynały mu umykać. - Rakietka hiperszybka.

- Aha - zgodził się Stewart.

- Przestańcie wydziwiać - powiedział Duncan siedzący w rzędzie za nimi. Nachylił się do przodu, wskazując koszary i równo przystrzyżony plac defiladowy. - Zaczynamy życie garnizonowe.

Pora się urządzić i pociupciać, niekoniecznie w tej kolejności.

- O ile wszystko będzie tip-top, sir - zauważył Pappas. - Uwierzę, jak zobaczę. To są jednostki garnizonowe wysłane przez siły naziemne. Na podłodze koszar pewnie będzie pół metra piachu.

* * *

Okrzyk żandarma przy bramie brzmiał jak z oddali, a odpowiedź kierowcy jak z dna studni. Mike obrócił pole widzenia, żeby przyjrzeć się wymianie zdań.

Żandarm nie mógł wiedzieć, że jest obserwowany przez dowódcę batalionu; pancierz nie poruszył się, a hełm wciąż był zwrócony do przodu. Mimo to wykonywał wszystko zgodnie z regulaminem; sprawdził rozkazy kierowcy i ściągnął informacje z przekaźnika Mike'a. Kiedy upewnił się, że wszystko jest w porządku, cofnął się i zasalutował, czekając z opuszczeniem ręki, aż pojazd przejedzie.

Mike dotknął ramienia kierowcy, dając mu znak, żeby jeszcze nie ruszał, i dokładnie przyjrzał się żandarmowi. Jego wyposażenie bardzo dobrze wyglądało. Kabura służbowego pistoletu była z lakierowanej skóry, podobnie jak opaska na ramieniu, a jego mundur - wzór wciąż nazywany MarCam - był uszyty na miarę i wyprasowany.

Żołnierz był też świeżo ogolony, ostrzyżony i w dobrej kondycji. Fakt, że tu jechali, był wszystkim znany, ale aż do dziś Mike nie był pewien, kiedy dotrą na miejsce. A więc żołnierz albo szybko doprowadził się do porządku, albo dbał o siebie nawet wtedy, gdy „nie czuł kota”. Zastanowiwszy się chwilę, Mike uznał, że chodzi raczej o to drugie. Oddał salut i machnął ręką, kładąc kierowcy hunvee ruszać.

Żandarm musiał zgłosić ich przyjazd, bo kiedy konwój dotarł do kwater batalionu, na trawniku przed koszarami czekała już mała grupka oficerów i podoficerów.

Mike wygramolił się ostrożnie z siedzenia i podszedł do zebranych, odpowiadając od niechcienia na salut lekko otyłego kapitana, który wydawał się tu dowodzić.

- Majorze O'Neal - powiedział kapitan, skinąwszy głową. - Jestem kapitan Gray, pański adiutant. Nie spotkaliśmy się jeszcze, ale wymienialiśmy e-maile.

- Kapitanie - odparł O'Neal, zdejmując hełm i rozglądając się. Oprócz kapitana stał tu tylko jeden oficer - podporucznik. Kilku starszych podoficerów nie wyglądało na odmłodzonych. Mieli na sobie porządne mundury - też marcamowe zamiast jedwabnych, gdyż pełnili służebną rolę wobec Floty - i byli w dobrej kondycji. Generalnie wyglądali na całkiem porządne pierdoły z tyłów.

- Czy jest dla mnie przewidziana rola w tej małej ceremonii? - spytał Mike.

- To nie ceremonia, sir - odparł kapitan. - Pomyślałem, że będzie pan chciał poznać kilka osób. - Wskazał sierżanta stojącego w pierwszym szeregu. - Sierżant McConnel jest podoficerem zaopatrzeniowym batalionu. Właściwie jest zaopatrzeniowcem pułku...

- Ale skoro nie ma pułku, w którym mógłby być zaopatrzeniowcem... - dokończył Mike. - Dzień dobry, sierżancie. Macie przełożonego?

- Myślą, że pan nim jest - odparł sierżant. Był niski i otyły, ale sprawiał wrażenie cwaniaka: twardego, złośliwego i bardzo elastycznego. Jego bystre oczy czujnie obserwowały O'Neala.

- W tej chwili nie mam oficera zaopatrzeniowego - powiedział kapitan Gray. - Obiecywano nam go raz czy dwa, ale...

- Ale są inne miejsca, w których woli być oficer zaopatrzeniowy - znów dokończył O'Neal. Spojrzał na całą grupę i odchrząknął.

- Jestem pewien, że w ciągu najbliższych kilku tygodni bardzo dobrze się poznamy. Na razie wszystko zostaje tak, jak było do tej pory. Chciałbym, żebyście omówili z batalionowym starszym sierżantem sztabowym i sierżantami kompanii kwestie zakwaterowania. Żołnierze będą musieli

pobrać przydziały - ciągnął, spoglądając na sierżanta zaopatrzeniowca. - Przywieźliśmy ze sobą pancerze, które mamy na sobie, i właściwie nic poza tym.

- Pozwoliłem sobie sprawdzić wasze rozmiary - powiedział sierżant McConnel. - Wszyscy mają przydzielone pokoje i ścienne szafki. W szafkach są kompletne przydziały. Będą oczywiście musieli podpisać odbiór...

- Będziemy trzymali w gotowości drużynę do sprawdzania braków - powiedział kapitan Gray, przewidując następne pytanie O'Neala. - Mam nadzieję, że pana dowódcy uznają koszary za zdadne do użytku. W zeszłym tygodniu przeprowadziłem generalną inspekcję koszar Bravo i Charlie, i okazało się, że są w dobrym stanie. Są zupełnie nowe; jest kilka rzeczy, które o tym świadczą, a których nie byliśmy w stanie usunąć, na przykład farba na futrynach okien. Ale poza tym sądzę, że będzie pan zadowolony.

- Hmm - mruknął Mike, nie wiedząc, jak na to zareagować. - Tak jak powiedziałem, proszę skontaktować się ze starszym sierżantem sztabowym. - Przerwał i przez chwilę nad czymś myślał. - Czy oficerowie też dostają mundury z przydziału?

- Oficerowie oczywiście muszą kupić swoje mundury - powiedział sierżant McConnel - ale w kwaterach czekają tymczasowe mundury. Mogą też wybrać to, co chcą, i kupić, wydając polecenie swojemu przekaźnikowi. Mamy też mundury w waszych szafkach w Kostnicy.

Mike znów się rozejrzył i pokręcił głową, marszcząc brew.

- Powiedźcie mi, że nie jest tu tak idealnie, jak się wydaje. To znaczy...

- To znaczy, jakim cudem pierdoły z tyłów robią coś tak, jak należy, sir? - spytał sierżant McConnel ze złośliwym uśmiechem.

- Ja bym to chyba ujął bardziej delikatnie - zauważył O'Neal. Tymczasem nadszedł Pappas.

- Jestem pierdołą z tyłów, odkąd odszedłem z Delta Force, sir - powiedział sierżant - gdzie byłem... no nie, nie byłem pierdołą z tyłów. Powołano mnie na moje ostatnie stanowisko, którym jest zaopatrzenie. Po namyśle uznałem, że będę się tego trzymał. Swoje już przeszedłem. Ale, bez fałszywej skromności, jestem cholernie dobrym sierżantem zaopatrzenia.

- Wszystko w porządku, sir? - zahuczał Pappas.

- Nie zgadza się tylko to, że wszystko się zgadza - odparł O'Neal, potrząsając głową.

- Mieliśmy dużo czasu na przygotowania, sir - zauważył kapitan Gray.

- I go wykorzystaliście - zgodził się Mike. - A to jest rzadkością.

- Są tu także wasze uzupełnienia - powiedział Gray. - Czekają w koszarach, wydano im podstawowe oporządzenie. Dopasowali już sobie pancerze, a dowodzący nimi porucznik przeprowadził z nimi wstępne ćwiczenia.

- Co dostaliśmy, sir? - spytał Pappas, zdejmując hełm.

Oczy Graya spoczęły na czymś, co wyglądało jak obdarzona inteligencją woda lub srebrny ślimak i co zebrało się na głowie sierżanta, a potem wpełzło do zbroi i do hełmu.

- Eeee... Dostaliśmy czterech podoficerów i oficera z Dziesięciu Tysięcy oraz grupę szeregowych z innych jednostek sił naziemnych. Wszyscy mają pewne doświadczenie bojowe.

- Brzmi nieźle - powiedział Mike. - Sierżancie, ci panowie zaplanowali już całe zakwaterowanie. Proszę porozumieć się z nimi i przepuścić ludzi przez... - Przerwał i rozejrzył się. - Gdzie jest Kostnica? - spytał.

- W piwnicach koszar, sir - odparł kapitan Gray, wskazując na powiększone boczne wejścia do budynków.

- Super - rzekł O'Neal. - Dowódcy kompanii i sztab do kwatery batalionu, jak tylko przebiorą się w jedwabie. Żołnierze na kwatery, niech sprawdzą swoje przydziały. - Spojrzał na słońce,

kichnął i pokręcił głową. - Cholera. Shelly, która godzina?

- Tuż po czternastej, sir - odparł z wnętrza hełmu przekaźnik.

- O siedemnastej zero zero zbiórka wszystkich kompanii - ciągnął Mike. - Wszyscy mają być już w jedwabiach i stać na baczność. Potem kompanie mogą wypuścić ludzi na teren obozu, jeśli zechcą, ale nie mogą zwolnić ich z posterunku.

- Jasne - powiedział Pappas. - Ale wie pan, że jeśli będziemy za długo czekać, napięcie tylko się zwiększy?

- Wiem - odparł Mike z lekkim uśmiechem. - Ja też kiedyś byłem szeregowcem, sierżancie. Piątkowe wieczory... Dni wypłaty... Najpierw chcę poznać miejscowych i chociaż trochę ich przygotować. A potem niech się tam wdzierają choćby siłą.

* * *

- O rany - powiedział Mueller, odsuwając się od stołu. - Gdyby żołnierze w korpusie wiedzieli, że tak jesz, chyba wdarliby się tutaj siłą.

- Mogą spróbować - powiedziała Cally ze śmiechem - ale myślę, że zawróciliby już po pierwszej linii claymore'ów.

Papa O'Neal spojrział na niedojedzony stek Shari i zmarszczył brew.

- Wszystko w porządku?

- W porządku - odparła Shari ze słabym uśmiechem. - Po prostu nie zjadłam tyle mięsa przez cały ostatni miesiąc.

- No to powinnaś częściej wpadać - powiedział O'Neal, szturchając ją w ramię. - Jesteś chuda jak szczapa. Musimy cię trochę odkarmić.

- W Podmiesciu obie jemy tyle samo, a tylko ja mam problem ze zbiciem wagi - rzekła Wendy, wyskrobując resztki pieczonego ziemniaka. - Shari nigdy nie tyje.

- Och, kiedyś byłam na diecie. - Shari wytarła usta i odłożyła serwetkę na stół obok prawie pełnego talerza. - Ale jedzenie w Podmiesciu nie...

- Nie pomaga przybrać na wadze - dokończyła Elgars, wycierając chlebem sos. - Na masę mięśniową też jest do niczego, ma za mało protein. Nie mogę się do tego przyzwyczaić, cały czas czuję się tak, jakby ktoś mnie głodził.

- To jeden z powodów, dla których przestałam ćwiczyć - powiedziała Shari, sadzając sobie na kolanach najedzoną Kelly. Najmłodsza dwójka była już w łózkach, a pozostałe bawiły się po ciemku na dworze, pożyczwszy od O'Nealów ciepłe ubrania. Możliwość pobiegania i zabawy to była w Podmiesciu rzadka rzecz. - Tylko się męczyłam. Kiepskie jedzenie, opieka nad dziećmi... A nie miałam dokąd ich posłać; nigdzie nie byłyby bezpieczne, więc zawsze były przy mnie. - Przytuliła zaspaną Kelly i pogłaskała ją po policzku. - Nie o to chodzi, że miałam coś przeciwko temu, skarbie, ale przyjemnie jest czasami zrobić sobie przerwę.

- No, tu nie dostaniecie żadnego kiepskiego jedzenia - powiedział stanowczo Papa O'Neal. - I możecie odpocząć. Zostańcie jeszcze na jutrzejszy wieczór. Dopiero wtedy urządzimy sobie ucztę.

- Och, nie wiem - powiedziała Shari, odchylając się do tyłu na krześle. - Jest tyle do zrobienia...

- Nic, co by nie mogło poczekać - stwierdziła Wendy. - Żłobek to my. Nie musimy wracać.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Shari. - Dzieci są pod naszą opieką, ale nie jesteśmy ich prawnymi opiekunkami. To by było porwanie.

- Zgoda - przyznała jej rację Wendy. - Ale nie musimy wracać rano. Możemy zostać dłużej.

- A pan sierżant? - spytała Shari. - Przecież musi pan odprowadzić nas z powrotem, prawda?

- Nie - odpowiedział Mosovich. - Jeśli ktoś będzie nas potrzebował mogą do nas zadzwonić; do kwatery głównej korpusu mogę dojechać tak samo szybko stąd, jak i z moich koszar. I tak jesteśmy

na służbie; tak mówią rozkazy. A i jedzenie, i okolica bardziej mi się tutaj podoba - dokończył, mrugając do Wendy.

- No proszę. - Wendy pokazała mu język. - Wydaje mi się poza tym, że Annie jest lepiej tutaj niż w Podmieściu.

- Zgadza się - powiedziała Elgars. - Nie wiem, czy to jedzenie, czy powietrze, czy jeszcze coś innego. Ale po raz pierwszy czuję, że naprawdę... żyję.

- Cóż, jeśli nie nadużywamy gościnności... - próbowała zaprotestować po raz ostatni Shari.

- Gdybyście nadużywały gościnności, nie nalegałbym - wyszczerzył zęby w uśmiechu Papa O'Neal. - Nie mogę się doczekać, kiedy was odkarmię - ciągnął, szturchając ją w żebra. - Jesteś za chuda. Chuda, chuda, chuda.

- Szczerze mówiąc, brzmi to cudownie - powiedziała Shari, chichocząc i opędzając się od O'Neala. Złapała go za palce i puściła... ale nie za szybko.

- Przyjemnie tutaj - powiedziała Wendy z uśmiechem i przeciągnęła się. - Ale mieliśmy ciężki dzień. Powinniśmy już wszyscy iść do łóżka...

Mueller nagle się zakrztusił.

- Przepraszam - wysapał, szybko odwracając wzrok.

Wendy znieruchomiała i popatrzyła na niego spod w półprzymkniętych powiek.

- Chciałam powiedzieć „I nabrać sił na jutro”. Starszy sierżancie Mueller, czy pokazywałam panu zdjęcie mojego chłopaka?

* * *

- O rany - mruknęła kapitan Slight. - Musiał być największy w swojej klasie.

Sierżant Bogdanovich stłumiła parsknięcie. Bogdanovich - „Boggie” dla kilku wybranych weteranów batalionu - była niską, umięśnioną blondynką, której skóra po latach spędzonych w pancerzu była niemal przezroczysta. Służyła w batalionie od czasu jego chrztu bojowego, i zdawało się, że wszystko już widziała. Ale musiała przyznać, że po raz pierwszy widzi tak wielkiego faceta. Meldujący się u pani kapitan porucznik sprawiał wrażenie, jakby miał problem z przejściem przez drzwi bez schylania głowy. Miała nadzieję, że znajdzie się dla niego odpowiedni pancerz. Z drugiej strony porucznik robił wrażenie, jakby był w stanie przeżyć trafienie w nie osłoniętą pancerzem pierś hiperszybka rakietą.

- Sier... Porucznik Thomas Sunday Junior melduje się u oficera dowodzącego - powiedział, salutując.

Zastanawiała go pora tego spotkania. Większość kompanii dostała wolne; słyszał gwar, z jakim żołnierze zajmowali swoje kwatery. Ale oficerowie i podoficerowie najwyraźniej wciąż pracowali. Zauważył, że w Dziesięciu Tysiącach zazwyczaj tak było, w przeciwieństwie do jego pierwszej jednostki sił naziemnych, i nie był pewien, co to oznacza.

- Spocznij, poruczniku - powiedziała Slight. - To jest sierżant Bogdanovich. Później pozna pana z sierżantem pana plutonu. - Kapitan przerwała na chwilę. - Wygląda na to, że został pan niedawno awansowany...

- Tak jest, ma'am - przyznał Sunday. - Zostałem awansowany na porucznika mniej więcej pięć minut przed opuszczeniem Dziesięciu Tysięcy.

Slight uśmiechnęła się, a sierżant parsknęła śmiechem.

- Cóż, trzeba podziwiać tupet Cutprice'a. Kim pan był przed tym nagłym awansem? Podporucznikiem?

- Nie, ma'am - odpowiedział Sunday, marszcząc brew. - Byłem starszym plutonowym.

- Hmm. - Slight również zmarszczyła czoło. - Muszę zastanowić się nad tym. Jak sądzę,

chciano w ten sposób dać nam do zrozumienia, że będzie z pana dobry dowódca plutonu piechoty mobilnej. Co pan o tym sądzi?

- Z całym szacunkiem, niezbyt mi się to podoba, ma'am - przyznał Sunday. - Porucznicy nie mają okazji zabijać Posleenów. A ja chciałem przenieść się do pancerzy, żeby ich zabijać, a nie siedzieć na tyłach i ustalać pole ostrzału. Poza tym... bycie plutonowym Floty albo sił naziemnych ma pewne zalety, których... których się nie ma jako porucznik.

- Powiem panu, co zrobimy, poruczniku - powiedziała kapitan z lekkim uśmiechem. - Na razie zostawimy pana na stanowisku dowódcy plutonu. Jeśli dojdziemy do wniosku, że to nie dla pana, przesuniemy pana z powrotem na plutonowego bez wzajemnych uraz. W siłach uderzeniowych Floty bez przerwy przesuwa się tak ludzi i nie ma to praktycznie wpływu na ich akta. Co pan na to?

- Jak pani uważa, ma'am - zahuczał Sunday.

- Przedstawił się pan już dowódcy batalionu? - spytała. - Chce osobiście poznać wszystkich nowych oficerów.

- Nie, ma'am. Dostałem rozkaz zameldowania się najpierw u dowódcy kompanii.

- W porządku. Przekażnik?

- Major O'Neal jest w swoim gabinecie, przegląda harmonogram treningu - odezwał się natychmiast przekaznik. W przeciwieństwie do wszystkich tych, które Sunday słyszał, mówił niskim męskim barytonem. - Jego przekaznik twierdzi, że major będzie się cieszył, jeśli ktoś mu przeszkodzi.

* * *

Mike skinął Sundayowi głową.

- Spocznij, poruczniku - powiedział i jego stały grymas zmienił się w uśmiech. - Niech pan siada.

Gabinet był mały, mniejszy niż dowódcy kompanii, i tak samo niemal zupełnie goły. Za majorem stał na stołku szeregowiec z rezerwy i malował na ścianie grubym gotyckim pismem motto. Na razie doszedł do „Ten się”.

Major odchylił się w fotelu i wziął z popielniczki dymiące cygaro.

- Pali pan, poruczniku?

Sunday zawahał się, potem pokręcił głową.

- Nie, sir. - W dalszym ciągu stał sztywno wyprężony w postawie zasadniczej.

- Cóż, jeśli przez ostatnie kilka lat był pan w Dziesięciu Tysiącach, nie ma sensu próbować pana zepsuć - powiedział O'Neal, znów się uśmiechając. - Dostałem na pana temat maila od Cutprice'a. Napisał, że jeśli spróbuję pana zdegradować, osobiście mnie... Jak on to powiedział? „Ugotuje mnie w pancerzu jak wielkiego homara”. - Major zaciągnął się kilka razy cygarem, żeby je dobrze rozpalić, a potem spojrzał poprzez dym na porucznika. - Co pan o tym sądzi?

- Eee, sir... - Sunday zmartwiał. - Ja... eee... nie zamierzam komentować pana stosunków z pułkownikiem Cutpricem ani jego decyzji co do mojego stanowiska w batalionie.

- Sunday... Sunday... - zamyślił się Mike. - Przysięgłbym, że znam to nazwisko.

- Spotkaliśmy się przelotnie raz czy dwa, sir - powiedział porucznik. - Ostatnim razem w...

- Rochester - dokończył Mike. - Pamiętam; pana wygląd jest dość... charakterystyczny.

- Pana też, sir - powiedział Sunday i zamarł. - Przepraszam.

- Nie ma za co. - Mike wciąż się uśmiechał. Napiął mięśnie ręki; jego przedramiona wciąż miały grubość ud normalnego człowieka. - Domyślałem się, że pan ćwiczy?

- Tak jest, sir. Przynajmniej dwie godziny dziennie, jeśli obowiązki na to pozwalają.

- Aha. - O'Neal kiwnął głową. - To ucieszy pana wiadomość, że podczas noszenia pancerza ćwiczy się podnoszenie ciężarów. To jedyna możliwość regularnego ćwiczenia. Ale ja nie myślałem

o Rochester ani o innych bitwach... Shelly: wszystko o Thomasie Sundayu Juniorze, kiedy nie był jeszcze w Dziesięciu Tysiącach.

- Thomas Sunday Junior jest jedną z pięciu osób ocalałych z obrony Fredericksburga... - zaczął odpowiadać przekaźnik.

- Właśnie! - ucieszył się O'Neal. - Chłopak z blondynką! Już wtedy wiedziałem, że ktoś, kto potrafił przeżyć coś takiego, i jeszcze uratować dziewczynę, daleko zajdzie.

- Dziękuję, sir - powiedział Sunday i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, uśmiechnął się.

- Thomas Sunday Junior jest też twórcą „Mostu na rzece Die” - dodała Shelly.

- Cholera, to pan? To świetny moduł! Wykorzystaliśmy go w Waszyngtonie podczas pierwszego lądowania. Pamiętam, jak ktoś mi mówił, że napisał to ktoś z F' Burga, ale... cóż...

- Uznał pan, że wszyscy stamtąd zginęli? - powiedział Sunday i skrzywił się. - Zgadł pan, sir. - Po chwili pokręcił głową. - Naprawdę wykorzystał go pan bez żadnych zmian?

- Włącznie z dymem. Wszyscy uznali mnie za geniusza taktyki. Dzięki.

Sunday roześmiał się.

- Nie ma sprawy. Jeśli pan się lepiej dzięki temu czuje... - Przerwał i wzruszył ramionami. - Ja zerznąłem część pana kodu ze scenariusza Asheville.

- Wiem - powiedział O'Neal, znów się uśmiechając i zaciągając cygarem. - Odwróciłem go i przeczytałem kod; zostawił pan nawet mój znak firmowy.

- Cóż...

- Nie ma sprawy, to i tak dobry moduł. Co się stało z tamtą dziewczyną?

- Wendy? - Tommy pokręcił głową zaskoczony zmianą tematu. - Jest w Podmieściu w Północnej Karolinie. Mamy... Jesteśmy w kontakcie. Właściwie... jesteśmy w kontakcie.

- Aha. Jest w okolicach Asheville?

- Nie, sir. Franklin. To takie małe miasteczko...

- Przy Rabun Gap - dokończył Mike, marszcząc brew. - Pochodzę stamtąd. Mój tata i córka ciągle tam są. Ale wątpię, żeby się spotkali; Ludzie, którzy trafiają do Podmieść, rzadko stamtąd wychodzą.

- Sir, nad czymś się zastanawiałem... - powiedział ostrożnie Tommy.

- Niech pan wali - odparł Mike, znów zaciągając się cygarem.

- To jest tak. Siły naziemne nie pozwalają zakładać rodziny osobom poniżej starszego plutonowego. Właśnie dorobiłem się starszego plutonowego, kiedy pojawiło się Rochester. Ale gdybym został w siłach naziemnych, moglibyśmy...

- Pobrać się - dokończył Mike i zmarszczył czoło. - Słyszał pan powiedzenie „Porucznicy się nie żenią”?

- Tak, sir - odparł cicho Sunday.

- Cholera. - Major pokręcił głową. - Do dowództwa Floty zaczęli trafiać różni „staromodni” ludzie, i niektórzy z nich podchodzą do kwestii rodziny bardzo surowo. Nie jestem pewien, czy uda się coś takiego załatwić porucznikowi. Los spletał wam figła, co?

- Tak, sir - odparł porucznik. - Mimo to chciałem się przenieść, sir. Cieszę się, że tu jestem, chociaż to ma wpływ na sprawy Wendy i moje. Po prostu... jestem od zabijania Posleenów.

- To niedocenywanie samego siebie, synu - powiedział O'Neal. - Widziałem pana kod. Jest niezły, wiedział pan nawet, co zerznać, a czego nie. Zabijanie Posleenów to nie wszystko, czym powinniśmy się zajmować.

- Z całym szacunkiem, sir, ale nic innego mi nie pozostało - powiedział porucznik. - Moja mama jest w Podmieściu w Kentucky; razem z moją siostrą były w bunkrze. Tak naprawdę rzadko się do

siebie odzywamy. Nie licząc Wendy, straciłem wszystko, co miałem. I wygląda na to, że aby zacząć naprawdę żyć, muszę zabić wszystkich Posleenów, których zdołam dopaść. Dopóki nie znikną, nie możemy zacząć wracać do normalności. A więc... zabijam ich.

- To przykry temat - powiedział Mike, kręcąc głową. Przez chwilę palił cygaro, patrząc na porucznika przez niebieski dym, a potem wzruszył ramionami. - Nie tylko pan przeżył coś takiego, poruczniku. Pana historia nie jest jedyna. Gunny Pappas stracił córkę podczas lądowania Posleenów w Chicago. Rodzinna farma Duncana leży prawie siedemset pięćdziesiąt kilometrów za linią frontu. Kapitan Slight straciła matkę i brata; oboje byli cywilami. Jeśli wszyscy będziemy tylko zabijając Posleenów, to oni już wygrali. Kiedy wojna się skończy, będziemy musieli znów zacząć być ludźmi. Jeżeli będziemy potrafili tylko zabijać Posleenów i zapomnimy, jak być ludźmi, jak być Amerykanami, możemy nawet nie próbować walczyć. Wolno panu nienawidzić Posleenów tak długo, jak długo nie zniszczy to pana jako człowieka. Bo na końcu naszych zmagania czeka dzień, kiedy będziemy mogli w spokoju przytulić się do jakiejś blondynki.

- Zrozumiano, sir - powiedział porucznik. Ale Mike odczytał z wyrazu jego twarzy, że zrozumiał, ale nie został przekonany. - Mam pytanie, sir, jeśli wolno.

- Niech pan strzela.

- Czy pan nienawidzi Posleenów? - spytał ostrożnie Sunday.

- Nie - odparł natychmiast Mike. - Ani trochę. Są w oczywisty sposób zaprogramowani do robienia tego, co robią. Nie wiem, kto ich zaprogramował - mam nadzieję, że wywiad się myli i że to nie byli Darhelowie - ale jeśli kiedykolwiek tego kogoś spotkam, ma pan jak banku, że zacznę go nienawidzić. Nie wiem, jacy byli Posleeni, zanim ktoś zaczął przy nich majstrować, ale wątpię, żeby byli międzygwiazdowymi konkwistadorami. Posleeni nie mogą nic poradzić na to, kim są, a my nic nie poradzimy na to, że stawiamy im opór. W tej sytuacji nie ma miejsca na nienawiść. Ale jeśli panu łatwiej jest ich nienawidzić, proszę bardzo. A teraz zmienimy trochę temat. Minęła siedemnasta i te wszystkie bzdury nie są teraz najważniejsze. Chodźmy poszukać oficerskiej mesy i porozmawiajmy o projektach gier. Zastanowię się nad pana małżeństwem i spróbuję czegoś się dowiedzieć. A na razie czuję zapach mongolskiego grilla i jakiegoś bardzo podłego piwa.

- Piwo jest tu prawie za darmo, sir - zauważył Sunday. - A darmowe piwo to z definicji dobre piwo.

- Chłopie - powiedział major, kręcąc głową. - Lubisz tanie piwo, a więc będziesz czuł się u nas jak w domu.

Żołnierz malujący znak batalionu na tylnej ścianie pokręcił głową i ostrożnie wytarł ostatnią literę, przy której drgnęła mu ręka od stłumionego śmiechu. Potem zaczął dalej malować.

Ale nie mógł opanować zdziwienia. Większość haseł miała jakiś sens. „Furia z jasnego nieba”, „Szańce Marny”, „Diabły w bojówkach” i, oczywiście, „Semper Fi”.

Ale jaki sens ma motto „Ten się śmieje ostatni, kto najszybciej myśli”?

Rabun Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Soł III

9: 25 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
piątek, 25 września 2009

Shari obudziła się nagle i przewróciła na bok, żeby wyjrzeć przez okno małej sypialni. Słońce stało już wysoko, a budzik przy łóżku, który poprzedniego wieczoru nastawiła i nakręciła, pokazywał prawie dziewiątą rano, czyli porę, o której spanie było dla niej czymś nie do pomyślenia.

Spojrzała w kierunku łóżeczka, w którym spała Amber, i poczuła ukłucie strachu, widząc, że dziecka nie ma. Ale potem gdzieś z głębi domu dobiegł radosny pisk dziewczynki i głosy bawiących się na dworze dzieci. Najwyraźniej ktoś wkradł się do jej pokoju i wyszedł z małą, kiedy spała.

Przeciągnęła się i przeczesła palcami splątane włosy. W nocy budziła się tylko raz, żeby przewinąć Amber i dać jej jeść, i to był kolejny cud. A teraz czuła się tak wypoczęta i swobodna, jak nie czuła się od... jakichś pięciu lat. A może nawet dłużej.

Wszyscy mówili o zniszczeniu Fredericksburga, ale jej życie legło w gruzach już dużo wcześniej. Małżeństwo z futbolistą było uznawane w liceum za duże osiągnięcie, ale po dwunastu latach wspólnego życia, wizytach w poradniach dla bitych kobiet i po rozwodzie nie wyglądało już tak dobrze. Ładowanie Posleenów i zniszczenie przez nich miasta wydawało się po prostu naturalną kolejną rzeczą.

Teraz miała trzydzieści... kilka lat, trójkę dzieci, matureę, zmarszczki, których wstydziłaby się nawet czterdziestolatka i - zdjęła koszule, nocną, którą wczoraj znalazła w szafce, i spojrzała na siebie - chude ciało z... całkiem jeszcze niezłymi piersiami i rozstępami. Mieszkała też w jednym boksie z ośmiorgiem dzieci. Nie była cenną zdobyczą.

Pokręciła głową i wyjrzała przez okno; zapowiadał się piękny dzień, udało jej się wyspać i nie miała powodu, aby popadać w taki melancholijny nastrój. Wzięła głęboki oddech, sięgnęła po ubranie złożone porządnie w kostkę na stoliku przy łóżku i zmarszczyła nos. Poprzedni dzień był długi i pełen wysiłku, i ubranie wciąż było trochę wilgotne od potu. A Shari lubiła czystość i porządek, i smród śmietnikowej babci nie odpowiadał jej wyobrażeniom o dobrej zabawie. Po chwili zastanowienia spojrzała na komodę i szafę. Zeszłego wieczoru zajrzała do szafy, mając nadzieję znaleźć coś do spania, i zobaczyła tam dużo zapakowanych w folię sukienek. Wysunęła najwyższą szufladę komody i wyjęła z niej figi.

Powąchała je. Były zatechłe od długiego leżenia w szufladzie i pachniały lekko przyprawą, którą pewnie włożono do komody, a także były... nieco kruche w dotyku, jakby miały już sporo lat. Mimo to pachniały lepiej niż jej własne. Były trochę za duże, ale nie spadały; najwyraźniej gumka przeżyła lata leżenia w szufladzie.

Przetrasając dalej komodę, znalazła staniki, a w niższych szufladach bluzki, koszulki i dzinsy. Ten, do kogo należały te ubrania, musiał lubić dzinsy; było ich tam co najmniej siedem par, większość obcisłych biodrówek.

Shari wyjęła jedno. Nie ulegało wątpliwości, że były to „oryginały”, a nie spodnie pochodzące z krótkiego okresu „renesansu” po inwazji. W jakimś dawno przebrzmiałym napadzie szaleństwa ktoś wziął długopis i pokrył je napisami. Dzieci z następnego pokolenia raczej nie wiedziały, kim był Bobby McGee, chociaż pacyfka i napis „dymałam się na Woodstock” na pewno były dla nich zrozumiałe. Najdziwniejszy napis, wypisany na siedzeniu dzinsów już inną ręką, głosił: „Pokój przez przeważającą siłę ognia”.

Shari pokręciła głową i ostrożnie odłożyła ten artefakt na miejsce, wyjmując zamiast niego zwykłą parę rurek, prawie nie noszonych.

Wybranie stanika okazało się problemem. Shari nieraz miała wrażenie, że jej jedyna zaleta to piersi; często były jedyną rzeczą, do której Rorie nie mógł się przyczepić. Kobieta, do której należały te ubrania, najwyraźniej nie była obdarzona takim biustem. Po długich poszukiwaniach Shari znalazła stanik, który udało jej się zapiąć. Spojrzała w lustro i prychnęła.

- Oto odpowiedź, dziewczyny. Znajdźcie stanik, który jest za mały i za płytki, a też będziecie miały rowek między piersiami.

Najpierw wyjęła bardzo ładną bluzkę w kwiaty, ale kiedy spojrzała na dekolot, pokręciła głową i odłożyła ją. Potem wzięła koszulkę z napisem „Led Zeppelin World Tour 1972”. Była odrobinę przyciasna, ale przynajmniej nie spadała, a poza tym gdyby nagle piersi wyskoczyły jej ze stanika, nie wszyscy musieliby to oglądać.

Przekopanie łazienki zaowocowało znalezieniem szczotki do włosów - starej, ale nadającej się do użytku - i nowej, jeszcze opakowanej szczoteczki do zębów. Shari użyła ich obu, a potem spojrzała w lustro i pokazała swojemu odbiciu język.

- Niedobrze, koleżanko - powiedziała do wynędzniałej, obwisłej twarzy, którą zobaczyła.

Komplet do makijażu, który znalazła, leżał tam najwyraźniej od dziesiątek lat. Gdyby ktoś zbierał pamiątki, ten dom byłby dla niego kopalnią. Shari znalazła nawet nie otwarte pudełko farby do włosów L’Oreal ze spłóviałym zdjęciem aktorki, która nie wygląda już tak dobrze od trzydziestu lat.

- Dzięki - mruknęła. - Wiem, że jestem tego warta, ale farbowałam włosy w zeszłym tygodniu.

Komplet do makijażu okazał się jednak nic niewart. Wprawdzie był pełen różnych różności - poprzednia właścicielka musiała od czasu do czasu odstawiać się jak Barbie - ale wszystko powysychało. Podkład połamał się na kawałki, kiedy otworzyła słoiczek.

Potem zobaczyła małą plastikową torebkę. Wyglądała na galplasa, ale Shari uznała, że to niemożliwe; skąd mogłaby się tu wziąć torebka z galplasu? Ale kiedy Shari dotknęła widocznej na górze małej zielonej kropki i przesunęła palcem po grzbiecie torebki, ta otworzyła się wzdłuż niewidocznego spojenia. Zgadza się, galplasa.

W środku było to, co Shari uważała za „zupełnie podstawowe rzeczy”: tusz do rzęs, szminka, pudełeczko cieni do powiek z ołówkiem i pęsetą do brwi. Kolory nie były dla niej idealne - gdyby nie była ostrożna, mogłaby wyglądać jak Britney Spears - i naprawdę bardzo żałowała, że nie ma tu podkładu i różu do policzków, ale to, co było, wystarczyło. Poza tym kosmetyki były prawie nowe.

Szybko nałożyła skromny makijaż, a potem cofnęła się, żeby obejrzeć efekt.

- Mała, wyglądasz jak milion dolarów - powiedziała. A potem dodała: - Kłamczucha.

Posłała łóżko i zeszła na dół, do kuchni, zwabiona zapachem boczku. Kelly i Ireń siedziały przy stole i chrupały herbatniki, Amber tkwiła w wysokim krzeselku tuż obok, a pan O’Neal krzątał się przy kuchence, smażąc następną patelnię boczku i wbijając jajka.

Kiedy Shari weszła do kuchni, O’Neal w pierwszej chwili jej nie zauważył, a potem podskoczył przestraszony i przez moment machał ręką z nie rozbitym jajkiem, zanim w końcu trafił nim w brzeg patelni.

Shari starała się nic roześmiać; podeszła do kuchenki i wciągnęła w nozdrza zapach jedzenia.

- Bosko pachnie.

- Jak podać jajka, milady? - spytał Papa O’Neal. - Smażę jajecznicę dla tych studni bez dna, ale z przyjemnością przyrządzę dla ciebie takie jajka, jakie będziesz chciała.

- Może być jajecznicą - powiedziała Shari, znów starając się nie uśmiechać, kiedy zauważyła

ukradkowe zerknięcie w jej stronę. *Nie waż się przeciągnąć. Nie rób tego, bo nigdy sobie nie wybaczysz.* Mimo to poczuła, że nie może się powstrzymać. Przeciągnęła się.

Pasek boczku spadł na Kuchenkę.

- Cholera - mruknął Papa O'Neal. - Niezdara ze mnie... - Podniósł boczek palcami i wrzucił go na przykryty ściereczką talerz. - Zjesz boczek czy... czy wolisz kawałek kiełbasy?

- Może być boczek - odparła Shari, podchodząc do stołu, żeby dać biedakowi trochę odetchnąć. Kiedy uświadomiła sobie, że kołysze biodrami, miała ochotę palnąć się w głowę..

On... maco najmniej sześćdziesiąt lat, a zresztą co on, u diabła, może widzieć w rozwódce z dziećmi i rozstępami?

- Widzę... eee... widzę, że znalazłaś sobie ubranie - powiedział O'Neal, nakładając jajecznicę na talerz i zanosząc je do stołu. - Tak myślałem, że niektóre rzeczy Angie będą na ciebie pasować. Miałem ci powiedzieć wczoraj wieczorem, żebyś coś sobie wybrała. Rozmawiałem z Elgars o zaopatrzeniu w Podmieściach; nie miałem pojęcia, jak tam jest. Dom jest pełny różnych rzeczy, więc bierz, co chcesz. Ale jestem.. zaskoczony, że znalazłaś dobry stanik.

- Dzięki za propozycję - odpowiedziała Shari. - To trochę jak jałmużna, ale co tam, mogę przyjąć małą jałmużnę. W Podmieściach naprawdę niczego nie ma. - Uśmiechnęła się i znów przeciągnęła. - Ale przyznam, że raczej trudno będzie mi coś znaleźć.

Papa O'Neal odkaszlnął i wrócił do kuchenki, a Shari zaczęła gorączkowo poszukiwać jakiegoś neutralnego tematu do rozmowy.

- Gdzie reszta dzieci? - spytała. Ireń zeszła z krzesła i wspięła się na jej kolana, przynosząc ze sobą talerz. Potem zajęła się ładowaniem herbatników i boczku do buzi.

- Część jeszcze śpi - powiedział Papa O'Neal. - Reszta poszła z Cally, aby pomóc jej w obowiązkach. Spodobało im się to. Rano poszła z nimi po jajka, a potem dostały te jajka do zjedzenia. Billy pomógł nawet doić krowy, a to już naprawdę akt wyjątkowej odwagi i poświęcenia.

- Dzieci zawsze lubią obowiązki - powiedziała Shari, parskając śmiechem. - Ale tylko jeden raz. I pod warunkiem, że nie trwają za długo.

- Wygoniłem je na dwór, niech pobiegają - odparł O'Neal. - Masz je z głowy; przyda ci się chwila odpoczynku.

- Lubię moje dzieci - zaprotestowała Shari. - Nawet te, które nie są moje.

- Jasne, ja też je lubię - powiedział O'Neal. Podniósł wystygły kawałek boczku i położył go na talerzyku Amber. - Ale pilnowanie ich bez przerwy to za dużo dla każdego, nawet dla Super Mamy.

Shari zmarszczyła czoło i odchrząknęła.

- Czy... Czy Amber na pewno może jeść boczek?

Papa O'Neal wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie? Ja jadłem, kiedy byłem mały, i z tego, co wiem, mój syn też. Poza tym to już trzeci kawałek, który przeżuwa. A co według ciebie powinna jeść?

Shari popatrzyła, jak Amber bierze następny kawałek słabo usmażonego boczku i zaczyna go żuć.

- No, jeśli jest pan pewien, że tak można... Normalnie dajemy jej...

- Kaszkę mannę - dokończył O'Neal. - Mam. Świeżutka. Skoro o tym mowa, mam dwa rodzaje.

- Albo krem z kukurydzy - ciągnęła Shari.

- To też mam. A co powiesz na mus z mąki kukurydzianej? To dobre jedzenie dla niemowląt. Z dodatkiem mielonego boczku dla smaku.

- Zawsze tak jadasz? - spytała Shari. - Dziwię się, że twoje naczynia krwionośne jeszcze ci się z hukiem nie zatrzasnęły.

- Mam najniższy cholesterol, jaki widział mój lekarz. - O'Neal wzruszył ramionami. - To od tych zimnych kąpieli i przyzwoitego prowadzenia się.

- Aha. - Shari wzięła kawałek boczku, którego nie zauważyła Kelly. - Mam jedno pytanie, mam nadzieję, że nie nazbyt osobiste. Kto to jest Angie?

Papa O'Neal skrzywił się i wzruszył ramionami.

- To po niej Cally ma połowę urody. To moja była. Mieszka w komunie w Oregonie, odkąd skończyła czterdzieści lat i odkryła w sobie powołanie do... no, do Wicca.

Znów wzruszył ramionami, nałożył na talerz jajka, boczek i herbatniki i podał go Shari.

- Nigdy tak naprawdę nie pasowaliśmy do siebie. Ona była miłośniczką natury, artystką, a ja... - Wzruszył ramionami. - Najlepsze, co można by o mnie powiedzieć, to że nigdy nie zabiłem nikogo, kto na to nie zasługiwał. Nigdy nie podobało jej się, co robię, ale jakoś to znosiła, tak samo jak mnie. Chodziło też o to, że często mnie nie było i musiała sama się sobą zajmować. Mieszkała tutaj i wychowywała Mike'a Juniora. I praktycznie sama prowadziła farmę. Kiedy wróciłem na dobre, przez jakiś czas nam się układało, a potem zaczęliśmy się żreć. W końcu odkryła swoje „prawdziwe powołanie” - kapłaństwo i pojechała do tej komuny. Jak rozumiem, od tamtej pory żyje tam sobie szczęśliwie.

- Widziałam napisy „Woodstock” i „Pokój przez przeważającą siłę ognia” - uśmiechnęła się Shari.

- A, widziałas to - zaśmiał się O'Neal. - Była na mnie potwornie wściekła za to, że napisałem jej to na tyłku. A ja byłem wściekły na nią za to, że się naćpała i mi na to pozwoliła. Powiedziałem jej, co robię, a ona uznała, że to fajny pomysł... No, wtedy uważała, że to dobry pomysł.

- A więc na babcię nie ma co liczyć - westchnęła Shari. - A ktoś musi porozmawiać z Cally o „babskich sprawach”.

- Zakładając, że ją znajdziesz - powiedział Papa O'Neal. - Całe rano jej nie widziałem. Za to ją słyszałem; wrzeszczy na twoje dzieci jak sierżant w czasie musztry. Normalnie wstajemy o świcie, ale ona wstała dziś jeszcze wcześniej i wyszła, zanim ja wstałem.

- Myślałam, że rano zarzynałeś tłustego prosiaka - zażartowała Shari. Jajka na boczku były wspaniałe, a ona miała lepszy apetyt niż wczoraj.

- Zarzynałem - wyszczerzył zęby O'Neal. - Cały czas się piecze. Normalnie Cally byłaby ze mną. Ale dziś nie zbliżyła się do mnie nawet na pięćdziesiąt metrów.

Przerwał i potarł brodę, a potem spojrział zamyślonym wzrokiem na sufit.

- Nie podeszła nawet na pięćdziesiąt metrów... - powtórzył.

- Ciekawe, co przeskrobała - uśmiechnęła się szeroko Shari.

* * *

- Musisz mu powiedzieć - powiedziała Shannon. - Nie możesz chować się przez resztę życia.

- Mogę - odparła Cally. Następną porcję siana wrzuciła do za grody z większą siłą niż zamierzała. - Mogę chować się tak długo, jak będę musiała.

Stodoła była olbrzymia i bardzo stara. Pochodziła z czasów tuż po wojnie z najazdem z północy, jak nazywał ją Papa O'Neal. Było tu kilka boksów dla koni, miejsce do dojenia krów i duży strych na siano. Pod jedną ze ścian leżało kilka bel siana, a obok stał dziwny karabin z okrągłym magazynkiem na górze. Cally nigdy nie wychodziła z domu nie uzbrojona.

- To normalna rzecz - upierała się Shannon. Dziesięciolatka zsunęła się z beli siana i podniosła z klepiska kawałek gliny. Zaczekała, aż mysz znów wychyli się z dziury, a potem cisnęła w nią gliną. Pocisk rozbił się tuż nad dziurą i mysz zniknęła. - Masz prawo do własnego życia!

- Jasne, powiedz to dziadkowi - wydęła usta Cally.

- Co masz powiedzieć dziadkowi?

Cally zamarła, a potem nie odwracając się, wbiła widły w siano.

- Nic.

- Shari i ja zastanawialiśmy się, gdzie byłeś całe rano - powiedział stojący za nią Papa O'Neal.

- Zauważyłem, że zrobiłaś wszystko, co do ciebie należy, ale udało ci się zrobić to tak, żeby nie zbliżyć się do mnie nawet na kilometr.

- Aha. - Cally rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale pozostała jej tylko drabina na strych, a potem wyjście przez okno i zejście po ścianie stodoły. Tak więc prędzej czy później będzie musiała się odwrócić. Wiedziała, że wpadła na dobre. Przez chwilę rozważała, czy nie ostrzelać drogi na zewnątrz albo nie wyskoczyć przez okno i prysnąć do babci, do Oregonu. Wątpiła jednak, czy udałoby jej się pokonać dziadka. A poza tym komuna podlegała wojskowej ochronie, więc zabraliby jej broń. Do kitu.

Shannon, która ją podjudziła, uciekła. Dała dyla. Co za idiotka. W końcu Cally z westchnieniem odwróciła się.

* * *

Papa O'Neal spojrział tylko raz, a potem wyjął swój woreczek z tytoniem Red Man. Wysypał na dłoń prawie połowę zawartości, starannie ugniół z niej kulkę, trochę tylko mniejszą od baseballowej piłki, i wepchnął ją pod lewy policzek. Potem spokojnie schował woreczek.

- Dziecko - powiedział wreszcie lekko stłumionym głosem. - Co ci się stało?

- Dziadku, nie zaczynaj - ostrzegła go Cally.

- Wyglądasz jak szop...

- Chyba chciała wyglądać jak Britney Spears - powiedziała delikatnie Shari. - Ale... taki mocny makijaż... nie pasuje do ciebie, skarbie.

- Przecież jak pojedziesz do miasta, aresztują mnie za pobicie - ciągnął Papa O'Neal. - Wyglądasz, jakbyś miała popodbijane oczy!

- W ogóle nie znasz się na modzie! - zaprotestowała Cally.

- O, teraz to się nazywa moda?

- Spokojnie, spokojnie - powiedziała Shari, podnosząc ręce. - Uspokójcie się. Podejrzewam, że wszyscy w tej stodole, oprócz mnie, ale pewnie włącznie z koniem, są uzbrojeni.

Papa O'Neal chciał coś powiedzieć, ale zakryła mu usta dłonią.

- Chciałeś, żebym... żebyśmy porozmawiały z Cally o babskich sprawach, tak?

- Tak - odparł O'Neal, odsuwając jej dłoń - ale chodziło mi o... higienę i...

- Dlaczego faceci to takie ofiermy? - spytała Cally. - Ja już to wszystko wiem.

Shari znów zakryła usta O'Nealowi, a on znów odciągnął jej dłoń.

- Jestem jej dziadkiem! - zaprotestował. - Nie mam już nic do powiedzenia?

- Nie - odparła Shari. - Nie masz.

- Tego właśnie nienawidzę u kobiet! - warknął O'Neal, załamując ręce. - Tego właśnie nienawidzę u kobiet. Dobrze! Dobrze! Jak chcecie. Nie mam racji! Ale jednego nie daruję. - Pogroził Cally palcem. - Makijaż. W porządku. Rozumiem. Makijaż nawet nieźle wygląda. Ale żadnych takich szopich oczu!

- Dobrze - powiedziała Shari łagodnie, popychając go lekko w stronę drzwi stodoły. - Idź zajrzeć do świni, a ja porozmawiam sobie z Cally.

- Dobrze, dobrze - mruknął. - Proszę bardzo. Powiedz jej, jak zdenerwować faceta, nie otwierając nawet ust. Zrób jej damską akademię. Proszę bardzo.

Wciąż mamrocząc, wymaszerował ze stodoły.

Cally spojrzała na Shari i uśmiechnęła się.

- Widzę, że się polubiliście.

- Tak - przyznała Shari. - Ty za to chyba wcale go nie lubisz.

- Och, wcale nie. - Cally usiadła na beli siana. - Po prostu przez tyle lat byłam jego małą wojowniczką, a teraz... Sama nie wiem. Mam dość farmy. I dość traktowania mnie jak dziecko.

- Cóż, lepiej pogódź się z myślą, że to jeszcze chwilę potrwa - powiedziała Shari. - Jedno i drugie. Bo masz dopiero trzynaście lat, a to oznacza, że pozostaniesz pod opieką dziadka jeszcze przez pięć lat. Tak, będą się dłużyć i od czasu do czasu będziesz miała ochotę wyrwać się. A jeśli chcesz to zrobić naprawdę głupio, znajdź sobie jakiegoś przystojnego palanta z fajnym wózkiem i niezłym tyłkiem, daj sobie zrobić gromadkę dzieci i zostań po trzydziestce na lodzie z gębami do wykarmienia.

Cally pociągnęła za kosmyk włosów i uważnie mu się przyjrzała.

- Nie do końca o to mi chodziło.

- Teraz tak mówisz - pokiwała głową Shari - a za dwa lata będziesz rozmawiać w mieście z jakimś sympatycznym żołnierzem, co ma szerokie bary. Zaufaj mi. Tak będzie. Nie będziesz w stanie się powstrzymać. I muszę, przyznać, że jeśli zrobisz sobie, jak to delikatnie ujął twój dziadek, „oczy szopa”, będziesz miała duże szanse, że rok później będziesz niańczyć swoją Amber.

Cally westchnęła i pokręciła głową.

- Rozmawiałam wczoraj wieczorem z Wendy i Elgars, i Wendy opowiedziała mi o kilku rzeczach. Więc dzisiaj wstałam wcześniej i...

- Spróbowałaś. To zupełnie normalne. Żaden problem. Chcesz wrócić do domu i spróbować jeszcze raz? Tym razem z moją pomocą?

- Och, naprawdę? Wiem, że głupio wyglądam. Po prostu nie wiem, jak to poprawić. Strasznie mi się podoba to, co ty zrobiłaś ze sobą!

- Cóż... - skrzywiła się Shari. - Wolę trochę mocniejszy makijaż, nie mam już twojej idealnej cery. Ale zrobiłam, co mogłam. Znalazłam kilka rzeczy w kosmetyczce pod umywalką... - Przerwała, widząc wyraz twarzy Cally. - Co się stało?

- To... - Cally potrząsnęła głową, wyraźnie mając problemy z mówieniem. - To mojej mamy. Przysłali to... z Heinlein Station, z jej kwatery. To... wszystko, co pozostało z jej osobistych rzeczy, reszta została zniszczona razem ze statkiem.

- Och, Cally. Tak mi przykro - powiedziała Shari, podnosząc rękę do twarzy.

- Nic się nie stało, naprawdę. Możesz tego używać. To tylko... śmieci..

- To nie są śmieci. - Shari podeszła do dziewczynki. - Wszystko w porządku? Przepraszam, że ich użyłam.

- Naprawdę nic się nie stało - powtórzyła Cally z zaciętą twarzą. - Dobrze, że to zrobiłaś, naprawdę. Ja tylko... chciałabym, żeby mama... - Szarpnęła kosmyk włosów. - Przez ostatnie kilka lat zginęły cztery miliardy ludzi! Nie będę się mazać dlatego, że moja matka była jedną z nich! Nie będę.

Shari usiadła obok dziewczynki i delikatnie ją objęła.

- Możesz opłakiwać matkę tak, jak chcesz, Cally. Ale nie... nie wymazuj jej z pamięci. Nie... nie usuwaj jej ze swojego życia. - Wytarła nastolatce oczy i przez chwilę ją kołysała.

- Chodź, zmyjemy to z ciebie, a potem weźmiemy zestaw twojej mamy i zobaczymy, co się da zrobić. Myślę, że to będzie dobry początek.

* * *

Papa O'Neal podniósł wzrok, kiedy zza rogu wyszli Mosovich i Mueller.

- Nie za wcześnie, żeby dawać sobie w szyję? - zażartował Mosovich.

Papa O'Neal podniósł butelkę domowego piwa i spojrzął przez szkło na żołnierzy.

- Wychowuję nieletnią w dolinie pełnej niewyżytych żołdaków. Nigdy nie jest za wcześnie, żeby zacząć pić.

- No, ciężko im będzie dostać się tutaj - przyznał Mueller. - Przeszliśmy się po okolicy, sprawdziliśmy umocnienia. Widywałem bazy ogniowe z gorszymi polami ostrzału.

Za dwoma żołnierzami pojawiła się Elgars. Podeszła do grilla i spojrzała na świnie powoli piekącą się w ogniu podsycanym polanami hikory.

- To świnia, prawda? - spytała, pociągając nosem. - Jak te, które trzyma pan w klatkach.

- W zagrodach - poprawił ją Papa O'Neal. - Tak.

- A my mamy to jeść? Świnie są... bardzo brudne.

- Umyłem ją, zanim rzuciłem na grilla - odparł O'Neal. - Może pani nie jeść, jeśli nie chce. Ale ja osobiście zamierzam, za przeproszeniem, obezreć się jak świnia.

Elgars oderwała kawałek na wpół upieczonego mięsa. Podrzuciła je przez chwilę, dmuchając, żeby wystygło, a potem wrzuciła do ust. Przez chwilę żuła mięso.

- Dobre - powiedziała.

- Dzięki - prychnął O'Neal. - Staram się. Poczekaście tylko, aż skóra zacznie pękać.

- Będzie gotowa dopiero wieczorem, prawda? - spytał Mueller.

- Prawda - odparł Papa O'Neal, wylewając trochę piwa na ogień, żeby go przygasić. Hikora zasyczała i zadymiała. - Będzie dobre tuż przed zmrokiem. Ale nie muszę tu cały czas siedzieć; Cally może pilnować, żeby za bardzo się nie spiekło. Myślałem, żeby zabrać was wszystkich na wzgórze. Mam tam trochę ukrytych zapasów jedzenia, znam też kilka szlaków prowadzących przez przełęcz, takich, które kiedyś mogą wam się przydać.

- Dla mnie bomba - powiedział Mosovich. - Zechce nam pani towarzyszyć, pani kapitan?

Elgars spojrzała na strome zbocze wzgórza.

- Myślę, że z przyjemnością. Chciałam przejść się po okolicy, ale nie wiedziałam, czy wolno. Poza tym słyszałam coś o mechanicznych środkach obrony.

- Nie mogę zostawiać ich uzbrojonych - zauważył O'Neal. - Za wiele tutaj dużych zwierząt. Mamy czujniki, bo czasami przypalają się dzicy Posleeni, ale automatykę włączamy tylko na wypadek ataku.

- Wiecie co? - powiedział Mueller. - Czuję się jak skończony dureń. Łazimy tu sobie beztrąsko, a przecież w tych lasach są dzicy. Już raz na nich wpadliśmy. A bez broni jesteśmy chodzącym prowiantem.

- On nie ma broni - powiedziała Elgars, wskazując O'Neala - a jakoś tu mieszka.

- O, wy małej wiary - rzekł O'Neal, sięgnął za siebie i wyciągnął małą armatę.

- Desert eagle? - spytał Mueller, wyciągając rękę.

- Załadowany - powiedział Papa O'Neal, odwracając pistolet i podając go kolbą naprzód. - Desert eagle z komorą przystosowaną do kalibru .50.

- Fajny. - Sierżant wyjął magazynek i wyłuskał z niego jeden nabój, gruby jak jego kciuk. - Jezu! Spory!

- W łusce mieści się cały nabój .45 - zaśmiał się O'Neal. - Wypadł mi raz przy przeładowywaniu. A pocisk to nowy winchester black bhino .50. Kładzie Posleena jednym strzałem, wszystko jedno, gdzie się trafi. A jest ich tam siedem. Miałem już dość targania ze sobą wszędzie karabinu.

Elgars wzięła broń, zważyła ją ostrożnie w rękach, a potem ustawiła się w pozycji do strzału, chwytając pistolet dwiema rękami.

- Coś pięknego, ale kolba jest dla mnie za duża.

- To jedno - przyznał O'Neal. Po lał mięso sosem, a potem przeładował pistolet i schował go do kabury. - Do tego kopie jak cholera. Ale na Boga, można nim rządzić!

Dopił piwo, wypłukał butelkę, pod kranem i ustawił ją do góry nogami na suszarce, stojącej tu najwyraźniej w tym właśnie celu. Potem beknął i spojrzał na słońce.

- Jeśli ruszymy teraz, zdążymy dojść do jaskiń i wrócić przed obiadem. W ten sposób całe popołudnie będziemy mieli na picie piwa, opowiadanie zmyślonych historii i zachowywanie się tak, jakbyśmy byli starymi pierdzielami.

- Dla mnie bomba - powtórzył z szerokim uśmiechem Mosovich.

- W takim razie jazda po sprzęt - zarządził O'Neal. - Na te wzgórza nie chodzi się tylko z pistoletem. Nawet takim dużym.

* * *

Wendy uśmiechnęła się, kiedy Shari i Cally weszły do kuchni.

- Widzę, że zastosowałaś się do mojej rady - powiedziała. - Ładna robota.

- Eee... - zająknęła się Cally.

- Musiałyśmy trochę poprawić - przyznała Shari.

- Dziadek powiedział, że miałam oczy jak szop - poskarżyła się Cally.

- Bo miałaś - powiedziała Shari. - Wendy może ci później pokazać, jak dobrze zrobić oczy szopa. Widziałam, jak robi z siebie Britney Spears, i muszę powiedzieć, że podobieństwo było uderzające.

Wendy pokazała jej język, ale powstrzymała się od komentarza.

- Póki co - ciągnęła Shari - ogranicz się do minimum. Uwierz mi, naprawdę nie potrzeba ci więcej. Makijaż robi się po to, żeby wyglądać tak, jak ty wyglądasz bez niczego. Poza tym nie należy nakładać na siebie tyle barw wojennych, bo tak robią młode damy, które sprzedają swoje ciało. Więc jeśli będziesz szła z takim makijażem przez centrum Franklin, nie zdziw się, jeśli któryś z żołnierzy odniesie błędne wrażenie.

- Mam po prostu dość bycia chłopakiem - powiedziała Cally. - To znaczy dopóki nie zaczęły mi rosnać piersi, a chłopaki nie zaczęli łązić za mną z wywieszonymi językami, dziadek traktował mnie jak chłopaka. A teraz chce mnie zamknąć w wieży, aż urośnie mi taki długi warkocz, że będę mogła po nim zejść!

Shari uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Jest ojcem. No, dziadkiem, ale to na jedno wychodzi. Chce dla ciebie jak najlepiej. Może mieć rację, może jej nie mieć, ale chce dobrze. Każdy rodzic tak się zachowuje - dokończyła z westchnieniem.

- Poza tym jest facetem - dodała Wendy. - Sam był kiedyś takim właśnie chłopakiem z wywieszonym językiem i wie, co oni sobie myślą i czego chcą. A dziewięćdziesiąt dziewięć procent z nich chce się bzykać. Powiedzą wszystko i zrobią wszystko, żeby to osiągnąć. Niektórzy są nawet skłonni użyć siły. Dziadek wie, co myślą, wie, o czym rozmawiają w koszarach, i wie, do czego są zdolni, żeby to dostać. Dlatego ma na tym punkcie niezłą paranoję.

- Ja też mam - powiedziała Cally. - Wystarczy być kilka razy napadniętym i już się ma paranoję. Ale...

- Żadnych „ale” - przerwała jej Wendy. - Przez cztery... gdzie tam, przez sześć lat miałam opinię szkolnej dziwki, bo byłam jedyną dziewczyną, która się nie puszczała. Sama już nie wiem, na ilu letnich randkach spościłam się w swetrze i ciasno zawiązanych spodniach od dresu. Wolę nie wspominać o elektronicznych zamkach. Doszło do tego, że nie siadałam na tylnym siedzeniu

samochodu, bo bałam się, że ktoś mógłby włączyć zabezpieczenie dla dzieci i nie będę mogła otworzyć drzwi. W ciągu czterech lat co najmniej sześć razy wracałam do domu na piechotę. Jeśli chodzi o facetowi hormony, nie ma czegoś takiego jak przerost paranoi.

- Może być nawet gorzej - powiedziała ponuro Shari. - Jeśli na którymś z tych tylnych siedzeń źle wybierzesz, może dojść do tego, że uwierzysz, iż wina jest po twojej stronie. Że jesteś bita, bo to twoja wina. Że jesteś maltretowana, bo nie jesteś wystarczająco dobra, ładna, mądra. - Przerwała i popatrzyła na Cally, kręcąc głową. - Nie zrozum mnie źle, mężczyźni są wspaniali i mają do odegrania swój ą rolę...

- Hydraulika, elektryczność - prychnęła Wendy. - Noszenie ciężkich rzeczy, zabijanie pajaków...

- Ale wybranie właściwego to najważniejsza rzecz, przed jaką kiedykolwiek staniesz - ciągnęła Shari, patrząc surowo na Wendy. - W tym momencie przydatność moich porad się kończy; sama nigdy nie umiałam dobrze wybrać.

- No, ja umiałam - uśmiechnęła się Wendy. - Jak na razie wszystko gra. i jeśli chcesz usłyszeć radę, oto ona: jeśli powie ci, że chce się z tobą przespać, uciekaj ile sił w nogach. Strzelaj, jeśli będziesz musiała. Jeśli nie będzie chciał poczekać, aż ty sama powiesz, że chcesz, nie jest wart twojego czasu.

- Skąd mam wiedzieć, że naprawdę, mu się podobam, skoro nie prosi? - spytała Cally. - To znaczy... A jeśli mu się nie podobam?

Wendy uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

- No, ja wiedziałam, że mu się podobam, bo wyniósł mnie z ognia zamiast wpakować mi kulę w łeb, tak jak się umówiliśmy. Więc miałam pewność, że mu się podobam. Ale w sumie doszłam do tego wniosku trochę wcześniej. Zobaczysz, będziesz wiedziała. A jeśli nie, to znaczy, że niewystarczająco mu się podobasz.

- To za bardzo skomplikowane - powiedziała Cally. - A gdybym go postrzeliła? Jak wróci, to znaczy, że mu się podobam. I zapewniam was, że nie próbowałby niczego, dopóki bym mu nie pozwoliła.

- Cóż... - zaczęła Shari.

- Żartowałam - zaśmiała się Cally. - Co najwyżej złamałabym mu rękę. - Zamyśliła się, po czym wzruszyła ramionami. - A więc żeby zdecydować, czy chłopak jest wart tego, aby iść z nim do łóżka, mam czekać. A jeśli poprosi...

- Albo zacnie błagać, skomleć, albo cię straszyć - powiedziała Wendy. - To bardziej prawdopodobne.

- Wtedy można?

- Jeśli ty chcesz - podkreśliła Shari. - I... zaczekaj z tym jeszcze, dobrze? Trzydzieści lat to zdecydowanie za mało, żeby podjąć taką decyzję, niezależnie od tego, jak bardzo czujesz się dorosła.

- Nie zamierzałam wypróbować waszych rad już jutro - powiedziała Cally. - No dobrze, w takim razie podstawy mamy już za sobą.

- Tak, to rzeczywiście podstawy - westchnęła Wendy. - Najtrudniej jest zdecydować, czy samemu się chce.

- Jeśli masz jakieś paskudne przeczucia albo jeśli, on się z ciebie śmieje, albo ci dogaduje, zwłaszcza przy ludziach, nie rób tego, nawet jeśli chcesz. - Shari pokręciła głową z ponurym wyrazem twarzy. - Nie, nie, nie.

- To coraz bardziej skomplikowane - powiedziała Cally. - Myślę, że powinnam jednak go postrzelić, a potem poczekać i zobaczyć, co się stanie.

- Wiesz, to może zniechęcić kilku porządnym - uśmiechnęła się Wendy. - Właściwie nie

przychodzi mi do głowy żaden, którego by to nie zniechęciło.

- Mogłabym go postrzelić tylko trochę - powiedziała Cally błagalnym tonem. - Z dwudziestki dwójki. Z daleka od żywotnych organów. Miłość musi boleć.

Shari zaśmiała się głośno i pokręciła głową.

- Dobrze, niech będzie. Jeśli ci się spodoba i wyda się w porządku, i nie poprosi cię, żebyś poszła z nim do łóżka, postrzel go z dala od żywotnych organów. Jeśli nie wróci, to znaczy, że nie był dla ciebie. Ale nie wpadnij w nawyk strzelania do niego za każdym razem, kiedy nie będziesz się z nim zgadzać, dobrze?

- Jedno pytanie - powiedziała Wendy z udawaną powagą. - Skąd weźmiesz dwudziestkę dwójkę? Widziałam tu kaliber .308 i .30-06, ale .22 w tym gospodarstwie nie dostrzegłam.

- Mam przy sobie taką broń - prychnęła Cally. - Nie będę nosić specjalnego pistoletu do testowania facetów, którzy mi się spodobają.

- Nosisz dwudziestkę dwójkę? - zaśmiała się Wendy. - O jej, Posleeni muszą sikać ze strachu! Żartujesz, prawda?

Cally uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

- Chodźmy na strzelnicę. Zobaczymy, kto będzie się śmiał ostami.

Rabun Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

13: 25 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
piątek, 25 września 2009

- To jest ta dwudziestka dwójka? - spytała z niedowierzaniem Wendy. Broń wyglądała dziwnie, przypominała mniejszą wersję tommy guna z talerzowym magazynkiem umieszczonym na górze. Myśl, że to wojownicze dziecko nosi ze sobą dwudziestkę dwójkę, której chłopcy zazwyczaj używają do polowania na szczury, była nedorzeczna. Broń wyglądała jak zabawka, ale Wendy wiedziała, że to niebezpieczne podejście.

Cally chodziła w tę i z powrotem po strzelnicy i udzielała wskazówek. - Nie celować, nie strzelać. Zabezpieczyć broń. - Podniosła pęknięty pustak i niemal bez wysiłku zaniosiła go na pień, najwyraźniej postawiony w tym celu w połowie drogi do pierwszej tarczy. - To standardowa odległość pokazowa American 180 - rzekła, wracając na pozycje strzeleckie.

Na posesji O'Neala były dwie strzelnice. Pierwsza, na której właśnie przygotowywali się do strzelania, służyła do wyrabiania celności. Na odcinku dwustu czy trzystu metrów rozmieszczono podnoszące się tarcze w kształcie ludzkich i posleeńskich sylwetek. Druga strzelnica, znajdująca się przy drodze dojazdowej, była strzelnicą taktyczną.

Cally popatrzyła na zebranych i zmarszczyła brew.

- Normalnie załatwia to Papa O'Neal, ale tym razem wypadło na mnie. Kto z was był już na strzelnicy?

Żadne ze zgromadzonych wokół niej dzieci nie podniosło ręki.

- Nikt z was nie był nigdy na strzelnicy? To gdzie ćwiczycie z bronią?

- W Podmieściu używanie broni przez osobę poniżej szesnastu lat jest nielegalne - powiedziała Wendy.

- To... bez sensu - zaprotestowała Cally. Wendy wzruszyła ramionami.

- Nie musisz mi tego mówić; w Hitlerjugend chłopcy byli jeszcze młodszy. Ale raczej szybko się poddawali i niewiele z nich było pożytku. Ale brali udział w prawdziwej wojnie.

- A ja nawet tam nie pojadę - powiedziała Cally.

- Zastrzeleńś kiedyś Posleena? - spytała Shari. - Pytam dlatego, że... nie wyobrażam sobie, żeby ktoś w wieku Billy'ego...

- Był przydatny? Widzisz ten bunkier przy domu? Zabiłam swojego pierwszego Posleena, kiedy byłam w jego wieku. Osłaniałam dziadka z karabinu, a on obsługiwał działko. To było w czasie lądowania pod Fredericksburgiem; posleeńska kompania wylądowała przy wlocie doliny i ruszyła w górę szlaku. Nie uciekł ani jeden; najpierw załatwiliśmy ich claymore'ami, a potem dorznięliśmy ocalałych. Dlatego uważani, że Billy mógłby być bardzo przydamy, jeśli by mu się pozwoliło.

- To i tak nie ode mnie zależy - powiedziała Shari, wzruszając ramionami.

- Nieważne - odparła Cally. - Masz coś przeciwko temu, żeby sobie tu postrzelał?

- Czy to bezpieczne? - Shari popatrzyła z lękiem na dziwny mały karabin.

- Oczywiście. Pierwsza rzecz, o jakiej mówię, to zasady bezpieczeństwa na strzelnicy.

I opowiedziała dzieciom o ochronie słuchu, podkreśliła, że broń musi być rozładowana i zabezpieczona, jeżeli ktokolwiek jest na torze, że nie trzyma się palca na spuście i że zawsze należy zakładać, że broń jest nabita.

- Najważniejsza rzecz: nigdy, ale to nigdy nie wolno kierować broni, nawet „nie nabitej”, w

stronę drugiego człowieka. Z punktu widzenia zasad bezpieczeństwa broń jest zawsze naładowana. Broń palna to nie czarna magia, to po prostu narzędzie do zabijania na odległość. Traktujcie ją jak użyteczne, ale niebezpieczne narzędzie, tak jak piłę mechaniczną, a wszystko będzie w porządku.

Podniosła karabin i włączyła laserowy celownik; na pustaku pojawiła się mała czerwona kropka.

- W przeciwnym razie stanie się to.

Trzymając broń u boku - kropka na pustaku była prawie nieruchoma, tylko ledwie dostrzegalnie drżała - nacisnęła spust.

Broń była cicha; seria zabrzmiała jak nie wyregulowany silnik motorówki. I to działający na bardzo wysokich obrotach.

Pustak zniknął. Pojedyncze pociski były maleńkie, kaliber .22 miał średnicę mniej więcej słomki do picia. Ale karabinek wypluwał ich kilkanaście na sekundę, przy niemal niezauważalnym odrzucie. Wendy widziała, jak pociski trafiają w cel w chmurze pyłu, a mimo to laserowy wskaźnik celownika wciąż pozostawał nieruchomy.

Po kilku chwilach iglica szczęknęła w pustej komorze. Cally zdjęła talerz i zastąpiła go nowym, a na ziemię u jej stóp spadł pojedynczy pocisk.

- Strasznie szybko zużywa amunicję - wyjaśniła, opuszczając karabinek. - I nie nadaje się do strzelania na daleki zasięg. Ale na bliski jest niezły, nawet przeciwko Posleenom, poza tym bardzo fajnie się z niego strzela. Jeżeli jednak mamy strzelać z czegoś innego, musimy założyć ochronne słuchawki.

Cally kazała Wendy podać jej steyra, a potem machnęła na Billy'ego. - Twoja kolej. Zarepetowała broń i ułożyła mu ją na ramieniu.

- Lewa ręka na kolbie, prawa na uchwycie, palec z dala od spustu - powiedziała. - Bezpiecznik masz pod prawym kciukiem. Spójrz przez szczerbinę, oprzyj policzek na kolbie i znajdź muszkę. Ustaw muszkę na celu. Weź oddech i kiedy będziesz gotów, powoli naciśnij spust. Lekko, strzał powinien być niespodzianką.

Billy spojrzał na nią, kiwnął głową, po czym mocno przycisnął karabin do ramienia.

- Nie napinaj się tak - powiedziała Cally. - To załedwie .308, odrzut nie przewróci cię na tyłek.

Billy znów kiwnął głową i powoli nacisnął spust, umieszczając pocisk w środku celu w kształcie człowieka.

- Dobrze - powiedziała Cally, a on szeroko się uśmiechnął. - Teraz podniosę sylwetkę Posleena. Na boku, tuż za barkiem, ma czerwone koło wielkości ludzkiej głowy. Masz go tam trafić. W porządku?

Billy nie wyglądał na specjalnie zadowolonego, ale w końcu wzruszył ramionami i kiwnął głową.

Posleen pojawił się dwadzieścia pięć metrów od nich, na przedłużeniu tej samej linii, na której uprzednio była sylwetka człowieka. Billy tak się przestraszył, że pierwszy pocisk posłał za wysoko, szybko jednak uspokoił się i drugi pocisk trafił w cel.

- Nie lubisz Posleenów, co? - spytała Cally. Billy pokręcił głową. - Umierają - powiedziała z szerokim uśmiechem. - Trafiasz ich, a oni umierają. Przewracają się i szlag ich trafia. Chodzi o to, że musisz ich trafić, i to zanim oni trafią ciebie. Jeszcze raz.

Spędzili na strzelnicy kilka godzin. W końcu wrócili do domu, żeby zjeść obiad, nakarmić niemowlaka i zabrać więcej amunicji. Wszystkim dzieciom pozwolono strzelać, choćby nawet z treningowej wiatrówki. Po wystrzeleniu łącznie kilku tysięcy pocisków Cally zarządziła przerwę.

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy - powiedziała, zabierając niezadowolonej Kelly sig-sauera. 40;

sześcioletka właśnie trafiła w dwie dziesiątki z dwudziestu pięciu metrów i była z siebie bardzo zadowolona. - Może kiedyś wrócicie i jeszcze postrzelamy. Na razie muszę sprawdzić, czy świnia się nie pali.

- To by była wielka szkoda - powiedziała Wendy. - Jestem głodna. Nasi piechurzy na pewno też.

- Skoro już o tym mowa, ciekawe, gdzie oni są? - spytała Shari. Z gór dobiegł ich głośny huk, który poniósł się echem po dolinie.

- Wygląda na to, że gdzieś w okolicy Składu Cztery - powiedziała Cally.

- Co to było? - spytała Wendy.

- Sądzę, że armata dziadka.

- Wszystko tam w porządku? - Shari osłoniła oczy od słońca i bezskutecznie wypatrywała czegoś na wzgórzach.

- O, tak - odparła Cally, zapędzając dzieci do zbierania i czyszczenia łusek. - Gdyby coś mu się stało, pozostali też otworzyliby ogień.

* * *

Papa O'Neal wskazał na krawędź piętnastometrowego urwiska, a potem na rosnącą na jego skraju młodą hikorę.

Przyglądając się uważnie, Mosovich zauważył na pniu drzewa wytartą korę. Kiwnął głową i spojrzał pytająco na farmera.

Papa O'Neal uśmiechnął się, zarzucił karabin na ramię i skoczył. Poleciał w dół jak kamień.

Kiedy wyjrzeli poza krawędź urwiska, okazało się, że biegnie tam wąska półka, na której mężczyzna wylądował, po czym z szerokim uśmiechem przykucnął i zniknął we wnętrzu góry.

Mosovich wzruszył ramionami, chwycił pień drzewa i skoczył w ślad za O'Nealem. Zauważył, że ten kuca u wejścia do jaskini, najwyraźniej gotów chwycić sierżanta, gdyby nie wylądował na półce.

Mosovich pokręcił głową, widząc jego uśmiech, i odsunął się na bok, aby zrobić miejsce Muellerowi. Ten jednak zachował większą ostrożność, znalazł jakiś uchwyt na niemal pionowej skale i powoli opuścił się na półkę. Potem wyminął O'Neala i wsunął się do jaskini.

Elgars spojrzała w dół i wzruszyła ramionami. Złapała za drzewo i skoczyła. Wylądowała trochę nierówno, ale zanim Mosovich czy O'Neal zdążyli zareagować, płynnym, niemal wolnym ruchem wyciągnęła rękę i złapała wystający fragment skały. Potem, gdy już odzyskała równowagę, przykucnęła i weszła do jaskini.

W głąb góry prowadził krótki korytarz, którym mógł przejść kucający człowiek, po czym jaskinia stawał się coraz wyższa i szersza. Po prawej strome sklepienie opadało gwałtownie w dół. Ściekająca po nim woda zbierała się w zagłębieniu, które najwyraźniej było dziełem ludzkich rąk. Po lewej stronie ściana była jeszcze bardziej pionowa. Cała ta strona jaskini zastawiona była pudłami.

Były tam metalowe i drewniane skrzynie z amunicją, plastikowe wodoodporne pojemniki, a nawet kilka galwasowych skrzyń na działka grawitacyjne do panczerzy i granaty. Wśród tego wszystkiego widać było około tuzina opakowań polowych racji żywnościowych.

- To nie tylko amunicja - powiedział Papa O'Neal, wyciągając długą, niską skrzynię z napisem „Amunicja, 81 mm, M256 HE”. W środku było kilka starych mundurów polowych, owiniętych w folię i poprzetykanych kulkami na mole. - Pełne komplety, w tym bojowe wyposażenie, dla całej drużyny. I racje na cztery dni. Woda? - Wskazał zagłębienie. - W jednej ze skrzyń są filtry.

- Ile ma pan takich magazynów? - spytał Mosovich, kręcąc głową. - To... Jezu, na samą myśl o kosztach bolą mnie zęby.

- Och, kilka lat trwało, zanim to wszystko zebrałem - zaśmiał się Papa O'Neal, strzykając na podłogę tytoniowym sokiem. - Poza tym zbierałem po trochu, więc nie było aż tak źle. Rząd wprowadził teraz programy, które pozwalają to robić. Przynajmniej na to wychodzi, kiedy czyta się to, co jest napisane drobnym drukiem; BATFby się zesrało, gdyby Kongres powiedział coś takiego wprost. A ostatnio... - Uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową. - Powiedzmy, że finansowo mój syn całkiem nieźle wyszedł na tej wojnie.

Mosovich musiał się z tym zgodzić. Flota stosowała coś w rodzaju przyzowego, połączenia galaktycznych praw z ich ludzką interpretacją. Ponieważ piechota mobilna generalnie była podstawową formacją uderzeniową, odnosiła największe korzyści finansowe ze sprzedaży zdobytej na Posleenach broni i statków oraz pozostawionych podczas odwrotu magazynów. Uwadze sierżanta nie uszło też to, jak Papa O'Neal zgrabnie uniknął odpowiedzi na pytanie, ile jeszcze ma takich magazynów.

Mężczyzna wrócił do wejścia i wskazał w dół, gdzie w oddali widać było farmę. Główna dolina Gap była zasłonięta wzniesieniem, ale widać było wyraźnie Czarną Górę - dominowała nad południowym horyzontem - za nią zaś narożnik muru.

- To w miarę niezły punkt obserwacyjny, ale oczywiście nie ma tu tylnego wyjścia. Nie lubię kryjówek, z których nie ma tylnego wyjścia.

- Tak, ja sam już kilka razy uciekałem na drzewo przed Posleenami - powiedział Mosovich, zerkając w dół zbocza. Można było po nim zejść, ale z dużą trudnością. - Nie podobało mi się to.

- No to miałeś pecha - powiedziała Elgars i zaśmiała się nerwowo.

- Jakiego Pecha? - spytał Mueller, wynurzając się z krótkiego tunelu.

- Miewacie retrospekcje, sierżancie? - zapytała Elgars.

- Czasami. Ale nie za często.

- Mnie przypominają się rzeczy, których nigdy nie robiłam - powiedziała Elgars i znowu zaśmiała się nerwowo. - Na przykład nigdy nie byłam na Barwhon, ale zaczęłam nienawidzić tej zimnej jak cholera, deszczowej planety.

- Taka właśnie jest - powiedział Mosovich. - Byłem tam tylko raz i nie mam najmniejszej ochoty wracać.

- Domyślam się, że występuje tam duże zróżnicowanie gatunków - powiedział ze śmiechem Papa O'Neal. - Opis pasuje do każdego z tych paskudnych miejsc, w których byłem - Wietnam, Laos, Kambodża, Kongo, Biafra.

- Taka właśnie jest - powtórzył Mueller. - Mieszka tam chyba z miliard różnych gatunków gryzących robaków, wszystkie długie na pół palca. Do tego czterdzieści milionów gatunków pnączy, przez które trzeba się przedzierać. I sześćdziesiąt milionów gatunków wysokich jak cholera drzew, które nie przepuszczają słońca.

- I całe mnóstwo Posleenów - zaśmiał się Mosovich. - No, przynajmniej kiedyś.

- Nagle stanęła mi przed oczami wioska Posleenów, kilka piramid i jakieś inne rzeczy - wtrąciła Elgars. - Patrząc prawym okiem przez lunetę, lewym normalnie. Wiero, że za chwilę w drzwiach pojawi się Posleen, a ja muszę go trafić. Potem słyszę kilka wybuchów i widzę kucyka. Zdejmuję go i kilka innych. Potem pojawia się Wszechwładca, ale mam na niego oko, zdejmując kolejne cele. Mam maskowanie podczerwieni, więc nie przejmuję się, że odpowiedzą ogniem. Karabin jest wielki, to pewnie barrett, i muszę kilka razy zmieniać pozycję, bo leżę na wielkiej gałęzi czy czymś takim. Potem drzewo zaczyna dygotać. Patrząc w dół i widząc pnące się w górę ślady trafień, a potem wszystko robi się białe.

- Chce mnie pani sprowokować? - spytał cicho Mosovich.

- Nie, dlaczego?

Mosovich spojrział na Muellera, który zbladł jak ściana. Przeszło mu przez myśl, czy by jej nie odpowiedzieć. W końcu pokręcił głową.

- Nie tutaj, nie teraz - powiedział. - Później. Może. Muszę się zastanowić.

- To nie jedyne wspomnienie, w którym umieram - powiedziała Elgars i wzruszyła ramionami. - W innym biegną i mam poparzoną dłoń, niosę coś, a potem ziemia skacze mi na spotkanie i umieram. I jeszcze inne, kiedy stoję po pas w wodzie, strzelam z biodra z pistoletu maszynowego. I umieram. I jeszcze takie, że wylatuję w powietrze i umieram.

- Często pani umiera - rzekł Mueller, patrząc na nią dziwnie.

- Aha. *Game's over*. Mam to bez przerwy. Praktycznie co noc. Ciężko jest mieć wiarę w siebie, kiedy człowiek bez przerwy umiera.

- Lekarze nic mi o tym nie mówili - stwierdził Mosovich.

- To dlatego, że kiedy zaczęły się te wizje, przestałam do nich chodzić. - Kapitan wzruszyła ramionami.

- Mnie też się śni, że umieram - powiedział Papa O'Neal, spluwając poza krawędź półki. - Ale najczęściej to wybuch, bomba atomowa. Co i rusz ten sen wraca. To się zaczyna robić pojebana rozmowa, a do takiej rozmowy muszę mieć piwo. - Chwycił pień drzewa i wciągnął się na górę. - Pora wracać i sprawdzić, czy Cally spaliła świnię.

Odwrócił się, żeby podać rękę Mosovichowi, kiedy nagle coś zaszeleściło w zaroślach.

Posleński normals, który najwyraźniej chował się w gęstwinie ostrokrzewu, teraz szarżował w dół zbocza z włócznią na wysokości barku.

Mosovich właśnie zaczął się podciągać i nie mógł nic zrobić.

Papa O'Neal zaś nie zawracał sobie głowy przewieszonym przez plecy karabinem szturmowym. Gładkim ruchem wyciągnął z kabury pistolet. Posleen był już tylko kilka metrów od niego.

Skierował desert eagle'a tuż ponad wystającym podwójnym ramieniem. Kość nad barkiem i sam bark osłaniały Posleena jak pancerz, ale tuż nad nim i pod nim były czułe punkty. Ten wyżej, odpowiadający okolicy obojczyka u ludzi, był mocno ukrwiony i unerwiony.

Papa O'Neal wypalił i odsunął się na bok, blokując włócznię lufą pistoletu. Posleen przebiegł jeszcze kilka kroków, a potem zsunął się po zboczu i spadł z urwiska.

- Już po wszystkim - zawołał spokojnie O'Neal. Potem wyjął z pistoletu magazynek i włożył nowy, pierwszy zaś skrupulatnie uzupełnił.

Mueller potrząsnął głową i otarł z policzka żółty ślad pozostawiony przez normalsa.

- Dobry Boże, jak to dobrze mieć do czynienia z zawodowcami - zaśmiał się.

Elgars była równie zdumiona.

- Ten Posleen miał taką dziurę, że weszłaby w nią na wylot cała moja ręka. Muszę mieć taki pistolet.

- Są fajne - przyznał Mueller, łapiąc za pień drzewa. - Tylko strasznie hałasują.

* * *

- Słyszeliśmy cię na wzgórzach - powiedziała Cally, kiedy cała czwórka pojawiła się przy grillu. - Szkoda, że go nie oskórowałeś i nie przyniosłeś uda..

- Spadł ze wzgórza - powiedział Papa O'Neal, uśmiechając się szeroko. - Duży pech, gdyby ktoś się pytał. Gdzie są wszyscy?

- Większość dzieci poszła się zdrzemnąć - powiedziała trzynastolatka, szturchając hikorowe ognisko. Związała włosy z tyłu głowy i założyła długi fartuch. Miała smugi popiołu na twarzy i rękach, przez co wyglądała jak średniowieczna dziewczka służebna. - Wendy i Shari powinny być w

środku i szykować nakrycia. Ale powiedziałam im, że jest jeszcze dużo czasu, więc podejrzewam, że też uderzyły w kimę. Jakież problemy?

- Ci ludzie nieźle poradzili sobie na wzgórzach - powiedział O'Neal. - Prawie tak dobrze jak ty.

- Mam pytanie - odezwał się Mueller. - Słyszałem, że ludzie jedzą Posleenów, ale...

Papa O'Neal zmieszał się, a Cally zaczęła histerycznie rechotać.

- Tak, zjadł jednego - powiedziała. - Właściwie kilku, w kawałkach.

- Smakują jak gówno. - O'Neal wzruszył ramionami. - Są twardzi, żyłaści, nie miękną w gotowaniu i są paskudni w smaku, gorsi niż leniwce, a to już o czymś świadczy.

- Jadł pan leniwca? - spytał Mueller. - Cholera, nigdy nie poznałem nikogo, kto by jadł leniwca.

- Poznałeś, poznałeś - skrzywił się Mosovich. - Ja raz zjadłem. Jeśli Posleeni są gorsi, to muszą być naprawdę paskudni. Trudno opisać, jak niedobry jest leniwiec; smakuje trochę tak, jak smakowałyby przejechany opos po kilku dniach leżenia na drodze.

- Dobry opis - powiedział Papa O'Neal. - A Posleeni są jeszcze gorsi. Udusiłem go nawet w sosie nam pla, według własnego przepisu z dodatkowymi papryczkami habanero, ale paskudny smak dalej pozostał.

- O Jezu! - zaśmiał się Mosovich. - Paskudztwo!

- W końcu odkryłem, że da się go zjeść po posypaniu grubo berbere - rzekł O'Neal. - To świństwo jest takie ostre, że całkiem zabija smak. Cała tajska kuchnia może się wypchać.

- O rany, pan chyba wszędzie był - powiedział Mueller, śmiejąc się. - Słyszałem o berbere, ale...

- Raz spróbowałem - przerwał mu Mosovich. - Ktoś się ze mną założył, że nie zjem całego talerza czegoś zwanego „wat nar bo”. - Pokręcił głową. - Spróbowałem i zapłaciłem. Wolę przełknąć dumę niż umrzeć.

- Berbere jest tylko dla twardzieli - przyznał Papa O'Neal. - Nawet ja nie jestem w stanie zjeść tego dużo, mimo że jadłem tyle naprawdę ostrych rzeczy, że wolę o tym nie myśleć. Dlatego już tego nie jem i nie pozwalałam jeść Cally. Można się po tym pochorować, tak jak kanibale, którzy jedzą ludzkie mózgi. Powoduje to powstanie jakiegoś białka, z którym nie umiemy sobie dać rady.

- Kreinsfelter czy jakoś tak? - spytał Mueller. - Generalnie to jest to samo co choroba wściekłych krów. Słyszałem, że można na to zachorować po zjedzeniu Posleena. A więc dlaczego pan ich jadł?

- To draństwo zaczyna działać dopiero po kilkudziesięciu latach. - Papa O'Neal wyszczerzył w uśmiechu zęby. - Jak by nie było, nie sądzę, żebym miał przed sobą jeszcze kilkadziesiąt lat.

- Głodny jestem. - Mueller wyszczerzył się równie szeroko. - Ale nie chcę umrzeć od tego, co zjem. Jest coś innego?

- Przegapiliście obiad - powiedziała nieco kwaśno Cally. - To będzie gotowe dopiero za godzinę. Ale można też przygotować kilka innych rzeczy.

- Zajmiemy się tym - parsknął śmiechem Mosovich. - Wskaż nam tylko kierunek, księżniczko wikingów!

Cally pogroziła mu płonąca gałęzią, a potem wskazała na dom.

- Jeśli słodka kukurydza jeszcze nie jest schowana, możemy ją zjeść - powiedziała. - Chleb kukurydziany jest w piekarniku. Kazałam dzieciakom zebrać trochę brokuł, można by je posiekać, wrzucić do dużej miski i wstawić do mikrofalówki. Moglibyśmy też zjeść trochę buraków, gdyby ktoś poszedł i ich narwał. Tak samo pomidorów; zawsze są dobre, kiedy trochę dłużej powiszą na krzaku. O czymś zapomniałam?

- O piwie - powiedział Papa O'Neal, biorąc dużą szpilę i dźgając nią płaty mięsa. - I o

obracaniu tego. Ile już leży na tej stronie?

- Około godziny. Przedtem miałam do pomocy Wendy i Shari.

- Daj, ja się tym zajmę - powiedział O'Neal. - Niech ktoś przyniesie mi piwo. Ty rządzisz w kuchni. Żadnej litości dla tych pogan! Naucz ich... puszkowania!

- Ach, tylko nie to! - roześmiała się Cally. - Nie mamy nic do puszkowania. Poza tym to goście.

- Wszystko potrafisz - zażartował O'Neal. - Idź, ja zajmę się mięsem.

Kiedy poszła, przetrząsnął stojące obok paleniska pudło i wyjął z niego duży kamionkowy dzban.

- Proszę - powiedział, podając go Muellerowi. - Niech pan spróbuje. Rosną od tego włosy na kłacie.

- Zawsze byłem dumny z mojej stosunkowo łysej klaty - powiedział Mueller, przechylając dzban. Pociągnął łyk, zakrztusił się i wypluł. Kiedy płyn prysnął w ogień, płomienie buchnęły w górę.

- Hej, w tych okolicach to jest wysoko cenione!

- Jako co? - wychrypiał Mueller. - Jako rozpuszczalnik?

Papa O'Neal wziął dzban i z niewinną miną powąchał zawartość.

- Ach, przepraszam - zachichotał. Sięgnął do tego samego pudła i wyjął drugi dzban. - Ma pan rację, to był rozpuszczalnik. Niech pan spróbuje tego.

* * *

Tommy wstał i podniósł kufel.

- Panie i panowie. Za nieobecnych.

- Za nieobecnych - mruknęli pozostali.

Major O'Neal wypuścił żołnierzy do niczego nie spodziewających się miast Newry i Hollidaysburg i zarządził oficera kolację. Oficjalnym powodem była adaptacja dwóch nowych, ale Tommy podejrzewał, że major obawia się, iż jego oficerowie narobią jeszcze więcej szkód niż szeregowcy. Major O'Neal wstał i podniósł piwo.

- Panowie i panie. Za tego, co się śmieje ostatni.

- Co się śmieje ostatni - mruknęła reszta.

- Sir - powiedział trochę zduszonym głosem kapitan Stewart. - Myślę, że nowi oficerowie powinni dowiedzieć się, dlaczego batalion ma takie motto.

- Mike prychnął i rozejrzał się.

- Duncan, ty jesteś naszym oficjalnym batalionowym gawędziarzem. Opowiedz im.

Duncan oderwał się od rozmowy z kapitan Slight, wstał, napił się piwa i odchrząknął.

- Przewodniczący mesy!

- Tak, panie kapitanie? - spytał Tommy.

- Aaa! - krzyknęła kapitan Slight.

- Błuznierca! - wrzasnął Stewart.

- W mesie nie ma stopni, Tommy - powiedział O'Neal, uciszając wszystkich.

- Przewodniczący mesy! - ciągnął Duncan. - Wprowadzić dudziarzy!

- Nie mamy dudziarzy - rzekł Tommy. - Sprawdziliśmy cały batalion, nikt nie umie grać na dudach. Zresztą i tak żadnych nie mamy.

Stewart nachylił się i wyszeptał mu coś do ucha, wskazując stojące w rogu urządzenie. Tommy podszedł do niego, szepnął coś do swojego przekaźnika i włączył urządzenie.

- Wygląda na to, że jednak mamy piracką wersję *Leśnych kwiatów* - powiedział. - Ale z nas szczęściarze.

Duncan odchrząknął i napił się piwa, a w tle rozległy się melancholijne dźwięki dud uilleann.

- To był najczarniejszy dzień czwartej fali. Siedemnasty stycznia dwa tysiące osiem, kiedy niebo wciąż jeszcze było pełne spadających niczym meteoryty szczątków Drugiej Floty. Kiedy podniosło się przyłbice, można było dostrzec resztki sił uderzeniowych przebijających się przez falę Posleenów i odholowujących starty na proch wrak supermonitora *Honsiu*. Pierwszy batalion 555 pułku piechoty dostał zadanie utrzymania ważnej przełęczy pod Harrisburgiem w Pensylwanii. Z przełęczy widać było dymy ostatniego natarcia na Filadelfię, a jeszcze lepiej widać było kolejne miliony Posleenów, którzy dopiero co wylądowali swoimi okrętami. Centrum Obrony Planetarnej na północy, trafiane raz za razem uderzeniami energii kinetycznej, toczyło ciężką walkę z powietrznymi lądownikami, batalion zaś odpierał kolejne fale posleeńskich ataków. Jednostki konwencjonalne na południu musiały mieć wsparcie artylerii, przez co batalion musiał bronić się sam. Powietrze było pełne jęku pocisków z działek grawitacyjnych, a całe niebo pokrywał nuklearny ogień. Wreszcie kompanii Alfa zaczęła się kończyć amunicja; musieli strzelać pojedynczymi nabojami. Tymczasem Posleeni metodą prób i błędów odkryli koncepcję „osłony”, i ci, którzy przeżyli, zaczęli kryć się w żlebie. Wychylali się tylko po to, żeby wystrzelić kilka pocisków, a potem znów się chowali. Starcie było w impasie: kompania nie miała granatów, żeby zniszczyć Posleenów, a Posleeni mieli dość giniecia na otwartym terenie. I właśnie wtedy nasz mężny dowódca przebiegł sprintem przez nawałę ognia, która skosiła już trzech ludzi z uzupełnień. Dobiegł do pozycji kompanii Alfa, zeskoczył do okopu i odszukał dowódcę kompanii...

- Craddocka - odpowiedział Mike i napił się piwa.

- Kapitana Jamesa Craddocka - ciągnął Duncan, unosząc kufel. - Za nieobecnych.

- Za nieobecnych - mruknęli wszyscy.

- Kapitan Craddock opisał ich ciężkie położenie i stwierdził, że jeśli szybko czegoś nie zrobią, Posleeni wzmocnią się liczebnie na tyle, że będą mogli zaatakować ich wręcz. A to by było... nieprzyjemne. Kapitan poprosił, żeby personel zaopatrzeniowy, głównie medycy i technicy, zrobili wszystko, żeby go wesprzeć. Nasz słynny przywódca zrobił wtedy swoją sławną minę sfinksa, rozejrzał się, podniósł wielki głaz i rzucił go w dół zbocza.

- Słysząc było chrzęst, kiedy głaz wbił się w Posleenów - wtrącił Stewart. - Był prawie tak wielki jak on sam. Major wyglądał jak mrówka podnosząca bryłkę ziemi.

- Potem odwrócił się do dowódcy kompanii i powiedział...

- Ten, kto się śmieje ostatni, to zazwyczaj ten, kto najszybciej myśli w biegu - powiedział Mike, popijając piwo.

- Potem - ciągnął Duncan - używając okolicznych głazów, kompania Alfa przez kilka godzin grała w „posleeńskie kręgle”. A później znowu dostaliśmy wsparcie artyleryjskie i wszystko od razu po szło z górki - powiedział Mike. - To artyleria uratowała tę wojnę. Ale zauważyłem, że przeżycie takich drobnych niedogodności generalnie jest kwestią tego, kto wymyśli zwycięską taktykę w ostatnim momencie. Zaczynasz realizować jakiś plan i wiesz, że... nic z tego nie będzie, więc się dostosowujesz. Ten, kto najlepiej, najszybciej potrafi się dostosować, zazwyczaj wygrywa.

- A my jesteśmy w tym bardzo szybcy - dodała zduszonym głosem Slight. - „My” to weterani zgromadzeni w tej sali. Dlatego tu jesteśmy.

Stewart podniósł kufel.

- Za tych, co myślą najszybciej. Obyto zawsze byli ludzie!

Rabun Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

20: 47 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
piątek, 25 września 2009

- Cally - powiedział Mueller, rozpierając się wygodnie za stołem i szeroko uśmiechając - któregoś dnia zostaniesz świetną żoną.

- Ja wcale nie lubię gotować. - Cally wzruszyła ramionami. - No, przynajmniej nie za bardzo. Ale jeśli chce się tutaj jeść, trzeba wszystko przygotować sobie samemu.

Obiad był wielkim sukcesem. Papa O'Neal wyciął ze świni około pięciu kilogramów wilgotnego, aromatycznego mięsa, sądząc, że to wystarczy, resztą zaś zamierzał zamrozić na później. Jak się okazało, musiał dwa razy wracać po dokładki. Oprócz gotowanych kolb kukurydzy i kukurydzianego chleba Cally przygotowała też żytni chleb, zapiekankę z zielonej fasoli i młode ziemniaki. Na deser był placek z orzechami pekan.

Dzieci, najedzone po uszy, odesłano w końcu do łóżek, przy stole zaś zostali tylko dorośli. Cally najwyraźniej także należała do tej grupy. Wszyscy siedzieli i skubali resztki jedzenia, a w tle grała muzyka z płyty.

- Wiem, o co ci chodzi - zaśmiała się Shari. - W Podmieściach są stołówki, ale dają tam okropne jedzenie. Są takie dni, że zabiłabym, żeby tylko móc zadzwonić po pizzę.

- Chyba je pamiętam - powiedziała Cally, wzruszając ramionami. - Ostami raz jadłam coś z fast foodu niedługo przed atakiem na Fredericksburg. Pojechaliśmy na wakacje do Keys i w Miami był jeszcze otwarty McDonald's. Czasami pieczemy sobie pizzę, ale robimy ją z czego się da.

- Dzieci nawet nie pamiętają fast foodów - powiedziała Wendy, odkrawając kawałek mięsa z przyniesionego przez Papę O'Neala uda świni. - No, Billy i Shannon trochę pamiętają. Ale lepiej pamiętają plac zabaw i dodawane do zestawów zabawki.

- Wszystko tak szybko się skończyło - powiedziała cicho Shari.

- To fakt - przytaknął Mosovich. - Na wojnie zawsze tak jest. Zapytajcie Niemców w pewnym wieku o to, jak wszystko się zmieniło podczas wojny, albo poczytajcie wspomnienia południowców z wojny secesyjnej. *Przeminęło z wiatrem* to dobry przykład; budzisz się pewnego dnia i okazuje się, że cały twój świat zniknął. Niektórzy dostosowują się do tego, a nawet lepiej sobie radzą, ale inni po prostu zwijają się w kłębek i umierają, albo naprawdę, albo w duszy.

- W Podmieściach jest dużo takich ludzi - powiedziała Wendy. - Ludzi, którzy się poddali. Siedzą całymi dniami i nic nie robią albo opowiadają, jak to będzie, kiedy wrócą dobre czasy.

- Nie będzie już tak jak dawniej - powiedział Mosovich. - To na pewno. Za dużo jest zniszczeń. Nawet „miasta-fortece” właściwie zostały zmiecione. Miasto to coś więcej niż ileś tam budynków. Richmond, Newport, Nowy Jork, San Francisco to w tej chwili tylko puste skorupy. Żeby znów zrobić z nich miasta... Nie wiem, czy do tego dojdzie.

- Podziemne miasta to teraz nic specjalnego - zauważył Mueller. - Byliśmy kilka miesięcy temu w Louisville, w dowództwie frontu wschodniego. Większość ludzi starała się dostać do Podmieść. Podmieścia przynajmniej przystosowano do poruszania się po nich pieszo. Przy braku paliwa życie w mieście stało się bardzo trudne. Zwykłe wyjście do sklepu to z reguły dłuższa wyprawa.

- Zwłaszcza, kiedy pogoda jest tak podła jak była ostatnio - powiedziała Shari.

- Jaka pogoda? - spytał Papa O'Neal.

- Tam, na dole, dostajemy raporty. Przez całą zimę padały rekordy mrozu. Już mówi się o nowej

epoce lodowcowej przez tę całą broń atomową.

- Hehehe - zaśmiał się O'Neal. - Nic mi o tym nie wiadomo. Gdyby zbliżała się epoka lodowcowa, farmerzy pierwsi by o tym wiedzieli. Kanadyjskie zbiory były do dupy, to fakt, najprawdopodobniej przez chińskie atomówki, ale nawet one wróciły do normy.

- Do Chińczyków też trudno mieć pretensje - powiedział Mueller. - Może tylko za to, że myśleli, iż uda im się pokonać Posleenów na równinach. Kiedy stracili już większość armii, zasypanie Jangcy żuzlem było jedynym sposobem, żeby zatrzymać Posleenów.

- Jasne - prychnął Papa O'Neal. - Ostatecznie zasypali chińskich maruderów, przez co Posleeni zatrzymali się tylko najedzenie. A to ich wcale nie spowolniło, w miesiąc doszli do Tybetu. Cholera, skoro mamy tyle antymaterii i atomówek, lepiej, żebyśmy sami nie znaleźli się w takiej sytuacji; zeszkilibyśmy całe wschodnie Stany, a pożytku byłoby z tego pewnie tyle samo. Wracając do pogody, jesteśmy w długotrwałym agresywnym cyklu pogodowym, który wywołał ciepły prąd w Atlantyku. Przewidziano to już przed inwazją. Poza tym pogoda jest w porządku. W tym roku była nawet świetna. Deszcze w samą porę. Mogłoby jeszcze trochę popadać, ale pewnie wtedy wolałbym, żeby mniej padało.

- Bez przerwy dochodzą do nas z powierzchni straszne raporty pogodowe - powiedziała Wendy. - Rekordowy mróz, śnieg w kwietniu i tego typu rzeczy.

- Cóż, mieszkam tu od... No, od dawna - powiedział O'Neal, zerkając z ukosa na Shari. - Ten rok wcale nie był gorszy niż inne. Tak, w kwietniu padał śnieg. Ale to się zdarza. To było siedemdziesiąt dwa dni po atomówkach.

- Czy ten człowiek rzeczywiście powiedział to, co usłyszałam? - spytała Elgars.

- Kto? - obejrzał się Papa O'Neal.

- Ten na płycie - odparła, wskazując w kierunku salonu. - Właśnie powiedział coś o rozsmarowywaniu pieczeni na piersi.

- No tak - uśmiechnął się Papa O'Neal. - To Warren Zevon.

- Warren kto? - spytała Wendy. Elgars coraz lepiej radziła sobie w towarzystwie. Wendy zastanawiała się nawet, czy kapitan właśnie umyślnie nie zmieniła tematu. Jeśli tak, to bardzo dobrze.

- Zevon - powiedział Mosovich. - Balladzista najemników. Świetny facet. Raz go spotkałem. Ale przelotnie.

- Gdzie? - spytała Shari. - Nazwisko brzmi znajomo, ale nie mogę przypomnieć sobie piosenki i... - Wysłuchiwała kilku wersów i zbladła. - Czy on właśnie zaśpiewał to, co mi się wydawało?

- Aha - skrzywił się Papa O'Neal. - To *Excitable boy*. Jeden z jego... ostrzejszych kawałków.

- No, nie wiem - zachichotała złośliwie Cally. - Może zaśpiewaj jej kilka linijek *Roland the headless thompson gunner*.

- To chyba nie będzie konieczne - uśmiechnęła się Shari. - Poza tym wierzcie albo nic, mam poczucie humoru.

- Tak? - spytała Cally z uśmiechem. - To po co Posleen przeszedł przez ulicę?

- Poddaję się - powiedział Mueller. - No, po co Posleen przeszedł przez ulicę?

- Żeby dostać się na drugą stronę.

- Do kitu - powiedział Mosovich. - A czym różni się prawnik od Posleena?

- Nie wiem - odparła Shari.. - Temu pierwszemu płacą za pożarcie człowieka żywcem?

- Nie, ale to też niezłe - stwierdził Mosovich. - Jeden jest strasznym, nieludzkim ludożerczym potworem, a drugi obcym.

Cally rozglądała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się bezczelnie.

Skąd wiadomo, że Posleeni są biseksualistami? Bo biorą do buzi zarówno mężczyzn, jak i

kobiety!

- Nie wierzę, że to powiedziałaś! - zachłysnął się Papa O'Neal, a pozostali roześmiali się.

- Chryste, pozwalasz mi słuchać Black Sabbath i Ozzy'ego Osbourne'a, dziadku! - zawołała

Cally. - A czepiasz się głupiego dowcipu?

- Co jest nie tak z Black Sabbath? - zaprotestował. - Dobry zespół. Świetne teksty.

- No, nie wiem - odparła z przekąsem Cally. - Może nazwa?

- Chrześcijańska!

- Katolicka, bardzo dziękuję. Po co Himmit przeszedł przez ulicę?

- Nie wiem - odpowiedziała Elgars.

- Nie przeszedł, tylko siedzi na ścianie za tobą - roześmiała się Cally.

Elgars popatrzyła na nią spokojnie.

- To ma być dowcip? Nie rozumiem. Co to jest Himmit?

- To jedna z ras Galaksjan - odparła Cally. - Przypominają duże żaby. Potrafią wtapiać się tak dobrze w tło, że robią się niewidoczni.

- A znacie ten kawał - spytała Wendy - o Himmicie w barze? Podchodzi klient do pianisty i mówi: „Na ścianie za tobą wisi wielka niewidzialna żaba i pije piwo”. A pianista: „Zanuć kawałek, to podłapię”. Albo ten o bezczelnym Indowcy? Kiedy z tobą rozmawia, patrzy na twoje buty, zamiast na swoje.

- Okropny! - zawołała Cally.

- Straszny - zgodziła się Shari. - Prawie tak samo kiepski jak ten: jaka jest najlepsza maskotka dla piechoty mobilnej? Homar, bo jest dobry w smaku, ale ma twardą skorupę.

- Mój tata do tego pasuje! - powiedziała Cally. - Jak się nazywa Krab na cukrze? Flubber. Skacze i skacze...

- Jak się wita dwóch głodnych Posleenów? - spytał Papa O'Neal, nie dając za wygraną. - Oczywiście solą i pieprzem.

- Dlaczego Posleeni zostawili honorową buławę w McDonalddie? - spytała Cally. - Bo zobaczyli napis „6 miliardów obsłużonych”.

- Ledwie pamiętasz McDonalda - powiedział podejrzliwie Papa O'Neal. - Kto ci to opowiedział?

- A, taki jeden. - W oczach Cally zamigotały iskielki.

- O, cholera - mruknął Mueller. - Jak autobus pełen prawników przedostał się przez posleenijskie linie? Swój pozna swego.

- Co za jeden? - dopytywał się Papa O'Neal.

- Co powiedzieli Posleeni, kiedy zajęli Oświęcim? - powiedziała Cally, ignorując jego pytanie.

- „Wolimy sushi.”

- Co za jeden, Cally? - powtórzył O'Neal.

- Zwykły żołnierz - odparła. - W Piggly Wiggly. Opowiedział dowcip, ja też, a potem wyszłam. To nic takiego...

- Jak się nazywa Posleen na otwartej przestrzeni i wybuch bomby paliwowo-powietrznej? - Mueller rozpaczliwie próbował zmienić temat. - Big mac z frytkami.

- Co to znaczy „nic takiego”? - zapytał groźnie Papa O'Neal. - Nie chcę, żeby zaczęli śpiewać Cally poszła raz do miasta.

- Michaelu O'Neal, spójrz na mnie - westchnęła Shari.

- Tak? - mruknął.

- Jak Posleeni nazywają Carla Lewisa?

- Nie wiem. - O'Neal pokręcił głową. - Nie dacie mi dokończyć tego tematu, co?

- Nie. Fast food.

Prychnął.

- Dobrze.

- Co powiedział Posleen na widok Etiopczyka?

- Nie wiem - uśmiechnął się O'Neal. - Co?

- „Znów *nouvelle cuisine*? Mam ich milion. „Jak Posleen mówi na lekarza?

- Jak?

- Obiad. A jak Posleen mówi na budowlańca?

- Nie wiem.

- Obiad. A jak Posleen mówi na polityka? Konkurencja. A na prawnika? Kłopoty. Wiecie, że naukowcy opracowujący broń chemiczną zaczęli ją testować na prawnikach zamiast na Posleenach? Prawnicy szybciej się mnożyli, a poza tym naukowcom zrobiło się żal Posleenów. I ostami dowcip. Dlaczego przejście przez Chiny zajęło Posleenom niecały miesiąc? Wiecie, jak to jest, zjesz chińszczyznę, a godzinę później...

- Jezu, jesteś niemożliwa - zaśmiał się O'Neal.

- Masz tu coś Vana Morrisona? - spytała Shari.

- Mam chyba jego składankę, a czemu pytasz?

- Bo chcę zatańczyć - odparła, biorąc go za rękę i wstając. - Chodź.

- Mam dwie lewe nogi - zaprotestował.

- Obejmij mnie i drepcz w kółko - powiedziała z błyskiem w oku. - To bardzo łatwe.

- Żeby się pani nie zdziwiła - mruknął Mueller.

- A pan niech się zamknie.

Kiedy muzyka w tle zmieniła się, Elgars nalała sobie odrobinę lepszego bimbrowa, zamieszała go w kubku i spojrzała na Mosovicha.

- Myślę, że teraz jest dobra pora.

- Dobra pora na co? - spytała Cally.

- Kiedy byliśmy na spacerze, opowiedziałam Mosovichowi o moich snach - odparła Elgars. - Coś mu się w nich bardzo nie podobało.

- Tak. - Mosovich nalał sobie bimbrowa i usiadł wygodniej. - Nie spodobało mi się to, że osoba, która miała to doświadczenie, rzeczywiście istniała, a teraz nie żyje. Widziałem, jak umierała.

- Gdzie? - spytała Cally.

- Na Barwhon - wtrącił Mueller. - Byliśmy obaj w drużynie zwiadowczej wysłanej tam, zanim jeszcze siły ekspedycyjne dotarły na miejsce. Byliśmy świnkami morskimi, mieliśmy sprawdzić, jak niebezpieczni są Posleeni.

- Ty nie pamiętasz tamtych czasów - powiedział Mosovich. - Ale... wtedy było dużo niedowierzania. „Inwazja obcych? Jasne, i co jeszcze?“. Złudzenia szybko się rozwiały, kiedy na Barwhon dotarła delegacja wysokiego szczebla, która została pożarta, a nagranie tego zdarzenia wróciło na Ziemię. Tak czy inaczej, robiliśmy na Barwhon zwiad, badaliśmy możliwości bojowe Posleenów, ukształtowanie terenu i pola walki...

- Chyba za bardzo się postaraliśmy - ciągnął dalej sierżant. - Dostaliśmy rozkaz pojmania i przywiezienia ze sobą Posleena. Uznałem, że łatwiej będzie nam porwać pisklaka niż dorosłego, więc zaatakowaliśmy obóz, w którym trzymano też trochę Krabów jako ruchomą spiżarnię. Okazało się, że Posleeni walczą lepiej niż sądziliśmy. Teraz już wiemy, że mają systemy wykrywania snajperowi że pojawiają się na pierwsze odgłosy walki. Straciliśmy wtedy kilka legendarnych

postaci operacji specjalnych, w tym naszego snajpera, starszego sierżanta Sandrę Ellsworth. Opis pani snu dokładnie odpowiada okolicznościom jej śmierci.

- Ja to samo pomyślałem - powiedział Mueller. - Zupełnie jakby opowiadała to Sandra, włącznie z jej południowym akcentem.

- Ale wiecie co? - wtrąciła Wendy - Tego akcentu już prawie nie słysząc.

- Właśnie to nas tak zdziwiło - powiedział Mosovich.

- Myślicie, że Kraby włożyły mi do głowy waszą przyjaciółkę? - spytała cicho Elgars. - Podobne nazwisko, obie snajperki? Tak myślicie?

- Nie - odparł Mosovich. - Ellsworth była... wyjątkowo dziwna. Pani jest o wiele...

- Bardziej zrównowazona - wszedł mu w słowo Mueller. - Niech mnie pani źle nie zrozumie. Podczas misji Ellsworth była świetna, ale bez munduru to była dzikuska; pani jest dziesięć razy bardziej normalna.

- Bardzo dziękuję, sierżancie - odparła kwaśno.

- Bez urazy, ma'am - zapewnił pospiesznie.

- A jak to wpłynie na wasz raport dla pułkownika Cutprice'a?

- Opiszę mu chyba całą tę wariacką historię - odparł sierżant Mosovich. - Umie pani poruszać się w lesie, wiemy, że umie pani strzelać. Gdyby była pani szeregowcem albo plutonowym, nie byłoby w ogóle sprawy. Ale w przypadku kapitana pułkownik sam będzie musiał zdecydować. Moim zdaniem pani się nadaje.

- Dzięki - powiedziała Elgars. - Muszę to przemyśleć. Zgadza się, że nie wiem, co jeszcze może spoczywać w głębinach mojego umysłu i kim naprawdę jestem.

- Cała ta sprawa nadaje zupełnie nowego znaczenia powiedzeniu „poznawać samego siebie” - stwierdził Mosovich. - Myślę, że na dłuższą metę wszystko się ułoży. Oczywiście na tyle, na ile w dzisiejszych czasach cokolwiek w ogóle może się ułożyć.

Zajrzał do salonu, w którym Papa O'Neal i Shari tańczyli do melodii *Magie carpet ride*.

- Niektórzy z nas, oczywiście, radzą sobie lepiej niż inni.

O'Neal podszedł do nich, trzymając Shari za rękę.

- Dobranoc wszystkim. Jesteśmy trochę zmęczeni, więc idzie my spać.

Ruszyli oboje w stronę schodów, wciąż trzymając się za ręce.

- No proszę - powiedziała gorzko Cally. - A mnie mówi, żebym nie jeździła do miasta!

- Oboje są dorośli i umieją podjąć racjonalną decyzję - zauważyła Wendy. - On jest twoim dziadkiem, a ona mogłaby być matką.

- A on jej ojcem - przypomniała Cally.

- Według Koranu, idealny wiek dla żony to połowa wieku męża plus siedem lat - wyrecytował Mueller. - A więc wciąż jesteś dla mnie za młoda. Właściwie... - Spojrzał na sufit i policzył na palcach. - To oznacza, że idealny facet dla ciebie powinien być... w twoim wieku. Za to... - Odwrócił się do Wendy.

- Chwileczkę - powiedziała, sięgając do tylnej kieszeni.

- Aha! - zawołał Mosovich. - Słynne zdjęcie chłopaka.

Mueller z szerokim uśmiechem wziął fotografię. Po chwili na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

- Jezu Chryste.

Podał zdjęcie Mosovichowi.

Na zdjęciu była Wendy, śmiała się do obiektywu szczęśliwie i głupkowato. Obok niej stał mężczyzna w mundurze i miał podobny wyraz twarzy. Najbardziej jednak uderzał fakt, że Wendy,

choć żadną miarą nie jest drobna, wyglądała przy nim jak lalka przy... wzgórzu.

- To pani chłopak? - zapytał Mosovich.

- Tak. Jest podoficerem w Dziesięciu Tysiącach. Dwieście trzy centymetry wzrostu, sto dwadzieścia siedem kilo i większość z tego to mięśnie. Poznaliśmy się podczas bitwy o Fredericksburg. Właściwie nie. Wiele lat chodziliśmy razem do szkoły, ale aż do czasu bitwy nie zwracałam na niego uwagi.

- Czy ja też muszę czekać, aż ktoś mnie uratuje w bitwie? - spytała Cally. - Poza tym pewnie byłoby na odwrót.

- Nie, ale powinnaś poczekać jeszcze kilka lat z podejmowaniem życiowych decyzji - zaśmiała się Wendy.

- Rozumiem - pokręciła głową Cally. - Zapisane, zapamiętane. W porządku?

- W porządku.

Elgars wstała i podeszła do Muellera, przechylając na bok głowę. Po chwili nachyliła się, zarzuciła sobie jego rękę na szyję, oparła się barkiem o jego tors i dźwignęła go do góry. Kilka razy ugięła na próbę kolana, a potem kiwnęła głową.

- Dam radę - powiedziała. W jej głosie nie słychać było wysiłku.

- Co pani robi? - spytał Mueller, wisząc z głową mniej więcej na wysokości jej pośladków.

- Z tego, co wiem, nigdy nie byłam z nikim w łóżku - odparła, ostrożnie zniżając się w stronę schodów. - Ty się nadajesz.

Mosovich otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, potem jednak je zamknął. Ponieważ on i Mueller są z Floty, a Elgars z sił naziemnych, sytuacja nie podpada pod paragraf o fraternizacji. Jeżeli tylko przeżyją schody, wszystko powinno być w porządku. Dopił bimber i spojrzał na stół.

- Wygląda na to, że tylko my zostaliśmy, do sprzątnania - powiedział - ponieważ wolę uniknąć gniewu zarówno chłopaka Wendy, jak i miejscowego farmera.

Cally westchnęła i zaczęła zbierać talerze.

- Parszywy dzień - powiedziała, zerkając w stronę schodów.

* * *

- Nadejdzie w końcu dzień, kiedy usłyszymy dobre wieści - po wiedział wielebny O'Reilly, spoglądając na swojego gościa.

Indowy Aelool skrzywił się w grymasie, który u jego rasy oznaczał sprzeciw.

- Skąd miałyby nadejść dobre wieści? Jakkolwiek by wyteżać wyobraźnię, wszystko zmierza ku czemuś wręcz przeciwnemu.

Mierzący metr dwadzieścia, zielony, porośnięty futrem dwunóg o twarzy nietoperza siedział na fotelu i machał nogami jak małe dziecko, chociaż najprawdopodobniej miał ponad dwieście lat. W przeciwieństwie do praktycznie wszystkich Indowy jakich spotkał O'Reilly, wódz klanu Triv - liczącego czternastu członków - nigdy w towarzystwie ludzi nie robił wrażenia zmartwionego albo zmieszanego. Albo był przekonany, że ludzie, choć wszystkożerni, nie zabiją go niespodziewanie za jakąś pomyłkę, albo był nienaturalnie odważny. O'Reilly nigdy nie ustalił, jak było naprawdę.

- Och, wystarczyłby jakiś pomyślny drobiazg - powiedział, machając kartką z wiadomością. - Nasz stary przyjaciel wracana Ziemię. Właściwie już powinien tu być.

- Dol Ron - powiedział spokojnie Indowy. - Słyszałem. Ciekaw jestem, co złego knuje tym razem?

- Cóż, w czasie jego pierwszej wizyty straciliśmy Hume'a, co rozbiło jedyną grupę zbliżającą się do poznania sekretu Darhelów - powiedział wielebny. - W czasie drugiej ktoś zhackował dziesiąty korpus, a winę za to zwalono na Cybersów, którzy pracowali nad złamaniem kodów

GalTechu. Och, no i był jeszcze zamach na Cally O'Neal, który miał zniszczyć jej ojca. Trzecia wizyta to śmierć generała Taylora i wyeliminowanie dwóch gałęzi Société. A teraz ta podróż. Ciekaw jestem, kto umrze tym razem?

- Nie żołnierz - odparł Aelool. - Cybersi nie przerwaliby zabijania, dopóki nie zrobiliby wszystkiego. A to bardzo dobrzy zabójcy.

- Może powinniśmy wysłać kilka własnych grup - powiedział O'Reilly. - Przecież to nie jest tak, że nie rozpoznajemy diabła, kiedy nam się ukazuje.

- Doi Rona znamy - skrzywił się znów Aelool. - Gdybyśmy go usunęli, musielibyśmy budować siatkę wywiadowczą wokół jakiegoś nowego Darhela. A to niełatwe. No i potem w każdej chwili moglibyśmy wszystko stracić, gdybyśmy natrafili na Cybersów. Być może dobrze byłoby niedługo zawrzeć kolejną „Ugodę”. Problem tylko w tym, że często są one bardzo krępujące.

- Wycofam moich ludzi - powiedział O'Reilly. Wiedział, że Aelool był przeciwny ugodzie z Cybersami. Indowy został wodzem tylko dlatego, że był najstarszym wśród ocalałych z czternastomilionowego klanu i nie przejmował się stratą kilku osób tu czy tam. - Wyślę też ostrzeżenie do niektórych „zewnątrznych” grup.

- O'Nealów?

- Tak, między innymi - odparł wielebny. - Nie mamy już tam ludzi; straciliśmy zespół Conyers, próbując nie dopuścić do sankcji Ontario. Dlatego myślę, że będą zdani na własne siły. Ostrzegę ich, że mogą spodziewać się wrogo nastawionych gości.

- Utrzymanie O'Nealów, a zwłaszcza Michaela O'Neala, przy życiu, na dłuższą metę ma pozytywne implikacje - skinął głową Aelool. - Zwraca na to uwagę sama góra Bane Sidhe. Znam sposób, by się z nim dyskretnie skontaktować. Chciałbyś, żebym to zrobił?

- Proszę bardzo - powiedział O'Reilly. - A potem przygotuj się na burzę.

* * *

Shari przesunęła dłonią po długiej bliźnie na brzuchu Papy O'Neala i nawinęła na palec siwe włosy porastające jego pierś.

- Było bardzo przyjemnie; niezły jesteś.

- Dzięki - powiedział O'Neal, przewracając się na plecy i łapiąc butelkę wina, którą postawił przy łóżku. - Ty też. Zmęczyłaś starego człowieka.

- Akurat - zachichotała Shari. - Ja też nie jestem najmłodsza i też się zmęczyłam.

- Nie jesteś nastolatką - powiedział O'Neal, przytulając ją mocniej - ale nie chciałbym w łóżku nastolatki; ktoś, kto nie ma żadnych blizn, nie jest wart, żebym poświęcał mu czas.

- Ja nie mam żadnych blizn - powiedziała Shari, przekomarzając się z nim. - Widzisz? - Machnięciem ręki wskazała na swoje ciało. - No, po wycięciu wyrostka. Ale nic więcej.

- Wiesz, o co mi chodzi. - O'Neal spojrzał jej w oczy. - Myślę, że mimo wszystkich szram i śladów po nożach mam mniej blizn niż ty. Niewiele mniej, ale jednak mniej.

- Kłamca.

- Nie mów tak - powiedział Mike Senior i uśmiechnął się. - Naprawdę, dawno temu myliłem się, sądząc, że wystarczy mi ładna i młoda. Nieprawda. Człowiek, który nie przeszedł przez ogień, nie wie, po co żyje. Myśli, że wszystko jest jasne i słodkie. Atak nie jest. Świat to w najlepszym przypadku chiaroscuro. Przysięgam, moja była żona dalej uważa, że można z Posleenami rozmawiać i perswadować im, że źle robią. Można „sprowadzić ich na łono Bogini”. Rzygać mi się od tego chce. Zwłaszcza kiedy pomyślę, ile złego zrobiły na początku wojny dupki głoszące hasło „pokoju za wszelką cenę”. Niektórzy ludzie są, szczerze mówiąc, pięć razy gorsi od Posleenów. Oni nie mają wyboru, muszą działać w swoim zamkniętym kręgu, ale ludzie mogą wybierać. Prawda jest taka, że

zbyt wielu z nich wybiera zło.

- Nie uważam, żeby przemoc była receptą na wszystko - powiedziała Shari. - A ludzi nie można nazywać złymi, nawet mojego byłego męża, który był tego bardzo bliski. Na pewno jednak to jedyny język, jaki Posleeni rozumieją. Nie... nie zawsze w to wierzyłam. Ale po Fredericksburgu nie jestem już tym samym człowiekiem.

- Wiem - powiedział O'Neal, obejmując ją. - Jesteś lepsza.

Przytuliła się do niego i skubnęła go w ramię.

- Mówisz tak, żeby mi zrobić przyjemność.

- Nie, mówię tak, żeby cię przelecieć - zaśmiał się O'Neal. - Jeśli sprawia ci to przyjemność, nazwijmy to korzyścią uboczną.

- Co? Znów? Wykupiłeś receptę na viagrę?

- Dla ciebie, maleńka, niepotrzebna mi viagra! - O'Neal szturchnął ją w biodro.

- Co? Ty zboczeńcu! Obrażasz mnie!

- Przepraszam - rzekł ze śmiechem farmer. - Za bardzo się wczułem w Bruce'a Campbella.

- No, dopóki nie wyskoczysz z czymś w rodzaju „maleńka, aleś ty brzydka”, daruje; ci życie - powiedziała Shari i pocałowała go.

Potem przesunęła palcem po jego kręgosłupie i szepnęła mu do ucha:

- „Dobry Ash, zły Ash, to ty masz broń”.

ClarKesville, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

01: 15 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,

sobota, 26 września 2009

- Goloswinie, jak idzie? - spytał Tulo'stenaloor.

Posleński technik spojrział na niego znad monitora i poruszył grzebieniem.

- Dobrze. Odebraliśmy nowe... dane.

- Tak? Z Sieci?

- Tak - odparł Goloswin, wskazując monitor. - Od kessentaia, który był na Aradanie. Wygląda na to, że zdobył dostęp do kodów kontrolnych łączności metalowych threshkreen. W tym łączności między wodzem wszystkich threshkreen w tej krainie i metalowymi threshkreen. Poza tym z tego środka łączności korzystają też inni threshkreen, w tym twoi przyjaciele z lurp. Mam też ich numery i rozmieszczenie w całych Stanach; jedyna wolna jednostka znajduje się w swoich kwaterach w rejonie, który ludzie nazywają „Pensylwania”. Dostęp do kodów pozwala też wejść do systemu łączności Indowy na tej planecie, chociaż jest ich tu bardzo niewiele. Nieliczni Darhelowie są wciąż odcięci, ale w tej sytuacji mogę zabrać się za nich.

- Doskonale - powiedział Tulo'stenaloor, poruszając grzebieniem.

- Szturm zaczyna się jutro w południe. Mając te informacje, będzie my wiedzieli, kiedy nadejdą te przekłete „pancerze wspomagane”.

- Możemy zmieniać część ich informacji - powiedział Goloswin.

- Sprawiać, by myśleli, że zostały powiedziane rzeczy, których wcale nie powiedziano, albo podpowiadać im fałszywe informacje. Ale to zostanie szybko wykryte. Możemy też po prostu nasłuchiwać. Dopóki się nie zorientują, że działamy na podstawie ich informacji, nie będą o niczym wiedzieli.

- To dobrze - powiedział Tulo'stenaloor. - Myślę, że póki co będziemy tylko nasłuchiwać. Dopilnujemy, żeby Esstu dostał swoje informacje.

- Tak zrobię - zbulgotał z zadowoleniem Goloswin. - Najwyższa pora!

- Tak - powiedział Tulo'stenaloor, gładząc w zamyśleniu zdobienie grzebienia. - Rzeczywiście, w samą porę.

* * *

- Balanosolu, twoje oddziały są do niczego - warknął Orostan. Spojrział złowrogo na oolt kessentaia i w gniewie zjeżył grzebień. Oolt'os byli na wpół zagłodzeni, u wielu widać było sterczące kości, a ich sprzęt się rozpadał.

Kessentai zaś był odziany w złotą i srebrną uprząż - było na niej tyle metalu, że mógłby żywić swój oolt przez cały miesiąc - a na jego tenarze zamontowany był najcięższy model działka plazmowego.

- Myślę - ciągnął oolt'ondai - że właśnie tobie powinien przy paść zaszczyt poprowadzenia jutrzejszego natarcia.

Rozmowa toczyła się w świetle półksiężyca, niedaleko na północ od Clarkesville, gdzie miliony Posleenów rozwijały szyki i ustawiały się na pozycjach do szturm. Przejście pierwszego szeregu stąd do wysuniętego punktu zbornego w ruinach Clayton miało zająć trzy godziny. Kiedy tam dotrą, mogą się spodziewać ostrzału artylerii, chociaż tym razem nie powinien on potrwać zbyt długo.

- Nie sądzę - powiedział Balanosol, unosząc buńczucznie grzebień. - Jestem starszy od ponad

połowy wojowników, w tym twojego sorlana. Niech im przypadnie zaszczyt walki w pierwszym szeregu; ja zamierzam przeżyć ten szturm.

- Doprawdy? - zapytał Orostan. - W takim razie popatrz na skraj lasu.

Kessentai odwrócił głowę w bok i w słabym świetle dostrzegł wśród drzew błyski metalu.

- Zgodziłeś się wykonywać nasze rozkazy - zasyczał cicho Orostan. - Dałeś słowo. Przez ostatni miesiąc jadłeś nasz prowiant, piłeś naszą wodę i oddychałeś naszym powietrzem. Masz u nas dług edas. Pozwoliliśmy, żeby twój fuscirto oolt żarł nasze zapasy, ponieważ jesteś nam potrzebny, ty i tobie podobne ścierwa, w pierwszym szeregu. Więc jeśli myślisz, że będziesz chował się na tyłach i obdzierał trupy lepszych od ciebie, to się mylisz. Albo przejdiesz na pozycje startowe, albo mój oolt'ondar zabije i pożre ciebie i twój żaloszny oolt. Widzisz, być może ludzie cię zabiją. Ale jeśli się nie ruszysz, ja zabiję cię na pewno. Choćby po to, żeby usunąć taką skazę z oblicza naszej rasy.

Zabiedzony oolt ruszył więc autostradą na wyznaczone pozycje.

- A więc to są te twoje „jednostki polityczne” - rzekł Cholosta'an.

- Tak - kłapnął paszczą Orostan. - Będzie lepiej dla naszej rasy, jeśli pozbedziemy się takich chwastów jak on. Jeśli przeżyje, zajmie po prostu pierwszy bezużyteczny kawałek ziemi, na jaki natrafi.

- Zamiast dostać działką z całości - dodał Cholosta'an. - Ale nawet twoje Jednostki polityczne” będą musiały w końcu przejść przez Gap. A nie dokonamy tego bez strat.

- Och, gdybyśmy byli wystarczająco daleko z tyłu, dokonalibyśmy tego - odpowiedział Orostan. - Aleja nie jestem zainteresowany przełęczą. Jestem za stary, żeby wszędzie latać tenarem tak jak wy, młodziki - ciągnął, kiedy pierwszy oolt'poslenar, lekki jak piórko, opadł na ziemię. - Nie, Gap i tenary nie są dla nas; my pojedziemy z klasą.

* * *

Shari ziewnęła, wyglądając przez okno humvee. Zbliżali się do Franklin; po dotarciu do Podmieścia życie na powrót stanie się nudną rutyną. Ale, przypomniała sobie z uśmiechem, nie na długo.

- A więc naprawdę zamierzasz przenieść się tam? - spytała Wendy. - I co ja wtedy zrobię?

Szarpnęła skórzane spodnie, które zabrała od O'Nealów, a które nie leżały na niej zbyt dobrze. Papa O'Neal był bardzo miły i nalegał, żeby dobrze ubrać dzieci. Kiedy Wendy znalazła w głębi szafy spodnie, które wyraźnie jej się spodobały, O'Neal uparł się, by je także wzięła. A kiedy Papa O'Neal się upiera, należy go słuchać. Dopiero później Wendy dowiedziała się, że spodnie należały do świętej pamięci Sharon O'Neal. Sądząc po rozmiarze, ta kobieta musiała mieć nogi jak żyrafa i tyłek jak mrówka.

- Myślałam, że pojedziesz do Tommy'ego - odparła Shari. - Tak, chyba się zdecyduję. To bardzo miły człowiek, bardzo sympatyczny jak na kogoś tak... niebezpiecznego. Poza tym dorastanie na farmie na pewno zrobi dzieciom lepiej niż Podmieście.

- Cieszę się twoim szczęściem, chociaż mnie samej tak się nie układa - powiedziała Wendy. - A z Tommym jeszcze zobaczymy. Właśnie dochrapał się starszego plutonowego, więc powinnam móc przenieść się do wojskowych kwater. Są w Fort Knox i, jak mówi dowcip, pilnują ich lepiej niż złota. I bardzo dobrze, mam już dość bycia celem.

- To baza Dziesięciu Tysięcy, prawda? - spytała Elgars. Siedziała na przednim siedzeniu na kolanach Muellera, który zasnął prawie natychmiast po wejściu do samochodu. - To tam miałabym wrócić, gdyby pułkownik Cutprice przyjął mnie z powrotem?

- Tak - powiedział Mosovich. - A ja to poprę.

- Dziękuję, sierżancie - odparła cicho Elgars. - Chciałabym już wrócić do jednostki. Muszę jak

najszybciej wziąć się w garść. Może dlatego, że tylko to potrafię. - Spojrzała przez okno na wschód i pokręciła głową. - Co to jest, do cholery? I skąd się wzięło?

Mosovich spojrzał we wskazanym kierunku i pokiwał głową.

- Wygląda na to, iż Dowództwo Wschód uznało, że przyda się nam jakieś wsparcie.

Działo SheVa właśnie ustawiało się na pozycji na wschód od Dillard. Na północy widać było ciągnący się równoległe do autostrady ślad jego przejazdu.

- To działo SheVa - powiedział Mosovich. - Przeciwno lądownikom. W kwaterze głównej korpusu jest jeszcze jedno, ale nie zauważyła go pani, bo było zakamuflowane.

W tym momencie z otworów w podstawie działa zaczęła się wylewać zielono-brązowa spieniona ciecz. Piana szybko twardniała, tworząc wzniesienie wokół lawety.

Potem wielki gąsienicowy ciągnik z czymś, co wyglądało jak dwie mosiężne rakiety, podjechał tyłem do działa i poniósł jedną z „raket” w górę, po czym wsunął ją w otwór z tyłu armaty.

- To wygląda jak... największy pocisk na świecie - powiedziała Shari.

- Bo tak właśnie jest - odparł Mueller. - Strzela pełnymi pociskami, a nie raketami wypełnionymi jakimś środkiem pędnym czy czymś takim. To największe naboje, jakie kiedykolwiek wyprodukowano, i najbardziej skomplikowane. System czujników na przykład wykorzystuje wzmacniacz plazmowy, który wymaga, żeby oporniki puścić przez paliwo. One nie są po prostu wypchane kordytem.

- Za godzinę będzie to wyglądało jak wielki zielono-brązowy pagórek - powiedział Mosovich. - Potem, kiedy na horyzoncie pojawią się lądowniki, ruszy i zaatakuje; piana stosunkowo łatwo odchodzi. I o wiele łatwiej ją rozlać niż rozkładać siatki maskujące.

- Czym to strzela? - spytała Elgars, wciąż patrząc na powoli znikające monstrum.

- Szesnastocalowymi pociskami z odrzucanym sabotem i atomowym rdzeniem - powiedziała z rozbawieniem Wendy. - Kiedy coś jest aż tak ważne, że wysyła się najlepszych...

- Konkretnie z rdzeniem antymaterii - poprawił ją Mosovich. - O wiele czystszy niż najczystsza atomówka. W przypadku Minogów to lekka przesada; z reguły wystarczą penetratory. Ale rdzeń jest konieczny na C-Deki, czyli okręty dowodzenia. Są większe i mają lepsze wewnętrzne osłony. Słyszałem, że trafienie w system osłon reaktora lądownika jest bardzo spektakularne.

- Dlaczego to tu jest? - spytała nerwowo Shari. - Ten korpus jedno już ma, tak? Myślałam, że te działa są raczej rzadkością.

- Są - odparł w zamyśleniu Mosovich. - Tak, jak powiedziałem, wygląda na to, że Dowództwo Wschód uznało, iż przyda nam się wsparcie.

- A więc coś tu może pójść nie tak?

* * *

- Nienawidzę tego złomu - powiedział plutonowy Buckley. - Z czymś takim milion rzeczy może pójść nie tak.

Plutonowy Joseph Buckley walczył z Posleenami niemal od samego początku wojny. Był w pierwszym eksperymentalnym oddziale pancerzy wspomaganych, biorącym udział w walkach na Diess. Po Diess został ewakuowany jako ofiara urazu psychicznego. Kiedy człowiek dostanie się w zasięg eksplozji paliwowo-powietrznej, ugrzęźnie pod półkilometrową warstwą gruzu, straci w wybuchu rękę, próbując się wydostać, zostanie zmieciony falą uderzeniową eksplozji nuklearnej i przygnieciony połową kosmicznego lądownika, a potem znów znajdzie się pod półkilometrową warstwą gruzu, ma prawo poczuć się trochę niezdrów.

Ale ciężkie czasy wymagają poświęceń, i w końcu nawet Joe Buckley został uznany za zdolnego do służby. Tak długo, jak długo ta służba nie będzie zbyt stresująca i nie będzie miała nic wspólnego

z pancernymi wspomaganymi. To był jedyny warunek, przy którym obstawał nawet wobec groźby sądu wojkowego; nie będzie musiał zakładać pancerza. Wypadki na Diess przyprawiły go o trwałą psychozę na punkcie zbroi i całego dodatkowego wyposażenia. Doszedł nawet do wniosku, że cały problem polega na tym, iż położono za duży nacisk na nowoczesne technologie, zamiast oprzeć się na starych i wypróbowanych.

- Mówię ci - powiedział, zrywając plastikową pokrywę z opornego gatlinga M134 kaliber 7.

62. - Potrzebne nam są...

- Chłodzone wodą karabiny maszynowe browninga - dokończył starszy kapral Wright. - Tak, wiem.

- Śmiejesz się - powiedział Buckley, wyciągając ze złością zacięty w komorze nabój. - Z browniנגiem nigdy byś nie miał czegoś takiego. W tym właśnie cały problem, że wszyscy wołają o coraz większą i większą siłę ognia.

Ich stanowisko znajdowało się na drugim poziomie Muru, nad autostradą 441. Nie było stąd widać Clayton schowanego za skrajem góry, ale z punktu obserwacyjnego na Czarnej Górze dostali ostrzeżenie, że drogą zbliża się rój Posleenów. Dlatego uruchomienie gniazda B-146 było niezwykle ważne.

Mur miał mnóstwo punktów obserwacyjnych. Oprócz stanowisk gatlingów znajdowały się tam gniazda ciężkiej broni przeznaczonej do zwalczania tenarów i strzelnice dla żołnierzy; ich głównym zadaniem było dostarczanie amunicji działkom, ale gdyby chcieli, mogli od czasu do czasu także strzelać. Tak naprawdę jednak prowadzenie ognia spoczywało głównie na gatlingach i artylerii.

Działko było zamontowane na półstałej platformie M27-G2, która mogła na rozkaz poruszać się automatycznie w przód i w tył po wyznaczonym azymucie. Obwód prowadzenia ognia był połączony równolegle z innymi działkami strefy B-14; po naciśnięciu guzika znajdującego się w opancerzonym centrum dowodzenia wszystkie dwanaście działek otwierało ogień, wypluwając 2000 albo 4000 pocisków na minutę, zależnie od konfiguracji, i tworząc litą ścianę kul kaliber 7. 62.

Tak przynajmniej głosiła teoria. M134 był stosunkowo stabilnym układem, a platforma M27 była starsza i lepiej sprawdzona od Buckleya. Ale drobne zmiany projektu, konieczne, by przystosować oba systemy do stałego naziemnego, zdalnie sterowanego układu prowadzenia ognia zamiast powietrznego, zaowocowały drobnymi usterkami, częściowo związanymi z samym projektem, a częściowo z próbami jego zintegrowania. Żeby dać sobie z nimi radę, sześciu żołnierzy pod dowództwem plutonowego Buckleya miało pilnować, by działko było mechanicznie sprawne i miało zapas amunicji zarówno w czasie między bitwami, jak i w trakcie ich trwania.

W przypadku drużyny Buckleya wydawało się, że zamiast jednego żołnierza na działko potrzeba będzie co najmniej dwóch. Służba na Uniach obrony przypadała na zmianę trzem dywizjom korpusu, i Buckley był przekonany, że jego poprzednicy z innych dywizji nie dbali o broń albo rozmyślnie ją uszkadzali.

Dywizja pełniła służbę dwadzieścia cztery godziny na dobę przez cztery tygodnie, mieszkając w dość nędznych kwaterach w samym Murze, potem zaś była przenoszona na tyły. Tam przechodziła przez cykl zaopatrzenia i uzupełnień, mieszkając w koszarach, a w przypadku ataku przenosząc się do trzycieliniowych umocnień znajdujących się za kwaterą główną. Po czterech tygodniach przechodziła na drugą linię, co oznaczało, że była „w gotowości” do walki. Do tej pory polegało to na siedzeniu w koszarach, oglądaniu pism z gołymi panienkami i prowadzeniu bójek. Odkąd jednak pojawił się ten fiut saper z kwatery głównej, żołnierzy zapędzono do kopania okopów i budowania bunkrów po dwanaście godzin na dobę. Pod dwunastu godzinach machania łopatą i tachania worków z piaskiem człowiekowi ledwie starczało sił, żeby dowlec się do klubu.

Buckley był pewien, że ci dranie ze 103 sabotowali działka. A teraz pewnie piją piwko w klubie podoficerów i śmieją się za jego plecami.

Reszta drużyny, a właściwie cała kompania, w duchu winiła za ten stan rzeczy Buckleya. Każdy, na kogo spadnie statek kosmiczny, szybko dorabia się reputacji pechowca, którego pech przechodzi na wszystko, czego taki nieszczęśnik tknie. Czy to przydziałowy humvee, czy działka na umocnieniach, czy nawet jego własny karabin, zawsze działo się z tym coś dziwnego i niezwykłego.

W tym przypadku było to działko B-146, które całkowicie odmówiło prowadzenia ognia w ciągły i niezawodny sposób.

- To chyba spięcie - powiedział specjalista Alejandro, wpychając wycior ze szmatą nasączoną oliwą do lufy numer cztery.

- Sprawdziliśmy to - warknął Buckley. - Pobór prądu jest w normie.

- To pewnie amunicja - powiedział Wright.

- Wymieniliśmy skrzynkę. - Buckley wskazał na pudło taśmy z nabojami, ustawione pod działkiem. - Sprawdziliśmy amunicję na 148, wszystko grało.

- To pewnie zwarcie doziemne przez M27 - upierał się Alejandro, wyciągając wycior. - M27 też wariuje.

- To chyba pan wariuje, plutonowy - powiedział Wright, obracając ręcznie działko.

- To ci skurwiele ze 103 - upierał się Buckley. - Spieprzyli wszystkie działka. Mówię wam, chcę po prostu narobić nam koło pióra, żebyśmy najgorzej wypadli.

- To nie takie trudne - mruknął pod nosem Wright.

- Co takiego, kapralu? - spytał groźnie Buckley.

- Nic, panie plutonowy - odparł Wright. - Działa, sprawdźmy.

- Dobrze. - Buckley cofnął się. - Zresetuj bezpiecznik, Alejandro.

Specjalista sprawdził, czy lufy nie są zatkane, i zdjął przywieszki z bezpieczników.

- Gotowe.

- Odbezpieczyć. - Buckley podłączył lokalny kontroler. - Broń gotowa - rzekł, ładując nabój do komory.

- Ale zatyczki do uszu nie. - Wright pospiesznie sięgnął do kieszeni na piersi.

- To tylko krótka seria - odparł Buckley. - Jedziemy. Ustawił działko na cztery tysiące pocisków na minutę i maksymalną prędkość, i nacisnął spust.

Kule wyleciały z jazgotem przypominającym wycie piły mechanicznej, a strumień ognia wyglądał jak pomarańczowy promień lasera; co piąty pocisk był smugowy, a leciały tak blisko siebie, że wyglądały jak ciągły strumień.

Buckley kiwnął głową - broń dalej strzelała - a potem zmarszczył brew, kiedy zatrzymała się ze szczękiem i wysokim, ostrym wizgiem odłączanego kontrolera skrętu.

- A niech to szlag.

Mosiężna łuska, która spowodowała zacięcie, była wyraźnie widoczna - wystawała ukośnie z okna wylotowego.

- A niech to szlag - powtórzył, sięgając po nabój.

- Panie plutonowy, to jest odbezpieczone - zaprotestował Wright.

- Mam to gdzieś - warknął Buckley, machnięciem ręki odpędzając Alejandro od bezpieczników.

- Chcę mieć to z głowy, zanim...

Dwaj specjaliści nigdy nie dowiedzieli się, co takiego Buckley chciał mieć z głowy, bo problemem faktycznie było spięcie, ale nie w działku czy nawet w platformie M27, lecz w oporniku kontrolującym dopływ mocy do M27.

Zwój opornika redukował moc dostarczaną do wszystkich działek tak, że prąd dochodzący do platform miał odpowiednie napięcie. Ale w przypadku stanowiska B-146 opornik był wadliwy i przepuszczał większy woltaż.

Napięcie „przesiąkało” do działka, a ponieważ działko było sterowane silnikiem elektrycznym, silnik pracował na nieco wyższych obrotach niż przewidywała jego konstrukcja. Ponieważ jednak działko stało na izolowanym podłożu, wadliwy opornik nie mógł uwolnić pełnej mocy.

Kiedy jednak plutonowy Buckley złapał za mosiężną łuskę, działając jak przewodnik, prąd popłynął... I Buckleya niespodziewanie poraziło 220 wolt.

Stał przez chwilę w miejscu i dygotał, dopóki nie strzeliły wszystkie bezpieczniki w układzie.

- Cholera - powiedział Wright. - To na pewno bolało. Nie musiałeś razić go prądem, żeby udowodnić, że masz rację, Alejandro.

- To nie ja - odparł specjalista, wyciągając z apteczki strzykawkę z hiberzyną. - Ja go zacznę reanimować, a ty wezwij medyków. Powiedz im, że Buckley znów ma zły dzień.

* * *

- Wejść!

Porucznik Sunday wszedł do gabinetu dowódcy kompanii i stanął na baczność.

- Wzywała mnie pani, ma'am?

- Nie musicie strzelać obcasami za każdym razem, kiedy wchodzicie, Sunday - uśmiechnęła się Slight. - Wystarczy ukłon.

- Tak jest, ma'am - odparł Sunday, zginając się w ukłonie.

- Och, dajcie spokój - zaśmiała się. - Proszę posłuchać, poruczniku. Wiem, że jest sobota, ale sprawa jest pilna. Sierżancie?

Dopiero teraz Tommy zauważył rozciągniętą jak lampart na kanapie w rogu sierżant Bogdanovich.

Boggle zmarszczyła brew i nachyliła się do przodu.

- Panie poruczniku, kilka pancerzy w kompanii ma zapotrzebowanie na bioniczny żel. Ponieważ tę substancję kontroluje GalTech, może zostać wydana tylko wykwalifikowanemu oficerowi Floty.

- Niniejszym mianuję pana zbrojmistrzem kompanii - ciągnęła Slight. - Ma pan iść do podoficera zaopatrzenia i zabrać cały żel, jaki wpadnie panu w ręce. Jasne?

- Jasne, ma'am - strzelił obcasami Sunday. - Mogę odejść?

- Proszą iść - powiedziała poważnie Slight. - I niech pan nie wraca bez żelu; naprawdę musimy jak najszybciej odpalić te pancerze.

Kiedy zwalisty porucznik zamknął za sobą drzwi, obie kobiety wymieniły spojrzenia, a potem sierżant Bogdanovich, weteranka niezliczonych pól bitewnych, nieoczekiwanie zachichotała.

- Dwie godziny.

- Mniej - pokręciła głową Slight. - Nie jest głupi.

* * *

Porucznik Sunday wmaszerował do gabinetu podoficera zaopatrzenia, który na jego widok zaczął wstawać.

- Spocznij - machnął ręką porucznik. - Proszą siedzieć.

- Dzień dobry, panie poruczniku - powiedział starszy plutonowy. - Co mogę dla pana zrobić w ten... eee... niedzielny poranek.

Kombinacja nazwy dnia tygodnia i nazwiska oficera wyraźnie go zmieszała.

- Bez obaw - powiedział Sunday. - Męcę się z tym całe życie i już przywykłem. Dowódca kompanii przysłała mnie, żeby pobrał żel do pancerzy. Zostałem mianowany zbrojmistrzem, wieje

mam uprawnienia.

- Żel, tak? - McConnel zmarszczył brew. - Chyba nam się skończył, sir. Indowy zużyli go w zeszłym miesiącu do dopasowywania pancerzy. Czekamy na zamówioną dostawę, ale... no wie pan, jak to jest z zaopatrzeniem z GalTechu.

- Cholera. - Sunday poważnie pokiwał głową. - Nic nie zostało? Ani jednej puszki? Nigdzie? Może ktoś ma odrobinę pod biurkiem?

McConnel przez chwilę przyglądał mu się z ukosa, potem pokiwał głową.

- No, być może jest jeszcze jedna puszka w kwaterze batalionu - rzekł.

Sunday oparł ręce na biodrach.

- Może powinienem skoczyć do kwatery batalionu i porozmawiać z...

- Dowódcą batalionu.

- Na pewno? - zdziwił się szczerze Sunday. - Na pewno nie chodzi o... nonie wiem... oficera operacyjnego albo starszego sierżanta sztabowego?

- Nie, poruczniku - odparł zdecydowanie McConnel. - Major O'Neal ma puszkę żelu. A przynajmniej tak mi dano do zrozumienia.

- Jasne. W takim razie ruszam do dowódcy batalionu po puszkę żelu. Aha, jeszcze jedno, plutonowy.

- Taaak?

- Chyba powinniście zadzwonić do dowódcy batalionu i powiedzieć mu, że przyjdę - wyszczerzył zęby Sunday. - Ale może... po miniecie pewne szczegóły naszej rozmowy. - Nachylił się nad biurkiem i przyjaźnie uśmiechnął. - Dobrze?

- Dobrze - uśmiechnął się w odpowiedzi McConnel. - Jak pan chce.

- To nic szczególnego, plutonowy - ciągnął Sunday, prostując się. - Czuję się tylko zobowiązany wspomnieć, że uczę się obsługi pancerzy wspomaganych, i jeśli mnie pamięć nie zawodzi, one same generują swoje nanitowe wyściółki. Co wy na to?

- Nie mam pojęcia, co powiedzieć, poruczniku - uśmiechnął się podoficer.

- Jestem też zobowiązany wspomnieć, plutonowy, że kiedy wojskowy zwraca się do drugiego wojskowego samym stopniem, oznacza to zazwyczaj, że go nie szanuje. Co wy na to?

Podoficer zaśmiał się.

- A ja na to zupełnie nic, sir.

- Proszę mi mówić Czołg, plutonowy McConnel - powiedział Sunday, wychodząc. - Tak mnie nazywają wszyscy przyjaciele.

Obóz Newry, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

9: 23 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 26 września 2009

- Panie majorze - powiedział z kamienną twarzą sierżant Pappas. - Na zewnątrz czeka porucznik Sunday i prosi, żeby poświęcił mu pan chwilę.

- Proszę wejść, Sunday! - zawołał O'Neal.

Sunday wkroczył do gabinetu, stanął na baczność i zasalutował.

- Sir, kapitan Slight wydała mi rozkaz zdobycia żelowej wyściółki do pancerzy! Dano mi do zrozumienia, że posiada pan ostatnią puszkę w całym batalionie!

Mike odchylił się w fotelu, niedbale odpowiedział na salut i strzepnął popiół z cygara.

- Kończy się, tak? A ja wysłałem puszkę do kompanii Charlie. Słyszałem, że ją zużyli, ale niech pan do nich idzie i zapyta, czy coś im nie zostało. Może pan też spróbować zdobyć trochę na własną rękę. Jak pan chce.

- Tak jest, sir! - zasalutował znów Sunday. - Proszę o pozwolenie kontynuowania poszukiwań, sir!

- Proszę kontynuować, Sunday - powiedział O'Neal, znów leniwie machając ręką. - I niech pan powie Slight, że żel nie rośnie na drzewach.

- Tak jest, sir! - Porucznik odwrócił się na pięcie i wyszedł. O'Neal pokręcił głową, kiedy sierżant Pappas wszedł do środka, zakrywając dłonią usta.

- Chichracie się, Gunny.

- Wcale nie - odparł były marine. - Chichoczę, a to co innego.

- To chyba nie był dobry pomysł - powiedział O'Neal, zaciągając się cygarem. - Sunday jest bystry, a do tego już służył. Slight chyba przejedzie się na nim.

- Może - wzruszył ramionami sierżant. - Ale to stara i chwalebna tradycja. Co z nas byłaby za jednostka, gdybyśmy nie wysłali nowego porucznika na poszukiwanie czegoś, co nie istnieje?

- Nie wiem - uśmiechnął się Mike. - Może jednostka bez dudziarza?

* * *

Sunday stał z zamyślonym wyrazem twarzy pod kwaterą batalionu; jedną rękę miał na biodrze, drugą powoli pocierał brodę. Rozejrzał się po niewielkim obozie, szukając inspiracji, aż jego wzrok spoczął na plakacie reklamującym nowy sklep zaopatrzenia sił naziemnych. Przez chwilę patrzył na niego z zastanowieniem, potem szeroko się uśmiechnął.

Pogwizdując, ruszył przed siebie. Każdy mijany żołnierz, który spojrzał mu w twarz, niemal natychmiast odwracał wzrok; to nie był wyraz twarzy, jaki chciałoby się widzieć u człowieka gabarytów buldożera.

Maggie Findley była niską, drobną brunetką. Miała siedemnaście lat i za rok, o ile jeszcze będzie żyła, skończy szkołę Central High School („Dom Smoków!"). Zgłosiła się do pracy w sklepie sił naziemnych z dwóch powodów: po pierwsze, to była praca, a w obecnych czasach niełatwo było o pracę, a po drugie, mógł to być niezły sposób poznania jakiegoś miłego faceta.

To była jej pierwsza samotna zmiana w kasie. Jak dotąd sobotni poranek był cichy i spokojny. Przed chwilą do sklepu wszedł jakiś wielki żołnierz i zniknął między półkami.

Kiedy zobaczyła, że zbliża się do niej, trochę się zdenerwowała; nie był wielki, był po prostu olbrzymi. Ale po chwili zauważyła srebrne belki porucznika i przestała się martwić. W końcu

oficerowie są dżentelmenami. I właśnie w takim przyjemnym stanie umysłu spojrziała na to, co porucznik postawił na ladzie, i zaczerwieniła się aż po same uszy.

* * *

Tommy uśmiechnął się do młodej damy za ladą; według identyfikatora nazywała się Findley.

- Czy może ma pani trochę więcej tego na zapleczu? Na półce było tylko kilka opakowań.

- Eee... - Spojrzała na pudełko, a potem na oficera, i znów się zaczerwieniła. - Potrzeba panu... więcej? - pisnęła.

- Najlepiej by było, gdyby miała pani nie rozpakowany karton - powiedział, złośliwie się uśmiechając. - Mój dowódca kompanii i ja mamy... - wykonał kilka bliżej nieokreślonych gestów - pewne trudności.

- Już idę zobaczyć - powiedziała Maggie i pospiesznie czmychnęła zza lady w głąb sklepu.

Tymczasem Tommy stał przy kasie, pogwizdując cicho przez zęby. Potem wziął do ręki numer „Broni i amunicji”, jednego z niewielu pism, które przetrwało załamanie rynku wydawniczego. Przerzucił kilka stron, oglądając projekt nowego desert eagle’a kaliber .65. Osobiście był zdania, że każdy człowiek mniejszy od niego samego fiknie na plecy przy próbie strzelania z czegoś takiego. Ale niektórzy po prostu czują się chorzy, jeśli nie mają największej w okolicy spluwy.

Sprzedawczyni wróciła, niosąc ukradkiem małe niebiesko-białe pudełko.

- Mam... tylko z nazwą marki...

- To nic nie szkodzi. - Tommy odłożył pismo i sięgnął po portfel. - Właściwie to nawet lepiej.

- Zapakować w papier czy w folię? - spytała bez tchu Maggie, starając się unikać jego wzroku.

- W papier, ma się rozumieć - uśmiechnął się Tommy. - Proszę.

* * *

- Sierzancie Bogdanovich - powiedział niepewnie porucznik Sunday, wchodząc do gabinetu sierżanta. - Można prosić na chwilę?

- Oczywiście, sir - powiedziała Boggle, wstając, i skinieniem głowy wskazała paczkę. - To żel?

- Musiałem po niego iść do batalionu - odparł niejasno Tommy, otwierając drzwi do gabinetu dowódcy kompanii. - Proszę o pozwolenie wejścia, ma’am.

- Proszę wejść, Sunday - powiedziała kapitan Slight. - Znalazł pan żel?

- Niestety nie, ma’am - odparł Sunday, stając na baczność i robiąc smutną minę. - Wygląda na to, że cały żel zużyła kompania Charlie. Przypomniałem sobie jednak, że czasami można zamiast niego używać materiałów zamiennych - ciągnął, wyjmując z papierowej torebki opakowanie żelu do masturbacji i stawiając go na biurku dowódcy - i pomyślałem, że biorąc pod uwagę specyfikację, to może zaspokoić pani potrzeby.

Kapitan Slight zaczerwieniła się, a Bogdanovich zaczęła wyc z śmiechu.

- Ależ oczywiście, plut... poruczniku. Przypuszczam, że... w niektórych sytuacjach to może być bardzo przydatny substytut.

Kapitan Slight z rozgoryczeniem pokręciła głową.

- Major O’Neal ostrzegał, żebym tego nie robiła.

- Myślę, że następnym razem powinna go pani posłuchać, ma’am - powiedziała Boggle, wycierając łzy. - Bardzo sprytne, poruczniku.

- Bałem się, czy nie przesadzam - przyznał Sunday. - Rozwahałem, czy nie kupić zwykłej wazeliny, ale wtedy aluzja nie byłaby tak czytelna.

- Niech pan nie przegina - uśmiechnęła się Slight. - Zrozumieliśmy. Dobrze, do rzeczy. Uznałam, że najlepiej umieścić pana u Kosiarzy.

- Tak jest, ma’am - powiedział Sunday ze zmieszonym wyrazem twarzy.

- Kosiarze to prawie wyłącznie weterani - ciągnęła. - Ich poprzedni sierżant plutonu dostał w Roanoke i przez jakiś czas będzie siedział w regeneratorach. Brakuje nam podoficerów, więc będzie pan swoim własnym podoficerem plutonu. Normalnie coś takiego zrzuciłabym na doświadczonego podoficera...

- Ale nie ma pani żadnych - powiedział z uśmiechem Sunday. - A ja jestem doświadczonym podoficerem. Kogo dostanę?

- No, oni wszyscy znaj ą się na swój ej robocie - odparła sierżant Bogdanovich. - Umieją walczyć.

- Ale w garnizonie sanie do wytrzymania - powiedział Sunday.

- Cóż, już dawno nie byliśmy w garnizonie - odparła dowódca kompanii. - Ale... Kosiarze Bravo bywają... uciążliwi. Nasza mała szarada była między innymi sprawdzianem...

- Jak znoszę takie dowcipy? - Sunday uśmiechnął się od ucha do ucha. - Lubią się bawić, tak? Ja też uwielbiam. Jestem mistrzem gier i zabaw.

- W takim razie powinno się panu tam spodobać - powiedziała Slight. - Coś jeszcze?

- Nie, ma'am - odparł porucznik, sięgając po nawilżacz. - Pójdę to oddać.

- Nie, nie. - Slight położyła rękę na opakowaniu. - Chyba to zatrzymam. Jako nauczkę. Niech pan idzie przygotować się na powrót pana ludzi; wrócą jutro rano, w większości skacowani i niezadowoleni.

- Tak zrobię, ma'am - powiedział Sunday, zasalutował i wyszedł.

Za drzwiami gabinetu zatrzymał się i w zamyśleniu wydał wargi.

- Przekaznik, przyjrzyjmy się danym o Kosiarzach Bravo. Po proszę raporty z pola walki, najlepiej audio-wideo na żywo, i dane osobowe.

„Poznaj swojego wroga”, pomyślał, śmiejąc się w duchu.

* * *

Major Ryan był zdania, że nic nie może zastąpić osobistej inspekcji budowy umocnień. Zwłaszcza w sobotę, kiedy jest największe prawdopodobieństwo, że wszyscy się objają.

Ale dzisiaj pewnie będą zajęci, pomyślał. Już słyszał, jak drogocenne armaty pułkownika Jorgensena ostrzeliwują nadciągającą horde. I rzeczywiście, na Murze wrzało jak w ulu; nawet podobnie wyglądał.

Mur miał ponad siedem kondygnacji w miejscu, gdzie przechodził przez wąwóz Czarnej Góry, a na każdym poziomie rozmieszczone było innego rodzaju uzbrojenie: od lekkich systemów przeciwlądunkowych Shrike po olbrzymie pola min kierunkowych longsword. W ciągu ostatnich pięciu lat tylko jeden atak dotarł do samego Muru, i został on zatrzymany właśnie przez miny.

Major wszedł na schody i spojrzał na drugą linię obrony. Dwudziesta trzecia dywizja wymieniła akurat sto trzecią, która wycofała się na tyły, podczas gdy czterdziesta dziewiąta właśnie pracowała przy okopach za Murem.

Okopy w założeniu miały ciągnąć się niemal nieprzerwaną linią od jednej strony strefy obronnej do drugiej, obejmując zintegrowane bunkry. Co najważniejsze, z pierwszej linii obrony miało nie być żadnego bezpośredniego przejścia na tyły. Jednak z powodu kłopotów ze wspieraniem dywizji obsadzającej Mur oraz przekonania, że Posleeni nie będą w stanie go sforsować przynajmniej przez rok, położono - na pozostałościach szosy 441 - drogę. Tak więc od Muru do magazynów zaopatrzenia korpusu prowadziła czteropasmowa autostrada. Dodatkowo wiele jednostek korpusu, które wspierały Mur, zostało wysuniętych do przodu, co oznaczało, że tkwiły teraz w drugiej i trzeciej linii okopów. W wielu przypadkach dowódcy tych sił z przeróżnych powodów, w tym wiecznie popularnych „względów bezpieczeństwa”, kazali zasypać okopy, a nawet rozebrać bunkry. Zrobił się

najgorszy burdel, jaki można sobie wyobrazić.

Jakby tego było mało, bezpośrednio za Murem rozciągał się parking dla setek pojazdów dowódców i sztabowców dywizji obsadzającej umocnienia, którzy uznali je za absolutnie nieodzowne do wypełniania codziennych obowiązków.

Właściwie parking kiedyś się tutaj rozciągał. Teraz go nie było; standardowa procedura operacyjna w całych Stanach Zjednoczonych lokowała dowódców wysuniętych oddziałów z ich jednostkami, i tylko nieliczni musieli jeździć w tę i z powrotem, a transport dla nich załatwiała „góra”. Stąd też jeśli dowódca korpusu chciał porozmawiać z, powiedzmy, dowódcą dwudziestej trzeciej dywizji, wysyłał po niego humvee. I nie zatrzymywał go długo z dala od jego jednostki.

Jedną z pierwszych rzeczy, na które Ryan zwrócił uwagę podczas inspekcji umocnień, był fakt, że dowódcy wysuniętych jednostek - jak również często oficerowie sztabowi i starsi podoficerowie - wracali na noc do swoich kwater, zamiast pozostawać na Murze. Zabranie im samochodów miało temu zapobiegać.

Poza tym linie okopów biegły w poprzek bezpośredniej trasy, między nimi zaś wiała się droga prowadząca na tyły. Gdyby Posleeni sforsowali Mur, musieliby wybierać między przedzieraniem się przez okopy - z czym koniopodobni obcy mieli wyjątkowe trudności - a przemarszem krętą drogą, co znacznie wydłużało czas przedostania się przez umocnienia i wystawiało flanki ich formacji na ostrzał.

Niestety zasypanych i zburzonych okopów i bunkrów nie odtworzono, a trzecia linia obrony ledwie była tknięta. Oznaczało to, że gdyby doszło do sforsowania muru, Posleeni mieliby serce korpusu jak na dłoni. A ponieważ ten odcinek frontu został pozbawiony wsparcia, nie było nikogo, kto zatrzymałby obcych aż do samych gór, a na pewno aż do Franklin. To z kolei znaczyło, że ukończenie budowy umocnień powinno być na samej górze listy priorytetów.

Major pokręcił głową, widząc ruszający spod Muru ambulans. Zwiększone tempo prac musiało spowodować większą liczbę wypadków. Ale taka była cena wojny; lepsze kilka nieszczęść niż wyłom w linii obrony.

Major schylił się, przechodząc przez pancerne drzwi, i znalazł się w wewnętrznym labiryncie. Mur tak naprawdę mógłby nazywać się Fortecą: był szerszy niż wyższy, pełen koszar, stołówek i magazynów. Tylko jego przednia część i kilka miejsc z tyłu służyło samej walce; resztę zajmowały warsztaty i składy świadczące usługi dla broniącej się dywizji.

Ryan skierował się w głąb twierdzy, aż doszedł do strzeżonych przez wartowników drzwi. Pokazał żandarmowi swoją klucz-kartę i wszedł do centrum dowodzenia Muru.

Jedno spojrzenie na tablicę statusu powiedziało mu to, co chciał wiedzieć: Posleeni parli zagęszczoną formacją autostradą 441 i wszystkimi bocznymi drogami. Rejonem zbornym było Clayton, dokąd jakiś bystrzejszy Posleen przesunął już dwa Minogi. Zaznaczono je na planie wraz z adnotacją, że ogień artyleryjski na obszarze całego miasta jest nieskuteczny. Kilka podobnych miejsc, świadczących o obecności lądowców, znajdowało się wzdłuż dróg, ale punkty obserwacyjne na Czarnej Górze nie widziały ich.

Dowodzenie należało teoretycznie do szefa sztabu dywizji, pułkownika, ale Ryan już dawno przekonał się, że dywizyjny oficer planowania, również w stopniu majora, orientował się w sytuacji o wiele lepiej niż szef sztabu. Nie żeby pułkownik White był oferą, jakimi zwykle otaczał się generał Bernard, ale major Brandy zazwyczaj lepiej sobie radził.

Ryan podszedł do konsoli dowodzenia majora i uniósł brew.

- Powinienem o czymś wiedzieć?

- Idą pełną parą - rzekł Brandt, zerkając na niego. - Jak tak dalej pójdzie, skończy się to jak

Waterloo.

- „O mały włos”?

- „Natarli na nas jak zwykle”.

- Aha. - Ryan kiwnął głową. - To dobrze, bo po raportach wywiadu na temat tej kuli bałem się, że nie zachowają się Jak zwykle”.

- Dwa... trzy lata temu C-Dek podszedł na tyle blisko, że mógł otworzyć bezpośredni ogień. Musiało być niewesoło; miał kosmiczne działa plazmowe i porządnie wyszczerbił Mur. Ale i tak go zatrzymaliśmy. Zdjęła go kompania Wrzeszczących Bachorów. Teraz mamy SheVę, a słyszałem, że nawet dwie.

- Tak - przytaknął niewesoło Ryan. - Cały czas martwię się tym, o czym doniosły lupy. Wszystko wskazywało na masowy atak, ale tutaj to wygląda na jedną kulę, cztery, może pięć milionów. Uderzali już na nas w takiej sile wcześniej i zawsze się odbijali. Sam nie wiem...

- Wszystko jak zwykle - wzruszył ramionami Brandt.

- Po prostu... miejcie oczy szeroko otwarte - powiedział Ryan. - Wracam do kwatery głównej, zresztą właśnie tam powinienem być.

- W porządku, dobrej zabawy - uśmiechnął się Brandt. - Ja i tak będę zajęty zabijaniem Posleenów.

Ryan wrócił drogą, którą tu przyszedł; zauważył, że ruch w korytarzach zwiększył się i automatyczne działka na najwyższym poziomie otworzyły ogień.

Zbiegł po schodach do swojego humvee i pokręcił głową, gdy odezwał się pierwszy gatling. Na przyszły miesiąc zaplanowali rozstawianie drutu kolczastego i zapór przed Murem, ale wygląda na to, że będą musieli z tym poczekać.

Szybko jechał wijącą się drogą, zwalniając za każdym razem na widok przechodzącej przez szosę grupy żołnierzy, którzy już dawno powinni być na swoich stanowiskach. W stronę Muru i drugiej linii obrony jechał równomierny strumień pojazdów; major miał wrażenie, że płynie pod prąd. Dwa razy żandarmeria kazała mu zjechać z drogi, żeby przepuścić jadących w przeciwnym kierunku, ale po półgodzinie dotarł wreszcie na parking po zachodniej stronie kwatery głównej korpusu.

Wchodząc po schodach do budynku dawnej szkoły, zauważył, że zielono-niebieskie „wzgórze” na wschodzie zaczyna dygotać. Spojrzał na południe. Nad horyzontem pojawiły się lądowiki. No, to powinno być nieźle.

Mountain City, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

11: 13 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 26 września 2000

- Czuję się... dziwnie, oglądając natarcie z bezpiecznego miejsca, oolt'ondai - powiedział Cholosta'an.

Obaj obserwowali szturm na ekranach wizyjnych. Prowadzące kompanie, w tym dowodzona przez Balanosola, zostały praktycznie zmiecione. Mogło przeżyć kilku oolt'os, ale nie ocalał żaden z kessentaiów.

Ludzie byli diabelnie skuteczni w wyszukiwaniu i ostrzeliwaniu kessentaiów, ale zmasowane natarcie kryło większe niebezpieczeństwo: wśród „jednostek politycznych” maszerowali kessentaiowie i cosslaini, którzy wyciągnęli wnioski z dotychczasowych doświadczeń i ostrzeliwali gniazda groźnej dla kessentaiów broni.

Na pierwszy ogień poszły zautomatyzowane działa na szczycie Muru. Kiedy już je zidentyfikowano, łatwo było namierzyć ich czujniki, i kessentaiowie zaczęli je ostrzeliwać, używając manualnego namierzania, ponieważ automatyka nie radziła sobie w takiej nawale ognia.

Gdy zredukowano już liczbę dział, rzeź kessentaiów zmalała, przez co natarcie zyskało na spójności. Wciąż jednak ostrzeliwano Wszechwładców. Tym też się zajęto; kessentaiowie w pierwszych szeregach byli już wystarczająco blisko, by uaktywnić swoje oolt. Kiedy czwarty szereg natarcia znalazł się w zasięgu obrotowych działek, cała ciężka broń górnych poziomów była już zniszczona. Większość działek kryła się w zagłębieniach Muru, ale jeśli w otwór wpompowało się wystarczająco dużo plazmy, przestawało to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- No cóż, to nasze bezpieczeństwo niedługo się skończy, eson'sora - powiedział Orostan, kłapiąc paszczą. Straty były cięższe niż przewidywano, również wśród „politycznych” kessentaiów; ciężka „wyborowa” broń ludzi bez trudu wyszukiwała ich w masie szurmujących - Ale myślę, że skupiliśmy już na sobie ich uwagę i wszyscy zebrali się przy frontowych drzwiach, czyż nie?

- W rzeczy samej, oolt'ondai - powiedział młodszy kessentai. - Co teraz?

- Teraz trzaśniemy tymi drzwiami - odparł Orostan, machając na poddowódcę.

* * *

- No, 146 mamy już chyba z głowy - powiedział spokojnie Wright.

Alejandro uchylił się, kiedy ze strzelnicy buchnęła kolejna fala plazmy.

- 144 też.

Coś huknęło za pancernymi drzwiami na zachodzie; drzwi wgięły się do środka, a farba na ich powierzchni zaczęła dymić.

- Jezu! - powiedział Wright, patrząc na pozostałe dwa wyjścia. Wschodnie wciąż było nietknięte, ale oddzielały je od nich dymiące zgliszcza gniazda 146. Ostatnie drzwi prowadziły do wnętrza Muru. Znajdowały się pomiędzy stanowiskami działek, i dopóki jakiś zbłąkany pocisk nie przebije półtorametrowej warstwy zbrojonego betonu, żołnierze wciąż powinni móc tamtędy wyjść.

- 143 zacięte! - zawołał szeregowy Gattike, podbiegając do dwóch podoficerów skulonych w chłodniejszej kącie. - Co mam robić?

- Odblokować. - Wright wstał. - Dlaczego się zacięło?

- Nie wiem - burknął szeregowy. - Może podłączało drugą skrzynkę? Poszło już pięćdziesiąt tysięcy naboju!

Nagle Wright runął na podłogę. W Mur uderzyła następna salwa hiperszybkich rakiet, wypełniając wnętrze stanowiska odłamkami. Ściany były wyłożone gumą, żeby zredukować rykoszety, ale jeden z odgłosem przypominającym rozłupywanie arbuza siekierą trafił w szeregowego. Wright spojrzął na Gattike'a i potrząsnął głową.

- Trup na miejscu?! - zawołał Alejandro.

- Aha - odparł Wright, czołgając się do przodu. - 143 też chyba szlag trafił.

- Dobra! - odkrzyknął Alejandro. - Gdzie, do cholery, są Lewis i Schockley? Nie ma nikogo po lewej!

- Nie wiem! - wrzasnął Wright. Dotarł do działka 143 i zauważył, że skończyła się amunicja. - Hej, Alejandro! Dawaj skrzynkę!

Specjalista otworzył port amunicyjny i z trudem wytaszczył z niego skrzynkę - to było zadanie dla dwóch ludzi - a potem padł na ziemię, kiedy cała potężna budowla zadygotała. Wstrząsy trwały jeszcze kilka sekund, a on w tym czasie starał się nie dopuścić, by dwustukilowa skrzynia przetoczyła się na niego.

- Dobra - mruknął. - Ogłaszam oficjalnie, że dzisiejszy dzień jest do dupy.

* * *

Major Jason Porter, dowódca SheVy Czternaście, zaklął. Jego kierowca nie bez trudności wyprowadził behemota na szczyt wzgórza na południe od oczyszczalni ścieków, skąd widać było Mur, a przynajmniej jego część. Szczyt Muru dymił.

Posleeni najwyraźniej rozwalali umocnienia, ale jak dotąd nie było z tej strony żadnego śladu Minogów ani C-Deków. Rozważał wycofanie się ze wzgórza; w ten sposób nie byłby widoczny, gdyby posleńskie statki pojawiły się w polu widzenia. Kiedy jednak już miał wydać rozkaz, na radarze zapiszczał wykryty obiekt.

Doliną w stronę Muru przesuwwały się okręty. Trzymały się nisko, co było dosyć niezwykle, i tylko co jakiś czas na chwilę zwiększały pułap. Dzięki temu działko nie mogło namierzyć celu.

- Edwards! - zawołał do działonowego. - Ustaw działko na stały azymut i wysokość odpowiadającą ich przybliżonej pozycji, i zobaczmy, czy uda nam się zalokować.

- Tak jest, sir! - zawołał działonowy.

- Chodźcie - szepnął Porter. - Pokażcie się, wy kłacze syny.

* * *

- Do wszystkich okrętów - zawołał Orostan. - Otworzyć ogień do umocnień ludzi.

Mimo odsiewu dokonanego przez Tulo'stenaloorą, tylko czterdziestu kessentaiów potrafiło „walczyć” statkami pozbawionymi automatyki. Potrzebna była do tego „załoga” z prawdziwego zdarzenia, w tym inteligentna i wykształcona osoba, która obsługiwałaby stanowisko uzbrojenia, zamiast po prostu wciskać błyskający guzik. Na czterdziestu okrętach było ponad czterystu kessentaiów. Normalnie byłoby ich co najwyżej sześćdziesięciu.

Ale ci kessentaiowie mieli do wykonania drugie co do ważności zadanie całej misji: zniszczenie Muru. A to oznaczało „prawdziwą” broń.

Ekran pociemniał, kiedy pierwsza rakietą przeciwokrętowa uderzyła w Mur.

* * *

- O cholera - szepnął Porter. Właśnie wyleciał w powietrze fragment Muru wielkości domu.

- Namiar! - zawołał Edwards.

Porter przypadł do celownika i uderzył przycisk potwierdzenia.

- Ognia!

- Jest ognia!

* * *

- Fuscirto uut! - warknął Orostan. - Wszystkie okręty! Zejść nisko! Tulo'stenaloorze, gdzie są te tenarale!

- Powinny pojawić się w każdej chwili - powiedział przez komunikator Tulo'stenaloor - Przecież chcesz ich zaskoczyć, tak czy nie?

- Tak - odparł oolt'ondai - ale mam ważne zadania dla każdego okrętu. To działo musi być usunięte. Natychmiast.

- Jeszcze tylko chwila - powiedział Tulo'stenaloor, przesyłając dane na ekrany Orostana. - Jeszcze tylko chwila.

* * *

Pacalostał zawył z dumy, kiedy w polu widzenia ukazała się dolina. Sześćdziesiąt tenarali leciało krętą drogą nad rejonem zwanym przez ludzi „Warwoman”, całkowicie ich zaskakując. Przed nimi widać było wyraźnie oba główne cele. Znienawidzone działo SheVa stało na pagórku na południu, a większa część artylerii znajdowała się na zachodzie, wokół dróg John Beck Road i Fork Road.

Wysłał polecenie do drugiego dywizjonu, który zszedł nad samą ziemię i przyspieszył, lecąc w rejon tyłów korpusu. Potem wraz z pierwszym dywizjonem spadł na działo SheVa na południu.

* * *

Pierwszym ostrzeżeniem, jakie dostał major Porter, był niezrozumiały okrzyk na częstotliwości dowodzenia korpusu. Drugim ostrzeżeniem była eksplozja ładunku plazmy na jego tylnym pokładzie.

Zasadniczo SheVy nie były pojazdami opancerzonymi. Miały dużo metalowych elementów, niektórych całkiem twardych, a spowodowane to było koniecznością wytrzymania energii wyzwolonej przy każdym strzale potężnego działa. Nie zaprojektowano ich jednak do odpierania ognia ciężkich dział plazmowych z bliskiego zasięgu; stało się to jasne już po drugim trafieniu, kiedy odpadła prawa tylna gaśienica.

- Sukinsyn! - krzyknął major, kiedy okręt przeleciał przed kamerą. - Co to jest, do cholery?!

Okręty wyglądały jak wyjęte z powieści fantastycznej z lat pięćdziesiątych. Miały kształt spodków z niewielkimi wieżyczkami na górze. Większość wieżyczek wyposażona była w... posleńskie działka plazmowe. Porter przesunął kamerę wzdłuż toru lotu spodka, a ten wystrzelił kolejny strumień plazmy w przedni kwadrant.

- Straciliśmy prawą gaśienicę oraz koła czternaście i piętnaście - zgłosił chorąży Tapes. - Odłączyłem gaśienicę, ale musimy z niej zjechać. A to poważnie obniży nam maksymalną prędkość.

- Wynośmy się stąd! - powiedział Porter. - Cofamy się!

- Cel namierzony!

- Odwołuję rozkaz! - krzyknął Porter i przypadł do celownika. Nawet się nie przyglądając, uderzył w przycisk potwierdzenia. - Ognia!

- Jest ognia!

* * *

- W DÓŁ, W DÓŁ, zostać na DOLE! - zawołał Orostan. Jednocześnie wesoło machnął grzebieniem na widok walącego się Muru. Centrum potężnej betonowej konstrukcji było całkowicie rozwalone przez bezustanny ostrzał plazmą, i antimaterią; już niedługo powinien powstać wyłom. Trudny do przejścia - pierwsze szeregi czekało uprzątnięcie drogi - ale otwarty. - Słabnie ostrzał artylerii - dodał.

- Zgadza się - powiedział Cholosta'an. - Niedługo przebijemy się. To prawdziwy przełom. To niesamowite.

- Lata planowania - przypomniał mu Orostan. - Potem przejdziemy przez góry, przełęcz za przełęczą...

- A na każdej ustawimy roгатki celne. - Cholosta'an z rozbawieniem kłapnął grzebieniem. - To genialny pomysł. Każdy, kto będzie chciał przejść, będzie musiał oddać dziesięć procent swoich dochodów.

- Rzeczywiście, to genialne - powiedział Orostan. - Tulo'stenaloor uważa, że ci ludzie dużo mu zawdzięczają. Jeśli nie może im tego bezpośrednio zabrać, zabierze w ten sposób.

- Nie powinniśmy jeszcze za bardzo się cieszyć - powiedział Cholosta'an. - Ci ludzie... bywają podstępni. I nie poddają się łatwo.

- Kiedy skończymy tutaj, razem z tenaralami polecimy w górę doliny i zajmiemy wszystkie kluczowe pozycje na pierwotnej trasie. Ludzie mogą próbować nas zablokować, ale my dolecimy tam pierwsi. Kiedy tylko Mur runie.

- I rozwiąże się sprawa SheVy - dodał Cholosta'an.

- Oczywiście.

* * *

Kolejna salwa plazmy uderzyła w działo i jeden z ładunków przebił się przez liczne warstwy maszynierii do centrum dowodzenia.

Panel kontroli uszkodzeń wybuchł jak bomba. Przewody stopiły się w jednolitą masę, a łuk elektryczny przeskoczył na panel obsługi głównego działła.

Plutonowy Edwards krzyknął, jednym naciśnięciem awaryjnego przycisku rozpiął pasy i uciekł ze swojego stanowiska; z systemu celowniczego posypały się iskry. Komputer kontroli ognia przez chwilę iskrzył, a potem z charkotem zgasł.

Major Porter zakrztusił się dymem.

- Czy mi się wydaje, czy jesteśmy w kiepskim serialu science fiction?

Odpiął się z fotela i odciągnął do tyłu chorążego. W czerwonym świetle awaryjnych lamp zobaczył, że chłopak ma strasznie poparzoną twarz i pierś, ale wciąż oddycha.

- Czy działo w ogóle strzeli?

- Nie! - zawołał zdenerwowany Edwards. - Nie mogę nawet załadować pocisku do komory!

- No to świetnie - mruknął Porter, rozkładając oparcie fotela chorążego i ostrożnie go odpinając.

- Sir - powiedział Edwards, kiedy razem podnosili nieprzytomnego mechanika - dostajemy głównie w tylny pokład...

- Zauważyłem. Tamby! Opuścić okręt!

Kierowca nie odpowiedział, więc major przebiegł przez zadymiony pokład i spojrzał w dół.

Fotel kierowcy był otoczony licznymi monitorami zapewniającymi mu niemal 360 stopni pola widzenia. Niestety oznaczało to także, iż wyładowanie energii spowodowało zaiskrzenie tysięcy woltów.

Porter wsunął się na miejsce kierowcy, starając się nie wdepnąć w przypięte do fotela zwęglone ciało, i sprawdził konsolę. Ku jego zdziwieniu działała, więc włączył tryb automatyczny i ustawił jazdę do przodu, a potem wspiął się z powrotem na górę.. Tam wcisnął przycisk wjazdu ewakuacyjnego. Czerwona kłapa otworzyła się z sykiem, a w tunelu pod nią zapaliły się światła.

- Gdzie jest Tamby? - spytał Edwards, ciągnąc w stronę wjazdu nieprzytomnego chorążego.

- Tamby dzisiaj z nami nie jedzie - odparł Porter, łapiąc oficera za nogi. - Ty prowadzisz. I gaz

do dechy.

- A kto będzie obsługiwał działo?

- A kogo to obchodzi? Jeśli nie odjedziemy przynajmniej na osiem kilometrów, zanim dobiją się do magazynu, nikt nie będzie prowadził!

* * *

Atrenalasal kłapnął grzebieniem i włączył komunikator.

- Pacalostalu! Działo przestało strzelać! Powinniśmy dołączyć do ataku na artylerię!

- Nie - odparł dowódca tenarala. - Mamy rozkaz strzelać, dopóki działo nie zatrzyma się i nie zapali. Wykonać rozkaz.

- Dobrze - odpowiedział kessentai, chociaż pakowanie jednego za drugim ładunku plazmy w dymiący wrak wydawało mu się... niewłaściwe. Ale rozkaz to rozkaz.

* * *

Major Porter włączył obwód opuszczający, i zanim jeszcze Edwards dobiegł do swojego fotela, działonowy odpalił silnik. Porter westchnął, kiedy wycie turbiny odrzutowej sprawiło, że pojazd zamruczał jak tygrys. Działający napęd to dobra rzecz.

- Dzięki Bogu za General Motors - powiedział. Zerknął na wskaźnik wysokości, a potem odłączył zaczepy, kiedy kolejna fala plazmy trafiła w SheVę nad nimi. Pieprzyć to. Resory wytrzymają upadek.

Pędzący z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę i jeszcze przyspieszający M-1 Abrams wyskoczył spod swojego większego pobratymca i ruszył w stronę najbliższej przełęczy.

Tymczasem wyładowania plazmowe rozrywały bardziej oporny pancerz tylnego pokładu działa SheVa, tuż nad niemal pełnym magazynem amunicji.

*Flotylle nasze wciąż topnieją;
Wśród diun, przylądków ogień ginie:
I cała nasza dawna chwała
Jak Niniwa i Tyr przeminie!
Sędzio Narodów, o łaskę prosimy,
Bo zapomnimy - bo zapomnimy!*

Rudyard Kipling
Pieśń na wyjście (1897)

Rabun Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

12:49 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,

sobota, 26 września 2009

Kiedy major Ryan zobaczył wyskakującego spod SheVy abramsa, bardzo spokojnie opuścił lornetkę, zezjrzał się za najbliższym bunkrem i pobiegł, aby się w nim schować.

Był zaskoczony, kiedy wpadł do środka i nikogo tam nie zastał. Przez chwilę rozważał powrót do kwatery głównej i próbę przekonania dowódcy, że być może przebywanie na pierwszym piętrze budynku stojącego na drodze fali uderzeniowej wybuchu atomowego nie jest najlepszym pomysłem.

Widział już, jak wybuchają SheVy. Był w Roanoke, kiedy SheVie Dwadzieścia Pięć puściły osłony rdzenia. Ale w Roanoke SheVa siała na szczyt góry, w pewnym oddaleniu od głównych sił, a nie na samym niemal środku trzeciej linii obrony Muru, naprzeciw głównej kwatery korpusu.

Spojrzał na zegarek, zastanawiając się, ile to może potrwać. Być może Posleeni przerwą atak, zanim puszczą osłony. Jeśli są mądrzy, powinni tak zrobić. Posleeni. Mądrzy. Nie.

Kiedy patrzył na zegarek i rozważał szanse przeżycia sprintu na parking, dołączyła do niego specjalistka. Potknęła się o próg i potoczyła w przeciwny kąt.

- No - mruknęła, siadając - to dopiero było wejście smoka. - Spojrzała na oficera i pokręciła głową. - Może lepiej niech pan się schyli. Myślę, że za chwilę wybuchnie tu atomówka.

Ryan znów spojrzał na zegarek, słysząc słabe, z dala brzmiące niczym *kapiszony, trzaski ładunków plazmy* trafiających w SheVę. Przebijały się przez huk wystrzałów artylerii i ciężkiej broni na pokładzie okrętów rozwalających Mur. - Powinniśmy mieć jakieś trzy sekundy, żeby pochylić się i pocałować w dupę na do widzenia, kiedy już zgaśnie „wielka żarówka”. - Uśmiechnął się ponuro do kobiety. - Niech pani nie patrzy w stronę światła, ono nie jest pani przyjacielem.

* * *

- Uda nam się - powiedział Edwards, pędząc czołgiem korytem rzeki Little Tennessee. Po obu stronach spod gąsienic tryskały fontanny wody. - Pancierz jest chyba mocniejszy niż myśleli.

- Może - mruknął major Porter. - Jeżeli...

Ale Edwards już nigdy nie dowiedział się, jaki to był warunek, bo w tej samej chwili świat eksplodował bielą.

Magazyn amunicji dział SheVa był najpotężniejszym pancernym pojemnikiem, jaki kiedykolwiek zaprojektowano. Wewnętrzna warstwa zrobiona była ze stali, potem następowały cztery warstwy stali utwardzonej i pokrytej „superstalą”, niedawnym wynalazkiem niemal czterokrotnie zwiększającym jej wytrzymałość. Następnie był dwuwarstwowy pancierz typu „plaster miodu” z wolframu i syntetycznego szafiru. Zewnętrzna powłoka składała się z licznych warstw pancierza aktywnego. Odkryto, że do pewnego stopnia rozprasza on trafienia z posleńskich dział plazmowych.

Oprócz tego magazyn był chroniony przez cztery sekcje zaprojektowane tak, by „kontrolować” wybuch i „kierować siłą eksplozji na zewnątrz”, gdyby w magazynie wybuchł pocisk. Zamontowano też wewnętrzne zabezpieczenia, mające odciągać siłę wybuchu od pozostałych pocisków.

Posleeni ustalili, że większość czołgów ma silniki zamontowane z przodu i z tyłu. Ponieważ dostali rozkaz strzelania dotąd, aż działo zatrzyma się i zapali, wpakowali w tylny przedział ponad czterysta wyładowań plazmy. Nawet najmocniejszy pancerz ma swoje granice wytrzymałości.

Ładunek, który ostatecznie przebił się, przez opancerzenie, stosunkowo łatwo spenetrował cienką powłokąubożonego uranu, otaczającą rdzeń antymaterii. Antymateria zaś zrobiła to, co robi zawsze, kiedy wchodzi w kontakt ze zwykłą materią. Ekspłodowała. I to bardzo widowiskowo.

Przypadkowo wystrzelony pocisk był odpowiednikiem zaledwie dziesięciu kiloton, dlatego inżynierowie byli pewni, że pancerz magazynu wyłumi pojedynczą eksplozję. Co najwyżej mógłby wybić dziurę w poszyciu, a skutek tego byłby odczuwalny w promieniu, powiedzmy, półtora kilometra. Bolesnie odczuwalny, ale jeśli ktoś nie przebywał wtedy zbyt blisko, mógł przeżyć.

W tym przypadku jednak pocisk dotarł do wewnętrznej warstwy pancerza, gdzie nie było płyt kompensujących. Poza tym ładunki plazmy wwiercające się we wnętrzości działa strzaskały większość przegród. Dlatego też kiedy pocisk wybuchł, odpalił wszystkie pozostałe pociski zebrane w magazynie.

Działo wystrzeliło już dwa naboje, a jeden miało w komorze, dlatego wybuchło tylko pięć pocisków. Ale wybuchły tak szybko, że niemal jednocześnie, a sama natura pancerza i odniesione przezeń uszkodzenia sprawiły, że eksplozja była optymalna.

Ognistą kulę widać było aż w Asheville, a fala uderzeniowa pochłonęła cały korpus zebrany w dolinie.

Broń nuklearna razi na trzy podstawowe sposoby: falą uderzeniową, temperaturą i promieniowaniem. Skutki fali są analogiczne do tornada. Kiedy wysokie ciśnienie uderza w budynek, ten zapada się z powodu różnicy ciśnienia panującego wewnątrz i na zewnątrz. Okna wpadają do środka, tak samo jak drzwi, ściany i sufity. W pobliżu epicentrum wybuchu zniszczeniu ulega wszystko, co znajduje się na drodze takiej fali.

Dragą główną przyczyną zniszczeń jest efekt cieplny. Żar wybuchu atomowego, a w tym przypadku antymaterii, wyzwala olbrzymie ilości promieniowania podczerwonego. Każdy człowiek czy Posleen znajdujący się w niezbyt dużej odległości od kuli ognia może spodziewać się oparzeń pierwszego, drugiego, a nawet trzeciego stopnia. Z powodu natury kuli ognia i chwilowego powstrzymania jej przez ściany magazynu szkody wywołane energią cieplną były minimalne.

Jeśli chodzi o promieniowanie, eksplozja antymaterii wywołała falę promieni gamma, które działały tylko na niewielką odległość. Podobnie jak w bombie neutronowej, konwersja wodoru na antywodór dawała dużo ciepła i „mocy”, ale bardzo mało trwałego promieniowania. Ten błysk gamma był jednak zupełnie niezwykły.

I to właśnie on przede wszystkim zgubił majora Portera i jego kierowcę. Zginęli, ponieważ ich ciała zostały spustoszone przez wysokoenergetyczne cząsteczki, które zakłócały funkcjonowanie układów organizmu. Zresztą i tak nie miało to znaczenia, bo czołg znalazł się w fali nadciśnienia rządu dziesięciu psi, która porwała siedemdziesięciodwutonowy pojazd jak kartkę papieru i wyrzuciła go w powietrze.

Major Porter nie był jednak jedyną żywą istotą w bezpośrednim zasięgu skutków wybuchu. Jeszcze bliżej znajdował się tenaral Pacalostala. Eksplozja rozdarła lekko opancerzone tenary, wysyłając wszystkie czterdzieści w niebyt, a potem w niecałą sekundę przeszła nad trzecią linią obrony i koszarami ludzi, niszcząc budynki, znosząc z powierzchni ziemi bunkry i zasypując nieliczne

świeżo wykopane okopy. Fala nadciśnienia wciąż miała ponad pięć psi, kiedy trafiła w dawną szkołę i niemal w sekundę rozniosła urocze ceglane budynki, rozrzucając cegły i drewno po całej dolinie.

Parking na terenie bazy był w zasięgu najgorszych zniszczeń fali, ale największy impet wzięły na siebie budynki. Wiele humvee i ciężarówek straciło tylko szyby; nadciśnienie pozostawiło je nie tknięte.

Żar nie spowodował nigdzie pożarów, nie licząc bezpośredniej bliskości SheVy, gdzie drzewa na okolicznych wzniesieniach padły jak zapalki, a te rosnące dalej postradały liście.

Na zachodzie eksplozja przeszła nad resztkami korpusu i dywizyjnej artylerii, detonując zapasy amunicji i zabijając większość ocalałych artylerzystów. Dopadła też jednak większość tenarali, ciskając nimi o ziemię.

Ludzkie linie obrony w Rabun Gap zostały skutecznie zlikwidowane. Większość sił albo odpierała szturm na Murze, albo zginęła w wybuchu SheVy Droga na północ była wolna.

No, prawie wolna.

* * *

Pogwizdując, Papa O'Neal wracał do domu. Gwizdał albo nucił *Moondance* Vana Morrisona prawie od samego rana i Cally miała tego serdecznie dość.

- Strasznie jesteś dzisiaj zadowolony z siebie, dziadku - powiedziała. Kanonada, która zaczęła się późnym rankiem i od tamtej pory nie cichła, trochę ją zdenerwowała. Sądząc po natężeniu i długości trwania ostrzału, artyleria musi odpierać większy szturm, chociaż działa na Murze dopiero niedawno się odezwały.

- Mam po prostu dobry humor, młoda damo - odparł.

- Powinam się domyślić - powiedziała ze złośliwym chichotem.

- Co to ma znaczyć? - zapytał ostrożnie.

Cally odłożyła nóż i wytarła ręce. Sięgnęła pod stół, wyjęła stamtąd kasetę wideo i pomachała nią dziadkowi przed nosem.

- Pamiętasz chyba, że w całym domu są kamery? - powiedziała, biegnąc do drzwi.

- ODDAWAJ! - ryknął, rzucając się za nią w pogoń.

- Sporo masz sił jak na dziadka! - zawołała Cally, czmychając za drewnutnię.

- ODDAWAJ TO, TY PODSTĘPNA ŁASICO! JEŻELI PODGLĄDAŁAŚ...

- Gdzie, do licha, nauczyłeś się tej pozycji z nogami w powietrzu? - odkrzyknęła.

Nagle oboje stanęli jak wryci. Od strony Muru dobiegł głośny trzask. Popołudnie było słoneczne, a mimo to dostrzegli błysk.

- Co to było? - spytała Cally.

- Nie wiem - odparł Papa O'Neal. - Coś się dzieje na Murze. Lepiej przygotujmy się do zamknięcia farmy.

Od strony parku artylerii dobiegła seria ostrych trzasków, jakby ktoś odpalił jeden po drugim kilka silnych ładunków, potem zaś bardzo głośny huk obwieścił kolejną eksplozję. Papa O'Neal dostrzegł, że u wlotu doliny mignęło coś gładkiego, srebrzystego i bardzo szybko się poruszającego.

- Co to było, do diabła?

- Nie wiem, dziadku, ale zgadzam się z tobą, że pora się zwijać. - Cally rzuciła mu kasetę. - Do twojej kolekcji. Obyś miał takich więcej.

* * *

Zapędzenie całej trzody pod dach i uzbrojenie pól minowych trwało zaledwie kilka minut, ale kiedy tylko skończyli zamykać ostatnią bramę, niebo rozbrzysło jaśniejszym niż słońce białym blaskiem.

- Dziadku! - krzyknęła Cally, biegnąc w stronę domu.

- NA ZIEMIĘ, NA ZIEMIĘ! - wrzasnął O'Neal i sam padł.

Fala uderzeniowa była ledwie zauważalna, ale wyraźnie dało się odczuć zmianę ciśnienia powietrza, a drzewa zakołysały się jak na mocnym wietrze. Potem nadeszła niczym małe trzęsienie ziemi fala ziemna.

- Co się dzieje, do cholery?! - zawołała Cally. Leżała na brzuchu jakieś pięć metrów od drzwi wejściowych do domu.

- Do domu! - krzyknął O'Neal, zerwał się i ruszył biegiem do drzwi.

- Czy to było to, o czym myślę? - zapytała Cally, kiedy wpadli do środka.

- Atomówka - odparł Papa O'Neal. - Pewnie rąbnęła SheVa; kierunek i siła wybuchu zgadza się, jeśli dobrze zapamiętałem.

Cally dobiegła do bunkra o ułamek sekundy przed nim i zaczęła naciągać kevlarową kamizelkę.

- Nie jesteśmy przygotowani na atomówki, dziadku.

- Wiem - powiedział O'Neal, włączając pola minowe i elektronikę, zanim sam zaczął zakładać sprzęt. - Najbardziej mnie denerwuje, że nie wiem, co się dzieje. - Przełączał się z jednej kamery na drugą, ale większość nie działała. - Cholerna elektro-magnetyka.

- Co robimy? - spytała Cally.

O'Neal pomyślał, że jeśli to była tylko jedna atomówka, a zwłaszcza SheVa, może jeszcze nie jest tak źle. Zależy to oczywiście od tego, gdzie znajdowało się działo w momencie wybuchu, Mur powinien być nie tknięty, gdyż cały czas dobiegały stamtąd odgłosy walki, a przynajmniej huk ciężkiej broni. Może to być posleńska ciężka broń, ale trzeba myśleć pozytywnie.

Zasadniczo były dwa wyjścia z sytuacji. Plan A: zaszyć się w bunkrze, strzelać do wszystkiego, co podejdzie pod lufę, i czekać, aż wojsko zmiecie Posleenów. Plan B: uciekać ile sił w nogach. Ponieważ farma była w posiadaniu O'Nealów od pokoleń, plan B nie był zbyt przyjemny.

Nie wiedząc, w jakim stanie jest korpus, O'Neal nie miał pojęcia, co robić. Podniósł słuchawkę zainstalowanego w bunkrze telefonu, ale nie usłyszał nawet sygnału. Mógł podejść na grzbiet wzgórza, skąd widać było bazę, ale to by oznaczało, że zostawi Cally samą. Poza tym wychodzenie z bunkra, kiedy wokoło latają atomówki, nie jest najrozsądniejszym wyjściem. W końcu postanowił poczekać, aż coś się wyklaruje.

- Zostajemy tutaj - powiedział, wyciągając z szafki rację polową. - Jutro zjemy pieczoną szynkę z serem.

- Aha - uśmiechnęła się szeroko Cally - bo jutro też jest dzień. - Spojrzała na swoją rację i skrzywiła się. - Zamieńmy się.

* * *

- Pruitt, uruchamiaj działo, ALE JUŻ!

Major Robert Mitchell wsunął się na fotel dowódcy i zapinając pasy, zaczął najszybciej jak mógł wszystko włączać.

- Ależ, sir! - zaprotestował działonowy. - W tym odcinku Bun-Bun traci pamięć i trafia w ręce tych dzieciaków, które myślą...

SheVa Dziewięć - nieoficjalnie zwana Bun-Bun - nie bez powodu miała wymalowanego na przednim pancerzu wysokiego na dwa piętra białobrazowego, kłapouchego królika z nożem sprężynowym w łapce. Wytlumaczenie nowemu dowódcy przyczyny powstania malowidła oraz hasła „Zabawmy się, Posleenie!” zabrało kilka godzin. W końcu major przeczytał komiks, dał się wciągnąć i niechętnie wyraził zgodę. W niektórych korpusach takie malowidła były dozwolone, w innych nie, trzeba więc było przekonać się, jaki jest miejscowy dowódca. Jak się okazało, załoga

Bun-Buna nie zdążyła nawet zameldować się u niego, kiedy gównem wpadło w wentylator.

- BEZ GADANIA, Pruitt! - wrzasnął major. - Ładuj! Czternastka jest pod ostrzałem! Nie wiem, co to za...

- Majorze! - zawołała chorąży Indy, wyskakując z włazu naprawczego. - Nie wolno ruszać gaśienic!

- Dlaczego nie? Schmoo, jak tam rozruch?

- Właśnie odpalam, sir - odkrzyknął szeregowy Reeves, Był tłusty, blady i trochę wolno myślał, stąd jego ksywa. Sprawdzał się jednak bardzo dobrze jako kierowca SheVy. W trzewiach czołgu zagrział uruchamiany silnik.

- Nie mam sygnału! - zawołał Pruitt. - Czujniki nie działają! To pewnie kamuflaż. O rany! Duży impuls elektromagnetyczny! Gorszy niż Bun-Bun bez Słonecznego Patrolu).

- Zrzucić kamuflaż! - rozkazał major Mitchell. - Lidar na sterowanie ręczne!

- Sir! - zaprotestowała rozpaczliwie chorąży. - Właśnie próbuję panu powiedzieć, że piana maskująca jeszcze nie zastygła. Dopóki nie zastygnie, jest... plastyczna. Jeśli zaklei sensory, będziemy mogli pożegnać się z systemem namierzania, dopóki nie ściągniemy ekipy COMTAC z dużą ilością rozpuszczalnika. Wyłączyłam sensory ręcznie ze względów bezpieczeństwa.

- Jasna cholera - zaklął Mitchell. Na monitorze widział dane z sekcji rozpoznania korpusu, wciąż znajdującej się daleko na tyłach. Sekcja z kolei dostawała informacje z sieci rozmieszczonych przed ich pozycjami sensorów i od niedobitków z Muru. Major widział wlewającą się do doliny pierwszą falę Posleenów. Za nimi leciały C-Deki i Minogi.

- Mamy poważny problem. Czekam na propozycje, panno Indy.

- Pewnie możemy ruszyć gaśienice - odparła chorąży z zrozpaczonym wyrazem twarzy. - Kiedy piana zastygnie, gaśienice ją połamią. To samo z obracaniem wieży. Ale dopóki to świństwo nie zakrzepnie, nie możemy korzystać z automatyki. Możliwe też, że zablokuje nam się lufa, tak że nie będziemy mogli jej podnosić ani opuszczać.

- W takim razie co robimy, panno Indy? - spytał cierpliwie Mitchell.

- Musimy uniknąć poruszania sensorów i działa przez mniej więcej dwadzieścia minut - odparła mechanik. - Zresztą i tak mamy awarię łącz kontroli działa; właśnie nad tym pracuję.

- Mamy w ogóle jakiś rozpuszczalnik? - spytał Mitchell.

- Mam kilka dwudziestolitrowych baniaków - przyznała Indy - ale trzeba by wyjść na górę i polać anteny. Nic sędzą, żebym dała radę wszystko oczyścić. Musimy albo poczekać, aż zastygnie, albo znaleźć jakąś stację zaopatrzeniową, która obleje nas benzyną!

- Pruitt, pomóż chorążemu - powiedział major. - Ale najpierw załaduj pocisk do rury. Schmoo, spadamy stąd!

- Tak jest, sir! - odparł szeregowy, uruchamiając gaśienice. - Spieniona, rozpieprzona, rozbrojona SheVa wynosi się z Dodge!

- Mam wyjść na górę, kiedy jedziemy? - spytał działonowy.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedział major, włączając mikrofon, żeby wezwać oddziały wsparcia. - Ale jeśli tak, wyobraź sobie, że to następna przygoda Torga i Riffa.

Po chwili zaczął szukać częstotliwości ciężarówek amunicyjnych Czternastki. Gdyby udało im się przeżyć, będą potrzebować więcej niż ośmiu przeładowań.

- Ale ona wygląda bardziej jak Zoe, sir - wzruszył ramionami działonowy, uruchamiając ładowanie pierwszego pocisku. - Zresztą nie tylko ja uważam, że to dziwne nazywać ją panną Indy.

- Pruitt, zamknij się i pomóż jej. - Major pokręcił głową i znów spojrzał na ekran. Lądownicy, nie napotykając żadnych przeszkód, leciały, aby zdławić opór w całej dolinie. - Co się jeszcze

dzisiaj popieprzy?

* * *

- Co jeszcze dzisiaj się popieprzy? - spytał Orostan, patrząc na atomowy grzyb rosnący nad doliną. - Pacalostal, melduj!
- Pacalostal chyba już nigdy niczego nie zamelduje, oolt'ondai - powiedział Cholosta'an. - Podejrzewam, że większość tenarali została zniszczona.
- Thrah nah toll! - zaklął Orostan. - Na Demony Nieba i Ognia, jak ja nienawidzę ludzi!
- Och, nie jest aż tak źle - powiedział spokojnie Cholosta'an. - Straciliśmy tylko dwa okręty, a Mur runął i usunęliśmy z drogi większość ludzkich sił. Może ten wybuch tylko wszystko przyspieszy.
- Tenarale miały być użyte przeciwko metalowym threshkreen - warknął Orostan.
- Zajmiemy się nimi, kiedy przyjdzie pora. - Cholosta'an z rezygnacją kłapnął grzebieniem.
- Masz rację. Trudno. Do wszystkich okrętów: kierunek - dolina Gap. Czas na drugą fazę.

Rabun Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

13:09 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 26 września 2009

Major Ryan potrząsnął głową, próbując pozbyć się uporczywego dzwonienia w uszach.

- Przysięgam na Boga, że w końcu zacznę nosić te cholerne zatyczki - jęknął.

- Jest pan cały, majorze? - zapytała specjalistka, z którą dzielił bunkier.

- Co?! - krzyknął Ryan, wstając. Głos kobiety brzmiał tak, jakby mówiła do niego z dna studni.

- Pytałam, czy jest pan cały! - odkrzyknęła, wyciągając zatyczki z uszu. - Ja na przykład czuję się trochę wstrząśnięta.

- Cały! - krzyknął Ryan. - Zobaczmy, czy coś ocalało.

Jeden róg bunkra zawalił się, ale reszta pozostała nie tknięta, a wejście było tylko częściowo zablokowane. Ryan wypełził na zewnątrz i rozejrzał się po zdewastowanym pustkowiu.

Z malowniczej szkoły na szczycie wzniesienia zostały jedynie przygięte dźwigary. Cegły leżały rozrzucone na całym zachodnim zboczu wraz z innymi, trudnymi do rozpoznania szczątkami. Z bunkrów wypełzali inni ocalali; niewiarygodne, ale ktoś podnosił się wprost z rumowiska. Cała kwatera główna korpusu zniknęła. Ryan nie był pewien, co się stało z kwaterami głównymi trzech dywizji, ale z jego perspektywy tak naprawdę nie miało to znaczenia. Korpus został rozbity i jedyne rozsądne w tej chwili pytanie brzmiało, co on osobiście zamierza teraz zrobić.

Spojrzał na specjalistkę, która wypełzła z bunkra i siadła na dachu, rozglądając się po rumowisku z wyrazem zainteresowania na twarzy.

- Jaka jest wasza specjalizacja... - Zerknął na jej naszywkę z nazwiskiem Kitteket i uniósł brew.

- Kitkay? Kitta...

- Ma pan problemy z moim nazwiskiem, panie majorze? - odkrzyknęła z uśmiechem specjalistka.

- Jest indiańskie. Wymawia się Kitakat. A jak nie, to proszę sobie zapamiętać Kittycat.

- W porządku - odparł zdezorientowany Ryan. - Co tam, mój sierżant w Occoquan miał na nazwisko Leon...

- Jestem maszynistką, sir - powiedziała śmiało żołnierz. - Wie pan, najwyraźniej nie wybuchła cała antymateria. W przeciwnym wypadku ten bunkier zapadłby się jak domek z kart.

- Maszynistki rzadko wiedzą takie rzeczy zauważył Ryan. Fala uderzeniowa poszarpała ogrodzenie parkingu, więc minął bramę i wszedł do środka przez dziurę.

- Czytam dużo podręczników.

- Aha. Pewnie dlatego uciekła pani do bunkra, kiedy zaczęli grzać w SheVę?

- No pewnie - wyszczerzyła zęby Kitteket. - Pracowałam przy budowie bunkrów, więc nie mogłam pozwolić, żeby się zmarnowały!

- No, jeśli faktycznie mają się nie zmarnować, musimy stąd szybko wiać - stwierdził Ryan, schodząc ze wzgórza.

- Dokąd pan... Dokąd idziemy? - zapytała kobieta. - Czy nie powinniśmy... nie wiem... organizować obrony czy coś takiego?

- Nie. Za jakieś pięć minut do wszystkich dotrze, że Posleeni nadchodzą i że nic ich nie zatrzyma, a wtedy zaczną uciekać. A to znaczy, że zablokują wszystkie drogi.

Otworzył drzwi pierwszego rozsądnie wyglądającego humvee i spróbował go odpalić. Udało mu się, kiedy zresetował bezpiecznik.

- Pojedziemy do najbliższego składu amunicji - rzekł. - Po drodze zabierzemy jeszcze ze cztery osoby. A potem pojedziemy na wzgórze.

- Tak jak myślałam - powiedziała Kitteket, wsiadając z drugiej strony. - Uciekamy.

- Nie. Jedziemy na wzgórze, gdzie drogi są bardzo strome. Ze składu amunicji zabierzemy tyle materiałów wybuchowych, ile zmieści się do tego grata...

* * *

Mueller wyszedł ze swojej kwatery i spojrzał w głąb doliny, kiedy pierwszy wstrząs kosmicznej broni odbił się echem w górach. Z tego miejsca nie mógł widzieć działa SheVa, ale widział błyski jego wystrzałów i ślad „srebrnej kuli”. Tak czy inaczej było oczywiste, że Posleeni przypuścili zmasowany atak. Mueller pogładził się po brodzie, zastanawiając się, co powinni w takim razie zrobić. Oddziały zwiadowcze podczas szturmów były prawie bezużyteczne, ale ci Posleeni zachowywali się inaczej niż zwykle, choćby dlatego, że używali lądowników i atakowali Mur.

Stał tak przez chwilę - z koszar zaczęli wysypywać się w tym czasie inni podoficerowie - aż zobaczył klucz posleńskich latających czołgów.

- Przekażnik - powiedział, unosząc rękę tak, by urządzenie je zobaczyło. - Widzisz je?

Część klucza zniknęła po prawej stronie, przypuszczalnie atakując park artyleryjski, a druga część zaczęła zataczać kręgi, atakując coś po wschodniej stronie wzgórza.

- Widzę, sierżancie Mueller. Uwaga, celem ich ataku jest SheVa Czternaście. Biorąc pod uwagę ich uzbrojenie i liczbę przelotów, jest bardzo prawdopodobne, że przebiją pancierz magazynu amunicji.

- Zaznacz wysunięte pozycje korpusu - powiedział Mueller, patrząc na hologram - i prawdopodobne strefy zniszczeń w wyniku eksplozji SheVy.

Wyniki nie wyglądały dobrze; jeśli SheVa padnie, korpus pójdzie w rozsypkę.

- O cholera - mruknął sierżant. - Połącz mnie ze starszym sierżantem sztabowym Mosovichem. I dopilnuj, żeby o całej sytuacji dowiedział się generał Homer.

* * *

Homer popatrzył na własny hologram i pokręcił głową. O sytuacji w dolinie poinformowało go Dowództwo Wschód. Musiał przyznać, że sprawy nie wyglądają najlepiej. Przypomniał sobie jedno ze swoich ulubionych w takiej sytuacji powiedzeń, które sformułował jeden z nielicznych naprawdę skutecznych brytyjskich generałów z czasu drugiej wojny światowej: sytuacja nigdy nie jest aż tak dobra ani tak zła, jak wskazują wstępne raporty. Jeśli tak jest, to to, co właśnie stało się w dolinie Gap, jest po prostu katastrofą, a nie końcem wojny.

Zauważył też, że nawet z pomocą przekażnika mapa nigdy w stu procentach nie odzwierciedla rzeczywistości. I że nigdy nie szkodzi zapytać o zdanie naocznego obserwatora.

- Przekażnik, gdzie w tym bałaganie jest sierżant Mosovich?

- Starszy sierżant sztabowy Mosovich znajduje się około ośmiu kilometrów na zachód od męskich koszar podoficerów korpusu.

- Połącz mnie z nim, proszę.

* * *

Mosovich poprawił pasek plecaka, kiedy drużyna dotarła na grzbiet wzniesienia. Widać stąd było jak na dłoni strumień pojazdów, oznaczający, że korpus „pryska” na całego. Nie mógł mieć do nikogo pretensji; nad główną doliną Gap kłębiły się lądowniki, a bez sprawnej SheVy nie było jak stawić im oporu.

- Sierżancie - odezwał się przekażnik - generał Homer na linii.

- Połącz - westchnął Mosovich. - Witam, sir.

- Widzę, że nie mówi pan „dzień dobry”, sierżancie. - Przekaznik włączył hologram oficera z dalekiej kwatery głównej; generał miał na twarzy swój zwykły ponury uśmiech. - Niech mi pan powie, co się tam dzieje.

- Pyskają na całego, sir. Idziemy na wzgórza; chcemy przycziąć się tam i przyjrzeć Posleenom, kiedy będą tędy przechodzić. A jeśli wszystko ułoży się tak, jak podejrzewam, spróbujemy przedrzeć się na zachód. Przekaznik mówi, że wlewają się do doliny z prędkością stu tysięcy na godzinę, i zgadza się to z tym, co widzę. Widzieliśmy też latające czołgi; przekazniki mają ich obraz. Nie widzę też, żeby korpus się przegrupowywał, sir. A na północy jest Podmieście, więc obawiam się, że będzie zdane na własne siły. Prawdę mówiąc, sir, nic a nic mi się to wszystko nie podoba..

- Mnie też nie, sierżancie - odparł Homer. - Normalnie ktoś wsparłby korpus, ale w tym rejonie... - Wzruszył ramionami. - Do tego dochodzi fakt, że Posleeni na całej długości frontu wschodniego nacierają na wszystkie przełęcze, doliny i drogi. Wdarli się nawet do Shenandoah między Roanoke i Front Royal. Spodziewam się następnych najazdów. Nie byłbym zaskoczony, gdybyśmy stracili w tej kampanii więcej niż jedno Podmieście; nigdy dotąd nie odpieraliśmy tak zmasowanego ataku wszystkich sił.

- To... niedobrze - powiedział Mosovich. - W Shenandoah mamy między innymi sporo przemysłu, prawda?

- Tak, to niedobrze - zgodził się Homer. - W tamtym rejonie są trzy SheVys, ale niestety wszystkie na etapie montażu i nie uzbrojone. Jeśli je stracimy, cztery miesiące produkcji pójdą psu w dupę. Niech pan robi to, co uzna za stosowne, sierżancie. Jeśli będzie mi pan potrzebny, odezwę się.

- Czy mogę spytać, co pan zamierza, sir? - spytał Mosovich z pozorną obojętnością. - To znaczy w naszym rejonie.

- Prawdopodobnie spróbuję zatkać dziurę. Dowództwo Wschód przesuwa jednostki, żeby pozamykać drogi wychodzące z waszego rejonu. Na wschód od Knoxville jest jedna dywizja, która właśnie się rozmieszcza. Ale prawda jest taka, że Gap jest jak dno leja: kiedy JUŻ się z niego wyjdzie, można iść w każdą stronę. Zamknięcie wszystkich dróg przy takiej masie Posleenów nie będzie łatwe.

- Zatkanie dziury będzie... trudne, sir - powiedział Mosovich, kręcąc głową. - Ktokolwiek tu jest, zostanie zaatakowany jednocześnie ze wszystkich stron. W Georgii jest prawdopodobnie wciąż ponad pięć milionów Posleenów, próbujących wdrzeć się tu na górę, za nimi prawie milion, a w powietrzu są lądowiki... Niemal każdy, kogo wystawicie, wyparuje jak flegma na gorącej blasze. Z całym szacunkiem, sir.

- Ma pan rację, sierżancie - uśmiechnął się sztywno Homer. - Niemal każdy.

*Ma się gniew nasz udobruchać już po jednej krótkiej chwili?
Żeby odkryć, kiedy burze już się skończą
Że cichaczem, ale chyżo do sił dawnych powrócili
Z przyrodzonym sobie sprytem i łatwością?*

Rudyard Kipling
Mezopotamia (1917)

Obóz Newry, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

14:05 czasu wschodnioamerykańskiego letniego, sobota,
26 września 2009

Mike otworzył następny e-mail. Ten był od Michelle, jego młodszej córki. Wiadomość natychmiast rozbłysła na hologramie. Michelle została ewakuowana z Ziemi wraz z ponad czterema milionami krewnych żołnierzy Floty z różnych krajów. Zrobiono to podobno po to, aby personel Floty nie martwił się o bezpieczeństwo swoich dzieci. Ponieważ jednak z każdej rodziny zabrano tylko jedno dziecko, w rzeczywistości chodziło o stworzenie puli genów na wypadek, gdyby stracono Ziemię. Kiedy Mike był w wyjątkowo cynicznym nastroju, zastanawiał się, czy krewni nie mieli też być zakładnikami mającymi zapewnić posłuszeństwo Floty. Praktycznie każdy żołnierz miał przynajmniej jedno dziecko na wychowaniu u Indowy; Darhelom łatwo byłoby w razie konieczności spowodować jakiś „wypadek”.

Michelle przysyłała mu list raz na tydzień. W ciągu ostatniego roku listy stawały się coraz bardziej oziębłe. Michelle nie była na niego zła, wydawała się po prostu... wyprana z uczuć. Zaczynało go to niepokoić i pragnął poruszyć ten temat, doszedł jednak do wniosku, że i tak nic nie poradzi, będąc oddalony od córki o osiemdziesiąt cztery lata świetlne.

Michelle miała ciemne włosy i nos najwyraźniej po ojcu. Nie licząc jednak nosa, zaczęła przypominać sobowtóra Sharon O’Neal, włącznie z głosem. Mike’owi czasami z trudem przychodziło pamiętać, że rozmawia ze swoją córką. Sharon niekiedy przybierała ten sam chłodny, pełen dystansu ton.

- Dzień dobry, tato - zaczęła Michelle, skinąwszy lekko głową. - W tym tygodniu są cztery interesujące sprawy...

Ubierała się już na modłę Indowy; ich codzienna szata przypominała trochę maoistowski mundurek. Jej strój oraz bezbarwny ton wypowiedzi sprawiały, że Mike miał wrażenie, iż słucha kiepsko zaprojektowanego robota; Michelle mogłaby wkładać więcej uczucia w te swoje listy. Indowy byli rasą aż do bólu pozbawioną indywidualności. Poświęcenie się dla zbiorowości było dla nich prawie religią, i to właśnie ich wpływ sprawiał, że córka Mike’a stawała się tak odległa, tak... obca.

Uświadomił sobie, że nie słucha, co ona mówi, i puścił nagranie od początku. Skomentowała wiadomości z Ziemi, referowała ostateczną bitwę o Irmansul - Mike miał na ten temat lepsze niż ona raporty w swoim przekaźniku - i dyskusję wokół awansu jakiegoś Indowy, którego nazwisko nic mu nie mówiło. Czasami myślał, że jako honorowy władca Indowy w randze księcia czy arcyksięcia powinien bardziej interesować się ich społeczeństwem. Z drugiej jednak strony najwięcej uwagi poświęcał ostatnio obmyślanemu nowych sposobów zabijania Posleenów.

Uświadomił sobie, że znów odpłynął gdzieś myślami i przegapił coś ważnego; Michelle przez chwilę była niemal ożywiona...

„Czwartą i ostatnią rzeczą o której chcę donieść, jest przyjęcie mnie na drugi poziom szkolenia sohon. Sohon, jak powinieneś zdawać sobie sprawę, jest sferą technicznej metafizyki Indowy. Ty jesteś wyszkolony w dopasowywaniu pancerzy, a to jest wyspecjalizowana forma sohon poziomu drugiego. Na ile można to ustalić, będę pierwszym człowiekiem dopuszczonym do nieograniczonego sohon poziomu drugiego. Uważam, że docelowo mogę dojść do sohon poziomu czwartego czy nawet piątego. Należy mieć nadzieję, że to i inne moje przyszłe dokonania zwiększą uznanie, jakim cieszy się klan O’Neal. To cztery interesujące tematy tego tygodnia. Czekam na twoją odpowiedź.

Michelle O’Neal”

Mike obejrzał ten fragment nagrania dwa razy. Wiedział w przybliżeniu, o czym mówiła córka, ale konkretów nie potrafił pojąć. Jednym z problemów z GalTechem było to, że technicy Indowy musieli wszystko produkować na zamówienie, pod konkretnego odbiorcę. Ludzie tacy jak O’Neal, mający pewne doświadczenie, mówili o tej technice per „modły”, ale tak naprawdę chodziło o to, że Indowy zajmowali się mikroprodukcją na poziomie atomu od dosłownie tysięcy lat i w procesie produkcyjnym wykorzystywali roje nanitów, które atom po atomie konstruowały materiały zaprzeczające wszelkim doświadczeniom materiałoznawstwa. Nanity zmuszały atomy do takich rzeczy, których zaistnienie w przypadku zastosowania innych metod było bardzo mało prawdopodobne.

Tego procesu nie można było kontrolować nawet najbardziej zaawansowanymi komputerami. Nanitami trzeba było sterować bezpośrednim łączem nerwowym. Tak więc grupa Indowy siadała wokół specjalnych kadzi i... manipulowała nanitami, najpierw wydając im ogólne instrukcje, a potem udostępniając im swoje mózgi jako procesory. Dopasowywanie pancerza wymagało przede wszystkim pozostawania w bezruchu i pewnego rodzaju medytacji nad „dostosowaniem” pancerza do człowieka; resztą zajmowały się nanity i osobowość zbroi.

Jak rozumiał Mike, problem z klasami drugą i wyższymi polegał na tym, że osoba bądź zespół musiała utrzymywać w umyśle idealny obraz produkowanego przedmiotu, aż do wiązań cząsteczkowych poszczególnych komponentów. Na przykład pancerz wymagał sześciomiesięcznej pracy jednego Indowy poziomu szóstego, mistrza *sohon*, i dziesiątek robotników niższych poziomów, medytujących zgodnie nad idealnym wyobrażeniem pancerza aż do ostatniego atomu; dlatego właśnie zbroja kosztowała prawie tyle samo co fregata.

Mike musiał przyznać, że awans człowieka na poziom drugi, zwłaszcza jedenastolatki, choćby tak zdolnej jak jego córka, jest czymś niesłychanym.

Zastanowił się nad właściwą odpowiedzią. Jeśli będzie zbyt wylewny, Michelle mogłaby to odebrać jako wytknięcie jej własnego dystansu. Z drugiej strony odpowiedź zbyt sztywną mogłaby potraktować tak samo. W końcu westchnął i postanowił darować sobie te domysły.

Droga Michelle.

Wspaniale jest słyszeć o Twoich postępach. Muszę powiedzieć, że Twój sukces stawia naszą rodziną w bardzo dobrym Świetle, i powinnaś być z niego dumna tak samo jak ja. Mam nadzieję, że któregoś dnia będę mógł Ci osobiście pogratulować. Nie mogę już doczekać się dnia, kiedy wszyscy będziemy znów razem, tak jak prawdziwa rodzina.

Twój kochający ojciec,
Tata

Zawsze wysyłał swoje odpowiedzi w postaci tekstu, wystukując go na starym edytorze, a potem pozwalał, by przekaźnik konwertował go na odpowiedni format i przesyłał wojskową siecią. Transmitter laserowy dołączał wiadomość do innych i wystrzeliwał je do satelity w głębokiej

przestrzeni. Stamtąd informacje trafiały do bazy Titan, a potem czekały w boi komunikacyjnej Jowisza na statek lecący poza system. Statek przewoził wiadomości do kolejnych boi, aż w końcu, sześć do dziesięciu tygodni później, docierały na planetę Michelle, Daswan. Biorąc pod uwagę, że statek transportowy pokonywał tę odległość ponad rok, był to i tak niezły wynik.

Mike spojrzął na list i zmarszczył brew. Powinien napisać więcej, opowiedzieć o swoim batalionie i o tym, co robi. Ale wiedział, że Michelle zupełnie przestała interesować się bezmyślną rzeźnią, w jaką zamieniła się Ziemia. Wyglądało na to, że nawet nie chce tu wracać. Tracił córkę, pewnie już ją stracił, i nie wiedział, co mógłby na to poradzić. Trafiła między Indowy, wychowywali ją Indowy... i stawała się Indowy. I na to też nic nie mógł poradzić.

W końcu poddał się i wcisnął klawisz WYŚLA5.

Następna wiadomość była od Cally i też zawierała wszystko to, czego się spodziewał. Wiadomości od Cally nie były tak częste, jak od Michelle; obie dziewczynki rozwijały się w nieco, innych kierunkach. Cally nie miała dostępu do technologii GalTechu, dlatego przysyłała standardowe wiadomości tekstowe.

Cześć tatusiu.

Mieliśmy w tym tygodniu gości: kilka pań z pobliskiego Podmieścia i ki/ku twardzieli, kumpli Łysego. Przywieźli ze sobą kilka dzieciaków, mówię ci, strasznie dziwnych. Nigdy nie były na dworze, nigdy niczego nie zastrzeliły i panikowały z powodu byle gówna. Rozumiesz, słowo o kucykach, a one dostawały spazmów.

Poza tym nic nowego. Łysy zastrzelił na wzgórzach dzikiego, ale to żadna nowina. To znaczy ja dorwałam jelenia, Łysy dzikiego. Łał!

Aha, Łysy wspominał, że jedna z pań, które przyjechały w gości, ma z nami zamieszkać. Może. Uwierzę, jak zobaczę. Miła z niej laska, chyba dobrze by było, jakby Łysy raz na jakiś czas coś przeleciał, może by się rozchmurzył. Ale uwierzę, jak zobaczę.

Tak trzymać, STARY! Nieźle załatwiliście te koniki w Rochester! My, O'Nealowie, umiemy skopać tyłki, co?

:-)

*Trzymaj się i pamiętaj: trafienie rakieta boli!
Cally*

Mike westchnął, wcisnął klawisz ODPOWIEDZ i poczuł pustkę w głowie. Ogólnie rzecz biorąc, wolał Rozrabiakę od Robota, ale odpowiadanie na listy Cally również nastroczało pewnych problemów. Czy powinien jej przypomnieć, że nazywanie dziadka Łysym nie jest właściwe? Albo że to nie jest sprawa trzynastolatki, jak często jej dziadek kogoś posuwa? A skoro o tym mowa, to nie powinno jej obchodzić, nawet gdyby miała lat czterdzieści.

Właśnie, a czy orla uprawiała już seks? Tata pewnie zostawił to jemu, ale co on mógł zrobić? Męska rozmowa w cztery oczy odpadała, dzieliło ich siedemset pięćdziesiąt kilometrów.

Do tego ta krwiożerczość, którą obserwował u Cally... To samo zauważył u Tommy'ego Sundaya. Pokolenie, które dorastało w czasach wojny, było pokoleniem skąpanym we krwi. Ich brak wrażliwości był niepokojący.

Może to była właściwa reakcja na sytuację, ale pokolenie tak... obojętne na wartość życia - tak samo ludzkiego, jak i posleńskiego - nie mogło stworzyć po wojnie społeczeństwa twórczego, rozwijającego się i zdrowego.

Brakowało w nich jakiegś iskry, jakiegś płomyczka optymizmu. Może Homer miał rację, że Mike nie jest wystarczająco twardy i zimny. W takich sytuacjach miał ochotę zrzucić z barków brzemień i powiedzieć „znajdźcie sobie kogoś innego”. Jego pokolenie było jednym z ostatnich

urodzonych w „złotym wieku”, i jeśli ono nie będzie pamiętać o celu, jakim jest nie tylko odbudowa świata, ale i odzyskanie piękna, sztuki i nauki, nikt nie będzie o tym pamiętał. Ludzkość znajdzie się na poziomie, jaki wyznaczyli dla niej Darhelowie. A nie dopuścić do tego mogły tylko te półdzikie dzieci wojny, które tyle mają wspólnego z podstawami koncepcji ludzkiego rozwoju i praw człowieka, co...

Szczerze mówiąc, nie było niczego takiego, z czym miałyby mniej wspólnego.

Wszystko jest do kitu.

Droga Cally.

W Rochester było... ciężko. Udało się nam, ale batalion poniósł większe straty niż zakładałem. Prywatnie i służbowo Jestem zadowolony, że udało nam się przesunąć front z powrotem do Cayuga, ale ogólnie rzecz biorąc, wolałbym, by nie było to konieczne.

Cieszę się, że mieliście gości, zwłaszcza kobiety. Wiem, że musi Ci być ciężko dorastać w towarzystwie tylko dziadka. Mam nadzieję, że będziesz mogła się nauczyć...

Cofnął się i skasował ostatnie zdanie. Chciał użyć określenia „dama”, ale to zakładało, że tamte kobiety nimi były i że Cally także chciała nią być, a to wcale nie było takie oczywiste. Gdyby musiał wybierać między emerytowaną niańką a małym dzieckiem wojny, w obecnych okolicznościach bez wahania wybrałby dziecko wojny. Świat i jego przyszłość mogą iść do diabła, byleby jego córka przeżyła.

Przy okazji mam nadzieję, że nie mówisz do niego Łysy. Jeśli tak, będę musiał do Was przyjechać i udowodnić Ci, że wciąż mogę złoić Ci tylek. I zanim powiesz: „A jaką armię weźmiesz ze sobą?”, pozwól sobie przypomnieć, że wciąż mogę obezwładnić Cię w trzy sekundy bez pancerza, a jeśli postanowisz potraktować mnie jak sierżanta dywizji, zawsze mogę wezwać wsparcie.

:->=

Doszedłem do wniosku, że po wojnie chcę wrócić do cywila. Pozwoli mi to spędzić ostatnie kilka lat, zanim uciekniesz z domu, przy Tobie. Nie mogę się doczekać, kiedy to nastąpi i kiedy Michelle wróci do domu. Często o Was myślę i bardzo Was kocham.

*Twój tata
który w żadnym razie nie łysieje*

Ostatni list był od ojca.

Mike.

Rochester wyglądało jak jakiś pieprzony koszmar. Cieszę się, że przeżyłeś. I że trafiło na Ciebie, a nie na mnie. W zeszłym tygodniu mieliśmy gości. Jake Mosovich, poznałem go w NMA, wpadł do nas z kilkoma kobietami z Podmieścia Franklin. Było też trochę dzieciaków i jego podoficer Mueller. Obaj są zwiadowcami w korpusie, ale są z Floty. Dobrze się bawiliśmy i zamierzam poprosić jedną z kobiet - nazywa się Shari - żeby się tutaj wprowadziła. Ma dzieci, one też się wprowadzą. A Cally będzie miała kolegów. U niej też w porządku i chyba podoba się jej ten pomysł.

Dostałem Twój ostatni list. Mówisz, jakbyś się wypalił. Mam nadzieję, że trochę odpoczywasz. Musisz pojechać na urlop do Hong Kongu i coś posunąć. Ale Posleeni zżarli chyba wszystkie kurwy. Może poszukaj jakiejś korpuśnej kurwy u siebie. Pokaż swoje medale, może da Ci za darmo.

Dostaliśmy ostatnią paczkę od Ciebie i jest bezpieczna. Dziękuję za pomoc w tych ciężkich czasach. A jak byś czegoś potrzebował, wiesz, gdzie szukać.

Trzymaj się i uważaj na kule.

Jak zwykle musiał przeczytać wszystko dwa razy, żeby dobrze zrozumieć styl ojca. Tata nie był niepiśmienny ani mało inteligentny, ale kiedy Michael O'Neal Senior dorastał w hrabstwie Rabun, do ósmej klasy chodziły tylko nad wiek rozwinięte kujony. Ojciec Mike'a musiał rzucić szkołę w szóstej klasie, żeby pracować w polu, i robił to do siedemnastego roku życia, kiedy udało mu się uciec do wojska.

W przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników, Papa O'Neal nigdy nie robił żadnych postępów w pisaniu. Był czytany, historię wojskowości wprost pochłaniał, ale czytanie jakoś nigdy nie przekładało się na jego zasób słów czy gramatykę.

Majorowi O'Nealowi jednak to nie przeszkadzało. Jego ojciec był jedyną osobą, przed którą mógł się otworzyć, nawet jeśli jego rady bywały brutalne.

Zaczynał właśnie układać w myślach odpowiedź - chciał napisać, że jest na urlopie, i mimo iż ojciec jest już drugą osobą radzącą mu, by coś posunął, jak dotąd nie udało mu się tego osiągnąć - kiedy przekaźnik wyczyścił jego ekran i włączył hologram.

- Priorytetowa wiadomość od generała Homera. To by było na tyle, jeśli chodzi o urlop.

Mike spojrzał na holo Homera i westchnął.

- Gdzie?

Homer otworzył usta, jakby miał zacząć wygłaszać przygotowaną gadkę, a potem zeszło z niego powietrze.

- Rabun Gap. Straciliśmy je. Mike.

Major O'Neal zacisnął zęby i postukał w przekaźnik.

- Plan, Shelly.

Kiedy zobaczył mapę Gap, okazało się, że cała dolina, włącznie z okolicą, farmy, była pokryta czerwonymi plamami. Mike patrzył przez chwilę z niedowierzaniem, a potem ukrył twarz w dłoniach.

- Korpus wytrzymał całe pięć minut?

- Nie wiem, jak by sobie poradzili w normalnych okolicznościach - odparł Homer - ale ci Posleeni nie zachowują się wcale jak Posleeni, Mają jakieś latające opancerzone czołgi, którymi zdjęli wystawioną tam SheVę. Najwyraźniej stała za blisko głównych sił korpusu i zmiotła drugą i trzecią linię obrony. Co gorsza, wykorzystują lądowiki do prostych operacji lotniczych; C-Deki zniszczyły Mur, dosłownie zrównały go z ziemią, i wygląda na to, że szykują się do skoku dalej, Potem weszli do doliny i najwyraźniej odbudowali drogę. Jestem pod wrażeniem. I jednocześnie przerażony. Nie podoba mi się pomysł posleeńskich służb inżynieryjnych. Co będzie dalej? Artyleria?

- Shelly, na ile te informacje są wiarygodne? - spytał Mike.

- Resetuję obraz - odpowiedziała Shelly. - Kolor czerwony oznacza doniesienia naocznych świadków oraz transmisje wideo albo posleeńskie, kolor niebieski zaś oznacza maksymalny szacowany zasięg sił wroga.

Po tej modyfikacji obrazu farma O'Nealów znalazł się na lekko tylko fioletowym terenie; możliwe, że Cally i Papa O'Neal wciąż żyją.

- Shelly, spróbuj wywołać kogoś na farmie i wyszukaj informacje na temat ich stanu - powiedział Mike. - Co mam zrobić?

- Dziura musi zostać zatkana... - zaczął Homer.

- Bez jaj! - wykrzyknął ze złością Mike. Po tylu latach walki potrzebował zaledwie sekundy, żeby uzmysłwić sobie skalę proponowanego zadania. Szanse przeżycia go były zerowe. - Chyba żartujesz!

- Nie, nie żartuję - powiedział chłodno Homer. - Wciąż mamy banshee, za mało, żeby przerzucić pełny batalion, ale...

- Ale my nie jesteśmy pełnym batalionem - warknął Mike. - Do jasnej cholery, Jack, może i mam na drugie Leonidas, ale to nie znaczy, że chcę zginąć tak jak on! Ci cholerni Spartanie wyginęli, bo zostali otoczeni, a my będziemy otoczeni już na starcie. Jak mamy się przedrzeć do Gap? Jak? Przez, bagatelka, czternaście czy piętnaście milionów Posleenów? Gdzie, do kurwy nędzy, mielibyśmy wylądować?

- Dziura musi być zamknięta - powtórzył niewzruszony Homer. - Na siedemdziesiąt dwie godziny.

- Niewiary-kurwa-godne! Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz?! Mam trzystu dwudziestu ludzi zdolnych do walki! Nie dalibyśmy rady zabrać ze sobą wystarczającej ilości amunicji na trzy dni! A ty nie masz żadnych szans, aby w trzy dni kogokolwiek do nas doprowadzić!

- Ruszam Dziesięć Tysięcy, wsparte najlepszą artylerią, jaką znajdę. Zajmą pozycje i zaczekają, aż Posleeni do nich podejną, a wtedy zmiażdżą ich artylerią. Jeśli wy będziecie w Gap, Posleeni nie będą w stanie przepchnąć tam więcej sił i będziemy musieli zająć się tylko tymi, którzy już będą w środku.

- I tymi w ładownikach - doda! Mike. - Zapomniałeś, że oni używają transportu powietrznego?

- W dolinie jest jedno ocalałe działo SheVa. Ma jakieś problemy techniczne, ale da sobie radę. Musisz tylko zatkać dziurę. I zatkasz ją dla mnie.

- Nie ma mowy - powiedział Mike. - Nikt tego nie robi. Potrzebowałbym cholery brygady pancerny, której nie mamy, i ciągłych dostaw amunicji i mocy!

- Majorze, każda minuta tej rozmowy to kolejne szesnaście czy siedemnaście setek Posleenów w dolinie. Wysłałem do was banshee. Proszę przygotować batalion.

- Generale, idź umyć uszy! - krzyknął Mike. - NIE JEDZIEMY. Pieprzone promy nawet nie wylądują! Musielibyśmy mieć bezpieczną strefę lądowania! I zapasowe promy do przewozu uzupełnień! A i tak wytrzymałybyśmy tylko około godziny! Nie jedziemy! Koniec, kropka!

- Cholera jasna, Mike! Nie zamierzam stracić całego wschodniego wybrzeża tylko dlatego, że ty nie chcesz stracić swojego jebanego batalionu! Zdobędziesz i utrzymasz Gap do ostatniego człowieka albo, Bóg mi świadkiem, każę cię postawić przed sądem i rozstrzelać, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię!

- Pierdol się, Jack! Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim pozwoliłeś oddać dowodzenie nad Gap Bernardowi! To ty wpakowałeś mnie w ten burdel! Ty wsadziłeś mnie w tę pierdoloną plastalową trumnę, w której siedzę, od dziewięciu lat, ty odebrałeś mi rodzinę, ty zabrałeś mi żonę! Został mi TYLKO ten jebany batalion i nie pozwolę ci go też rozpieprzyć, ty krwiożerczy BYDLAKU!

Drzwi niemal wyskoczyły z zawiasów, kiedy do środka wpadł Gunny Pappas.

- Sir, co tu się dzieje, do cholery? Słysząc pana aż w koszarach!

- WYPIERDALAJ MI STĄD, GUNNY! - wrzasnął O'Neal. Złapał ciężkie drewniane biurko, podniósł je nad głowę i cisnął w okno. Nie zmieściło się, więc ryknął z furją i zaczął nim tłuc o ścianę, aż wybił odpowiednio dużą dziurę. Dopiero wtedy biurko wyleciało na zewnątrz.

To był szal, nie kontrolowany jak huragan i niemal równie niszczycielski. Gdyby O'Neal mógł jednym naciśnięciem guzika wyłączyć wszechświat, zrobiłby to. A ponieważ nie mógł, wyżył się na swoim gabinecie i budynku dowództwa batalionu. W kilka sekund strzępy pamiętek ze ścian poleciały w ślad za biurkiem. Mike wyrzucał wszystko, co mu wpadło w ręce, a potem zaczął poszerzać dziurę, okładając ściany pięściami.

Ściany budynku opierały się na zwykłym drewnianym szkielecie; od środka pokryte były płytami gipsowymi, a od zewnątrz laminatem obitym sidingiem, Chociaż Michael O'Neal Junior mierzył tylko metr sześćdziesiąt pięć, potrafił wycisnąć dwieście kilo, więc każdy cios przechodził przez wszystkie trzy warstwy jak przez papier. Wsporniki pękały najwyżej po dwóch uderzeniach. Już po chwili pięści Mike'a były zakrwawione, ale pogrążony w bólu, nie zauważył tego, tak samo jak faktu, że fragmenty sufitu zaczynają się wyginać. Najgorsza - oprócz straty ojca, córek i całego życia - była świadomość, że na koniec straci też swój batalion. Ale jednocześnie każdy nerw jego ciała krzyczał, że nie popełni w taki głupi i bezmyślny sposób samobójstwa.

W końcu szal wyczerpał się. Gabinet miał teraz nowe wejście, wystarczająco duże, by wjechał nim samochód. Ignorując gromadkę ciekawych i zmartwionych gapiów, Mike przeszedł przez pobjowisko do przekaźnika, wciąż wyświetlającego hologram Homera.

- Pojedziemy - wycharczał. - Ale pod warunkiem, że cały tamten rejon zostanie wypalony do gołej ziemi. Mój sztab opracuje plan, a wy go wykonacie. Jeśli prezydent będzie się stawiać, powiedz jej, że to rozkaz oficera Floty, a ona ma obowiązek wykonywać rozkazy oficerów Floty. Będziesz trzymał się naszego planu. Przygotuj wsparcie nuklearne. My wejdziemy na pokład banshee i polecimy na południe. Jeśli nie dostaniemy atomówek, będziesz mógł mnie pocałować w mój tłusty, włochaty zad, a ja nawet nie zbliżę się do Gap. Jeśli w którymś momencie poczuję, że nie dostaję odpowiedniego wsparcia, wycofam się na własną rękę. Odezwijs się, kiedy będziesz miał pozwolenie na użycie atomówek, i tylko wtedy. Lepiej, żeby były naprawdę gotowe. Shelly, przerwij połączenie.

- Tak jest, sir - odparł przekaźnik i wyłączył Homera.

- Shelly, nie chcę więcej rozmawiać z tym bydlakiem - powiedział ochryple Mike. - Kiedy przyśle zgodę na użycie atomówek, po prostu mi powiedz.

Rozejrzał się po zebranych. Większość z nich to byli szeregowcy kompanii Bravo - Pappas mówił poważnie, że Mike'a słychać było w koszarach reszta to oficerowie i podoficerowie batalionu.

- Dobra, chłopaki - rzucił Mike, patrząc w ich twarze. - Jedziemy dać się pozabijać.

* * *

Minęło prawie pół godziny, odkąd ucichły ostatnie odgłosy walki przy Murze. Doliną niósł się tupot tysięcy stóp i odzywające się raz po raz trzaski działek plazmowych.

- Cholera - szepnęła Cally, kiedy pierwszy Posleen pojawił się na jej celowniku. - Korpusu chyba już nie ma, dziadku.

- Aha. Ale nie to jest najgorsze - rzekł O'Neal, pokazując wyłaniający się z nad wschodniej krawędzi kotliny tenaral.

Cally spojrzała przez otwór strzelniczy na zachód i postukała dziadka w ramię.

- Nie, tanto jest jeszcze gorsze.

Papa O'Neal wzdrygnął się, widząc unoszący się nad farmą cień, ale Minóg kierował się na zachód i leciał około trzystu metrów nad ziemią. Na ich oczach wystrzelił z niego srebrny promień, i od strony parku artyleryjskiego dobiegł huk eksplozji.

- Zacznie do nas strzelać, kiedy otworzymy ogień? - spytała nerwowo Cally, kiedy odpaliła pierwsza mina. - To mi się nie podoba.

- Mnie też nie - przyznał Papa O'Neal. - Dobra, uruchamiamy plan B.

- Dajemy nogę?

- Tak. Przynajmniej do kopalni; jest zabezpieczona przed wybuchem atomowym. Przyczaimy się tam na jakiś czas, aż minie pierwsza fala, a potem pójdziemy dalej w las.

- Chodźmy - powiedziała Cally, naciskając płytę ze sklejki na tylnej ścianie bunkra. Płyta lekko

ustąpiła, a potem odskoczyła na zawiasach, odsłaniając ciężkie stalowe drzwi umocowane w zagłębieniu skały. Dziewczynka otworzyła je i weszła do tunelu. - Idziesz, prawda?

- Idę - odpowiedział Papa O'Neal. - Nie zamykaj. Muszę nastawić zegary pół minowych. I włączyć sekwencję samozniszczenia; nie pozwolę, żeby te bydlaki dostały mój dom.

- Dobrze, tylko szybko - powiedziała nerwowo Cally. - Nie chcę przemykać się przez te wzgórza sama.

- Za chwilę będę - zapewnił ją Papa O'Neal. - Idź już.

*A gdy pijani potęg zwidem
Język na świat rozpuścim wolno
I za nic mając Twoje imię
Jak pogan plemię bez praw, podle
Panie Zastępów, bądź wciąż z nami
Bo zapomnimy - zapominamy!*

Rudyard Kipling
Pieśń na wyjście (1897)

Okolice Dillard, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

14:27 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,

sobota, 26 września 2009

Major Mitchell popatrzył na chorążego, która wystawiła głowę z włazu.

- Możemy już zacząć strzelać? - spytał.

Major był odmłodzony; dawno temu jako świeżo mianowany oficer uczył się walczyć z Sowietami w Fulda Gap. Po pierwszym wstrząsie doszedł do wniosku, że obecna sytuacja wcale nie tak bardzo różni się od tamtej. Stosunek liczebności pozostawał mniej więcej ten sam; lądowników było około czterdziestu, a oni byli sami. Doskonale.

Technikę walki z takimi siłami miał wyćwiczoną bezbłędnie: strzał i odskok. Trochę jak w boksie: wyprowadzenie porządnego, dobrze wymierzonego ciosu, a potem odskok, żeby kontra trafiła w pustkę. Oczywiście na wojnie dobrze było mieć wokół przyjaciół, dlatego Armia nazywała ten manewr „strzał, odskok i porozumienie”. Major Mitchell ćwiczył to przez większą część swojego dorosłego życia. Umiał zadawać proste, bić hakiem i miał dobrą pracę nóg. Zanosilo się na łatwiznę.

Jaaasne.

Przez ostatnie kilka miesięcy bezustannie ćwiczyli. Załogę skompletowano, zanim jeszcze SheVa została zmontowana, i cały zespół zaczął pracować na symulatorach w Fort Knox. Pierwsze natarcie wytrąciło majora - wszystkich wytrąciło - z równowagi, ale przypomniał sobie, jak ktoś kiedyś mu powiedział, że zaskoczenie to stan umysłu dowódcy. Trzeba je tylko od siebie odsunąć i zagrać kartami, jakie się dostało.

A więc nadeszła pora, aby zrobić to, do czego przygotowywał się prawie całe życie. To była dziwna chwila; nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać.

- Tak jest, sir - odparła Indy, wsuwając się na swój fotel i zapinając pasy. - Zdjęłam blokadę; lidar i działa powinny już móc się obracać.

- Nienawidzę tego mechanicznego potwora - zaklął Pruitt, wyłączając z włazu i zatrzaskując go. - Potrzeba nam więcej ludzi w maszynowni. Albo Riffa.

- Maszynownia?

- Gotowa - powiedziała Indy. - Wszystko gra.

- Kierowca?

- Gotowy - powiedział Reeves. - Możemy jechać.

- Działonowy?

- Gotowy. - Pruitt wsunął się na miejsce i zapiał pasy. - Bun-Bun gotowy skopać Posleenom tyłki.

Mitchell włączył ekrany stanowiska dowódcy.

- Zrzucić kamuflaż, zobaczymy, co my tu mamy.

* * *

- Tulo'stenaloorze, umocnienia zniszczone, a ludzie uciekają - powiedział Orostan. - Kompanie wsparcia zaczęły zbierać thresh i broń, którą da się odzyskać.

To była kolejna innowacja. Normalnie każdy kessentai kazałby swoim siłom zbierać łupy w marszu. Tulo'stenaloor położył temu kres. Niezależnie od tego, jak sprawnie dany oddział to robił, zawsze spowalniał resztę. Jednostki przechodzące przez Gap musiały maszerować w stałym, równym tempie, a nie zatrzymywać się na zbieranie łupów. Dlatego do oczyszczenia pobojowiska wyznaczono specjalne oddziały pod dowództwem cosslainów i kenstainów.

- Przemarsz przez przejście idzie dobrze. Ruszamy w stronę następnego celu.

- Zgoda - powiedział przez komunikator Tulo'stenaloor. - Poszło bardzo dobrze.

- Strata większości tenarali i dwóch okrętów to „bardzo dobrze”? - zaprotestował Orostan.

Tulo'stenaloor machnął z rozbawieniem grzebieniem.

- Wciąż zapominam, że nigdy dotąd nie walczyłeś z ludźmi. Poszło, łatwo. Bój się tego, co czeka na nas w głębi doliny. Metalowi threshkreen niedługo tu będą, jestem tego pewien. A inni ludzie będą po drodze naprzykrzać się nam na różne sposoby. Zignoruj ich, trzymaj się wyznaczonego zadania i nie przejmuj się napotykanym oporem.

- Będę to miał na uwadze - powiedział Orostan, rozkazując za pośrednictwem monitora komunikacyjnego wyruszyć w głąb doliny. - Tak czy inaczej, zwycięstwo mamy już w rękach.

- O tak - stwierdził Tulo'stenaloor. - Mamy. Nic nas już nie powstrzyma.

* * *

- Mam sześć lądowików, sir - zawołał Pruitt. - Pięć Minogów, jeden C-Dek. Nie wiem, gdzie jest reszta.

, To miał być jego pierwszy „prawdziwy” strzał. Strzelał już w symulatorze w Roanoke, ale powiedziano mu, że z prawdziwymi pociskami i SheVami będzie inaczej. Samobieżne działa, przy całej swojej olbrzymiej masie, są o wiele wrażliwsze na wstrząsy wystrzałów.

- Pewnie na ziemi - powiedział major Mitchell, zaznaczając na monitorze odpowiednie cele. - Zdejmij tego i tego - powiedział, podświetlając je. - A potem wynosimy się z Dodge.

- Tak jest, sir - powiedział Pruitt i wycelował działo w C-Deka wiszącego niemal bezpośrednio nad dawnym Mountain City. Był zdenerwowany. Za chwilę zrobią z siebie jeden wielki cel, a los

SheVa Czternaście udowodnił aż nazbyt dobitnie, że nie są nieśmiertelni. Pozostanie przy życiu będzie zależeć od tego, czy trafią w te cholerne manewrujące okręty, a to nie było łatwe. Na dodatek to był jego pierwszy prawdziwy strzał. Dlatego kiedy czekał prawie sekundę, aż C-Dek rozbłyśnie zieloną obwódką, miał wyschnięte usta i spocone dłonie. Ale robił, co do niego należało, i zamierzał, na Boga, pokazać tym draniom, że przybył Bun-Bun.

- CEL!

- Potwierdzam!

- POSZŁO! - zawołał działonowy i wdusił spust. Efekt przypominał wrażenie siedzenia w wielkim dzwonie, w który właśnie uderzył jakiś olbrzym. Centrum dowodzenia było solidnie wygłuszone, ale strzał spowodował nie tyle dźwięk, co jakąś przepotęzną obecność, która rozeszła się po ciałach załogi i wstrząsnęła olbrzymim czołgiem jak domkiem z kart. To było najbardziej przytłaczające, przerażające i podniecające uczucie, jakiego Pruitt kiedykolwiek doświadczył; uczucie, że panuje nad Siwą, Bogiem Zniszczenia.

- Trafiony! - zawołał major Mitchell, kiedy jeden z lądowików zatrzymał się w miejscu i spadł jak kamień. Za kilka lat, kiedy ostygnie, będzie z niego ładny pomnik. Teraz major umieścił kółko

celownika na Minogu nad zachodnią doliną. - Drugi cel!

- CEL!

- Potwierdzam!

- POSZŁO!

* * *

Cally schyliła się i zawróciła. Korytarz był wydrążony w samym sercu wzniesienia za domostwem O'Nealów. Kiedy pierwszy Michael O'Neal osiadł na tych wzgórzach, był tylko jednym z wielu poszukiwaczy ogarniętych gorączką złota. Szybko jednak doszedł do wniosku, że może więcej zarobić, sprzedając bimber innym górnikom niż kopiąc, i że posiadanie tajnej drogi ucieczki przed agentami urzędu podatkowego bardzo się opłaca.

Kolejne pokolenia wzięły sobie do serca lekcje pierwszego Michaela O'Neala i raz na jakiś czas ulepszały ową tajną drogę ucieczki, wydłużały ją i wyposażały. Jeden tunel prowadził do szybu kopalni, stanowiącego centrum kompleksu, drugi korytarz prowadził z powrotem do domu, do piwnicy, a trzy inne do różnych wyjść.

Podczas zimnej wojny szyb przerobiono na prawdziwy schron przeciwoatomowy, zastępując oryginalne drewniane stemple solidnymi stalowymi. Był w stanie wytrzymać niedaleką eksplozję atomową. Schron został wyposażony w odnawiane co jakiś czas zapasy, które starczyłyby na trzy lata niemal zupełnego odcięcia od świata.

Cally otworzyła wewnętrzne drzwi do szybu i obejrzała się za siebie.

- Pospiesz się, dziadku! - zawołała.

- Gotowe - odkrzyknął. - Już idę... - I nagle świat rozbłysnął bielą.

* * *

- JASNA CHOLERA! - krzyknął Pruitt, kiedy wszystkie ekrany poczerniały, a potem zamigotały i znów ożyły. - Co to jest, do cholery?!

Nad zachodnią doliną Gap unosił się olbrzymi grzyb eksplozji, a wszędzie dookoła wybuchały pożary. Zasięg zniszczeń był większy niż po wybuchu SheVy, a ładowników wcale nie było widać.

- Trafienie totalne! - zawołał major Mitchell. - Wynosimy się stąd, Schmoo!

- Jak to się, do cholery, stało, sir? - spytał Pruitt, kiedy doszła do nich fala uderzeniowa. - No, nieźle!

- Posleenkie okręty używają antymaterii jako źródła energii - powiedziała Indy. - Pewnie udało ci się trafić w ich zbiornik paliwa. Widziałam schematy; ciężko je trafić, a jeszcze trudniej przebić. Gratulacje. Impuls elektromagnetyczny zniszczył mi część systemów, ale to nic poważnego; większość naszego sprzętu jest wytrzymała, a impuls nie był znów tak mocny.

- Jeszcze parę takich strzałów i w ogóle nie będziemy musieli martwić się o ładowniki! - powiedział Pruitt, poklepując swój panel kontrolny. - Dobry Bun-Bun, dobry królik. ANTYMATERIA WAM W RYJ, POSLEENIAKJ!

* * *

Orostan z jeżył grzebień i wrzasnął, kiedy fala uderzeniowa zakołysała jego C-Dekiem.

- SKĄD ON SIĘ TAM WZIAŁ?!

- Musiały być dwa - powiedział Cholosta'an, opuszczając z rezygnacją grzebień. - Dobrze, że byliśmy na ziemi.

- ESTUUU! - krzyknął rozwścieczony oolt'ondai.

- Nie było żadnych raportów, oolt'ondai - warknął kessentai. - Nic. Musiał dopiero co zająć tę pozycję! Nie wiem, dlaczego tak długo zwlekał. Całe szczęście, że nie byliśmy wszyscy w powietrzu.

- Ale teraz będziemy - prychnął Orostan. - Wszystkie okręty w górę! Znaleźć mi to przeklęte działo i zniszczyć je! Tenarale, naprzód! Znaleźć je, zniszczyć, jeżeli zdołacie, a przynajmniej zlokalizować i okaleczyć! Naprzód!

* * *

- Do wszystkich stacji w sieci. Tu SheVa Dziewięć - wzywał major Mitchell. Częstotliwość ta była przeznaczona dla jednostek do zwalczania lądowników. Szansa, że ktoś akurat będzie na nasłuchu, była cholernie mała, ale gdyby jednak w zasięgu strzału była jakaś inna SheVa, jej pomoc bardzo by się przydała. - Do wszystkich jednostek. Tu SheVa Dziewięć.

Oczywiście po stracie Czternastki pozostało tylko czterdzieści dział SheVa; major dobrze wiedział, że najbliższe stacjonuje w Asheville, ale wzywanie pomocy było o wiele lepsze od obgryzania paznokci.

- SheVa Dziewięć, tu Whisky Trzy Pięć - odezwał się kobiecy głos. - Mówcie.

- Cofamy się w górę doliny Little Tennessee - powiedział Mitchell, kiedy czołg okrążył Hickory Knoll. Punkt ostrzału numer dwa znajdował się na szczycie tego wzniesienia, ale major musiał schować się za nim przed Minogami i C-Dekami, które bez wątpienia ich ściagały. Nie martwił się jednak o lądowniki. - Nawiązaliśmy kontakt z około czterdziestoma lądownikami obu typów. SheVa Czternaście została zniszczona przez jakiś latający czołg. Nie mam na pokładzie niczego, czym mógłbym się bronić; przydałby nam się jakiś ogień osłonowy, jeżeli ktoś u was ma coś przydatnego. Z jaką jednostką rozmawiam?

- SheVa Dziewięć, zaczekajcie - odparł głos. Major przejrzał listę kodów, ale nie miał żadnej jednostki przeciwlotniczej o kryptonimie Whisky Trzy Pięć. Ponieważ z lądownikami mogły mierzyć się właściwie tylko czołgi SheVa, reorganizacje, przetrwało bardzo niewiele innych jednostek; większość personelu przeniesiono do regularnych sił.

- SheVa Dziewięć, tu Whisky Trzy Pięć - odezwał się inny, pewniejszy kobiecy głos. - Jesteśmy jednostką Wrzeszczących Bachorów przy Dowództwie Wschód. Mamy rozkaz ruszać i nawiązać bezpośredni kontakt ogniowy z siłami Posleenów. Podajcie swoją sytuację i położenie, Odbiór.

- UTM17 379318W 395663Pn. Mamy nawiązany kontakt z około czterdziestoma lądownikami różnych kształtów i typów. Z nimi dalibyśmy sobie radę, ale pojawił się tu jakiś nowy rodzaj latających czołgów, strasznie upierdliwych. Myślę, że Wrzeszczące Bachory to dokładnie to, co zaleca w takich sytuacjach pan doktor. Odbiór.

- Potwierdzam, SheVa Dziewięć - powiedział głos. - Wysyłam informację do Wschodu. Dopóki nie podejmą decyzji, zmieniam cel zadania na wsparcie SheVy. Zróbcie tylko coś dla mnie.

- Co takiego?

- Nie wypierdolcie w powietrze.

* * *

- Pani prezydent, to nie jest kwestia tego, czy zgodzi się pani na użycie broni atomowej - powiedział spokojnie Homer. Jego spokój nikogo jednak nie zwiódł; generał uśmiechał się jak tygrys. - Chodzi tylko o to, kiedy pani się zgodzi. Jak zauważył major O'Neal, oficer Floty skierował do pani uzasadnioną prośbę, a traktat zobowiązuje panią, by tę prośbę spełnić.

- To nie jest takie oczywiste, generale - powiedziała Doradca ds. Bezpieczeństwa Narodowego. Oprócz niej w wideokonferencji brały udział cztery inne osoby, i należało się spodziewać, że każda z nich będzie miała coś do powiedzenia. Z sensem albo bez. - Mamy obowiązek spełniać wszystkie wojskowe żądania, o ile jesteśmy w stanie dostarczyć potrzebne materiały, jednak zgoda na uwolnienie potencjału atomowego jest, zgodnie z tradycją, żądaniem politycznym, a nie wojskowym. Dlatego też wcale nie jest powiedziane, że musimy je spełnić.

- Mam też pewne wątpliwości co do zasadności tego żądania - powiedział Najwyższy Dowódca. Były Dowódca Piątej Armii został awansowany na miejsce generała Taylora i wciąż odczuwał brak uznania. Bez wątpienia Dowódca Armii Kontynentalnej podlegał mu, ale z drugiej strony wielu Judzi uważało, że Homer nie został awansowany na Najwyższego Dowódcę tylko dlatego, że nikt nie śmiał odebrać mu DOWARKONu. Piąta Armia z kolei praktycznie już nie istniała, więc jej były dowódca miotał się, nie mając niczego do roboty.

- Major O'Neal żąda bezpiecznej strefy lądowania. Bardzo dobrze, niech ląduje poza rejonem Rabun i przypości szturm z Czarnej Góry. Tak w końcu powinien wyglądać powietrzny desant; nie ląduje się prosto na celu, na litość boską!

- Do tego musimy rozważyć wpływ na ogólną sytuację, pani prezydent - wtrąciła rzecznik Białego Domu. - Kraj toczy walki na coraz to nowych frontach, więc nie powinniśmy raczej sprawiać wrażenia powstania paniki. Jeśli będzie wyglądało na to, że na południowym wschodzie przegrywamy - a będzie, jeżeli zgodzi się pani na użycie broni atomowej - ludzie poprą drugie ugrupowanie... Poza tym obcy muszą przedzierać się przez góry, a tam na pewno mogą poradzić sobie z nimi siły konwencjonalne.

- Dość tego - warkną! Homer. - Po pierwsze, to nie była prośba ani żądanie, tylko rozkaz. I to uzasadniony. Możecie to sobie interpretować jak chcecie, ale zapewniam, że to podpada pod paragrafy traktatu i że Darhelowie szybko przytną wam skrzydła, jeżeli zrozumiecie to inaczej. Zakładając, że zostanie jeszcze ktoś, kto będzie mógł z nimi dyskutować, bo jeśli nie powstrzymamy tej inwazji, wszyscy staniemy się KARMA DLA KONI. Po drugie, major O'Neal ma stuprocentową rację. Nie może zająć Gap bez usunięcia stamtąd Posleenów. A można to zrobić tylko i wyłącznie odpalając rakiety balistyczne ze środkowego zachodu. Bardzo się cieszę, że pani rzecznik ze swoim prawniczym doświadczeniem ze Stanford jest takim ekspertem od zagadnień wojskowych! Bo może mi powie, jak mam zatrzymać Posleenów, którzy stosują, taktykę lotniczą i przerzucają przez Gap sto tysięcy żołnierzy na godzinę. Mam jedną, powtarzam, JEDNĄ dywizję, która może stanąć im na drodze, a dywizja ta musiałaby zablokować wszystkie drogi wyjścia z rejonu. Co więcej, Posleeni najwyraźniej chcą przelecieć się wzdłuż linii frontu i zrobić kolejne wyłomy. Nie mam jednostek, nie licząc lokalnych bojówek antyrządowych, które mogłyby ich przed tym powstrzymać! Nie tylko Georgia ma problemy. Mamy ponad pięćdziesiąt tysięcy Posleenów w Shenandoah, siedzących na trzech nie dokończonych SheVach. Może pani rzecznik mi powie, co mam z tym zrobić? A jeśli nie potrafi, to proponuje:, żeby wsadziła MORDEĘ W KUBEŁ. To nie jest kryzys polityczny, to KOSZMAR! I im szybciej wszyscy zrozumiecie, że nie grozi nam utrata może jednego miasta, a może jednej dywizji, tylko PRZEGRANIE WOJNY, tym szybciej zacniemy działać. Musi pani pogodzić się z tym, pani prezydent, że należy użyć atomówek nie dlatego, iż chcemy, tylko dlatego, że musimy. Powinniśmy byli użyć ich w Rochester i za drugim razem w Roanoke, co znacznie zmniejszyłoby straty, jakie tam ponieśliśmy. Przez to, że ich pani nie użyła, straciłem prawdopodobnie całą dywizję żołnierzy. Ale teraz możemy wszyscy zginąć. Innego wyjścia nie ma. Mamy jeden batalion pancerzy wspomaganych. To jedyna jednostka, która może wykonać to zadanie, ale wyparuje w jednej chwili, jeżeli nie będzie miała dużej dziury, w którą będzie mogła wskoczyć. A to oznacza konieczność użycia atomówek. Nie zamierzam pozbyć się tych żołnierzy na darmo. Użyjemy atomówek jako pierwszego uderzenia, a potem będziemy je trzymać w pogotowiu, dopóki Posleeni nie zostaną wyparci z Gap. Jeśli wam się to nie podoba, możecie w TEJ CHWILI zabrać mi generalskie gwiazdki.

Zaperzony Najwyższy Dowódca otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale prezydent podniosła rękę.

- Naprawdę jest aż tak źle? - spytała.

- Pani prezydent - powiedział Najwyższy Dowódca. - Nie ma potrzeby...

Znów podniosła rękę. - Pytałam generała Homera.

- Tak, proszę pani - odparł generał. - Naprawdę jest aż tak źle. Z Gap prowadzi w głąb kraju wiele dróg. Nie mamy jak ich zamknąć. To... skomplikowane, ale nie mam dość sił, by zamknąć wszystkie drogi, którymi mogą pójść Posleeni. Jest ich po prostu za dużo. Mogą skręcić na zachód trasą 129 i zalać Chattanooga, a jeszcze wystarczy im sił na Knoxville i Asheville. Nie mogę ich wszystkich zatrzymać; wysłałem wojska do innych nagłych przypadków. A teraz Posleeni zaczynają też napierać na Appalachy. Muszę ich przytrzymać, żeby mieć czas na zebranie w tym rejonie wystarczających sił, aby ich odeprzeć. I muszą to zrobić, zanim zdołają zająć Asheville i Chattanooga. Pani prezydent, między Gap i Asheville są trzy Podmieścia, w sumie czternaście milionów ludzi. Jeśli Asheville upadnie, wszyscy możemy zacząć uczyć się nowego języka.

- Nie zatrzyma pan Posleenów bronią atomową - zaprotestował Najwyższy Dowódca. - Jest ich za dużo. Zniszczenie całego wschodniego wybrzeża jest fizycznie niemożliwe, nawet gdybyśmy mogli to przeżyć.

- Nie zamierzam tego robić - odparł zimno Homer. - Wiedziabym pan o tym, gdyby pan słuchał. Zamierzam zrobić wyłom i rzucić w niego Mike'a O'Neala. Chciałbym też mieć zgodę na użycie broni atomowej w innych kluczowych punktach.

- Chwileczkę, generale Homer - powiedziała prezydent. - Chciałabym, żeby wszyscy się wyłączyli, a pani Norris i panna Schramm niech wyjdą z pokoju.

Zaczekała, aż zostaną sami, i wtedy zwróciła się do generała.

- Generale Homer, Chińczycy odpalili ponad dwa tysiące bomb atomowych i skazili dolinę Jangcy na najbliższe dziesięć tysięcy lat. Pan proponuje mi to samo w dolinie Tennessee, rozumie pan? Mimo użycia bomb Chińczycy przegrali - To największy problem, i to nie tylko polityczny, ale co ważniejsze, to problem morale. Atomówki są uważane za broń ostatniej szansy dla kogoś, kto przegrywa. Kto już przegrał. Dlatego nie pozwoliłam dotąd na ich wykorzystanie, bo mają reputację broni ostatecznej. Czy warto narażać się na... straty społeczne, które nastąpią? Czy warto narażać się na straty fizyczne? Tennessee uchodzi do Mississippi. To źródło wody pitnej dla całej południowej części linii obrony, a zrzućcie atomówek w tę dolinę zatraje to źródło.

Homer otworzył usta, zamknął je i westchnął.

- Po pierwsze, pani prezydent, doceniam, że mi to pani... wyjaśnia. Gdyby jednak zrobiła to pani wcześniej, mógłbym próbować... zmienić społeczne postrzeganie broni atomowej. Mogliśmy wykorzystać ją w miastach-fortecach na równinach, powiedziawszy uprzednio społeczeństwu, że po prostu „idziemy na całość”. Myślę, że opinia publiczna zmieniłaby zdanie. Po drugie - przerwał, nie wiedząc, jak się wyrazić - pani znajomość broni atomowej i sposobów jej użycia jest pani słabym punktem, tak jak znajomość geografii mocnym. Nie będziemy używać tradycyjnych „brudnych” atomówek, bo ich nie mamy. Głowice w naszych rakietach, ostatnich kilku peacekeeperach, jakie mamy jeszcze w silosach, są stosunkowo „czyste”. Ekspozycja w strefie opadu radioaktywnego będzie za rok mniejsza niż ta, na jaką jest narażony operator aparatu rentgenowskiego.

- Generale, jeśli próbuje mi pan wmówić, że po wybuchu nie będzie żadnego promieniowania, niech pan sobie daruje - ucięła prezydent. - Nawet „czyste” atomówki są brudne.

- Pani prezydent, może pani wierzyć, w co tylko chce - powiedział zimno generał. - Jestem pewien, że zieloni i tak nazwą nas mordercami. Ale po zrzućciu na tę dolinę kilku miliardów megaton - a aż tyle niestety nie mamy - promieniowanie tła Tennessee wzrośnie do poziomu... emisji elektrowni węglowej. A takich elektrowni mamy dużo. Poza wszystkim, pani prezydent, to faktycznie nasza ostatnia szansa. Jeśli nie zatkamy Gap, będzie po nas. Pani osobiście oraz pani doradcy i wasze

rodziny bez wątplenia przeżyjecie. Na północ od Unii mrozu może nawet ostanie się coś na kształt cywilizacji. Posleeni mają zbyt słabą logistykę, by tam przeżyć, więc nigdy nie zdobędą, powiedzmy, Athabaski. Wiem, że Montreal to bardzo ładne miasto, ale ocalali uchodźcy ze Stanów Zjednoczonych nie zmieszczą się w Kanadzie, nie mówiąc już o dłuższym przeżyciu. Musimy zatkać Gap. Atomówki sami potrzebne po to, żeby otworzyć dolinę i wetknąć w nią zatyczkę. Prawdopodobnie będą mi potrzebne, żeby otworzyć kilka innych miejsc i zredukować liczbę Posleenów w dolinie. Tym razem naprawdę nie mamy wielkiego wyboru. - Zamilkł na chwilę. - Nie mam już na zbyciu piechoty mobilnej.

Prezydent patrzyła przez moment na leżące na biurku dokumenty, potem pokręciła głową.

- Czy to się uda? Nie tylko umieszczenie piechoty na pozycjach. Słyszałam, że Posleeni zestrzeliwiają wszystko, co pojawia się nad horyzontem. Czy rakiety w ogóle doleczą do Georgii?

- Nie wiem - odparł Homer. - Pozostałe silosy leżą daleko na północ, a nad środkowym wschodem szaleje silna burza, co powinno umożliwić rakietom lot. Najbardziej wystawione na atak są oczywiście w fazie przyspieszania, ale przecież bardzo szybko wystartują. Posleeni tracą skuteczność, kiedy cele wchodzą na orbitę. Zobaczymy, czy się uda. - A jeśli nie?

- Jest., przynajmniej jedno wyjście - powiedział Homer z uśmiechem, który u niego oznaczał wyjątkowo podły nastrój. - Uniwersytet Tennessee prowadzi badania nad zwiększeniem zasięgu działa SheVa i nad pociskami nuklearnymi, a raczej antymaterią.

- A więc... mogą ją odpalić? - spytała prezydent. - Antymateria jest lepsza od atomówek, prawda? Jest w stanie dotrzeć do Gap, a system jest lepszy i czystszy, prawda?

- Być może, Oba te systemy są na etapie eksperymentów, proszę pani. Ich pole rażenia nie zostało jeszcze przetestowane w warunkach bojowych. Poza tym... to raczej duża, ciężka głowica. Naprawdę lepiej, żeby nie pytała mnie pani ojej megatonaż. Jeśli odpalam coś po raz pierwszy, wolałbym, żeby ceną za niepowodzenie nie była utrata całej doliny Cumberland.

- Och.

Homer wzruszył ramionami, widząc wyraz jej twarzy.

- To pewnie kara za to, że pozwoliłem redneckom bawić się antymaterią; nie wiedzą, kiedy powiedzieć sobie „dość”. Z rozmiarami pocisku zostałem zapoznany dopiero wtedy, kiedy pojechaliśmy szukać czegoś do otworzenia Gap. Nakazałem „rewaluację” programu. Co do panczerzy wspomaganych, Triple Nickle będą jak w potrzasku. Zanim wylądują, do doliny wejdzie już ponad milion Posleenów. Do tego dochodzą siły powietrzne. Na południu zebrało się, jak oceniamy, dwanaście milionów obcych. Batalion, a raczej to, co z niego zostało, będzie musiał utrzymać się w Gap, dopóki nie zniszczymy sił, które już się przedostały, i nie przedrzemy się do przodu. Czy to przeżyją? Nie wiem. Wiem tylko, że nie ma inne go wyjścia.

Prezydent wciąż patrzyła na dokumenty na biurku. Wreszcie kiwnęła głową.

- Generale Homer, ma pan pozwolenie na zbombardowanie bronią atomową Rabun Gap. Ale tylko Rabun Gap, zrozumiano? Każde inne użycie wymaga mojej zgody.

- Zrozumiano. Tylko Rabun Gap. Ale może pojawić się potrzeba użycia broni atomowej gdzie indziej.

- Rozumiem, generale - powiedziała ostro prezydent - ale to ja decyduję o każdym użyciu atomówek. Zrozumiano? Skoro mamy już używać broni atomowej, używajmy jej rozsądnie, a nie na każde zawołanie jakiegoś... oficera... na froncie.

Homer wziął głęboki oddech, zanim odpowiedział.

- Proszę pani, mam wrażenie, że cisnęło się pani na usta określenie „tropa”. Oficerowie na froncie starają się nie dopuścić, żebyśmy stracili więcej ziemi, więcej przełęcz. Cele, w które

trzeba uderzyć, będą często się zmieniać; pojawiają się i znikają atak szybko, jak szybko Posleeni są w stanie reagować. W którymś momencie będziemy musieli rozszerzyć kontrolę nad bronią atomową na niższych stopniach oficerów.

- Będziemy martwić się o to, jak do tego dojdzie - powiedziała prezydent, patrząc generałowi w oczy. - Na razie... ja mam władzę. Tylko ja decyduję o użyciu broni atomowej. - Znowu spuściła wzrok i pokręciła głową. - I niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Homerowi zrobiło się jej żal.

- Proszę pani - powiedział cicho. - Powiem tylko tyle: jedynym człowiekiem, który może utrzymać tę przełącz i przeżyć tam wystarczająco długo, jest Michael O'Neal. Dla niego warto będzie oczyścić ten rejon.

- Cieszę się, że pan tak uważa, generale. - Prezydent z gniewem podniosła wzrok. - Ale właśnie pomyślałam, że nie obchodzi mnie los majora. Nie obchodzi mnie ktoś, kto z zimną krwią chce wyrzynać amerykańskich obywateli.

- Słucham?

- W Gap ukrywają się przypuszczalnie tysiące ludzi - warknęła prezydent. - Jeśli zrzucimy tam nie wiadomo ile bomb atomowych, nikt nie ocaleje. Ale słynny Michael O'Neal ma to najwyraźniej gdzieś. Troszczy się tylko o ten swój cenny batalion!

Twarz Homera zastygła w lodową maskę. Oczekał pełne piętnaście sekund, zanim odpowiedział.

- Pani prezydent - rzekł głosem zimnym jak ciekły hel. - W Rabun Gap mieszka jego córka.

Rabun Gap, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

15: 19 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 26 września 2009

Cally przeturlała się na plecy i odkaszlnęła drapiący ją w gardło pył. Po kilku chwilach usiadła i rozejrzała się półprzytomnie.

- Cholera.

Główny schron był nietknięty i światło wciąż się paliło, ale to były jedyne pozytywne strony sytuacji. Tunele prowadzące do bunkra i do domu zawaliły się; główny był jednak cały, podobnie jak dwa wychodzące korytarze. Ciekawe, jak długo tu leżała. Pomacała głowę; na czole rósł jej już spory guz. Zegarek zatrzymał się albo od impulsu elektromagnetycznego, albo od wstrząsu, zresztą Cally nie była pewna, o której schowali się w bunkrze.

Przypomniała sobie, że Papa O'Neala mówił jej na temat broni atomowej i tego, co robić w przypadku jej użycia. Niestety wykład odbył się kilka lat temu i Cally nie miała pojęcia, gdzie szukać licznika Geigera ani jak go używać.

Przypomniała sobie, że ludzie wytrzymywali wybuch atomowy lepiej niż budynki - chodziło o coś związanego z falami ciśnienia - a to oznaczało, że dziadek może jeszcze żyć. O ile nie zabił go walący się bunkier.

Dlatego będzie musiała wydostać się z głównego tunelu i odszukać dziadka - odkopać go, jeśli trzeba - a potem uciekną na wzgórze.

Cally wstała, ale znowu musiała usiąść, kiedy ziemia zadygotała od następnego nuklearnego wybuchu.

- Może za chwilę.

* * *

- Ooo, to musiało boleć! - zawołał Pruitt.

Reeves już cofał, więc ogień ładowników, z wyjątkiem jednego ładunku plazmy, poorał grzbiet wzgórze. Ten jeden ładunek plazmy wbił się jednak w sam środek sekcji zasilania SheVy.

- Reaktory dwa i trzy właśnie się wyłączyły - zawołała Indy. Odpięła pasy i ruszyła w stronę wjazdu. - To raczej nie będzie zadanie dla jednego człowieka.

- Bardzo zwolniliśmy, sir! - krzyknął Reeves. Przesunął dźwignię przepustnicy do oporu, ale SheVa ledwie się poruszała. - Jedziemy poniżej piętnastu kilometrów na godzinę.

- Indy! - wezwał dowódca przez interkom. - Powiedz, że stać nas na więcej! W tym tempie ładowniki dogonią nas za piętnaście minut!

- Nie powiem, dopóki nie będę wiedziała, co poszło! - Chorąży zsunęła się po drabince i odbijając się od ścian, pobiegła w stronę reaktora, łapiąc po drodze licznik Geigera. - Właśnie straciliśmy połowę mocy, szybciej już nie będzie.

- Niech to szlag - mruknął major. - Pruitt, masz potwierdzenie.

- Co? - zawołał działonowy.

- Idę do reaktorów - odparł dowódca. - Chyba dasz sobie radę z identyfikacją.

- Tak jest, sir. - Działonowy przełknął nerwowo ślinę. - Dawaj, Schmoo, znajdź nam następną pozycję do strzału.

- Jest jedna pod Fulchertown. - Kierowca sprawdził mapę. - Ale będziemy musieli przejechać przez kilka domów.

- Boisz się, że ci wejdą w gaśienice? - spytał z sarkazmem działonowy.

- Nie... Po prostu... - Schmoo obejrzał się przez ramię. - Nieważne. Starąłem się trzymać lasów, żeby nikogo nie przejechać.

- Jeżeli ktoś tu jeszcze jest, to zasłużył sobie na to, żeby go przejechać.

* * *

Mitchell machnął dłonią przed twarzą, wchodząc do pomieszczenia reaktora. Wszędzie było pełno dymu i pary, a powietrze cuchnęło ozonem.

- Indy!

- Tutaj, sir - zawołała z lewej strony chorąży. Pomieszczenie zajmowały cztery turbinowe generatory; mniejsze reaktory były ledwie widoczne pod ścianami. Mitchell znał się na napędach abramsów, odrzutowych silnikach, które potrafiły rozpędzić czołg do stu kilometrów na godzinę, i wiedział, że moc zawarta w tym pomieszczeniu wystarczyłaby do zasilenia stutysięcznego miasta. Świadomość, że teraz starczy tylko do rozpędzenia SheVy do trzydziestu kilometrów na godzinę na płaskim terenie, była jak wiadro zimnej wody.

- Co tam masz? - spytał. - Polecimy?

- Nie, sir - odkrzyknęła chorąży, wręczając mu końcówkę grubego kabla. - Strzał minął reaktory i turbiny, dzięki Bogu, bo inaczej moglibyśmy już wsiadać w abramsa i uciekać. Ale poszedł nam transformator i jeden z obwodów zasilających, tak że nawet gdybyśmy mieli zapasowy transformator, nie miałby zasilania. Reaktor od razu się wyłączył.

- Więc co robimy? - spytał dowódca.

- Pan potrzyma zapasowy kabel zasilający - powiedziała żartobliwie chorąży - a ja biorę duży klucz. A potem razem wymienimy obwód i zrestartujemy reaktory.

- Ile to potrwa?

- Dziesięć minut, maks piętnaście - odparła, podchodząc do miejsca, gdzie łączyły się zasilacze turbiny. Założyła klucz na łeb śruby w miejscu, gdzie wychodził kabel, a potem, nie mogąc jej odkręcić, zdjęła klucz i kilka razy nim walnęła, aż stopiona plastikowa nasadka zeszała.

- Dobrze, że nie trafili w reaktory.

- Jasne - zaśmiał się dowódca. - Albo w gąsienicę. Wolałbym nie zrzucić gąsienicy z tego potwora.

- O, to żaden problem, wzywa się tylko zespół CONTAC - powiedziała chorąży, obluzowując śrubę. - Nie bez powodu w zespole naprawczym SheVy jest batalion inżynierów i wielkich dźwigów.

Mitchell rzucił kabel na podłogę i złapał się wspornika, kiedy czołg zakołysał się od trafienia. - Oho.

- Dam sobie sama radę - powiedziała Indy, z wysiłkiem napierając na klucz. - Niech pan wraca na górę, sir.

- Na pewno?

- Tak, zrobiłabym to z zamkniętymi oczami - odparła, wyciągając śrubę i wypalony kabel.

Kiedy major wybiegł z pomieszczenia, Indy westchnęła i podniosła kabel.

- I pomyśleć, że po to kończyłam polibudę...

* * *

- Latające czołgi, sir! - krzyknął Pruitt, kiedy dowódca wyskoczył z włazu. - Cztery. To zwiad lądowników. Radar pokazuje, że wszystkie lecą w tę stronę.

- Cholera - zaklął Mitchell, widząc na własnym ekranie klucz tenarali schodzących do następnego lotu koszącego. Latające czołgi wystrzeliły po kilka ładunków plazmy, ale tylko jeden czy dwa trafiły. - Skoncentrować się na lądownikach. Reeves, zobacz, co dasz radę zrobić.

- Jedyne, co mogę zrobić - powiedział kierowca - to wjechać między wzgórze, bo jesteśmy raczej dużym celem.

- Czy tylko mi się wydaje, czy oni trzymają się na dystans? - spytał Pruitt, kiedy SheVa z łoskotem wypadła na płaski teren. - Uuups. CEL! Minóg! Piętnaście klików!

Dotarcie do trzeciego punktu ostrzału wymagało okrążenia góry. Jak dotąd SheVa była osłonięta przez okoliczne wzgórza, ale ostatni manewr, wyjątkowo powolny, wyniósł ją na otwartą przestrzeń.

Pruitt był na to przygotowany. Trzymał działo wycelowane na południe, w stronę nadlatujących lądowników. Na szczęście posleńskie okręty leciały w ślimaczym tempie tuż nad ziemią i nie zdołały zbliżyć się bardziej niż w ostatnich dwóch starciach. Ale niestety było ich coraz więcej.

- POTWIERDZAM! - zawołał major Mitchell, wskazując na swoje miejsce.

- POSZŁO! - wrzasnął działonowy, obracając wieżę w stronę następnego celu.

- Tak! - krzyknął Mitchell. - Trafiony, zatopiony, Pruitt! Detonacja źródła mocy Minoga nie była tak potężna jak pierwsze zestrzelenie, ale mimo to całkiem widowiskowa.

- CEL! - zawołał Pruitt. - C-Dek! Piętnaście klików!

- POTWIERDZAM! - zawołał Mitchell.

Pruitt wystrzelił w chwili, kiedy dodekaedr skrył się za grzbietem wzgórza.

- Pudło! Ci dranie manewrują! Czy to legalne?

- O żesz kurwa! - wrzasnął Reeves, kiedy tenarale kolejny raz przeleciały nad nimi. - Chyba celują za nasze działo!

- Zauważyłem - odparł major i zaklął. - O tyle dobrze, że to jedyny fragment z porządnym pancierzem. Gorzej, że to pancierz na magazynie amunicji.

- Nic dziwnego, że trzymają się na dystans - powiedział Pruitt, obracając działem w jedną i drugą stronę., szukając celów. - Dobrze, że prawie skończyły się nam pociski, więc jeśli nawet przedziurawią nam magazyn, nic nie rąbnie. - Przemysłał to, co właśnie powiedział, i pokręcił głową. - Mamusiu!

Mitchell przełączył się na linię zewnętrzną. i wezwał jednostkę Wrzeszczących Bachorów.

- Whisky Trzy Pięć, tu SheVa Dziewięć, przydałaby się nam pomoc. Odbiór.

- Co to, kurwa, jest, ma'am?

Kapitan Vickie Chan osłoniła oczy przed zachodzącym słońcem i pokręciła głową.

- Nie wiem, Glenn. Zwyczajnie nie wiem.

Kapitan Chan wstąpiła do amerykańskiej armii w 1989 roku w ramach odpracowania studiów podoficerskich na Uniwersytecie Stanu Nebraska. Program ten zapewnił córce chińskich imigrantów czesne i comiesięczne kieszonkowe, dlatego też kiedy Armia w swojej nieskończonej mądrości przydzieliła ją do artylerii obrony przeciwlotniczej, Chan założyła mundur i ruszyła w świat.

Jedno, chociaż dość udane powołanie - bardzo mało kobiet w obronie przeciwlotniczej za pierwszym razem dochodzi do stopnia kapitana - udowodniło jej, że wojskowa kariera to ostatnia rzecz, na której by jej zależało. Chan rozejrzała się po starszych stopniem koleżankach i ustaliła, że dzielią się one na dwa typy: dziwki i zylety. Nie miała ochoty zostać ani jedną, ani drugą, dlatego spokojnie wypisała się i wróciła do cywila.

Wraz jednak z nadejściem Posleenów Chan dostała, tak jak wszyscy ludzie, którzy kiedykolwiek mieli na sobie wojskowy mundur, wezwanie do odbycia służby. Początkowo przydzielono ją do jednostki pancerniej, ale po stworzeniu systemów zwalczania lądowników komputer wypuł jej nazwisko na samym początku listy. Miała doświadczenie w obronie przeciwlotniczej, a w momencie przeniesienia dowodziła kompanią czołgów. Doskonale.

Wtedy właśnie jej rozwijająca się kariera - postanowiła zostać zyletą - została zdławiona w zarodku. Przydzielono ją do pierwszych oddziałów Wrzeszczących Bachorów, oficjalnie nazywanych M-179 „Rosser”, Średni System Zwalczania Lądowników, a kiedy wyszło na jaw, że jest to broń samobójcza i przeciwko lądownikom bezużyteczna, zostawiono ją tam. Bachory nie miały żadnego zastosowania, ale przerobienie ich z powrotem na zwykłe czołgi Abrams było zbyt kłopotliwe, a poza tym wojsko miało do dyspozycji inne rodzaje broni, równie dobre. Dlatego też przez ostatnie pięć lat Chan przetrucano z jednego korpusu do drugiego, gdzie podpierała linie obronne, a generalnie chodziło o to, by nie przeszkadzała; nikt nie wiedział, co począć z Bachorami, i mało komu chciało się nad tym zastanawiać.

W tej chwili z przyjemnością znalazłaby się w którymkolwiek z tamtych korpusów i spędzała beczynnymi dniami. Było oczywiste, że jechanie naprzeciwko hord Posleenów, by zwolnić ich przemarsz, jest chwilowym rozwiązaniem problemu; nie było mowy, by samotny oddział Bachorów zatrzymał tych rozmiarów natarcie.

Mimo to jednak właśnie to robiła. I być może, tylko być może, jej kompania to przeżyje. Muszą tylko zestrzelić to... to coś.

- Komputer się stawia - powiedziała specjalista Glenn. Działonowa była kobietą, tak jak jej dowódca, i miała syplkie ciemno blond włosy, które zawsze uciekały jej spod hełmofonu. Odgarnęła je z czoła i spojrzała w górę. - Nie chce ich namierzać. Radar je widzi, ale komputer nie chce wycelować.

Chan westchnęła i zsunęła się w głąb wieży. Była prawie pewna, że wie, co się dzieje. Oprogramowanie komputera wyjęto z od dawna nie działającego programu Sergeant York. Tamten system od samego początku był koszmarem, ale był też analogią do Wrzeszczących Bachorów, więc założono, że oprogramowanie też będzie podobne.

Słowo „założono” miało wiele różnych konotacji. W tym przypadku jakiś błąd w programie prawdopodobnie informował komputer, że to nie są właściwe cele. Chan nienawidziła tego oprogramowania. Gdyby kiedykolwiek dopadła durniów, którzy je napisali, postawiłaby ich pod ścianą i rozstrzelała.

Z karabinu maszynowego dowódcy, bo komputer pewnie by spudłował.

Wzruszyła ramionami.

- Dobra, Glenn, daj celowanie tu na górę.

- Tak jest, ma'am - powiedziała działonowy. - Co pani zamierza?

- Zużyć cholernie dużo amunicji - odparła Chan, przełączając działo na ręczne sterowanie.

Przez chwilę patrzyła na... to coś, cokolwiek to było. Nadlatywały lotem koszącym, bardzo wysoko, i odpalały ładunki w tylny pokład SheVy, a potem zawracały do następnego ataku. Chan rozważyła możliwości, a potem wcisnęła kolejny przycisk.

- Do wszystkich czołgów: przełączyć działa na zdalne sterowanie - powiedziała na sieci kompanii, a potem przełączyła się na częstotliwość SheVy. - SheVa Dziewięć, musicie skrócić na wschód i przez kilka minut jechać stałym kursem.

* * *

Mitchell miał wrażenie, że kieruje rannym słoniem. SheVa ledwie się wlokła, a z licznych miejsc trafienia buchał dym, dlatego transmisja od dowódcy Bachorów spotkała się z wdzięcznym przyjęciem.

- Zastanawiałem się, co się z wami dzieje - powiedział major. - Potwierdzam, robi się.

Przełączył się na interkom i sprawdził monitor.

- Schmo, skreć na wschód i jedź w górę z boku. Nie przejmuj się prędkością, po prostu utrzymuj stały kurs.

- Tak jest, sir - powiedział szeregowy, zakręcając potężnym czołgiem na wschód.

- Majorze Mitchell - odezwała się w słuchawkach chorąży. - Mówi Indy. Dostajemy łomot, sir. Mamy uszkodzenia pod pokładem.

- Wiem - odparł Mitchell. - Jest bardzo źle?

- Mamy uszkodzone mechanizmy działa, to akurat bardzo źle. Ale były obliczone na zapas, więc chyba ciągle możemy strzelać. Jeśli jednak dostaniemy jeszcze kilka razy, to się skończy.

- Jak zasilanie? - spytał Mitchell. - Jeśli uda się nam przyspieszyć, będziemy mogli trochę ich zostawić w tyle. Nie podejdują bliżej, chyba boją się po tym, co spotkało SheVę Czternaście.

- Zrestartowałam reaktory, sir - odparła mechanik. - Ale turbiny muszą się rozgrzać. Musimy poczekać jeszcze pięć do siedmiu minut.

- Dobra - westchnął dowódca. - Musimy jakoś sobie radzić. - Spojrzał na odczyty i obejrzał się na działonowego. - Dasz radę, Pruitt?

- Tak jest, sir. Zostały nam tylko dwa pociski.

- Umiem czytać - powiedział major, wskazując swoje wyświetlacze. - Wezwę uzupełnienie, ale najpierw musimy trochę odsadzić się od nich. - Potrząsnął głową, kiedy trafiła ich kolejna seria plazmy. - I pozbyć się tych kolegów. Lepiej, żeby nie strzelali do naszej amunicji.

- O, broń cię Boże - zachichotał Pruitt.

- Jeśli dobrze pamiętam, bunkier paliwowy dodeka dowodzenia jest tuż poniżej środka - zamyślił się na głos Mitchell. - Myślę, że kiedy będziesz miał okazję do następnego strzału, będą bliżej niż dotąd, poniżej dziesięciu klików...

- Mam spróbować trafić w bunkier paliwowy - powiedział Pruitt.

- Po prostu dokładnie wyceluj. Zobaczymy, co się stanie.

* * *

- Uwaga, zaczynamy - powiedziała Chan. Popatrzyła na sześć okrętów zataczających koła po niebie - połączyła wszystkie sześć „czołgów” i miała je pod ręczną kontrolą - i wybrała punkt nad i za czołgiem SheVa. - Bardzo nam zależy, żeby nie strzelić im w dupę.

- O, nie. - Glenn złapała się za hełmofon. - Już mi się to NIE PODOBA.

Wrzeszczący Bachor został tak nazwany ze względu na podobieństwo do niemieckiego moździerzka o tej samej nazwie z czasów drugiej wojny światowej. „Działo” było zamontowane na wierzchu czołgu, na bardzo wytrzymałym obrotowym trzpieniu wstawionym zamiast wieży. Dowódcę i działonowego wciśnięto tam, gdzie kiedyś było dno wieżyczki, a kierowca zajmował tradycyjne miejsce z przodu. Samo działo było mniej więcej okrągłe, z sześcioma wybrzuszeniami z boku. Różnica polegała na tym, że niemiecka broń, która naprawdę nazywała się Nebelwerfer, była wielolufowym moździerzem. Nowoczesny Wrzeszczący Bachor wyposażony był w dwunastopak MetalStorm 105.

Nazwa MetalStorm - burza metalu - mówiła sama za siebie. Każdy pakiet w niecałą minutę wyrzucał do tysiąca dwustu pocisków z odrzucanym sabotem kaliber 105 mm. Pociski były upakowane jeden za drugim w dwunastu rurach będących jednocześnie lufą i komorą. Elektrycznie odpalany system mógł wystrzelić albo jeden pocisk, albo całą serię. Po opuszczeniu lufy pociski, przyspieszane do różnych szybkości, zrzucały swoje plastikowe „buty”, i dalej leciały już z zabójczą dla czołgów prędkością sześćdziesięciomilimetrowe wolframowe kolce. W każdej rurze znajdowało się sto pocisków; wystrzeliwane w elektronicznie kontrolowanej sekwencji szybko wypełniały powietrze wolframem i stalą.

Ilość energii wyzwolonej podczas strzału powodowała, że czołg mógł strzelać tylko do przodu, chyba że wcześniej rozłożył wsporniki, tak zwane „lewarki”. W przeciwnym razie sam odrzut odpalenia tysiąca dwustu pocisków przewróciłby go na bok.

I chociaż system ten okazał się bezużyteczny przeciwko lądownikom, sześć czołgów strzelających w przestrzeń, przez którą przelatywały tenarale, to była zupełnie inna para kaloszy.

* * *

Tensalarial kłapnął grzebieniem i włączył mikrofon.

- Musimy celować niżej, żeby to zniszczyć; nie trafiamy, strzelając z takiej wysokości.

- Fuscirto uut - odparł Allansiar. - Bliżej już nie podlecę! Już teraz jesteśmy za blisko!

Widziałeś, co się stało z Pacalostalem!

Tensalarial znów kłapnął grzebieniem i warknął. Posleeni mieli w sobie coś takiego, że jeśli któryś był już w stanie zrobić coś więcej niż tylko zaszarżować na działa ze swoim oolt, zaczynał być... ostrożny. Najmądrzejsi ze wszystkich zdawali się kenstainowie, nad czym Tensalarial wołał nie zastanawiać się zbyt dokładnie.

- Naszym... zadaniem jest zatrzymać tę maszynę, żeby lądownicy mogły ją zniszczyć - powiedział, kłapiąc kłami tak, że aż słychać było w komunikatorze. - I wykonamy to zadanie.

- W takim razie strzelaj w gąsienice - warknął w odpowiedzi Allansiar. - Nie w korpus; tam jest paliwo i broń, które wybuchają. W kołach nic nie wybucha!

- Dobrze - odparł kessentai. - Przy następnym przelocie strzelamy w gąsienice.

- Formuję szyk - powiedział Allansiar. - Nawet zejść trochę niżej.

- Ustawmy się jeden za drugim. W ten sposób ci z tyłu będą mogli wziąć poprawkę na cel według prowadzącego. Ja poprowadzę.

- Czemu nie? - chrząknął Allansiar. - I tak w nic nie trafisz. Tensalarial zignorował zaczepkę i skierował tenaral ku ziemi, nakierowując podziałkę ręcznego celownika na wolno obracającą się gąsienicę. Piloci mieli mało okazji do poćwiczenia celowania przed szturmem, i dopiero metodą prób i błędów uczyli się, że ładunki nie zawsze lecą tam, gdzie celowała podziałka. Podziałkę generował komputer, ale nie był to tak naprawdę system automatycznego celowania, tylko zwykły wyświetlacz pokazujący, gdzie według Goloswina powinien być cel. Ponieważ Posleeni zawsze celowali przy użyciu zaawansowanych technicznie systemów naprowadzających - których zasad

działania nigdy nie chciało się Goloswinowi zbadać - prowadzący tenarale powoli uświadamiali sobie, że układ celowniczy nie bierze pod uwagę dwóch zasadniczych elementów: paralaksy i różnicy katowej. W obecnej konfiguracji działka były odpowiednikiem plazmowego muszkietu, i tak samo celne jak muszkiet.

Opadając na cel niczym sokoły, kessentaiowie zaczęli siać plazmą po okolicy.

* * *

System rozpoznawania celu Bachorów czasem miewał problemy, a radarowa integracja często nie działała. Ale układ ręcznej kontroli ognia przejęty z projektu M-1 abrams na ogół spisywał się dobrze.

W tym przypadku laser przeczesywał niebo, aż otrzymał odpowiedź, potem system ocenił odległość i uznał, że jest wystarczająco bliska tej, którą kapitan Chan wprowadziła ręcznie, po czym rozpoczął ciąg obliczeń. Sprawdził prędkość wiatru, temperaturę powietrza, wilgotność i to, czy ze StormPacka już strzelano. Potem stosownie do wyniku tych obliczeń skorygował ustawienia celownika (nieznany programista, który stworzył ten system celowniczy, słyszał o paralaksie).

Dla kapitan Chan nie mogło być niczego łatwiejszego. Umieściła czerwone kółka na nadlatujących tenaralach i zaczęła, aż zrobiły się zielone. Trwało to około pół sekundy, potem przesunęła przełącznik z pozycji „zabezpieczony” na „fuli”, szarpnęła dźwignię spustu i zamknęła oczy.

* * *

- Jasna cholera! - zawołał Pruitt. Przełączył się na monitor, na którym mógł obserwować zabawnie wyglądające czołgi, które ustawiły się na szczycie wzgórza, a teraz zniknęły za ścianą dymu i ognia. - Trafili je?

- Nie - odparł major Mitchell, przełączając się na chwilę na ten sam ekran. - Zawsze tak wyglądają, jak strzelają.

Czołgi wyglądały tak, jakby wybuchły. Nad nimi i po bokach był tylko dym, ogień i płonące, porozdzierane strzępy plastiku. Gdzieś tam przypuszczalnie byli ludzie, ale wydawało się mało prawdopodobne, by ocaleli. Po kilku sekundach ostrzał ucichł i powietrze zaczęło się oczyszczać, ukazując najwyraźniej nie tknięte Bachory.

- Jasna cholera - powtórzył Pruitt. - Musimy sobie taki kupić, sir!

* * *

Glenn z jękiem usiadła.

- Oooh, nienawidzę tej roboty. - Oderwała palce od hełmofonu i spojrzała na swoją trzęsącą się dłoń. - Muszę załatwić sobie przeniesienie.

Projekt abrams nie przewidywał zamontowania na nim MetalStorma 105. Pierwotnie abrams miał strzelać z pojedynczego działka kalibru 105 mm. Aż do posleńskiego najazdu i powstania potworów typu SheVy sam pomysł samobieżnego MetalStorma 105 uznawano za niedorzeczny. Energia uwalniana przez system wystarczała do podrzucenia w powietrze Jumbo Jeta. Na średnich pojazdach pancernych można było montować lżejsze systemy uzbrojenia, a nie armatę kalibru 105 mm. Szarpała siedemdziesięciodwutonowym czołgiem jak terier myszą, a załogą rzucało jak kulkami w grzechotce.

- No nie, chcesz stracić taką zabawę? - spytała kapitan Chan, rozcierając bark, którym uderzyła o wspornik.

- Czyste niebo, kapitanie - powiedziała działonowy, obracając peryskopem.

Chan otworzyła luk dowódcy i rozejrzała się. W powietrzu wciąż wisiał opar gazów

wylotowych i dym tysięcy odłamków plastiku, dopalających się na ziemi i wierzchnich pancierzach czołgów. Na niebie nie było ani jednego tenarala. Ale to wcale nie znaczyło, że niebo było czyste.

- Do wszystkich Bachorów - powiedziała kapitan, chowając się z powrotem do czołgu. - Wycofać się ze wzgórza! - Przełączyła częstotliwości i wywołała SheVę. - Hej! Duży! Masz towarzystwo na południe od Dillard.

* * *

- Nienawidzę ludzi - zawarczał Orostan, kiedy połączenie z tenaralami umilkło.
- Już to mówiłeś - zauważył Cholosta'an.
- Co to było? - spytał oolt'ondai. - Esstu?
- Pracuję nad tym - przyznał kessentai. - Są wzmianki o używaniu ich w walce, ale nie przeciwko tenaralom; zazwyczaj używa się ich do obrony naziemnej.
- Zajmiemy się nimi po wielkim dziale - powiedział Orostan, kłapiąc grzebieniem. Oolt'ondai spojrział na plan bitwy i prychnął. - Dość tej zabawy, zmniejszymy dystans i zaatakujemy.

* * *

- Pruitt, dwa pociski - przypomniał działonowemu major.
- Bun-Bun więcej nie potrzebuje - odparł działonowy.
- Maj orze - rzekła przez interkom Indy. - Turbiny chodzą. Trochę improwizowałam, ale wygląda na to, że będzie dobrze. Tak czy inaczej, mamy pełną moc.
- Świetnie - powiedział Mitchell. - Reeves, kiedy Pruitt wystrzeli, wycofaj się ze wzgórza i czekaj na mój rozkaz. Cofniemy się na pozycję, a potem pojedziemy na północ, do Franklin, po uzupełnienia.
- Tak jest, sir - powiedział kierowca. Wskaźniki wróciły na zielone pola. - Mamy pełną moc.
- Dobrze, ruszaj.
Reeves włączył napęd i pchnął wielotonowy czołg pod trzydziestostopniowe zbocze.
- O cholera - szepnął Pruitt. Przed nimi były wszystkie lądowniki. Z oddali dobiegł skowyt turbin; to Reeves podkręcił moc tak, że cała SheVa zawibrowała.
- Cel - powiedział major Mitchell. Obrócił działo i umieścił celownik na dolnej części dwóch C-Deków.

- CEL - potwierdził Pruitt. - C-Dek, dziewięć klików!
- Potwierdzam.
- POSZŁO! - zawołał działonowy. Szarpnięcie spowodowało napięcie się pasów, kiedy Reeves dał gaz do dechy w tył.

- Pudło! - Pocisk przeleciał pod manewrującym C-Dekiem. - CEL, POSZŁO!
Drugi pocisk, wystrzelony z konsoli dowódcy, wbił się w dolny kwadrant okrętu w tej samej chwili, kiedy wokół SheVy zagotowało się od ognia Posleenów. Olbrzymi czołg zdołał jednak uciec ze wzgórza, zanim eksplodowało pod ogniem dział. Mimo ciężkiego ostrzału detonacja była wyraźna. Ogień zamilkł, a wzgórza po obu stronach rozjaśnił nuklearny błysk.

- NIEZŁY STRZAŁ, SIR! - ryknął Pruitt. Nad grzbietem wzniesienia widać było jeden z Minogów. W chwili, kiedy zjeżdżali w dół, wbił się w zbocze. Eksplozja była największa z dotychczasowych. - ANTYMATERIA WAM W RYJ, KOSMICZNE PASKUDY!

- Reeves, gaz do dechy i nie zwalniam, dopóki nie miniemy Franklin - powiedział dowódca, obracając ręcznie wieżę w tamtym kierunku. - Musimy zdążyć na randkę z zaopatrzeniem. - Przez chwilę myślał ze zmarszczonymi brwiami. - Omiń miasto od wschodu; na zachodzie jest Podmieście, wolałbym się nie zapaść.

- O cholera - zaklął nagle Pruitt. - Podmieście! Co z Podmieściem, sir?

Mitchell wzruszył ramionami i westchnął.

- Chyba muszą sami sobie radzić, plutonowy. Miejmy tylko nadzieję, że nie rozjedziemy żadnych maruderów.

* * *

- Nienawidzę ludzi - prychnął Orostan, kiedy sześć ikon zniknęło z ekranów, a jego własne okręty podskoczyły na fali uderzeniowej. - Zachowują się strasznie, ich metody reprodukcji są po prostu obrzydliwe, a do tego wykorzystują swoje słabości jako broń. Powinni tego zabronić.

- Tak, masz racje. - powiedział Cholosta'an, patrząc na wyraźny, biegnący na północ ślad. SheVy nie było widać - przypuszczalnie nie miała już amunicji - ale łatwo mogli ją wysledzić. - Lecimy za nimi?

- Nie - odparł Orostan - zajmiemy się nimi później. Na razie jesteśmy mocno spóźnieni, już dawno powinniśmy być na pozycjach. Niech ocalałe okręty rozproszą się. Cały czas manewrować, ale kiedy się da, zwiększyć wysokość i prędkość. SheVa najwyraźniej się wycofała.

- Nasze raporty wskazują, że tuż przed nami jest jedno z ludzkich podziemnych miast - powiedział oficer wywiadu. - Było celem oolt'pos Aresseena.

- Wyznacz kogoś innego do zajęcia i utrzymania wejść - powiedział Orostan, patrząc z gniewem na swoje przetrzebione siły. - Siły naziemne mogą wysłać do środka jeden oddział na każde trzy oddziały. Będzie tam dużo łupów i oczywiście thresh. Będziemy potrzebowali materiałów, żeby kontynuować natarcie. Pozostałe siły niech skręcają na autostrady 28 i 441, zgodnie z planem.

- Zrozumiano - odparł oficer. - W mieście nieźle się obłowimy.

- Nie wiem - powiedział Cholosta'an. - Jak tak dalej pójdzie, może się okazać, że nie będzie warto.

Obóz Newry, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

18:43 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 26 września 2009

- Sir, patrzę na ten rozkaz i najwyraźniej czegoś nie rozumiem - powiedziała kapitan Slight. - Nie ma harmonogramu nadejścia odsieczy.

Sztab batalionu i dowódcy kompanii zebrali się w sali odpraw, żeby omówić, jak „uczłowieczyć” otrzymane zadanie. Zamiast tego jednak wynajdywali coraz to nowe rzeczy, które im się nie podobały.

- To dlatego, że jeszcze go nie ustalono - powiedział Mike z ponurym uśmiechem. Nachylił się do przodu, splatając palce, i wyszczerzył zęby. - Przyjrzeł się budowie terenu?

- Aha - odparł Duncan. - Drużyna harcerzy z wiatrówkami powinna ich tam zatrzymać.

- Normalnie bym się zgodził - powiedział O’Neal - ale w tym przypadku Posleeni mądrze walczą. Najważniejsze jest to, że będą mieli jedno bardzo poważne utrudnienie: nie ma tam za wiele miejsca na manewry, za to jest dużo miejsc, z których okopane siły i saperzy mogą im uprzykrzać życie. Z tych samych jednak przyczyn to teren, na którym siły idące z odsieczą wykrwawiają się.

- A więc... zostawiają nas tam, żebyśmy się wykończyli? - spytał kapitan Holder.

- Będą przesuwali wojska naprzód, aż nawiążą kontakt - powiedział Mike. - A potem okopią się i zaczną zabijać Posleenów. Jeśli zabiją wszystkich albo większość tych, którzy już weszli w dolinę, podejść bliżej. Ale dopóki tego nie zrobią...

- My będziemy się wykrwawiać - przerwała mu kapitan Slight.

- Nie podoba mi się to, sir.

- Jak pani myśli, dlaczego straciłem panowanie nad sobą? - O’Neal znów ponuro się uśmiechnął. - Brytyjscy spadochroniarze w Arnhem walczyli dziewięć dni, kiedy powiedziano im, że do nadejścia posiłków muszą utrzymać się tylko przez trzy dni. A posiłki nigdy nie dotarły do Arnhem.

- Niemcy raczej rzadko zjadali jeńców, sir - zauważył kapitan Holder.

- Nie znam ani jednego takiego przypadku - zgodził się Mike. - Ale takie dostaliśmy zadanie. Utrzymać się do nadejścia posiłków. Osobiście zamierzam wytargować, ile się da.

Przesunął na środek stołu swój przekaźnik i wskazał go ruchem głowy.

- Będziemy potrzebowali wszystkich promów, na jakich uda nam się położyć łapy, i całej amunicji, power packów i generatorów. Ale największy problem to ten, że nie będziemy mieli żadnego wsparcia przeciw lądownikom. Shelly, ile Lanc AM można przetransportować w ciągu, powiedzmy, najbliższych sześciu godzin?

- Cztery - odparł przekaźnik. - Są rozrzucone wokół Minneapolis, wspierają front Północnych Równin. Jeden z promów z Chicago mógłby je zabrać i tutaj przywieźć. Żeby zrobić to w sześć godzin, trzeba by złamać kilka przepisów, ale dałoby się.

- A więc to rozkaz - powiedział Mike. - Co wiemy na temat promów, power packów i generatorów?

- Są dwadzieścia dwa promy Banshee Dwa - powiedziała Shelly.

- Szesnaście będzie tu za trzy godziny. Jeśli zaczekamy na Lance AM, w tym czasie przylecą wszystkie dwadzieścia dwa.

- Duncan, zajmij się listą załadunku - powiedział Mike. - Wiesz, co robić: dopilnuj, żeby

wszystko rozłożono równomiernie na wszystkich promach. Zaczniij już teraz przygotowywać ładunek. W ten sposób kiedy już tu przylecą, będziemy musieli je tylko załadować. Musimy założyć, że stracimy ileś tam promów w drodze w tamtą stronę i że będziemy je rozładowywać pod ogniem.

- Myślałem, że dostaniemy wsparcie atomowe - powiedział kapitan Holder.

- Dostaniemy albo nie polecimy. Ale to nie znaczy, że nie będziemy pod ogniem po drodze i po wylądowaniu. To znaczy tylko tyle, że nie zostaniemy od razu zmieceni z powierzchni ziemi. Duncan, przekaźnik może zająć się tym wszystkim, ale ty masz zadbać, żeby była w tym odrobina intuicji - dodał z uśmiechem Mike.

- Jasne - odparł kapitan z nieobecnyim wyrazem twarzy. - Mamy tylko pięć generatorów i power packów. A jeśli dostaną power packi...

- Będzie dużo huk - wtrącił Stewart.

- „Miało być wielkie bum, gdzie jest wielkie bum”? - zaśmiał się Pappas.

- Nie ładujcie nikogo na te promy - wzruszył ramionami Mike.

- Nie podoba mi się, że będą zwracać na siebie uwagę. Polecą osobno i zaczekają w górach, a kiedy zabezpieczymy strefę lądowania, przylecą i wylądują transport. Potem okopimy się i miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Na przykład że umrzemy szybko i bezboleśnie? - zażartował Stewart.

- Coś w tym rodzaju - powiedział Mike. - Duncan, co powinniśmy zrobić według operacyjnego?

- Najlepszy punkt obrony to prawdopodobnie Mur - odpowiedział Duncan, włączając hologram.

- Możemy wwiercić się w niego, będzie bardzo ciężko nas stamtąd wyluskać. Ale trudno będzie tam się dostać. Będziemy mieli trzy do czterech dział SheVa, które wesprą nas ogniem. To oznacza sześć do ośmiu pocisków z antymaterią. A więc powierzchnia rażenia ogniem będzie nie większa niż kwadrat o boku czterech kilometrów. Nie możemy dopuścić, żeby strefa lądowania była bezpośrednio obserwowana, dlatego musimy wylądować przy Black's Creek w dawnym Mountain City. To stosunkowo niewielkie zagłębienie w górach, niewidoczne ani z Valley, ani z równin. Jest tam wystarczająco dużo miejsca, by wylądowały wszystkie promy. Zabezpieczymy strefę lądowania, a potem wezwiemy dwa promy z power packami do AM. Następnie podejmiemy do Muru i okopimy się tam. Proponuję kompanię Charlie na zachód i Bravo na wschód, ale ustaliłem to rzutem monety, może być odwrotnie.

Zmienił hologram i wyśrodkował go na Murze.

- Z naszych informacji wynika, że kucyki próbują na nim swoich sił, dlatego dopóki tam nie dolecimy, nie będziemy wiedzieli, jak faktycznie wygląda sytuacja. Powinniśmy chyba jednak zakładać, że Mur będzie w większości zburzony.

- Niełatwo zburzyć coś tak dużego - powiedział Holder.

- Według raportów, Posleeni używają ciężkiej broni kinetycznej i dział klasy kosmicznej - przypomniał Mike. - Zburzenie Muru czymś takim nie będzie dla nich problemem.

- Czyli tam są tylko C-Deki - zauważył Duncan. - Minogi nie mogą używać broni kosmicznej przeciwko celom naziemnym.

- W raportach była mowa o C-Dekach i Minogach - powiedział Stewart. - W „dużej liczbie”. Była też mowa o ocalałej SheVie, która je atakuje. Na zachodzie jest oddział lurpów Floty. Waszą, ale przypuszczalnie dotrzemy do strefy lądowania przed nimi...

* * *

Elgars podniosła wzrok znad kart.

- Co to było?

Billy, który właśnie spuszczał jej łomot w grze w „wojnę”, wzruszył ramionami. Nie słyszał

niczego przez krzyki pozostałych dzieci.

Było tuż po obiedzie i dzieciaki wciąż głośno narzekały na jakość jedzenia. Jedna wycieczka do O'Neala wystarczyła, żeby je rozpuścić.

- Dzieci! Cicho! - zawołała Shari. Musiała powtórzyć to trzy razy, zanim Shakeela w końcu przestała mówić. Spojrzała na Elgars i zmarszczyła brew. - Czy to był krzyk?

- Tak - odparła kapitan, wstała i podeszła do drzwi. W tym momencie drzwi otworzyły się. i stanęła w nich Wendy.

- Nie jest dobrze - powiedziała bez tchu. - Znów plotka o Posleenach:

- Plotka czy fakt? - zapytała nerwowo Shari.

- Na razie zamieszki, więc nie jestem pewna - odparła młoda kobieta, wzruszając ramionami. - Kiedy szłam tutaj, wpadłam na tłum. Ale nie ogłosili alarmu, więc to pewnie plotka.

- Jak to można sprawdzić? - spytała Elgars.

Wendy znów wzruszyła ramionami i podeszła do terminala komunikacyjnego.

- Zadzwonimy do Harmona. Jest przy wejściu, więc coś będzie wiedział.

Wystukała kod i zaczęła mówić, kiedy na ekranie pojawiła się twarz Dave'a i nagrana wiadomość:

- Cześć, tu Dave Harmon ze strzelnicy Harmony Ranges. W tej chwili nie mogę...

- No, nie wyszło - zmarszczyła brew Wendy. - Z drugiej strony...

- Co? - spytała Elgars.

- Dopiero drugi raz włączyła się u niego sekretarka. Pani kapitan, proponuję, żebyśmy we dwie poszły do sektora A. Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć kogoś z ochrony. Oczywiście nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni.

- A co zrobimy, jeśli to naprawdę Posleeni? - spytała Shari. - Jeśli już są w mieście?

- Wtedy udamy się na wyznaczone pozycje obronne. Ale mam nadzieję, że nie weszli głównym wejściem, bo tam jest zbrojownia.

- A zbrojownia sprawdza stan twojego karabinu, który może wcale się nie przydać - powiedziała Elgars, ruszając do drzwi. - Poza tym żadne z nas się nie spakowało.

- Pójdziemy sprawdzić - oznajmiła Wendy. - Shari, zamknij drzwi na klucz.

- Dobrze - powiedziała Shari, stając przy drzwiach. - Uważajcie.

- A może „wróćcie cało”? Dobra, idziemy.

* * *

Wendy ruszyła najprostszą drogą do sektora A, ale główne korytarze były zapchane mieszkańcami podziemi. Nie były to jeszcze zamieszki, jednak wszyscy kłębili się dookoła jak bydło, które czuje dym, ale jeszcze nie wie, z której strony nadejdzie ogień. Wystarczy byle iskra, by zaczęło tratować wszystko na swej drodze.

Wendy pokręciła głową i skręciła w trzeciorzędny korytarz, a potem zagłębiła się w labirynt.

- Myślałam, że trochę poznałam te tunele - rzekła kapitan - ale gdyby nie znaki, nie miałabym pojęcia, którądy idziemy.

- Trzeba do tego tubylca - zgodziła się Wendy, otwierając drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”. - Najlepiej tubylca z dostępem do przejść awaryjnych.

Korytarz, w który weszły, był najwyraźniej kanałem serwisowym niezliczonych przepompowni i rurociągów, obsługujących wodociągi i kanalizację Podmieścia. Po lewej stronie huczała i bulgotała wielka pompa, z której wychodziło kilka szarych rur o ponadmetrowej średnicy.

Wendy podeszła do drabiny prowadzącej na wyższy poziom.

- Pora się powspinać.

Drabina ciągnęła się w górę co najmniej pięć poziomów. Wendy szybko się wspięła, Elgars za nią. Było jasne, że dziewczyna umie się wspinać.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Elgars.

- W miejscu, gdzie łączą się sektory A i D - odparła Wendy, idąc w drugi koniec korytarza, identyczny jak pierwszy. - Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, powinniśmy wyjść na drugorzędny tunel, a ten doprowadzi nas do głównej drogi na strzelnicę. - Kiedy już dotarły do wjazdu, położyła na nim rękę, a potem przytknęła ucho. - Słyszysz pani coś?

- Bardziej czuję niż słyszę - powiedziała Elgars. Podłoga wydawała się drżeć w nieregularnych odstępach czasu.

- To coś... nowego.

Korytarz, na który wyszły, był pusty, ale już po chwili usłyszały w oddali krzyki, a potem gdzieś blisko wystrzały, prawdopodobnie ze strzelby.

- Jest źle - powiedziała Wendy i spojrzała w obie strony korytarza, zastanawiając się, dokąd iść. - W lewo jest strzelnica - mruknęła. Właśnie stamtąd dochodziły hałasy.

Kiedy tak stały, po prawej stronie pojawił się tłum ludzi. Część z nich biegła w przeciwną stronę. Niemal w tej samej chwili z lewej strony nadjechał wielki mężczyzna na wózku.

- O cholera - sapnęła Wendy. - *Merde*.

Przez chwilę było jej słabo, w ustach czuła smak żelaza. Nie podobał jej się taki rozwój sytuacji.

- Cześć, Wendy. - Harmon zatrzymał się obok nich; dookoła biegali spanikowani ludzie. - Zabawne, że cię tu spotykam.

- Wiedziałaś, że wyjdę tunelem?

- No, domyśliłem się, że nie pojedziesz windą - przyznał. - Mogłaś wyjść tutaj albo przy drabinie siedemnaście B, ale gdybyś poszła tamtędy, już byś nie żyła, więc pomyślałem, że przyjadę tutaj.

- O cholera, Dave - powiedziała, zaglądając do pomieszczenia serwisowego. Nie uśmiechało jej się znoszenie Harmona po drabinie.

- Wejdzmy, dobrze? - powiedział, przejeżdżając obok niej. - I zamknijmy drzwi.

* * *

- Co się stało? - spytała Wendy, zamykając wrota z pamiętającego tworzywa. Żałowała, że to nie grodz pożarowa.

- Nie wiem - odparł Harmon. - Spotkałem faceta z ochrony. Powiedział, że komputer nie rozpoznał Posleenów ani nie ogłosił alarmu. Dlatego nie można było zawiadomić ludzi i powiedzieć im, co mają robić. A korpus wcale się nie odezwał. Posleeni byli już pod samym miastem, zanim ktokolwiek się zorientował, że coś jest nie tak. Byłem u siebie, nie zdążyłem nawet podjechać na strzelnicę. - Sięgnął do torby i wyjął z niej krótką strzelbę. - To oczywiście nie znaczy, że nie miałem zapasu broni.

- Ale to wygląda tak samo, jak w Rochester - szepnęła Wendy. - Jeśli są przy wyjściach, nic już nie można zrobić.

- Myślałem nad tym - powiedział Harmon. - Są inne drogi niż wejścia dla ludzi; na przykład windy zbożowe są zupełnie gdzie indziej. Jeśli zejdzie się przez hydroponiki na poziom H, można wjechać windą na teren kompleksu przemysłowego, siedem kilometrów od góry Pendergrass. Przecież Posleeni nie mogą być wszędzie.

- To... mogłoby się udać - powiedziała Wendy, otrząsając się z szoku. - Ale jak, do cholery, zawieziemy cię na poziom H?

Harmon zaśmiał się i pokręcił głową.

- Nie zawieziecie. Zejdę po drabinie na poziom D i pojedę do stołówki. Ale dalej już nie.

- Dave...

- Zamknij się, dobra? - powiedział. - Musimy ruszyć się stąd, a ja potrzebuję waszej pomocy.

Mogę zejść sam po drabinie, ale ktoś musi mi znieść wózek.

- To da się zrobić - odparła Wendy. - Ale co z...

- Wendy, jeśli uda ci się stąd wydostać, zwłaszcza z dziećmi, to będzie cud - przerwał jej Dave.

- A na pewno nie uda ci się, jeśli będziesz ze sobą wlec... faceta na wózku. Za dużo drabin, za dużo ciasnych przejść, nieprzyjaznych dla niepełnosprawnych. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

Zejscie na dół po drabinie okazało się łatwiejsze niż mogło się wydawać. Wendy znalazła długą taśmę z klamrą i opuściła wózek niemal na sam dół. Potem Elgars zeszła po drabinie i przytrzymała go, aż Wendy zejdzie i powtórzy operację. Harmon, tak jak powiedział, zszedł, używając tylko rąk. Posadzenie go na wózku nie było łatwe, ale po chwili zmagania udało się.

Na korytarzach był już mniejszy ruch. Ludzie uciekli do wszelkich bezpiecznych w swoim mniemaniu miejsc. Wendy i Elgars zawiozły byłego policjanta do stołówki, która już zappełniała się ludźmi. Zgodnie z przewidywaniami, wielu z nich zdołało „gdzieś” znaleźć broń. Wendy wepchnęła Harmona do sali i postawiła wózek za naprędce skonstruowaną barykadą.

- Cały czas to mi się nie podoba - powiedziała i rozejrzała się wokół. Większość zebranych to byli ludzie starsi albo niedołęzni. Z drugiej strony sprawiali wrażenie, jakby byli gotowi stawić czoła wszystkiemu, co może wejść przez drzwi.

- Jeśli to mały najazd i pojawi się ktoś z bronią, może nam się udać - wzruszył ramionami Harmon. - Zobaczymy się później.

Elgars pocałowała go w czoło, a potem zmierzwiła jego krótko przycięte włosy.

- Celuj nisko - powiedziała. - Mogą przyjechać na szetlandach. Harmon roześmiał się i pokiwał głową.

- Tak zrobię. Wyoście się już.

Podszedł do nich jeden z obrońców, potężny starzec z grzywą siwych włosów i dłońmi poznaczonymi odciskami, które świadczyły, że przez całe życie ciężko pracował na chleb. W rękach trzymał krótką strzelbę, podobną do tej, którą miał Harmon, i dwa kubki parującego płynu.

- Kawy, Dave?

- Cholera, skąd to masz, Pops? - zapytał ze śmiechem Harmon.

- Widzę, że masz broń, a to jawne pogwałcenie regulaminu Podmieścia - dodał surowo.

- Och, o to ci chodzi? - Starzec podniósł zadbaną strzelbę. - Znalazłem ją na korytarzu, kiedy tu szedłem. Bez wątpienia zgubił ją w panice jakiś niecnota. Pewnie na myśl o tym, jak wściekła będzie ochrona, jeśli go z tym złapie. - Sięgnął do przepaścistych kieszeni swojego chałatu i wyjął stamtąd garść nabołów kaliber dwanaście. - Chcesz amunicję?

Dave tylko zaśmiał się i pokręcił głowa^

- Wynocha, moje panie. Nic mi nie będzie.

Wendy poklepała go po ramieniu i wyszła na korytarz.

- Potrzebujemy planu - powiedziała.

Elgars przez chwilę myślała.

- „Zabić wszystkich, Pan Bóg rozpozna swoich. „

- Gdzie to słyszałaś? - spytała Wendy.

- Nie mam pojęcia, ale kiedy powiedziałaś „plan”, po prostu przyszło mi to do głowy. - Elgars

westchnęła. - Potrzebna nam broń. Mam ją w pokoju.

- Tak, i musimy doprowadzić dzieci do hydroponików - dodała Wendy. - Ty idź po broń, a ja pójdę po dzieci. Spotkamy się przy wejściu do hydro. Przynieś całą amunicję, jaką znajdziesz.

- O tak, to mogę ci zagwarantować.

Niedaleko Franklin, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

20:47 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 26 września 2009

- Pewnie nie pozwolisz wylądować tam mojemu oolt? - zapytał ponuro Cholosta'an. W dole wyraźnie widać było strumień Posleenów znikający w podziemnym mieście. Pewnie są tam olbrzymie łupy zagarnięte przez wojska w tym rejonie.

- Raczej nie - powiedział Orostan. Był trochę weselszy, gdyż plan zaczynał działać, a znienawidzone, wymykające się pogoni działo SheVa chyba uciekło. - Mamy za dużo celów do zajęcia, a już jesteśmy spóźnieni. Twój oolt ma inne zadanie do wykonania.

- Obym tylko dostał swoją działkę - westchnął Cholosta'an. - Nigdy dotąd nie brałem udziału w udanym natarciu. Nie chciałbym, żeby cały łup przypadł innym.

- Łupów będzie jeszcze dużo - prychnął Orostan. - I dostaniesz swoją działkę. Będziesz tarzał się w dobrach, kiedy la misja się skończy. Każdy, kto przejdzie przez naszą przełęcz, będzie nam winien działkę, dlatego przebicie się na równiny jest ważniejsze niż splądrowanie tego śmierdzącego miasta. Żałuję, że nie można im wszystkim tego zabronić. Ci oolt'os sami potrzebni do zdobycia przełęczy i zniszczenia wojsk ludzi, a nie do łupienia.

- Jaki jest nasz następny cel? - spytał młodszy kessentai.

- Nad rzeką zwaną Little Tennessee jest most. Co za okropna nazwa dla rzeki. Po przejściu mostu ruszymy drogą w góry. Jest tam cztery czy pięć celów, bardzo dla nas ważnych. Sprowadzimy cały oolt'ondar nad Tennessee, a potem, kiedy zabezpieczymy już most, rozdzielimy się. My otworzymy przejście drogą cztery-cztery-jeden, a Sanada pójdzie drogą dwadzieścia osiem.

- Most - powiedział ponuro Cholosta'an. - I górskie drogi.

- Nie martw się, młody kessentaiu - pocieszył go oolt'ondai. - Tym razem to my będziemy mieli niespodziankę dla ludzi.

* * *

Major Ryan stał na zboczu Rocky Knob i patrzył na most. w dole. W promieniach zachodzącego słońca widział Posleenów idących na wschód od Franklin, którzy jeszcze nie dotarli do mostu. A na moście wciąż byli uciekinierzy.

- Kiedy pan go wysadzi? - spytała specjalistka. Minowanie mostu okazało się ciężką pracą.

- Cały czas są na nim żandarmi kontrolujący ewakuację - odparł Ryan, opuszczając lornetkę. - Nie wiem, czy działają na wycucie, czy wykonują rozkazy. Ale jeśli będą jeszcze na moście, kiedy podejda Posleeni, wylecą w powietrze.

- Żandarmerii to się nie spodoba - zauważyła Kitteket

- Wszystkim innym nie spodoba się jeszcze bardziej, jeśli Posleeni zdobędą nietknięty most. Zastanawiam się, co oni kombinują.

- Co pan ma na myśli?

Major usiadł na skraju drogi. Znajdowali się na zakręcie bocznej szosy niedaleko Crook Creek. Pozostali żołnierze zrobili sobie przerwę - jedli polowe racje, moczyli ręce w zimnej wodzie górskiego strumienia i zastanawiali się, co dowodzący nimi ekscentryczny oficer każe im teraz robić.

Major zebrał grupę ludzi - ośmiu zamiast planowanych czterech - których szukał, żołnierzy, którzy zachowali sprzęt i byli gotowi iść za kimś, kto od razu powiedział im, że należy do tylnej straży. Ich pierwszym celem był most na Tennessee. Po zniszczeniu go mieli zająć się następnym i

następnym, tak długo, aż skończą im się materiały wybuchowe albo szczęście. Major bardziej martwił się o to drugie.

- Oni są sprytni, więc muszą wiedzieć, że będziemy próbowali ich zatrzymać, tak?

- Tak.

- A więc muszą mieć jakiś sposób na przejście przez rzekę - ciągnął. - Nie wyobrażam sobie, że po prostu zatrzymają się i poddadzą. A pani?

- Nie, ja też sobie tego nie wyobrażam.

- No, wygląda na to, że już niedługo się przekonamy. - Masa Posleenów, ukrytych w cieniu unoszących się nad nimi czterech Minogów i C-Deka, ruszyła w stronę mostu. W oddali widać było inne ładowniki skręcające na wschód. - Chyba rozdzielają swoje siły - powiedział major.

- No, to nie najmądrzejsze posunięcie, o ile to nie jest zmyłka.

- Być może - odparł Ryan, odwracając się do niej. - Znów jakiś podręcznik?

- Tak jakby. Ilu żołnierzy mogą, pana zdaniem, przepchnąć w godzinę przez wyłom?

- Nie wiem - powiedział major i policzył coś w myślach. - Prawdopodobnie sześćdziesiąt do stu dwudziestu tysięcy. Powiedzmy, dziewięćdziesiąt do stu.

- W takim razie pchną ich w dwie różne strony - powiedziała Kitteket. - W ten sposób potrzeba będzie mniejszych sił, żeby ich powstrzymać.

- Hmm - mruknął Ryan. - Ale na każdej trasie będą inne problemy. Nie wiem na przykład, czy upchną takie same masy na drodze do Asheville, co w wylocie doliny. Poza tym rozdzielając się, utrudniają nam odcięcie ich, gdyż trzeba będzie obstawić więcej tras. Ogólnie rzecz biorąc, myślę, że Posleeni wyjdą na tym lepiej niż my.

- Być może, sir, ale to chyba zależy od tego, czy na innych trasach będą jacyś obrońcy.

- Chyba właśnie sama pani doszła do tego, do czego zmierzałem - uśmiechnął się Ryan. - Teraz przekonamy się, na ile my będziemy skuteczni. - Tymczasem pluton żandarmerii na moście pospiesznie zapakował się do swoich humvee i uciekł, ściągając na siebie ogień prowadzącego oolt. Na szczęście dla nerwów Ryana pomiędzy żandarmami a Posleenami nie było żadnych uciekinierów. Zdarzało mu się już wysadzać mosty wraz z maruderami, ale zdecydowanie to nie była jego ulubiona metoda spędzania wolnego czasu.

- Zaczeka pan, aż wejdą na most? - spytała Kitteket.

- Nie. Gdybym tak zrobił, wysadziłby go zamiast mnie plutonowy Campbell. Standardowa procedura operacyjna to...

- Pięćset metrów - przerwała mu Kitteket. - Ja tylko sprawdzałam.

- Maszynistka? - mruknął.

- Cztery lata, sir. Cały czas tutaj. To znaczy tam, na dole. - Wskazała na Gap. - Piszę prawie osiemdziesiąt słów na minutę.

- Jeśli będę musiał wypełnić jakieś formularze, dam pani znać - powiedział Ryan, wciskając dźwignię detonatora, kiedy pierwszy Posleen minął znak drogowy stojący niecałe pięćset metrów od mostu.

Eksplozja nie była zbyt widowiskowa. Kilka chmurek dymu, trochę betonowego pyłu... i stalowy most runął do strumienia.

- To wszystko? - spytała Kitteket.

- Wszystko - odparł Ryan, pakując detonator.

- Spodziewałam się kupy dymu i ognia i latających w powietrzu resztek mostu - westchnęła. - Tyle się narobiliśmy, a tu tylko trochę dymu.

- Jestem mistrzem - stwierdził wyniośle major. - Mistrzostwo w wysadzaniu różnych rzeczy w

powietrze polega na użyciu minimalnej siły, a ja przez ostatnie kilka lat wysadziłem naprawdę dużo mostów. To w ogóle dobry pomysł, biorąc pod uwagę, że mamy mało materiałów wybuchowych.

- Jasne, sir - zaśmiała się specjalistka. - Co teraz, wielki mistrzu?

- Teraz jedziemy wysadzić drogę. Jak tylko zobaczymy, co Posleeni robią. w sprawie mostu.

Pierwsza fala obcych kłębiła się na brzegu, a prowadzący ich Wszechwładcy wzniesli się na swoich spodkach i przelecieli przez rzekę. Szybko jednak wrócili i w miarę, jak przychodziły nowe jednostki, zaczęto rozmieszczać je wzdłuż brzegu, każdy oddzielnie.

- Jezu Chryste. - Ryan potrząsnął głową.

- Co się dzieje?

- Rozstawiają ich, żeby zmniejszyć straty w wyniku ostrzału artylerii. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby zaczęli się okopywać, ale do tego, jak widać, jeszcze nie doszli.

- Jest źle - powiedziała Kitteket. - Prawda?

- O tak - mruknął major, kiedy pierwszy Minóg przeleciał na drugi brzeg i wysadził żołnierzy, po czym szybko zawrócił po nowy kontyngent. Kiedy tylko obcy znaleźli się na drugim brzegu, ruszyli w pościg za uciekającymi ludźmi, część jednak rozproszyła się na boki, przeczesując okolicę i sprawdzając, czy w pobliżu nie ma jakichś niedobitków.

- A teraz rozwijają wokół mostu perimetr - powiedział Ryan. - Ciekawe, po co?

- Chcą urządzić piknik? - spytała specjalistka. - Panie majorze, robi się ciemno, a ci Posleeni, którzy nie umacniają przyczółka, idą drogą prosto na nas.

- Ale lądownicy nie ruszają się - mruknął Ryan, jakby jej nie słyszał. Jeden z Minogów dołączył do pierwszego i zaczął przerzucać wojsko na drugi brzeg rzeki, pozostałe dwa i C-Dek osiadły na ziemi, jakby na coś czekały. - Co oni robią?

- Sir, może moglibyśmy zastanawiać się gdzie indziej?

- Coś tam się rusza - zauważył major.

Posleeni wkraczali do doliny w zdyscyplinowanym szyku, który Ryan wciąż uważał za niepokojący. Potem centaury zaczęły rozstępować się na boki, aby przepuścić kolejną grupę. Major ustawił ostrość lornetki i skierował ją na maszerującą formację.

- Niech mi pani powie, że to nie jest to, o czym myślę - mruknął.

- Ja nie widzę. To pan ma lornetkę. Podał jej szkła i pokręcił głową.

- Skąd oni ich wzięli, do cholery?

- Sir - zachłysnęła się Kitteket. - Czy to są... - Ta Indowy.

* * *

Orostan skrzyżował ramiona i opuścił grzebień, aby nie przerazić jeszcze bardziej małego zielonego stworzenia. Tulo'stenaloor ukarał już śmiercią kessentaia, który pozwolił zabić jednego z „saperów”; małe istotki kupiono i przewieziono wielkim kosztem, a ich liczba była ograniczona.

Orostan wskazał na resztki mostu.

- Tam był most - powiedział mieszanką posleńskiego i galaksjańskiego. - Musi być nowy. Jak będzie nowy, wszystko będzie dobrze. Jak nie, wasz klan się zmniejszy.

Indowy wyminął go i ostrożnie podszedł do zniszczonego mostu. Podpory obu przęseł zostały wysadzone, podobnie jak metalowe dźwigary. Została tylko poskręcana masa cementu i stali. Inżynier przyglądał się jej przez kilka chwil, a potem spojrzął na znajdujące się w pobliżu materiały. W końcu podszedł do posleńskiego dowódcy.

- Będę potrzebował więcej niż mam rąk do pracy - powiedział nieśmiało. - Na szczęście na miejscu jest dużo materiałów. Nie będziemy próbowali odbudować mostu, postawimy tylko nowy, niżej nad poziomem wody. Tak będzie szybciej, chociaż i tak zajmie nam to czas do rana. Nie

umiemy robić cudów.

- Będziesz miał tylu oolt'os, ilu będziesz potrzebował - powiedział Orostan i powstrzymał gestem pytanie. - Wybiorę tych, którzy będą z wami pracować. Możesz im rozkazywać przy pracy, jak chcesz; nic ci sienie stanie.

- To potrwa - zauważył Indowy.

- Musi trwać najkrócej, jak się da - ostrzegł Orostan. - Żadnych opóźnień.

- Natychmiast zaczynamy.

* * *

- Sukinsyny - powiedział Ryan, wyciągając notebook.

- O co chodzi, sir? - spytała Kitteket. - Oni coś tam robią.

- Odbudowują most.

- To co robimy? - spytała. - Posleeni kręcą się po Brendleston.

- Brendletown - poprawił ją pedantyczny major. - Wynosimy się stąd, do cholery. Widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć.

- Dokąd?

- Zamierzałem wysadzić urwisko przy Rocky Top - powiedział, spoglądając na mapę - ale z tym zbyt łatwo sobie poradzą. Dlatego musimy znaleźć coś trudniejszego. Niestety, jesteśmy troszkę odcięci.

- Co?! - wrzasnęła Kitteket.

- Och, to nic takiego, z czym nie dalibyśmy sobie rady - odparł Ryan. - Ale wyjechanie stąd będzie... interesujące. Z drugiej strony dzięki temu będziemy mieli czas, aby obmyślić nowe sposoby zabawienia naszych gości.

* * *

- Jest źle? - spytała Shari, kiedy Wendy stanęła w drzwiach.

- Aha. Zbieraj dzieciaki. Masz plecaki?

Shari cofnęła się w głąb pomieszczenia, zawołała dzieci i ustawiła je w szeregu. Rozdała im plecaki, do których zapakowała dla każdego ciepłą kurtkę i małą paczkę zjedzeniem. Poinstruowała dzieci, żeby nie zjadły wszystkiego od razu, bo być może jedzenie będzie musiało starczyć im na długo. Potem sprawdziła ich buty - w jednym przypadku zamieniła je na lepsze - i kazała wszystkim pójść do łazienki.

Tymczasem Wendy spakowała do większych plecaków jedzenie i wodę. Miała nadzieję, że Elgars da radę przynieść kilka bojowych Upręży; miały one w komplecie torby z nabojami. Rozważała zmianę ubrania, ale doszła do wniosku, że skórzane spodnie, które dostała, trochę już się rozciągnęły, zresztą i tak nie znalazłaby niczego lepszego.

Kiedy skończyła, Shari ustawiła dzieci i wsadziła Amber do nosidła na plecach. Bez słowa ruszyły do drzwi. Wendy spojrzała w obie strony korytarza, a potem wyprowadziła dzieci. Shari zamykała pochód.

* * *

Elgars otworzyła drzwi i podeszła do szafki w ścianie, jednocześnie się rozbierając. Drzwiczki otworzyły się, jakby na nią czekały. Zaczęła zakładać najpierw mundur i buty, potem kamizelkę kuloodporną, hełm i uprząż. Przyjrzała się zebranej w szafce broni i zmarszczyła brew. Ciągnęło ją do barretta jak ćpuna do działki, ale uznała jednak, że w zaistniałej sytuacji to nieodpowiednia broń. Wyjęła dwa pistolety, steyra zabranego przez Wendy, MP-5 i AIW. Wypchała magazynkami trzy upręże bojowe, a potem ściągnęła z łóżka prześcieradło i wypełniła je amunicją do wszystkich

pięciu sztuk broni. Na szczęście steyr i AIW potrzebowały tego samego rodzaju nabojów, tak samo MP-5 i jeden z pistoletów.

W końcu uznała, że jest gotowa. Była obładowana jak wielbłąd, ale po dołączeniu do reszty wszystko zostanie rozdzielone.

Nie oglądając się za siebie ani nie zamykając drzwi, Elgars wyszła z pokoju i ruszyła do sektora G.

* * *

Cally odsunęła następną, bryłę gruzu i znieruchomiała. W słabym świetle księżyca zobaczyła nieruchomą bladą dłoń. Dotknęła jej, pogładziła gęste włosy na grzbiecie dłoni. Jeden z palców był złamany, a skóra była szara i zimna.

Cally siedziała w mroku, kołysząc się na piętach, przez niemal pół nocy. Potem z powrotem przysypała dłoń kamieniami, założyła plecak i nie oglądając się za siebie, ruszyła na wzgórze.

Kiedy zniknęła, spod rumowiska wygrzebał się Himmit. Schował strzykawkę z hibernyną i ruszył za dziewczynką.

*Gdy niedźwiedzia napotyka himalajski wieśniak w drodze
Krzyczy groźnie na potwora, a ten często w dal uchodzi
Lecz gdy niedźwiedzię spotka, ta go w strzępy wnet rozrywa
Bo samica bardzo często gorsza niżli samiec bywa.*

Rudyard Kipling
Samica (1911)

Niedaleko Franklin, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

22:14 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
sobota, 26 września 2009

Wendy zatrzymała się na szczycie ruchomych schodów i zmarszczyła brew. Nie działały, a co gorsza, z dołu dobiegały krzyki i huk wystrzałów.

Problem polegał na tym, że Posleeni byli wszędzie dookoła, i żeby uniknąć spotkania z nimi, grupa musiała bardzo szybko zejść kilka poziomów w dół. Większość wind jednak nie działała, podobnie jak ruchome schody.

- Chodźcie - powiedziała, zawracając głównym korytarzem.

Mniej więcej w połowie drogi na dół natknęła się na pakiet szturmowy. Otworzyła go i popatrzyła na zawartość. Nie ma mowy, żeby wszystko zabrali, trzeba więc zdecydować, czego najbardziej będą potrzebować.

Oczywiście medpak, między innymi zawierający hiberzynę. Używała jej o wiele za często, żeby teraz jej nie rozpoznać. Ponieważ mieli już problemy z drzwiami, zabrała pakiet do ich otwierania, zawierający pojemnik ciekłego azotu i wtryskiwacz. Przypuszczalnie czeka ich wspinaczka, dlatego przymocowała na wierzchu swojego plecaka zwój liny i pakiet do schodzenia.

Doszła do wniosku, że nie powinna zabierać halligana ani piły ratunkowej, mimo że bardzo ją kusiło, więc zamknęła drzwi i poszła dalej.

W następnym tunelu serwisowym połączyła dzieci liną i kazała im schodzić w dół po drabinie. Prowadziła tylko sześć poziomów w dół, a kiedy się tam znaleźli, poczuli wiejący z dołu silny podmuch.

- Co to jest? - wysapała Shari. Schodzenie po drabinie, zwłaszcza z Amber na plecach, dało się jej we znaki.

- Szyb wentylacyjny. Właśnie rym szybem dostaniemy się do sektora G.

- Chyba żartujesz. - Korytarz przypominał tunel aerodynamiczny, wiatr niemal ich przewracał.

Wzdłuż ścian biegły liny. Dzieci złapały się ich, kiedy tylko zeszły z drabiny.

Shari zrobiła to samo i ruszyła korytarzem. Na samym końcu był ogromny otwór obramowany składaną poręczą, gęsto oznaczoną znakami ostrzegawczymi i napisami. Po prawej stronie na ścianie był olbrzymi kołowrót ze stalową liną, na pierwszy rzut oka tak długą, że można by sięgnąć do Chin. Stojąc na krawędzi, można było zobaczyć w dole przepastny szyb powietrzny.

Powietrze w tak wielkim kompleksie jak Podmieście zawsze było problemem, zwłaszcza że niemal całkowicie było w ten czy inny sposób odzyskiwane i odświeżane. By ułatwić przepływ świeżego powietrza i umożliwić mieszanie się gazów, Podmieście było wyposażone w cztery wielkie szyby powietrzne, każdy głęboki prawie na trzysta metrów i szeroki na sześćdziesiąt.

Otwór, przed którym stali, znajdował się w połowie wysokości sektora B, a do dna otchłani było prawie dwieście pięćdziesiąt metrów.

- Mogę powiedzieć tylko tyle: nie patrzcie w dół. - Wendy podeszła do kołowrotu i zwolniła blokadę.

- Powiedz, że żartujesz - krzyknęła Shari. Na skraju szybu wiatr był wprost huraganowy.

- Kabla starczy z zapasem aż na sam dół - powiedziała Wendy, wyciągając około dwóch metrów liny i zrzucając na podłogę swój osprzęt wspinaczkowy. - Ale nie musimy zjeżdżać aż tak nisko, wejście do hydroponików jest na G 4.

- Powiedz, że żartujesz - powtórzyła Shari. Kręciło się jej w głowie, słabe światło z szybu widziała jak przez mgłę. Miała już kiedyś takie uczucie, gdy uciekała przed posleeńskim natarciem na Fredericksburg. To była straszna, przejmująca aż do szpiku kości zgroza.

- Opuść cię na G - ciągnęła Wendy, jakby jej nie słyszała. - Lina jest obliczona na trzy tony, więc nie martw się, że cię nie utrzyma. Na kołowrocie oznaczyłam kolejne wyloty tuneli. Kiedy zjedziesz na dół, zaczep linę na szpuli, a potem zakołysz nią w przód i w tył. Będę stąd patrzeć, i kiedy zobaczę, że kołysziesz liną, pošlę na dół dzieci. Lina jest wystarczająco długa, żebyś mogła asekurować je z dołu. Uważaj tylko, żebyś nie wypadła z otworu.

- To SZALEŃSTWO - powiedziała Shari, odsuwając się od krawędzi dziury.

Wendy złapała ją za ramię i potrząsnęła.

- Słuchaj - syknęła jej do ucha. - Posleeni zajęli windy i większość ruchomych schodów. Goranie wyjdziemy, ale jest szansa, że wydostaniemy się przez hydroponiki. Nie ma innej drogi w dół. A teraz zakładaj uprząż i szykuj się.

- Dzieciom to się nie spodoba - powiedziała Shari, podnosząc uprząż. Miała wielkie ze strachu oczy. - A ja nie dam rady zwieźć na dół Amber.

- Amber zjedzie z Billym - powiedziała Wendy. - Po prostu przywiążę je wszystkie do tej cholernej liny. Tak, nie spodoba im się to, ale nic na to nie poradzę, drzwi są zamknięte.

Shari pokręciła głową i powoli zaczęła zakładać uprząż.

- A ty jak zjedziesz?

- To... skomplikowana sprawa - powiedziała Wendy.

* * *

Shari schodziła po ścianie, uważając, by nie patrzeć w dół. Spojrzała tylko raz, i to jej wystarczyło. Dno szybu ginęło w mroku, ale sam blask światła bijący z innych otworów, głęboko w dole, wystarczył, by ją prawie zmroziło.

Cały czas uważała, żeby się nie kołysać. Im bardziej lina wydłużała się, tym bardziej ona huśtała się w przód i w tył. Raz nawet pośliznęła się i kilkakrotnie boleśnie uderzyła o ścianę. Było to dopiero po trzydziestu metrach; wołała nie myśleć, co by się stało, gdyby pośliznęła się teraz.

Ściany szybu pokrywał śluz, dlatego ześlizgiwanie się stóp było nieuniknione. Kiedy się nad tym zastanowiła, uznała, że to nic dziwnego: powietrze w szybie pochodziło z milionów ludzkich płuc. Ludzie wydychali olbrzymie ilości wilgoci, a woda skraplająca się na ścianach była idealnym podłożem dla powstania śluzu. Dzięki temu, że schodziła pierwsza, dzieci nie będą huśtać się na kablu, ale tak czy inaczej czeka je utyłanie się w szlamie.

A nie spodziewała się, by w najbliższym czasie napotkali jakąś pralnię.

Wreszcie zatrzymała się nad jakimś otworem i przeczytała napis. Była na poziomie G, ale w sektorze były cztery otwory, a najlepszy wydawał się drugi od dołu, więc opuściła się jeszcze trochę niżej.

W końcu dotarła do odpowiedniego tunelu. Odbiła się od ściany i wpadła do środka, gdzie mimo wyteżonych wysiłków wylądowała na tyłku. Szybko wstała i cofnęła się do wejścia, ciągnąc za sobą linę.

Po lewej stronie miała pusty kołowrót, na którym zaczepiła stalową linę.

Potem Shari wypięła się, wychyliła poza krawędź otworu i rozkołysała linę.

* * *

Wendy nieźle się namęczyła, zanim spuściła dzieci po stalowej linie. Najpierw musiała znaleźć klamry, potem pasujące uprząże, potem przekonać Billy'ego, żeby zabrał Amber, a jeszcze później musiała wyłapać wszystkie dzieci, które wrzeszczały i próbowały uciec. Shakeela wspięła się na samą górę drabiny i dobijała do drzwi, przez które weszli, aż wreszcie Wendy ją obezwładniła.

Wróciła na dół tylko po to, by się przekonać, że w tym czasie Nathan i Shannon odpięli się i próbowali otworzyć drzwi na końcu korytarza. Wreszcie jednak przypięła do liny całą trójkę, objęła Billy'ego i wskazała mu otwór.

- Billy, musisz cały czas być twarzą do ściany - krzyknęła - bo inaczej zmiażdżysz Amber o ścianę. Rozumiesz? Twarzą do ściany.

Chłopiec z ponurą miną pokiwał głową, a potem wskazał na nią.

- Ja zejść za wami, bo muszę kręcić kołowrotem.

Znów pokiwał głową i zamknął oczy, przekładając nogi przez krawędź otworu.

Wendy poklepała go po ramieniu, a potem wychyliła się, zakołysała stalową liną i pomachała Shari na dole.

Największy problem stwarzała waga liny. Każde dziecko tkwiło w uprząży, albo standardowej, z szafki serwisowej, albo, jak w przypadku Shakeeli i Nathana, w siodełku splecionym ze sznura. Uprząż była z kolei przymocowana do krótkiego kawałka wspinaczkowej liny, ta zaś klamrami do stalowej liny. Na każdą klamrę przypadała dwójka dzieci, które w tej chwili przytulały się do siebie i wypłakiwały oczy.

Wendy obawiała się, że lina natychmiast ściągnie je w dół, kiedy tylko zwolni blokadę. Dlatego wciągnęła długi kawał kabla w głąb korytarza i zaczepiła go o pierścień bezpieczeństwa, a potem przymocowała podwójne uprząże i zapięła w nie dzieci. Teraz stała przed problemem opuszczenia ich wolno w głąb szybu.

W końcu wzięła resztkę liny i przełożyła ją przez ten sam pierścień, przez który przechodziła stalowa lina, a potem przywiązała ją mocno do ostatniej klamry. Był to skomplikowany, ale bezpieczny sposób powolnego opuszczania liny przy wykorzystaniu tarcia sznura o sznur. Co więcej, w każdej chwili mogła zatrzasnąć blokady, zatrzymując cały proces.

Skinęła głową Billy'emu. Przypięta obok niego Kelly zachowywała się jak katatoniczka, ale kiedy brat popchnął ją w stronę krawędzi, wrzasnęła i przywarła do niego z całych sił.

Na szczęście Billy'emu udało się nie dopuścić do zmiażdżenia Amber o ścianę. Zjeżdżał w dół z zamkniętymi oczami i bez przerwy głaskał siostrę, żeby ją uspokoić.

Waga stalowej liny i pierwszej trójki pociągnęła resztę dzieci, które nie miały już innego wyjścia - musiały przekroczyć krawędź otworu. Wendy opuszczała je powoli, za każdym razem sprawdzając, czy nic się nie zacięło. Shakeeli znów udało się wypiąć, ale Wendy przypięła ją z powrotem do kabla i przestrzegła, że jeśli dziewczynka zrobi to samo w drodze na dół, czeka ją bardzo długie spadanie.

Potem wszystko poszło już jak w zegarku. Do dna szybu było prawie dwieście pięćdziesiąt metrów, i z początku Wendy bała się kołysania, ale Shari kontrolowała wszystko z dołu i wkrótce dzieci bezpiecznie do niej dotarły.

Cała akcja zajęła zaledwie kilka minut, ale pod koniec Wendy cała się trzęsła z wysiłku. Teraz przysła kolej na nią.

Zejście na dół było jednym wielkim znakiem zapytania. Liny miały tylko sześćdziesiąt metrów

długości, więc rappelling nie wchodził w grę. Jeżeli w Podmieściu w ogóle była dwustupięćdziesięciometrowa lina, to w magazynach ochrony, które już dawno zajęli Posleeni. Teoretycznie wymyśliła pewien sposób, ale wcale jej się nie podobał. Jeśli coś pójdzie nie tak, Wendy Cummings skończy jako czerwona plama na pokrytym śluzem dnie szybu.

Ale tylko to przychodziło jej do głowy, i gdyby tak dłużej stała, „słuchając rad własnego strachu”, jakby to ujął Tommy, w końcu by ją sparaliżował.

Odcięła kilka kawałków liny i zaczęła wiązać na nich supły.

Podstawowym sposobem schodzenia po linie był tak zwany „węzeł Prusika”. Wendy złożyła razem dwa końce kawałka liny i Owinęła ją wokół stalówki, a potem wokół samej siebie. Kiedy ciągnęła za pętlę, lina zaciskała się na stalówce i zatrzymywała ją w miejscu. Teoretycznie. Z każdą inną liną wszystko poszłoby gładko, ale ze stalową było inaczej.

Powierzchnia liny była oczywiście bardziej śliska niż sznur, a do tego została naoliwiona. Ogólnie rzecz biorąc, niezbyt nadawała się do schodzenia metodą węzłów Prusika. Dlatego Wendy postanowiła zrobić kilka węzłów. Gdyby jeden się rozluźnił, pozostałe powinny się zacisnąć.

Ostatni kawałek liny przywiązała do swojej uprząży. Nie była to lina wspinaczkowa, tylko jedna z linek zabezpieczających. Gdyby zaczęła spadać, linka zaczepiłaby się o stalową linę na dole. Mogłoby dojść wtedy do kilku nieprzyjemnych rzeczy, poczynając od wyrżnięcia w ścianę, ale wszystko to było jednak lepsze niż stać się czerwona plamą na dnie szybu.

Wendy sprawdziła wytrzymałość węzłów na krawędzi - wydawały się mocne - wsunęła stopę w jedną pętlę, złapała dwie inne i zrobiła krok w przepaść.

I natychmiast huknęła w ścianę. A więc węzły trzymały, choć opuszczanie się tą metodą okazało się niełatwą ewolucją.

W końcu udało jej się złapać rytm. Puszczala się jedną ręką, rozluźniała i zsuwała pętle na nogi, a potem znowu zakładała je na ręce.

Zeszła w ten sposób ponad sześćdziesiąt metrów, czyli ćwierć dystansu, kiedy w jednym z bocznych korytarzy usłyszała serię strzałów z posleeńskiego karabinu magnetycznego. Potem na górze pojawił się obcy. Gdyby spojrział w dół, byłaby już martwa.

Zacząła szybko zsuwać się w głąb szybu, nie luzując żadnego z węzłów.

Nie wiedziała, że po pokonaniu blisko sześćdziesięciu metrów stalowej liny sznury zebrały całkiem sporo smaru. Do tego utrzymując linę przez cały czas napiętą, Wendy znacząco zwiększała tarcie, a zwiększone tarcie oznaczało zwiększone wydzielanie ciepła. Większa ilość ciepła zaś zmniejszyła współczynnik tarcia sznura, i grawitacja zaczęła upominać się o swoje.

Wendy zsunęła się jeszcze jakieś dwanaście metrów, kiedy pętle na stopy zaczęły zjeżdżać w dół. Natychmiast przerzuciła ciężar ciała na ręce, ale nagłe szarpnięcie spowodowało, że one również ruszyły w dół.

Zsuwała się po stalowej Unie i niewiele mogła na to poradzić.

Z całych sił zacisnęła dłonie na górnych linkach, ale czuła, że liny zaczynają się już topić i strzępić. Podciągnęła jedną z pętli na stopy, wyginając się w literę U, ale ta lina też już dymiała. Koniec stalowej liny zbliżał się, a ona zjeżdżała z prędkością ponad trzydziestu kilometrów na godzinę.

Przed skruceniem karku uratowało ją kilka rzeczy. Po pierwsze, ten kawałek stalowej liny, który pokonała, nieco zamortyzował szarpnięcie. Po drugie, lina zabezpieczająca była tak zaprojektowana, by wydłużyć się o jedną trzecią, więc ona też pochłonęła nieco energii. Na koniec wreszcie Wendy miała dobrze zrobioną uprząż, która skierowała ową energię wzdłuż jej kręgosłupa, a nie w poprzek.

Nie oznaczało to jednak, że szarpnięcie było przyjemne, ryle tylko, że można było je przeżyć.

Wyrznęła mocno w ścianę. Od roztrzaskania czaszki uchronił ją bark, który wziął na siebie siłę uderzenia. Lewa ręka oczywiście natychmiast przestała do czegokolwiek się nadawać.

Wendy przez chwilę wisiała na kablu i jęczała.

- Wszystko w porządku? - spytała Shari z kryjówki znajdującej się trzy metry wyżej.

- Nie, nic nie jest w porządku - wychrypiała Wendy. - Żyję i... - Poruszyła rękami i nogami. -

Chyba wszystko działa, ale nie powiedziałabym, że to „w porządku”.

- Widziałam na górze Posleena - szepnęła Shari.

- Ten cholerny stwór jest trzysta metrów nad nami, Shari - powiedziała Wendy. - Jeśli mój wrzask nie zwrócił jego uwagi, rozmowa normalnym głosem na pewno nam nie zaszkodzi.

- Nie krzyczałaś.

- Nie? - zdziwiła się Wendy. - Przysięgłabym, że krzyczałam.

- Nie, przeleciałaś w ciszy. Byłam nawet pod wrażeniem. Może klęłaś, ale nie słyszałam.

- Shari? - Wendy podciągnęła się swoją jedyną sprawną ręką i skrzywiła się na widok siniaka od paska.

- Tak?

- Zaczynj wreszcie mnie wciągać, bo, jak Boga kocham, wleżę tam na górę i pożrę twoje serce.

* * *

Elgars spojrzała w obie strony głównego korytarza i ostrożnie wyszła. Migoczący niebieski duszek, który ją prowadził, podskakiwał w powietrzu dokładnie trzy metry przed nią, wskazując drogę do hydroponików.

Korytarz był szeroki i wysoki. Środkiem biegły tory kolejki, a po obu stronach ciągnęły się rzędy wielkich drzwi. Był opuszczony. Elgars od razu zauważyła, że na niższych poziomach Podmieścia było mniej ludzi, ale po najeździe Posleenów cały sektor do reszty się wyludnił.

Poprawiła ciężki toból na plecach i głęboko odetchnęła. Do tej chwili wyprawa była pozbawiona przygód, ale mimo to szarpała nerwy. A waga całej tej broni i amunicji zaczynała ją wyczerpywać; niosła przynajmniej drugie tyle, ile sama ważyła, jeśli nie więcej.

Niezdarnie potruchtała na drugą stronę korytarza - uważając, by używać przejść przez tory kolejki - do siedmiometrowych wrót z napisem „Hydroponiki”. Po prawej stronie zobaczyła normalnej wielkości drzwi otwierane identyfikatorem dłoni. Poprawiła toból na plecach, żeby uwolnić rękę, i przyłożyła dłoń do panelu.

- Nazwisko? - zapytał elektroniczny głos.

- Sandra Ells... - Przerwała i potrząsnęła głową. Poczowała przebiegający jej po plecach zimny dreszcz. - Annie Elgars, kapitan, siły naziemne - powiedziała, dysząc lekko ze zmęczenia.

Drzwi otworzyły się, a wtedy Elgars nachyliła się i wcisnęła w prowadnicę swój bojowy nóż. To były pancerne drzwi - cała ściana była z grubego, wytrzymałego blasplasu - ale piętnaście centymetrów gerberowskiej stali w szczelinie skutecznie je zablokowało.

Wstała i weszła do środka.

Najwyraźniej było to wejście dla obsługi hydroponików. Pomieszczenie było wielkie, miało około dwudziestu metrów długości i grubo ponad dziesięć szerokości. Wzdłuż obu dłuższych ścian stały rzędy szafek, zaś pod przeciwległą ścianą było opuszczone stanowisko ochrony. Szafki były pootwierane, a na stołach leżały porzucane przedmioty, jakby przeprowadzono tu pośpieszną ewakuację.

Elgars zwała toból na najbliższy stół i poprawiła uprząż. Wiedziała, że musi poczekać tutaj na Wendy i Shari, poza tym nie miała pojęcia, co ma ze sobą zrobić. Ponieważ marnowanie czasu w takiej sytuacji zupełnie nie miało sensu, zaczęła wyładować broń i amunicję, szykować uprzężę i

przygotowywać małe plecaki dla starszych dzieci.

Zajął ją to około pięciu minut, a kiedy skończyła, Wendy i Shari wciąż jeszcze nie było. Wiedziała, że są tylko dwa wyjścia z sytuacji. Jeśli Shari i Wendy pojawią się, dopóki będzie w stanie utrzymać drzwi, odejdą stąd razem. Jeśli nie, ona tu zginie. Nie przepadała za dziećmi, nie interesował jej też zupełnie los Shari. Ale Wendy była jej jedyną przyjaciółką. Jeśli ją tu zostawi, będzie odtąd żyła sama, bez wspomnień i bez celu. Nie ma więc po co uciekać. Zresztą wiedziała, że Wendy zrobiłaby to samo dla niej.

Po kilku minutach czekania i patrzenia na drzwi uznała, że nie wykorzystuje należycie czasu, zaczęła więc przeszukiwać otwarte szafki, mając nadzieję znaleźć coś, co mogłoby się przydać.

Natrafiała na kilka batoników, trochę drobnych narzędzi i, co najważniejsze, plan sekcji hydroponików. Nie była pewna, czy duszki będą tu działać; trzymały się raczej głównych tras niż bocznych przejść.

Na końcu rzędu szafek pod prawą ścianą stała skrzynia z kombinezonami ochronnymi i trzy skrzynki z maskami tlenowymi. Elgars wypełniła jeden z kombinezonów najmniejszymi maskami, jakie znalazła, i kilkoma kombinezonami chroniącymi przed niebezpiecznymi odpadami. Skoro obsługa hydroponików miała je na składzie, musi być ku temu powód. Potem wyciągnęła ze skrzynek trzy maski dla dorosłych. Tego typu maski były w stanie filtrować przez piętnaście minut niemal każdą toksynę. Annie podejrzewała, że coś takiego może im się przydać.

Wróciła pod drzwi, gdzie zrzuciła swoje znaleziska, i wyjrzała na korytarz. Wciąż nikogo nie było. Nie była niecierpliwa, lecz tylko świadoma konieczności pośpiechu. Kiedy już miała schować się z powrotem do pomieszczenia, w głębi korytarza usłyszała jazgot ognia z karabinu magnetycznego. A więc Posleeni dotarli tu pierwsi.

Uklękła w drzwiach i wycelowała AIW w stronę wylotu poprzecznego korytarza. W chwili, kiedy pierwszy Posleen pojawił się w zasięgu wzroku, usłyszała głośny trzask po prawej stronie, a potem zobaczyła wywalony fragment ściany oraz wchodzącą w główny korytarz Wendy.

* * *

Wendy zauważyła Elgars w chwili, kiedy szczęką granatnik AIW. Zaklęła i wyciągnęła Billy'ego z dziury w ścianie.

- Biegnij! - powiedziała, wskazując mu drzwi, w których klęczała Elgars.

Chłopiec kiwnął głową i pobiegł na drugą stronę korytarza, trzymając się przejść przez tory.

- Co się dzieje? - spytała Shari, wypychając pozostałe dzieci przez dziurę.

- A jak myślisz? - warknęła Wendy. - Elgars zajęła się zwiadowcami, ale musimy się ruszać.

- Idź tam - powiedziała Shari - a ja je przepchnę. Idź i weź jakąś broń.

* * *

Elgars skinęła głową chłopcu, który wpadł szczupakiem w drzwi.

- Lewa ściana - powiedziała. - Bierz najmniejszy pistolet i trzy pudełka amunicji, a potem ustaw się pod ścianą. Następne dzieciaki zrobią to samo.

Billy podniósł się z podłogi i podbiegł do stołu. Tam złapał glocka i trzy pudełka amunicji kalibru .45.

Tymczasem Elgars skierowała troje następnych dzieci pod ścianę, a potem odsunęła się, aby wpuścić Wendy.

- W samą porę.

- Przepraszam - powiedziała Wendy - ale co ma wisieć, nie utonie.

Dokładnie obmyśliła sobie ten żart, więc zirytowało ją nieco, kiedy Elgars gniewnie się skrzywiła.

- Łap MP-5 - powiedziała kapitan, kiedy nadbiegło kolejne dziecko. - Za chwilę będą z powrotem.

- Nikt tu nie ma poczucia humoru - wrzuciła ramionami Wendy, biorąc pistolet maszynowy i ładując nabój do komory. - Gorzej niż z Duńczykami.

- O czym ty mówisz? - warknęła Elgars.

- Nieważne - odparła Wendy, klękając po drugiej stronie drzwi. Zza rogu wyłonił się pierwszy Posleen. - To ludzka rzecz - dodała, trafiając normalisa w pierś trzema pociskami.

Za nim jednak szło czterech następnych. Pierwszy potknął się o leżące w korytarzu ciało, przez co stał się łatwym celem dla Elgars, ale dwaj pozostali pokonali przeszkodę i wylądowali na samym środku skrzyżowania.

Wendy strzeliła do jednego z nich, kiedy był jeszcze w locie, trafiając go w bok. Strzał stosunkowo małym pociskiem nie był jednak śmiertelny. Normalis obrócił się w miejscu i wystrzelił z karabinu magnetycznego.

Ostatnie z dzieci, Kelly, właśnie biegło do drzwi. Większość pocisków ominęła ją, ale jeden przebił jej łydkę.

Dziewczynka padła na brzuch w kałuży krwi i zaczęła krzyczeć.

Wendy z wściekłym wrzaskiem wywaliła w centauroida cały magazynek, a tymczasem Elgars sprawnie załatwiła ostatniego obcego.

- Skurwysyny! - krzyczała Wendy z nozdrzami rozszerzonymi z gniewu. - Jak ja nienawidzę tych jebanych Posleenów!

- Pomóż mi - wydyszała Shari, wlokąc ranną córkę do środka.

Elgars wyszarpnęła nóż spod drzwi i zamknęła je, szyfrując zamek tak, by wskazywał zagrożenie biochemiczne wewnątrz pomieszczenia. Teraz drzwi można było otworzyć tylko silnymi materiałami wybuchowymi albo kodami nadzorcy.

Wendy wyjęła apteczkę. Najpierw znieczuliła ranę, a potem owinęła ją mocno bandażem, aby zatamować krwawienie.

- Przeszło obok tętnicy - powiedziała, zaciskając opatrunek - ale nie da się na tej nodze chodzić.

- Już dobrze, Kelly. Ćśśś - szeptała Shari, kołysząc wciąż zawodzącą córkę.

Nagle Elgars pochyliła się nad dzieckiem i uderzyła je w twarz otwartą dłonią. - Cicho!

- Niech cię szlag! - krzyknęła Shari i odwróciła się do kapitan. Poczuli przytkniętą do policzka lufę pistoletu.

- Nie mamy czasu - powiedziała zimno Elgars. - Ona musi wstać i iść. I ma to zrobić bez wrzasków. Albo wszyscy umrzemy.

Cofnęła pistolet i schowała go do kabury.

- Teraz bierz karabin i uprząż, musimy iść. I to już.

Shari kiwnęła głową i postawiła cicho popłakującą Kelly na nogi.

- Możesz iść?

- Nie boli - powiedziała cicho Kelly. - Chyba mogą.

- W takim razie wynośmy się stąd - oznajmiła Wendy, zabezpieczając MP-5 z charakterystycznym trzaskiem.

Elgars nagle uświadomiła sobie, że kobieta stała tuż za nią. Odwróciła się i popatrzyła na nią, jednak Wendy odwzajemniła jej tylko chłodne spojrzenie.

Potem podeszła do stołu i popatrzyła na pozostałą broń i amunicję.

- Shari, chodź tu.

Shari wzięła uprząż bojową i zarzuciła ją na ramiona, a potem złapała karabinek szturmowy

steyr systemu bullpup.

- Uzbrajasz go, odciągając tę dźwignię - pokazała jej Wendy. - A tu jest bezpiecznik.

- Rozumiem - odparła zdenerwowana Shari. - Strzelałam już kiedyś, ale nie za dużo.

- Dlatego to ty weźmiesz azot - dodała Wendy, wyciągając pakiet. - Widziałas, jak ja to robiłam. Otwierasz drzwi, my cię osłaniamy i wchodzimy. Będiesz też niosła wszystko, czego nie dadzą rady nieść dzieci, a dzięki temu ja będę mogła szybciej się ruszać.

- Dobrze.

- Billy - powiedziała Elgars - będziesz musiał wziąć więcej amunicji.

- To mały chłopiec - zaprotestowała cicho Shari. - Niesie już wystarczająco dużo.

- Może wziąć więcej - ucięła Elgars. - Możesz?

Chłopiec kiwnął głową i wziął ze stołu dodatkowe pudełka amunicji oraz uprząż.

- Znasz się na magazynkach? - spytała kapitan. - Jeśli tak, to kiedy będzie nam się kończyć amunicja, będziesz ją donosił. I ładował magazynki, jeśli będziesz miał czas. Jasne?

Billy kiwnął głową i uśmiechnął się, po czym wyjął magazynek do AIW i wskazał na karabin.

Elgars odpowiedziała mu uśmiechem i wymieniła swój częściowo opróżniony magazynek na nowy.

- Dobra nasza - stwierdziła Wendy. - Ruszamy.

* * *

Wendy popatrzyła na PDA i na drzwi. Według planu, który znalazła, w tym miejscu powinno być tylko jedno wyjście, a ona widziała dwa.

Znaj dowali się w przetwórni owoców i warzyw produkowanych w hydroponikach; wiele z nich leżało na stosie i już zaczynało gnić. Billy wywąchał pojemnik pełen pudełek z truskawkami i dzieci napchały sobie buzie słodko-kwaśnymi owocami. Od ataku minęły co najmniej trzy godziny, a oni bez przerwy uciekali przed pierwszymi . szeregami Posleenów.

Pomieszczenie przetwórni miało blisko dwadzieścia metrów szerokości i kilkaset długości, i. było zastawione aż do sufitu kuwetami z różnymi roślinami motylkowymi rosnącymi w odżywczych roztworach. Te blisko dopiero kiełkowały, ale w oddali widać było już rozwinięte rośliny i przemieszczających się między nimi w tę i z powrotem automatycznych żniwiarzy.

Nie wiedzieli, którądy mają uciekać, więc skierowali się do strefy załadunku nasion i ziarna. Było tam osiem wind zaopatrzeniowych. Większość prawdopodobnie była już zajęta przez Posleenów. Była tam też winda zbożowa. Gdyby ją uruchomili, mogliby nią wyjechać na powierzchnię. Gdyby się jednak nie udało, Wendy zamierzała skorzystać ze sprzętu wspinaczkowego, choć na pewno trwałoby to dłużej, ale dopóki byliby w szybie, Posleeni nie mogliby ich złapać.

Problem polegał na tym, jak dotrzeć do windy, omijając główne korytarze; dwa razy je przecinali i dwa razy spotykali Posleenów. Musieli więc dostać się do sekcji pompowania odżywk, a potem do przyległego magazynu nasion. Stamtąd do głównej sekcji przyjmowania transportów był już tylko jeden skok. Mogli tam być, i prawdopodobnie już byli, Posleeni, ale to zmartwienie grupa zostawiła sobie na później.

- Co się stało? - spytała Shari, wskazując głową drzwi. - Lewe czy prawe?

- Nie wiem - odpowiedziała Wendy. - Tutaj powinny być tylko jedno.

Przyłożyła dłoń do panelu prawych drzwi, ale nie chciały się, otworzyć, nawet kiedy wystukała kod. Lewe także nawet nie drgnęły.

- Otwórz prawe - zwróciła się do Shari.

Kobieta podeszła do drzwi i ostrożnie wycelowała w sam środek wtryskiwacz ciekłego azotu. Poprzednio ochlapała się, wprawdzie tylko trochę, ale jednak boleśnie, teraz więc miała na sobie

kombinezon ochronny. Lekkie ramexowe kombinezony nie chroniły przed pociskami posleńskich karabinów magnetycznych, jednak radziły sobie z kroplami hiperzimnego płynu.

Drzwi powinny były stwardnieć i pęknąć, ponieważ pamiętające tworzywo nie wytrzymało temperatury ciekłego azotu. A tymczasem ciecz po prostu spłynęła na podłogę i zaczęła gwałtownie parować.

- Odsuń się - ostrzegła Wendy - Można od tego w mgnieniu oka dostać anoksji. Ciekawe, wygląda jak pamiętające tworzywo, ale to jest blasplas.

- Co to znaczy? - spytała niemal bez tchu Shari. Wyprawa zmęczyła ją do cna.

- To znaczy, że ktoś chciał, aby te drzwi wyglądały zupełnie normalnie, ale są nie do przejścia - powiedziała Wendy. - Spróbuj lewych, nie mamy czasu na rozwiązywanie tajemnic.

Drugie drzwi natychmiast zrobiły się szare, a potem białe; tworzywo stwardniało w kriogenicznej kąpieli. Kiedy mgła zaczęła się przerzedzać, Shari podeszła do drzwi, przyłożyła do nich nitownicę i wystrzeliła, roztrzaskując kruchy plastik.

Posleński normals stojący po drugiej stronie spojrział tam, gdzie jeszcze przed chwilą były drzwi, a potem na stojącego przed nim człowieka, i zaczął podnosić w górę miecz borna.

Shari wrzasnęła, wymierzyła w niego wtryskiwacz i strzeliła mu w pysk ciekłym azotem.

Normals wydał z siebie ostry, dziwaczny okrzyk i zatoczył się w tył, a wtedy Wendy wpakowała mu w pierś dwie serie. Pierwsza potrzaskała tylko płaski mostek Posleena, druga za to przeszła serce i obcy osunął się na ziemię, jakby padał przed nimi na kolana.

Wendy omiotła wzrokiem resztę pomieszczenia. O ile mogła się zorientować, było puste.

Rozległa sala była najwyraźniej jakąś mieszalnią; sądząc po zapachu, mieszalnią pożywek. W powietrzu unosił się ciężki smród amoniaku i fosforanów, na podłodze zaś stały wielkie zbiorniki, wysokie na trzy czy cztery metry i szerokie na dziesięć czy dwanaście. Wysoko pod sufitem wisiały wielkie wentylatory. Pomieszczenie było gigantyczne: odległość od ściany do ściany wynosiła co najmniej trzydzieści czy czterdzieści metrów.

Drzwi otwierały się na małą platformę z kratownicy. Między rzędami zbiorników biegła galeryjka, zakończona drugimi drzwiami. W połowie długości przecinała ją druga, poprzeczna, na środku zaś znajdowało się stanowisko obsługi.

Wendy machnęła do pozostałych i pobiegła w tamtą stronę. Ponieważ największym zagrożeniem byli Posleeni z tyłu, kolumnę zamykała Elgars. Wspierał ją Billy, niosący pistolet i zapasowe magazynki. Shari miała zbiornik z azotem oraz torbę z mundurami i maskami tlenowymi, Shannon zaś niosła Amber. Prowadziła Wendy, jako druga po Elgars najbardziej doświadczona w walce i jako jedyna osoba znająca drogę.

Zmęczone dzieci szły tuż za nią. Wyprawa była długa i niezwykle wyczerpująca, ale rozumiwały, dlaczego muszą iść dalej. Od czasu do czasu jedno z dorosłych, najczęściej Wendy, niosło mniejsze dzieci. Grupa zwalniała też tempo marszu, kiedy uznano, że można sobie na to pozwolić, ale dzieci wychowały się w czasach wojny i Posleeni byli ich najgorszymi koszmarami, dlatego były w stanie biec tak długo, aż padłyby ze zmęczenia albo ktoś z dorosłych kazałby im się zatrzymać.

Wendy doszła do miejsca, w którym krzyżowały się obie galeryjki. Zatrzymała się i spojrzała na mapę. Według niej ostatnie „bezpieczne” pomieszczenie znajdowało się za prawymi drzwiami. Podeszła do nich i przyłożyła dłoń do konsoli. Drzwi otworzyły się bez problemów. Wendy zajrzała do środka i rozejrzała się po pomieszczeniu. Zgodnie z tym, co mówiła mapa, był to skład pożywek. Pomachała na pozostałych i zaczęła, aż do niej dołączą.

Kiedy przechodzili przez skrzyżowanie galeryjek, Elgars usłyszała w głębi umysłu jakiś krzyk. Nauczyła się już słuchać tych wewnętrznych głosów, więc stanęła, rozglądając się w poszukiwaniu

zagrożenia, przed którym ją ostrzegaly.

Potem podeszła do konsoli i przyglądając się jej z namysłem, oparła o nią karabin.

Widząc, że Annie odkłada broń, Wendy zaklęła.

- Shari, przeprowadź dzieci na drugą stronę. Zobaczę, co kombinuje kapitan.

- Jasne - odparła ze znużeniem kobieta.

- Odpuść sobie, to długo nie potrwa... - Przerwała i popatrzyła na Elgars. - Mam nadzieję.

Kiedy dotarła do konsoli, w hali rozległ się głośny bulgot, a Elgars właśnie zaczęła wspinać się po drabinie do najbliższego zbiornika, wyciągając swój bojowy nóż.

- Hej, Kapitanie Ameryka - powiedziała Wendy. - Zamierzamy wydostać się stąd, gdybyś o tym zapomniała.

- Wiem, to zajmie tylko chwilkę - odparła Elgars dziwnie niskim głosem. - Może wyszperałybyś mi kawałek drutu i kilka kawałków taśmy klejącej oraz... puszkę farby w sprayu? Proszę, kochanieńka.

- Hej! - zawołała Wendy. - Halo! Annie! Musimy iść! Elgars pokręciła głową i zaczęła wywlekać kable z silnika kadzi.

- Wiem - powiedziała już normalnym, chociaż nieobecny głosem - ale kucyki powinny chyba mieć jakąś niespodziankę, prawda?

- A więc mieszasz dla nich specjalną pożywkę, tak? - spytała z sarkazmem Wendy.

- Niezupełnie. - Elgars wyszczerzyła zęby w okrutnym uśmiechu. - Co jest w pożywkach, Wendy? Pomyśl.

- Och.

- No właśnie. A teraz przynieś mi kawałek drutu i trochę taśmy, kochanieńka.

* * *

- Drut i taśmę - mruczała Wendy, przekładając MP-5 z ręki do ręki. - Skąd ja jej, do cholery, wezmę drut i taśmę?

Jedno i drugie powinna znaleźć w sekcji serwisowej, ale według mapy najbliższa znajdowała się dalej niż windy, a do tego w sektorze, który Posleeni musieli już zająć. Nagle przypomniała sobie, co jej kiedyś powiedział zawodowy strażak. Uśmiechnęła się i spojrzała na mapę. Którymi drzwiami wchodziłby dupek z administracji? Albo tymi, którymi oni weszli, albo przeciwnymi. A więc gdzie można najlepiej schować się przed nim?

Zeszła z galeryjki i zaczęła przeszukiwać halę, aż znalazła to, czego szukała. Przy południowej ścianie, w miejscu najbardziej oddalonym od drzwi, którymi weszli, za ostatnim zbiornikiem, zobaczyła krzesło.

I skrzynkę z narzędziami.

I stos zatłuszczonych szmat, i zwój drutu. I puszkę szarej farby w sprayu, do połowy pełną.

I kalendarz z gołymi dziewczynami.

- Ten przynajmniej miał odrobinę gustu - powiedziała kwaśno. - Chociaż ta laska nie ma pojęcia o trzymaniu karabinu. I jestem pewna, że ma farbowane włosy! Jeśli to jest naturalny blond, to ja jestem Pamela Anderson.

Otworzyła skrzynkę i wzięła z leżącej na wierzchu torebki landrynkę, a potem w dolnej przegródce znalazła taśmę.

- Dobrze, mamy wszystko, co potrzeba - mruknęła, obracając landrynkę językiem. Włożyła do skrzynki drut, zamknęła ją i wzięła puszkę farby. - Teraz muszę tylko wnieść to wszystko po drabinie.

* * *

- Co tak długo? - spytała Elgars.

- Jejku, przepraszam, pani kapitan - warknęła Wendy. - Właśnie znalazłam skrzynkę z narzędziami, która może ci się przydać, i pozostałe pierdoły, które kazałaś mi przynieść. Masz rację, mogłam szybciej targać to ciężkie kurestwo po drabinie! Do tego trochę kiepsko tu się oddycha!

Powietrze, już wcześniej pełne amoniaku, teraz wprost niemożliwie śmierdziało; szczypało w oczy i w nozdrza.

Elgars rzuciła jej maskę tlenową, sama założyła drugą.

- Przepraszam, ale naprawdę potrzebne mi są tylko drut, taśma i farba - powiedziała głosem stłumionym przez maskę. - Mimo to dzięki za resztę. Co się stało z twoją koszulą?

Koszula Wendy wyglądała nie najlepiej, miała wyrwane trzy guziki.

- Zaczepiłam o tę pieprzoną drabinę - warknęła Wendy, patrząc na swoje ubranie. - Myślałam, czy nie skleić tego taśmą, ale to by było za bardzo wieśniackie.

- Lepiej, żeby nie usłyszał tego Papa O'Neal - parsknęła śmiechem Elgars.

- Znów normalnie mówisz - zauważyła Wendy, otwierając skrzynkę i rzucając jej cukierka. - Wystraszyłaś mnie.

Dopasowała dokładnie maskę, ale mimo to wciąż czuła słaby zapach amoniaku.

- A jak mówiłam? - spytała kapitan. Obrąła z izolacji główny kabel zasilający jeden ze zbiorników i przeciągnęła go pod kładką do drugiego. Potem wzięła puszkę z farbą i przykleiła do niej taśmą tryfazowy przewód.

- Jakby... z brytyjskim akcentem. Wiesz, „kochanieńka” i tak dalej.

- Przypominam sobie - przyznała Elgars. - To wszystko po prostu nagle do mnie przychodzi. Lekarze chyba mieli rację. Kraby wszczepiły mi... nie tylko umiejętności, ale także „wspomnienia”. Jeśli sięgam po któryś z moich talentów, związana z nim osobowość też wypływa na wierzch. Kiedy przez chwilę korzystam z tej umiejętności, przyzwyczajam się do niej i osobowość znika. Czasami przypominają mi się nawet prawdziwe rzeczy. Czasem przez chwilę nawet jestem kimś innym. Możliwe, że dali mi moje umiejętności wraz z jedną osobowością, i to ona przez jakiś czas jest na wierzchu.

- A więc kim naprawdę jesteś? - spytała Wendy.

- Nie wiem - odparła cicho Elgars. - Ale na razie niech będzie tak, jak jest. To lepsze niż dać się pożreć Posleenom.

Wendy kiwnęła głową, a potem szeroko się uśmiechnęła.

- A więc jesteś medium dla ducha brytyjskiego saperso-wariata? Znasz jakieś dobre pijackie przyspiewki? Brytyjczycy zazwyczaj znają i eh dużo...

Elgars zaśmiała się i wróciła do głównej tablicy rozdzielczej.

- Dobrze, że chociaż ty widzisz w tym coś śmiesznego.

- To tylko kwestia tego, żeby dostrzegać jasną stronę każdej popieprzonej sytuacji. - Wendy stłumia śmiech. - Na początku nie wiedziałam, jak to robić, zupełnie nie umiałam zrozumieć, jak Tommy może się czuć tak... swobodnie we Fredericksburgu. Przecież mieliśmy zostać wysadzeni w powietrze albo zabici i zjedzeni. To dlatego, że cała reszta przez lata chowała przed Posleenami głowę w piasek. A on całymi latami zastanawiał się, jak to będzie z nimi walczyć, jak to będzie zostać przez nich pokonanym. I kiedy już co do czego przyszło, on po prostu robił to, co trzeba, a ja biegałam w kółko jak kurczak bez głowy, zamartwiałam się, płakałam i nie było ze mnie żadnego pożytku.

- Ciężko mi w to uwierzyć - powiedziała Elgars, Odcięła zasilanie zbiornika, do którego pociągnęła kable, a potem ostrożnie wskoczyła na ramię wirnika i machnięciem ręki wskazała kable.

- Podaj mi je, dobrze?

- Jasne - odparła Wendy, wyciągając w jej stronę pęk przewodów. - Tak naprawdę różnica polega teraz na tym, że większość z nas zastanawiała się przez lata, co tu może się stać. Och, oczywiście byli tacy, którzy uważali, że Posleeni nigdy nie nadejdą, tak samo jak tacy, którzy zamierzali wtedy spać tak, żeby niczego nie zauważyć. Ale większość z nas zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji i zastanawiała się, co wtedy zrobić. Plany ograniczały się do „udać się do najbliższego punktu obrony i utrzymać go do nadejścia posiłków”, ale to było myślenie życzeniowe. Posleeni za godzinę czy dwie zniszczą wszystkie punkty oporu. Nie ma mowy, żeby wojsko zdążyło się tu przebić, zanim wszyscy trafimy na talerze.

- Taki miałas plan od samego początku? - Elgars ostrożnie przechyliła się przez krawędź zbiornika i wcisnęła kable wraz z puszką farby w amoniakową breję.

- Nie - odparła Wendy z westchnieniem, ledwie słyszalnym przez warkot pozostałych silników. Masa na dnie zbiornika składała się głównie z bezwodnego amoniaku i była gęstsza niż surowe ciasto. Silniki były przeznaczone do mieszania cieczy, i chociaż wyposażono je w trzydziestoprocentowy nadmiar mocy, szybko zbliżały się do momentu, w którym mogły strzelić bezpieczniki. - Zamierzałam dostać się do załóg awaryjnych. Byłyby w pierwszej linii i odpierały Posleenów najdłużej, jak się da. Ale ten plan zakładał, że dostaniemy jakieś ostrzeżenie. Nie wiem, dlaczego tak się nie stało.

- A więc punkty oporu mogą utrzymać się najwyżej... Ile? - spytała Elgars, wycierając rękawice szmatą i przeskakując z powrotem na kładkę. Potem wróciła do centralnej konsoli i zaczęła wyłączać pompy.

- Trzy do sześciu godzin. Na tyle ocenia się czas potrzebny Posleenom do wyeliminowania dziewięćdziesięciu procent oporu. Oczywiście nikt nie mówił tego głośno, ale widziałam te szacunki.

Włączyła terminal informacyjny i weszła w bazę danych. Musiała dwa razy wpisać hasło, ale w końcu znalazła właściwy plik.

- Dwie godziny po zredukowaniu pierwszej linii obrony, czyli sił bezpieczeństwa w sekcji A, dziewięćdziesiąt procent populacji zginie - zacytowała fragment dokumentu. - A w ciągu kolejnych sześciu godzin liczba zabitych wzrośnie do dziewięćdziesięciu ośmiu procent.

- W takim razie chyba należymy do tych dwóch procent - powiedziała Elgars.

- To trochę pesymistyczne założenie, ale można to sprawdzić.

Włączyła plan Podmieścia, a potem otworzyła bazę danych służb awaryjnych.

- Zastanawiałam się, jak możemy się dowiedzieć, gdzie są Posleeni. W końcu uświadomiłam sobie, że możemy ich śledzić po sygnałach alarmowych. - Włączyła zapis alarmów i naniosiła je na plan. - Uciekamy od czterech i pół godziny. Penetracja nastąpiła jakieś pięć godzin temu, jak sądzę. - Przewinęła plan pięć godzin wstecz. - Widzisz te czerwone kropki? To alarmy. Jest ich sporo wokół wejść, potem się rozdzielają. - Przewinęła plan do przodu i Elgars zobaczyła, o co jej chodzi. Czerwone kropki posuwały się przez jakiś czas wyraźnie zarysowanym frontem, a potem zaczęły się rozpraszać na wszystkie strony.

- Widzisz, że jest coraz mniej ludzi, którzy mogą włączać alarmy - powiedziała beznamiętnie Wendy. - Tu widzisz stan dwie godziny po wejściu. Wtedy my schodziliśmy już na dół. Stołówka B-3 była już objęta perymetrem Posleenów. Dave już nie żył, a może zginął trochę później. - Przewinęła plan jeszcze trochę. Czerwone kropki były teraz rozsiane. - W tym momencie prawie wszystkie zamieszkane rejony zostały zajęte, a Posleeni weszli do sektorów przemysłowych. Tam nie mamy ich jak śledzić, bo nie było już nikogo, kto by uruchamiał alarmy.

- A więc za cztery godziny? - powiedziała Elgars, stukając w klawisze swojej konsoli.

- Prawdopodobnie około trzech czy czterech tysięcy ludzi przeżyło i chowa się w różnych

miejskach, bez możliwości ucieczki - powiedziała zimno Wendy. - Z początkowych dwóch milionów.

- I nie wydostaną się stąd, tak? - Kapitan spojrzała na nią ostro. - Są już praktycznie martwi.

- Tak - kiwnęła głową Wendy. - Siły naziemne nie wkroczyły, nie zareagowały, i Posleeni zajmą całkowicie miasto. Może uchowa się jakaś Newt czy dwie, ale praktycznie to wszystko są już chodzące trupy.

Elgars kiwnęła głową i wcisnęła „enter”.

- Pora stąd iść.

- Sześć godzin? - spytała Wendy.

- Aha. - Kapitan obejrzała się. - Zakładając, że zadziała. Ale nie powinniśmy się ociągać.

- Skończyłyście? - spytała Shari. Ona też założyła maskę tlenową. Głos miała stłumiony i poirytowany.

- Mogłybyśmy założyć jakiś obwód awaryjny - powiedziała Wendy - bo nie wiem, czy to wystarczy. Czego użyłaś zamiast oleju napędowego?

- Oleju kukurydzianego - odparła nieobecny tonem Elgars. - Przydałby mi się cholerny plastik - dodała, pocierając podbródek. - Dopiero bym drani urządziła.

- Musimy iść - powiedziała z naciskiem Shari. - Co wy robicie?

- Wysadzamy Podmieście - odparła Wendy.

Niedaleko Cowee, Północna Karolina,

Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

23:37 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,

sobota, 26 września 2009

- Wyjazd stąd zapowiada się interesująco - powiedział major Mitchell.

- Poważnie, sir? - Pruitt badał okolicę niezależnym peryskopem. - A jak się stąd wydostaniemy?

SheVa pojechała w dół rzeki Little Tennessee do miejsca, gdzie wpadał do niej Cader Creek, potem zaś skręciła w dolinę, do punktu spotkania z konwojem uzupełniającym w Cader Fork. Ekipa załadunkowa miała pełne ręce roboty, a zapasowi kierowcy pomagali chorążemu Indy naprawić część uszkodzeń odniesionych pod ostrzałem.

- To znaczy inaczej niż wracając do Tennessee? - spytał Mitchell.

- Tak, sir - odparł cierpliwie działonowy. Czołg zadygotał przy załadunku kolejnego pocisku. Dotarła do nich wiadomość, że Posleeni przeskoczyli do Oak Grove, a więc są po obu stronach wylotu doliny, o ile już nie posuwają się w głąb. Major Mitchell rozkazał Bachorom zająć pozycje z tamtej strony, żeby nie zostali zaskoczeni przy załadunku. - Mam wrażenie, że kiedy tam wrócimy, będzie my trochę za bardzo popularni, jeśli pan wie, o co mi chodzi.

- Majorze! - zgłosiła się Indy. - Mamy towarzystwo.

- Cholera! - zaklął Pruitt, obracając celownikiem. - Nie przy załadunku! Gdzie? Namiar!

- Nie, to naprawdę towarzystwo - zaśmiała się nerwowo Indy, wychodząc z wjazdu. - Zdejmij palec ze spustu, zanim zdradzisz naszą pozycję.

Za nią z otworu wyszła niska, muskularna kapitan. Mitchell uśmiechnął się, widząc na jej mundurze oznaczenia artylerii przeciwlotniczej.

- Whisky Trzy Pięć, jak sądzę - powiedział, wyciągając rękę.

- Kapitan Vickie Chan, sir - przedstawiła się kobieta, ściskając ego dłoń.

- Dziękuję za pomoc, pani kapitan - powiedział dowódca SheVy. - Myślałem, że już po nas.

- Pani kapitan, muszę mieć taki czołg - zawołał Pruitt, obracając się do niej w fotelu. - Są niesamowite. No, nie aż tak niesamowite jak Bun-Bun, ale cholernie niezłe.

- Możecie je wziąć - zaśmiała się kapitan. - Nie macie pojęcia, jak to jest z nich strzelać.

- Źle? - spytał Mitchell.

- Mało powiedziane, sir - odparła z uśmiechem Chan. - Powiedzmy po prostu, że z reguły czekamy, aż naprawdę nie mamy innego wyjścia i musimy strzelić. Jaki mamy plan?

- Niestety, obawiam się, że musimy jechać tam - powiedział major, wskazując na widoczne na monitorze góry. - Przyjrzałem się mapie. Tam jest jeszcze gorzej niż to wygląda na ekranie.

- Przecież to prawie pionowa ściana, sir - powiedziała z wahaniem dowódca Bachorów. - Bachory poradziłyby sobie chyba z kątem nachylenia, ale tam rosną drzewa, a z nimi już sobie nie poradzimy. A SheVa nie jest trochę za wywrotna na te zbocza? Nie mówiąc o tym, że... za szeroka?

- Myślę, że będziemy musieli to sprawdzić. Wytyczyłem trasę, którą możemy pojechać: przez Chestnut i Betty Gap, wzdłuż Betty Creek. Nie będzie łatwo ani przyjemnie, bo stromizny, zwłaszcza za Panther Knob, będą wyjątkowym koszmarem, ale powinniśmy się tam zmieścić. Według map nachylenie terenu nigdzie nie przekracza trzydziestu stopni. Wbrew temu, co może się wydawać, z pełnym magazynem amunicji środek ciężkości będziemy mieli dość nisko. Myślę, że powinniśmy dać radę.

- A jeśli nie?

- Cóż, jeśli zawrócimy, na pewno wpadniemy na Posleenów. A jeśli pojedziemy... w górę, jest kilka możliwych złych zakończeń. Na przykład nie wiemy, czy w Betty Creek nie ma dużych sił Posleenów. Ale to jedyna droga, na której nie grozi nam natychmiastowa śmierć. Jeśli Posleeni są w Betty Creek, ale nie są to duże siły...

Uśmiechnął się złowrogo.

- A pana jednostki uzupełnień? - spytała kapitan, wskazując kciukiem za siebie. - I my, skoro już o tym mowa?

- Update'owałem mapę - powiedział major, podając jej kartę flash. - Ma pani...

- Mam moduł map - odparła z uśmiechem, wyciągając czytnik i wkładając do niego kartę. -

Mamy wszystkie nowoczesne udogodnienia.

- Pojedźcie do Mica City i przez Bushy Fork Gap, tam są jakieś drogi. Na mapie trasa oznaczona jest jako przejezdna dla moich ciężarówek, a pani czołgi...

- Są ciężkie jak cholera.

- Tak. W kilku miejscach nie mam pewności, czy dacie sobie radę. Mówię szczerze. Jeśli zakopiecie się na dobre, proponuję przesiąść się na nasze ciężarówki. Ale mam nadzieję, że spotkamy się po drugiej stronie. Bóg mi świadkiem, potrzebna nam wasza pomoc.

- Moglibyśmy pojechać inną trasą - powiedziała Chan, przewijając mapę. - Naprawdę nie sądzę, żebyśmy dali radę przedrzeć się tą drogą.

- Zgoda - westchnął Mitchell. - Ale nie widzę innego wyjścia z doliny.

- A ja widzę - uśmiechnęła się kapitan. - Pojedziemy za wami.

- Eee,... - zająknął się major. - My...

- Robicie cholerny bałagan - dokończyła Chan. - Wiem, przecież przyjechaliśmy tu za wami. Ale rozgniatacie wszystko na płasko, nawet kikuty drzew zamieniacie w trociny. Dla większości pojazdów to jest nieprzejezdna droga, ale abramsy dają sobie radę w takim terenie. Więc po prostu pojedziemy za wami.

- Dobra - powiedział major. - To już jakiś plan.

* * *

- No, nie ma to jak dobry plan - powiedziała kwaśno Kitteket. Humvee stał na skraju urwiska, którego nie było na mapach.

Aż do tego miejsca droga była ciężka. Prowadziła leśną przecinką, do tego nie karczowaną od lat, na pewno od początku wojny. Już wtedy przecinka nie była najwygodniejsza, a teraz wymyte doły i zwalone pnie jeszcze bardziej utrudniały przejazd. Jednak urwisko przebiło wszystko.

- Bez takich uwag, specjalisto - powiedział major, znów patrząc na mapę. - To z całą pewnością nie jest to, co powinno tutaj być. A raczej tego, co powinno tu być, nie ma.

- Wszystko jedno, musimy znaleźć jakieś miejsce, które w ogóle jest na mapie - zrzędziła Kitteket.

Major sięgnął do teczki i wyjął stamtąd buteleczką z pigułkami.

- Proszę jedną wziąć - powiedział, podając kobiecie.

- Co to jest?

- Provigil - odparł i sam łyknął tabletkę. - Robi się późno, mamy za sobą ciężki dzień i wszyscy jesteśmy zmęczeni, prawda?

- Prawda - powiedziała Kitteket, też biorąc jedną.

- Już nie. Nie czytała pani nigdy o provigilu?

- Nie. Słyszałam tę nazwę, ale nie wiem, co to jest.

- Usuwa zmęczenie - powiedział major. - To nie jest środek pobudzający, tylko coś w rodzaju przeciwności środka nasennego. Nie chce się po nim spać. Jutro, zakładając, że nie będziemy mieli okazji się przespać - a wszystko na to wskazuje - rozdram środki pobudzające, a one poprawią nam prędkość kojarzenia. Będziemy prawie jak nowi. Do momentu, kiedy nie zaczną nas oblaźić pajaki.

Znów spojrział na mapę i zasepił się.

- Jeśli wycofamy się i pojedziemy w górę, jest tam druga droga, prowadząca wzdłuż grzbietu do Betty Gap. Powinna być przejezdna.

- O ile w ogóle tam jest - mruknęła Kitteket, wrzucając wsteczny.

- O, wy małej wiary - powiedział major, siadając wygodnie. - Mogłoby być gorzej, mogłoby być o wiele gorzej.

- Czyżby? - spytała z sarkazmem.

- Niech mi pani zaufa - odparł, wskazując odznakę Sześciuset na swojej piersi. - yłem, widziałem...

* * *

- Co robicie? - pytają Shari. - Odbito wam

- No, nie wiem, czy komukolwiek o tym opowiem - odparła Wendy. - zakładając, że wyjdziemy stąd żywi. Ale nie, nie odbiło nam.

- Musiało wam odbić - powiedziała gniewnie Shari, rozglądając się po hali. - Nie możecie tego wysadzić! W całym Podmieściu są ludzie!

- Odbicie Podmieścia Rochester trwało cztery lata - przypomniała Wendy. - Ocenia się, że po dwóch tygodniach pozostanie przy życiu niecałe dwieście osób, a ja uważam, że to i tak zawyżona ocena. Według mnie nie dwieście, tylko dwie. Porównaj to ze stratami Posleenów, jeśli zwali się na nich cały kompleks; już w tej chwili jest ich tu pewnie z pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt tysięcy.

- I tak nie możecie wysadzić całego miasta - odparowała Shari. - Jest zaprojektowane tak, że wytrzyma wybuch atomowy!

- Ale wybuch na zewnątrz, kochanieńka - powiedziała Elgars. - Wsporniki nie wytrzymają uszkodzeń. Poza tym od takiej bomby wybuchną pożary, dużo pożarów. Jeśli nie spalą wszystkich Posleenów, osłabią wsporniki i wszystko się zawali.

Shari spojrzała na nią podejrzliwie.

- Jakiej bomby? Od kiedy ty mówisz z brytyjskim akcentem?

- Annie jest medium Brytyjczyka - powiedziała Wendy. - Prawdopodobnie jakiegoś eksperta od materiałów wybuchowych. A bombami są wszystkie kadzie; każda jest pełna wybuchowej mieszanki azotanu amonu z olejem napędowym.

- Wygląda to jak... szara maź - powiedziała Shari.

- Spokojna głowa, to bomba oznajmiła Wendy. - Wystarczająco duża, żeby roznieść całe Podmieście i wszystkich Posleenów, którzy tam są.

- I wszystkich ocalałych ludzi - dodała Shari.

- I wszystkich ocalałych ludzi - przytaknęła Wendy.

- To chore.

- Nie, to wojna - odparła zimno dziewczyna. - Pamiętasz, skąd przyjechałyśmy?

- Ja przeżyłam Fredericksburg - warknęła Shari. - Tak samo tutaj przeżyją jacyś ludzie! Ale nie uda im się, jeżeli odpalicie tę bombę!

- We Fredericksburgu najważniejsze było to, że mocno utarliśmy Posleenom nosa! - odwarknęła Wendy. - Od tamtej pory wiedzieli, że możemy i że będziemy przy każdej sposobności im dopieprzać! Tutaj możemy odciąć łeb ich natarciu i wyeliminować sporą część ich wojsk. A to jest

warte ofiar. Na wojnie giną ludzie. Dobrzy i źli. Gdybym uważała, że większość z nich przeżyje, nie zdetonowałabym bomby. Ale oni wszyscy zginą w tych korytarzach i zostaną przerobieni na karmę. Nie. Nie pozwolę na to.

- A więc zostaniesz tu i dasz się wysadzić? - spytała gorzko Shari.

- Nie ma mowy! - odparła Wendy. - Zamierzam wynieść się stąd w cholere, jeśli dam radę. I zabrać ze sobą ciebie i dzieci! Nastawiłyśmy bombę na sześć godzin...

- Około czterech minut temu - wtrąciła Elgars, patrząc na wyświetlacze. - Więc proponuję, żebyście obie szybko się dogadały.

- Cholera - powiedziała cicho Shari. - Dobrze, dobrze, chodźmy. - Spojrzała w górę, na resztę Podmieścia. - Przykro mi.

- Mnie jest przykro, że nie zginęłam w sekcji A - powiedziała Wendy, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Tak by było... prościej. Ale przypieprzymy Posleenom, i to się liczy.

- Słuchajcie, możecie sobie tutaj dyskutować do usranej śmierci - powiedziała Elgars, ruszając do drzwi - ale ja spadam.

- Zgoda. - Wendy poszła za nią. - Zgoda.

Shari jeszcze raz spojrzała na pulpit, a potem odwróciła się, by ruszyć za nimi, kiedy otworzyły się północne drzwi.

Posleeński normals jednym spojrzeniem objął trzy kobiety, a potem zaczął biec w ich stronę kołysząc się kładką, ściągając z grzbietu karabin magnetyczny.

Wendy odwróciła się i z krzykiem wycelowwała w niego MP-5.

- NIE! - wrzasnęła Elgars, wrywając jej pistolet maszynowy. - Wysadzisz nas w powietrze!

- Żryj azot, dupku! - krzyknęła Shari, tryskając strumieniem ciekłego azotu na kładkę i Posleena.

Obcy zatrzymał się i popatrzył na lecącą łukiem ciecz. Wydawał się nie rozumieć, po co thresh spryskuje kładkę białym płynem. Ta po chwili rozpadła się pod jego ciężarem i wojownik runął w dół, do zbiornika amoniaku, wypuszczając w locie serię pocisków.

- A niech to - powiedziała Wendy, podnosząc się z ziemi. - O cholera, Shari.

Shari leżała na plecach i obiema rękami trzymała się za brzuch; krew przeciekała przez kratę kładki na podłogę w dole.

Wendy podeszła do niej i obróciła ją na brzuch, odsłaniając wielką ranę wylotową po magnetycznym pocisku.

- Aaa! - zawyła z bólu kobieta. - O, Boże, Wendy! Nie czuję nic od pasa w dół!

- To dlatego, że kula przeszła przez kręgosłup - powiedziała ze smutkiem Wendy. Przyłożyła opatrunek i pomachała na Elgars. - Przyciśnij to.

- Musimy już iść - powiedziała kapitan, dociskając bandaż.

- Tak - odparła Wendy. - I pójdziemy, za chwilę.

Rozpakowała iniektor z hiberzyną i przyłożyła go do szyi Shari.

- Co to jest?

- Hiberzyna. Nie mogę cię ruszyć, kiedy jesteś przytomna.

- Nie chcę zasypiać - wyjęczała Shari. - Dzieci mnie potrzebują.

- Ale nie potrzebują ciebie z wielką dziurą na wylot - powiedziała Elgars. - Nie pomożesz im, krzycząc za każdym razem, kiedy cię poruszymy.

- Jesteśmy już prawie w windzie - powiedziała z rozpaczą Wendy. - Wyniesiemy cię, nie będzie tak trudno wynieść cię na górę.

- O Boże - jęknęła Shari. Jej usta zsiniały, zaczęło jej się robić zimno. - Nie mogę teraz umrzeć.

- Nie umrzesz - obiecała Wendy. Przycisnęła iniektor do jej szyi i patrzyła, jak kobieta staje się

coraz bardziej bezwładna. Niemal od razu jej twarz nabrała kolorów; to nanyty skierowały krew do mózgu.

- Dobra, idziemy - powiedziała Elgars.

- Pieprzę - odparła Wendy. - Musimy znaleźć lecznicę i nosze. - Wyjęła pakiet medyczny, a z niego kilka klamer. - Jeśli uda mi się chociaż trochę ją połatać, hiberzyna pomoże jej nie wykrwawić się po drodze.

- Nie możesz jej operować! - warknęła Elgars. - Mamy sześć godzin, żeby się stąd wynieść, albo wszyscy zamienimy się w galarete! Musimy iść.

- NIE ZOSTAWIMY JEJ! - wrzasnęła Wendy, zrywając się na nogi i przysuwając twarz niemal do samej twarzy kapitan. - NIE! ROZUMIESZ?!

Elgars nie przestraszyła się, nie odwróciła wzroku, ale po chwili cofnęła się.

- Większość zakładów medycznych klasy jeden była tam, gdzie byli ludzie. Niewiele możemy zrobić, chyba że kończyłaś wieczorowy kurs internisty urazowego.

- Możemy ustabilizować jej stan - powiedziała Wendy, wskazując machnięciem ręki konsolę. - Znajdź lecznicę, w której nie było by pełno Posleenów.

- To niemożliwe - odparła Elgars, kręcąc głową. Mimo to wystukała żądanie informacji o najbliższej, w pełni wyposażonej lecznicy. Baza danych zażądała od niej podania nazwiska i hasła, i kiedy Elgars podała jedno i drugie, dowiedziała się, że niecałe trzy kwadranty dalej znajduje się lecznica klasy jeden. Według mapy mieściła się w ścianie głównego sektora.

- Mamy lecznicę tuż obok - powiedziała Elgars. - Te drzwi, których nie było na mapie, prowadzą właśnie do lecznicy.

- W takim razie mamy przejebane - zakląła Wendy. - Nie możemy ich otworzyć.

- Cofnijmy się - zaproponowała Elgars. - Może coś wymyślę.

- Co?

- Nie wiem. Powiem „Sezamie, otwórz się” albo coś takiego.

- Dobrze, idź po dzieci - powiedziała Wendy. - Ja zacznę ją nieść.

- Świetnie. Wysyłasz mnie po dzieci.

- Mnie by nie posłuchały. - Wendy podniosła Shari chwytem strażaka. - Ufff, chyba dojdiesz tam przede mną.

* * *

Kiedy Wendy wniosła Shari do hali ze zbiornikami, drzwi właśnie się otworzyły.

- Jak to zrobiłaś? - spytała. Zasapała się i spociała; to był ciężki dzień.

- Położyłam rękę na panelu - wzruszyła ramionami Elgars. - Jestem żołnierzem, może one otwierają się tylko przed wojskowymi.

W pomieszczeniu po drugiej stronie drzwi były rzędy szafek, a na drugim końcu coś, co wyglądało jak śluza powietrzna.

- Pytałaś o lecznicę, tak? - spytała Wendy. Pomieszczenie przypominało raczej wejście do serwerowni.

- Tak - odparła Elgars, prowadząc dzieci do drugich drzwi. One też otworzyły się pod dotykiem jej dłoni. - Tędy. Mapa pokazywała jakąś krętą drogę, zobaczymy, co to oznacza.

Wszyscy stłoczyli się w śluzie i kapitan otworzyła następne przejście.

Światło ze śluzy padło na przeciwległą ścianą i Elgars poczuła dreszcz niemal zabobonnego strachu. Ściana była oczywiście sztuczna, ale wyglądała, jakby była wykonana z materii organicznej, a tunel skracający w prawo mało przyjemnie kojarzył się z wnętrzem jelita. Purpurowego jelita.

W oddali coś bulgotało, ale nie tak, jak bulgocze źródółko czy fontanna, lecz raczej na

podobieństwo pracującego żołądka. Z bliższej odległości dobiegało wysokie, ostre pogwizdywanie. Powietrze pachniało dziwnie i obco, kwaśną słodyczą, która sugerowała, że nie znajdują się już w naturalnym środowisku człowieka.

- A to dopiero - mruknęła Wendy.

* * *

Elgars zważyła w rękach karabin i rozejrzała się po purpurowym tunelu.

- Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba.

Wendy poprawiła bezwładne ciało Shari i na tyle, na ile mogła, wzruszyła ramionami.

- Nie obchodzi mnie, czy ci się tu podoba. Gdzieś tu jest lecznica i musimy ją znaleźć.

- Gdzie jest terminal informacyjny? - zapytała raczej retorycznie Elgars.

- Potrzebuje pani informacji, kapitan Elgars? - Głos dobiegał wprost ze ściany.

Elgars oderwała od swojego munduru rączkę jednego z dzieci i rozejrzała się.

- Kto pyta?

- Mówi SI tej placówki, pani kapitan - odparł głos. - Potrzebuje pani pomocy?

- Mamy rannego - powiedziała Wendy. - Potrzebna nam pomoc medyczna.

Nie było odpowiedzi.

Elgars popatrzyła na Wendy i wzruszyła ramionami.

- Mamy pacjenta, potrzebna nam pomoc medyczna - powtórzyła.

- Proszą iść za duszkiem - rzekła SI i w powietrzu pojawił się jeden z niebieskich świecących mikrytów. - Zaprowadzi panią do lecznicy.

Grupa ruszyła za duszkiem. Ostre gwizdy i bulgotanie w krętym korytarzu nie cichło ani nawet się nie zmieniało, ale w miejscu, do którego akurat się zbliżali, robiło się jaśniej; przed nimi i za nimi światło przygasało.

Mijali niskie, przeważnie puste pomieszczenia, W kilku z nich stały niskie stołki albo kżały zadziwiająco podobne do muchomorów poduszki, w jednym zaś była niska ława i stół, które wyglądały, jakby były przeznaczone dla dzieci. Po obu stronach było też sporo pomarszczonych odcinków ścian, które mogły być zamkniętymi przejściami do innych pomieszczeń albo po prostu dziwną, architekturą wnętrza.

W końcu dotarli do nieco wyższej niż pozostałe sali. Na środku było niewielkie podwyższenie, na nim zaś stało coś na kształt przykrytego szkłem ołtarza.

- Proszę umieścić pacjenta w komorze - rozległ się dźwięczny głos SI, a duszek zamigotał i zniknął. Pokrywa komory jakby rozplynęła się; nie odsunęła się ani nie złożyła, jak zrobiłby to pamiętający plastik.

- Co się z nią stanie? - spytała Wendy.

- SI, odpowiedz na to pytanie, proszę - powiedziała niecierpliwie Elgars. - I na wszystkie inne pytania tej osoby.

- Nanokomora naprawi pacjenta - odparła SI. - Do wyboru jest leczenie, leczenie i odmłodzenie albo pełny upgrade.

Wendy powoli położyła Shari na ołtarzu.

- Komputer, na czym polega pełny upgrade? - spytała.

- Pacjent zostanie obdarzony nanomatycznie wspomaganą muskulaturą i strukturą kostną oraz możliwością szybkiego leczenia - odparła beznamyślnie SI. - A także wszczepią mu umiejętności bojowe.

- O cholera - powiedziała Elgars. - Komputer, dlaczego ja mam dostęp do tej placówki? Czy dlatego, że jestem oficerem?

- Nie, pani kapitan. Dlatego, że jest pani pacjentem w trakcie terapii.

- O Jezus Chryste - powiedziała Wendy. - Ile trwa leczenie?

- Uleczenie wykrytych uszkodzeń potrwa około dziesięciu minut. Pełny upgrade około piętnastu.

- Sukinsyny, sukinsyny, sukinsyny - wymamrotała Wendy. - SUKINSYNY!

- To cały czas tu było - stwierdziła gorzko Elgars.

- Mogli w każdej chwili wyleczyć Davida.

- Albo odmłodzić starców.

- „Wymagałoby to miesięcy w kadziach regeneracyjnych” - zacytowała rozzalona Wendy. -

Pytanie brzmi, czy Shari chce mieć cudze wspomnienia.

- Od czasu doświadczenia z kapitan Elgars system został ulepszony - odpowiedział radośnie komputer. - Pamięć drugorzędna i skutki osobowościowe zostały znacznie ograniczone. Zresztą w przypadku kapitan Elgars wszczęcie pełnego rdzenia osobowości było konieczne ze względu na całkowitą utratę pierwotnej funkcji.

- Powiedz to po ludzku - warknęła Elgars.

- Annie Elgars nie istniała, była martwa. Wskutek rozległych uszkodzeń mózgu nieodzwone okazało się skasowanie wszystkich jego funkcji z wyjątkiem tyłomózgowia i załadowanie od nowa rdzenia osobowości pacjenta, który nie odniósł znaczących obrażeń natury neurologicznej.

- Niech to szlag - powiedziała cicho Elgars, siadając na podłodze. - Kto to był?

- Ta placówka nie dysponuje taką informacją - odparł komputer. - Część rdzeni osobowości przywieźli na Ziemię Tchptch, inne zostały zebrane na Ziemi.

- Komputer - rozkazała Wendy. - Pełny upgrade.

- To polecenie musi wydać kapitan Elgars.

- Zgadza się - szepnęła Elgars. - Zrób to.

W tym momencie pokrywa zamknęła się i zrobiła nieprzezroczysta, zasłaniając ciężko ranną kobietę.

- Annie. - Wendy usiadła obok Elgars i objęła ją ramieniem. - Nie przejmuj się tak. Uratowali cię, i to jedyne, co się liczy.

- Kim ja jestem? - odparła kapitan. - Skurwysyny, nawet nie powiedzieli moim lekarzom. Nic dziwnego, że uważali mnie za czubka. Ja jestem czubkiem.

- Oczywiście, że nie powiedzieli twoim lekarzom, bo musieliby im powiedzieć o tej placówce. I wcale nie jesteś czubkiem. Wszyscy mamy w sobie wielu różnych „ludzi”, Po prostu nie ujawniamy ich wszystkich na raz.

- Jasne, ale to tylko tak się mówi - powiedziała Elgars. - Ja na prawdę jestem wieloma ludźmi. Jak... Frankenstein albo dziewczyna-szmacianka.

- Ja widzę to inaczej - sprzeciwiła się Wendy. - Wydajesz się... ujawniać niektóre osobowości, a potem one znikają, Mówisz już prawie bez akcentu. To pewnie tłumaczy twoje problemy z wymową; nie mogłaś zdecydować się, który akcent jest naprawdę twój. Ostatnio wydajesz się... jakby pełniejsza. Myślę, że w końcu wszystko się ułoży. Będiesz... po prostu Annie Elgars, ale... - prychnęła - „upgrade’owaną”.

- Myślałam, że jestem silna z natury - powiedziała kapitan, napinając mięśnie. - A tymczasem to wszystko naniy.

- I ćwiczenia - poprawiła ją Wendy. - Moim zdaniem masz jakby... lepszy start. Ale dalej musisz radzić sobie sama.

Spojrzała na grupę dzieci i pokręciła głową.

- Wydostaniemy się stąd, dzieci. Wszyscy razem.

- Czy mama wyzdrowieje? - spytała przez łyzy Kelly. Po dość surowym potraktowaniu przez Elgars dzieci szły bez słowa skargi.

- Według komputera powinna być jak nowa - powiedziała Wendy, biorąc ją na kolana i przytulając. - Pewnie będzie młodziej wyglądać.

- To potrafi coś takiego zrobić? - spytała Shannon, poprawiając nosidło z Amber. Dziesięcioletka była dzielna jak komandos, ale widać było, że ma już dość.

- Według komputera tak. - Elgars zdjęła jej plecak i postawiła nosidło na podłodze. - Musimy poczekać i przekonać się. A skoro o tym mowa, komputer, czy wiesz, że napadli na nas Posleeni?

- Tak - odpowiedziała SI.

- Czy są jacyś w tej placówce?

- Nie, są w sekcji hydroponicznej.

- Daj mi znać, jeśli to się zmieni, dobrze?

- Hej, komputer - spytała Wendy. - Gdzie się podziali wszyscy technicy?

- Proszę uściślić.

Wendy rozejrzała się dookoła.

- Nie widziałam, żeby kręcili się tu jacyś ludowy czy Kraby. A większość tego sprzętu jest ich własnością. No więc gdzie oni są?

- Główne wejście do tej placówki nie prowadzi przez Podmieście - odparła SI, wyświetlając hologram. - Znajduje się na południowym zboczu góry Pendergrass.

- A więc jest tylne wyjście - warknęła Wendy. - Jeśli kiedykolwiek znajdę tego, kto to zbudował i zachował w tajemnicy, wyrwę mu serce i pożrę je na jego oczach.

- No, to lekka przesada - stwierdziła Elgars. - Nie byłoby rozsądniej po prostu go zabić?

- Nie, nie chce, żeby ktoś znów tak nas wyruchał. Boże, ale jestem wściekła.

- Na co? - spytała Shari, siadając.

Pokrywa zniknęła tak bezgłośnie, że nikt tego nie zauważył. Nikt poza Billym, który siedział ze zdziwionym wyrazem twarzy.

- Ma... mamó? - zaskrzeczał.

- Billy! - zawołała Shari. - Ty mówisz!

Chłopiec przełknął ślinę i odchrząknął.

- Je... jesteś młoda.

Shari wyglądała tak, jak musiała wyglądać w liceum. Włosy miała trochę dłuższe niż poprzednio, jakby w komorze czas płynął szybciej, i była platynową blondynką. Piersi miała duże, wysokie i jędrne, a wszelkie skazy i zmarszczki zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Spojrzała w dół, na wciąż owijające ją bandaże, i pokręciła głową.

- Nawet plamy krwi zniknęły - szepnęła.

- Ale nie zaszyto ci dziury w koszuli - powiedziała Wendy, wkładając palec w rozdarcie i dotykając jej ciała. - Za to nie ma nawet blizny. Jak się czujesz?

- Dobrze. - Shari ze zdumieniem patrzyła na swoje ręce. - Dobrze. Lepiej niż od wielu lat. Czuję się silna. Co się stało, do diabła?

- To najwyraźniej placówka, w której mnie poskładali - powiedziała Elgars. - Pomyślałyśmy, że będziesz wołała pełny upgrade. Obejmował między innymi odmłodzenie.

- O jej. - Shari z zachwytem przyglądała się swojej gładkiej skórze. - Mike będzie... - Nagle przerwała i skrzywiła się. - Chyba już nie.

Na chwilę jej oczy zaszyły łzami.

- Co ty, jest twardy - powiedziała Wendy. - Ruszemy na północny zachód. W ten sposób

powinniśmy obejść Posleenów. Kiedy dotrzemy do jakiegoś bezpiecznego miejsca, poszukamy go w bazach danych ocalałych osób.

- O ile wydostaniemy się stąd - powiedziała w zamyśleniu Shari.

- Okazuje się, że tutaj jest tylne wyjście - poinformowała ją sucho Elgars. - To jeszcze jeden drobiazg, o którym budownicy tych korytarzy zapomnieli wspomnieć mieszkańcom tego miasta.

- Możemy wyjść bezpośrednio na Pendergrass - dodała Wendy. - Nie ma na co czekać.

- W takim razie chodźmy - powiedziała Shari, wstając i zdejmując bandaż.

Ale Wendy nawet się nie ruszyła, z namysłem patrząc na ołtarz.

- SI, ile mamy czasu, zanim dotrze tu pierwszy Posleen?

- Posleeni znajdują się w rejonie hydroponików. Ze względu na ich chaotyczne przemieszczanie się nie można precyzyjnie określić czasu ich dotarcia do tego rejonu.

- Hmm - mruknęła Wendy. - Myślisz, że starczy nam czasu na pełny upgrade?

- Sądzisz, że to dobry pomysł? - spytała Shari.

Wendy wzięła steyra Shari i rzuciła jej.

- Łap.

Kobieta złapała broń i odciągnęła rygiel, żeby zobaczyć, czy w komorze jest nabój. Potem przełączyła bezpiecznik i opuściła lufę karabinu w dół, trzymając go w pozycji taktycznej gotowości.

- Popatrz, jak ty to trzymasz - uśmiechnęła się Wendy. - Powiedz „ognia”.

- Po co? - spytała ostrożnie Shari. Nie wiedziała, dlaczego tak trzyma karabin, ale... czuła, że tak właśnie powinno się to robić.

- Po prostu powiedz.

- Ognia.

- No widzisz - uśmiechnęła się jeszcze szerzej Wendy. - Ani śladu akcentu. Naprawili błędy po testach na Elgars.

- Mówcie mi „królik”. Doświadczalny - oznajmiła kwaśnym tonem kapitan.

- No dobrze, komputer - powiedział Wendy. - Starczy mi czasu?

- Nie wiadomo. Jeśli Posleeni sforsują zewnętrzne drzwi, mam rozkaz zlikwidować tę placówkę z umyślnym narażeniem na szkody - powiedziała SI. - Będę zmuszona prosić was o wyjście.

- A co się stanie, jeśli będę w komorze, kiedy to nastąpi?

- Lepiej, żeby pani tam nie było.

Wendy popatrzyła na pozostałe dwie kobiety.

- To pewnie moja jedyna szansa na odmłodzenie. Jeśli to nie jest życie wieczne, to coś bardzo zbliżonego.

Shari westchnęła.

- Dawaj.

- Komputer - powiedziała Elgars. - Wykonaj pełny upgrade tej pacjentki.

- Dobrze - odparła SI. - Proszę się położyć.

W tym czasie, kiedy czekały, Elgars kazała komputerowi ściągnąć plan wyjścia, a Shari dopilnowała, żeby wszystkie dzieci były gotowe do drogi. Uspokoiła je i przekonała, że naprawdę jest tą samą panną Shari. Po sprawdzeniu trasy i ustaleniu, że nie powinno tam być żadnych Posleenów, wzięła Amber na ręce i zaczęła ją karmić z butelki.

Mniej więcej właśnie wtedy pokrywa otworzyła się.

- Hej - powiedziała Wendy. - To działa jak zastrzyk hiberzyny. Wcale nie czułam upływu czasu.

- Jest jakaś różnica? - spytała Elgars.

- Czuję się silniejsza - odparła Wendy. - Jakby... jakbym miała więcej pary. Jakbym naładowała akumulatory.

- Dobrze, chodźmy - powiedziała Shari, biorąc na jedno ramię dziecko, a na drugie karabin. - Nie chcę, żeby to wszystko „zlikwidowało się z umyślnym narażeniem na szkody” nam na głowę.

- Wiemy, dokąd idziemy? - spytała Wendy.

- Już tak - odparła Elgars, podnosząc pad. - Ale... Komputer, można prosić o duszka?

- Oczywiście - powiedziała SI i w powietrzu zabłysnął jeden z mikrytów.

- Możemy iść - stwierdziła kapitan.

- Dobrze - powiedziała Wendy. - Ruszamy.

Wyszli lewym wyjściem i minęli serię zakrętów, dwa razy przechodząc przez wielkie wrota, które kojarzyły się Wendy z zastawkami serca, aż dotarli do kolejnego pomieszczenia, jeszcze większego niż to, w którym stała komora odmładzająca. Na środku sali, mierzącej blisko pięćdziesiąt metrów szerokości i niemal tyle samo wysokości, stało coś, co wyglądało zupełnie jak okrągły purpurowy bochenek chleba.

- Co to jest? - spytała Elgars. Duszek zniknął w oddali.

- To komora transportowa - odparła SI, kiedy półkula otworzyła się, ukazując wejście. Było o wiele za niskie dla człowieka normalnego wzrostu. Elgars musiała przykucnąć, żeby nie uderzyć głową o krawędź.

Wnętrze było równie nieprzyjemne i odpychające jak korytarze. Wypełniała je purpurowo-niebieska pianka, poznaczona smugami brązowej zieleni.

- Proszę zająć miejsca - rzekła SI. - Transport opuszcza stację.

Wszyscy usiedli na podłodze i rozejrzeli się, czekając, aż urządzenie ruszy. Komora nie miała żadnych okien, więc nie można było sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz. Była autonomicznym, zamkniętym uniwersum.

- SI? - spytała po chwili Elgars. - Kiedy ruszymy?

- Jesteście już w połowie drogi do góry Pendergrass, kapitan Elgars.

- Och. - Rozejrzała się jeszcze raz i wzruszyła ramionami.

- Tłumiki inercyjne - powiedziała Wendy. - Mają coś takiego na statkach kosmicznych; „wytłumiają” ruch.

- W porządku - powiedziała Shari, wzruszając ramionami. - Kiedy dojedziemy?

- Już jesteśmy - stwierdziła Wendy. Drzwi otworzyły się.

- Nie jest dobrze - powiedziała Elgars, wychodząc na ledwie widoczną w ciemności ziemię. Byli w wielkiej i najwyraźniej naturalnego pochodzenia jaskini. Nie było za to nigdzie widać tunelu prowadzącego w głąb góry. Zupełnie jakby komora transportowa przeniknęła przez skałę. - No, teraz to już się boję.

- Niedługo będzie świtać - powiedziała Shari. - Musimy pozwolić dzieciom przespać się. Mnie też przydałby się odpoczynek.

- Zimno tu - stwierdziła Wendy, okrywając się ciasno podartą, koszulą. - Może moglibyśmy przespać się w komorze?

- I niespodziewanie wrócić do Podmieścia? - zaprotestowała Elgars.

- Mamy koce - powiedziała Shari. - Możemy przespać się tutaj. Jeśli przytulimy się wszyscy razem, nie będzie tak źle.

- Dobrze. - Wendy rozejrzała się dookoła. - Pod ścianą. Możemy rozpalić ognisko?

- To raczej zły pomysł - rzekła Elgars. - Światło i ciepło mogą przyciągnąć czyjąś uwagę. Musimy wytrzymać tylko tę jedną noc, a rano znajdziemy coś lepszego.

- Dobrze - zgodziła się Wendy. - Chodźmy spać. I miejmy nadzieję, że jutro będzie lepiej.

*I ślą nas też tam, gdzie są szlaki,
Lecz zwykleśmy tam, gdzie ich brak:
Potrafim się wspinać na sztyld gładki
Jak muchy przywarłszy do farb:
Szturchaliśmy Naga i Looshai,
Afridich zaś brał przez nas szal,
Bo idą nas wraz dwa tysiące,
My, działa, składane ze dwóch - uch! - uch!*

Rudyard Kipling
Artyleria górską

Betty Gap, Północna Karolina, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

07:14 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

Pruitt patrzył na wschodzące słońce. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak zmęczony. Niezależnie od tego, co mówiła mu chemia.

- Czuję się tak, jakbym nie spał od tygodnia - mruknął. - A przynajmniej tak, że mógłbym przez tydzień spać.

Nie był tak naprawdę zmęczony - provigil o to zadbał - a odrobina metamfetaminy pomagała mu zachować czujność. Ale to był dzień pełen wrażeń i stresu, i nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie ma się to zmienić.

Droga przez góry była nie kończącym się koszmarem, i można było jedynie mocno się trzymać i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Działo SheVa nie zostało zaprojektowane do wspinania się po górach, i dwa razy zdawało się, że już za chwilę sturlają się w dół po zboczu. Raz to było kawałek na zachód od Chestnut Gap, kiedy musieli podjechać pod trzymetrowy stopień, już i tak stojąc na stromiznie, a drugi raz, kiedy stok okazał się odrobinę bardziej stromy niż wynikało z mapy. Bardzo często SheVa zachowywała się tak, jakby stawała dęba, i świadomość, że człowiek ma nad sobą wielotonowe działo i dwa piętra stali, ściągające cię w tył, wyjątkowo szarpała nerwy. Jeszcze gorzej było, kiedy musieli pokonywać okrakiem jakąś rozpadlinę. Podwozie jęczało i skrzypiało, jakby w każdej chwili miało się rozpaść.

Dla Reevesa było to jeszcze gorsze. Przestronny i przewiewny przedział załogi chwilami robił się duszny od potu kierowcy. Za każdym jednak razem, kiedy major Mitchell kazał mu podjechać pod górę, Reeves tylko kiwał głową i wciskał gaz do dechy. Trzeba było wyjątkowej odwagi, by tak bezgranicznie wierzyć olbrzymiej maszynie, że zdobędzie wzgórze i nie zamieni się w toczący się w dół gigantyczny głaz.

Podróż musiała być tak samo ciężka dla Bachorów. Czołg Abrams miał w specyfikacjach zagwarantowaną zdolność wjeżdżania na zbocze nachylone pod kątem sześćdziesięciu stopni - to niesamowite, co umieszczenie sześćdziesięciu ton metalu blisko ziemi robi ze środkiem ciężkości - ale to wcale nie znaczyło, że ktokolwiek oprócz zupełnych idiotów lubił to robić. Często jedyną w miarę przejezdną drogę stanowił dla Abramsów ślady gąsienic gramolącej się pod górę SheVy, jednak dowódca Bachorów przeprowadzała swoje wozy przez takie miejsca bez widocznego niepokoju.

Dla Pruitta byłoby lepiej, gdyby wyłączył swoje ekrany i poszedł spać, ale nikt nie wiedział,

kiedy mogą nadlecieć Posleeni. A poza tym teraz, kiedy załadowali zapas amunicji, był gotów skopać Posleenom tyłki.

Nie wiadomo jednak było, gdzie oni są. Major Mitchell i dowódca Stormów wspólnymi siłami namierzili przez radio jeszcze kilka ocalałych jednostek. Okazało się, że kucyki zajęły zbocze Rocky Face i Oak Grove, odcinając w ten sposób dużą część niedobitków korpusu. Ale saperzy wysadzili mosty w Oak Grove i Tennessee, zanim kucyki do nich dotarły. W obu miejscach Posleeni odbudowywali je, pracowicie przerzucając wojska na drugi brzeg ładownikami.

Nikomu nie podobała się wiadomość, że Posleeni mają wojska inżynieryjne. Oznaczało to między innymi, że Tennessee była dla nich do przejścia w całym dolnym biegu. Zbudowanie mostu zabierało im jednak kilka godzin i w ten sposób opóźniało całe natarcie. Major Mitchell zamierzał dojechać do Betty Creek, a potem przez górę. Bushy Fork do Greens Creek. Później mogą być zmuszeni pojechać doliną Savannah Creek. Musieli wyprzedzić Posleenów, a przemykanie się górskimi przełęczami na pewno by im na to nie pozwoliło.

Mieli raporty, z których wynikało, że mieszana kompania żandarmerii i piechoty trzyma most na rzece Tuckasegee. Dla SheVy nie była to istotna informacja - żaden most na świecie nie wytrzymałby wagi Bun-Buna - ale Stormy bez mostu nie przekroczyłyby rzeki. Gdyby udało im się do niego dotrzeć przed Posleenami, byłoby stosunkowo dobrze. W przeciwnym razie zrobiliby się grząsko.

Poza tym pozostawała kwestia zniszczenia mostu. Żandarmi twierdzili, że nie mają saperów. Obłóżli most materiałami wybuchowymi, ale był dość solidny i nie było gwarancji, że da się go wysadzić. Oczywiście gdyby doszło do najgorszego, Bun-Bun mógłby zająć się także tym drobnym szczegółem.

Niedaleko mostu na Tuckasegee, w Dillsboro, autostrada 23 odchodziła od głównej drogi w kierunku Asheville. Było to bardzo ważne skrzyżowanie, kawałek dalej bowiem, w Waynesville, znajdowało się następne Podmieście, i gdyby Posleeni dotarli aż tak daleko, mieliby do niego otwartą drogę przez równiny. W Balsam Gap droga przecinała Blue Ridge Parkway. Ponieważ był to objazd większej części Appalachian Line, dostanie się na nią pozwoliłoby obcym rozejść się w różne strony. A kawałek na wschód od Waynesville dotarliby do międzystanowej 40, co umożliwiłoby im niczym nie skrępowane poruszanie się po całym stanie.

Część dywizji z Asheville maszerowała w stronę gór Balsam. Ponieważ Asheville odierało ciężkie ataki na dwóch frontach, nie mogło tam wysłać większych sił. Major Mitchell postanowił więc pojechać drogą do Balsam, żeby spowolnić natarcie Posleenów SheVą i MetalStormami. Plan ten nie był pozbawiony wad: główna droga do Balsam nie nadawała się dla SheVy, co oznaczało jazdę na przelaj. A teren wokół przełęczy Balsam był jeszcze gorszy niż ten, przez który właśnie przejeżdżali.

Ale to była odległa przyszłość. Na razie trzeba było przeżyć zjazd w dół.

- Dobry Boże - powiedziała Indy, patrząc na własny ekran. - W świetle dziennym to jeszcze gorzej wygląda!

Droga w dół z Betty Gap biegła typowym appalachijskim zboczem, porośniętym górskim wawrzynem i zrzucającymi liście drzewami; cienka warstwa iłu przykrywała łupkę i gnejsowe skały. Światło poranka przyniosło ze sobą. wiotkie pasemka mgły, od których Góry Dymne zyskały swą nazwę. W tym perłowym oświetleniu okolica nabrała niemal nierzeczywistego wyglądu. Na dystansie półtora kilometra zbocze opadało dwieście metrów w dół. Czołgiści z przerażeniem odkryli, że warstewka iłu łuszczy się i jadący po niej siedemsettonowy czołg ślizga się.

- Sir? - spytał Reeves zmęczonym głosem.

- Powoli - odparł major. - Jeśli zaczniemy się zsuwać, po prostu... daj wsteczny.

- Tak jest, sir - powiedział szeregowy, podkreślając łagodnie obroty silnika na luzie. - Oczywiście mógłbym spróbować dać gaz do dechy i zjechać bardzo szybko na dół.

- Nie żartuj, proszę - wtrąciła Indy. - Jestem zaskoczona, że do tej pory nie poszła nam gąsienica albo oś. Nie chcę nawet sobie wyobrażać, co by było, gdybyśmy spadli na dno doliny z prędkością stu pięćdziesięciu na godzinę.

- Po prostu... powoli, Reeves - powtórzył major, ściskając poręcz swojego fotela i odchylając się w tył.

- Bun-Bun rzuciłby teraz coś dowcipnego - powiedział Pruitt, odchylając się do tyłu tak samo jak major. - Ale w tej chwili jestem za bardzo przerażony, żeby cokolwiek wymyślić.

- Wyobraź sobie, że to zjazd na nartach - mruknął Reeves.

- Nie sądzę, żeby ta bryła dobrze slalomowała.

- Kapitan Chan - powiedział Mitchell, przełączając się na częstotliwość Stormów. - Spróbujemy zjechać po tym zboczu. Wzdłuż grzbietu biegnie droga, która powinna wytrzymać ciężar waszych czołgów. Proponują, żebyście spróbowali najpierw tam, zamiast od razu lecieć na łeb, na szyję za nami.

- Zgoda - odparła Chan. - I... powodzenia.

* * *

Wendy wysunęła się spomiędzy dwojga śpiących dzieci i podeszła do wejścia do jaskini. Zasnęła jak zabita, ale dziesięć minut temu nagle obudziła się i już nie mogła zasnąć. Elgars stała na straży i patrzyła na wschód, gdzie w ciemności widać było pierwsze nieśmiałe przebłyski wstającego słońca. Światła Franklin wygaszono, ale w całej dolinie widać było ognie. Posleen lubili podpalać prawie tak samo jak najemnicy Starego Świata. Wendy ledwie widziała poruszające się w dole sylwetki, ale wiedziała, że tysiące, dziesiątki tysięcy, miliony Posleenów szerokim strumieniem prana północ, w kierunku Knoxville i Asheville. Wielu z nich być może zalewało właśnie ich dawny dom.

Spojrzała na zegarek i kiwnęła głową. Pewnie to ją obudziło.

- Już wybuchło? - spytała.

Elgars pokręciła głową.

- Powinno było odpalić jakieś pięć minut temu.

- „Miało być wielkie bum” - zacytowała Wendy. - „Gdzie jest wielkie bum?”.

- Marsjanin Maggot, prawda? - spytała Elgars.

- Tak, pamiętasz?

- Nie, widziałam to, kiedy przedwczoraj pilnowałam dzieci - odparła kapitan. W tym momencie podłoga jaskini lekko zadrżała, a potem drugi raz, już mocniej. Przypominało to bardzo słabe trzęsienie ziemi. Na wschodzie błysnęło i duża połać ziemi nieznacznie zapadła się, a zaraz potem zamieniła w olbrzymi dymiący krater.

- Naprawdę nie wiem, co mam o tym myśleć - powiedziała pochwili Wendy. - Właśnie straciłam kilkoro przyjaciół. Ludzi, na których mi zależało. Z drugiej strony...

- Z drugiej strony oni i tak byli już martwi - powiedziała Elgars, wstając i otrzepując spodnie. - Albo prawie martwi. Większość z nich została karmą dla Posleenów, do czego my nie dopuściliśmy. A Bóg jeden wie, ilu Posleenów przy tym załatwiłyśmy. Tak, to nie było przyjemne. Ale wojna nie jest przyjemna.

- Łatwo ci mówić - warknęła Wendy. - To byli moi przyjaciele.

- Wendy, nie licząc ciebie, Shari i dzieci... - Przerwała i policzyła coś na palcach. - I Papy O'Neala, Cally, Mosovicha i Muellera, ludzie, których właśnie pogrzebałyśmy, byli jedynymi na

świecie, których znałam. My, czyli ja, pogrzebałam właśnie pod miliardami ton gruzu wszystkie moje pielęgniarki, moich lekarzy, moich terapeutów. Prawdopodobnie nigdy ich stamtąd nie wykopią, postawią tylko pomnik z listą nazwisk. Ja to zrobiłam. Tymi rękami. I jeśli sądzisz, że przyszło mi to łatwo, nie jesteś moją przyjaciółką, za jaką cię uważałam. Ale gdybym musiała zrobić to jeszcze raz, zrobiłabym to. Bo to była słuszna decyzja. Z moralnego i taktycznego punktu widzenia.

- Jesteś bardzo pewna siebie - powiedziała cicho Wendy.

- Za to właśnie tyle mi płacą - prychnęła Elgars. - Teraz twoja kolej stanąć na warcie. Pomyśl o tym przez następne kilka godzin. I odpocznij. Do Georgii mamy kawał drogi.

* * *

Orostan odkrył, że w przypadku Indowy trzeba mieć dużo cierpliwości. Było jasne, że saperzy pracują najszybciej jak mogą, więc jedyne, co mógł zrobić, to stać nad nimi i cierpliwie patrzeć. Z nadejściem świtu most - pospiesznie sklecona kładka z dźwigarów wydartych z budynków i z desek - był prawie gotowy.

- Dobrze się spisaliście, thresh - powiedział oolt'ondai. - Będą jeszcze następne mosty do zbudowania. Jeden na północy, i z nim będzie trudniej. Macie przyrzeć się ludzkim mapom i zaplanować, jak szybko postawić tam jeszcze jeden most. Zrozumiano?

- Tak, panie - odparł Indowy.

- Twój klan jeszcze istnieje - powiedział posleeński dowódca. - Służ mi dobrze dalej, a pozwolę mu trwać. Ale jeśli mnie zawiedziesz, zniszczę resztki twojego klanu. Będzie tak, jakbyście nigdy się nie narodzili. Zrozumiano?

- Zrozumiano, panie - odpowiedział naczelnik klanu. - Będziemy potrzebowali map i jakichś obrazów następnego mostu.

- Dopilnuję, żebyście je dostali.

Cholosta'an podniósł głowę, kiedy na południowym zachodzie coś zagrzmiało.

- Co to było, panie?

- Nie jestem pewien - powiedział Orostan. - Może ta okolica podlega ruchom ziemi - dodał, zapominając, że Cholosta'an tutaj się urodził.

- Nic mi o tym nie wiadomo, panie - rzekł kessentai. - I... z przykrością to mówię, ale ten łoskot dobiega od strony podziemnego miasta.

- Arrr! - zawył oolt'ondai, wywołując swoją sieć taktyczną. - Tenaal fusc! Aralenadaral, taranal! Pożrę tych ludzi, pożrę ich ciało, krew, kości i DUSZE!

- Miasta nie ma - powiedział Cholosta'an, patrząc z niedowierzaniem na własny wyświetlacz.

- WIDZĘ, CO POKAZUJE SIEĆ! Gamasal!

- Tak, oolt'ondai?

Młodszy kessentai czekał niecierpliwie przez całą noc - w pewnym momencie Orostan zastanawiał się nawet, czy nie kazać go zlikwidować, kiedy zaczną grozić Indowy. Teraz, kiedy wstało słońce, a horda znów miała ruszyć, przyszła pora, by go spuścić ze smyczy.

- Damy sobie radę z mostami, ale z ludźmi okopanymi na przełęczach będzie trudno. Weź oolt'poslenal i oolt'ondar i ruszaj ostrożnie naprzód. Trzymaj się z dala od umocnionych punktów obrony i tego przeklętego działka, i zajmij tę pozycję. - Wyjął ludzką mapę. - To jest Balsam Gap...

Betty Gap, Północna Karolina, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

07:47 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

- O cholera - powiedział spokojnie Reeves i wrzucił wsteczny, kiedy ziemia pod czołgiem zadrżała. Potem wdepnął gaz do dechy, kiedy maszyna zaczęła się zsuwać.

Pierwszy etap zjazdu odbył się bez większych przygód. SheVa ruszyła w dół największej stromizny i zachowywała się całkiem poprawnie. Ale gdy dotarli nad Betty Branch, gdzie rzeczka wypływa z płytkiego źródła i gdzie Reeves musiał zacząć lekko trawersować, zbocze nagle się osunęło.

SheVa zaczęła zjeżdżać w dół i nie można było jej zatrzymać.

- Nie podoba mi się to - zaskamlał Pruitt. - Wcale a wcale.

- Reeves... - zaczął major Mitchell, ale wiedział, że kierowca nie może zrobić nic więcej niż już zrobił. Gąsienice darły gołą skałę i nie miały przyczepności.

- SheVa Dziewięć! - wezwała kapitan Chan. - Uwaga! Posleńskie lądowniki na godzinie trzeciej!

- Niech to szlag - zaklął Pruitt, kiedy SheVa wpadła na sporą skałę i podskoczyła. - Przesunie nam się środek ciężkości, jeśli obrócę wieżę!

- Jeżeli do tej pory nie przewróciliśmy się, to już się nie przewrócimy! - zawołała Indy.

- Obracamy - rozkazał major Mitchell i zaczął obracać wieżę. Przedział załogi znajdował się w podstawie wieży, więc jazda zrobiła się jeszcze dziwniejsza: czołg jechał w jedną stronę, skacząc na nierównym zboczu, a oni byli odwróceny w drugą stronę.

- O cholera - powiedział zduszonym głosem Reeves. - Będę rzygał!

- Co się stanie, jak wystrzelę?! - krzyknął Pruitt, ładując pocisk.

- Nie wiem - odparła sztywno Indy. - Jesteśmy na czterdziestostopniowym zboczu i zsuwamy się w dół na wstecznym, a ponadto mamy strzelać w bok przy sześćdziesięciu kilometrach na godzinę. Konstrukcja nie przewiduje żadnej z tych rzeczy!

- A niech to szlag! - mruknął Mitchell.

- Nie daję rady, sir! - krzyknął Reeves. - Jedziemy prosto na urwisko!

- CEL! Minóg, dwa tysiące metrów! - wyrecytował Pruitt.

- Cel blisko! - oznajmił major, mając na myśli, że eksplozja pocisku może uszkodzić działo: minimalny zalecany dystans ostrzału z SheVy wynosił ponad trzy tysiące metrów. - OGNIA!

* * *

- Zajmij przełącz, powiedział - narzekał Gamasal. - Jaki to zaszczyt? Gdzie tu łupy?

- Dostaniemy większą działkę - odparł Lesenal. Pochodzili z jednego gniazda, co było niezwykłym przypadkiem w społeczeństwie Posleenów, i zamiast objąć dowodzenie osobnych oolt, postanowili wspólnie dowodzić jedną kompanią. Być może właśnie to dziwactwo sprawiło, że przystali do Tulo'stenaloor. W porównaniu z Posleenem, który próbował zostać generałem, dwóch dowódców jednego oolt było niczym. - Działkę od każdego, kto będzie chciał tędy przejść.

- Ale kiedy tamci już otworzą inne przełącze, wszyscy będą korzystali właśnie z nich - mruknął Gamasal i skorygował kurs oolt'pos tak, by przelecieć jak najniżej nad grzbietem wzgórza. - Cały czas twierdzą, że mogliśmy zająć tamtą drugą dolinę, tę, którą ludzie nazywają Newfoundland.

- Ale tam jest zbyt łatwo zagrozić nam drogę - zauważył Lesenal. - Na tych wzgórzach ludzie i

ich snajperzy odstrzelili kessentaiów jak abat. A droga do Balsam jest czysta. I kiedy już tam będziemy, ludzie będą musieli się nagłowić, żeby znaleźć drogę ucieczki. Uważaj też na to działo. Wczoraj mieliśmy szczęście, nie chciałbym, żeby dzisiaj się skończyło.

- Och, fuscirto uut - zaklął Gamasal. - To działo?!

* * *

Pocisk SheVy trafił Minoga w górną część kadłuba i ze wszystkich otworów okrętu wystrzeliły strumienie srebrnego ognia. Statek rozmiarów wieżowca natychmiast zniknął z pola widzenia, ale tuż za nim leciał drugi.

Ten drugi Minóg był jednak dla SheVy Dziewięć najmniejszym problemem.

- Aaa! - wrzasnął Pruitt, kiedy zmaltretowany pojazd zjechał bokiem po zboczu, wyskoczył z krawędzi urwiska i spadł z hukiem zrzucanego z nieba tysiąca złomowisk.

Major Mitchell otworzył oczy i zobaczył czerwone światła awaryjne.

- Indy! - krzyknął.

- Jestem, sir - powiedziała chorąży. - Właśnie wywaliliśmy wszystkie bezpieczniki. Gdyby to był odcinek *Star Treka*, Pruitt latałby już po całym przedziale. Ale nie straciliśmy gaśienic!

- Nic nie mam, sir! - zgłosił się Pruitt. - A mam nad sobą drugiego Minoga!

- Widziałem - odparł Mitchell. - Podaj status, Indy!

- Pracuję nad tym, sir - powiedziała chorąży. Wcisnęła kilka guzików i z powrotem zaczęło się pojawiać normalne oświetlenie. - Na razie wszystko działa. Ale nie mogę zagwarantować, że działo jest w porządku, sir. Dostaliśmy mocno po dupie, prawie na pewno mamy uszkodzoną konstrukcję nośną.

- Ja działałam! - zawołał Pruitt. - Gdzie ten Minóg?

- Ale ja nie działałam! - zameldował Reeves, depcząc gaz; gaśienice SheVy hurkotały w miejscu.

- Chyba się zakleszczyliśmy!

* * *

Gamasal posadził Minoga w lesie i otworzył rampę desantową.

- Idziemy!

- Po co? - spytał Lesenal. - Mamy zająć przełęcz!

- Działo blokuje nam drogę! - odparł drugi dowódca. - Przejdziemy przez grzbiet wzgórze i zniszczymy je, a dopiero potem wykonamy zadanie. A skoro już tu jesteśmy i wyeliminowaliśmy obrońców...

- Sieć uzna to za nasze włości - dokończył Lesenal. - Sprytne. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że moglibyśmy po prostu schować się za horyzontem i oblecieć ich dookoła. Orostan też o tym wie.

- Jesteśmy prostymi oolt-kessentai - odparł Gamasal, klapiąc grzebieniem. - Jak moglibyśmy na to wpaść?

* * *

- Nie, nie, NIE! - wrzasnął Orostan. - Niech je ominą!

- Mają stracić szansę pokonania go na ziemi? - powiedział Cholosta'an. - Nie wspominając o dostaniu włości za zabicie obrońców? Nie ma mowy.

- Besonora!

- Tak, oolt'ondai? - Kessentai trwał u jego boku, zanim Orostan przyłączył się do Tulo'stenaloor. Oolt'ondai zawsze miał go pod ręką, tym bardziej że kończyli mu się godni zaufania kessentaiowie, którzy potrafili pilotować okręty.

- Weź oolt'poslenal. Wybierz najlepszych żołnierzy. Zajmij Balsam Gap i utrzymaj je, dopóki

tam nie dotrę. Nie zawiedz mnie i nie leć za wysoko; niedaleko jest centrum obrony.

- Tak jest, oolt'ondai - odpart kessentai. - Już idę.

- Do wszystkich okrętów - wezwał Orostan przez komunikator. - Zniszczyć to DZIAŁO!

* * *

- Majorze Mitchell, co z wami? - spytała Chan.

- Utknęliśmy - odpowiedział spokojnie dowódca SheVy. - Jesteśmy zaklinowani między dwoma urwiskami, w rozpadlinie. Na szczycie wzgórza nad nami jest kompania Posleenów. W każdej chwili spodziewamy się ataku. Prawdopodobnie w okolicy są też inne lądowiki. Powinny już niedługo się pojawić.

- Jest jakaś szansa, że się wydostaniecie?

- Och, jasne - odparł z sarkazmem major. - Potrzebna nam tylko ekipa saperów, żeby wysadzić urwiska w powietrze.

* * *

- Jezu! Co to było? - spytała Kitteket, słysząc niosące się po górach echo huku.

- Działo SheVa - odparł major Ryan. - Prawie na pewno, nic nie brzmi tak samo jak ono. Moim zdaniem gdzieś przy Betty Creek.

- Jak, u diabła, SheVa dostała się nad Betty Creek?

Całą noc jechali po górskich grzbietach drózkami szerokości ostrza noża. Byłoby im łatwiej przejechać czymś mniejszym niż humvee; idealny byłby stary wojskowy jeep. Ale mieli tylko humvee.

Często musieli wysiadać i pospiesznie poszerzać drogę, a w kilku przypadkach nawet budować prowizoryczne mosty nad nieprzejezdnymi rozpadlinami. Przy każdej przeszkodzie major rzucał się do pracy; wysadzał skały, ścinał drzewa i zasypywał dziury, Nikł nie mógł powiedzieć, że umywa od tego ręce.

Teraz saperzy najgorsze mieli już za sobą i jechali w dół. Najwyraźniej w sarni środek następnej bitwy.

- Myślałam, że SheVa wyleciała w powietrze - powiedziała Kitteket.

- Słyszałem, że ściągają nową - odparł zamyślony Ryan. - Jedźmy w stronę Betty Creek - ciągnął, przewijając mapę. - Przed nami będzie skręt w lewo w leśną drogę. Proszę tamtędy pojechać.

- Jedziemy w kierunku SheVy - powiedziała z zastanowieniem specjalistka. - W sam środek bitwy.

- Och, zanim się zbliżymy, będzie już po bitwie. Tak czy inaczej.

* * *

- Majorze! - zawołała przez radio Chan. - Znad wzgórza nadlatują dwa lądowiki, Minóg i C-Dek. Na waszej drugiej i jedenastej.

- Mam - odparł spokojnie Mitchell, kiedy pierwsze pociski karabinów magnetycznych zabębniły o pancierz SheVy. - Ale nie sądzę, żebyśmy musieli się tym przejmować. Za chwilę zaszczypią nas na śmierć liliputy.

- O nich proszę się nie martwić - stwierdziła Chan ze śmiechem. - Jedziemy prosto na ich flankę.

* * *

- Spójrz, ugrzęźli! - zaśmiał się Gamasal. - Łatwe mięso!

- Tak, ale jak to zniszczymy, nie wysadzając w powietrze? - odparł jego współdowódca. - To

ładna dolina, wolałbym ją zachować w miarę nie tkniętą.

- Hmmm - mruknął Gamasal, machnięciem ręki uciszając ogień oolt'os. - Dobre pytanie. Może powinniśmy dokonać abordażu?

- To chyba dobry pomysł. - Lesenal wyciągnął swoją bomę. - Zresztą i tak wolę miecze.

* * *

- Mamusiu - mruknął Reeves. - Wyciągają miecze.

- To dobrze - zauważył Mitchell zbyt spokojnym tonem. - Daje nam to kilka dodatkowych chwil, żeby załatwić lądowniki.

- Są tylko dwa - powiedział Pruitt zduszonym głosem. - Dam radę.

Ustawił radar na maksymalną rozdzielczość i wycelował działo na godzinę drugą.

- No, chodź do taty.

* * *

- Do wszystkich Stormów - rozkazała kapitan Chan, kiedy kompania minęła szczyt wzgórza i zaczęła zjeżdżać wąską drogą w dół. - Otworzyć ogień do Posleenów, kiedy tylko będą w zasięgu. Po wystrzeleniu całego ładunku próbować zjechać ze szlaku, żeby zejść z drogi następnym.

Na ekranach po lewej stronie widziała SheVę, a po prawej pierwszy lądownik, oddalony nie więcej niż o tysiąc metrów. Nagle uświadomiła sobie, że jeśli lądownik wybuchnie albo Praitt wymierzy za nisko - a wypadek mógł nieco przekrzywić lufę - będzie naprawdę niewesoło.

A już za kilka sekund czekało ją odpalenie ładunków. Na zdrowy rozum wiedziała, co jest gorsze, ale jeszcze nigdy dotąd nie zginęła, a ze Stormów strzelała o wiele razy za dużo. Śmierć w atomowym wybuchu jako alternatywa miała swoje dobre strony.

- Glenn.

- Tak jest, ma'am - powiedziała działonowy, spoglądając przez peryskop na kompanię Posleenów.

- Muszę ci przyznać rację. Powinnam się przenieść; ta robota wciąga.

Chwilę później czołg minął zakręt i zobaczyli rozciągniętą wzdłuż grzbietu wzgórza i zbiegającą w dół kompanię.

- Ognia - powiedziała kapitan, nakierowując wyrzutnię na grupę Posleenów.

- Aaa! - krzyknęła Glenn, łapiąc za spust i ustawiając MetalStorm na „Full”.

Zbocze było porośnięte rzadkim lasem, ale nie miało to znaczenia; penetratory rozniosły drzewa, nawet nie zwalniając. Nie zwolniły również, rozwalając Posleenów.

A dowodem na to, jak straszny w użyciu jest ten system, okazał się fakt, że Stormy nawet nie zauważyły tego, iż SheVa strzela im nad głowami.

* * *

- Cel C-Dek! TYSIĄC DWIEŚCIE METRÓW! ZA BUSKO!

- OGNIA!

- ZA BLISKO!

- TO DYSTANS DLA WALKI WRĘCZ! JESTEŚMY BUN-BUN! ODPALAJ TĘ PIEPRZONĄ ARMATĘ!

Pocisk pomknął! prosto przed siebie, trafił w okręt i wyleciał drugą stroną, zanim eksplodował.

Wybuch miał siłę równą dziesięciu tysiącom ton TNT, ale C-Dek przeżyłby i to, i rozbłysk lotnego uranu. Eksplozja nastąpiła bowiem poza okrętem i ominęła wszystkie wyjątkowo wrażliwe czy delikatne miejsca. Ale fala ciśnienia poszła górą i rzuciła lądownikiem o ziemię. C-Deki mogły wytrzymać dużo rzeczy, ale nie zderzenie z górami Północnej Karoliny z prędkością ponad stu

pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wewnętrzna konstrukcja statku nie wytrzymała, i to nie przyspieszenia, lecz nagłego wyhamowania.

Fala ciśnienia rzędu kilograma na centymetr kwadratowy, wystarczająco potężna, by zniszczyć solidny budynek, przeszła też po MetalStormach. Ale w porównaniu z uszkodzeniami, jakie odniosły od własnego ognia...

* * *

- Co to było? - jęknęła Glenn.

- Co takiego? - odparła Chan, zwinięta w kłębek.

- To ostatnie łupnięcie. Coś popsuliśmy?

- Nie wiem, ale nie było aż tak źle. Brandon, wynośmy się stąd, musimy zrobić innym miejsce!

- Ma'am, zrobiłbym to, ale nie mogę - powiedział kierowca. - Proszę spojrzeć na drogę.

Glenn wyprostowała się, spojrzała przez peryskop i aż gwizdnęła.

- O rany, to nasza robota? - Całe zbocze było zasłane zwałony mi drzewami. - Nie, to niemożliwe.

- Mówisz, jakbyś była zawiedziona - powiedziała Chan, wypatrując Posleenów. - Lądownik musiał wybuchnąć.

- A my to przeżyliśmy? - spytał Brandon przez interkom.

- Albo przeżyliśmy, albo jesteśmy w piekle - odpowiedziała Chan. - Sama już nie wiem.

* * *

- CEL: MINÓG TYSIĄC SZEŚĆSET METRÓW!

- To piekło, prawda? - krzyknął Reeves z palcami w uszach. Gdyby lądownik wybuchł w tej odległości, w żaden sposób by tego nie przeżyli. - Proszę, powiedzcie mi, że to piekło!

- OGNIA!

- Bo nie może już chyba być GORZEJ!

* * *

Pocisk wszedł w dolny kwadrant, ale potem poszedł w górę pod ostrym kątem i ominął bunkier paliwa. Podobnie jak poprzedni, wyszedł z tyłu okrętu i eksplodował nad nim. Tym razem niniejszy Minóg został zniszczony przez energię kinetyczną głowicy zubożonego uranu, przechodzącej przez jego maszynownię. Pozbawiony mocy i napadu, spadł na wzgórze jak kamień, przewrócił się na bok i zaczął staczać w dół. Prosto na uwięzioną SheVę.

* * *

- NIE! - wrzasnął Pruitt, opuszczając lufę działa, kiedy SheVę zakołysała fala uderzeniowa.

- NIE! - wrzasnął major Mitchell, ale było już za późno. Działonowy wystrzelił.

Pocisk z ładunkiem zubożonego uranu ledwie zdążył zrzucić osłonę, kiedy wbił się w zbocze góry. Pruitt celował w Minoga, ale strzał poszedł za nisko i dziesięciokilatonowy pocisk wszedł prawie dwieście metrów w gnejs i łupek, zanim detonował.

* * *

Major Ryan mrugał jeszcze oczami, próbując pozbyć się powidoków, kiedy zobaczył, że szczyt góry wznosi się ku niebu wraz z Minogiem.

- WYSIADAC I POD HUMVEE! - krzyknął, natychmiast wprowadzając swoje słowa w czyn. Złapał zestaw detonatora, otworzył kopnięciem drzwi i wyskoczył szczupakiem na ziemię.

* * *

Eksplozja nie była pozbawiona wdzięku. Pocisk wbił się blisko środka wierzchołka góry i odłupał niemal idealnie kolisty fragment skał i ziemi; w przyszłości miało tu powstać bardzo ładne

jeziro. Tony gleby zdławiły jednak w zarodku energię stosunkowo małego wybuchu jądrowego. Materiał najbliższej detonacji antimaterii po prostu wyparował, zamieniając się w plazmę, która zwiększyła jeszcze transfer energii, by ostatecznie stać się lotnymi związkami krzemu i innych składników skały.

Tuż za strefą plazmy skała została bardzo drobno zmielona, a grubość ziaren zwiększała się w miarę oddalania od jądra wybuchu, aż do warstwy zewnętrznej, gdzie znajdowały się dość duże głazy...

... które eksplozja cisnęła setki metrów w górę.

* * *

- Dziękujemy Ci, Panie - powiedział major Mitchell, widząc osuwające się na nich zbocze góry - za te dary, które za chwilę otrzymamy.

- Niech to szlag - zaklął Pruitt. - W otoczeniu Bun-Buna złe rzeczy powinny przydarzać się innym.

- Mam przyczepność! - krzyknął Reeves.

- Ruszaj! - odparł major, patrząc na rosnącą lawinę.

- Jadę! - krzyknął kierowca i SheVa zaczęła gramolić się z nagle poszerzonej rozpadliny. - Chyba te strzały nas uwolniły! - Zaklął, kiedy ziemia znów się osunęła i SheVa nagle stanęła. - NIEEE!

Góry, przez które jechali, dźwigały ciężar milionów lat. Osuwiska i lawiny w Górach Skalistych były bardzo rzadko spotykane, nawet wtedy, gdy wywoływał je wybuch jądrowy. Osuwające się zbocze dotarło do połowy swojej wysokości, a potem nagle zatrzymało się przy wtórze trzasku łamanych drzew i w chmurze kurzu.

Wtedy właśnie wszyscy usłyszeli metaliczne łomotanie dobiegające ze szczytu wieży.

- Chyba twoje życzenie się spełni, Pruitt - powiedziała kwaśno Indy.

- Co? - Działonowy popatrzył na nią, jakby nie mógł uwierzyć, że żyją.

- Komuś stanie się coś złego.

* * *

- Nie podoba mi się to! - krzyknęła Kitteket. Głazy wciąż spadały na podskakującego i trzęsącego się humvee.

- Mnie też nie - odparł z równym przekonaniem Ryan. - Ale mogłoby być gorzej!

- Jak?!

- Na przykład moglibyśmy tkwić w piwnicy, otoczeni przez hordeę Posleenów, którzy zniszczyli już wszystko na swojej drodze, a teraz dobijają się do ostatnich drzwi!

- A na przykład zmiżdżenie przez deszcz głazów? - krzyknęła Kitteket. - Mnie uczyli, że to naprawdę niezły szajs!

Ale kiedy to mówiła, grad największych kamieni już ustał.

- Wszyscy cali? - Ryan wyturlał się spod samochodu mimo wciąż spadającego z nieba żwiru. - I gotowi na pieszą wycieczkę?

- O rany, w drobny mak - powiedziała Kitteket, wstając i rozglądając się dookoła. - Co za burdel!

Wszędzie leżały kamienie, od drobnych kamyczków do głazów wystarczająco dużych, by zmiżdżyć całego humvee, a większość drzew została powalona. Ze swojego miejsca na skraju Betty Gap oddział widział w kotlinie SheVę, która najwyraźniej uwięzła w jakiejś rozpadlinie. W dół zbocza, w kierunku działa, przedzierała się kompania MetalStonnów. Kawałek dalej zaś, na dnie dolinki, leżał Minóg, pognieciony jak rozdeptana puszka.

- Zgadza się, niezły burdel - powiedział Ryan, włączając swój moduł kodowy. - Przejrzyjcie sprzęt i znajdźcie wszystko, co da się uratować. Najlepiej radio.

* * *

- Znów wpakowałeś nas w niezły burdel, Ollie - powiedział Pruitt.

Stał na głazie i patrzył w dół na SheVę tkwiącą jak korek w wąwozie.

„Wąwóz” nie był dobrym określeniem; w małej dolince zmieściłoby się spokojnie kilka domków jednorodzinnych. Ale mimo to SheVa była uwięziona.

- Słuchaj - zaczął się tłumaczyć Reeves. - Robiłem, co mogłem. - Krawędzie wąwozu sięgały odrobinę ponad gąsienice i nie krępowaly ruchów wieży, ale po bokach czołgu leżały głazy, które stoczyły się ze zbocza. - Przynajmniej nie zrzuciłem na nas całej góry.

- Wolę myśleć, że odrzuciłem od nas Minoga - stwierdził Pruitt. - A oto nasz grecki chór...

- Cholera, sir - powiedziała kapitan Chan, podchodząc do nich. - W swoim czasie widziałam kilka czołgów, które ugrzęzły, ale... Cholera, sir.

- Aha - przytaknął Mitchell, chodząc w tę i z powrotem i patrząc na działo. - Myślę, że największym problemem jest urwisko z przodu; nie da się złapać przyczepności i wyjechać.

- Moglibyśmy podczepić pani czołgi, ma'am, i spróbować go wyciągnąć - powiedział Reeves.

Chan popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Czy wyście w ogóle pomyśleli, szeregowy, zanim to powiedzieliście?

- Eee...

- Bachor waży trochę ponad sześćdziesiąt ton. Ile waży takie coś?

- Eee, trochę ponad siedem tysięcy - przyznał kierowca. - Nie zdawałem sobie sprawy, że to aż taka różnica.

Chan spojrzała na swój pojazd, a potem na SheVę. Przy czołgach czuła się mała, ale przy SheVie czuła się jak mrówka.

- To chyba nic nie da, synu - powiedziała. - To tak, jakby próbować ruszyć mój czołg trójkołowym rowerkiem.

- Wie pani, mówi się o tym, żeby na ich bazie zbudować pojazd bezpośredniego wsparcia - powiedział Mitchell - Proszę pomyśleć, ile by taki ważył, zwłaszcza pokryty pancerzem.

- Auuu.

- Wiecie co? - uśmiechnął się Pruitt. - Właśnie udowodniliśmy, że nadają się do walki w górach.

Betty Gap, Północna Karolina, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 08:29 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

- Chyba utknęli, panie majorze - powiedziała Kitteket.

- Chyba ma pani rację - parsknął śmiechem major.

Zejsście w dół z boczka zajęło grupie prawie pół godziny, a w tym czasie zebrani wokół gigantycznego działka dokładnie przyglądali się okolicy. Przy okazji zauważyli ludzi Ryana.

Kiedy on sam obchodził tył monstrualnej maszyny, z wjazdu nad gaśnicami wyszła kobieta. Przyjrzała się majorowi, po czym zsalutowała.

- Chorąży Sheila Indy - powiedziała. - Mechanik SheVa Dziewięć.

- Major William Ryan - odparł saper. - Jestem specjalistą inżynierii bojowej przy dziewięćdziesiątym trzecim korpusie. Obecnie dowodzą tą zbieraniną. Do tej pory staraliśmy się utrudniać życie Posleenom.

- A teraz?

- Łapiemy okazję. Grad kamieni zniszczył nam humvee.

Chorąży zaśmiała się i przyjrzała majorowi z zainteresowaniem.

- Powiedział pan „inżynieria bojowa”, panie majorze?

- Tak. Wygląda na to, że trzeba będzie ruszyć trochę ziemi.

- Zgadza się. Pozwoli pan za mną, sir?

Major rozpiął szelki plecaka i spojrzął na zbieraninę żołnierzy.

- Odpocznijcie, chyba w niedalekiej przyszłości czeka nas robota.

Razem z Kitteket, która chodziła za nim jak cień, obeszlą dookoła SheVę i spotkali się z grupą oficerów dyskutujących nad wyjściem z sytuacji. SheVa tkwiła w szczelinie, z obiema gaśnicami tylko częściowo na ziemi - reszta opierała się na skale po obu stronach wąwozu - a przed nią był wysoki kopiec ziemi. To właśnie ta mieszanina kamieni i iłu, zlepiona wodą ze strumienia, uniemożliwiała czołgowi złapanie przyczepności. W przypadku samochodu należałoby napchać pod koła gałęzi, ale w przypadku SheVy nie wchodziło to w rachubę.

Ryan podszedł do usypanego z przodu działka kopca, nachylił się i podniósł parę grudek ziemi i kilka kamieni. Potem wyciągnął saperkę i zaczął kopać na brzegu strumienia, a gdy trafił na skałę, zaczął ją tak długo rąbać, aż odłupał próbkę.

Kiedy ponownie podszedł do grupy oficerów, ci przestali rozmawiać i spojrzeli na niego wyczekująco.

Nie wiedząc, czy przewyższa stażem służby nieznajomego majora, zsalutował.

- Ryan, korpus saperów Armii.

- Mitchell, korpus SheVa.

- Jeśli wolno zapytać, kim jest ten geniusz, który tak was zakopał? - zaśmiał się Ryan.

- Mój kierowca - odparł Mitchell. - Ale to nie jego wina - dodał, wskazując leżący dalej w dolinie ładownik. - Byliśmy trochę zajęci.

- Zauważyłem - wyszczerzył zęby Ryan. - Domyślałem się też, że to pana działonowy uznał, iż góra Chestnut musi mieć na szczycie basen.

- Tak, to on - kiwnął głową Mitchell. - Modliłem się o sapera, a w skrytości ducha zakładałem, że będzie miał ze sobą pełen batalion z ciężkim sprzętem. W tej sytuacji...

- Damy radę was wyciągnąć - przerwał mu Ryan. - Przyszły mi do głowy trzy czy cztery sposoby, ale najlepszy z nich raczej nie spodoba się Bachorom.

- Jaki, panie majorze? - spytała kapitan Chan. - Vickie Chan, jestem dowódcą MetalStormów.

- Moglibyśmy wcisnąć po jednym pani czołgu pod każdą gąsienicę i wyprowadzić na nich SheVę...

- Miał pan rację - powiedziała kapitan. - Nie podoba mi się ten pomysł.

- SheVa ma integralny dźwig do przeprowadzania własnych napraw. Używałem go już do celów inżynierskich, moglibyśmy go wykorzystać do odczepienia wyrzutni. Prawdopodobnie nie uszkodziłoby to konstrukcji, szkielec abramska to solidny kawał inżynierskiej roboty.

- Naprawdę to mi się nie podoba - odparła ponuro Chan.

- Dobrze. To może chociaż macie załadowane te wyrzutnie, z których już strzelaliście? Zakładam, że uzupełnienia nie jadą tuż za wami.

- Nasze uzupełnienia są teraz pod Dillsboro - powiedział major Mitchell.

- W takim razie pomysł jest taki: wykorzystamy naładowane wyrzutnie, żeby wybić dziury w skale - powiedział Ryan. - Potem wypchamy je materiałami wybuchowymi i wysadzimy skałę w powietrze. W ten sposób stworzy się dla was przejście. To samo zrobimy z przodu, wysadzimy tę hałdę ziemi. Pod spodem, niemalże na poziomie waszych gąsienic, jest lita skała. Możemy w ten sam sposób obniżyć oba urwiska, żebyście znów nie utknęli.

- Chwileczkę - powiedziała Indy. - Chce pan odpalić ładunki w skale, która styka się z naszymi gąsienicami?

- Powstaną fale uderzeniowe - przyznał Ryan - ale nie aż tak duże, żeby uszkodzić gąsienice albo działo.

- Chce pan, żeby MetalStorm strzelał do skały, która styka się z SheVą? - spytał Mitchell.

- Mogą wystrzelić pojedynczy ładunek - wtrąciła Kitteket. - Nie proponujemy, żeby strzelali ze wszystkiego, co mają.

- Powstanie czterdziestomilimetrowa dziura - zauważył Ryan. - Przyznaję, dość gorąca i pełna uranowego pyłu, ale jak się nie ma, co się lubi... Wypchamy ją i wysadzimy skałę w powietrze.

- Czyli zamierza pan wysadzić skałę, która styka się z moimi gąsienicami! - powiedziała Indy.

- Pani chorąży, przez ostatnie pięć lat wysadzałem wszystko, co się znalazło w zasięgu wzroku - powiedział ze znużeniem Ryan. - Wysadzałem mosty i budynki, i już sam nie wiem, ile bocznic. Wysadziłem pomnik Lincolna. Niech mi pani nie mówi, że nie dam rady rozwalić kawałka skały, nie uszkadzając pani cennych gąsienic.

- Ale tak czy inaczej, nie odjedziemy w ciągu piętnastu minut - powiedział Mitchell.

- Piętnastu nie - przyznał Ryan. - Przy podłożeniu czołgów... w ciągu czterdziestu minut do godziny. Przy wysadzaniu... To zależy, czy znajdziemy jakieś materiały wybuchowe. Moi ludzie i ja znaleźliśmy kilkaset kilo C-4, i to by wystarczyło, ale będzie nam potrzebne do innych zadań. Nie mogę zużyć wszystkiego, żeby wyciągnąć jeden zakopany czołg.

- Nie chciałbym zostać źle zrozumiany - powiedział Mitchell - ale to bardzo duży i bardzo drogi czołg.

- Wiem, ale stąd do Asheville jest jeszcze sporo mostów.

- Wiem - uśmiechnął się złośliwie Mitchell - i gwarantuję panu, że możemy je zburzyć szybciej niż wy.

- Słuchajcie - wtrąciła się Chan, która w tym czasie rozmawiała z Glenn. - Mam pomysł. Nie wiem, czy gorszy, czy lepszy. Możemy spokojnie wepchnąć dwa albo i trzy nasze czołgi pod gąsienice, zwłaszcza jeśli zużyjemy część pana materiałów wybuchowych do wysadzenia leżącej

przed nami kupy ziemi.

- To prawda - stwierdził Ryan. - Ale ja nie sugerowałem, żeby poświęciła pani wszystkie swoje jednostki.

- To coś waży siedem tysięcy ton, to fakt. Ale cały ten ciężar nie będzie od razu opierał się na gąsienicach. A jeśli nawet, to tylko przez chwilę. Jeśli rozbijamy go powoli, czołgi mogą ocaleć. A jeśli nie...

- To nie będziemy już nigdy musieli z nich strzelać - westchnęła Glenn. - Czy moglibyśmy rozbijać go szybko? I może jeszcze trochę poskakać?

* * *

Pruitt uruchomił dźwig i zaczął zdejmować MetalStorma z kadłuba pierwszego abramsa, a tymczasem z przodu SheVy rozległ się huk pierwszych eksplozji. Dźwig był zamontowany na górnym pokładzie działa, niemal sześćdziesiąt metrów nad stojącym pod nim czołgiem. Jak tylko wieża MetalStorma wyskoczyła z mocowań, zaczęła wściekle kołysać się w przód i w rył. Czekaając, aż kołysanie ustanie, Pruitt włączył mikrofon umieszczony na krtani.

- Hej, chorąży, ma pani jeszcze pod ręką tę spawarkę? - spytał.

- Nawet o tym nie myśl, Pruitt - odparła chorąży. - Poza tym spaw by tego nie utrzymał.

- Po prostu żał to zmarnować. To w końcu cała wieżyczka, prawda? Przyspawać ją, podciągnąć sterowanie, a nawet nie sterowanie, tylko samo zasilanie...

- Nie zmuszaj mnie, żebym tam weszła i zrobiła ci krzywdę - zaśmiała się Indy.

- Mówią poważnie! - zaprotestował. - Mogłoby się udać! Można ją jakoś zablokować...

- Złóż podanie - powiedziała Indy - i daj mi spokój.

Pruitt spojrział w dół na wiszące już spokojnie mocowanie wyrzutni i uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co z nim zrobić. Bachory stały na pochyłości. Gdyby postawił wieżyczkę po prostu na boku, to po pierwsze, szybko zabrakłoby miejsca, a po drugie, wyrzutnie mogłyby się przewrócić i stoczyć na dół. Jak na jeden dzień wypadków było już dość.

Rozejrzał się i zobaczył, że wokół górnej platformy SheVy biegnie wystająca krawędź i zabezpieczający reling.

Uśmiechnął się i uruchomił dźwig.

- Zawsze łatwiej poprosić o wybaczenie - mruknął.

* * *

- Pewnie zabraniają tego jakieś przepisy - mruknęła Chan. - Wiem, że moi przełożeni nie będą ze mnie zadowoleni.

- Cóż, będą bardziej zadowoleni niż gdyby pani kierowcy nic przyszło do głowy, żeby wjechać tu tyłem - zauważył Mitchell. - A mówiąc poważnie, nie chciałbym, żeby straciła pani wszystkie pojazdy, bo potrzebna nam jest siła ich ognia.

- No, kilka stracimy na pewno - powiedziała ponuro Chan i za raz potem rozchmurzyła się. - Z drugiej strony to dobrze, że je stracimy.

- Dobrze? - spytał Mitchell.

- Strzelanie z nich to prawdziwe piekło - odparła kapitan, - Frajda związana z odpaleniem wolframu jest całkowicie zagłuszona przerażeniem, że całe to draństwo wywali w powietrze.

- No cóż - powiedział po chwili major Mitchell - Na pewno nie dam się przenieść do Bachorów.

- Kiedy zestrzeliliście jeden z lądowników, a my zakończyliśmy nasz ostrzał, okazało się, że wszystkie drzewa w okolicy leżą - powiedziała spokojnie kapitan. - I nie zauważyliśmy, kiedy to się stało.

- Nieźle.
- Kiedy strzelałam z tego czegoś po raz drugi, zmoczyłam się - ciągnęła Chan.
- Nie za pierwszym razem?
- Nie, za pierwszym straciłam przytomność - wyznała.
- Nieźle - powtórzył major.
- Fleszetki nie są jeszcze takie złe. Człowiekowi tylko się wydaje, że jest w stalowej pinacie. Dopiero do pakietów przeciwlądunkowych trzeba się dłużej przyzwyczajać.
- A przyzwyczaiła się już pani do nich?
- Jeszcze nie.
- A jak długo pani w tym siedzi?
- Dowodzę tym oddziałem od trzech lat - odparła po prostu.
- Hmm...
- Dwóch miesięcy, siedemnastu dni i... - zerknęła na zegarek - dwudziestu godzin.
- Widzę, że naprawdę pani tego nie znosi.
- Kiedy się nad tym zastanowić, nie wiem, czemu na początku protestowałam - przyznała -
Moglibyście przejechać po nich jeszcze kilka razy?

* * *

- Panie majorze, możemy próbować - powiedział przez radio Pruitt. - Wszystkie Bachory mają zdjęte wyrzutnie, a kadłuby stoją na pozycjach.
- Dobrze. - Mitchell stał przy tylnym włączniku i rozmawiał z Indy. - Pruitt, gdzie są te wyrzutnie?
- Na górnym pokładzie - odparł działonowy. - Nie było żadne go innego wystarczająco płaskiego miejsca, żeby je położyć. Przymocowałem je łańcuchami, więc nie spadną.
- Aha - mruknął Mitchell, patrząc, jak Indy wznosi oczy do nieba i wykonuje bardzo nieprzyzwoity gest. - Panna Indy mówi, że w żadnym przypadku ich nie zainstalujemy.
- Rozumiem, sir - odparł działonowy zupełnie poważnym tonem. - To było po prostu najbezpieczniejsze miejsce. Każda z tych wyrzutni to poważna inwestycja.
- Tak samo jak działonowy SheVy - powiedział major, przechodząc na przód gigantycznego czołgu. - I tak samo jak Abrams, a ja za chwilę z szczęściu z nich zrobię drewniane kliny pod koła. Zapamiętaj to sobie dobrze.
- Tak jest, sir.
- Jak idzie, majorze? - spytał Mitchell.
- Świetnie - odparł Ryan, wychodząc spod gąsienic SheVy. - Rzeczywiście może się udać.
A jeśli nie, zawsze możemy wysadzić skałę.
- Tak myślałem - powiedział kwaśno Mitchell. - Dobrze, wszyscy gotowi?
- Moi ludzie są na wzgórzu. - Ryan pokazał grupkę saperów.
- A moi odbijają szampana - powiedziała Chan, wskazując swoich czołgistów.
- W porządku - oznajmił Mitchell. - Odsuńmy się i zobaczymy, co się stanie.
Wspięli się na zbocze, na wysokość górnego pokładu SheVy. Mitchell zatrzymał się, żeby złapać oddech.
- Chryste, myśmy naprawdę jeździli po tych stromiznach?
- Aha - powiedziała Chan. - Doszłam do wniosku, że jechaliśmy tylko dlatego, że by to ciemno i nie docierało do nas, jacy jesteśmy głupi, nawet mając noktowizory trzeciej generacji.
- Proszę pomyśleć o tym w ten sposób - Ryan wskazał zryte zbocze na zachodzie - że zrobiliście niezłą trasę narciarską!
Mitchell zaśmiał się głośno i włączył mikrofon.

- Dobra, Schmoo, powolutku.

* * *

Reeves ostrożnie podniósł obroty silników do dziesięciu procent i włączył transmisję. SheVa początkowo nie posiadała sprzęgła, jednak dodano je później, kiedy okazało się, że ruszenie z wysokich obrotów może być jedynym wyjściem z sytuacji.

* * *

SheVa zakołysała się na „klinach” pod gaśnicami, a następnie potoczyła w tył. Rozległ się potężny szcęk zgniatanego metalu sześciu kadłubów abramsów i głośny trzask pękającego resoru.

Kapitan Chan jęknęła i złapała się obiema dłońmi za hełm.

- Właśnie zaczęłam sobie wyobrażać, jak będzie wyglądał raport o stratach. - Z tyłu dobiegały wiwaty załóg MetalStormów. - Moja kariera w wojsku jest skończona.

Mitchell starał się nie roześmiać, kiedy odwrócił się na bok i włączył mikrofon.

- Dobra, Schmoo... - Przerwał i parsknął, zanim znów włączył nadawanie. - Gazu!

* * *

- Na pewno, sir? - spyta! kierowca.

- Na pewno - odparł major. Reeves słyszał w tle słabe wiwaty. - Nasze zadanie wymaga użycia wszelkich koniecznych środków, żeby wydostać SheVę. W tym przypadku oznacza to gaz do dechy, niezależnie od spodziewanych strat.

- Tak jest, sir! - zawołał Reeves, podkreślając moc do trzydziestu procent. - Jedziemy!

* * *

Gaśnice SheVy zaczęły trzeć o tylne pokłady abramsów i szarpać nimi przy wtórze jęku dartego metalu. Czołg skoczył do przodu, wspiął się w górę po mniejszych pobratymcach, a potem znów ruszył w dół, kiedy gaśnice zaczęły się z nich ześlizgiwać.

- Wygląda na to, że gaśnice pana czołgu rzną moje - powiedziała ponuro Chan. - Wolałabym, żeby załogi przestały wiwatować, to nie jest najlepsze świadectwo mojego dowodzenia.

- Uważam, że to doskonałe świadectwo - powiedział Mitchell, kiedy SheVa stoczyła się w tył, a potem znów ruszyła do przodu i w górę. - Bez szemrania do nich wsiadali.

Ostatnim zrywem SheVa wydostała się z pułapki i przy wtórze chrzęstu umęczonych czołgów wyjechała z wąwozu na solidny grunt.

- Teraz, jeśli nie będziemy musieli znów się wykopywać - powiedział markotnie Mitchell - albo nie wpadniemy na następne latające czołgi, wszystko powinno być w porządku.

- No, ja przynajmniej nie muszę się martwić, że znów będę musiała wsiadać do tego czołgu - powiedziała Chan. Tylny pokład jej pojazdu był zmiażdżony, a power pack leżał w kawałkach na ziemi. - Chyba dalej pójdziemy na piechotę.

- Tylko jeśli chcecie - powiedział Mitchell. - Wasze wieżyczki leżą na naszym górnym pokładzie, więc możecie w nich pojechać.

- To... interesujący pomysł.

- Grozi wam mały zawrót głowy i choroba lokomocyjna - przyznał. - To raczej wysoko. Wy też możecie z nami jechać, majorze - ciągnął Mitchell, odwracając się do Ryana. - I zapewniam, że potrafię zniszczyć most szybciej niż wy.

- Oczywiście - powiedział Ryan. - Ale czy umie pan to zrobić tak, żeby Posleeni pana nie zobaczyli?

Dillsboro, Północna Karolina, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

15:14 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

Major Ryan wysiadł z SheVy, kiedy ta rozpoczęła skomplikowany proces przekraczania rzeki Tuckasagee tak, by nikogo przy tym nie zabić.

Niedaleko Dills Gap napotkali tylne szeregi uciekinierów; wielu z nich uczepiło się SheVy. Czołg miał cztery „punkty załadunkowe” i wszystkie były teraz obwieszane żołnierzami.

Na szczęście najwyraźniej wyprzedzili Posleenów, i co dziwne, między uciekinierami i pościgiem zachowywał się pewien dystans. Chodziły słuchy, że jacyś snajperzy spowalniają natarcie obcych, ale działają ze wzgórz i nie zamierzają przekraczać rzeki w Dillsboro. Oznaczało to, że Ryan prawdopodobnie nie będzie musiał wysadzać mostu razem z ludźmi.

Do ostrożnie manewrującej SheVy zbliżała się grupa żołnierzy wielkości mniej więcej plutonu, dowodzona przez kapitana. Ryan włączył komunikator, który pożyczył mu Mitchell.

- Chyba mamy komitet powitalny, Mitchell.

- Widziałem ich dzięki kamerom - odparł dowódca SheVy. - Zaczekajmy, aż się dowiemy, czego chcą.

- Kapitanie - powiedział Ryan. - Major William Ryan, korpus saperów.

- Kapitan Paul Anderson - przedstawił się oficer. - Dowodzę przeprawą, sir, i obawiam się, że ludzie jadący na SheVie będą musieli zejść i dać się zarejestrować.

Nosił skrzyżowane chorągiewki oficera sygnałowego, co wskazywało, że jest oficerem liniowym. W sytuacji takiej jak ta mógł rozkazywać nawet pułkownikowi, powiedzmy, korpusu medycznego. Saperzy jednak też byli oficerami liniowymi.

- Dam wam tych, co wiszą na zewnątrz - powiedział major z zimnym uśmiechem. - Ale swoich ludzi zabieram, żeby mieć pewność, że most jest przygotowany do wysadzenia.

- Oczywiście, sir - uśmiechnął się z ulgą kapitan. - Nie miałem zamiaru wydawać panu poleceń, sir, ale kieruję tą przeprawą od osiemnastu godzin i próbuję jakoś przetransportować na drugi brzeg grupy ludzi, a to nie jest łatwe.

- Wiem coś o tym - odpowiedział z uśmiechem major. - Jak właściwie zamierza pan sklasyfikować SheVę?

- Zamierzam potraktować ją jak przysłowiowego czterystukilowego goryla, sir. Plutonowy Rice - kapitan przywołał stojącego nieopodal starszego plutonowego. - Przeprowadźcie ich przez most i jakoś posegregujcie.

- Tak jest, sir - odparł plutonowy, machając na swój pluton.

- Na północ od miasta stoją ciężarówki z amunicją - powiedział kapitan. - Rozrzucone na dużym obszarze. Mieliśmy tu także dwie grupy z amunicją do SheVy i MetalStormów. Posłałem je drogą do Sylva, bo nie miałem miejsca, żeby je postawić.

- To pewnie te, które wzywali major Mitchell i kapitan Chan - powiedział Ryan, włączając komunikator. - Mitch, dobre wieści. Uzupełnienia czekają kawałek dalej. Odbiór.

- To dobrze - odparł dowódca SheVy. - Kiedy ma się osiem strzałów, człowiek robi się nerwowy, gdy zostają mu tylko cztery. A teraz jak tam się dostać, żeby nikogo nie zabić? Prowadzą tam chyba tylko trzy trasy i na wszystkich są ludzie.

- Jak SheVa może się tam dostać? - spytał Ryan.

- Będzie ciężko, sir - przyznał Anderson - Grupujemy jednostki po obu stronach miasta. Pewnie trzeba będzie przejechać przez sam środek.
- Jeśli to zrobimy, miasta już nie będzie - przypomniał Ryan. - Ani żadnych dróg.
- Większość ruchu kierujemy na objazd drogą 23 - powiedział kapitan, wyciągając mapę. - Jeśli SheVa przekroczy Tuckasegee na wschód od 23, a potem zakręci... no, do miasta, będzie mogła pojechać drogą 107. Zresztą i tak puszczamy tamtędy wszystkie czołgi, żeby nie ryły głównej drogi. Uzupełnienia czekają na południe od Sylva, przy samej 107.
- Jasne - powiedział Ryan, przekazując wiadomość Mitchellowi. - Czy moi chłopcy mogliby się od razu wypakować?
- Potwierdzam - odparł Mitchell. - Ale chciałbym zatrzymać Kitteket
- Proszę bardzo - zgodził się skonsternowany Ryan.
- Zainstalowałem ją w fotelu dowódcy. To oznacza, że wreszcie mam łącznościowca.
- Nie ma problemu. Idę obejrzeć most.
- Wróci pan na pokład, majorze?
- Wątpię - odparł saper. - Mam co innego do roboty. Mogę was wezwać, żeby zburzyć most, w zależności od tego, ile będę miał materiałów wybuchowych.
- No to do zobaczenia - powiedział Mitchell, kiedy silniki SheVy ocknęły się z wyciem. - Niech pan zatrzyma komunikator; mam przecucie, że jeszcze się spotkamy.
- Powodzenia.
- Dzięki, wam też.

* * *

- Ryan odwrócił się z powrotem do kapitana, gdy SheVa powoli ruszyła na wschód.
- Spotkaliśmy się w górach, gdzie przeprowadzali tego potwora przez niewielką przełęcz.
 - To coś? - zdziwił się kapitan, ruszając razem z nim w stronę mostu. - W jaki sposób?
 - Nie najlepiej - uśmiechnął się Ryan. - Kiedy zjeżdżali w dół, zakopali się. Jednocześnie zdjęli niemal z przyłożenia dwa ładowniki. To długa historia.
 - Wierzę. Jak się wydostali?
 - Widzi pan to wszystko tam na samej górze?
 - Tak, to wygląda jak wieżyczki MetalStormów, ale nie słyszałem, żeby montowali je na SheVach.
 - Nie są zamontowane, tylko przypięte łańcuchami - uśmiechnął się jeszcze szerzej Ryan. - Wyciągnęliśmy ich w ten sposób, że pod gaśienice podłożyliśmy podwozia Stormów.
 - Jasna cholera - powiedział Anderson. - To dopiero kosztowny ratunek! Zakładani, że podwozia nie przeżyły?
 - Nie, poszły w drobny mak - odparł Ryan, zatrzymując się i spoglądając z mostu na płynącą w dole rzekę. Nagle poczuł intensywne déja vu, ale nie potrafił przypomnieć sobie, skąd.
 - Jak pan trafił w to szambo? - spytał, wskazując na most, kiedy dotarli już na drugą stronę. - Bez urazy, ale tylna straż na moście to ten sam kaliber, co czyszczenie iniektorów antymaterii.
 - Och, zgadzam się, to szambo - powiedział kapitan. - Odpowiedź brzmi: generał Keeton.
 - Dowództwo Wschód? Jak to się stało, do cholery?
 - Kładłem kable łącznościowe, kiedy przyszła wiadomość, że Posleeni zdobyli Gap - odparł kapitan. - Spojrzałem na mapę i wyliczyłem, gdzie utknie większa część korpusu. Przyjechałem tu, żeby... nie wiem, jakoś pomóc, skoro kwatery głównej, do której miałem podciągnąć kabel, już nie było. Ale nikt tutaj nie dowodził i już zaczynały się problemy z organizacją. Pozbierałem więc obecne tu jednostki i zacząłem je organizować. Potem, kiedy musiałem unieważnić rozkazy jednego

majora, uświadomiłem sobie, że nie mam żadnych uprawnień. Kabel ciągnął się do Wschodu. Zadzwoiłem tam i skontaktowałem się z przyjacielem w Operacjach Specjalnych. Najwyraźniej przerwał górze jakieś spotkanie, na którym próbowali ustalić, co robić. Zaraz potem odezwał się generał Keeton, kazał mi robić to, co muszę, i dał pełne uprawnienia.

- Uderzyło to panu do głowy? - spytał Ryan.

- Raczej było to jak wiadro zimnej wody - odparł kapitan. Wskazał grupę szeregowych i plutonowych, zebranych wokół masy polowych radionadajników. - Nagle dotarło do mnie, że jestem jak Horacy. Mam zorganizować blisko dywizję ludzi, pojazdy i sprzęt.

- Ha! - zaśmiał się Ryan. - To samo miałem w Occoquan, tyle tylko, że bez koordynowania.

Zatrzymał się i rozejrzał. Miasto było zapuszczone - widać było, że mocno odczuło spowodowane wojną załamanie koniunktury - ale wciąż wyglądało dość zabytkowo i... można by powiedzieć „oryginalnie”. Większość domów zdawała się pochodzić z początku dwudziestego albo końca dziewiętnastego wieku. Wiele z nich wymagało odmalowania, ale przed wojną musiał to być dobrze prosperujący ośrodek turystyczny. I właśnie wtedy sobie przypomniał.

- Cholera - powiedział, kręcąc głową. - To wygląda zupełnie jak Occoquan.

I rzeczywiście tak było. Miasto bardzo przypominało miejsce jego pierwszej bitwy. Stało przy jednej z głównych autostrad, nad rzeką, i robiło dokładnie takie samo wrażenie. Mógłby założyć się o miesięczny żołd, że przed wojną było pełne sklepów z antykami i małych kawiarenek.

Teraz jednak wyglądało tak, jakby zostało opuszczone jeszcze przed przybyciem uciekających oddziałów korpusu. Ryan miał nadzieję, że będzie zupełnie puste, zanim przejedzie przez nie SheVa.

- Co do Bun-Buna... - zaczął major.

- Wysłałem jeden pluton, żeby dopilnował ewakuacji miasta - powiedział kapitan. - Przekażą wiadomość dalej, do Sylva.

- Wie pan, kto to jest Bun-Bun? - zapytał Ryan ze zdziwieniem.

- No, Bun-Bun to królik o skłonnościach samobójczych, z nożem sprężynowym i paskudnym usposobieniem - odparł kapitan z uśmiechem. - Ale założyłem, że chodzi panu o SheVę z wielkim Bun-Bunem wymalowanym na korpusie.

- Jest pan jego fanem - powiedział Ryan, i to wcale nie było pytanie.

- I to wielkim - uśmiechnął się. oficer sygnałowy. - Ale pierwszy zwiadowca, który zgłosił kontakt wzrokowy, zdziwił się jak cholera.

- Kontakt wzrokowy? - zapytał saper. Popatrzył na otaczającą dolinę wzniesienia. - Oczywiście, rozesłał pan zwiadowców.

- Jest tu miejscowa milicja - odparł kapitan. - Byli przy moście jeszcze przede mną. Posłałem ich, żeby mieli oko na okolicę. Teraz rozstawili się ze swoimi czterokołowcami po całych wzgórzach.

- A więc zadbał pan już o ewakuację miasta - powiedział Ryan, kręcąc głową. - Pogratulować sprawności.

- Dziękuję - uśmiechnął się kapitan. - Może wyglądam jak Torg, ale tak naprawdę jestem jak Zoe.

- A więc co z mostem, Zoe?

- Byłbym wdzięczny, gdyby pan się tym zajął, sir. Powierzyłem to zadanie sierżantowi, który ma doświadczenie z materiałami wybuchowymi, ale przyznał, że nigdy nie wysadzał niczego tak wielkiego. A Wschód bardzo stanowczo domaga się zniszczenia mostu. No, muszę wracać do swoich zajęć.

- Jasne, kapitanie, powodzenia.

Ryan sprawdził, czy ci, których w myślach nazywał „bandą ośmiu” - na razie nie wiedział nawet, jak większość z nich się nazywa - zeszedli z SheVy. Żołnierze zatrzymali się przy wartownikach na moście. Major był pewien, że niedługo pójda spać - odpoczynek na stalowej kołyszącej się podłodze wielkiego czołgu nie był specjalnie udany. Upewniwszy się, że nic im nie jest i że wie, gdzie są, na wypadek, gdyby ich potrzebował, ruszył w stronę mostu, aby obejrzeć podłożone ładunki.

Most był solidną konstrukcją z betonu i stali, wznoszącą się nad rzeką na czterech przęsłach, około trzydziestu metrów nad powierzchnią wody. Rzeka była głęboka i rwąca, więc po zniszczeniu mostu będzie nic do przebycia dla Posieenów. A zbudowanie nowej przeprawy będzie dla Indowy trudne i tempo posuwania się obcych znacznie zmaleje. Zakładając, że most faktycznie runie.

Materiały wybuchowe - jak często pokazywano na filmach - podłożono w miejscach połączenia przęsła z mostem. Było ich jednak za mało, by mogły coś zdziałać. Łączenia były dość mocne i elastyczne.

Same przęsła były okrągłymi betonowymi X-ami, mierzącymi niecałe półtora metra średnicy w miejscach łączenia. Gdyby podłożone na górze ładunki owinąć dookoła przęsła, most runąłby natychmiast. Przełożenie materiałów musiałoby trochę potrwać, a czasu było niewiele.

Gdyby jednak doszło do najgorszego, zawsze można poprosić Bun-Buna o pomoc.

* * *

- Dobra, Schmo - powiedział major Mitchell. - Ci mili ludzie, którzy zarządzają tym mostem, oczyścili miasto. Masz przejechać przez rzekę na wschód od mostu, a potem skręcić do miasta i znów skręcić na drogę 107. Gdzieś tam czekają nasze uzupełnienia.

- Zrozumiano, sir - odparł szeregowy. - Żegnaj, Dillsboro.

Kierowca docisnął gaz i ostrożnie wjechał przodem pojazdu do rzeki. Rzeka, mająca w tym miejscu około dwóch metrów głębokości i nurt o prędkości dziesięciu węzłów, dla większości czołgów byłaby nie do przebycia. Ale kiedy tylne gaśnice SheVy ledwie dotknęły powierzchni wody, przednie były już na drugim brzegu.

A tam wznosił się stromy wał. Normalnie sprawiałby wrażenie poważnej przeszkody, ale po przebyciu Betty Gap nie był wart nawet wzmianki. Bun-Bun wjechał po prostu pod górę, miażdżąc kilka domów, i zjechał z drugiej strony wału. Na szczęście słynna polityka „spalanej ziemi” miała zastosowanie tylko na nadbrzeżnych równinach, w przeciwnym bowiem wypadku każdy dom byłby potencjalną miną przeciwczołgową.

- Sir - powiedziała Kittek. - Mam tu grupę, która twierdzi, że jest naszą eskortą. Oczyścili Dillsboro, ale mówią, że mają problemy z ewakuowaniem ludzi z Sylva.

Dillsboro, Północna Karolina, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III

16:23 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

Ryan wysłał ekipę saperów, wzmocnioną własnymi ludźmi, do przekładania ładunków, a potem wrócił na piechotę do stanowiska dowodzenia kapitana Andersona. Kiedy tam dotarł, od razu zorientował się, że coś jest nie tak; kapitan miał zacięty wyraz twarzy, a grupa radiooperatorów milczała, zamiast nadawać i rozmawiać, tak jak to robili, kiedy major był tu po raz pierwszy.

- Co się stało? - spytał.

- Posleeni znów przemieścili się w powietrzu - odparł Anderson, wpatrzony w zamyśleniu w dal. - Siłami C-Deka właśnie zajęli Balsam Gap. Wylądowali na Blue Ridge Parkway i zaatakowali tamtejszą załogę. Załogi już nie ma.

- O cholera - zaklął Ryan, przypominając sobie mapę okolicy. Przez ciąg wzgórz między nimi a Asheville i Knoxville prowadziły tylko trzy drogi. Krajowa 23 szła przez Balsam Gap prosto do Asheville. Krajowa 19, przecinająca w Cherokee drogę 441, biegła mniej więcej równolegle i przecinała wzgórze w Sotco Gap. A 441, omijając je w Newfound Gap, prowadziła w dół, do doliny Cumberland. Wojsko mogło ruszyć drogą numer 19, ale ta trasa, podobnie jak 441, była węższa, a tym samym wolniejsza. A przepchnięcie wszystkich zgromadzonych sił tą jedną drogą byłoby, zdaniem majora, niemożliwe. Pojazdy nie mogły by też „ulotnić” się, tak jak to zrobiły w Gap; wzgórze w tej okolicy były tak strome i wysokie, że nie było przez nie innych przejść.

- Kto reaguje? - spytał.

- Z Asheville wychodzi dywizja - powiedział Anderson. - Ale jakoś nie mogą się zebrać; są dość zieloni, a do tego trzeba było ich wyciągnąć z umocnień dookoła miasta. Może uda im się wyrzucić Posleenów z Gap, ale według raportów kucyki okopują się tam. A C-Dek wspiera ich ogniem podczas natarcia. Nie... nie sadzę, żeby udało im się odzyskać przełęcz w niedługim czasie.

- Niech to szlag - mruknął Ryati. - Wie pan już, co robić?

- Mniej więcej. Miałem kilka minut, żeby się nad tym zastanowić. Zbiorę cały niepotrzebny mi tu personel i sprzęt i wyślę ich drogą 441. To najgorsza trasa i na nic nam się nie przyda, a przynajmniej nie będą nam tu przeszkadzać.

- A tych, których potrzebujemy, pośle pan drogą 19, zgadza się?

- Tak - potwierdził kapitan. - Wszystkie pojazdy zaopatrzenia, cysterny z paliwem, amunicję, żywność. Wszystko. Wszystko, co jest absolutnie konieczne. Nawet całą łączność i rozpoznanie poślę drogą 441.

- Słusznie. A siły bojowe? - Niektórym oddziałom - małej grupie czołgów M-1E1, artylerii, bradleyom, a także garści piechoty, która przysłała tu albo przyjechała na ciężarówkach - udało się wydostać z Gap.

- Pchnę ich wszystkich do Balsam - powiedział chłodnym tonem kapitan.

- To... samobójstwo - odparł po chwili major. - To nie jest nawet zorganizowana jednostka.

- Mamy trochę artylerii i sporo piechoty - powiedział, krzywiąc się, Anderson. - Nie... nie będzie łatwo, ale jestem pewien, że damy radę. Snajperzy lokalnej milicji wciąż spowalniają marsz Posleenów w dolinie Savannah. Ale jeśli damy się złapać między dwie hordy... zmiotą nas. Dlatego zlikwidowanie obcych na przełęczu i odbicie jej jest dla nas absolutnym priorytetem.

- Słusznie - powiedział po chwili Ryan. - Nie możemy pozwolić, żeby się połączyli.

- Może nam się uda ich odeprzeć - stwierdził z powątpiewaniem Anderson. - I tak spróbujemy.
- Ryan spojrział w niebo i w zamyśleniu potarł podbródek.
- Przyszło mi coś do głowy.
- Tak, sir?
- Mamy SheVę, dopiero co przeładowaną.
- To fakt. Ma na wyposażeniu pociski szerokiego rażenia?
- Aha. Ma pan jeszcze łączność z Dowództwem Wschód?
- Tak. Mam nawet łącze wideo.
- To dobrze - uśmiechnął się Ryan. - Chcę zobaczyć twarz generała Keetona.

* * *

Generał Keeton kiwnął głową kanciastym ruchem, charakterystycznym dla wolnego łącza internetowego. Ryanowi zawsze kojarzyło się to z kreskówką, którą uwielbiał jego tata, pod tytułem *Max Headroom*.

- Majorze Anderson, widzę, że wciąż tkwi pan w dupie.
- Tak jest, sir. Jestem kapitanem, sir.
- Już nie - powiedział generał. - Kim są ci dżentelmeni?
- Sir, jestem major William Ryan, korpus saperów. Byłem zastępcą szefa saperów korpusu.
- A ja jestem major Robert Mitchell, dowódca SheVy Dziewięć.
- To ta z wymalowanym wielkim królikiem?
- Tak jest, sir - odparł major i westchnął.
- Wszystko wskazuje na to, że przez ostatnie kilka dni rozpieprzył pan całą dolinę. - powiedział surowo generał. - Ma pan coś na swoje usprawiedliwienie?
- Tak, sir. - Major podejrzewał, że za chwilę dostanie opieprz, co oczywiście było grubą niesprawiedliwością. Ale w wojsku czasem tak bywa. - Jako osoba odpowiedzialna za obronę powietrzną korpusu uważam, że było to w pełni uzasadnione działanie bojowe.

- Trafił pan w coś? - spytał generał.

- Sir, nasze archiwa z ostatnich dwóch dni wykażą osiem potwierdzonych zestrzeleń Minogów i C-Deków. Oceniamy, że dziewięć do dziesięciu odniosło uszkodzenia wykluczające je z dalszych działań. Wszystko to mamy nagrane na wideo. Szczerze mówiąc, uważam, że mogliśmy dostać ich nawet dwa razy więcej, ale to trzeba będzie ocenić po odzyskaniu doliny.

Generał rozważał przez chwilę, jego słowa, potem kiwnął głową.

- A więc chce mi pan powiedzieć, że Bun-Bun jak zwykle skopał ileś tyłków i nawet nie notował, ile?

Mitchell zamrugał oczami.

- Tak, sir.

- Zamierzam coś tu zrobić, i jeśli będziecie przypieprzać się do Andersona, dobiore się wam do dupy, zrozumiano?

- Tak, sir.

- Jest pan podpułkownikiem. Cała pana załoga podskakuje o jeden stopień w górę, O medalach pogadamy później.

- Tak jest, sir - odparł podpułkownik lekko zduszonym tonem. - Dziękuję.

- Niech mi się pan tu nie rozkleja, zdaje pan sobie sprawę, że macie przejebane. Nie ma sposobu, żeby wydostać to wielkie bydlę z doliny. A według wszelkich danych, jakimi dysponuję, jakiś miliard Posleenów za chwilę was wyrucha.

- Właśnie o tym chcielibyśmy porozmawiać, sir - wtrącił major Ryan.

- Ryan, to pan jest tym napaleńcem, co wysadził pomnik Lincolna, tak?

- Tak, sir.

- Teraz odpowiada pan za most?

- Tak, sir, i właśnie...

- Niech go pan nie wysadza, dopóki nie skończymy rozmawiać. Nie jestem pewien, czy chcę, żeby go zburzyć.

- Tak jest, sir. - Ryan umilkł na chwilę. - Myślę, że co do tego zgadzamy się, sir. Mamy plan działania, który chcielibyśmy panu przedstawić.

- Walcie.

- Sir, wie pan, że Balsam Gap zostało zajęte?

- Pchnąłem tam od cholery jednostek - odparł Keeton. - Niestety, żeby się do was przedostać, trzeba najpierw odbić Balsam Gap. A one są wyszkolone głównie do obrony pozycyjnej. Co oznacza, że w natarciu nie najlepiej się spiszą. Może chwilę potrwać, zanim w waszej okolicy pojawi się jakaś przyjazna gęba.

- Sir - odparł major Anderson. - Zacząłem ewakuację sił z saka, wykorzystując drugorzędne trasy. Ale myślę, że możemy odbić Gap.

- Niech pan mówi.

- Sir - włączył się podpułkownik Mitchell. - Zbrataliśmy się z jednostkami zaopatrzenia dwóch SheVa...

- W drodze do was są już uzupełnienia i najlepszy batalion naprawczy w całym kraju - przerwał Keeton. - Niech pan nie da wysadzić Bun-Buna i zepsuć tego wszystkiego, coście zdziałali.

- Jestem wdzięczny, sir - odparł Mitchell. - Ale to potrwa chwilę zanim do nas dotrą. Kiedy ostatnio sprawdzałem, najbliższy batalion naprawczy był w Indianie.

- Nie, oba są w Waynesville. Kazałem im ruszać, kiedy tylko dowiedziałem się, że Posleeni zajęli Rabun Gap.

- Sir - powiedział znów major Ryan. - Bun-Bun ma w uzupełnieniach cztery pociski szerokiego rażenia, dwa swoje i dwa od SheVy Czternaście.

- Aha - przytaknął generał. - Proszę mówić dalej.

- Mam niepełną kompanię abramsów i mniej więcej tyle samo bradleyów - wtrącił Anderson. - Mam też kilka baterii artylerii. Bradleye i działa są z jednostki rozpoznania spod Muru. Bradleyom brakuje ludzi, ale mam dużo piechoty.

- Sir, nasz plan zakłada podejście Bun-Bunem do Balsam Gap pod osłoną, żeby uniknąć ostrzału - ciągnął Ryan. - Jednocześnie nasze siły zmechanizowane zajmą pozycje w ukryciu niedaleko Balsam Gap. Bun-Bun wystrzeli raz do Gap pociskiem szerokiego rażenia, potem artyleria otworzy ogień z odłamkowych i burzących, a jednostki pancerne przeprowadzą natarcie naziemne. Bun-Bun przesunie się bliżej, żeby zapewnić ogień osłonowy, gdyby C-Dek przetrwał szturm.

- Klasycznie przygotowane natarcie - powiedział generał. - Od jednego zamachu.

- Tak jest, sir - odparli chórem wszyscy trzej.

Keeton zaśmiał się i pokręcił głową.

- Nie mieliście czasu, żeby aż tak to wyćwiczyć. Dobra, nie mogę wam dać zgody na użycie atomówek. Dlatego zadzwonię do Jacka Homera, a potem we dwóch... przekonamy, kogo trzeba.

- Tak jest, sir - powiedział Mitchell.

- To może chwilę potrwać, bo prezydent bardzo nie lubi broni jądrowej. W tym czasie zbierzcie siły uderzeniowe - ciągnął generał. - I wydostańcie z tego saka, ile się da. Załatwię wam zgodę. Nawet jeśli będę musiał nasłać na panią prezydent kompanię żandarmów. Jasne?

- Jasne, sir - powiedział podpułkownik, zastanawiając się, na ile poważnie mówi generał.

- Sir - rzekł major Ryan. - Zamierzam także zniszczyć pozostałe drogi.

- Mówi pan o 19 i 441 ? - spytał generał. - Kiedy już przejadą nimi grupy wsparcia?

- Tak jest, sir. Ale nie da się tego zrobić skutecznie i jednocześnie wykorzystać je w drodze powrotnej.

- Niech pan się nie martwi drogą powrotną - powiedział Keeton i postukał w klawiaturę komputera. - Do tego wystarczy droga 23. Niech pan je rozpieprzy w drobny mak. To rozkaz. Kiedy pan tam będzie, proszę wypatrywać kompanii MetalStormów. Straciliśmy z nimi kontakt zaraz po tym, jak je do was wysłaliśmy. Powinny wam się przydać, o ile przeżyły.

- Eee... - zaczął Mitchell.

- Tak? - spytał Keeton. - Przeżyły?

- Tak jakby, sir. Ich wieżyczki jadą na Bun-Bunie.

- Na Bun-Bunie? - zdziwił się generał. - Węszę tu jakąś dłuższą historią. Podłączyliście je?

- Nie, sir, chociaż mój działonowy dopominał się tego. I tak, sir, kryje się za tym dłuższa historia.

- Muszę zapytać, gdzie są podwozia.

- W Betty Gap, sir - powiedział Ryan. - Wiemy dokładnie, gdzie są. Nigdzie nie znikną.

- Niech zgadnę. Wyszadziliście je w powietrze.

- Nie do końca, sir.

- No dobrze. Już widzę, że coś przeszkrobaliście. Panowie, macie rozkazy. Proszę je wykonać. Kiedy tylko odbijemy Gap i Bun-Bun zostanie naprawiony, spodziewam się, że ruszycie w głąb doliny.

- Tak jest, sir - powiedział Mitchell.

- Bez odbioru.

* * *

- Pani prezydent - powiedział generał Homer. - Doszło do sytuacji, o której rozmawialiśmy.

Prezydent pokręciła głową, patrząc na swój monitor. Jeśli kamera nie zniekształcała obrazu, generał był szary na twarzy.

- Generale, dobrze się pan czuje?

- Tak, proszę pani - odparł Homer. - Za to resztki sił z Rabun Gap nie. Posleeni zajęli Balsam Gap i odcięli ich. W saku jest między innymi nasza ostatnia ocalała SheVa. Większość z nich dałaby radę wydostać się drugorzędnymi drogami, zakładając, że Posleeni ich też nie zablokują, ale Balsam Gap jest nam potrzebna, żeby pchnąć wojska głębiej w dolinę.

- Chce pan potraktować Gap bronią jądrową - powiedziała prezydent.

- Tak, proszę pani. Co więcej, chciałbym prosić o zgodę na wykorzystywanie broni jądrowej do końca tej kampanii.

- Żeby mógł pan używać jej do woli? - spytała gorzko.

- Nie, proszę pani. - Homer uśmiechnął się jak tygrys. - Zamierzam przekazać ją pułkownikowi Mitchellowi.

* * *

- Żałuję, że nas nie podłączyli - powiedziała kapitan Chan. - Będzie ostro.

SheVa kołysała się z boku na bok, jadąc doliną Scotts Creek, mniej lub bardziej równoległą do autostrady 23. Dolina biegła między ciągiem niewysokich wzgórz i wąwozów, które dla SheVy były niemal torem przeszkód. W ciągu ostatnich dwóch godzin Reeves musiał dwa razy cofać i wybierać inną trasę. Jednak ten sam trudny teren, który teraz spowalniał SheVę, miał pomóc schwytanym w

matnię ludzkim siłom utrzymać swoje pozycje.

- I blisko - odparł przez interkom Pruitt. - Chociaż lepiej, żeby nie było za blisko, bo moje pociski szerokiego rażenia to stukilotonówki. W porównaniu z nimi wybuchy w górach to klapsy.

- Przecież to były klapsy - prychnęła Chan. - Zauważyliśmy je dopiero po fakcie.

- Wtedy strzelaliście, ma'am - wtrąciła Kitteket - Proszę mi wietrzyć, kiedy człowiek siedzi w czymkolwiek innym niż Bachory, to nie są klapsy. W porządku, mam wszystkie jednostki w bazie danych, razem z kodami łącznościowymi. Mechanicy są w drodze na wyznaczone pozycje. Mam nowe dane od batalionu naprawczego. Wiozą ze sobą nie tylko sprzęt do napraw, ale dodatkowe opancerzenie.

- Super - powiedział Pruitt. - Brzmi to tak, jakby zamierzali posłać nas do bezpośredniej walki.

- Teraz akurat by nam się przydało - stwierdził Mitchell.

- Mam też zaktualizowane pozycje Posleenów - dodała Kitteket. Na mapie, na którą patrzyli, nagle rejon wokół Dillsboro zaczerwienił się od znaczników pozycji obcych.

- Musimy załatwić sobie jakieś wsparcie albo zamienimy się w parującą stertę żużlu - powiedział Reeves.

- Wystarczy jeden strzał z plazmy w gąsienice i mamy kłopoty - zauważyła Indy.

- W takim razie musimy się nie wychylać - stwierdził Pruitt. - W tej okolicy to nietrudne.

- Skąd są te dane, Kitteket? - spytał pułkownik Mitchell.

- Na wzgórzach wciąż są zwiadowcy - odparła specjalistka, podświetlając ich pozycje. - To domniemane pozycje, bo oczywiście zwiadowcy nikomu nie mówią, gdzie dokładnie są. Do tego nie wszyscy ludzie z rozpoznania pojechali z główną grupą. Nieduża grupa zbiera i analizuje dane przy siłach uderzeniowych. Ściągam je od nich.

- Szkoda, że nie możemy wziąć udziału w szturmie - powiedział Pruitt. - Byłoby fajnie.

- Nic zmieścilibyśmy się - odparł Reeves. - Poza tym nie mamy żadnej broni bezpośredniego ostrzału, a to tak, jakby do natarcia poszła armata.

- Chyba wymyśliłam, jak podpiąć MetalStormy - powiedziała Indy.

- Naprawdę? - odezwała się przez interkom Chan. - Bezpośrednio czy zdalnie?

- Będziecie musieli w nich zostać. Ale przeglądałam waszą płytę z instrukcją obsługi. Wyciągnęliśmy wieżyczki z całą podstawą, w tym z silnikami obrotowymi. Musimy tylko zapewnić wam jakieś platformy - wystarczy okrągła stalowa płyta - i zasilanie. Myślę, że jeśli grupa naprawcza ma przecinaki laserowe, a powinna je mieć, powinniśmy dać radę zamontować was na wieży. Zobaczymy, co powiedzą ludzie z batalionu naprawczego.

- No, przynajmniej odzyskają części - westchnęła Chan. - Nie wiem, co potem.

- Tak jak powiedziałam, ma'am, zobaczymy.

- Sir, bliżej chyba już się nie da - powiedział Reeves. - Jeśli mamy mieć kąt ostrzału.

Wycofał ostrożnie wielkie działo do parowu. Rozpadlina w ścianie Willits Hill - dopóki nie przejechała tamtędy SheVa, stało tam bardzo małe miasteczko - otwierała się mniej więcej na przełęcz.

- Pruitt? - zapytał Mitchell.

- Myślę, że mamy stąd kąt ostrzału, sir - odparł działonowy. - Zresztą pocisk i tak nie detonuje na poziomie gruntu.

- Zapomniałem zapytać - ciągnął pułkownik. - Czy znasz protokoły strzelania tymi cudami?

- Tak, sir. Czytałem o nich, kiedy trafiłem na to stanowisko, a cały paragraf przeczytałem jeszcze raz przed chwilą. To w dużej mierze automatyka. Ale będą mi potrzebne pana kody.

- Oho - powiedziała Kitteket, patrząc na ekran odbiornika. - Przyszły kody.

- Jakie? - spytał Pruitt.

- Wolno się wyświetlają - odparła maszynistka - ale pierwsza część już jest. To zgoda na użycie broni jądrowej. Trzy, jeden, pięć.

- Trzy, jeden, pięć - powtórzył Mitchell, wystukując polecenie do swojej bazy danych. - To zmiana zasad prowadzenia działań...

- Zmiana? - spytał Pruitt. - Przecież to...

- O mój Boże.

- Czy właśnie dostaliśmy zgodę na pełne użycie broni jądrowej? - spytał ostrożnie Pruitt, widząc poszarzałe nagle oblicze pułkownika.

- Tak - wychrypiał Mitchell i odchrząknął. - Mamy zgodę, nie ograniczony poziom ostrzału i nieograniczony wybór celów, według mojego uznania.

- O mój Boże - powtórzyła bezwiednie Kitteket

- No, sir - powiedział cicho Pruitt. - Pierwsze, co zrobimy, to oczyścimy chyba Balsam Gap, nie sądzi pan?

- Dobra - odetchnął głęboko pułkownik. Odpiął z nieśmiertelnika kluczyk i otworzył nim sejf nad głową. Wyjął ze środka instrukcję i spojrzał na ostatnią stronę. - Potrzebuję słownego potwierdzenia. Mam kod zgody. Czy wszyscy się zgadzają? Schmo?

- Tak.

- Pruitt?

- Tak.

- Indy?

- Tak.

- A ja? - spytała Kitteket

- Nie jest pani oficjalnym członkiem załogi - powiedział pułkownik. - Ale potrzebny mi ten drugi zestaw kodów, który pani odebrała.

Oderwał od książki instrukcji czerwony pakunek z twardego plastiku i złamał wzdłuż perforacji. W środku znajdował się czerwony prostokąt przypominający kartę kredytową. Pułkownik otworzył instrukcję na odpowiednim rozdziale, wziął kody od Kitteket i wykorzystując liczby i litery na karcie, ustalił właściwy kod do wprowadzenia.

Uaktywnienie pocisków szerokiego rażenia wymagało kodów prezydenta. Te z kolei były przetwarzane przez system operacyjny działa. Była to mozolna metoda, ale w przypadku broni jądrowej pośpiech nie popłacał.

Mitchell wystukał ostatnią kombinację cyfr na klawiaturze i zaczął czekać, aż na wyświetlaczu pojawi się symbol aktywacji. Normalnie była to zielona cyferka; tym razem zobaczył mały symbol nieskończoności, od którego zrobiło mu się niedobrze. Próbuąc nie zwracać na to uwagi, wpisał „jeden” jako liczbę pocisków, których zamierzał użyć.

- To mój kod. Chorąży Indy?

Indy powtórzyła tą samą procedurę, wyciągając własną instrukcję i wstukując swoje przetłumaczone kody.

Pruitt przynajmniej raz sprawiał wrażenie onieśmiałego.

- Mam zezwolenie na załadowanie pocisku szerokiego rażenia.

- Bardzo dobrze - powiedział pułkownik Mitchell. - Jeden pocisk, optymalny rozrzut, prosto nad Balsam Gap.

- Musimy nadać ostrzeżenia - powiedziała Kitteket.

Pruitt odwrócił się i otworzył nowy panel kontrolny, a potem, używając tego samego kluczyka,

półprzezroczystą osłonkę. Przebiegł palcami po klawiaturze i wywołał mapę okolicy, oznaczając jako cel Balsam Gap. Sprawdził jeszcze raz koordynaty, a potem włączył opcję wybuchu w powietrzu i pozwolił komputerowi obliczyć optymalną wysokość. W końcu system wyświetlił potwierdzenie.

- Jesteśmy gotowi, sir - powiedział. - Koordynaty ustalone. Pozwolenie na załadowanie?

Mitchell spojrzał na wyświetlone na swoim ekranie informacje i kiwnął głową.

- Ładuj.

Przy wtórze szczęki i łomotów SheVa wysunęła z komory pocisk przeciwlądunkowy i załadowała rozrywający.

- JEST, ŁADUJ.

- Kitteket, nadać ostrzeżenie.

Niedaleko Balsam Gap, Północna Karolina,
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III
19:37 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

Plutonowy Buckley doszedł do wniosku, że są gorsze rzeczy niż noszenie wspomaganego pancerza.

Po porażeniu prądem ocknął się w szpitalu, w samym środku natarcia Posleenów. Wydostanie się stamtąd, zdobycie ubrania, broni i jakiegoś środka transportu było trudne. Gdy w końcu zaczął swoją długą podróż, pocisk z SheVy unicestwił posleenińskiego Minoga niecałe dwa tysiące metrów od niego.

Na szczęście lądowik nie wybuchł.

Na nieszczęście spadł na oczyszczalnię ścieków.

Zanim Buckley się zorientował, zawartość oczyszczalni została rozrzucona po całej, w przyszłości niezwykle żyznej, okolicy.

Przeżył, ale nie było to przyjemne doświadczenie. Następny trafiony Minóg eksplodował dość widowiskowo...

Doszedł do siebie w nurcie rzeki Little Tennessee. Nie miał pojęcia, skąd się tam wziął, dopóki nie zobaczył humvee leżącego na boku na zwalonym drzewie. Dalszej części ucieczki dobrze nie pamiętał. W pewnym momencie Posleeni zdołali go wyprzedzić, ale złapał pięciotonówkę i objechał ich od wschodu. Potem w Dillsboro wszystkich ich wysadzono i rozdzielono.

Prawdopodobnie wciąż był pacjentem, ale nie robił zamieszania, kiedy wręczono mu karabin. Przydzielili mu nawet „drużynę” ośmiu żołnierzy, którzy byli gryzipiórkami ze zdanym testem sprawności bojowej piechoty. Polegało to na tym, że po odbyciu szkolenia ktoś kazał im przekładać papierki zamiast nosić karabin. Byli więc wyszkoleni do działań frontowych, ale tylko jeden z nich służył w ogóle w siłach liniowych.

Buckley i ten jeden doświadczony sprawdzili, czy wszyscy batalionowi pisarze i księgowi umieją obchodzić się z bronią, a potem plutonowy zdobył jakieś racje żywnościowe i cała drużyna usiadła, czekając, aż ktoś przyjdzie i powie im, co mają robić. Czekano się miło i przyjemnie, ale Posleeni nie byli znów tak daleko, i jeżeli dowodzący tym burdelem - wyglądał na kapitana, co było istnym szaleństwem, bo w okolicy zebrała się dobra brygada sprzętu i ludzi - szybko by czegoś nie zrobił, obcy mogliby ich tu napaść.

Potem poszła plotka, że główna trasa ucieczki z doliny została odcięta. Buckleyowi udało się zmusić swoich ludzi do uspokojenia zamieszek, które z tego powodu wybuchły, ale okazało się, że tym razem jednak to nie była tylko plotka; Posleeni naprawdę, zablokowali drogę ucieczki.

Potem przyszła wiadomość, że większość ludzi i sprzętu odjeżdża dwiema trasami awaryjnymi. Świetnie. Buckley nie miał nic przeciwko walce, robił to od blisko dziesięciu lat, ale dobrze było mieć awaryjne wyjście na wypadek, gdyby sprawa się ryła. Okazało się jednak, że do „większości” nie wlicza się jednostek „bojowych”.

Zanim się zorientował, razem ze swoją drużyną siedział na pace bradleya jadącego drogą do przełęczy, którą zajęli Posleeni.

Buckley w żadnym przypadku nie był tchórzem. Ale udało mu się spojrzeć na mapę, dlatego wiedział, że zajęcie przełęczy tak żałośnie wątlymi siłami jest samobójstwem.

W końcu odbyła się porządna odprawa. Porucznik dowodzący bradleyami zwołał wszystkich dowódców drużyn i przedstawił im plan. Działo SheVa, prawdopodobnie to samo, które zestrzeliło Minoga, miało rąbnąć w przełęcz pociskiem jądrowym. Potem wojska pancerne miały przypuścić szturm i wyrznąć wszystkich ocalałych.

- To będzie łatwizna - zakończył porucznik. - Wszyscy Posleeni po atomówce wyparują. Będziemy musieli tylko zabezpieczyć przełęcz, dopóki brygada z drugiej strony nie dotrze do drogi.

Plutonowy Buckley służył w wojsku dużo wcześniej, zanim ktokolwiek usłyszał o Posleenach, i wiedział, kiedy ktoś kłamie. „Czek już wysłaliśmy” brzmiało zupełnie niewinne w porównaniu z „ciężarówka są już w strefie zrzutu”. Ale najgorszą wojskową błagą było „Artyleria zetrze ich na miazgę, a my tylko tam wejdziemy i posprzątamy”.

Buckley podniósł wzrok, kiedy radio transportera zaczęło trąbić.

- UWAGA, UŻYCIE BRONI JĄDROWEJ, UWAGA, UŻYCIE BRONI JĄDROWEJ. KOORDYNATY CELU: UTM17311384W 392292PN. 100KT. TRZYDZIEŚCI SEKUND!

- PIĘTNAŚCIE SEKUND. DZIESIĘĆ...

Wszyscy jechali na śmierć.

* * *

Pruitt wziął głęboki oddech.

- Rozpoczynam.

Pociski szerokiego rażenia różniły się nieco od przeciwlądunkowych penetratorów, ponieważ lufa działa nie była gwintowana i pociski musiały być stabilizowane brzechwowo, odrzucały saboty. Były jednak grubsze od penetratorów i leciały z mniejszą prędkością. Ponieważ nie były penetratorami, robiono je ze zwykłej stali węglowej, a metal korpusu, który miał być zmielony na pył, składał się z materiałów, które potrafi przyswajać ludzkie ciało.

Pocisk wyleciał z lufy w rzece ognia, odrzucił saboty i pomknął nad Balsam Gap.

* * *

Zdetonował dwa tysiące dwieście trzydzieści jeden metrów nad poziomem gruntu, około trzystu metrów na północny wschód od przełaczy. Mówi się, że bliski zasięg liczy się tylko w przypadku granatów ręcznych i bomb wodorowych, ale w tym przypadku nie miał znaczenia. Kula ognia przetoczyła się przez posleeńskie umocnienia, niszcząc drzewa po obu stronach i żłobiąc skalne ściany przełaczy, zwłaszcza od wschodu. Od północy jednak rozszerzająca się kula płomieni została częściowo powstrzymana i odbita przez zbocze góry Balsam.

Blue Ridge Parkway przechodziła w Balsam Gap nad drogą krajową 23. Wiadukt był solidnie skonstruowany, dlatego duża część posleeńskich umocnień została wzniesiona pod nim, dla uzyskania dodatkowej osłony przed ogniem artylerii. Chociaż głowica antymaterii była bardzo silna, nadawała się raczej do zabijania wojsk wroga niż niszczenia budowli, dlatego osłabiona przez górę i wiadukt fala nadciśnienia zniszczyła tylko południowe jego przesło, północne pozostawiając nietknięte.

Co więcej, Posleeni schronieni pod mostem byli osłonięci przed impulsem termicznym i przynajmniej częściowo przed promieniowaniem. W efekcie chociaż większość oolt'ondai została unicestwiona przez atomową kulę ognia, mały, ale bardzo rozgniewany oddział przeżył.

* * *

Plutonowy Buckley ścisnął karabin, kiedy bradley z rykiem silnika popędził ku przełaczy. Praktycznie nie znał swojej „drużyny”, a cholernie dobrze wiedział, że ludzie walczą głównie za „swoich”, A to oznacza, że zmuszenie ich do walki będzie zależało od niego. Paski na pagonie oznaczały odpowiedzialność, i on, na Boga, zamierzał się z niej wywiązać.

Wyrzwał przez małe okienko i popatrzył na mapę, Od celu dzieliło ich przypuszczalnie jakieś trzysta metrów; trudno było wywnioskować to z wyglądu okolicy, bo wszystko było zryte wybuchem atomówki. Był jednak prawie pewien, że jadą prosto na przełęcz.

Wyjął magazynek, pomachał nim, żeby zwrócić na siebie uwagę wszystkich, a potem wcisnął go na miejsce. Jazda z włożonymi magazynkami groziła tym, że jakiś idiota zarepetuje i odbezpieczy broń, a wtedy musiałoby dojść do przypadkowego wystrzału. Żeby temu zapobiec, przed załadunkiem do transportera Buckley kazał wszystkim wyjąć magazynki i przeczyścić broń. W ten sposób nikt nie będzie mógł pociągnąć po kolegach przypadkową serią. Buckley sprzątał kiedyś bradleya, w którym do czegoś takiego doszło, i nie był to przyjemny widok. Teraz odwrócili tę procedurę, wciskając magazynki i reperując karabiny. W słabym świetle przedziału załogowego Buckley kazał każdemu z żołnierzy pokazać, że jego broń jest zabezpieczona, a potem wyrzwał na zewnątrz w chwili, kiedy jadący obok bradley dostał ładunkiem plazmy.

* * *

Major Anderson nie był pewien, dlaczego prowadzi natarcie. Był za to pewien, że gdyby generał Keeton dowiedział się o tym, zabroniłby mu tego. Ale major nie wstąpił do wojska po to, by kłaść kable. Do łączności trafił przez kaprys oficera werbunkowego.

Teraz miał szansę, o której większość oficerów może tylko marzyć, szansę, którą Patton określił jako „sposobność poprowadzenia gromady ludzi do rozpaczliwej bitwy”. Była to prawdopodobnie jego jedyna szansa, poza tym był chyba jedynym oficerem, którego znała większość żołnierzy. Dlatego tym razem łączność szła przodem.

Problem polegał na tym, że ostatni raz przyglądał się, jak powinno się coś takiego robić, na kursie szkoleniowym oficerów rezerwy. Rozkazał czołgom przejechać przez cel i zawrócić, podczas gdy bradleye, jadące tuż za nimi, miały zatrzymać się na samym środku przełęczy i wysadzić desant.

Teraz jednak stało się jasnej że część wiaduktu Blue Ridge oparła się zniszczeniom i że niektórzy Posleeni w okopach wciąż żyją. Świadczył o tym pierwszy eksplodujący abrams. Do tego Posleeni byli osłonięci wiaduktem przed ogniem artylerii.

Gdyby major przypuszczał, że napotka poważny opór, kazałby bateriom ostrzelać przełęcz pociskami dymnymi; Posleeni nie radzili sobie najlepiej z takimi zasłonami. Ale założono, że całą robotę odwali atomówka. I to był błąd. A zanim artyleria zmieniłaby rodzaj ostrzału, byłoby już po natarciu. Kiedy minęli ostatni zakręt i wjechali pod ostrzał wroga, do celu brakowało im niecałe czterysta metrów.

Major natychmiast podjął decyzję. Czołgi nie miały w tej misji zastosowania, liczyły się tylko bradleye. Najważniejsze było dowieszenie piechoty do celu.

- Grupa pancerna: przejechać przez cel, postawić zasłonę dymną. Piechota: opuścić wozy i nacierać w szyku ubezpieczonym.

Kiedy nachylił się i ruszył w stronę tylnej rampy, w przód jego bradleya uderzyła hiperszybka rakietka.

* * *

Buckley zakołysał się, kiedy bradley stanął ze zgrzytem hamulców, a potem potoczył się w tył, gdy rampa opadła i wewnątrz transportera oświetliły czerwone promienie zachodzącego słońca.

- Dalej, goryle! Chcecie żyć wiecznie?!

Wyskoczył na zewnątrz i padł na ziemię, potknąwszy się o krawędź rampy. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że cała jego drużyna dalej tkwi w środku.

- Dobra! - wrzasnął. - Siedzicie, kurwa wasza mać, w samym środku największego celu w okolicy!

Rzucił się do biegnącego środkiem rowu. Pociski z karabinów magnetycznych i ładunki plazmy przechodziły teraz górą. Niestety, wyglądało na to, że był uziemiony.

Chwilę później jeden z szeregowców z jego drużyny skoczył za nim do rowu, lądując mu na plecach i pozbawiając go tchu.

- Może byście ze mnie zleźli, szeregowy? - warknął Buckley.

Żołnierz sturlał się na bok i przeprosił, a do rowu wpadł następny. Sekundę później ich bradley, który znów zaczynał się ruszać, dostał hiperszybką rakieta.

Buckley pokręcił głową, żeby pozbyć się dzwonięcia w uszach, i rozejrzał się dookoła. Czołgi najwyraźniej postawiły zasłonę dymną i ruszyły przez przełęcz, ale żadnemu nie udało się przejechać. Były cztery. Jeden palił się na pasie zieleni, szarpany wybuchami własnej amunicji. Pozostałe trzy stały rozrzucone niecałe sto metrów od celu. Jeden został całkowicie zniszczony; jego wieżyczka leżała piętnaście metrów dalej, zagrzebana do połowy w piachu.

Buckley miał ze sobą dwóch szeregowych i nikogo więcej. Słyszał, że ktoś z przodu i po prawej strzela do Posleenów, ale nie widział, kto. Właściwie widział tylko wiadukt, który najwyraźniej osłaniał obcych od ognia z góry, no i C-Deka, który właśnie wzbijał się w powietrze na lewo od skrzyżowania.

Super.

- Nawet nie mam na sobie pancerza! - warknął.

* * *

Besonora postukał młodszego kessentaia w ramię, kiedy oolt'poslenar wzbił się powoli w powietrze.

- Staraj się trzymać nisko, musimy znaleźć i zniszczyć to działo albo wszystko będzie stracone.

- Postaram się, oolt'ondai - odparł kessentai. - Ale bardzo mało dotąd latałem.

- Rób, co w twojej mocy.

Oolt'ondai opuścił mostek i ruszył w mozolną drogę na zewnętrzne poziomy. Nie należał do tych, którzy przeklinali zaprojektowane przez Alldn't wirówki służące do przemieszczania się między poziomami. Któregoś dnia Posleeni posiadają umiejętności pozwalające im modyfikować takie urządzenia, a nie tylko kopiować sprzęt Alldn't. Na razie musieli sobie radzić z tym, co mieli.

Jedną z rzeczy, które w przyszłości uległyby zmianie, było chaotycznie porozrzucone wewnętrzne wyposażenie okrętu, Kwatery żołnierzy znajdowały się niemal wszędzie, a sekcja ostatniego oolt „szybkiego reagowania” mieściła się w górnym „zachodnim” kwadrancie, dość bezsensownie, ponieważ aby opuścić okręt, oddział musiał zejść do dolnego „północnego”.

Besonora przywitał kessentaia oolt i wydał mu polecenia. Natychmiast po wylądowaniu miał wysadzić swój oddział, obejść oolt'poslenar i zaatakować działo tak, by uniemożliwić mu ostrzał, innymi słowy, miał celować w lufę.

Teraz rozkazał kessentaiowi rozpocząć zmuszone przemieszczanie się do wyjścia i zawrócił na mostek. W tym momencie na całym okręcie zawyły alarmy.

* * *

- Sir! - zawołał Pruitt. - Mam emanacje antygravitacyjne!

- Sir - przerwała mu Kitteket. - Właśnie dostałam wiadomość od jednego z zwiadowców: C-Dek wystartował i leci w tę stronę!

- Dokąd? - spytali jednocześnie Mitchell i Pruitt.

- Jeszcze nie wie, sir - odparła specjalistka. - Siedzi na Rocky Face, i powiedział, że właśnie mu mignął przy Joe Mountain. Mówi, że okręt trzyma się nisko i że zgubił go wśród wzgórz.

- Nie mam zamiaru, sir - powiedział Pruitt. - Przełączyłem na penetratory i mniej więcej mam

wektor - dodał, zerkając na mapę.

- Podnieś trochę lufę - powiedział Mitchell. - Kapitan Chan, słucha pani?

- Jestem - odparła dowódca MetalStormów.

- Może dojść do walki na noże - powiedział Mitchell. - Jak dobrze jesteście przymocowani?

- Nie dość dobrze, żeby strzelać - odparła Chan. - Nawet gdybyśmy mieli zasilanie, którego zresztą nie mamy. Co do efektów ubocznych... będziemy musieli sami się przekonać.

- Chcecie wyjść z wieżyczek?

- Nie - odparła kapitan po chwili namysłu. - Lepszy diabeł znany niż nieznany.

- Sir, mocne emanacje - powiedział Pruitt. - Mam wrażenie, że są blisko.

* * *

- Ogień nadleciał gdzieś stąd, oolt'ondai - powiedział pilot. Delikatnie popchnął drążek sterowy, żeby okręt nie uderzył w zbocze góry. - Mamy wysadzić oolt?

Besonora spojrział na obraz przekazywany przez zewnętrzne kamery. Zbocze góry było strome i porośnięte drzewami. Żeby wysadzić oolt, musieliby się cofnąć, jednak według mapy niedaleko przed nimi rozciągał się kawałek otwartego terenu i równie dobrze mogli tam wylądować.

- Nie, leć wzdłuż drogi za grzbiet tego wzgórza i tam ich wysadź - powiedział, pokazując kessentaiowi mapę. - W zakolu strumienia, który tu jest nazwany Scotts.

*Choć ufność serc bezbożnych wzrasta
W lufach i ostrej stali mieczy
Choć męstwo próżne w kurz obrasta
Nie pragnąc siły Twej ni pieczy
Choć pycha wokół i obłuda...
Zmiłuj się, Panie, nad swym ludem!*

Rudyard Kipling
Pieśń na wyjście (1897)

Niedaleko Balsam Gap, Północna Karolina,
Stany Zjednoczone Ameryki, Soi III
19:52 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

Mimo niebezpieczeństwa kapitan Chan rozkazała wszystkim dowódcom swoich czołgów wychylić się z włazów. Gdyby doszło co do czego, prawdopodobnie najbardziej przydatny byłby wzrok. Każdemu z nich przydzieliła własny sektor obserwacji.

Los jak zwykle sprawił, że pierwszą osobą, która wypatrzyła C-Deka, była ona sama. A kiedy zobaczyła, gdzie jest ów okręt, siarczyście zakłęła.

- CEL: C-DEK, DWA TRZYDZIEŚCI, POZIOM: TRZYSTA METRÓW. Do wszystkich dowódców! Zamknąć włazy!

* * *

- O cholera, o cholera, o cholera - zaklął Pruitt, rozpaczliwie obracając armatę w tył i opuszczając lufę.

- Strzelaj, kiedy wycelujesz - powiedział spokojnie pułkownik Mitchell.

- Jesteśmy poniżej trzystu metrów, sir - zaprotestowała Kitteket.

- Wiem - odparł pułkownik. - Trudno.

- Ale wie pan, że te pociski mają minimalny dystans uzbrojenia, prawda?

* * *

- W dół! W dół! - krzyknął Besonora.

- Lecę w dół! - odparł pilot. - Ale tu nie ma płaskiego terenu, żeby wylądować!

- Fuscirto uut z płaskim terenem! - wściekł się oolt'ondai. - Po prostu posadź go na ziemi!

Wszystkie działa: cel, pal!

* * *

Jedenaście fasetek dwunastościennych C-Deków wyposażonych było w broń. W przeciwieństwie do Minogów, które miały tylko na jednym boku broń skali kosmicznej, dodekaedry dowodzenia miały na pokładach mieszane zestawy broni ciężkiej i „lekkiej”.

W tym przypadku faseta wymierzona wprost w Bun-Buna wyposażona była w poczwórne działo plazmowe.

* * *

- Będzie bolałooo! - krzyknął Reeves, zginając się wpół i zatykając palcami uszy, kiedy działo wreszcie wycelowało w C-Deka.

* * *

Pierwszy ładunek plazmy trafił nisko, przebijając koło i ścianę maszynowni. Ładunki plazmy przenosiły olbrzymie ilości energii, ale podobnie jak pociski, które rozpryskują się po trafieniu w ścianę, nie miały zbyt dużego współczynnika penetracji. W tym przypadku plazma rozeszła się po maszynowni, wydatnie podnosząc w niej temperaturę, poza tym jednak nie wyrządziła żadnych szkód. Drugi ładunek zrobił prawie to samo, trafiając nieco bardziej z boku i niszcząc fragment gąsienicy. SheVa została unieruchomiona, ale zdolność manewrowania i tak w tej sytuacji nie była jej potrzebna.

Trzeci ładunek trafił w górny pokład silnika - ponad siedem metrów stali wyparowało. Czwarty strzał chybił.

Potem nadeszła kolej na Bun-Buna.

* * *

- CEL!

- OGNIA!

- POSZŁO!

* * *

Zanim Pruitt wykrzyknął „poszło”, pocisk trafił już C-Deka, idealnie w środek w pionie i nieco w prawo w poziomie.

Przebił zewnętrzną warstwę pancerza. Te jego fragmenty, które nie zamieniły się w plazmę i lotny uran, siła trafienia wepchnęła w głąb okrętu.

W tym momencie większość głowic zdetonowałaby ładunek antymaterii. Jak jednak zauważyła Kitket, pociski miały minimalny dystans uzbrajania, wynoszący sześćset metrów. Zamiast tego więc w połowie drogi przez okręt pocisk roztrzaskał osłonę ładunku. Z zewnątrz wyglądało to zupełnie jak wybuch antymaterii, w rzeczywistości jednak był to bardzo szybko rozprzestrzeniający się zapłon.

* * *

- HUUU! - zawołał z ulgą Pruitt. Nie było wielkiego wybuchu, tylko jęzory plazmy zaczęły wyskakiwać ze wszystkich otworów. Niektóre liznęły SheVę, ale kiedy do niej dotarły, były już tylko ścianą zwykłego ognia i nie były w stanie uszkodzić Bun-Buna. - Królik znów uderzył!

- Kapitan Chan, jest tam pani jeszcze? - spytał Mitchell.

- O tak - odparła dowódca MetalStormów. - Już strzeliliście?

- Sir - powiedziała Kitket - siły na przełęczy dostają cięgi. Straciłam łączność z majorem Andersonem i ze wszystkimi nadajnikami pojazdów oprócz jednego. Według ich ostatnich meldunków na przełęczy są jeszcze jacyś Posleeni. Zwiadowcy milicji twierdzą, że widzą tam słupy dymu i wybuchy.

- Proszę dalej próbować ich wywołać. I proszę spróbować złapać kogoś po stronie Asheville, może oni dadzą radę oczyścić przełęcz.

- Tak jest, sir. Część zwiadowców zmierza w tamtym kierunku, aby zobaczyć, co mogą zrobić.

- Dobrze - powiedział Mitchell, nie dodając „z braku laku...”. - Czy ktoś widział Indy? Albo wie, jakie odnieśliśmy uszkodzenia?

- Odpowiedź na to pytanie brzmi: leżymy na obu łopatkach, sir - odparła chorąży, wynurzając się z luku maszynowni. Twarz miała usmarowaną sadzą, ale wyglądała na całą i zdrową. - Po prawej stronie całkiem straciliśmy gąsienicę, prawdopodobnie mamy też uszkodzoną sekcję pędną. W boku czołgu, tam, gdzie było koło napędowe, zije teraz wielka dziura. Możliwe, że dostaliśmy też w jedną z rozpór podpory armaty. Ale wygląda na to, że tym razem wszystkie silniki ocalały.

- Całe szczęście.

- A więc mówi pan - powiedział Pruitt z jadowitym uśmiechem - że leżymy na obu łopatkach i jesteśmy otoczeni, a jedyne siły w okolicy - goście, którzy normalnie zatrzymaliby około miliona idących na nas doliną Posleenów - są właśnie wyrzynane, kiedy próbują, wyrzucić ich z przełęczy?

- Mniej więcej - przytaknął Mitchell.

- Na Jowisza, trafnie to ujął - zgodziła się Kirtek.

- Ładnie nas podsumowałeś, Torg - dodał Reeves.

- Chciałem tylko, żeby wszystko było jasne - oznajmił Pruitt. - Dlaczego ciągle chodzą mi po głowie słowa „mamy przejebane”?

* * *

Plutonowy Buckley rozważał swoją sytuację, wyglądając z rowu. Kiedy chaos trochę się zmniejszył, stało się jasne, że ostrzał spod wiaduktu wcale nie jest bardzo silny. Naliczył może trzy wyrzutnie rakiet, dwa ciężkie działka plazmowe i trochę, ale nie za wiele, karabinów magnetycznych. Strzelb chyba wcale nie było.

A to oznaczało, że przełęcz utrzymywana jest przez jedną z posleeńskich „ciężkich” kompanii. To z kolei wskazywało na obecność doświadczonych Wszechwładców i otrzaskanych w walce żołnierzy.

Coraz lepiej.

Rozejrzał się, ale zobaczył tylko dwóch swoich szeregowych i płonące pojazdy. Z tego, z którego wyskoczyli, zwisało zwęglone ciało, a drugie leżało rozciągnięte na środku drogi, rozdarte na pół. Buckley wiedział, że to wynik bliskiego spotkania z ładunkiem plazmy. Uświadomił sobie, że on i tamci dwaj przeżyli tylko dlatego, że czołg, za którym jechał ich bradley, zaczął stawiać zasłonę dymną, kiedy tylko rozpoczął się ostrzał plazmowy. Gdyby ci głupi skurwiele w bradleyu od razu za nim wyskoczyli, zamiast się nad tym zastanawiać, wciąż mogliby żyć.

Cena tchórzostwa była po prostu za wysoka.

- Widzicie kogoś jeszcze? - spytał.

- Nie - odparł jeden z szeregowych - ale wcześniej słyszałem po prawej stronie strzały.

- Hej! - wrzasnął Buckley. - Jest tam kto!?

- Tutaj! - odparł głos. - Kto tam?

- Plutonowy Buckley! - krzyknął, wiedząc, że tamtemu nic to nie powie.

- Widziałeś majora Andersona?

- Nie! Jest tam ktoś z tobą?

- Nie!

- Masz radio?

- Tak!

- No, nareszcie - powiedział cicho Buckley. - Kurwa, nie wychylaj się! Możesz być tą jedyną osobą, która pozwoli nam przeżyć! Jest tu ktoś jeszcze?!

Przez chwilę nasłuchiwał, ale słyszał tylko dobiegające gdzieś z tyłu jęki, trzaski wybuchającej w palących się pojazdach amunicji i wycie wiatru nad przełęczą.

- To wszystko? - spytał jeden z szeregowych. - Tylko my?

- Na to wygląda - odparł Buckley. - Mogło być gorzej.

- Jak?!

- Mogliśmy być w pancerzach wspomaganych. Ty! Radiowiec! Odbierasz tam kogoś?

- Nie!

- Znasz częstotliwość majora Andersona?

- Tak!

- Przełącz się na nią!

Buckley rozejrzył się dookoła. Pobliski rów przebiegał w odległości około dwudziestu metrów od wiaduktu, gdzie raptownie się spłycał. Mogliby we trzech prawdopodobnie podczołgać się pod same pozycje Posleenów, Wyglądało na to, że obcy wyryli ładunkami wybuchowymi okop przebiegający pod wiaduktem. Wykazali przy tym o wiele więcej sprytu niż chciałby widzieć u kucyków.

Posleeni zaprzestali teraz ostrzału, tylko co jakiś czas nad głowami żołnierzy pizelatywał pocisk. Buckley nie wiedział, czy strzelają po to, by ich uziemić, ale taki właśnie był skutek. Kiedy zorientował się już w sytuacji, uznał, że może im się udać, jeśli będą mieli odrobinę szczęścia.

- Szczęścia - szepnął. - Potrzeba nam tylko odrobiny szczęścia.

* * *

- Sir, nawiązałam łączność z ocalałym na przełęczy - powiedziała Kitteket. - Nie zostało ich tam wielu; ten twierdzi, że wie o czterech, wliczając w to jego samego.

- No, po prostu bomba - stwierdził pułkownik.

- Mówi, że jest tam jakiś plutonowy, który wzywa wsparcie artylerii.

- Daj go tu pani. - Mitchell zaczekał, aż usłyszy w słuchawkach odpowiednią częstotliwość. - Piechota, tu SheVa Dziewięć. Jaki chcecie ostrzał?

- Tu Lima Siedem Dziewięć - odparł radiowiec. - Plutonowy Buckley prosi o salwę tuż przed pozycjami Posleenów. Rozumie pan, oni okopali się pod wiaduktem, a połowa wiaduktu ciągle stoi. Ostrzał z góry ich nie sięgnie. Zrozumieliście? Odbiór.

- Potwierdzani - rzekł Mitchell. - Podam wam częstotliwość artylerii i monitora. To, co my moglibyśmy wam zrzucić, zabiłoby was szybciej niż Posleeni.

- Dziękuję bardzo, panie kolego - odparł radiowiec. - Żadnych atomówek, jasne?

- Jasne. Policzyliście Posleenów?

- Nie. Jesteśmy pod ciężkim ostrzałem, nie możemy się wychylać. Ale raczej nie ma ich za wielu. Trochę karabinów magnetycznych, kilka działek plazmowych. Ale poradzili sobie z pojazdami, zdjęli wszystkie.

- Rozumiem. Odsyłam was do łącznościowca, ona połączy was z artylerią. Dajcie znać, jak coś załatwicie.

- Jasne. Bez odbioru.

Mitchell zaczekał, aż Kitteket przełączy częstotliwość, a potem gestem kazał wszystkim odwrócić się w stronę środka przedziału.

- Dobra, Kitteket, mamy kontakt z jednym czy dwoma piechociarzami w Gap, artylerią i kilkoma milicjantami. Ktoś jeszcze?

- Na razie nie, sir - odparła. - Nie mam częstotliwości oddziałów po drugiej stronie przełęczy, a wszyscy inni są poza zasięgiem. - Przerwała i pokręciła głową. - Mam pomysł, ale nie wiem, czy to się uda.

- Co takiego?

- System kontroli jądrowej. To układ dwukierunkowy, który...

- Odbija sygnał od jonizujących ogonów meteorów - dokończył Mitchell. - Ale służy tylko do przesyłania grup kodowych.

- Tak, sir. I można wysłać tylko trzy znaki tekstowe na raz. Ale za to dowolne znaki. Można wysłać w ten sposób cały słownik, tylko powoli.

- Proszę to zrobić. Proszę też zdobyć częstotliwość oddziałów, po tamtej stronie. Muszą oczyścić nam drogę, inaczej będziemy musieli powierzyć to milicji.

- Jakoś nie wydaje mi się, żeby szturmowanie przełęczą było ich najmocniejszą stroną - powiedziała Kitteket.

Niedaleko Balsam Gap, Północna Karolina,
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III
20:17 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

Thomas Redman był cholernie wkurzonym Indiańcem.

Nie wystarczyło, że wojna spowodowała zamknięcie kasyna, które od czternastu lat było jego miejscem pracy. Nie wystarczyło, że jego młodszy brat zginął na jebanym Barwhon, zabity przez tych sukinsynów Posleenów. Teraz przyszli i zajęli Dillsboro, gdzie kiedyś był jego sklep z „autentycznymi indiańskimi nożami do skalpowania Posleenów”.

To fakt, że sklep rozjechało cholerne działo SheVa, ale nie miało specjalnego wyboru.

Niezależnie od tego, kto faktycznie zniszczył sklep, odpowiadają za to Posleeni, którzy, na Boga, muszą za to zapłacić. Rodzina Thomasa mieszkała w tych górach od czasów, kiedy Kolumb naciągał Izabelę na klejnoty, a on nie zamierzał być ostatnim Redmanem, który przekręca białasów na forszę.

Aż do tej chwili jego walka z Posleenami polegała na przekazywaniu lasce w SheVie, gdzie są. Kiedy gruchnęła wiadomość, że obcy idą na przełęcz, Thomas posłał żonę - nazywał ją squaw, kiedy chciał ją rozeźlić - drogą do Knoxville. Potem wyciągnął swoje radio, zabrał karabin i pojechał czterokołowcem na wzgórze.

Nie widział, co działo się na przełęczy, ale słupy dymu nie pozostawiały wiele wątpliwości. Znał takie miejsce, z którego mógł spojrzeć na Posleenów. Ale dotarcie tam wymagało złamania prawa.

Podczas legislacyjnej gorączki u zarania kryzysu jednym z najważniejszych tematów było sformowanie milicji. W końcu Kongres zniósł większość ustaw ograniczających posiadanie broni, a zamiast nich wprowadził przepisy dotyczące działania milicji. Przepis odnoszący się do zasięgu terytorialnego powiadał, że „żaden członek milicji utworzonej w określonym rejonie nie może przekraczać sąsiednich rejonów w związku z działalnością milicyjną bez wyraźnej zgody władz tych rejonów”. Oznaczało to, że jeśli grupa, powiedzmy, milicjantów z Wirginii ćwiczyła w lesie, nie mogła przekraczać granic stanu Maryland.

Biurokraci z Biura Spraw Indian zinterpretowali ten przepis w taki sposób, że musi powstać milicja rezerwatu i milicja całej reszty Północnej Karoliny. Zasadniczo więc Thomas Redman, sierżant Czirokeskiej Milicji Plemiennej Stanu Północna Karolina, mógł toczyć wojnę z Posleenami tylko na terenie rezerwatu. A on właśnie zamierzał przekroczyć jego granice.

Jego czterokołowiec wspiał się na ostatnie usypisko skał i z łoskotem zjechał na Blue Ridge Parkway, aby odciąć Posleenów na przełęczy.

- Lepiej uważajcie! - wrzasnął Redman w noc. - Czerwonoskóry uciekł z rezerwatu!

* * *

- Sir, mam łączność z Dowództwem Wschód - powiedziała Kitttkeet, przez chwilę stukając pospiesznie w klawiaturę.

- Co mówią? - spytał pułkownik.

- Cały czas opisuję im nasze położenie - ciągnęła specjalistka, znów stukając w klawisze. - Muszę układać słowa po trzy litery, czekać, aż nadajnik to wyśle, i znów wpisywać trzy litery. Strasznie to upierdliwe.

- Każemy im to poprawić w następnej wersji - powiedział Pruitt - Zakładając, że tego

doczekamy.

Sytuacja nie wyglądała zbyt różowo.

- Dobra, co z Posleenami pod Dillsboro? - spytał Mitchell.

- Nie jest dobrze, Mają trochę problemów ze zrytą drogą i mniej więcej połowa z nich maszeruje szosą 441, ale reszta zmierza w naszą stronę. Zgromadziło się ich też strasznie dużo nad rzeką. Zwiadowcy nie umieją dobrze oszacować ich liczby, albo nie mogą uwierzyć swoim obliczeniom. Tak czy inaczej, jest ich dużo.

- Kiedy tu będą? - spytał Pruitt.

- W tym tempie za mniej więcej godzinę - powiedziała Kitteket. - Wschodowi to samo powiedziałam.

- Do diabła z tym - zdenerwował się pułkownik. - Koniec z grzecznym króliczkiem. Nie ma powodu, żebyśmy musieli martwić się Posleenami. Pruitt, mamy jeszcze trzy pociski szerokiego rażenia?

- Tak, sir - odparł działonowy. Postukał w klawisze i wieża zaczęła płynnie obracać się w tył. - I nie ma tam ludzi, którymi musielibyśmy się przejmować. Trzy stukilotonowe atomówki do dyspozycji, sir!

- Kitteket, proszę się dowiedzieć, gdzie są główne rejony koncentracji obcych, i wyliczyć, gdzie prowadzące siły będą za... dziesięć minut - powiedział Mitchell. - Proszę się też dowiedzieć, dla czego tylko my bijemy się o tę przełęcz!

* * *

Blue Ridge Parkway jest jedną z amerykańskich ikon typu Route 66 czy Szlak Appalachijski. Biegnie wzdłuż szczytów Blue Ridge, które w rzeczywistości są ciągiem mniejszych łańcuchów górskich od Wielkich Gór Dymnych w Północnej Karolinie aż do doliny Shenandoah w Wirginii. Po drodze mija kilka najpiękniejszych, najsurowszych regionów Ameryki Północno-Wschodniej. Niełatwo na nią wjechać, gdyż biegnie grzbietami gór; zazwyczaj nie jest też najszybszą drogą.

Ale Thomas nie mógł marzyć o niczym lepszym.

Wjechał na szosę niedaleko Woodfin Creek, korzystając z mało znanego szlaku prowadzącego ze starej autostrady na nową. Zbliżał się już do przełęcz, ale to nie ona była jego celem. Z tego, co mówiła laska z SheVy, połowa wiaduktu wciąż stała. Chociaż zabawnie byłoby wspiać się na niego i postrzelać w dół do kucyków, rozsądniej było znaleźć miejsce, z którego można by strzelać pod wiadukt. Prostopadle do autostrady biegło urwisko, to samo, które wymuszało ostatni zakręt na drodze 23 i na które można było dostać się z szosy. Gdyby znalazł sobie dobrą kryjówkę na jego skraju, mógłby strzelać wprost pod wiadukt i odciążyć trochę żołnierzy uziemionych na przełęcz.

Jadąc po łuku, zauważył, że niektóre drzewa są pozbawione wierzchołków. Zwolnił, widząc, że kilka drzew leży na drodze. Im dalej jechał, tym asfalt był bardziej zaśmiecony gałęziami; wiele z nich zaczynało już więdnąć i żółknąć od żaru.

Ogólnie rzecz biorąc, powinien być wdzięczny za te przeszkody, ponieważ kiedy minął łuk, wciąż wyciągając jakieś trzydzieści kilometrów na godzinę, wpadł na stertę zwalonych topoli blokujących drogę.

- Jasna cholera.

* * *

- Sir, mam wiadomość z Dowództwa Wschód - powiedziała Kitteket. - Coraz więcej dobrych wiadomości.

- Słucham. - Mitchell wskazywał Pruittowi punkt na mapie.

- Jest powód, dla którego tylko my bijemy się o przełęcz. Nasza atomówka spowodowała

lawinę, która zasypała drogę od strony Asheville. Brygada, która powinna już być tutaj na górze, stoi zablokowana. Oczyszczają drogę, ale zajmie im to jeszcze przynajmniej godzinę. Lekka piechota próbuje ominąć zawał, ale też nie prędko tu będą.

- Świetnie - odparł Mitchell, wystukując kolejny kod dostępu. - Niech im pani powie, że za chwilę oczyścimy dolinę Scotts Creek z Posleenów.

Pruitt skończył wpisywać polecenie ostrzału i spojrzął na dowódcę.

- Wszystkie trzy pociski, sir?

- A co, oszczędzałeś je na bardziej uroczystą okazję, Pruitt? - spytał z przekąsem pułkownik. - Wszystkie trzy. Jeden w skrzyżowanie, jeden na czoło Posleenów i jeden na zgrupowanie na drugim brzegu rzeki. Jeśli to ich nie zatrzyma, nic już tego nie dokona.

- Tak jest, sir - powiedział działonowy, wpisując ostatnie polecenie i uruchamiając sekwencję salwy.

* * *

Biuro Spraw Indian i Kongres Stanów Zjednoczonych wymyśliły sporo głupich przepisów - z których jeden kuśtykający Thomas właśnie łamał - ale za to porządnie wyposażyły milicję w sprzęt. Zwłaszcza kiedy wytknięto im, że po zamknięciu kasyna „na czas wojny” Indianom nie zostało wiele źródeł dochodu. A ponieważ BSI było agencją rządową, nie poskąpiło grosza. Dlatego właśnie Thomas jeszcze do niedawna miał ładną, pomalowaną w barwy maskujące hondę ATV.

Przeżył jednak wypadek, tak samo jak jego karabin w futerale, lornetka i amunicja. A więc cały czas był na plusie. Mniej więcej. Dotarcie na wzgórze, z którego mógłby strzelać do Posleenów, było trudniejsze niż się spodziewał - atomówka porządnie zryła okolicę. Cały rejon wokół skrzyżowania szos był zwałowiskiem drewna. Wyglądało to jak zdjęcia z góry Świętej Heleny. Thomas pisał o tym wypracowanie w ósmej klasie, i wciąż pamiętał zdjęcia łosi przedzierających się między zwałonymi pniami. Teraz wiedział, co wtedy czuły: były wkurwione.

Przełożył prawą nogę nad kolejną kłodą i zaklął. W czasie wypadku nadwerżył sobie kolano i przedzieranie się przez stosy gałęzi wcale nie było łatwe. Zwłaszcza w niemal całkowitej ciemności - słońce już zaszło, a księżyc tylko z rzadka wychylał się zza chmur. Thomas był jednak pewien, że wie, gdzie jest. Wąwóz w dole powinien być jednym z koryt Scotts Creek, a to oznacza, że grzbiet wzgórza, którym szedł, powinien urywać się nad skrzyżowaniem.

Pod samą kalenicą biegła linia drzew, które ocalały w czasie wybuchu. Nie była to wprawdzie „ścieżka”, ale łatwiej się nią szło, a poza tym pozwalała wejść na sam szczyt tak, by Posleeni tego nie zobaczyli.

W końcu Thomas dowlókł się na górę i położył na brzuchu. Fala uderzeniowa powaliła drzewa mniej więcej w tym kierunku, w którym zmierzał, mógł więc przeczołgać się między nimi do miejsca, z którego widział wiadukt i ukrytych pod nim Posleenów.

Zobaczył też płonące na drodze transportery. Wyglądało na to, że piechociarze dostali ostro w dupę. Widział, jak dwaj z nich czołgają się w stronę pozycji obcych. Pora osłonić ich ogniem.

* * *

Joe Buckley czołgał się ostatni raz na zaawansowanym teście sprawnościowym piechoty. Miało to miejsce u zarania dziejów, kiedy musiał się martwić tylko złamaniem nogi podczas skoku, wypadkiem na motocyklu albo bójką o jakąś tłustą laską na Bragg Boulevard.

O rany, to były czasy. Żadnych Posleenów. Żadnych wieżowców walących się człowiekowi na głowę. Żadnych wybuchających statków. Czasami tylko jakiś wkurwiony sierżant i oglądanie *Pinky'ego i Mózga* w oczekiwaniu na popołudniowy apel. Lepiej być nie mogło.

Przycisnął tyłek do ziemi, kiedy od asfaltu z gwizdem zrykoszetował pocisk. Teraz jest znacznie

gorzej.

Jeden z dwóch szeregowych odrobinę za bardzo się wychylił i za swój błąd zapłacił usmażeniem przez ładunek plazmy, Drugi w połowie drogi zmiękł i teraz leżał na brzuchu na dnie rowu. Buckley nie wiedział, dlaczego idzie dalej. Może z czystego uporu - Posleeni zaczęli go naprawdę wkurwiać. A może dlatego, iż wiedział, że jeśli nie oczyści przełęczy, będzie miał totalnie przewalone.

Przywarł jeszcze bardziej do ziemi, kiedy z nieba spadł pierwszy pocisk artylerii. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, artyleryjski ostrzał powinien go osłonić.

Z drugiej jednak strony, jeśli artylerzyści albo obserwatorzy spieprzą sprawę, pocisk równie dobrze może spaść na niego.

Nie spadł; trafił w wiadukt. Buckley czekał z niecierpliwością, aż radiowiec sprowadzi ostrzał na ziemię. Większość odłamków powinna teraz wpadać pod wiadukt, na Posleenów. Nie oznacza to, że zostaną powstrzymani, ale powinni rzadziej się wychylać, ułatwiając Buckleyowi podejście. Kiedy ruszył dalej, nadleciał z wyciem pocisk z następnego działa.

Rów, którym czołgał się plutonowy; od jakiegoś czasu bardzo płytki, nagle stał się głębszy. Na tyle, że Buckley mógł podnieść się na kolana i łokcie, i nie musiał już pełzać na brzuchu. Zaczął brnąć przed siebie, rozcapierzając kończyny jak krab, kiedy od strony posleenińskich okopów dobiegł jakiś jazgot i niespodziewanie tyłek zapiekł go jak przypalany żywym ogniem.

Opadł na brzuch, sięgnął do tyłu i poczuł wilgoć. Albo dostał nagłego ataku najgorszych na świecie hemoroidów, albo jakiś posleeniński skurwysyn właśnie postrzelił go w dupę.

* * *

Thomas pokręcił głową, patrząc na dzielnego sukinsyna w rowie. Przez lunetę na podczerwień widać było wyraźnie, że właśnie dostał w dupę - rozbryzg krwi emitował ciepło - ale mimo to wciąż pełzł do przodu. Drugi leżał na brzuchu. Sądząc po temperaturze, był żywy, ale pewnie za bardzo się bał, żeby się poruszyć. W rowie leżało też bezgłowe ciało. Było tak gorące, że musiało dostać plazmą. Poza tym wyglądało na to, że większość żołnierzy zginęła w pierwszych chwilach natarcia.

Przesunął lunetę na pozycje Posleenów i pokręcił głową. Ogień z ich działek plazmowych zostawił wyraźne ślady na drodze i podgrzał powietrze pod wiaduktem. Do tego za każdym razem, kiedy eksplodował pocisk artylerii, rozbłysk światła na chwilę wyłączał lunetę. Mimo to Thomas był w stanie wypatrzeć kucyki. Były nieco chłodniejsze od ludzi, ale o wiele cieplejsze od nocnego chłodu powietrza i zimnej ziemi pod wiaduktem. Nie było ich dużo, czternaście, może piętnaście. Jeden leżał na dnie okopu i nie poruszał się.

Teraz trzeba ustalić, którzy z nich to Wszechwładcy. Wokół głowy jednego z Posleenów mignęła poświata ciepła. Thomas przełączył podczerwień na wzmocnienie światła. W odcieniach zieleni zobaczył, że Posleen ma grzebień; musiał go na chwilę podnieść, tworząc wokół głowy ciepłą aureolę.

Thomas skinął głową i przełączył lunetę z powrotem na podczerwień. Odetchnął, odbezpieczył barretta, położył palec na spuście i zaczął delikatnie naciskać.

* * *

Plutonowy Buckley przypadł do ziemi, kiedy Posleeni zaczęli pruć ogniem z okopu. Chyba nie strzelali do niego. Zaryzykował szybki rzut okiem i stało się jasne, że grzali ze wszystkiego, co mieli, w szczyt urwiska za nim i po lewej stronie.

Zaryzykował jeszcze raz, podniósł się i skulony popędził w stronę wielkiego betonowego bloku, który nadawał się na osłonę. Był to prawdopodobnie odłamek południowego przęsła, rzucony tu przez wybuch atomówki, ale dla Buckleya wyglądał jak śniadanie do łóżka. Może nawet dałoby się

za nim usiąść.

Wturlał się za blok, kiedy ostrzał ucichł, i zaczął rozważać swoje położenie. Znajdował się dwadzieścia metrów od okopu Posleenów i salwa przed chwilą pochodziła z większej liczby luf niż się spodziewał. A więc artyleria ich nie zabiła, tylko uziemiła. Trochę.

Wyglądało na to, że w okolicy jest jeszcze ktoś, może snajper na urwisku. O ile przeżył ostrzał. Byłoby miło wiedzieć, że nie jest się zupełnie samemu.

Okolo pięciu metrów bliżej wiaduktu leżał następny kloc betonu, już na pewno pochodzący z wiaduktu, bo sterczał z niego kawał stalowego kątownika. Leżał naprzeciwko środkowych przęsł. Gdyby Buckleyowi udało się do niego dostać, mógłby przemieścić się na flankę Posleenów, tak by móc przeczesać ich okop. Do tego mógłby się skryć w „dobrym gruzowisku” południowej części wiaduktu.

„Dobre gruzowisko” było określeniem używanym przez piechotę. Gruzowiska były przyjacielem piechoty: były nieprzejezdne dla czołgów, opierały się ostrzałowi większości artylerii, a do tego nienawidzili ich Posleeni. Dobre gruzowisko było takie jak ten wiadukt: poskręcane i pełne dziur, w których może się ukryć człowiek. Południowa część wiaduktu wyglądała wręcz na doskonałe gruzowisko.

Ale dostanie się do niego było trudne z dwóch powodów.

Pierwszym była artyleria. Pociski trafiały prosto w cel - wybijały dziury w betonowej drodze - a cel był kilka metrów od trasy, którą Buckley musiałby pokonać, chcąc się dostać do kryjówki. Gdyby miał radio, kazałby artylerzystom przestawić się na pociski dymne. Ale nie miał, a radiowiec został za daleko z tyłu, żeby do niego krzyczeć.

Słyszał, że można się poruszać w odległości metra czy dwóch od takiego ostrzału, o ile pociski spadają „na zewnątrz”, a teraz właśnie tak było. Przy każdym wybuchu dookoła rozchodziło się solidne łupnięcie fali wstrząsowej, ale tym, co zabijało, były odłamki. Większość z nich leciała w stronę okopu Posleenów. Zasadniczo bardzo niewiele powinno przelatywać nad miejscem, przez które miał się czołgać.

Zasadniczo.

Drugim problemem - zakładając, że nie trafią go artylerzyści - był fakt, że między jego obecną pozycją a następnym blokiem betonu nie było żadnej osłony ani kryjówki. Żadnej. Był to płaski, równy grunt, odarty z całej roślinności, która mogła tam kiedyś być, i rozciągający się niecałe dwadzieścia metrów od pozycji Posleenów. Mógł spróbować zerwać się i pobiec. Problem w tym, że Posleeni reagowali na takie coś o wiele lepiej niż ludzie. To tak, jakby próbował przebiec przed zawodowcem strzelającym do rzutek. Obcy wychylali głowy nawet podczas ostrzału artylerii. Szansę na przebiegnięcie były mniej więcej takie, jakie śnieżynka ma na przetrwanie w piekle.

Jedynym wyjściem było spróbować się przekraść. Oświetlenie było... niejednolite. Co chwila błyskały wybuchy artyleryjskich pocisków i księżyc wyglądał zza chmur, poza tym jednak było ciemno. Eksplozje roznieciły ognie, ale żaden z nich nie płonął blisko.

Posleeni widzieli w ciemnościach dobrze, ale nie doskonale. Do tego byli pod ostrzałem z urwiska, który skupiał całą ich uwagę.

Ostatecznie, uznał, warto spróbować. Ale najpierw należy dobrze się przygotować.

Sięgnął do chlebaka i wyjął coś, czego od bardzo dawna nie używał.

*Wiwat! Po zwycięstwo już nie pójdzie żaden z nas
Wiwat! Już za nami został pola bitwy kurz!
Orły, kruki i wrony
Uniosą nas w swe szpony
Nie ujrzyście swych żołnierzy więcej już!*

Rudyard Kipling
Marsz Drapieżne ptaki

Niedaleko Balsam Gap, Północna Karolina,
Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III
20:25 czasu wschodnioamerykańskiego letniego,
niedziela, 27 września 2009

Thomas przetoczył się nad kłodą i zaczął pełznąć z powrotem na krawędź urwiska. Słyszał o reakcji Posleenów na snajperów, ale po raz pierwszy się z nią zetknął. Mimo że w tym czasie strzelała artyleria, jakimś cudem go wypatrzyli.

Odepchnął go odrzut barretta, więc większość strzałów przeszła mu nad głową. Trafiała go jedynie drzazga, ale po niej miała zostać zaledwie kolejna blizna na twarzy. Nic wielkiego.

Ostrożnie wystawił lufę poza krawędź i spojrzał w dół.

Samotny żołnierz dotarł na skraj rumowiska. Teraz siedział odwrócony plecami do Posleenów i robił... coś robił. Thomas powiększył obraz i przełączył lunetę na wzmocnienie światła, ale wciąż nie umiał powiedzieć, co tamten kombinuje. Wyglądało to tak, jakby mieszał coś w dłoni.

Uznając, że nie warto się tym kłopotać, Czirokez wycelował w następnego obcego. Jednego mniej, jeszcze tylko czternastu. Odpuścił sobie Wszechwładców, postanowił ich zdjąć po jednym.

Kiedy wziął pierwszego na cel, niebo za nim rozświetliło się jak lampa samego Boga.

* * *

Buckley zeszkrobał nożem trochę twardej jak kamień farby do kamuflażu. Laska regulaminowego barwnika, którą nosił od Bóg wie jak dawna, upodobniła się konsystencją do węgla. Było to irytujące, zwłaszcza że jedyną szansą na bezpieczne dotarcie do celu było pokrycie każdego centymetra kwadratowego skóry tak, by nic nie prześwitywało. Gdyby to mu się udało, mógłby przeczłgać się bezpiecznie przez pięciometrowy odcinek między betonowymi blokami. Zwłaszcza gdyby ruszył równo z następnym strzałem snajpera. Podczas gdy Posleeni skupialiby uwagę na urwisku, mógłby wypełznąć i przy tym ich nie zaalarmować.

Gdyby tylko udało mu się zmieszać farbę z odrobiną wody, mógłby pokryć twarz kamuflażem, a wtedy może udałoby mu się przeżyć. Warto spróbować. Oczywiście przydałoby się jeszcze jakoś odwrócić uwagę Posleenów, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Przez krótką chwilę blask był tak jasny, że prawa dłoń Buckleya, w której nie było strużyn farby, zrobiła się przezroczysta. Zacisnął oczy, ale nic to nie dało. Wiedział, że przez następne pięć czy dziesięć minut będzie ślepy, ale to nie miało znaczenia. Ważne było tylko to, że Posleeni będą równie ślepi.

Upuścił tubkę farby i trzymany w dłoni proszek i złapał karabin. Podniósł się i puścił pędem do następnej bryły betonu.

W każdej chwili spodziewał się usłyszeć trzask karabinu magnetycznego albo krótkie beknięcie plazmówki, które zamieniłoby go w węglowy posąg. Ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego

ułamek sekundy po tym, jak stopy zetknęły się z betonowym blokiem, jego nos zetknął się z wystającym z betonu kątownikiem.

Tłumiąc krzyk, Buckley runął za osłonę. Tam, trzymając się za zakrwawiony nos, czekał, aż znów zacznie widzieć.

- Zaczynani się z tobą zgadzać, Pruitt - prychnął pułkownik Mitchell. - W takich chwilach jak ta żałuję, że nie mamy porządnego pancerza i broni bezpośredniego ostrzału.

- Mamy broń bezpośredniego ostrzału, sir... - zaczął działotnowy.

- Nie mamy takiej, której użycie nie byłoby katastrofą w skali kraju, synu - przerwał mu pułkownik. Ponowne ustawienie radionadajników zajęło milicyjnym zwiadowcom trochę czasu, ale wyglądało na to, że natarcie Posleenów zostało skutecznie powstrzymane. Cena była jednak olbrzymia.

Dillsboro i Sylva, nawet te ich fragmenty, których nie zniszczył przejazd SheVy, zniknęły. Bóg jeden wie, jakich uszkodzeń doznał most - most, który Wschód koniecznie chciał zachować w dobrym stanie. Atomówka poleciała tak, żeby nie objęła go strefa największych zniszczeń, ale to nie znaczy, że wciąż będą mogły po nim jeździć czołgi. Dopiero ktoś taki jak major Ryan musiałby wyrazić zgodę, żeby cokolwiek przejechało na drugi brzeg.

- Kiedy chłopcy z drugiej strony wreszcie przebiją się do nas, będą musieli tylko pozamiatać - powiedział Pruitt.

- Zamiatanie Posleenów to kosztowna sprawa, Pruitt - odparła Indy. - Major Anderson też chciał „zamieść” kilku Posleenów po jądrowym wybuchu.

- Pora znaleźć lepszy sposób - włączyła się kapitan Chan. - Mam stąd wspaniały widok, ale chętnie wróciłabym już do walki. Musimy wymyślić, jak uruchomić te wieżyczki.

- Może zaczekajmy, aż dotrze tu batalion naprawczy - powiedziała Indy. - O ile w ogóle dotrze.

- Miejmy tylko nadzieję, że to nastąpi przed pojawieniem się reszty Posleenów - zauważył Reeves.

- Jakich Posleenów? - parsknął śmiechem Mitchell. - Wątpię, żeby stąd do Savannah zostały ich cztery setki. Nie wiem jak wy, ale ja idę się zdrzemnąć. Obudźcie mnie, jakby się coś działo.

* * *

Thomas podniósł dłoń i zmrużył oczy. Aha, zaczyna widzieć, czyli pora wracać do akcji.

Atomówka zepsuła mu lunetę. Nie wiedział, czy to przez impuls elektromagnetyczny, czy przez przeciążenie światłem, ale obraz migotał jak w popsutym telewizorze. A to znaczyło, że musi zadowolić się muszką i szczerbinką. W porządku, wychował się na muszce i szczerbinie. Potrafi to zrobić. Gdyby tylko cokolwiek widział...

Księżyc wschodził, ale nie zaglądał pod wiadukt. A Posleeni nie używali żadnego światła. Thomasowi przydałaby się flara albo coś w tym rodzaju.

W końcu postanowił wpakować jedną kulę w okop i sprawdzić, co się stanie. Najgorsze, czego mógł się spodziewać, to że go zdejmą.

* * *

Buckley usłyszał trzask na szczycie urwiska, zanim Posleeni otworzyli ogień. Tym razem już nie byli tak skuteczni - strzelali chyba na wszystkie strony naraz. Plutonowy przypadł do ziemi, a potem wykorzystał zamieszanie, żeby znów się przemieścić.

Przed oczami miał nie tylko czerń. Większą część pola widzenia przesłaniał mu czarno-biały negatyw własnych dłoni. Jednak co nieco widział i mniej więcej wiedział, dokąd ma iść, a więc przyszła pora się ruszyć. Przykucnął i zgięty wpół przeszedł do końca wielkiej bryły granitu, gdzie się zatrzymał. Gdyby wystawił teraz głowę, od Posleenów dzieliłyby go przypuszczalnie niecałe trzy

metry.

Pytanie jak zwykle brzmiało: szybko czy wolno? W końcu uznał, że lepiej szybko. Wyjął granat, wyciągnął zawleczką i wziął głęboki oddech.

- Po wyjęciu zawlecзки granat nie jest już waszym przyjacielem - szepnął i wychylił się.

* * *

Thomas przysunął się z powrotem do krawędzi i wytarł wargi. Tym razem ładunek plazmy trafił tuż obok i duży kawał dębiny uderzył zwiadowcę prosto w usta. Czekąło go plucie zębami przez kilka tygodni.

Kiedy wreszcie wycelował, w tym samym momencie pod wiaduktem wybuchł granat. W jego rozbłysku Thomas zobaczył wprost na linii strzału trzy sylwetki. Wystrzelił raz i schował się, czekając na odpowiedź, ale Posleeni chyba znaleźli sobie inny cel, Zwiadowca wrócił na skraj urwiska, ułożył się wygodnie i zaczął szukać następnych ofiar.

* * *

Joe zaczekał, aż spodziewana nawała ognia osłabnie, po czym wychylił się zza betonowego wspornika i wywalił ze swojego AIW wszystkie pięć granatów najszybciej, jak potrafił naciskać spust. Posleeni zaczęli strzelać, zanim jeszcze się schował, ale poprzez jazgot karabinów magnetycznych - wszystkie plazmówki chyba ucichły - Buckley słyszał grzmiącego w równych odstępach czasu barretta. Odpiął z uprzedzenia następny granat i cisnął go mniej więcej w stronę okopu, przeładowując AIW. Jeszcze jedna seria powinna wystarczyć.

Zarepetował granatnik i wychylił się zza betonowej osłony w chwili, kiedy trafiła w nią hiperszybka rakietka.

* * *

Thomas zaniknął oczy, ale było już za późno - znów stracił wzrok. Mrugając poprzez łzy, dostrzegł jednak, że Posleeni zginęli. Nie był do końca pewien, co wybuchło pod wiaduktem, ale jego północna część również się zawaliła i leżała teraz przechylona na zachód, blokując mu pole ostrzału. Wyglądało na to, że eksplozja rozwalila na pół środkowe zachodnie przęsło. Pod spodem mogli być jacyś Posieeni, ale to już nie miało znaczenia. Droga była tak zablokowana, że do jej oczyszczenia potrzebny byłby ciężki sprzęt.

Posleeni już nie strzelali, więc uznał, że pora zwlec się na dół. Wstał, ale natychmiast ugięło się pod nim kolano.

- Tak to jest, gdy człowiek jest stary, tłusty i zmęczony - mruknął.

Usiadł na drzewie i pokręcił głową. Niech ktoś inny zajmie przełęcz. On tu posiedzi i zaczeka, aż przestanie go boleć noga.

* EPILOG *

Cally upchnęła ostatnią paczkę w plecaku i przygotowała się do wyjścia z jaskini. Skrytka Cztery była zaprojektowana jako magazyn wszystkich materiałów potrzebnych do ucieczki. Po wypłakaniu oczu i odespaniu nocy Cally starannie przygotowała się do długiej podróży. Jej trasa wiodła przez rejon Coweeta, potem na przełaj do autostrady 64 - zakładając, że jest wolna - a później na zachód, do umocnień wokół Chattanooga.

Nadeszła pora wymarszu, ale Cally ciągle jeszcze się wahała. Chociaż znalazła zwłoki Papy O'Neala, wciąż nie mogła uwierzyć, że już go nie ma, że jego życie dobiegło końca. Chciała jeszcze tylko jednej sprzeczki, jeszcze jednego poranka. A opuszczenie jaskini było pogodzeniem się z faktem, że już nigdy więcej nie będzie farmy i już nigdy więcej nie będzie Papy O'Neala.

W końcu postawiła plecak na ziemi i wyciągnęła książkę. Jedzenia i wody miała tu na rok, a jaskinia, położona w odludnej okolicy, była bezpieczna.

O odejściu pomyśli jutro.

* * *

Obserwujący ją ze sklepienia groty Himmit wzruszył ze zdumienia ramionami. Dziewczynka już miała iść, kiedy nagle się zawahała. Dla Hirnmita takie zachowanie nie miało sensu. Ale właśnie dlatego ludzie byli tak niesamowicie fascynujący, że robili różne rzeczy bez żadnego widocznego powodu.

Przygotował się na długie czekanie. Ale Himmici byli w tym dobrzy. A któregoś dnia z tego wszystkiego urodzi się piękna opowieść.

* * *

Mosovich zatrzymał się, kiedy Mueller podniósł zaciśniętą pięść i przysiadł na piętach. Potem sierżant przekrzywił głowę - Jake też usłyszał ten dźwięk. Przed nimi płynął duży strumień należący do Laboratorium Hydrologicznego Coweeta; szum wody zagłuszał inne odgłosy. Ale mimo to gdzieś niedaleko słychać było słaby kobiecy śmiech.

* * *

Wendy usiadła, plując wodą, i opuściła MP-5, którego udało jej się nie zamoczyć.

- Bardzo śmieszne, Shari - warknęła, dygocząc. - Ta woda jest zimna jak cholera.

Widzę - odparła kobieta ze śmiechem. - Każdy by to zobaczył.

Wendy także nie potrafiła opanować chichotu. Jej ubranie nosiło ślady ucieczki z Podmieścia i przedzierania się przez górskie zarośla. Woda i cienki materiał jej bluzki sprawiały, iż z daleka widać było, że marznie.

- Wyglądam jak dziewczyna z rozkładówki - powiedziała, kręcąc głową.

- Jeszcze jak - stwierdził Mueller, wychodząc z zarośli i zsuwając się po zboczu w dół. - Szkoda, że nie mam aparatu.

- Jezu! - krzyknęła Shari, obracając się na pięcie. - Nie rób tego!

Mueller podniósł ręce, widząc trzy wycelowane w niego lufy.

- Cześć, przyjaciele.

- Boże, Mueller, nigdy nie sądziłam, że to powiem - rzekła Wendy, wstając i opuszczając pistolet maszynowy - ale pana widok jest rozkoszą dla moich umęczonych oczu.

- I wzajemnie - odparł sierżant i zerknął na Shari. - Kim jest... Shari?

- To długa historia - powiedziała Elgars, podnosząc ręką. - Idziemy do magazynu O'Neala. A wy?

- Mieliśmy przeprowadzić rozpoznanie Gap - odparł Mosovich, wychodząc z krzaków kawałek dalej. - Poruszamy się dość szybko i sprawnie.

- Poruszaliście się - powiedziała Elgars. - My też poruszamy się szybko, ale przydałaby nam się jakaś pomoc. Padło na was.

- Pani kapitan - oznajmił surowym tonem starszy sierżant sztabowy. - Nasze zadanie dostaliśmy od Dowódcy Armii Kontynentalnej.

- Dobrze - odparła, wskazując na jego przekaźnik. - Proszę go wywołać. Powiedzcie mu, że porwała was gromada dziewczyn z dziećmi i że wam się to zupełnie nie podoba.

- Mam przeprowadzić rozpoznanie ~ zaprotestował Mosovich. - Nie mogę tego robić, wlokąc za sobą gromadę, uciekinierów!

- Tak? - powiedziała Wendy. - To niech pan uważa.

* * *

Plutonowy Patrick Delf przesuwiał swój AIW z boku na bok, wypatruje przez noktowizor celów. Teren wokół wiaduktu Blue Ridge był zasłany sygnaturami cieplnymi, ale żadna z nich sienie ruszała. Większość była nie do rozpoznania. Plutonowy szedł ostrożnie przed siebie, szukając stopami pewnych punktów oparcia na zasłanej gruzem drodze i wypatrując zagrożenia. Ale niczego nie dostrzegał. Obie połowy wiaduktu, wbrew doniesieniom wywiadu, były zburzone.

Podszedł bliżej, machnięciem ręki każąc reszcie swojej drużyny rozproszyć się. Zwiadowcy rozsunęli się w tyralierę - każdy z nich wypatrywał Posleenów, ale niczego nie dostrzegał.

W cieniu pod wiaduktem znaleźli okop pełen martwych obcych. Większość z nich była zbyt zwęglona, by dociec, co ich zabiło, kilku jednak miało dziury po wielkokalibrowym karabinie, przypuszczalnie snajperskim.

Środkowy wspornik wiaduktu został wysadzony u podstawy. Wyglądało na to, że został trafiony z broni ciężkiej, prawdopodobnie plazmy albo hiperszybkiej rakiety, i to z posleńskiego okopu. To zupełnie nie trzymało się kupy, chyba że któryś z obcych dostał małpiego rozumu. Na podstawie wspornika stygła jakaś gęsta ciecz, ale plutonowy nie był pewien, co to jest, dopóki nie przyklęknął na jedno kolano, nie potarł jej i nie powąchał palców. Zapach ludzkiej krwi, w przeciwieństwie do posleńskiej, był bardzo charakterystyczny.

- Sir, mówi plutonowy Delf - powiedział, włączając swój komunikator. - Przełącz czysta, jakiś biedny drań dotarł aż tutaj, a potem dał się rozsmarować rakieta. Ale rakieta rozwalila wiadukt i strzeliła plazmą z powrotem w Posleenów; są załatwieni.

- Czy ktoś jeszcze przeżył? - spytał dowódca brygady.

- Jak dotąd nikt. Nie wygląda to dobrze. Nie byliśmy jeszcze po drugiej stronie wiaduktu, ale widać stąd jakieś pojazdy, sir. Widzę trzy abramsy i dwa bradleye, same wypalone skorupy. Przełącz jest zatarasowana zwalonym wiaduktem, drogę blokują wraki. Ale Posleenów nie ma. Ci, co ocalili, nakopali im do dupy.

- Przyjąłem - powiedział cicho pułkownik. - Czy mogę bezpiecznie wysłać śmigłowce?

- Nie mogą tego zagwarantować, sir. Nie wiem, co jest w dolinie.

- Według Dowództwa Wschód, tylko nieźle wkurwiona SheVa. Wysyłam śmigłowce po tych, których tam znajdziecie. Dokończcie rozpoznanie i wracajcie. Ale uważajcie, do Rabun Gap droga daleka.

* * *

Cholosta'an pokręcił głową. Mimo drugiej pary powiek i umiejętności zwężania źrenic był pewien, że ma uszkodzony wzrok. Ale lepsze to niż przyszłość, która czekałaby ich, gdyby oolt'ondai postanowił ruszyć naprzód.

- Pożrę ich młode - warknął gniewnie Orostan. Ale nawet młodszy kessentai usłyszał w jego głosie gorzki porażki.

- Skończyły nam się elitarne oolt - przypomniał Cholosta'an. - I wyszkoleni piloci. Nie mamy już tenarali. Oolt'ondar Besonotry został zniszczony, a ludzie wkrótce zajmą Balsam Gap. Przekłęci saperzy zniszczyli wszystkie inne drogi wychodzące z tej doliny. A Torason twierdzi, że napotkał opór, nacierając w górę doliny Tennessee. Musimy Się wycofać, póki w ogóle mamy jeszcze jakieś oolt.

- Nie, musimy nacierać - prychnął Orostan. - Zdobędziemy tą przełęcz, i ziemie leżące za nią. Wciąż mamy dość sił. Poprowadź swój oolt naprzód, zbierz wszystkich rozproszonych oolt'os, jakich napotkasz. Uderz na przełęcz! Ja zbiorę wszystko, co zostało w okolicy, i pójdę za tobą.

- Jak sobie życzysz, oolt'ondai - powiedział kessentai.

Machnął na swoich oolt'os i ruszył naprzód. Kiedy przeszedł chwiejny most i zagłębił się w ruiny Dillsboro, skręcił w prawo, kierując się wzdłuż rzeki Tuckasegee.

- Niech Orostan zdycha dla tego swojego „ocalenia rasy” - szepnął kessentai. Jeśli ten świat czegokolwiek go nauczył, to tego, że samo przetrwanie wystarczy. Niech odważni giną „dla dobra rasy”. On, Cholosta'an, po prostu ocaleje.

* * *

Tulo'stenaloor pokręcił głową nad raportem z Dillsboro. Przez chwilę rozważał, czy nie rozkazać Orostanowi zaprzestać ataku. Zebranie sił na nowo zabierze mu kilka godzin, o ile w ogóle zostały tam jakiegokolwiek siły. W końcu postanowił tego nie robić. Po pierwsze, ten stary idiota prawdopodobnie i tak by go zignorował i zaatakował. Po drugie, spowolnienie sił maszerujących na Gap było tego warte. Po przybyciu metalowych threshkreen chwilowo stracił przełęcz na rzecz ludzi. Ale mając tylko dość dużo czasu, odbije ją z powrotem. Kiedyś skończy im się energia i amunicja, a wtedy ich stamtąd wyprze.

- Proszę tylko o czas.

* * *

Mike wyszedł z dziury ziejącej tam, gdzie kiedyś była tylna ściana jego gabinetu. Nie oglądał się za siebie. Był pewien, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Batalion stał w równych szeregach przed promami. Wszystkie dwadzieścia dwa statki wylądowały na placu defilad i były właśnie ładowane bronią i sprzętem, w tym najważniejszymi power packami i lancami antimaterii. Pozostało tylko załadować żołnierzy i być może wygłosić krótką mowę.

Problem polegał na tym, że nawet „zieloni” wiedzieli, iż lecą na samobójczą misję. To była ważna samobójcza misja, trudno było wyobrazić sobie ważniejszą. Ale byłoby to niezwykle zrzędzenie losu, gdyby ktokolwiek z nich przeżył.

Do tego dochodził fakt, że nawet „zieloni” w ciągu ostatnich dwóch do pięciu lat praktycznie bez przerwy brali udział w operacjach bojowych. To byli żołnierze, którzy szli w ogień z otwartymi oczami. I większość z nich słyszała już wcześniej mowy majora.

Ale to była taka ich mała tradycja.

Mike zdjął hełm, kazał przekaźnikowi wzmocnić głos i stanął przed swoim batalionem.

- Dwudziestego piątego października tysiąc czterysta piętnastego roku niedaleko Calais we Francji mała gromada Anglików pod wodzą angielskiego króla Henryka Piątego stawiała czoła całej francuskiej armii. Bitwę tę nazwano Azincourt, a miała ona miejsce w dniu Świętego Kryspina. Chociaż Francuzi mieli przewagę liczebną pięciu do jednego, Anglicy zadali lepiej uzbrojonemu i opancerzonemu wrogowi straszliwe straty, tym samym wygrywając bitwę. Wystąpienie króla

Henryka William Szekspir przerobił później na słynną „mowę z dnia św. Kryspina”.

Dzień dzisiaj mamy świętego Kryspina:

Ten, kto przeżyje ten dzień, kto bezpiecznie

Wróci do domu, zawsze już podniesie

Głowę i dumnie wyprostuje grzbiet

Na wzmiankę o dniu świętego Kryspina.

Kto dzień ten ujrzy, ten w jego wigilię

Będzie co roku, do późnej starości,

Spraszal sąsiadów na ucztę słowami:

„Przecież to jutro świętego Kryspina!”;

Podciągnie rękaw i blizny pokaże:

„Moja pamiątka po świętym Kryspinie!”

Starcom szwankuje pamięć; ale on,

Choćby zapomniał wszystko, będzie wiernie

Wspominał - nawet gdy upiększy trochę -

Jakich to czynów dokonał w tym dniu.

Imiona nasze, znane jego ustom

Jak słowa rozmów z najbliższą rodziną -

Król Henryk; Bedford i Exeter; Warwick

I Talbot; Gloucester i Salisbury - będą

Znów wymawiane ponad pełnym kubkiem.

I dzielny wojak historię powtórzy

Swemu synowi; i zawsze już odtąd,

Od dzisiejszego dnia do końca świata,

Kiedy nastanie świętego Kryspina

W ludzkiej pamięci znowu ożyjemy:

My. garść - szczęśliwy krąg - gromadka braci;

Tak, bo kto dzisiaj ze mną krew wyleje.

Zostanie moim bratem; choćby z gminu

Pochodził, dzień ten nada mu szlachectwo;

A każdy z owych panów, którzy w Anglii

Gnuśniejają teraz w jedwabnej pościeli,

Przeklnie się za to, że go tu nie było.

Odmówi sobie miana mężczyzny.

Kiedy ktoś przy nim wspomni, jak to walczył

Wraz z nami w ten dzień świętego Kryspina!

- W całej historii ludzkości małe oddziały stawiające czoła przeważającym siłom wroga były zapamiętywane w pieśniach. Grecy pod Maratonem pokonali Persów, którzy mieli przewagę liczebną stu do jednego. Rodezyjska drużyna SAS przypadkowo natknęła się na przegląd pułku partyzantów i wszystkich wybiła. Bohaterotwie spod Termopil. Z Alamo. Siódma Kawaleryjska...

O’Neal przerwał i rozejrzał się po milczących pancierzach o pustych, pozbawionych emocji przyłbicach. Wiedział z doświadczenia, że ponad połowa jego ludzi właśnie układa e-maile, słucha muzyki albo szuka nowych, lepszych pornosów. Ale co tam, raz się żyje.

- Zważywszy na naszą sytuację, ostatnie trzy są chyba najważniejsze - ciągnął, wkładając do ust grudkę tytoniu. Splunął i spojrział w niebo. - Dzisiaj lecimy zająć i utrzymać przełęcz. Będziemy tam

tkwić dotąd, aż zabraknie nam ludzi, zasilania albo amunicji. Nie wiem sam, co będzie pierwsze. Najprawdopodobniej ludzie. My, szczęśliwy krąg, gromadka braci. W przyszłości mężczyźni leżący teraz w swoich łózkach będą przypominali sobie ten dzień, i wiecie, co będą mówić? „Jezu, jak to dobrze, że nie było mnie wtedy z tymi biednymi dupkami z piechoty mobilnej, bo już bym nie żył”. Ale co tam, raz się żyje; za to właśnie tak dobrze nam płacą. Na pokład.

* POSŁOWIE *

W tym miejscu miały być długie i nieco zabawne podziękowania. Jedenastego września pracowałem nad tą powieścią, I wtedy, jak to niektórzy mówią, świat się zmienił.

Ale ci niektórzy nie mają racji. To nie świat się zmienił jedenastego września, to zmienił się nasz kraj. W posłowniu do *Pierwszego uderzenia* napisałem, że „obecne czasy można nazwać złotym wiekiem, ze wszystkimi towarzyszącymi mu przypadłościami złotego wieku”. Wydarzenia z jedenastego września zweryfikowały te słowa, bardziej niż cokolwiek innego obudziły nas.

Ale mnie nie obudziły, ja już dawno nie spałem. Nie spałem, odkąd miałem jedenaście czy dwanaście lat i w bejruckim porcie wyleciał w powietrze transportowiec z amunicją.. Znajdowałem się wtedy jakieś dziesięć przecznic dalej, więc było to... raczej zauważalne. Określenie „głośne” nie oddaje w tym przypadku istoty rzeczy. Świat zawsze był bardzo niebezpiecznym miejscem, a dla Amerykanów w drugiej połowie dwudziestego wieku bardziej niż dla kogokolwiek innego (być może z wyjątkiem Żydów). Ludzie w krajach rozwijających się dzielą się na dwie grupy: tych, którzy kochają Amerykę, i tych, którzy jej nienawidzą. Podczas wszystkich moich podróży nigdy nie spotkałem ani jednego człowieka, któremu byłoby wszystko jedno. To, że nie spałem, było jednym z powodów, dla których wstąpiłem na służbę do Wuja Sama. Wiedziałem, że barbarzyńcy stoją u bram, nawet jeśli nikt inny nie słyszał huku taranów.

To, co dla wielu Amerykanów zawsze było odległe, dla mnie było rzeczywiste i bliskie. Musiałem zastanawiać się, ilu moich kolegów z klasy było w tłumie szturmującym ambasadę w Teheranie.

Musiałem zastanawiać się, czy mój najlepszy przyjaciel z piątej klasy zginął podczas konfliktu w Bośni. I zawsze zastanawiałem się, czym będzie to „coś”. „Coś”, co wyrwie moich krajanów z ich samozadowolenia. Czy będzie to bomba jądrowa w Waszyngtonie? Czy ospa? Czy wąglik?

Jak się okazało, tym „czymś” było zniszczenie Twin Towers. Podczas drugiej wojny światowej dla Brytyjczyków tym „czymś” była inwazja na Polskę, a jeszcze bardziej najazd na Francję. Dla Amerykanów tym „czymś” było Pearl Harbor, Demokracje potrzebują tego „czegoś”, przełomowej chwili, kiedy wezwanie do broni jest tak wyraźne, że nawet najwięksi pacyfiści słyszą huk trąb.

Kierunek, jaki obierzemy w przyszłości, wciąż jest niepewny. Możemy wciągnąć się w gigantyczny konflikt, przy którym moje książki będą bajeczkami. Możemy też „zmienić paradygmat” i przejechać się po grzbietach naszych elit. Nie wiem, co znajdziemy w tunelu przed nami. Ale wiem jedno. Tunel jest tylko ciemnym tunelem. A na jego końcu jest światełko, i to nie jest nadjeżdżający pociąg, ale przeszłość. Stworzymy przyszłość, jaką zawsze tworzyli Amerykanie: lepszą i pomyślniejszą.

Musimy tylko jako kraj dojechać do końca tunelu.

*Nie zestarzeją się, jak starzejemy się my, którzyśmy pozostali,
Wiek ich nie znuży... ani lata nie zhańbią.
O zachodzie słońca i o poranku Będziemy o nich pamiętać!*

Lawrence Binyon

John Ringo
Commerce, Georgia
5 października 2001

* SŁOWNIK *

Abat	Mały, generalnie niegroźny posieenski szkodnik.
AttenrenaJslar	Pięcioprocentowy kessentai z Rochester.
Blastplas	Materiał, z którego robi się grodzie.
Castleman Avenue	Jeden z boków (wschodni) „kwadratu” w Rochester.
Cholosta’an	Młodszy kessentai.
Chorho	Miejsce urodzenia.
Cosslain	Wyżej rozwinięty rodzaj normalsa.
Czengdu	Miasto w pobliżu zachodniej granicy Chin, miejsce posleeńskiego
natarcia.	
Czterdzieści Dwa	SheVa w Rochester.
Czterdzieści Trzy	Nie ukończona SheVa.
Defib	Defibrylator.
Drasanar	„Mistrz patroli”, oficer operacyjny odpowiedzialny za patrole.
Edas	Dług.
Eson’sora	Młodszy oficer/protegowany.
Essthree	S-3, oficer operacyjny.
Esstu	S-2, oficer wywiadu.
Estanaar	Ważniejszy Wódz/Chan.
Galplas	Standardowy galaksjański materiał budowlany.
Grat	Dokuczliwy i bardzo agresywny posieenski szkodnik. Żywi się
wyłącznie abatami. Z wyglądu przypomina wielką osę.	
Halligan	Rodzaj strażackiego narzędzia.
Irmansul	Planeta Darhelów, obecnie atakowana przez Posieenów.
Kenstain	Wszechwładca, który zachowuje się jak kasztelan.
Kerlan	Posleeńska nazwa Barwhon.
Luoxia Szan	Górski region w Chinach.
Mikryty	Urządzenia mechaniczno-elektryczne mniejsze od nanitów.
Oolt	Posleeńska kompania.
OoltPo’osol	Minóg. Zabiera na pokład posleeńską kompanię i kessentaia.
Oolt’ondai	„Pułkownik”, dowódca brygady/batalionu.
Oolt’ondar	Brygada (jednostka na B-Deku)/batalion (jednostka na C-Deku).
Oolt’pos	Posleeński normals.
Oolt’pos’slen’ar	C-Dek. Zabiera na pokład cztery kompanie Posleenów
(oolt’ondar). Dowodzony przez oolt’ondaia.	
Orna’adar	Posleeński Ragnarok.
Orostan	Starszy Posleen. Oolt’ondai.
Pendergrass, Góra	Góra niedaleko Franklin w Północnej Karolinie.
Plastal	Galaksjański pancierz.
Polylon	Galaksjańska tkanina.
Po’slena’ar	Posleen.
Pożeracze	Maszyny kopiące.
PreserFilm	Materiał do zabezpieczania broni.

Ramsardal	Kessentai. Poległ w Clayton.
Staraquon	Posleeński oficer wywiadu.
Tenarale	Latające czołgi.
Thresh'c'oolt	Posleeńskie żelazne racje.
Westbury	Rejon na Równinie Ontario.
Xian	Miasto we wschodnich Chinach. Ostatnia większa akcja obronna ze

strony Chińczyków.

* SPECYFIKACJE SHEVY I *

Wysokość; 51,8 m od ziemi do szczytu wieży

Gąsienice: cztery

Wysokość gąsienicy: 8,2 m

Szerokość pojedynczej gąsienicy. 45,7 m

Waga pojedynczej gąsienicy: 37 ton

Szerokość całkowita pojazdu: 117,3 m

Długość całkowita pojazdu: 142,6 tn

Długość armaty: 60,9 m z komorą i lufą

Kaliber armaty: 40,64 cm (16 cali)

Waga pocisku; 16 ton

Długość naboju: 4,48 tn

Średnica naboju: 68,58 cm

Reaktory: 4 uranowo-helowe Johannes-Cummings

Silniki pędne: 48

Moc całkowita: 12000 koni mechanicznych

Wilga frez ładunku: ok. 7000 ton

Wyliczanie fali nadciśnienia w wyniku wybuchu Jądrowego

$p_{uderzeniowy} = Y^{0,33} * \text{stała ud.}$

$\text{stała_ud_1_psi} = 2,2$

$\text{stała_ud_3_psi} = 1,0$

$\text{stała_ud_5_psi} = 0,71$

$\text{stała_ud_10_psi} = 0,45$

$\text{stała_ud_20_psi} = 0,28$

Lista piosenek polecanych do *Tańca z Diabłem*

Bat out of hell	Meat Loaf (Mike O'Neal, Jr.)	
Born to run	Bruce Springsteen (Mike O'Neal, Jr.)	
Born to be wild	Steppenwolf (Mike O'Neal, Sr.)	
Brothers in arms	Dire Straits (Mike O'Neal, Jr.)	
Brown eyed girl	Van Morrison (Shari Reilly)	
Conquistador	Procol Harum (Mike O'Neal, Sr.)	
Copperhead road	Steve Earle (Mike O'Neal, Jr.)	
Don't pay the ferryman	Chris DeBurgh (Mike O'Neal, Jr.)	
Don't fear the reaper	Blue Oyster Cult (Mike O'Neal Jr./Sr.)	
Fire on high	ELO (Mike O'Neal, Jr.)	
Fire and rain	James Taylor (Mike O'Neal, Jr.)	
Flowers on the forest	Melodia tradycyjna (Tommy Sunday)	
Heavy metal	Don Felder (Mike O'Neal, Jr.)	
Immigrant song	Led Zeppelin (Mike O'Neal Jr./Sr.)	
Invincible	Pat Benatar (Mike O'Neal, Jr.)	
Jungle love	Steve Miller Band (Mike O'Neal Jr./Sr.)	
Lawyers, guns and money	Warren Zevon (Papa O'Neal)	
Magic carpet ride	Steppenwolf (Mike O'Neal, Sr.)	
More human than human	White Zombie (Cally/Stewart)	
Never been any reason	Head East (Mike O'Neal, Sr.)	
No surrender	Bruce Springsteen (Mike O'Neal, Jr.)	
	On the dark side	John Cafferty and the Beaver
	Brown Band	
	(Mike O'Neal, Jr.)	
	Over the mountain	Ozzy Osbourne (Mike O'Neal,
	Jr.)	
Paint it black	Rolling Stones (Mike O'Neal Jr./Sr.)	
Promises in the dark	Pat Benatar (Mike O'Neal, Jr.)	
Rebel yell	Billy Idol (Mike O'Neal, Jr.)	
Renegade	Styx (Mike O'Neal, Jr.)	
Riding the storm out	REO Speedwagon (Duncan)	
Right here, right now	Jesus Jones (Mike O'Neal, Jr.)	
Roland the headless	Warren Zevon (Papa O'Neal)	
Separate ways	Journey (Duncan)	
Shadows in the night	Pat Benatar (Mike O'Neal, Jr.)	
Slow ride	Foghat (Mike O'Neal, Sr./Duncan)	
Smells like teen spirit	Nirvana (Cally/Stewart)	
The mob rules	Black Sabbath (Mike O'Neal, Sr.)	
The unforgiven	Metallica (Mike O'Neal, Jr./CaHy/Duncan)	
Thunder island	Jay Ferguson (Mike O'Neal, Jr.)	
Thunder road	Bruce Springsteen (Mike O'Neal, Jr.)	
Veteran of the psychic wars	Blue Oyster Cult (Mike O'Neal, Sr.)	
Waiting for darkness	Ozzy Osbourne (Mike O'Neal Jr./Sr.)	

With arms wide open

Creed (Cally)

Spis treści

* 1 *	6
* 2 *	14
* 3 *	28
* 4 *	38
* 5 *	49
* 6 *	63
* 7 *	82
* 8 *	90
* 9 *	105
* 10 *	115
* 11 *	136
* 12 *	149
* 13 *	162
* 14 *	175
* 15 *	192
* 16 *	210
* 17 *	224
* 18 *	237
* 19 *	252
* 20 *	266
* 21 *	278
* 22 *	289
* 23 *	297
* 24 *	305
* 25 *	314
* 26 *	320
* 27 *	331
* 29 *	357
* 30 *	366
* 31 *	373
* 32 *	394
* 33 *	411
* 34 *	418
* 35 *	430
* 36 *	438
* 37 *	444
* 38 *	455
* 39 *	462
* 40 *	469
* 41 *	477
* Epilog *	482
* Posłowie *	489

[* Słownik *. 490](#)

[* Specyfikacje Shevy I *. 492](#)